

MISTRZOWIE SF I FANTASY

DAN SIMMONS

Eden w ogniu

The Amber logo, featuring a stylized white 'A' with a crown-like top, set against a dark background.

AMBER

Dan Simmons

EDEN W OGNIU

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Podziękowania](#)

Robertowi Blochowi,
który nauczył nas, że dreszcz zgrozy
jest tylko interesującym składnikiem
całości, służącej wysławianiu
misterium istnienia, miłości i radości życia

Rozdział pierwszy

E Pele e! Blednie Droga Mleczna.

E Pele e! Noc odmienia swe oblicze.

E Pele e! Wyspę ogarnia czerwona poświata.

E Pele e! Wstaje purpurowa jutrzienka.

E Pele e! Cienie ustępują promieniom słońca.

E Pele e! Z twego wnętrza dochodzi odgłos grzmotu.

E Pele e! W twoim kraterze jest uhi-uha.

E Pele e! Zbudź się, powstań, wróć.

Hulihia ke au, Prąd odwraca bieg

Na początku słyhać tylko wycie wiatru. Wiatr dmie na przestrzeni sześciu tysięcy kilometrów otwartego oceanu. Nie napotyka na żadne przeszkody, prócz okrytych białymi grzywami fal i przygodnych, zbłąkanych mew, zanim nie uderzy o urwiste magmowe skały i dziwacznie ukształtowane głązy, sterczące u południowo-zachodniego wybrzeża największej wyspy Hawajów. Ale kiedy już do nich dotrze wyje i jęczy zagłuszając niemal ustawiczny łoskot fal przyboju i szum rozdygotanych liści palm, które tworzą sztuczne oazy pośród bezładnej gmatwaniny zwałów zastygłej lawy.

Na tych wyspach istnieją dwie jej odmiany. Hawajskie nazwy dobrze je charakteryzują: lawa pahoehoe jest zwykle starsza i zawsze zastyga w spokojne, faliste albo łagodnie wybrzuszone kształty o gładkiej powierzchni; a 'a jest młoda i postrzępiona, o krawędziach ostrych jak nóż, tworząca groteskowo uformowane baszty i dziwaczne, bezładnie rozrzucone bryły. Po całym stoku południowego masywu Kona, sięgającego wybrzeża, spływają od wulkanów ku morzu wielkie, szerokie rzeki pahoehoe, ale to właśnie nadmorskie klify i rozległe pola a 'a strzegą stu pięćdziesięciu kilometrów zachodniego brzegu niczym szeregi zbrojnych wojowników, zakłętych w czarny kamień o ostrych jak brzytwa krawędziach.

W tym kamiennym labiryncie hula wiatr; gwizdże między nieforemnymi kolumnami z a 'a, wyje w szczelinach i pustych teraz kominach, którymi niegdyś uchodziły wulkaniczne gazy i rozpalona lawa. Jego siła wzmaga się z nadejściem nocy. Mrok ściela się stopniowo od nabrzeżnych pól a 'a aż po wierzchołek Manua Loa, który sięga trzech i pół kilometra ponad poziom morza. Większa część czarnego masywu, wzniesionego przez wulkan niczym tarcza, zasłania niebo od północy i zachodu. O pięćdziesiąt kilometrów stąd, ponad coraz ciemniejszą kalderą, ścielą się nisko obłoki wulkanicznych popiołów, połyskując pomarańczowym odblaskiem niewidocznych erupcji. - Więc jak, Marty? Dostaniesz karniaka?

W zapadającym mroku ledwo majaczą sylwetki trzech mężczyzn, a ich głosów prawie nie słyhać w gwizdającym wietrze. Zaprojektowane przez Roberta Trenta Jonesa Juniora pole golfowe znaczą wąskie, kręte języki trawy i gładkie jak dywan łączki, wijące się pośród zwałów czarnej a 'a. Rosnące wzdłuż trawiastych ścieżek palmy kołyszą się i szeleszczą na wietrze. Oprócz trzech mężczyzn, na polu golfowym nie ma nikogo więcej. Jest już całkiem ciemno. Z piętnastego odcinka, na którym gracze pochylają się ku sobie, aby przekrzyczeć wiatr i szum przyboju, światła nadmorskiego kurortu Mauna Pele wydają się bardzo odległe. Każdy z mężczyzn jeździ po polu

własnym golfowym wózkiem. Trzy małe pojazdy wyglądają tak, jakby także zbiły się w gromadkę, chroniąc się przed wyjąłym wiatrem.

- Pewnie poleciała w te cholerne skały - mówi Tommy Petressio. Pomarańczowa wulkaniczna poświata rzuca czerwony odbłask na gołe ramiona i opaloną twarz niskiego mężczyzny. Petressio ma na sobie golfowy strój z trykotu w jaskrawą żółto-czerwoną kratę. Jego twarz o ostrych rysach osłania nisko naciągnięta czapka, z ust sterczy mu grube, nie przypalone cygaro. - Nie mogła polecieć w żadne skały - zaprzecza Marty DeVries. Pociera brodę, skrobiąc paroma pierścionkami szczeciniasty zarost. - Ale nie widać jej w tej cholernej trawie - jęczy Nick Agajanian. Ma na sobie cytrynowo-zieloną koszulę, która opina jego potężny brzuch. Szerokie nogawki kraciastych szortów kończą się piętnaście centymetrów nad bladymi, guzowatymi kolanami. Na nogach ma długie czarne podkolanówki. - Chyba byśmy ją zobaczyli, gdyby leżała gdzieś tu blisko. W dodatku nie ma tu żadnych cholernych nierówności, tylko trawa i te skałki, które wyglądają jak skamieniałe owcze balasy.

- Gdzieś ty mógł widzieć owcze balasy? - Tommy odwraca się w mroku i opiera na drewnianym kiju.

- Widziałem kupę rzeczy, więcej niż ci się zdaje - kwęka Nick. - Taak... - mówi Tommy - wlałeś w nie chyba, kiedy jako szczeniak próbowałeś rozprawiczyć na łące jakąś owieczkę. - Pociera zapałkę i osłania ją dłońmi, próbując piąty już raz przypalić cygaro. Wiatr zdmuchuje ją w mgnieniu oka. - Nic z tego.

- Skończcie z tymi głupotami - mówi Marty DeVries. - Rozejrzyjcie się za moją piłką.

- Twoja piłka wpadła w te zafajdane skałki - mamrocze Tommy obracając w ustach cygaro. - To był twój pomysł, żeby przyjeżdżać na tę cholerną wyspę. - Wszyscy trzej mają trochę po pięćdziesiątce i są szefami działów sprzedaży w firmach handlujących samochodami w okolicy Newark. Od lat jeżdżą razem na golfowe urlopy; czasem zabierają ze sobą żony, czasem dziewczyny, z którymi właśnie kręcą, ale najczęściej wybierają się po prostu we trójkę. - Rzeczywiście - warczy Nick. - Bo i co to za dziura, z tyloma pustymi pokojami, z tym cholernym wulkanem i całą resztą?

Marty podchodzi do krawędzi bezkresnego pola skamieniałej lawy i wtyka metalowy kij numer pięć między dwie wysokie skały.

- O co wam chodzi? Dlaczego tu przyjechaliśmy? - oburza się. - To najnowszy ośrodek na Hawajach. Wielka impreza samego Trumbo... - Taak... - śmieje się Tommy. - Popatrzcie tylko, co Big T ma z tego wszystkiego.

- Dajcie temu spokój - mówi Marty DeVries. - Pomóżcie mi lepiej znaleźć moją piłkę. - Wchodzi między dwa czarne głązy wielkości postawionego na sztorc volkswagena. Ziemia pokryta jest tu przeważnie piaskiem. - Coś ty - protestuje Nick. - Dopisz sobie lepiej parę punktów karnych Marty. Robi się ciemno. Nie widzę nawet własnej ręki, jak ją wyciągnę przed siebie. - Wykrzykuje ostatnie słowa, żeby dotarły przez szum wiatru i fal do Marty'ego, który zagłębia się w skalny labirynt. Piętnasty odcinek biegnie wzdłuż klifowych skał na południe od palmowego gaju, zajmującego większą część terenów ośrodka, a fale rozbijają się wznosząc fontanny bryzgów o niecałe czterdzieści stóp od miejsca, w którym kręci się trójka facetów.

- Hej, tu jest ścieżka aż do samej wody - woła Marty DeVries. - Zdaje się, że widzę moją... nie, to tylko pióro mewy czy coś takiego. - Wylaż stamtąd i pisz te cholerne karne punkty - wrzeszczy Tommy. - Nick i ja nie będziemy tam wchodzić. Te skały są diabelnie ostre. - Taak, wracaj - krzyczy w kierunku czarnych głazów Nick Agajanian. Teraz nie widać już nawet żółtej golfowej czapeczki

Marty'ego. - Ten głupek chyba nas nie słyszy - mówi Tommy. - Zgubimy się tu przez tego zasrańca - narzeka Nick. Wiatr porywa mu czapkę, Nick rzuca się za nią w poprzek szlaku. Dopada jej w końcu, czapka przyklepa się do jednego z wózków.

Tommy Petressio krzywi się z niesmakiem.

- Chyba nie można się zgubić na głupim polu golfowym. Nick wraca, ściskając w ręku czapkę i metalową szóstkę.

- Na takim jak to można, i to jak cholera - wskazuje ręką kija poszarpane skały i tłukące o nie fale przyboju. - W tym skamieniałym owczym łajnie.

Tommy jeszcze raz próbuje przypalić cygaro. Wiatr zdmuchuje płomień zapalniczki.

- Cholera!

- Ja tam nie wejdę - mówi Nick. - Mógłbym sobie złamać nogę.

- Albo mógłby cię ugryźć wąż.

Nick cofa się o krok od brył czarnego wulkanicznego żuźla.

- Na Hawajach nie ma chyba żadnych węży, no nie? Tommy macha lekceważąco ręką.

- Tylko boa dusiciele. I kobry... cała masa.

- Chrzanisz - w głosie Nicka pobrzmiewa niepewność. - Nie widziałeś dziś po południu takich małych, łasiczkowatych zwierzątek w kwiatkach? Marty powiedział, że to mangusty.

- Naprawdę? - Nick ogląda się przez ramię. Ostatnie odblaski zmierzchu utonęły już w mrokach nocy. Daleko nad oceanem widać połyskujące gwiazdy. Światła hotelu wydają się bardzo odległe. Ciągący się ku południowi brzeg okrywają ciemności. Po stronie północno-zachodniej widać blade odblaski wulkanu. - Nie zalewasz?

- Wiesz, czym żywią się mangusty?

- Jagodami i gównem? Tommy kręci przecząco głową.

- Wężami. A najczęściej kobrą.

- Chodźmy już stąd, do diabła - mówi Nick, ale zaraz przystaje w miejscu. - Czeka, czeka, zdaje się, że widziałem coś takiego na sznurku. Te łasicowate... - Mangusty.

- Niech im będzie. Oglądałem je w Indiach. Masz pojęcie, turyści płacą tam za to, żeby popatrzeć jak one żrą kobrę, i to na rogu ulicy czy gdzie popadnie. Tommy kiwa ze zrozumieniem głową.

- Wężę tak się tu rozpleniły, że Trumbo i inni inwestorzy zaczęli sprowadzać na wyspę mangusty, i to tysiącami. Gdyby ich nie było, budziłbyś się rano z boa dusicielem owiniętym dookoła kostek u nóg i kobrą wgryzającą ci się w palanta. - Chyba ci się w mózgu zagnieździły skowronki - mówi Nick, ale przezornie robi krok w kierunku wózka.

Tommy potrząsa głową i chowa cygaro do kieszonki na piersiach. - To jest naprawdę bez sensu. Za ciemno, żeby dokończyć partię. Gdybyśmy pojechali jak zawsze do Miami, mielibyśmy pole oświetlone przez całą noc. A zamiast tego sterczymy tutaj, w samym środku tego... - wskazuje pogardliwym ruchem ręki na zwały zastygłej lawy i ciemny zarys wulkanu w oddali. - W samym środku pieprzonego siedliska węży - kończy Nick sadowiac się w wózku. Wsuwa swoją szóstkę do torby. - Jestem za tym, żeby skończyć z tą pieprzoną zabawą, pojechać do hotelu i poszukać jakiegoś baru. - Ja też - zgadza się Tommy i rusza powoli w kierunku swojego wózka. - Jeżeli Marty nie wróci do rana, pomyślimy, komu by o tym powiedzieć. Wtedy rozlega się krzyk.

Marty DeVries zagłębił się w przejście, które wydawało mu się piaszczystą, porośniętą karłowatą

trawą ścieżką wijącą się między głazami z a 'a i bryłami wulkanicznego żuźla. Był pewien, że jego piłka musiała polecieć gdzieś tutaj. Gdyby zobaczył ją na tym cholernym piachu, mógłby wybić ją stąd na pole i jeszcze zachować twarz w tej cholernej partii. Do diabła, gdyby nie leżała na piasku, mógłby ją na nim położyć, a potem wybić uderzeniem kija. A nawet, palicho, wcale nie musiałby jej wybijać, zamachnąłby się i po prostu ją rzucił... Nick i Tommy byli zbyt leniwi, żeby wchodzić tu za nim, więc zobaczyliby tylko doskonale wybitą piłkę, wylatującą z tego wulkanicznego gówna i spadającą dokładnie na środek szlaku. Stamtąd już można było wbić ją do dołka jednym łatwym uderzeniem. Marty pokazał przecież, że ma całkiem dobrą rękę, kiedy startował w pucharowych zawodach w Newark.

Rozmyślając o tym uświadomił sobie nagle, że przecież, do wszystkich diabłów, wcale nie musi szukać tej przeklętej piłki. Sięgnął do kieszeni i wyjął Wilsona Pro Sport, taką samą, jakiej użył w tej partii. A potem odwrócił się, żeby odrzucić ją na pole.

Ale gdzie ono jest, to piekielne pole?

Całkiem się pogubił wśród bezładnie rozrzuconych głazów. Zobaczył, że niebo usiane jest gwiazdami. Ale „ścieżki”, którą tu schodził, nie było już widać tak wyraźnie - piaszczyste dróżki prowadziły we wszystkie strony. Znalazł się w samym środku jakiegoś cholernego labiryntu.

- Hej! - zawołał. Gdyby Tommy albo Nick odkrzyknęli, mógłby rzucić piłkę w ich kierunku.

Nie było odpowiedzi.

- Hej, przestańcie się wygłupiać, gnojki. - Marty zdał sobie sprawę, że zbliżył się trochę do nadbrzeżnych urwisk; łoskot przyboju był tu o wiele głośniejszy. Ci idioci prawdopodobnie nie słyszeli jego głosu z powodu tego kretyńskiego wiatru i kretyńskich fal, tłukących o kretyńskie skały. Zaczął żałować, że nie pojechali jak zwykle do Miami. - Heej! - krzyknął znowu, ale głos brzmiał zbyt słabo nawet w jego własnych uszach. Wulkaniczne głazy sterczały tu w górę na cztery albo i więcej metrów, a ich szklista powierzchnia połyskiwała cholerną pomarańczową poświatą od wulkanu. Agentka z biura podróży mówiła im wprawdzie o czynnym wulkanie, ale wyjaśniła też, że znajduje się on daleko od południowego brzegu wyspy i nie stanowi żadnego zagrożenia. Dodała, że z powodu tej niewielkiej erupcji ludzie pędzą całymi gromadami na wyspę, i że robią tak zawsze, jak tylko wulkan ożywa choć trochę. Powiedziała też, że hawajskie wulkany to tylko takie ładne fajerwerki, które nigdy nie wyrządziły nikomu żadnej krzywdy.

Więc dlaczego ten przeklęty ośrodek Trumba w Mauna Pele jest tak cholernie pusty? - pomyślał Marty. Nie tracił jednak nadziei, że koledzy usłyszą go w końcu.

- Hej! - krzyknął znowu.

Na lewo od niego rozległ się jakiś dźwięk. Bliżej nadbrzeżnych klifów. Coś jakby jęk.

- Przeklęte głupki - mruknął Marty pod nosem. Jeden z tych błaznów, albo może obaj weszli szukając go między te głazy i pokaleczyli się. Prawdopodobnie któryś skreślił albo złamał nogę. Marty miał nadzieję, że przytrafiło się to Nickowi: wolał grać z Tommym i byłoby mu przykro spędzić resztę urlopu na przyglądaniu się, jak Nick wygrzebuje się z piaszczystych pułapek.

Jęk zabrzmiał jeszcze raz, tak cichy, że ledwo można było go usłyszeć poprzez szum wiatru i łoskot fal.

- Idę! - krzyknął Marty, schował piłkę z powrotem do kieszeni i ruszył ostrożnie po lekkiej pochyłości między głazami, podpierając się okutym kijem jak laską.

Zajął mu to więcej czasu niż myślał. Którykolwiek z tych kretynów znalazł aż tu, żeby sobie zrobić coś złego, musiał naprawdę całkiem stracić orientację. Marty miał nadzieję, że nie będzie musiał

dźwigać głupiego zasrańca na górę. Jęk dał się słyszeć znowu. Tym razem zakończył się czymś w rodzaju świszczącego westchnienia.

A jeśli to nie jest Nick ani Tommy? - pomyślał nagle Marty. Przeleciało mu przez głowę, że wcale mu się nie uśmiecha wyprowadzanie stąd jakiegoś nieszczęśnika, który nie umie znaleźć drogi w skałkach. Przyjechał na tę cholerną wyspę pograć w golfa, a nie udawać dobrego Samarytanina. Gdyby się okazało, że to ktoś miejscowy albo jakiś inny typek, powiedziałby mu, żeby się niczym nie przejmował i ruszyłby z powrotem, prościutko do hotelowego baru. Przeklęty ośrodek był prawie zupełnie pusty, ale chyba znajdzie się tam ktoś, kogo można by wysłać po głupka, który zrobił sobie coś złego.

Świszczące westchnienie odezwało się znowu.

- Już niedaleko - mruknął Marty. Poczul na twarzy niesione z wiatrem kropelki morskiej wody. Klifowe skały muszą być gdzieś tutaj, całkiem blisko. Urwiska nie są tu wysokie, wznoszą się najwyżej o jakieś siedem metrów nad wodą. Ale lepiej uważać. Gwiazdy pochowały się w chmurach. Żeby do reszty schrzanić sobie ten urlop, potrzebował tylko zwalić się z klifu głową w dół prościutko do cholernego Pacyfiku. - Idę, idę! - rzucił szorstko, kiedy pojękiwanie dało się słyszeć znowu. Dochodziło zza najbliższego czarnego głazu. Wszedł na niewielką, otwartą przestrzeń między głazami a 'a i zatrzymał się. Ktoś leżał na piasku. Nie był to Nick ani Tommy. A tak w ogóle... nie był to żywy człowiek, ale ciało. Marty widywał już umarłaków i nie miał wątpliwości, że ma przed sobą zwłoki. Więc jeśli ktoś tu jęczał, to na pewno nie ten truposz.

Leżąca postać była prawie całkiem naga, miała tylko coś w rodzaju mokrej przepaski na biodrach. Marty podszedł bliżej i stwierdził, że to mężczyzna -

niski i krępy, z dobrze rozwiniętymi mięśniami łydek, jak u biegacza. Wyglądał tak, jakby leżał tu już od jakiegoś czasu: miał nienaturalnie zbielełą skórę, łuszczącą się od początków rozkładu, a jego palce wyglądały jak białe robaki, gotowe w każdej chwili wkręcić się znowu w piasek. Za tym, że jęki nie pochodziły od tego faceta, przemawiało jeszcze parę innych rzeczy: w długie włosy mężczyzny wplątane były wodorosty, w jednym oku, widocznym pod uniesioną powieką, odbijały się gwiazdy niczym w kawałku szkła, po drugim zaś został tylko pusty oczodół, a z otwartych ust leżącego wyłaził właśnie mały krab.

Marty poczuł, że zaraz zwymiotuje, ale zapanował nad sobą i podszedł bliżej, wyciągając przed siebie metalowy kij. W nozdrza uderzył go odór, obrzydliwa mieszanina zapachu morza i rozkładającego się ciała. Fale oceanu musiały wyrzucić je aż tu, bo trup leżał na jednej z tych niskich, ostrych magmowych skał, które wyglądają jak małe stalaktyty czy stalagmity, czort jeden wie, jak je nazwać.

Dotknął zwłok końcem kija. Trup zakołysał się lekko, jakby unosiły go morskie fale.

- Jezu! - szepnął Marty. Odniósł wrażenie, że leżące przednim zwłoki należą do garbatego karła. Chociaż kręgosłup faceta był pogruchotany i skrzywiony od uderzeń o skały już po śmierci, gość miał garb jak sam cholerny Quasimodo. A na garbie widać było niesamowity tatuaż.

Marty pochylił się i wsparł mocniej na kiju, próbując powstrzymać torsje. Wytatuowane szczęki rekina zajmowały całe wybrzuszenie między łopatkami i ginęły gdzieś pod pachami. Rysunek był naprawdę przedziwny, prawie trójwymiarowy; ten, kto go wykonał, użył czarnego jak smoła tuszu do wyrysowania otwartej paszczy rekina, a jego zęby wypełnił białym kolorem.

Chyba krajowiec, pomyślał Marty. Postanowił wrócić z Nickiem i Tommym do hotelu, golnąć sobie parę szklaneczek szkockiej whisky, a potem powiedzieć komuś z obsługi, że jakiś miejscowy

wyleciał z żaglowej łodzi. Dodałby też, że nie ma pośpiechu, bo facet nigdzie nie ucieknie.

Wyprostował się i szturchnął garb kijem, a potem przesunął jego koniec, aż prześliznął się ku wyrysowanej czarnym tuszem paszczy. Główka kija zapadła się do środka.

- Ki czort? - rzucił Marty i pociągnął kij z powrotem. Ale nie zdążył - szczęki rekina zacisnęły się na główce. Marty usłyszał kłapanięcie ostrych zębów uderzających o węglowe włókno.

Popełnił błąd, tracąc kilka cennych sekund na wyszarpywanie kija - dostał go w prezencie od Shirley, swojej obecnej dziewczyny - ale w chwilę potem zdał sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Poczuł, że przegrywa w tym osobliwym przeciąganiu liny, puścił więc rękę, jakby trzymał w ręku rozpalony pogrzechacz, i rzucił się do ucieczki.

Nie zrobił nawet trzech kroków, kiedy powstrzymały go cienie poruszające się między skałami.

- Tommy? - szepnął. - Nick? - Ale rzucając w ciemność te pytania wiedział już, że to nie jest żaden z jego przyjaciół.

Cienie wśliznęły się na piasek między głazami.

Nie będę krzyczał, pomyślał, czując jak cała odwaga opuszcza go wraz ze strumieniem uryny, spływającej nogawką spodnek. Nie będę krzyczał. Nie ma żadnego prawdziwego zagrożenia. To jakiś głupi żart, jak wtedy, gdy Tommy zjawił się na moich urodzinach przebrany za gliniarza. Nie będę krzyczał. Z otwartymi ustami i ściśniętym gardłem zrobił ostrożnie krok do tyłu. Szczęki rekina zamknęły się na kostce jego nogi.

Z gardła wyrwał mu się przeraźliwy wrzask.

Kiedy rozlegają się krzyki, Tommy i Nick są już przy swoich golfowych wózkach. Zatrzymują się i zaczynają nasłuchiwać. Szum wiatru i łoskot fal jest tak głośny, że wołanie musi być naprawdę potężne, aby przedrzeć się przez te hałasy. Tommy odwraca się do Nicka.

- Cholera, pewnie złamał sobie nogę.

Nick siedzi już w wózku. Jego twarz, osłonięta od wulkanicznej poświaty, jest całkiem biała.

- Albo wlaź na węża.

Tommy wyciąga z kieszonki zgasłe cygaro i ścisza je w zębach. - Nieprawda, na Hawajach nie ma węży. Nabierałem cię tylko. Nick zerka w jego kierunku.

Tommy wzdycha i rusza w kierunku skalnego labiryntu.

- Ejże! - woła za nim Nick. - Masz zamiar wdepnąć w owcze gówno?

Tommy zatrzymuje się na samej krawędzi wulkanicznego pola.

- A co proponujesz? Mamy go tak zostawić? Nick zastanawia się przez chwilę.

- Może pojedziemy po jakąś pomoc? Tommy krzywi się niechętnie. - Taak, a potem wrócimy i nie znajdziemy go w ciemnościach. I co, polecimy do domu i powiemy Connie i Shirley, że zostawiliśmy Marty'ego, żeby tu zdechł? Chyba nie. A poza tym, głupi gnojek prawdopodobnie rąbnął się tylko nogą o jakiś kamień.

Nick kiwa potakująco głową, ale nie rusza się z miejsca.

- Więc jak, idziesz? Czy masz zamiar tu siedzieć, żeby Marty miał cię do końca twojego marnego żywota za zwykłego tchórza?

Nick myśli przez dobrą minutę, wreszcie kiwa głową i wychodzi z wózka. Rusza w kierunku wulkanicznych skałek, potem wraca do wózka, wyciąga kij i podchodzi po ciemnej trawie do Tommy'ego.

- Po cholere ci to?

- Sam nie wiem - mówi Nick. - Może ktoś tam jest? Dochodzące z wulkanicznego pola krzyki cichną.

- Tak, tam jest Marty.

- Miałem na myśli kogoś innego - mówi Nick. Tommy kręci pogardliwie głową. - Posłuchaj, to nie Newark, tylko Hawaje. Nie ma mowy, żeby był tam ktoś, komu nie dalibyśmy rady. - Wchodzi między skały, wypatrując niewyraźnych śladów pozostawionych na piasku przez golfowe buty Marty'ego. Krzyki odzywają się znowu. Tym razem słyhać dwa głosy, ale na polu golfowym nie ma nikogo, kto mógłby je usłyszeć. Budynki kąpieliska to tylko odległe światełka, migocące za zasłoną rozdygotanych na wietrze palmowych liści. W porowatych głazach a 'a gwizdże wiatr. Rosnące fale przyboju z łoskotem rozbijają się o niewidoczne nadbrzeżne skały.

Po chwili krzyki cichną i tylko wiatr i fale napełniają noc hukiem, przypominającym głosy zjaw, zwiastujących śmierć.

Rozdział drugi

Sławne są dzieci Hawajów;

Pozostają wierne tej ziemi

Kiedy posłaniec o złym sercu

Więści przybycie chciwych intruzów.

Ellen Wright Pendergast Mele'ai Pohaku (Pieśń o Połykaniu Kamieni)

Nad Central Parkiem prószył śnieg. Z pięćdziesiątego drugiego piętra wieży ze stali, szkła i kamienia Byron Trumbo patrzył, jak daleko w dole biały puch otula czarne kikuty gałęzi drzew na Owczej Łące.

Próbował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni spacerował po parku. Lata temu. Prawdopodobnie zanim zarobił pierwszy miliard. A może nawet jeszcze przed zarobieniem pierwszego miliona. Tak, przypomniawszy sobie wreszcie; było to czternaście lat temu. Miał dwadzieścia cztery lata. Właśnie - pewny siebie - przybył do miasta ze swojej świetnie prosperującej firmy w Indianapolis, gotów wziąć Nowy Jork szturmem. Pamiętał, jak spoglądał na górujące nad Central Parkiem wieżowce i zastanawiał się, w którym z nich będzie miał swoje biura. Tamtego wiosennego dnia nie przeczuwał nawet, że zbuduje własny pięćdziesięcioczeropiętrowy drapacz chmur i zajmie w nim cztery najwyższe kondygnacje na kompleks biur i rezydencję na samym szczycie. Znanicy architektury mówili o wyniosłej budowli Trumba „faliczne monstrum”. Wszyscy inni nazywali ją po prostu „Big T”. Niektórzy próbowali określać ją nazwą „Wieża Trumba”, ale za bardzo przypominało to „wieżowce Donalda Trampa”, więc Byron Trumbo prędko i skutecznie zniechęcił ich do tego. Nienawidził Donalda Trampa i starał się unikać jakichkolwiek skojarzeń z tym facetem. Zresztą nazwa „Big T” najlepiej oddawała wygląd strzelistego gmachu z charakterystycznymi, wystającymi poza obrys budynku pięcioma ostatnimi piętrami. Stalowo-szklana konstrukcja tej nadbudowy powinna była według Trumba przypominać kapitański mostek najwyższego statku na świecie. W dodatku Byron Trambo od trzynastego roku życia nosił przydomek Big T. W tej chwili pedałowal na treningowym rowerze, ustawionym w samym rogu, dokładnie w miejscu, w którym spotykały się pod ostrym kątem dwie ściany, od podłogi po sufit ze szkła. Trambo czuł się jak na małym, komfortowym wysięgniku pięćdziesiąt dwa piętra nad Piątą Aleją i parkiem. Tuż za szklaną ścianą tańczyły białe płatki, unoszone w górę prądami powietrza, sunącymi przy powierzchni budynku. Sypał tak gęsty śnieg, że Trambo z trudem odróżniał ciemne zarysy gmachu Dakota w zachodniej części parku. Po chwili nie patrzył już w tamtą stronę. Z opuszczoną głową i słuchawkami telefonu na uszach, w przerwach na zaczerpnięcie oddechu rzucał uwagi do małego mikrofonu, pedałowując wciąż zaciekle. Jego bawełniana koszulka była przemoczona od potu na potężnej piersi i między łopatkami.

- Co masz na myśli mówiąc, że zaginęło jeszcze trzech gości? -warknął.

- Dokładnie to, że zaginęło jeszcze trzech gości z hotelu - w głosie Stephena Ridella Cartera, dyrektora należącego do Trumba rekreacyjnego ośrodka Manua Pele na największej hawajskiej wyspie, można było wyczuć znużenie. Była ósma trzydzieści rano w Nowym Jorku, wpół do czwartej w nocy na Hawajach. - Chrzanisz - powiedział Trumbo. - Skąd wiesz, że zaginęli? Może po prostu łążą po okolicy.

- Nie wymeldowali się - odpowiedział Carter. - Nasz człowiek pilnuje bramy przez dwadzieścia

cztery godziny na dobę.

- Więc może są gdzieś na terenie, w jakimś, jak wy to tam nazywacie, hale? W którymś z tych szałasów z trawy. Pomyślałeś o tym? W słuchawce odezwały się ciche trzaski, które można było wziąć za westchnienie.

- Panie Trumbo, ci trzej faceci wyszli przed wieczorem na partię golfa. Dokładnie o zmierzchu. Kiedy nie wrócili do dziesiątej, nasi chłopcy poszli tam i znaleźli ich wózki golfowe koło czternastego dołka. Nie brakowało też kijów. Niektóre były w wózkach, inne leżały między głazami koło klifów. - Chrzanisz - powtórzył Byron Trumbo. Przywołał ruchem ręki Willa Bryanta i dał mu znak, żeby podniósł słuchawkę drugiego telefonu. Sekretarz kiwnął głową i poszedł po dodatkowy aparat z długim kablem. - Ale inni nie zaginęli chyba koło pola golfowego?

- Nie - odparł zmęczonym głosem Carter. - Dwie kobiety z Kalifornii, które przepadły w listopadzie zeszłego roku, widziano po raz ostatni na ścieżce joggingowej, w miejscu, gdzie przecina ona teren z naskalnymi napisami. Rodzina Meyersów, rodzice i ich czteroletnia córeczka, spacerowali po zmierzchu koło basenu z płaszczkami. Kucharz Polikapu wracał do domu wzdłuż klifów na południe od pola golfowego.

Will Bryant rozcapierzył pięć palców wolnej ręki i jeszcze cztery dłoni podtrzymującej telefon.

- Tak, to już dziewięcioro - potwierdził Trumbo.

- Słucham pana? - zapytał Stephen Ridell Carter. - Nic, nic - powiedział Trumbo. - Słuchaj, Steve, musisz utrzymać to przez parę dni w tajemnicy przed dziennikarzami.

W słuchawce ozwało się niedowierzające chrząknięcie.

- Utrzymać to w tajemnicy przed dziennikarzami? Panie Trumbo, jak mam to zrobić? Oni są w kontakcie z glinami. Z policją stanową, z miejscowym wydziałem zabójstw w Kailua-Kona, będziemy też mieli znowu na karku Fletchera... to ten gość z FBI. I to z samego rana, jak tylko złożymy zawiadomienie.

- Nie składaj żadnego zawiadomienia. - Trumbo przestał wreszcie kręcić pedałami i oddychał teraz głęboko. Wokół budynku zaczęły się kłębić chmury. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Panie Trumbo, to by było niezgodne z prawem - odezwał się w końcu Carter. Byron Trumbo zasłonił spoconą dłonią mikrofon i spojrzał ukosem na Willa Bryanta.

- Kto przyjmował tego palanta?

- Pan, osobiście - odparł Will.

- Wywalę go na zbity pysk - rzucił Trumbo, a potem zdjął rękę z mikrofonu. - Steve, słuchasz mnie?

- Tak, proszę pana.

- Wiesz o jutrzejszym spotkaniu w San Francisco z grupą Sato?

- Tak, proszę pana.

- Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo zależy mi na pozbyciu się tego cholernego ciężaru, zanim utopimy połowę naszego kapitału, żeby go podtrzymać? - Tak, panie Trumbo.

- I wiesz, co to za idioci, ten Sato i jego inwestorzy? Carter nie odpowiedział ani słowem.

- W latach osiemdziesiątych ci faceci stracili połowę swojej forsy wykupując Los Angeles - powiedział Trumbo - a teraz gotowi są wsadzić drugą połowę w Mauna Pele i inne przegrane interesy na Hawajach. Ale rozumiesz, Steve... jesteś tam? - Tak, proszę pana, słucham.

- Mogą być głupi, ale na pewno nie głusi i nie ślepi. Od ostatniego zaginięcia minęły trzy miesiące, mogli więc pomyśleć, że cała ta afera to już przeszłość. Przecież siedzi ten hawajski separatysta... jak on się nazywał? - Jimmy Kahekili - powiedział Carter. - Nie miał na kaucję i trzymają go ciągle w areszcie w Hilo, więc to nie mogła być jego... - Wszystko mi jedno - przerwał mu Trumbo - byle tylko żółtki myślały, że morderca jest pod kluczem. Wszystkie te Japonce strasznie trzęsą portkami, Steve. Turyści stamtąd boją się przyjechać do Los Angeles, boją się przyjechać do Miami, a nawet tu, do Nowego Jorku... cholera, boją się postawić nogę prawie w całych Stanach.

Ale nie na Hawajach. Im się zdaje, że na Hawajach nie ma rewolwerów, a skoro pół archipelagu jest w ich rękach, nie ma też natłoku zwariowanych Amerykanów. W każdym razie chciałbym, żeby Sato i jego kumple myśleli, że mordercą był ten Jimmy Kaheka czy jak mu tam, i że problem się skończył, finito. Przynajmniej do czasu zakończenia negocjacji. Potrzebuję trzech dni, Steve. Może czterech. Chyba nie żądam zbyt wiele? Zaległa cisza.

- Jesteś tam, Steve?

- Panie Trumbo - odezwał się zmęczony głos - wie pan, jak po tych zaginięciach trudno jest utrzymać miej scowych pracowników? Musimy dowozić ludzi aż z Hilo, a teraz, odkąd wulkan...

- Hej - przerwał mu Trumbo - chodzi ci o to, że wulkan powinien przyciągnąć nam gości, zgadza się? Doszliśmy zdaje się do takiego wniosku. Więc gdzie oni są, ci cholerni turyści, odkąd wulkan wyczynia te swoje cuda? - ... odkąd wulkan odciął drogę numerjedenaście, musimy sprowadzać sezonową pomoc aż z Waimea - ciągnął Carter. - Chłopcy, którzy znaleźli wózki golfowe, powiedzieli już o tym swoim kolegom. Nawet gdybym złamał prawo i nie złożył zawiadomienia, nie ma sposobu, żebyśmy utrzymali to w całkowitej taj emnicy. Zaginieni mężczyźni mają rodziny, przyjaciół... Trumbo tak mocno ścisnął rączkę treningowego roweru, że knykcie zrobiły się zupełnie białe.

- Najak długo te dupki... znaczy się, ci goście zameldowali się u was, Steve?

- Na siedem dni - odparł po chwili Carter.

- A ile czasu spędzili w hotelu przed zniknięciem?

- Przyjechali tego popołudnia... to znaczy, wczoraj.

- Więc przez sześć dni nikt nie będzie się spodziewał ich powrotu.

- Na to wygląda, proszę pana, ale...

- Daj mi trzy z tych sześciu dni, Steve. Zrobisz to? W słuchawce rozległy się jakieś trzaski.

- Panie Trumbo, nie mogę obiecać panu więcej niż dwadzieścia cztery godziny. Moglibyśmy tłumaczyć się, że prowadziliśmy nasze wewnętrzne poszukiwania, żeby się upewnić, czy ci ludzie rzeczywiście zaginęli, ale potem... będziemy mieć do czynienia z FBI, proszę pana. A oni nie byli zbyt zachwyceni naszą współpracą przy poprzednich zniknięciach. Myślę, że powinniśmy...

- Zaczekaj chwilę - powiedział Trumbo. Wyłączył mikrofon przyciskiem na uchwycie umocowanym do paska od spodni i odwrócił się do Bryanta. - Will?

Sekretarz wyłączył swój telefon.

- Myślę, że on ma rację - powiedział. - Żeby nie wiem co zrobił, gliny i tak położą na tym łapę w ciągu jednego albo dwóch dni. Gdyby wyglądało na to, że coś ukrywamy, hmm... mogłoby być gorąco. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Byron Trumbo kiwnął głową i powiódł wzrokiem po parku. Łąki okrywały się stopniowo śnieżnym całunem. Jeziorko wyglądało z góry jak biała płachta. Kiedy Trumbo uniósł znowu głowę, po jego twarzy błąkał się niewyraźny uśmiezek. - Will, jaki

mamy program na najbliższych parę dni? Bryant nie musiał zaglądać nawet do notesu.

- Grupa Sato wylądzuje w San Francisco dziś późnym wieczorem. Pan ma się z nimi spotkać w naszym biurze na Zachodnim Wybrzeżu jutro, żeby rozpocząć negocjacje. Kiedy będziemy mieli to za sobą i dojdziemy do porozumienia, Sato zamierza zabrać swoich inwestorów do Mauna Pele, żeby przed powrotem do Tokio pograć parę dni w golfa.

Trumbo uśmiechnął się szerzej.

- Nie wystartowali jeszcze z Tokio? Will zerknął na zegarek.

- Nie, proszę pana.

- Ktoz nim jest? Bobby?

- Tak, Bobby Tanaka. To nasz najlepszy człowiek do tej roli, zarówno ze względu na znajomość japońskiego, jak i na umiejętność negocjowania z takim młodym miliarderem jak Sato.

Trumbo potrząsnął niecierpliwie głową.

- Okay, wiem już, co zrobimy. Zadzwoń do Bobby'ego i powiedz mu, że spotkanie zostało przeniesione do Mauna Pele. Tam przeprowadzimy negocjacje, a jednocześnie umożliwimy im pogranie sobie w golfa. Will poprawił krawat. W przeciwieństwie do szefa, który rzadko wkładał garnitur, Bryant miał na sobie przepisowe ubranie od Armaniego. - Zdaje się, że rozumiem...

- Ja myślę - Trumbo wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Gdzie możemy najlepiej kontrolować rozwój wypadków? Tylko tam, na miejscu.

Will Bryant zawahał się.

- Ale Japończycy nie lubią zmian w ustalonych programach... Trumbo zeskoczył z roweru, podszedł energicznym krokiem do wieszaka przy biurku, sięgnął po ręcznik i otarł spocone czoło. - Pieprzę ich przyzwyczajenia. Poza tym... eee... budzi się wulkan na wyspie, zgadza się?

- Oba wulkany, o ile mi wiadomo - powiedział Will. - Minęło kilkadziesiąt lat, odkąd...

- Tak - przerwał mu Trumbo. - To się może już nie powtórzyć za naszego życia, czy nie tak właśnie powiedział ten nasz połykacz lawy, Hastings? - Włączył ponownie mikrofon. - Steve, chłopcze, jesteś tam jeszcze? - Tak, proszę pana - potwierdził Stephen Ridell Carter, który był o piętnaście lat starszy od Byrona Trumbo.

- Posłuchaj, dasz nam dwadzieścia cztery godziny. Przeprowadź wewnętrzne dochodzenie, sprawdź wszystko od góry do dołu i zrób co trzeba, żeby cały teren dobrze wyglądał. A potem wezwij gliny. Ale zanim pozwolisz, żeby całe to gówno wpadło do wentylatora, daj nam spokojną dobę, okay? - Tak, proszę pana. - Carter powiedział to zupełnie bez entuzjazmu. - Odkurz prezydencki apartament i mój prywatny domek - powiedział Trumbo. - Będę tam dziś wieczorem, a mniej więcej w tym samym czasie zjawi się Sato i jego grupa.

- Tutaj, proszę pana? - Głos Cartera brzmiał tak, jakby ktoś gwałtownie go przebudził.

- Tak, Steve, u ciebie. Jeżeli nadal chcesz zainkasować swój jeden procent od tej transakcji, żeby nie wspomnieć o porządnej odprawie, staraj się, podczas gdy my będziemy podziwiać wulkan i ubijać interes, utrzymywać wszystkie sprawy tak czyściutko, spokojnie i normalnie, jak tylko potrafisz. A potem, kiedy nasi prawnicy postawią już ostatnią kropkę nad i, niech sobie ci pieprzeni mordercy latają z siekierą nawet i za moimi Japończykami, nic mnie to nie obchodzi. Ale nie wcześniej, comprendel - Tak, proszę pana - odparł chłodno Carter - ale niech pan pamięta, panie Trumbo, że mamy tu tylko dwa tuziny gości. Krążyły takie plotki... To znaczy, ludzie Sato na pewno zauważą, że przeszło pięćset pokoi i hale świeci pustkami. Chcę powiedzieć, że...

- Powiemy im, że opróżniliśmy hotel i szalasy na ich cześć - powiedział Trumbo. -

Zapewnimy, że nie mogliśmy pozbawić ich przyjemności obejrzenia tego pieprzonego wulkanu. Wszystko jedno, co im powiemy, bylebyśmy tylko sprzedali tę cholerną nieruchomość. Zrób co trzeba, Steve, żeby wszystko było w porządku, jak tam przyjeździemy. - Tak, proszę pana, ale myślę, że... Trumbo wyłączył telefon. - Will, za dwadzieścia minut helikopter ma być na dachu. Zadzwoń na lotnisko i każ przygotować gulfstreama, żeby mógł wystartować, jak tylko przyjadę. Postaw na nogi Bobby'ego i powiedz mu, że jego zadaniem jest nakłonienie grupy Sato do przylotu na Hawaje. Ma to zrobić tak, żeby przyjęli to z zadowoleniem. Na koniec zadzwoń do Mayi... nie, sam do niej zadzwonię, a ty zadzwoń do Bicki i powiedz jej, że musiałem wyjechać na parę dni. Nie mów dokąd. Daj jej drugiego gulfstreama, niech ją zawiezie na Antiguę, do naszego domu. Powiedz, że dołączę do niej, jak tylko się z tym załatwię... a z czym, to już musisz sam wymyślić. No i... cholera, gdzie jest teraz Cait?

- Tu, w Nowym Jorku, proszę pana. Konferuje ze swoimi adwokatami. Trumbo mruknął pod nosem przekleństwo i przez drzwi znajdujące się za biurkiem wszedł do wyłożonej marmurem łazienki. Zewnętrzna szklana ściana, przy której zamontowany był prysznic, wychodziła na park. Ściągnął szorty, koszulkę i odkręcił wodę.

- Pieprzej adwokatów. I jęteż. Zrób wszystko, żeby nie wywahała, gdzie jestem i gdzie jest Maya, okay?

Will skinął głową i wszedł za bossem do łazienki.

- Panie Trumbo, ten wulkan naprawdę się budzi.

Trumbo wystawił głowę i owłosione ramiona poza strumień wody.

- Co?

- Powiedziałem, że ten wulkan wyczynia dziwne rzeczy. Doktor Hastings twierdzi, że południowy wylot nie wykazywał od lat dwudziestych tak dużej sejsmicznej aktywności... obecne wstrząsy mogą się okazać najsilniejsze w całym stuleciu. Trumbo wzruszył ramionami i wrócił pod prysznic. -

Tak? - zawołał. - Myślałem, że dymek z wulkanu przyciągnie nam kupę ciekawskich turystów.

- Tak, ale mamy kłopot z... Trumbo nie słuchał go.

- Pogadam z Hastingsem w czasie lotu - krzyknął zza wodnej zasłony. - Zadzwoń do

Bicki. Powiedz Jasonowi, żeby za pięć minut miał gotowy mój hawajski ekwipunek i poinformuj Briggsa, że poleci ze mną sam.

Nie chcę zabierać zbyt wielu ochroniarzy na te rozmowy z Japończykami.

- Dobrze by było... - zaczął Will.

- No, rusz się, Will - ponaglił Byron Trumbo. Stojąc ciągle pod strumieniem wody oparł ciężkie łapska o ociekającą ścianę i spojrzał w dół, w kierunku parku. - Sprzedamy ten beznadziejny interes paczce najgłupszych Japończyków, jacy pojawili się w ich kraju od czasu generałów, którzy namówili Hirohito, żeby zbombardował Pearl Harbour... Ten kapitał pozwoli nam stanąć znowu na nogi - dodał. Odwrócił się i spojrzał przez wodną kurtynę na asystenta. Woda ściekała niczym ślina z jego grubych warg. - Do roboty, Will. Asystent wyszedł bez słowa.

Rozdział trzeci

*Marzyłem zawsze, aby los obdarzył mnie tą łaską
i pozwolił mi osiąść na stałe
na Wyspach Sandwich, hen, daleko,
na którejś z gór spoglądających
z wysoka na morze.*

Mark Twain

Zapytana kiedyś przez Eleanor Perry, dlaczego odmawia lotu samolotem, jej siedemdziesięciodwuletnia wówczas ciocia Beanie, która dziś, mimo dziewięćdziesięciu sześciu lat na karku, nadal prowadziła samodzielne życie, wyciągnęła książkę o dziejach handlu żywym towarem i pokazała jej rysunek, przedstawiający niewolników stłoczonych między pokładami statku, gdzie było nie więcej niż dziewięćdziesiąt centymetrów od podłogi do sufitu. - Widzisz, jak leżą głowy przy głowie, przykuci łańcuchami, tarzający się we własnych brudach w czasie długiej drogi? - zapytała ciocia Beanie wskazując ręką, która już wtedy była koścista i usiana starczymi plamkami. Jeszcze w dzieciństwie widok takich rąk przywodził Eleanor na myśl zupełnie w proszku Campbella.

Tamtego dnia, dwadzieścia cztery lata temu, Eleanor, której minął właśnie dwudziesty pierwszy rok życia i która dopiero co ukończyła college Oberlin - ten sam, w którym teraz wykładała - popatrzyła na rysunek niewolniczego statku z afrykańskimi Murzynami zwalonymi na kupę jak kłody drewna, zmarszczyła nosek i powiedziała:

- Widzę, ciociu Beanie. Ale co to ma wspólnego z twoją odmową lotu na Florydę w odwiedziny do wuja Leonarda?

Ciocia Beanie uniosła podbródek.

- Czy wiesz, dlaczego oni upychali tych czarnuchów jak śledzie w beczce, choć było jasne, że połowa z nich umrze w czasie podróży? Eleanor pokręciła przecząco głową, marszcząc znowu nos na dźwięk słowa „czarnuch”. Wtedy, w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, w którym Eleanor ukończyła szkołę, „politycznie właściwy” termin nie wszedł jeszcze w powszechne użycie, ale tak czy owak, nie należało używać określenia „czarnuch”. Choć Eleanor dobrze wiedziała, że ciocia Beanie jest prawdopodobnie najmniej uprzedzoną osobą, jaką знаła kiedykolwiek, język starszej pani zdradzał, że urodziła się jeszcze w ubiegłym stuleciu.

- Jak śledzie w beczce, ciociu? Dlaczego?

- Dla pieniędzy - powiedziała ciocia Beanie, cofnęła kościstą rękę i zamknęła książkę. - Z chęci zysku. Jeśli wtłoczyli tam sześciuset Afrykańczyków i trzystu z nich umarło, to i tak opłacało im się lepiej, niż gdyby pozwolili czterystu odbyć drogę w warunkach godnych ludzkiej istoty i stracili stu pięćdziesięciu. Dla zysku, zwyczajnie i po prostu.

- Ale ja wciąż nie rozumiem... - zaczęła Eleanor i urwała. Domyśliła się, w czym rzecz. - Ależ ciociu Beanie, samoloty nie są aż tak zatłoczone. Starsza pani nie odpowiedziała, uniosła tylko lekko brwi. - No dobrze, jest w nich trochę tłoczno - przyznała Eleanor - ale lot na Florydę trwa tylko kilka godzin, a gdybyś poprosiła Dicka, żeby zawiózł cię tam samochodem, jazda zajęłaby ci dwa albo trzy dni... - Urwała znowu widząc, że ciocia Beanie kładzie tę swoją kościstą dłoń na książce o handlu niewolnikami, jakby chciała powiedzieć: „Myślisz, że im było tak spiesзно tam, dokąd płynęli?”

Teraz, po dwudziestu czterech latach, Eleanor siedziała w ekonomicznej klasie przeładowanego boeinga 747, ściśnięta między dwoma grubasami w środkowym pasie foteli, ustawionych po pięć obok siebie, i słuchała paplaniny przeszło trzystu osób, stłoczonych za jej plecami. Wyciągała szyję nad oparciem fotela stojącego przed nią, aby zobaczyć cokolwiek na mrugającym ekranie, na którym odtwarzano w czasie lotu kasety z byle jak dobranymi filmami. Uświadomiła sobie, że jeszcze raz musi przyznać rację cioci Banie. Sposób odbywania podróży jest zwykle tak samo ważny jak jej cel.

Ale nie tym razem.

Westchnęła pochylając się niezgrabnie, żeby wyciągnąć podręczną torbę spod siedzenia fotela stojącego na wprost. Pogrzebała w niej, zanim nie znalazła małego, oprawionego w skórę dziennika cioci Kidder, i zaczęła się rozglądać za guzikiem, włączającym nad głową lampkę do czytania. Gruby mężczyzna po prawej stronie sapnął astmatycznie przez sen i położył spoconą rękę na oparciu jej fotela, zmuszając Eleanor do odsunięcia się w kierunku tłuszciocha po lewej. Jej palce tak dobrze знаły dziennik cioci Kidder, że otworzyła go na właściwej stronie nawet nie patrząc.

3 czerwca 1866, na pokładzie „Boomeranga” Miałam wiele wątpliwości co do nieplanowanej wycieczki mającej na celu obejrzenie wulkanu na Hawajach. Mimo perspektywy spędzenia spokojnego tygodnia w gościnnym misyjnym domu państwa Lyman w Honolulu, pozwoliłam sobie mimo to ulec wczoraj przekonaniu, że jest to w moim życiu jedyna okazja ujżenia „żywego wulkanu”, i w taki to sposób dziś rano znalazłam się z bagażami na pokładzie, żegnana przez większość czarujących ludzi, którzy wypełnili mi ostatnie dwa tygodnie beztruskimi i pouczającymi zajęciami. W naszej „paczce” znalazła się starsza panna Lyman, jej bratanek Thomas z boną, panna Adams, pan Gregory Wendt, jeden (ten bardziej ponury) z dwóch wspomnianych przeze mnie bliźniaków Smith, którzy uczęszczali na tańce w Honolulu, wymuskani niczym owinięte w płótno pingwiny, panna Dryton z sierocińca, wielebny Haymark (ale nie ten przystojny młody kapłan, o którym pisałam w moim wcześniejszym liście, tylko starszy, bardziej ociężały duchowny, którego zwyczaj zażywania tabaki i głośnego kichania przy każdej okazji wystarczyłby, żeby mnie zachęcić do samotnego przebywania w kabinie, gdyby tylko nie było tam karaluchów), oraz irytujący młody korespondent gazety z Sacramento, której na moje szczęście nigdy nie czytałam. Dżentelmen ten nazywa się Samuel Clemens, ale o powadze jego pisaniny niech zaświadczą przechwałki, że publikował pod tak „dowcipnym” nom deplume, jak Thomas Jefferson Snodgrass.

Oprócz prostackiego sposobu bycia, zbytnej hałaśliwości i straszliwej pewności siebie, mającej swe źródło w tym, że był on jedynym dziennikarzem na Wyspach Sandwich dwa tygodnie temu, kiedy wylądowali tam rozbitkowie, którzy przeżyli katastrofę klipra „Hornet”, pan Clemens jest do pewnego stopnia człowiekiem nieobliczalnym, a do tego gburem i zarozumialcem. Stara się złagodzić choć trochę swe złe manierey syjąc ustawicznie dowcipami, ale większość jego żartów okazuje się tak samo nieciekawa jak jego obwisłe wąsy. Dziś, kiedy nasz przybrzeżny statek „Boomerang” opuszczał port w Honolulu, pan Clemens chełpił się przed panią Lyman i kilkorgiem z nas, jaką to wspaniałą „bombą” był jego opis trwających czterdzieści trzy dni ciężkich przejść na otwartym morzu, jakie stały się udziałem rozbitków z „Horneta”. Nie mogłam się powstrzymać od wtrącenia kilku pytań opartych na pewnych wiadomościach, jakich udzieliła mi przemiła małżonka wielebnego Patricka Allwyte, która na ochotnika pomagała w szpitalu i zwierzyła mi się, kiedy całe Honolulu szalało na punkcie historii „Horneta”.

- Panie Clemens - przerwałam mu z niewinną miną, przyjmując postawę wielbicielki, wpatrzona w niego szeroko otwartymi oczami - powiedział pan, że rozmawiał z kapitanem Mitchellem i paroma innymi osobami, które się uratowały? - Ależ tak, panno Stewart - odparł rudowłosy korespondent. -

Przeprowadzenie wywiadu z tymi nieszczęśnikami było moim obowiązkiem i zawodową przyjemnością. - I dokonaniem, które może zaważyć na pańskiej dalszej karierze - podsunęłam przesadnie skromnym tonem.

Korespondent odgryzł koniuszek cygara i wypluł go za burtę, jakby znajdował się w szynku. Nie zauważył mrugnięcia pani Lyman, a ja też udałam, że go nie dostrzegam.

- Rzeczywiście, panno Stewart - powiedział ten gryziپیórek - posunę się tak daleko, aby przypuścić, że uczyni to ze mnie najlepiej znanego i najbardziej poważanego człowieka na Zachodnim Wybrzeżu.

Jego uśmiech ma, przyznaję, wiele chłopięcego uroku, choć wedle słów moich informatorów pan Clemens skończył już trzydzieści albo trzydzieści jeden lat... z całą pewnością wyrósł więc z krótkich spodenek. - Rzeczywiście, panie Clemens - powtórzyłam za nim jak echo - jakież to był dla pana uśmiech losu, że znalazł się pan w szpitalu właśnie w chwili, gdy dotarł tam kapitan Mitchell i jego towarzysze niedoli...

Korespondent wypuścił kłęb dymu z cygara i odchrząknął, wyraźnie zbiry z tropu. - Panie Clemens, poszedł pan więc do szpitala, żeby przeprowadzić wywiad, czy też było inaczej?

Dziennikarz chrząknął znowu.

- Tak, panno Stewart, wywiad przeprowadziłem w szpitalu, kiedy kapitan i jego ludzie wracali tam do zdrowia.

- Ale czy był pan w szpitalu osobiście, panie Clemens? - spytałam, już bez afektowanej skromności.

- Och... nie... hmm... nie osobiście- powiedział rudowłosy pismak. - Ja... hmm... przesłałem pytania za pośrednictwem mojego przyjaciela, pana Ansona Burlingame.

- Ach, tak! - wykrzyknęłam. - Zrobił to pan Burlingame... wysłannik naszego kraju do Chin! Pamiętam go z balu w poselstwie. Niechże nam pan wyjaśni, panie Clemens, jak to możliwe, aby tak utalentowany i obdarzony prawdziwą pasją korespondent jak pan korzystał z cudzego pośrednictwa w tak poważnej sprawie? Czemu nie odwiedził pan osobiście kapitana Josiaha Mitchella i tych niedoszłych ludożerców, żeby przeprowadzić swój wywiad?

Odniosłam wrażenie, że napomykając o tych „niedoszłych ludożercach” dałam do zrozumienia panu Clemensowi, że ma do czynienia z osobą obdarzoną poczuciem humoru, bo uśmiechnął się lekko, choć nadal na jego twarzy malowało się wyraźne zakłopotanie.

- Można by powiedzieć... hmm... panno Stewart, że byłem... och... trochę niedysponowany.

- Mam nadzieję, że nie była to obłożna choroba, panie Clemens - stwierdziłam wiedząc całkiem dokładnie, że źródłem owej niedyspozycji sławnego od niedawna korespondenta mogła być tylko uprzejmość niezastąpionej pani Allwyte. - Nie, nie byłem chory - powiedział pan Clemens, błyskając zębami zza zasłony wąsów. - Trochę tylko niedysponowany, a to dlatego, że podczas poprzednich czterech dni spędziłem zbyt wiele czasu na końskim grzbiecie. Ukryłam twarz za wachlarzem, niczym niewinna panienka na swym pierwszym balu.

- Ma pan na myśli... - zaczęłam.

- Mam na myśli odparzenia od siodła - powiedział pan Clemens, którego literackie triumfy zeszyły chwilowo na dalszy plan. - Wielkości srebrnego dolara. Dopiero po tygodniu mogłem znowu chodzić. Prawdopodobnie do końca życia nie wsiądę na żadne czworonożne stworzenie. Mam najżywszą nadzieję, panno Stewart, że krajowcy z Oahu urządzają jakieś pogańskie obrzędy, na których składa się w ofierze przedstawicieli końskiego rodu w ramach ich wulkanicznych rytuałów, i że pierwszym

podjeżdżkiem, którego wybiorą, aby go wrzucić do ognistego kotła, będzie bestia o łękowato wygiętym grzbiecie, która nabawiła mnie tylu cierpień. Pani Lyman i jej bratanek, a także panna Adams i parę innych osób zupełnie nie wiedziało, co sądzić o tym wyznaniu. Co do mnie, to powachlowałam się z ukontentowaniem.

- No cóż - powiedziałam - dzięki niech będą niebiosom za pana Burlingame'a. Może tylko słusznie by się stało, gdyby został on drugim najślawniejszym i najbardziej poważanym człowiekiem na Zachodnim Wybrzeżu, zaraz po panu. Pan Clemens zaciągnął się głęboko dymem z cygara. Wiatr przybrał znacznie na sile, odkąd wypłynęliśmy na otwarte morze między wyspami. - Szczęśliwym zrządzeniem losu pan Burlingame jest już w drodze do Chin, panno Stewart. - W istocie, panie Clemens - odparłam - ale nam nie chodziło o sprecyzowanie, czyje losy wytyczyło to wydarzenie, a tylko o ustalenie, kto rzeczywiście wpłynął na dalsze wydarzenia. - Z tymi słowami zesłam z panią Lyman pod pokład na herbatę.

Eleanor Perry położyła oprawiony w skórę pamiętnik na kolanach i zauważyła, że korpulentny sąsiad z lewej bacznie się jej przygląda. - Interesująca książka? - zapytał mężczyzna. W jego uśmiechu kryła się fałszywa szczerść komiwojażera. Był o kilka lat starszy od Eleanor, miał chyba pod pięćdziesiątkę.

- Dość ciekawa - odparła Eleanor i zamknęła pamiętnik cioci Kidder. Schowała go i wcisnęła torebkę stopą do ciasnego pojemnika pod siedzeniem fotela naprzeciwko. Całkiem jakby wieźli ładunek żywego towaru. - Leci pani na Hawaje? - zapytał mężczyzna o kupieckim wyglądzie. Podróż z San Francisco do lotniska Keahole-Kona nie przewidywała lądowań po drodze, toteż Eleanor nie czuła się zobowiązana do udzielenia odpowiedzi. - Mieszkam w Evanston - powiedział kupiec. - Zdaje mi się, że widziałem panią w czasie przelotu z Chicago do San Frań.

San Frań, pomyślała Eleanor z rezygnacją, dziwnie przypominającą nudności wywołane kołysaniem się samolotu. Święty Franio. - Tak, możliwe - powiedziała.

- Pracuję w firmie handlowej - stwierdził niczym nie zrażony sąsiad. - Mikroelektronika. Przeważnie gry. Ja i jeszcze dwóch chłopaków z sekcji środkowo-zachodniej dostaliśmy nagrody, tak dla zachęty. Mam spędzić cztery dni w hotelu Hyatt Regency w Waikoloa. To ten ośrodek, gdzie można sobie popływać z delfinami. Żadnego nabierania.

Eleanor kiwnęła z uznaniem głową.

- Nie jestem żonaty - powiedział kupiec. - To znaczy, po rozwodzie. Dlatego jadę sam. Moi koledzy dostali po dwa skierowania, ale kiedy pracownik się rozwiedzie, firma daje mu tylko jedno. - Gruby sprzedawca posłał jej nieprzekonujący uśmiech, jakby zapomniało odpowiedniej porcji fałszu. - Jak by nie było, lecę sam na Hawaje.

Eleanor uśmiechnęła się ze zrozumieniem, pomijając milczeniem narzucające się logicznie pytanie: „A pani dlaczego leci samotnie na Hawaje?” - Udaje się pani do któregoś z tamtejszych kąpielisk? - zapytał po dłuższej przerwie facet od elektronicznych gier.

- Do Mauna Pele - powiedziała Eleanor. Na małym ekranie przed nimi Tom Hanks prezentował chłopięcy uśmiech. Pasażerowie ze słuchawkami na uszach zaczęli chichotać.

Sprzedawca gwizdnął przez zęby.

- Do Mauna Pele? Ho, ho. To zdaje się najdroższy, najbardziej ekskluzywny ośrodek na całym zachodnim brzegu wielkiej wyspy. Droższy niż Mauna Lani, Kona Village i Mauna Kea.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparła Eleanor. Nie było to całkiem prawdziwe. Kiedy robiła rezerwację przez biuro podróży w Oberlinie, pracownica próbowała przekonać ją, że inne

rekreacyjne ośrodki są tak samo ładne i o wiele tańsze. Nie wspomniała ani słowem o przypadkach zaginięć, ale na wszystkie sposoby starała się odwieść Eleanor od zamiaru udania się do Mauna Pele. A kiedy Eleanor uparła się, że pojedzie właśnie tam, podała jej stawki, od których mogło się naprawdę zakręcić w głowie.

- Mauna Pele to miej sce, w którym wypoczywają świeżo wzbogaceni milionerzy, tak mi się wydaje - powiedział jej sąsiad. - Oglądałem w telewizji program na ten temat. Musi pani mieć naprawdę dobrą pracę, jeśli stać panią na urlop w takim ośrodku - uśmiechnął się i przyjrzał jej uważnie. - Albo ma pani męża na niezłej posadzie.

- Wykładam w szkole - odparła Eleanor.

- Ach, tak? Gdzie pani uczy? Przypomina mi pani nauczycielkę, którą miałem w trzeciej klasie.

- W Oberlinie - powiedziała Eleanor.

- Co tam jest? Liceum?

- College - wyjaśniła Eleanor. - W stanie Ohio. - To ciekawe - powiedział sprzedawca tonem zdradzającym gwałtowny spadek zainteresowania. - Uczy pani jednego przedmiotu czy kilku? - Historii - odparła Eleanor. - Głównie dziejów myśli w osiemnastym wieku. A dokładnie historii Oświecenia.

- Hmm - mruknął sprzedawca, najwyraźniej zbity z tropu. Zmarszczył lekko brwi. - Ale, ale... wracając do Mauna Pele, to całkiem nowy ośrodek. Położony dalej na południe niż inne, prawda? - Najwyraźniej usiłował przypomnieć sobie wszystko, co usłyszał ostatnio o Mauna Pele w telewizji.

- Tak - potwierdziła Eleanor. - Daleko na południowym wybrzeżu Kona. - Mam! Morderstwa! - powiedział strzelając palcami facet od elektroniki. - Od czasu jak otworzyli hotel jesienią zeszłego roku było tam parę zabójstw. Widziałem coś na ten temat w programie „Na gorąco”.

Eleanor udało się przełknąć rewelacje sąsiada bez mrugnięcia okiem. - Naprawdę nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała, sięgając po kolorowy magazyn, wystający z kieszeni fotela.

- Tak, na pewno! Było tam sporo zabitych, zaginionych czy coś w tym rodzaju. Ten ośrodek wybudował Byron Trumbo, czyli Big T. Zamknęli jakiegoś zwariowanego Hawajczyka, słyszała pani?

Eleanor odpowiedziała uśmiechem zdradzającym jej całkowitą niewiedzę w tym przedmiocie i zabrała się do przeglądania reklam. Siedzący w pobliżu pasażerowie zachichotali, kiedy Tom Hanks krzyknął coś bezgłośnie do młodej gwiazdki. - O rany, nie myślałem, że ktoś wybierze się tam po tych wszystkich... - podjął sprzedawca, ale urwał na dźwięk głosu, który odezwał się w głośnikach i w słuchawkach.

- Panie i panowie, mówi pierwszy oficer. Znajdujemy się o mniej więcej czterdzieści minut lotu na północny wschód od Wielkiej Wyspy i zaczynamy obniżać się w kierunku lotniska Keahole-Kona, ale... hmm... zostaliśmy właśnie poinformowani przez centrum lotów w Honolulu, że wszystkie samoloty lecące do

Kona kierowane są do Hilo na wschodnim wybrzeżu. Zmiana wynika prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego udajecie się państwo właśnie teraz na Wielką Wyspę - •• a mianowicie z aktywności dwóch wulkanów na południowych krańcach wyspy, Mauna Loa i Kilauea. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa... wybuchy nie zagrażają zamieszkanym terenom. .. ale dziś po południu przeważają wiatry wschodnie, a te dwa wulkany wyrzucają duże ilości lotnych popiołów i innych śmieci. Tworzą one coś w rodzaju warstwy smogu, sięgającej pięciu tysięcy metrów nad ziemią. Dla tych z państwa, którzy mieszkają w okolicach Los Angeles, to nic nowego, ale przepisy lotnictwa

zabraniają latania przez taki smog, nawet wtedy gdy nie ma żadnego rzeczywistego zagrożenia. Tak więc, jeżeli nie usłyszymy, że wiatr zmienił kierunek albo wulkan uspokoił się pod wieczór, wylądujemy w międzynarodowym porcie lotniczym w Hilo, dokładnie pośrodku wschodniej części wyspy. Jest nam przykro z powodu niewygód, na jakie może to państwo narazić. Przed wylądowaniem personel pokładowy poinformuje wszystkich, jak skontaktować się z przedstawicielami linii lotniczych United w Hilo, aby zabezpieczyć sobie hotel albo inny środek transportu na wybrzeże Kona. Jeszcze raz przepraszamy za niewygodę, związane z zmianą planów podróży. Powinniśmy wylądować krótko przed zmrokiem, mogę więc poradzić państwu tylko, abyście usiedli wygodnie w fotelach i obejrzeliby piękny pokaz tego, co ma nam do zaprezentowania bogini ognia Madame Pele. Będę informował na bieżąco o rozwoju sytuacji. Mahalo. Eleanor zdążyła jeszcze usłyszeć mruczenie ścieżki dźwiękowej filmu w słuchawkach. W chwilę potem zagłuszył je gniewny pomruk tłumu pasażerów. Gruby jegomość po jej prawej stronie obudził się w czasie komunikatu i klął teraz z cicha. Handlowiec po lewej nie okazywał specjalnej irytacji. - Co znaczy mahalol - zapytał.

- Dziękuj ę - wyjaśniła Eleanor. Mężczyzna kiwnął głową. - Jestem pewien, że ci od Hyatta dowiozą mnie na miejsce jutro, a może jeszcze dziś wieczorem. Jak już człowiek raz dotrze do raję, przejechanie tych stu czy dwustu kilometrów więcej nie robi żadnej różnicy.

Eleanor nie odpowiedziała. Sięgnęła po torebkę i wyciągnęła z niej mapę wyspy

Hawai, kupioną w księgarni college'u w Oberlinie. Z Hilo prowadziła wokół wyspy tylko jedna prawdziwa droga. Jej odcinek idący wzdłuż południowego brzegu oznaczony był numerem jedenaście, część północna zaś miała numer dziewiętnaście. Aby dotrzeć którąś z tych tras do Mauna Pele, trzeba było pokonać ponad sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Fatalnie - mruknęła pod nosem.

Facet od mikroelektroniki kiwnął głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Taak, to jest to. Nie ma co przejmować się takimi drobiazgami. I tu, i tam są Hawaje, zgadza się?

Olbrzymi boeing 747 systematycznie zniżał się do lądowania.

Rozdział czwarty

...od roku 1832 tylko siedem z trzydziestu dwóch erupcji Mauna Pele wydarzyło się w rejonie południowo-zachodniej rozpadliny, a z tych siedmiu tylko dwie dotknęły okolicy objętej projektem.

Końcowy raport o skutkach wulkanicznego wybuchu w rejonie ośrodków rekreacyjnych na wybrzeżu Hawai, grudzień 1987

Co u diabła masz na myśli mówiąc, że nie możemy lądować w Kona? - Byron Trumbo był wściekły. Jego kupiony za dwadzieścia osiem milionów dolarów gulfstream miał dwadzieścia minut przewagi nad zatłoczonym boeingiem 747 wiozącym Eleanor Perry. Schodził do lądowania na południe od wyspy Maui, gotowy do rozpoczęcia końcowego podejścia wzdłuż zachodniego brzegu Wielkiej Wyspy. -Co to za bzdury? Zapłaciłem przecież za przebudowanie tego pieprzonego lotniska. A teraz oni meldują, że nie pozwolą mi wylądować?

Drugi pilot kiwnął głową. Nad oparciem skórzanego fotela w głównej kabynie gulfstreama przyglądał się Byronowi Trumbo, naciskającemu pedały treningowego roweru naprzeciwko jednego z okrągłych okien samolotu. Skąpany w ostatnich promieniach zachodzącego słońca Trumbo miał na sobie bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem, szorty i nieodłączne sportowe buty marki Converse Ali Star z wysokimi cholewkami.

- Więc im powiedz, że lądujemy - rzucił Trumbo. Sapał cicho, ale nie było go prawie słychać w szumie silników odrzutowca i wentylatorów. Drugi pilot potrząsnął głową.

- Nie mogę tego zrobić, panie Trumbo. Centrum lotów w Honolulu nie zgadza się na lądowanie. Nad całym rejonem Kailua—Kona i lotniskiem Keahole wisi chmura popiołów. Przepisy nie zezwalają...

- Do diabła z przepisami - warknął Byron Trumbo. - Chcę być na miejscu, zanim wyląduje Sato i jego ludzie... Chwileczkę, to przecież oznacza, że samolot z Tokio też zostanie skierowany gdzie indziej, zgadza się? - Tak, rzeczywiście. - Drugi pilot przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach.

- Wylądujemy w Keahole-Kona - zdecydował Trumbo. -Maszyna Sato też. Poinformuj o tym lotnisko.

Drugi pilot wziął głęboki oddech.

- Moglibyśmy wysłać do Hilo duży helikopter z naszego ośrodka... - Olewam duży helikopter - powiedział Trumbo. - Jeżeli Sato i jego ludzie wylądują w Hilo i zostaną przewiezieni helikopterem wokół południowego brzegu wyspy, gotowi pomyśleć, że Mauna Pele znajduje się o sto kilometrów od najbliższego kiosku.

- No cóż - powiedział pilot - trzeba rzeczywiście przejechać sto kilometrów, żeby...

Trumbo przestał kręcić pedałami. Jego krępe ciało zastygło w bezruchu.

- Połączysz się wreszcie z tym pieprzonym lotniskiem, czy mam to zrobić sam? Will Bryant podszedł z telefonem w rękę. Gulfstream wyposażony był w satelitarny system łączności, którego mogli pozazdrościć nawet faceci z Air Force One. - Panie Trumbo, proponuję coś lepszego. Mam na linii gubernatora.

Trumbo wahał się nie dłużej niż sekundę.

- Dobra, dawaj - powiedział. Sięgnął po słuchawkę i machnięciem ręki odesłał drugiego pilota z

powrotem do kabiny. - Johnny, to ty? Mówi Byron Trumbo... Tak, tak, cieszę się, że ci się podobało, powtórzmy to, jak znowu zahaczysz o Nowy Jork... Posłuchaj, Johnny, mam tu mały kłopot... właśnie lecę gulfstreamem... tak... Podchodzimy do lądowania w Keahole i nagle kierują nas do Hilo...

Will Bryant wyciągnął się na szarobrazowej skórzanej kanapie, zajmującej j edną trzecią ściany w tylnej części głównej kabiny. Przyglądał się, jak jego szef przewraca oczami i bębni palcami po stole wciąż jeszcze zastawionym resztkami obiadu. Z kuchennego pomieszczenia wyszła jedyna stewardesa i zabrała się do sprzątania przed lądowaniem.

- Tak, tak, wszystko rozumiem - przerwał Trumbo swojemu rozmówcy. Przysiadł na fotelu przy oknie i wyjrzał na zewnątrz. W dole ukazał się właśnie masyw Mauna Kea. Dachy stojącego na szczycie obserwatorium błyszczały taką samą bielą jak leżący obok śnieg. - To ty, Johnny, musisz zrozumieć, że mam dziś wieczorem spotkanie w Mauna Pele z grupą Sato, no i jeżeli wylądujemy w tym pie... och, przepraszam, panie gubernatorze... jeżeli będziemy musieli zrobić takie koło... tak, będą tu mniej więcej za godzinę... więc jeżeli i nas, i ich skierują do Hilo, Sato i jego chłopaki zaczną myśleć, że wyczyniamy tużnim jakimś dziwnym hockiklocki... he, he... - Trumbo przewrócił oczami. - Nie, Johnny, chodzi o tereny warte osiemset milionów dolarów... Taak... co najmniej jeszcze jedno pole golfowe, a do tego jest prawie pewne, że będą chcieli wpuścić tu całą kupę spółek... tak... dokładnie tak... chodzi o kluby golfowe w Japonii, gdzie za jedno wybicie trzeba bulić paręset tysięcy dolarów, więc taniej im wyjdzie kupić ten teren i przywozić graczy tu, na miejsce... Tak, dokładnie.

Samolot minął od zachodu wulkan Mauna Kea. Trumbo popatrzył w górę, na potężny piuropusz popiołów, dobywających się z Mauna Loa i Kilauea, który ukazał się właśnie w polu widzenia. Skłębiona chmura szarego popiołu i pary biła z wysuniętego najbardziej na południe szczytu, płaszcząc się pod potężnym uderzeniem pasatu; jej długie na sto mil języki pełzły ku zachodowi, skrywając południowo-zachodnie wybrzeże za zasłoną gęstego smogu.

- O, kurczę - powiedział Trumbo. - Nie, nic takiego, Johnny... właśnie oblecieliśmy Mauna Kea i pokazało się całe to wulkaniczne paskudztwo... tak, niezły widoczek... robi wrażenie... Mimo to musimy wylądować w Keahole, samolot

Sato też... Pewno, że wiem, co mówią przepisy lotnictwa, ale wiem też, ile forsę wsadziłem w pas startowy w Keahole, żeby zrobić przysługę tobie i twoim chłopakom, zamiast wybudować swój własny. Wiem też, że od czasów Laurence'a

Rockefellera w latach sześćdziesiątych nikt nie przywoził na tę wyspę tyle pieniędzy co ja, i to w okresie, kiedy dławiała was recesja... Tak., tak... no wiesz, Johnny, nie proszę cię o kolejną ulgę podatkową czy coś w tym guście, ale zwyczajnie daję ci do zrozumienia, że jeżeli nie zezwolą nam dziś na wylądowanie na miejscu, diabli wezmą te negocjacje i prawdopodobnie sprzedamy Mauna Pele najgorszemu oferentowi. No tak... teren będzie wyglądał jak te pieprzone Royal Gardens... wszędzie zielsko po kolana i cały ten smrodek. .. nie zobaczysz tu nikogo prócz cholernych plantatorów marihuany.

Trumbo odwrócił się od okna i przez chwilę słuchał w milczeniu. W końcu popatrzył na Willa Bryanta, uśmiechnął się szeroko i powiedział do mikrofonu:

- Hej, dzięki, Johnny... jasne, że tak... zobaczysz, jaką balangę urządzimy, jak tylko wypuszczą nowego Schwarzeneggera... Tak, jeszcze raz ci dziękuję. - Wyłączył telefon i podał go Willowi.

- Idź do kabiny pilotów i powiedz im, że będziemy musieli krążyć przez kilka minut. Dostaniemy zezwolenie na lądowanie w Keahole-Kona, jak tylko gubernatorowi uda się przekonać tych bubków z

centrum lotów w Honolulu. Bryant kiwnął głową i zatrzymał się na moment przy oknie, aby rzucić okiem na pióropusz wulkanicznych popiołów.

- Myśli pan, że to niczym nie grozi? Trumbo zachnął się. - Wymień mi choć jedną rzecz na tym świecie wartą zachodu, która nie wiązałaby się z ryzykiem - powiedział. Kiwnął głową w kierunku telefonu. - Połącz mnie z Hastingsem.

- Na pewno ma dyżur w Obserwatorium Wulkanicznym... - Dla mnie może nawet dymać swoją starą, wszystko mi jedno - powiedział Trumbo i wyjął parę owoców z małej lodówki. - Dawaj mi go. Gulfstream krążył na wysokości siedmiu tysięcy pięciuset metrów o jakieś piętnaście kilometrów od wybrzeża Kohala, na północ od grubej warstwy szarych dymów i popiołów z Mauna Loa, ścielącej się nad oceanem po zachodniej stronie wyspy. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, a drobiny wulkanicznej chmury pokrywały niebo orgią pomarańczowoczerwonych odblasków. Wrażenie było niezwykle, jakby oglądało się zachód słońca przez słup dymu buchającego z płonącego domu. Od czasu do czasu, kiedy samolot pochylał się skręcając w lewo na południowym krańcu pętli, Trumbo mógł dojrzeć przez mgiełkę 36 sam krater wulkanu - pomarańczowy słup ognia wznosił się na trzysta albo i więcej metrów nad szczytem, znajdującym się na wysokości przeszło czterech kilometrów. Jeszcze więcej pomarańczowych odblasków przebijało się przez dym z położonego bardziej na południe wulkanu Kilauea. Z miejsca, w którym lava z tego drugiego wulkanu spływała do oceanu, wznosił się słup pary wyższy jeszcze od chmury pyłów. Sięgał pułapu dziesięciu kilometrów. - Jezusie Nazareński, wszystkie hotele na wyspie pękają od ludzi, którzy chcą zobaczyć to widowisko, a u nas przeszło pięćset pieprzonych pokoi świeci pustkami...

Z kabiny pilotów wyszedł Will Bryant.

- Połączyła się wieża w Keahole. Możemy lądować mniej więcej za dziesięć minut.

Złapałem doktora Hastingsa... - powiedział podając szefowi telefon.

Byron Trumbo podłączył aparat do końcówki głośnika, wbudowanej w poręcz fotela.

- Chciałbym, żebyś posłuchał tej rozmowy, Will... Doktor Hastings? - Słucham pana, panie Trumbo. - Wulkanolog był starszym człowiekiem, a połączenie obfitowało w szumy i trzaski, więc jego głos brzmiał tak, jakby był odtwarzany ze zdartej płyty.

- Panie doktorze, podłączyłem pana do głośnika. Jest tu ze mną mój sekretarz i pełnomocnik, Will Bryant. Podchodzimy gulfstreamem do lądowania w Keahole. Przez moment w głośniku słychać było tylko trzaski.

- Byłem pewien, że lotnisko Keahole jest...

- Właśnie zostało otwarte, doktorze. Zadzwoń do pana, ponieważ potrzebujemy paru informacji o obecnych erupcjach.

- Rozumiem. Chętnie omówiłbym z panem ostatnie wypadki, panie Trumbo, tak się zresztą umawialiśmy, ale w tej chwili jesteśmy tu ogromnie zajęci i obawiam się...

- Domyślam się, doktorze, ale proszę przypomnieć sobie warunki naszej umowy. Nasze konsultacje mają pierwszeństwo przed pana zajęciami w obserwatorium. Bóg mi świadkiem, płacimy panu więcej niż oni. Gdybym tylko chciał, mógłbym ściągnąć pana do Mauna Pele i polecić, żeby pan tam siedział i odpowiadał na pytania turystów.

W słuchawce zapanowała cisza przerywana tylko trzaskami.

- Oczywiście, nie zrobię tego - podjął miłym tonem Trumbo. - Wolałbym też nie przerywać pańskich badań, całej tej precyzyjnej sejsmologicznej roboty, którą prawdopodobnie wykonuje pan przy obecnej erupcji. Jest jednak pewien drobiazg: wynajęliśmy pana jako konsultanta przy budowie

rekreacyjnego ośrodka, który wart jest sześćset milionów dolarów, i teraz potrzebujemy paru pańskich porad.

- Rozumiem, panie Trumbo. Proszę pytać. Trumbo wyszczerzył zęby do Willa. - Okay, doktorze... chcemy wiedzieć, co tam się dzieje. Przez trzaski przedarło się westchnienie.

- No cóż... wystąpił przypadek jednoczesnego ożywienia masywu Moku'aweoweo w rejonie rozciągającym się wzdłuż południowo-zachodniej rozpadliny i wzmożona erupcja z krateru O'o-Kupaianaha...

- Ho, ho, doktorze - powiedział Trumbo. - Myślałem, że to dymią Mauna Loa i Kilauea. Nie wiem nawet tego, gdzie znajduje się ten Moku-coś tam i O'o Coppola. Tym razem westchnienie zabrzmiało nieco głośniej. - Panie Trumbo, wszystkie informacje zawarłem w moim sprawozdaniu z sierpnia zeszłego roku...

- Proszę je powtórzyć, doktorze - powiedział Byron Trumbo tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Wybuch Kilauea nie ma dla pana żadnego znaczenia. Obecna erupcja O'o-Kupaianaha jest jedynie bardziej gwałtowną kontynuacją wypływu lawy, który trwa od roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt sódmeo. Wystąpiła wzmożona aktywność Pu'u O'o i Halemaumau, które stanowią część wulkanu Kilauea, ale cała bez wyjątku lava kieruje się stamtąd na południowy wschód i nie może zagrozić terenom pańskiego ośrodka. Natomiast Moku'aweoweo jest kraterem w szczytowym zagłębieniu Mauna Loa - mówił Hastings coraz mocniejszym głosem. - Obecna erupcja rozpoczęła się trzy dni temu. Wypływ lawy i uwalnianie gazów rozszerzy się oczywiście prędko na liczne pęknięcia i wulkaniczne kominy wzdłuż rozpadliny południowo-zachodniej...

- Proszę zaczekać - powiedział Trumbo przysuwając się do okna. - Czy mówi pan o tej ognistej kurtynie, która ciągnie się po zboczu, poniżej wielkiego krateru? - Tak - odparł Hastings. - Obecna erupcja Mauna Loa odbywa się według takiego samego scenariusza jak w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym i osiemdziesiątym czwartym - to znaczy lava tryska ze szczelin, które zaczynają się w pobliżu szczytu Moku'aweoweo i rozciągają wzdłuż rejonu rozpadliny. Jedyna różnica polega na tym, że obecnie pęknięcia są rozrzucone po zboczu 38 południowo-zachodniim. W osiemdziesiątym czwartym erupcje koncentrowały się po stronie północno-wschodniej...

- Od strony Hilo - wtrącił Will Bryant.

- Tak - potwierdził Hastings.

- Ale tym razem wybuchy występują po stronie południowo—zachodniej - powiedział Trumbo. - Czyli lava spływa w kierunku moich terenów. - Tak.

- Doktorze Hastings, czy to oznacza, że inwestycje, które kosztowały mnie sześćset milionów dolarów, by nie wspomnieć o Japończykach, którzy chcą to kupić, zostaną w ciągu najbliższych paru dni pogrzebane pod zwałami lawy? - zapytał cicho Trumbo.

- To mało prawdopodobne - odparł wulkanolog. - Wytryski lawy sięgają w dół po zboczu do około dwóch tysięcy stu metrów...

- Niech pan zaczeka - powiedział Trumbo i wyjrzał przez okno. - Wygląda na to, że języki ognia i lawy dochodzą tam prawie do morza. - Bardzo możliwe - stwierdził sucho Hastings. - „Ognista kurtyna”, jak sam pan to określił, rozciąga się na przestrzeni około trzydziestu kilometrów... - Dwadzieścia mil - gwizdnął przez zęby Trumbo. - Tak - powiedział Hastings - ale strumień lawy spływa na południe od pańskiego ośrodka i powinien docierać do oceanu w prawie niezamieszkanym rejonie pustyni Ka'u na zachód od Przylądka Południowego.

- Czy jest pan tego pewien? - zapytał Trumbo. Nad jego głową zaczęło błyskać światło,

nakazujące zapiąć pasy. Trumbo udał, że go nie widzi. - Panie Trumbo, tu nie można mieć żadnej pewności. Ale prawdopodobieństwo wystąpienia jednoczesnego wypływu lawy w kierunku wschodnim i zachodnim jest naprawdę niewielkie.

- Niewielkie prawdopodobieństwo - powtórzył za nim Trumbo. - To uspokajająca informacja.

- Tak - potwierdził doktor Hastings, najwyraźniej nie wyczuwając sarkazmu w głosie Byrona Trumbo.

- Doktorze Hastings - odezwał się Will Bryant - czy w pańskim artykule i w ekspertyzie Towarzystwa Geologicznego z sierpnia zeszłego roku, którą przekazał nam pan przed wybudowaniem ośrodka, nie napisał pan, że istnieje większe niebezpieczeństwo katastrofy spowodowanej wielką falą pływową niż wtargnięciem lawy?

- Ależ tak - potwierdził Hastings. W jego głosie można było wyczuć dumę autora, którego dzieła się czyta. - Jak to wyjaśniłem w moim raporcie, projektowany... hmm, obecnie już istniejący ośrodek rekreacyjny Mauna Pele położony jest na południowo-zachodnim skrzydle masywu Mauna Loa, a skrzydło to wcina się daleko w morze. Jest to jedno z najbardziej stromych podwodnych zboczy na całej planecie, w dodatku, jak my to określamy, nie podparte, przez co narażone na osunięcia dużych uskokowych bloków...

- Inaczej mówiąc - przerwał mu Trumbo - cała ta cholerna część wybrzeża może zwyczajnie ześliznąć się do Pacyfiku.

- Właściwie tak - wycedził Hastings. - Ale moja hipoteza nie prezentowała takiej konkluzji.

Trumbo przewrócił oczami i wcisnął się głębiej w oparcie, aż zaskrzypiało skórzane obicie fotela. Gulfstream schodził teraz ostro w dół, a wycie jego turbin stopniowo cichło. Za okrągłymi iluminatorami zaczęły przelatywać obłoczki popiołu i dymu.

- A jaką, doktorze? - zapytał Trumbo.

- Moja hipoteza, jaką postawiłem w obu przygotowanych dla pana dokumentach, przewidywała, że odpadnięcie nawet niewielkiego bloku i sejsmiczna reakcja, jaką ono wywołuje, może, a nawet musi spowodować powstanie tsunami... - To ta wielka fala - odpowiedział Will.

- Wiem, co to jest pieprzone tsunami - rzucił ostro Trumbo.

- Słucham pana? - zabrzmiał głos Hastingsa.

- Nic, nic, doktorze - uspokoił go Trumbo. - Niech pan dokończy. Za minutę siadamy na pasie.

- Nie mam już wiele do dodania. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym teren wybrzeża, na którym stoi dziś ośrodek Mauna Pele, dotknęło trzęsienie ziemi o sile sześciu i pół stopnia. Od rozpoczęcia nowych erupcji cztery dni temu zarejestrowano ponad tysiąc sejsmicznych wstrząsów. Na szczęście wstrząsy te są słabe, ale ciśnienie zdaje się rosnąć... - Zdaje się, że pojąłem w czym rzecz, doktorze - przerwał mu Trumbo zapinając pas bezpieczeństwa. Gulfstream zakołysał się w turbulencjach wywołanych chmurą popiołu. - Jeżeli Mauna Pele nie zniknie pod zwałami lawy, to albo utopi się w oceanie, albo zabierze nas wszystkich tsunami. Dzięki, doktorze. Będziemy w kontakcie - rzucił na koniec i odłożył słuchawkę. Samolot zanurkował i zakołysał się gwałtownie. - Słuchaj, Will - zwrócił się Trumbo do sekretarza-40 rza - dlaczego ci goście z sił powietrznych marynarki wojennej trzymają samoloty z dala od takich chmurek jak te?

Bryant oderwał wzrok od umowy, którą właśnie czytał. - Bo znajdują się w niej drobne kamyczki i cząsteczki popiołu, które mogłyby zakleszczyć turbiny odrzutowców - powiedział.

Byron Trumbo wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - No to gadaj, jak się teraz czujesz -

powiedział cicho. Za oknami zrobiło się prawie całkiem ciemno. Gulfstream zataczał się i podskakiwał. Will Bryant uniósł brwi. Czasami nie miał pojęcia, czyjego szef mówi poważnie, czy żartuje.

- Dobra, dobra - roześmiał się Trumbo. - Gdyby nasz samolot się roztrzaskał, oddałby nam prawdopodobnie wielką przysługę. Albo maszyna Japończyków. Bo jeżeli nie dobiję targu z tym dupkiem Sato, zaczniemy żałować, żeśmy w ogóle przyszli na świat.

Will Bryant nie odpowiedział.

- Czy ludzie nie dziwią cię czasami, Will?

- Co pan ma na myśli?

Trumbo kiwnął głową w kierunku chmury pyłów, kłębiącej się za oknami samolotu. - Tysiące ludzi gotowych jest zapłacić wygórowane ceny i tłuc się przez pół świata, żeby przyjechać i obejrzeć taką erupcję. Bez mrugnięcia okiem narażą się na ogromną falę albo pogrzebanie pod lawą, aby tylko nacieszyć oczy takim widowiskiem... ale niech tylko zacznie się plątać po okolicy jakiś zafajdany morderca albo zaginie głupie sześć osób, trzymaj sięz daleka, i to wszyscy, co do jednego. Dziwne, co?

- Teraz już dziewięć.

- Co dziewięć? - zapytał Trumbo odwracając się od okna. - Zaginęło już dziewięć osób. Niech pan nie zapomina o tych trzech, którzy znikli wczoraj.

Trumbo mruknął coś pod nosem i odwrócił się plecami, żeby obserwować przemykające za oknem chmury dymu. Dało się słyszeć bębnienie o kadłub samolotu, zupełnie jakby dzieci zabawiały się rzucaniem kamyczkami do pustego garnka. Gulfstream opadał ku ziemi.

Rozdział piąty

Tu mężczyzna, tam kobieta

Mężczyzna narodzony pośród czarnych ciemności

Kobieta narodzona pośród mroku.

- Z hawajskiej pieśni o stworzeniu świata KUMULIPO, powstałej ok. 1700 r.

Eleanor odsunęła na bok szkicową mapkę agencji wynajmującej samochody i rozłożyła na ladzie kontuaru własną samochodową mapę wyspy. - Czy to oznacza, że nie będę mogła tam dojechać? Szczupła jasnowłosa kobieta za kontuarem potrząsnęła głową.

- Nie, nie... chodzi tylko o to, że nie będzie pani mogła pojechać drogą numer jednaście, która biegnie wzdłuż południowego brzegu. Bo została odcięta przez popiół i lawę. - Kościsty palec zatrzymał się na pojedynczej czarnej nitce wzdłuż południowego konturu wyspy. - O, tutaj, zaraz za Narodowym Parkiem Wulkanicznym.

- Ile to będzie? Z sześćdziesiąt kilometrów stąd? - zapytała Eleanor. - Mniej więcej - potwierdziła blondynka ocierając kropelki potu, prześwitujące spod krótko obciętej grzywki. - Ale dziewiętnastka jest otwarta dla ruchu. - Czyli trasa północna - stwierdziła Eleanor. - Trzeba się pchać w górę aż do Waimea czy Kamuela... jak się właściwie nazywa to miasto? Spotkałam się z obiema nazwami.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Tamtejszy urząd pocztowy używa nazwy Kamuela. A my tu wszędzie mówimy Waimea. - A więc trzeba przeciąć wzgórze do Waimea - ciągnęła Eleanor, sunąc palcem po mapie - zjechać do wybrzeża Kohala, stamtąd na południe w kierunku Kona... - Kończy się tam droga numer dziewiętnaście, a zaczyna znowu jedenastka - powiedziała kobieta. Guma, którą obracała w ustach, zalaatywała przeżutą miętą.

- A potem w dół do Mauna Pele - dokończyła Eleanor. - Ze dwieście kilometrów?

Kobieta za kontuarem znowu wzruszyła ramionami. - Coś koło tego. Decyduje się pani jechać samochodem? Już prawie ciemno. Mnóstwo turystów, którzy mają rezerwacje na wybrzeżu Kona, zostają na noc w hotelach w Hilo. Będą czekać do rana, aż tamtejsze kąpieliska przyślą po nich autokary. Eleanor podrapała się po brodzie.

- To prawda, Linie Lotnicze United zaoferowały mi noc w miejscowym hotelu, ale wolałabym pojechać tam jeszcze dziś wieczorem.

- Jest już prawie ciemno - powtórzyła kobieta tonem nie pozostawiającym wątpliwości co do tego, że jeśli jakaś haole chce się tłuc w ciemnościach po Wielkiej Wyspie, jest to jej prywatna sprawa.

- A gdybym pojechała tędy? - zapytała Eleanor przesuwając palcem po wijącej się, czarnej linii, która wychodziła z Hilo i biegła przez środek wyspy, odcinając jej północną część. - Drogą przez przełęcz?

Blondynka potrząsnęła głową tak energicznie, że jej grzywka rozleciała się na wszystkie strony.

- Ojej, tędy nie można.

- Dlaczego? - Eleanor pochyliła się nad kontuarem. Budki firm wynajmujących samochody stały rzędem na otwartym powietrzu, naprzeciwko głównego terminalu portu lotniczego. Powietrze nasycone było wilgocią, wokół unosił się zapach morza zmieszany z tysiącem roślinnych aromatów. I

tym razem, jak podczas wielu poprzednich podróży do tropików, Eleanor przeżyła ten miły wstrząs, jakiego doznaje się zetknięciem z żarem, wilgocią otwartą przestrzenią, które atakują przybysza natychmiast po opuszczeniu samolotu albo dworca. Lotniczy terminal w Hilo był mały i odsłonięty, więc aromaty i odgłosy Hawajów opadły ją w tej samej chwili, w której stanęła w drzwiach odrzutowca. W trwających już prawie trzydzieści lat wędrówkach tylko raz przejeżdżała przez te wyspy w drodze do bardziej jeszcze odległych i egzotycznych miejsc. Teraz zaskoczyła ją amerykańskość tego, co ujrzała.

- Dlaczego nie mogłabym pojechać przez przełęcz? - zapytała jeszcze raz. - Zdaje się, że tędy byłoby bliżej niż drogą numer dziewiętnaście, którą trzeba objechać całą północ.

Kobieta nie przestawała kręcić głową.

- Nie może pani. To by było wbrew przepisom, które obowiązują w naszej firmie - powiedziała wskazując palcem wypełniony dopiero co przez Eleanor formularz. - Ale dlaczego? Brak tam nawierzchni?

- No, niezupełnie... ale nie można nią jeździć. Za dużo gór. Zbyt dzikie okolice. Żadnych stacji obsługi, a nawet domów. Gdyby coś pani nawaliło, nie moglibyśmy pani pomóc.

Eleanor uśmiechnęła się.

- Wynajęłam dzipa. Siedemdziesiąt dolarów za dobę. Chce pani powiedzieć, że wasz dzip gotów się rozkraczyć na byle górze?

Kobieta założyła ręce na piersi.

- Nie może pani pojechać tamtędy. Tej drogi nie ma nawet na mapie, którą dostała pani od nas.

- Zauważyłam to - powiedziała Eleanor.

- Byłoby to niezgodne z umową.

- Rozumiem.

- Nie zezwalamy na to, żeby nasze samochody jeździły tą drogą. - Tak, wierzę pani - powiedziała Eleanor. Wskazała na ciemniejące niebo. - Czy mogę prosić o kluczyki? Robi się ciemno.

Przez prawie pół godziny Eleanor krążyła po przedmieściach Hilo, zanim udało się jej wydostać na drogę prowadzącą ku przełęczom. Wyjeżdżając pomiędzy ostatnich domów i palm ku porośniętym niskimi zagajnikami górom, bezustannie obserwowała we wstecznym lusterku ścianę chmur napływających ze wschodu. Kilometr od brzegu lał już potężny deszcz. Lada chwila mógł ją dopędzić. Już po zapłaceniu należności za wynajem straciła cały kwadrans. Dostała nowiutkiego wranglera z automatyczną przekładnią, który nie miał nawet trzydziestu kilometrów na liczniku, chociaż dopłaciłaby chętnie za wóz ze zwykłą skrzynią biegów. Co gorsza, nie znalazła w środku rozkładanego, brezentowego albo winylowego daszku, który zwykle przechowywano gdzieś z tyłu albo pod siedzeniem. Wynajmowała już na czterech kontynentach wozy z napędem na obie osie i nawet stare, niemiłosiernie poobijane rovery albo toyoty miały zawsze na wypadek złej pogody jakieś nakrycie, które można było rozpiąć na szkielecie z rurek.

- Och, ma pani na myśli daszek bikini? - zapytała jasnowłosa kobieta, kiedy Eleanor podjechała pod kantorek i odczekała, aż następny klient załatwi swoją sprawę.

- Wszystko jedno, jak go tu nazywacie. Zwykle przywiązuje się go albo mocuje na zatrzaski.

Wyraźnie znudzona blondynka kiwnęła głową.

- Już ich nie używamy. Przynajmniej w tej nowej serii wozów. Wyjmujemy je i chowamy w magazynie.

Eleanor zastosowała starą sztuczkę i policzyła po grecku do dziesięciu. Czasami wystarczyło to, aby nie rzucić się z pięściami na jakiegoś idiotę. - Czy mogę wiedzieć dlaczego? - zapytała w końcu słodziutkim tonem, na dźwięk którego jej studenci dostawali nieuchronnie gęsiej skórki. Kobieta obróciła w ustach gumę do żucia.

- Ludzie bez przerwy gdzieś je zostawiali. Albo gubili sprzączki. Eleanor uśmiechnęła się i pochyliła nad kontuarem.

- Czy mieszka pani tutaj, w Hilo?

Gumowy balon pękł z cichym klaśnięciem i proces żucia rozpoczął się na nowo.

- Oczywiście.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, ile deszczu spada po tej stronie wyspy w ciągu roku?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Ja mieszkam wprawdzie gdzie indziej - powiedziała Eleanor -ale mogę pani podać wysokość tutejszych opadów. Jest tego ponad trzysta osiemdziesiąt centymetrów. W ciągu roku. A czasami nawet pięćset, tu, w tej dolince. - Pochyliła się jeszcze bardziej. - Więc jak, doda mi pani daszek do mojego dżipa, czy mam wjechać po tych schodach, zaparkować na chodniku i przeprowadzić międzymiastową rozmowę z prezesem tej firmy w oczekiwaniu na reporterów, żeby im opowiedzieć o waszych praktykach?

„Daszek bikini” trzepotał i furkotał w porywach wiatru poprzedzającego burzę, kiedy Eleanor pędziła Aleją Waianuenu obok Tęczowych Wodospadów, a potem skręcała na zachód, ku drodze przez przełęcz. Miała nadzieję, że jeśli nie napotka nawałnicy, to ten śmieszny skrawek winyłu zapewni jej stosunkowo niezłą ochronę przed deszczem.

Już o zmroku przemknęła pełną zakrętów drogą obok tablic kierujących do Grot Kaumana i na pole golfowe w Hilo. Zaczęły się góry. Na coraz węższej drodze z trudem mogły się wyminąć dwa pojazdy, ale Eleanor napotkała tylko kilka samochodów, a nawierzchnia była tu zupełnie znośna.

Deszcz dopadł ją po niecałych piętnastu kilometrach od Hilo. Zaprojektowana przez specjalistów z działu wozów terenowych Chryslera „sprytna” kombinacja pionowej szyby przedniej i trzepoczącego daszku sprawiała, że strumień deszczówki spływał jej prosto na kark, zraszając też szybę od środka. Rachityczne wycieraczki zgarniały wprawdzie jako tako wodę z zewnętrznej powierzchni, ale Eleanor musiała sięgnąć do torebki po papierowe chusteczki, aby wycierać nimi szybę od wewnątrz. Tylne części dżipa już po kilku minutach zaczęła wypełniać się wodą, więc Eleanor rzuciła torebkę i podróżny worek na siedzenie obok siebie, aby nie zamokły. Na horyzoncie przebijały jeszcze odblaski wschodzącego zachodu słońca, ale nisko pędzące chmury i deszcz przyspieszyły zapadnięcie przedwczesnego nocnego mroku. We wstecznym lusterku mignęły jej ostatnie światła Hilo i znikły za szczytem wzgórza. Od tej chwili majaczyły przed nią już tylko dwa masywne cielska wulkanów po obu stronach wąskiej drogi i bezładnie rozrzucone niskie drzewa. Nie było widać żadnych świateł, droga nie miała też środkowego, białego pasa; można było się poczuć jak przy wjeździe do ciemnego tunelu. Eleanor przekręciła gałkę radia, ale usłyszała tylko trzaski i wyłączyła je. Zaczęła nucić cichutko, starając się dostosować do rytmu szumiących wycieraczek. Dolina między dwoma wulkanami - Mauna Kea po prawej, Mauna Loa po lewej - poszerzyła się nagle, chmury pierzchły na moment i Eleanor dostrzegła wysoko, na oblodzonych zboczach Mauna Kea odblask zachodzącego słońca. Metalowa płaszczyzna na którymś z obserwatoriów słała w dolinę lustrzane refleksy. Ale bardziej frapująca była pomarańczowa, płomienista poświata przebudzonego krateru Mauna Loa po lewej stronie. Zasłonięta przedtem przez chmury sylwetka

wulkanu ukazała się teraz w świetle buchających z niego płomieni, odbitych w nisko ścielącym się pióropuszu jego własnych popiołów. Eleanor ogarnęło na moment wrażenie, że wędruje w głąb płonącego domu korytarzem podpartym po obu stronach potężnymi kolumnami. Po zachodniej stronie nieba ostatnie przebliski ginącego słońca mieszały się z wulkaniczną poświatą, zamieniając chmury w żarzącą się orgię kolorów. Eleanor zobaczyła nagle po lewej stronie tęczę i choć według praw optyki, o których gdzieś czytała, było to niemożliwe, przejechała pod nią. Deszcz zaczął padać znowu i odblaski zachodu znikły, a po odbitym świetle z kraterów po przeciwległej stronie Mauna Loa została tylko posepna luna.

Eleanor zaczynała rozumieć, dlaczego ludzie z biura wynajmu samochodów reagowali tak gwałtownie na jakąkolwiek wzmiankę o jeździe przez przełęcz. Wąska droga wiła się i kluczyła, jakby chciała zrzucić ze swego karku każdego śmiałka, który się na nią zapuścił. Drzewa były tu niskie i brzydkie, ale rosły wystarczająco gęsto, aby maksymalnie ograniczyć widoczność. Eleanor musiała zwalniać przed każdym zakrętem. Dwa razy napotkała jadące z przeciwka poobijane samochody; w obu przypadkach ich światła wyłaniały się na parę sekund przed mijaniem. Po dwudziestu pięciu czy trzydziestu kilometrach wyczerpującej jazdy dotarła do jedynej na całej tej trasie bocznej drogi; mały drogowskaz kierował w prawo, w stronę Stanowego Parku Mauna Kea i samego wulkanu. Z mapy 1 przewodnika wiedziała, że kończy się ona po dwudziestu pięciu kilometrach niedaleko szczytu góry, prawie dwa i pół tysiąca metrów wyżej. Miała świadomość, jak łatwo można tu zabłądzić i popaść w ciężkie tarapaty. Próbowwała wyobrazić sobie poświęcenie geologów i astronomów, którzy przebywali i pracowali tam na górze, łapiąc z trudem zimne, rozrzedzone powietrze na wysokości prawie czterech tysięcy dwustu metrów. Robili zdjęcia i pomiary, dopóki choroba wysokościowa i otępienie wywołane niedoborem tlenu nie zmusiły ich do powrotu na dół dla odpoczynku i regeneracji sił. Eleanor uważała, że środowisko uniwersyteckie działa równie otępiająco, ale tam można było przynajmniej swobodnie oddychać. Droga pogorszyła się za odgałęzieniem do Mauna Kea. Ledwo widoczne w pomarańczowo zabarwionym półmroku znaki informowały, że nie wolno zatrzymywać się na poboczu i ostrzegały przed leżącymi w pobliżu niewypałami. Dwa razy Eleanor zauważyła po lewej stronie duże pancerne pojazdy, przedzierające się z chrzęstem przez krzaki. Ich słabiutkie reflektory rzucały blade światło niczym uliczne latarnie. W pewnej chwili musiała gwałtownie nacisnąć na hamulce i stanęła w miejscu kompletnie zszokowana, kiedy cztery takie potwory przejechały z łoskotem w poprzek drogi tuż przed nią. Spod bieżników ich kół sypał się asfalt, jakby to było błoto.

Po ich przejeździe ruszyła powoli, rozglądając się na boki. Słyszała ciągle chrzęst pancernych straszdeł dochodzący z krzaków, ale nie mogła ich dostrzec. Z mroku wyłoniła się tablica z przydługim, prawie niewidocznym w deszczu napisem: OSTRZEŻENIE: PRZEJAZD PRZEZ DROGĘ DLA WOJSKOWYCH POJAZDÓW. Domyśliła się, że cała dolina jest czymś w rodzaju wojskowej bazy.

Miała nadzieję, że tak jest w rzeczywistości; inaczej mogłoby się wydawać, że armia USA wypowiedziała wojnę Hawajom.

Jechała dalej, przecierając bezustannie wewnętrzną stronę szyby. Miała mokre plecy i włosy, także w jej tenisówkach chlupała woda z kilkucentymetrowej kałuży, która zebrała się między siedzeniem a pedałem gazu. Rozglądała się na wszystkie strony jak pilot myśliwca, zawsze gotów do wypatrzenia kolejnego konwoju czołgów, dinozaurów czy innych diabelskich zjaw podobnych do tych, które ukazały się jej i znikły przed chwilą.

Kiedy pokonywała ostry zakręt w prawo podskakując na pooranym asfalcie, aż jej zęby

zadzwończyły, Eleanor musiała odbić kierownicą, aby wyminąć ciemnoszary samochód, stojący dwoma kołami na drodze, a dwoma w rowie. Jakaś skulona postać zaglądała pod tylny zderzak auta z lewej strony. Eleanor zagryzła usta walcząc z kierownicą dżipa, który najwyraźniej miał ochotę wyskoczyć z drogi prosto w krzaki po lewej. W końcu opanowała ciężki pojazd i zmusiła go do jazdy środkiem wąskiego pasma asfaltu. Rzuciła okiem we wsteczne lusterko, ale samochód i klęcząca przy nim postać znikły już za niską górką, którą właśnie minęła. - A niech to - mruknęła pod nosem i zatrzymała się. Deszcz siekł japo odsloniętym karku.

Człowiek, którego przed chwilą widziała, był niski i krępy. Kiedy go mijała, nie rzucił nawet okiem w jej stronę ani nie dał znaku, że potrzebuje pomocy. Eleanor zapamiętała tylko bezkształtne, mokre ubranie przyklepione do jego pleców. Droga była tu zbyt wąska, a rowy za głębokie, aby ryzykować zawrócenie, toteż Eleanor ustawiła dźwignię automatycznego selektora na jazdę wstecz i zaczęła się cofać pod górę. Miała nadzieję, że gdyby nagle nadjechał jakiś samochód, dojrzy na czas jego światła.

Żadne światła się jednak nie pokazały. Eleanor zjechała po pochyłości wycierając po drodze ociekające deszczem okulary i zatrzymała się tuż przed przechylnym nad rowem autem. Było to rozklekotane pudło, wypożyczone za parę groszy z taniej agencji wynajmującej samochody. Jego tył z lewej strony był uniesiony na lewarku, ale wyglądało na to, że asfalt nie wytrzymał obciążenia i auto ześliznęło się jeszcze głębiej do rowu. Skulona przy tylnym zderzaku postać podniosła się.

- Co za nędza - odezwał się ochrypły głos. - Zamiast porządnego zapasu dają tylko jakieś małe kółko, żeby dojechać do najbliższej stacji benzynowej. Jak asfalt siadł pod tym podnośnikiem, przygniotła je rama i całkiem się rozflaczyło.

- W czym mogę pani pomóc? - zapytała Eleanor, kiedy zauważyła, że ma przed sobą niską kobietę o okrągłej jak księżyc twarzy. Ociekające wodą włosy oblepiały jej czoło i uszy, a doszczętnie przemoczona sukienka, którą matka Eleanor nazwałaby podomką, fałdowała się wokół grubych ud, baniastych bioder i małych piersi. Kobieta odgarnęła włosy zasłaniające jej małe oczka i zerknęła z ukosa na moknącą w deszczu Eleanor.

- Wynajęłam tego grata w wypożyczalni imam zamiar go tu zostawić. Jedzie pani może w stronę zachodniego wybrzeża?

- Tak - odparła Eleanor. - Podwieźć panią? - Zanim zdążyła dokończyć pytanie, kobieta otworzyła tylne drzwi swojego wozu, wyciągnęła dwie stare walizki i wrzuciła je na tył dżipa, najwyraźniej nie przejmując się sadzawką deszczowej wody, która tam się zebrała. Następnie wspięła się na przednie siedzenie, chwyciła torebkę i turystyczny worek Eleanor i zapytała:

- Mogę położyć to z tyłu, na moich rzeczach?

- Tak, oczywiście.

- Zmokną tam. Ale przemoczyłyby się też, gdybym rzuciła je na podłogę.

Eleanor kiwnęła głową.

- Może być z tyłu.

Eleanor nie rościła sobie pretensji do wiedzy Henry'ego Higginsa z *Pigmaliiona*, ale była dumna z umiejętności rozróżniania lokalnych dialektów. Od razu domyśliła się, że ta kobieta nie jest rodowitą Hawajką. Mogła pochodzić z któregoś ze środkowo-zachodnich stanów, prawdopodobnie z Illinois. Albo może z Indiany lub z Ohio.

Przesunęła dźwignię biegów i ruszyła z powrotem pod górę. Droga w dalszym ciągu wiała się między niskimi drzewami. Odblaski niewidocznych płomieni Mauna Loa okrywały wszystko

niesamowitą poświatą.

- Tak po prostu wyleciała pani z drogi? - zapytała łapiąc się na tym, że sama zaczyna mówić ze środkowo-zachodnim akcentem. Pozwalała sobie na to czasami, kiedy wyjeżdżała poza Oberlin, choć w latach studiów w Columbi i w Harvardzie zupełnie pozbyła się wymowy z rodzinnych okolic. Kobieta otarła twarz grubymi dłońmi, usmarowanymi przy robocie pod samochodem. Eleanor uderzyła bezpretensjonalność tego gestu, typowego raczej dla mężczyzny niż dla kobiety.

- Nie, nie wyleciałam z drogi - odparła. - Z krzaków wyskoczył jeden z tych cholernych transporterów i o mało mnie nie rąbnął. Jedno koło wpadło mi do rowu, a drugie przedziurawiło się na czymś, ale przynajmniej nie straciłam przy tym życia. A ten piekielnik nawet się nie obejrzał. - Co to za transportery? - Eleanor pochyliła się, aby przetrzeć szybę papierową chusteczką. Deszcz zdawał się ustawać.

- Opancerzone wozy piechoty - powiedziała kobieta. - Z bazy wojskowej Pohakuola, przez którą właśnie przejeżdżamy. Chłopaki zabawiają się jak umieją. Eleanor kiwnęła z uznaniem głową.

- Ma pani coś wspólnego z wojskiem?

- Ja? - Kobieta roześmiała się z taką samą bezpretensjonalnością, z jaką przedtem ocierała sobie twarz. Był to tubalny, gardłowy śmiech, który ciocia Beanie określiłaby słowem: przepity. - A skąd! - powiedziała rozbawionym wciąż głosem. - Nie miałam nigdy do czynienia z wojskiem, jeżeli nie liczyć dwóch z moich sześciu chłopców, którzy służyli w armii. - Ach, tak - powiedziała Eleanor, nieco zawiedziona swoim błędnym przypuszczeniem. Myśl, że ta prostolinijna kobieta mogła mieć jakieś związki z armią, wydawała się jej całkiem prawdopodobna. - Ale wiedziała pani, co to były za pojazdy - dodała uświadamiając sobie natychmiast, jak nieprzekonujący był ten argument.

Kobieta roześmiała się znowu.

- Tak, ale znajaje chyba wszyscy. Nie oglądała pani CNN w czasie wojny w Zatoce? - Od czasu do czasu - odparła Eleanor. Nawierzchnia była tak wyboista, że jej głos zawibrował przy tym jak podczas jodłowania. Droga prowadziła w górę. Kobieta spojrzała na nią w mroku, a potem wzruszyła ramionami. - No tak, był tam mój syn Gary, więc przypuszczalnie miałam więcej powodów niż inni, żeby siedzieć przed telewizorem. Ale muszę przyznać, że po tym, cośmy się naoglądali w Wietnamie i podczas tej afery z zakładnikami w Iranie, miło było popatrzeć, jak nasi wreszcie nie nadstawiają własnego tyłka, ale dająkopa komuś innemu. - Kobieta wyciągnęła rękę, jakby nagle przypomniała sobie o dobrych manierach.

Zaskoczona tym Eleanor zdjęła prawą rękę z kierownicy i wymieniła uścisk dłoni.

Wyczuła przy tym wyraźne zgrubienia na dłoni swej pasażerki.

- Nazywam się Cordie Stumpf... S-T-U-M-P-F... i jestem pani bardzo zobowiązana za to, że się pani zatrzymała, żeby mnie zabrać. Ruch na tej drodze jest tak mały, że mogłabym tam sterczeć Bóg wie ile czasu. Oczywiście jeśli nie liczyć tych cholernych transporterów, ale nie sądzę, żebym miała ochotę jechać tam, gdzie one.

- Eleanor Perry - przedstawiła się Eleanor kładąc rękę z powrotem na kierownicy, aby pokonać kolejny ostry zakręt. - Powiedziała pani, że jedzie pani na zachodnie wybrzeże. A dokładnie dokąd?

- Do jednego z tych luksusowych kąpielisk - odparła Cordie Stumpf. Zaczęła nacierać sobie dłońmi gołe ramiona, jakby jej było zimno. Eleanor zdała sobie nagle sprawę, że na tej wysokości, a do tego w nocy i podczas deszczu, jest rzeczywiście chłodno.

- Do którego? - zapytała włączając nagrzewnicę. - Ja wybieram się na południe, aż do Mauna Pele.

- To w sam raz - powiedziała Cordie.

Eleanor rzuciła jej pytające spojrzenie. Trudno było uwierzyć, aby ta kobieta w perkalikowej domowej sukience z wytartymi, starymi walizkami jako bagażem mogła udawać się do jednego z najdroższych kąpielisk na Hawajach. Chyba powinnam jej powiedzieć, pomyślała, że ten jeden zwariowany tydzień pożre mi oszczędności z całych pięciu lat.

- Tak, ja też tam jadę - dodała Cordie. - Leciała pani może samolotem linii United, który został skierowany do Hilo?

- Tak - potwierdziła Eleanor. Podczas lotu nie zwróciła wprawdzie uwagi na tę kobietę, ale w tylnej części samolotu tłoczyło się przeszło dwieście osób. Eleanor miała się za osobę spostrzegawczą, jednak pani Stumpf nie wyróżniała się niczym, co ułatwiłoby zauważenie jej osoby, z wyjątkiem przesadnej bezpośredniości w sposobie bycia.

- Leciałam pierwszą klasą - powiedziała Cordie, jakby czytała w myślach Eleanor. - A pani siedziała pewnie z tyłu. - W jej głosie nie było nawet cienia snobizmu.

Eleanor kiwnęła głową i uśmiechnęła się leciutko. - Rzadko zdarza mi się latać w pierwszej klasie. Cordie parsknęła znowu swoim chrapliwym śmiechem.

- Mnie nie zdarzyło się to nigdy dotąd. Uważam to za idiotyczne wyrzucanie pieniędzy w błoto. Ale dostałam te bilety jako część nagrody. - Nagrody?

- Urlop z milionerami - wyjaśniła Cordie i zachichotała. - Pamięta pani konkurs magazynu „People”?

- Przegapiłam go - odparła Eleanor. Przeglądała to pismo dokładnie raz w roku, podczas kontrolnej wizyty u ginekologa.

- Ja też - powiedziała Cordie. - Ale mój synek Ho wie nie przepuścił okazji.

Wysłał moje nazwisko, no i wygrałam. Przynajmniej wśród czytelników z Illinois.

- Z Illinois? - zapytała Eleanor. Byłam tego pewna, pomyślała. Okolice Chicago.

Południe stanu.

- Tak. Chodziło o to, że jeden szczęściarz z każdego stanu miał wygrać tygodniowy pobyt w towarzystwie milionerów właśnie w ośrodku Mauna Pele. Wspaniały pomysł Byrona Trumbo. Faceta, który według „People” wybudował to kąpielisko. Zostałam więc czymś w rodzaju Miss Illinois, tyle że od sześćdziesiątego piątego nie jestem już panienką. Najśmieszniejsze jest to, co organizatorzy konkursu ukrywali przede mną: że jestem jedyną osobą spośród pięćdziesiątki zwycięzców, która rzeczywiście tam jedzie. Cała reszta powiedziała „nie” i wzięła ekwiwalent pieniężny albo dopiero go weźmie. - Ale dlaczego? - zapytała Eleanor, choć mogła się tego sama domyślić.

Cordie Stumpf przechyliła znacząco głowę.

- Nie słyszała pani o sześciorgu ludziach, którzy tam zaginęli? Niektórzy twierdzą, że było też paru zabitych, ale ludzie Trumbo to ukrywają. Pisał o tym „Enquirer”. Tytuł był taki: „Ośrodek rekreacyjny za miliard dolarów zbudowany na terenach starego hawajskiego cmentarzyska. Turyści giną bez śladu”. Na pnącej się stromo w górę drodze było teraz mniej zakrętów. Dolina poszerzyła się, a zachodnie zbocza obu gór majaczyły daleko w mroku po obu jej stronach. - Coś o tym czytałam - powiedziała Eleanor, czując się jak krętacz, który ukrywa część prawdy. W rzeczywistości przeczytała wszystko, co tylko mogła znaleźć na temat tych zaginięć, wliczając w to absurdalny artykuł w „National Enquirer”. - Nie boi się pani tam jechać?

Cordie roześmiała się cicho.

- Miałabym przejmować się tym, że hotel stoi na starym indiańskim cmentarzu i duchy niepokoją turystów? Parę lat temu oglądałam coś takiego w filmie Poltergeist. Moi chłopcy bez przerwy przynosili z wypożyczalni kasety z takimi horrorami.

Eleanor postanowiła zmienić temat.

- Ma pani sześciu synów? W jakim wieku?

- Najstarszy ma dwadzieścia dziewięć - powiedział Cordie. - We wrześniu stuknie mu trzydziestka. Najmłodszy dziewiętnaście. A ile mają pani dzieci? Zwykle Eleanor wzdragała się już na samą myśl, że ktoś mógłby pytać ją o takie rzeczy biorąc ją za mężatkę, ale Cordie Stumpf miała w sobie coś, co wykluczało wszelkie gniewne reakcje; otwartą bezpośredniość, podobną do tej, która emanowała z jej ruchów, spontanicznych, niemal żywiołowych, nie kryjących w sobie żadnych dodatkowych znaczeń.

- Nie mam dzieci - powiedziała. - Ani męża.

- I nigdy pani nie miała?

- Nigdy. Jestem nauczycielką. Praca zajmuje mi mnóstwo czasu. No i lubię podróżować.

- Nauczycielką - powtórzyła Cordie. Wydawało się, że obróciła się trochę na fotelu, aby przyjrzeć się lepiej Eleanor. Deszcz przestał padać i wycieraczki szorowały po szybie wydając suche, zgrzytliwe dźwięki. - Miałam kiedyś trochę przykrych przeżyć z nauczycielami, jak chodziłam jeszcze do szkoły, ale coś mi się zdaje, że pani wykłada w college'u. Może historię? Zaskoczona Eleanor kiwnęła głową.

- W jakim okresie się pani specjalizuje? - zapytała Cordie. W jej głosie brzmiało szczere zainteresowanie.

Pytanie to jeszcze bardziej zaskoczyło Eleanor. Ludzie reagowali zwykle tak jak tamten handlowiec w samolocie - patrzyli martwym, przygaszonym wzrokiem, nie okazując żadnego zainteresowania.

- Moje badania i wykłady dotyczą dziejów myśli związanej z Oświeceniem - wyjaśniła podnosząc głos, aby nie zanikł w szumie motoru dżipa i dudnieniu jego wielkich kół. - Osiemnasty wiek - dodała.

Ku jej zdumieniu Cordie Stumpf kiwnęła parę razy głową.

- Ma pani na myśli Woltera, Diderota, Rousseau... - Dokładnie tak - potwierdziła Eleanor przypominając sobie nauki, jakich trzydzieści lat wcześniej udzielała jej ciocia Bemie: „Unikaj niedoceniań ludzi”. - Czytała pani... zna pani ich dzieła?

Cordie roześmiała się jeszcze głośniejszym głosem niż przedtem.

- Ja? Miałabym czytać Woltera? Moja droga, na czytanie mogę sobie pozwolić tylko wtedy, gdy siedzę w toalecie... - Cordie Stumpf odwróciła okrągłą twarz w kierunku jazdy. - Och, Eleanor, nigdy nie czytałam książek żadnego z tych facetów. Bert... znaczy się mój drugi mąż... chciał zdobyć wykształcenie. Z

myślał o dzieciach, i tak w ogóle, zamówił całą Encyclopaedia Britannica. Razem z nią dostał zestaw innych książek... nazywało się to Great Books. Słyszała pani o nich? - Tak - powiedziała Eleanor.

- To taka seria poradników dla ludzi, którzy martwią się, że brak im porządnego wykształcenia. Każda z tych książek miała coś w rodzaju ściągaczki - ciągnęła Cordie. - Taką złożoną kartkę na początku albo na końcu. Było tam o Wolterze i tych innych. Kiedy się urodzili, kiedy umarli. Kiedyś pomogłam Howiemu napisać kwartalne wypracowanie przy użyciu tych kartek. Eleanor kiwnęła

głową. Przypomniało się jej, co jej jeszcze powiedziała ciocia Beanie trzydzieści lat temu: „Ale też nie przeceniaj ludzi”. Nagle droga przeskoczyła najwyższe wzniesienie i przed nimi ukazał się widok na okolicę, która musiała należeć już do zachodniego brzegu największej hawajskiej wyspy, Hawai. Wulkaniczna poświata migotała w oddali odbita od rozfalowanej powierzchni odległego o wiele jeszcze mil na zachód Pacyfiku. Eleanor wydało się, że daleko, na północy dostrzeża kilka światełek. Niebawem dojechały do rozwidlenia dróg. Na drogowskim skierowanym ku północy widniał napis: WAIMEA.

- Ale my jedziemy na południe - powiedziała Cordie Stumpf. Bliżej wybrzeża było dużo cieplej, a nieba nie zasłaniały już chmury. Dopiero tutaj Eleanor uświadomiła sobie, jaki chłód panował tam w górze, na drodze przez przełęcz, gdzie w plecy dał im zimny pasat siekący deszczem. Od chwili, gdy dojechały do rozwidlenia na Waikoloa, a potem przemknęły pomiędzy rozrzuconymi światłami pierwszej napotkanej osady na drogę idącą wzdłuż wybrzeża, mogły odetchnąć przyjemniejszym, nie tak ostrym powietrzem. Wróciła atmosfera tropików. Przesycone solą i zapachem rozkładającej się roślinności morskie powietrze rozwiewało krótko obcięte włosy Eleanor. Szum przyboju ginał prawie w warkocie silnika i dudnieniu kół samochodu.

Tego wieczoru na nadbrzeżnej drodze panował niewielki ruch, ale po pustce drogi przez przełęcz nawet widok pojedynczych samochodów działał drażniąco. Eleanor spodziewała się, że trafi w gęściej zaludnioną okolicę, ale oprócz przymglonych świateł Waimea, które mignęły jej trzydzieści kilometrów wcześniej, i rozrzuconych domków Waikoloa, dostrzegła niewiele śladów ludzkiej obecności.

W światłach reflektorów widać było przeważnie brzegi wielkich pól wulkanicznej lawy, porośniętych niekiedy karłowatymi drzewami. W miarę zbliżania się do miejscowości kąpieliskowych, na płytach magmy zaczęły pojawiać się napisy - słowa i zdania ułożone z białego koralu na tle ciemnej lawy. Były to przeważnie takie same jak wszędzie, młodzieżowe grafitti: PAULA KOCHA MARKA, POZDRAWIA WAS TERRY - ale Eleanor zauważyła od razu, że nie zdarzają się tu wulgarne ani sprośne wyrazy. Zupełnie jakby wysiłek potrzebny do znalezienia i ułożenia dziesiątków białych koralowych kamyczków wykluczał nieprzyjemną trywialność, spotykaną w miejskich napisach. Sporą część stanowiły pozdrowienia: TAJEDOWIE WITAJĄ, GLENNAIMARCI, ALOHA TARA!, DAWID WITA DIANĘ IPATTI, MAHALO PAŃSTWU LAYMANOM. Wkrótce Eleanor złapała się na tym, że zaczęła szukać wśród napisów własnego imienia, niemal pewna, że i ona zostanie powitana w ten sposób. Wypoczynkowe ośrodki były prawie niewidoczne, informowały o nich tylko palące się przy drodze pochodnie, strzeżone bramy i dróżki prowadzące przez czarną lawę ku wybrzeżu. W drodze na południe Eleanor rzuciło się w oczy kilka takich wjazdów, między innymi do kąpieliska Hyatt Regency w Waikoloa, gdzie jutro miał rozpocząć swój pobyt gruby handlowiec z samolotu. Potem zobaczyła odległe światła ośrodka Royal Waikoloan i Aston Bay Club, wreszcie, po przejechaniu piętnastokilometrowego odcinka pustej drogi, oświetloną pochodniami bramę do ośrodka Kona Village, niewidocznego za zwałami lawy. Po przejechaniu kolejnych piętnastu czy dwudziestu kilometrów w kompletnym mroku, stojące wzdłuż drogi sodowe latarnie i jaśniejsze światła od strony morza zapowiedziały lotnisko Keahole.

- Ląduje jakiś odrzutowiec - zauważyła Cordie Stumpf. Zatopiona we własnych myślach Eleanor aż podskoczyła. Prawie zapomniała o siedzącej obok kobiecie. - Widocznie otworzyli lotnisko - powiedziała spoglądając na roziskrzone niebo. - Chmura popiołów musiała się zatrzymać albo odeszła na południe. - Możliwe - przytaknęła Cordie. - Albo tym samolotem przylecieli ważniejsi od nas pasażerowie. Możliwym tego świata łatwiej przychodzi łamanie przepisów.

Eleanor przyjęła sarkazm tej uwagi zmarszczeniem brwi, ale nie odezwała się ani słowem. Kilka kilometrów za lotniskiem połyskiwały na zachód od drogi światła

Kailua-Kona. Eleanor skręciła do miasta,

żeby napełnić zbiornik dżipa i znalazła tylko jedną czynną stację benzynową. Uderzyło ją, że klienci nie obsługiwali się tu sami. Z kantorku wyszedł zaspany pracownik, aby nalać jej paliwa. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją, że była prawie północ. Pokonanie mniej więcej stu trzydziestu kilometrów z Hilo zajęło jej przeszło trzy godziny.

- Daleko jeszcze do Mauna Pele? - zapytała otyłego Hawajczyka. Zmęczona podróżą spodziewała się niemal, że facet spojrzy na nią, wypuści z rąk końcówkę pompy i, niczym w starym filmowym horrorze, odezwie się z przerażoną miną: „Niech pani tam nie jedzie!”

Tymczasem Hawajczyk nie oderwał nawet oczu od licznika pompy i powiedział:

- Trzydzieści pięć kilometrów. Siedem dolarów pięćdziesiąt pięć. Po drugiej stronie miasta droga była bardziej zdradliwa. Urwiska opadały stromo ku morzu, a gwiazdy schowały się znowu za chmurami. - Jezu -j ęknęła zmęczonym głosem Cordie przekrzykując szum wiatru - nie zrobili nic, żeby ułatwić dojazd na miejsce.

- Może powinniśmy były zostać w Hilo jak inni - odparła Eleanor z nadzieją, że rozmowa pomoże jej zwalczyć senność. - I zaczekać do jutra, aż sami nas tu dowiozą - dodała rzucając okiem na zegarek. - To znaczy, do dzisiaj. Cordie potrząsnęła w ciemności głową.

- Co to, to nie. Nagroda przewidywała spędzenie na miejscu siedmiu dni i sześciu nocy, począwszy od dzisiaj szej. Ani myślę tracić jednej nocy bezpłatnego pobytu.

Eleanor odpowiedziała jej uśmiechem. Stoki Mauna Loa, której potężne cielsko majaczyło w mroku po lewej stronie drogi, wznosiły się tu bardziej pionowo. Poprzez wiszące coraz niżej chmury przeświecał ledwo widoczny pomarańczowy odblask dalekich erupcji. Wydawało się, że oprócz kilku domków i nie oświetlonych sklepów na południe od Kona nie ma tu nic więcej, tylko ciągnące się wzdłuż drogi pola lawy i skalne urwiska. Nie było nawet przydrożnych napisów z białego koralu. Przez to poszarpane zwały a ‘a wydawały się jeszcze ciemniejsze i ostrzejsze.

Eleanor sprawdziła na stacji benzynowej stan licznika. Teraz, po niecałych trzydziestu kilometrach stwierdziła, że droga oddala się od nadbrzeżnych klifów, wcinając się na dwa czy trzy kilometry w głąb wyspy. Gdyby nie białe pasy i słupki odblaskowe, czarny asfalt w świetle reflektorów byłby niemal nie do odróżnienia od tak samo czarnej lawy. Wrażenie zagłębiania się w kamienną, dziką pustynię spotęgowało się tu jeszcze bardziej.

- Całkiem tu inaczej niż u nas na środkowym zachodzie, prawda? - zagadnęła Eleanor pasażerkę, licząc na to, że przynajmniej usłyszy znowu brzmienie ludzkiego głosu.

- Niepodobne to do żadnych okolic Illinois, w których byłam -przypadła Cordie Stumpf. - Ani Ohio. A tam u was, koło Oberlinu, jest naprawdę ładnie. - Jeździła tam pani?

- Dżentelmen, który był moim mężem, zanim jeszcze zostałam żoną świętej pamięci pana Stumpha, jeździł do college’u w interesach. A kiedy zwiął z jakąś dziewczyną z Las Vegas... znaczy się z Lester, bo pan Stumpf był zbyt pobożnym człowiekiem, żeby postawić nogę w Las Vegas... przejęłam po nim interesy w Ohio i sama zaczęłam jeździć czasami do college’u w Oberlinie. - Co to za interesy? - zapytała Eleanor. Była pewna, że pani Stumpf jest „zwyczajną” gospodynią domową.

- Wywóz śmieci - odparła Cordie. - Hej, coś tam widzę. To „coś” okazało się bramą wjazdową, kamiennym murem i strażniczą budką krytą palmowymi liśćmi, wszystko oświetlone kilkoma gazowymi pochodniami. Ogromne mosiężne litery na kamiennym murze, w rodzaju tych, jakie można

zobaczyć nad wejściem do Jurajskiego Parku czy skansenu Flintstones, układały się w napis:

MAU-NA PELE.

Eleanor odetchnęła z ulgą tak głęboko, że sama zdumiała się pojemnością swoich płuc.

- Nareszcie na miejscu - powiedziała Cordie Stumpf prostując się na siedzeniu i odgarnęła do tyłu proste włosy.

Kiedy podjechały bliżej, z oświetlonej budki wyszedł zaspany mężczyzna w ochroniarskim uniformie. Między budką a murkiem wisiał ciężki łańcuch. - Aloha - powiedział strażnik ze zdziwioną miną. - Czym mogę służyć? - Mamy zarezerwowane pokoje w Mauna Pele - odparła Eleanor spoglądając na zegarek. Było wpół do pierwszej w nocy.

Strażnik kiwnął głową i spojrzał na listę gości, przypiętą do specjalnej tabliczki.

- Mogę prosić o nazwiska pań?

Eleanor podała mu personalia. Na moment ogarnęło ją niesamowite wrażenie, że ona sama i ta dziwna kobieta o okrągłej twarzy i zaczerwienionych dłoniach, ubrana w domową sukienkę, są starymi przyjaciółkami i towarzyszkami podróży. Przypisała to wrażenie paramnezji wywołanej zmęczeniem. Eleanor uwielbiała podróże, ale nigdy nie była w stanie dobrze przespać nocy poprzedzającej nową wycieczkę. - Witamy w Mauna Pele - powiedział strażnik. - Sądziliśmy, że wszyscy przybywający dziś goście zatrzymali się w Hilo. - Odczepił łańcuch i rzucił go na jezdnię. - Proszę przejechać tą alejką mniej więcej trzy i pół kilometra. Jest trochę wyboista, bo jeżdżą nią maszyny budowlane, ale ostatni odcinek, bliżej Wielkiego Hale, będzie dużo gładszy. Proszę nie skręcać w żadną z nieasfaltowanych drózek, idących przez teren pokryty lawą... można tam wpaść na jakiś skład materiałów budowlanych. Mogą panie zostawić džipapod porte cochere z kluczykami w stacyjce, zostanie odstawiony na parking przez obsługę. Cordie pochyliła się w jego stronę.

- Co to takiego, to Wielkie Hale?

Mężczyzna uśmiechnął się. Jego twarz ukazywała się, to znów znikwała w migocącym świetle pochodni.

- Hale oznacza po prostu „dom”. W Mauna Pele jest przeszło dwieście małych hale, przypominających domki z trawy, tyle że dużo bardziej komfortowych. Wielkie Hale jest siedmiopiętrowym głównym budynkiem, w którym mieści się centrum konferencyjne, sale restauracyjne i sklepy. Jest tam także około trzystu pokoi. - Dziękujemy - powiedziała Eleanor. - Mahalo. Mężczyzna skinął głową i odprowadził je wzrokiem. Eleanor zobaczyła we wstecznym lusterku, że zawiesza łańcuch na miejsce. - Co to jest porte cochere - zapytała Cordie.

Od trzeciego roku życia Eleanor bała się straszliwie zadawania tak zwanych głupich pytań. Już we wczesnym dzieciństwie nauczyła się szukać w książkach informacji o różnych sprawach, aby uniknąć w ten sposób okazywania ignorancji. Łatwość, z jaką Cordie pytała o niezrozumiałe dla niej rzeczy, budziła w niej po prostu szacunek.

- Wejście przykryte częściowo daszkiem - wyjaśniła. - Zwykle daszek zaczyna się już na podjeździe. Bardzo użyteczne tu, w tropikach. Cordie kiwnęła głową.

- Coś takiego, jak zadaszanie na samochód koło domu, tyle że można tamtędy chodzić.

Alejka była w dużo gorszym stanie niż droga przez przełęcz. Dżip podskakiwał na wyboistym asfalcie. Eleanor skupiła się na pro-58 wadzeniu auta, aby nie wpaść na piętzącą się po obu stronach lawę. Co jakiś czas migwały zaparkowane obok drogi spychacze i koparki, a dwukrotnie zobaczyły stalowe, ogrodzone i oświetlone baraki.

- Całkiem prymitywny dojazd, jak na jeden z najdroższych ośrodków rekreacyjnych na świecie - zauważyła Eleanor.

- Ile się tu płaci za pokój albo hale... na dobę? - zapytała Cordie. - Hmm... zdaje mi się, że mój powinien kosztować przeszło pięćset dolarów - powiedziała Eleanor. - Ale ze śniadaniem.

Cordie wydała zdławiony okrzyk.

- Przy takich cenach mogliby choć załatać tę dróżkę. Po dwóch kilometrach alejka zrobiła się szersza i gładza. Nagle podzieliła się na dwa pasma, a po obu stronach pojawiły się żywopłoty ze szkarłatnych bugenwilli. Między jezdniami wyrósł pas bujnie rozrośniętych i troskliwie wypielęgowanych tropikalnych kwiatów i paproci, a drogę przez palmowy gaj oświetliły gazowe pochodnie, rozstawione w dziesięciometrowych zaledwie odstępach. Eleanor spostrzegła, że kręta alejka prowadzi między odcinkami nie oświetlonego, wymyślnego pola golfowego. Na szybie dżipa pojawiły się kropelki wody z ukrytych w mroku spryskiwaczy, zapachniało mokrą trawą i parującą ziemią. Zza zakrętu wyłoniły się światła latarni.

Pod porte cochere czekała na nie otyła kobieta ubrana w muumuu, która powitała je wianuszkami lei i poprowadziła do holu. Wielkie Hale było po części hotelem, po części zaś gigantycznym szałasem w disneyowskim stylu, z podrabianymi strzechami, prywatnymi lanai przy każdym pokoju i girlandami kwitnących roślin, zwisającymi ze wszystkich balkonów, zupełnie jakby chciano tu odtworzyć wiszące ogrody Babilonu.

Wysiadłszy z dżipa Eleanor poczuła się jak staruszka. Miała obolałe plecy, bolała ją też głowa. Woń kwiatów z lei docierała do niej poprzez mgłę zmęczenia niczym wołanie z oddali. Kobieta w muumuu przedstawiła się jako Kalani. Eleanor ruszyła za nią i za Cordie, mając przed sobą kwieciste muumuu i przemoczoną sukienkę z perkaliku w kwiatki. Szły po wyłożonych płytkami schodach do holu o pięknej ceramicznej posadzce, z dwoma złotymi posągami Buddy stojącymi po obu stronach wejścia, potem do atrium, gdzie stały wysokie na dziesięć metrów klatki ze śpiącymi ptakami. Minęły taras z widokiem na czubki palm, których drżące liście odbijały światło gazowych pochodni, i dopełniły wpisowe formalności przy recepcyjnym biurku. Zarejestrowały też karty kredytowe - przy czym Cordie nie musiała okazywać swojej, przyjęła tylko gratulacje od 59 Kalani i jej męża, drobnego człowieczka o śniadej skórze, który pojawił się obok żony przy biurku. Oboje byli mocno podnieceni tym, że goszczą jedną z laureatek konkursu. Mężczyzna miał na sobie hawajską koszulę i białe spodnie. Uśmiechał się tak samo szeroko jak jego małżonka.

Eleanor pomachała ręką Cordie, którą poprowadzono do windy - widocznie zwycięzców konkursu umieszczano w Wielkim Hale - sama zaś udała się za niskim mężczyzną w kierunku tarasu. Domyślała się niejasno, że Wielki Hale został wybudowany na stoku wzgórza, bo ta sama kondygnacja, która przy wejściu znajdowała się na parterze, od strony oceanu wznosiła się co najmniej dziesięć metrów nad ziemią. Recepcjonista poprowadził ją po schodach do elektrycznego wózka, na którym leżała już jej podróżna torba. - Ma pani rezerwację w tahitańskim domku numer dwadzieścia dziewięć? - zapytał mężczyzna. Eleanor spojrzała na klucz, ale tak naprawdę portier wcale nie oczekiwał odpowiedzi. - Te hale są bardzo ładne. Prześliczne. I nie dochodzą do nich hałasy z Wielkiego Hale.

Ruszyli z cichym szumem wąską asfaltową alejką wysadzaną palmami. Eleanor jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem Wielki Hale. Główny hotel tonął w mroku, tylko w kilku pokojach paliło się światło, przebłyskujące zza firanek. Płomienie pochodni falowały na nocnym wietrze. Eleanor podejrzewała, że tej nocy jest tam niewielu gości. Nie wyobrażała sobie, aby z Wielkiego Hale mogły rozchodzić się kiedykolwiek większe hałasy.

Minęli kilka małych jezior, potem zjechali w dół, przez ogród pełen aromatów, od których

zakręciło się jej w głowie. Skręcili na mostek przerzucony nad wąskim kanałem, przejechali koło wodospadu, przez jeszcze jeden mostek i objechali mały basen pływacki. Na chwilę ukazał się im morski brzeg, o który rozbijały się białe fale wznosząc fosforyzującą mgiełkę, wreszcie wjechali między gęściej rosnące palmy. Eleanor zauważyła, że między drzewami stoją małe domki, wznoszące się o dwa lub trzy metry ponad poziom alejki, którą jechali. Osłonięte lampy świeciły nisko nad ziemią, osadzone głęboko pośród tropikalnego listowia, ale stojące co parę metrów pochodnie nie paliły się. Być może gaszono je o jakiejś rozsądnej godzinie.

Ogarnęła ją niepokojąca pewność, że ogromna większość tych drogich hale świeci tej nocy pustkami. Widać było, że Mauna Pele jest prawie zupełnie opustoszała, a w ogromnym ośrodku nie ma prawie nikogo oprócz pomocniczego personelu i nocnych pracowników.

Wszyscy skupili się w tej oazie światła, jaką stanowił główny hol, atrium i taras Wielkiego Hale. Mały samochodzik objechał jeszcze jedno obrzeżone skałami jezioro, skręcił w lewo w wąską dróżkę i zatrzymał się przed krytym strzechą hale, do którego prowadziły wysokie na trzy metry schody. - Tahitański domek numer dwadzieścia dziewięć - oznajmił przewodnik. - Bardzo ładny - dodał. Sięgnął po bagaż Eleanor, wbiegł po schodach na górę, otworzył i przytrzymał drzwi.

Eleanor weszła do środka i wydało jej się, że śni. Wnętrze prezentowało się bardzo elegancko - najpierw weranda, potem mały przedpokój, wąski korytarz prowadzący do otwartej łazienki, saloniku i położonej za nim sypialni. Królewskich rozmiarów łożo nakryto jasną kołdrą w jakieś miejscowe, wyspiarskie wzorki. Po obu stronach łóżka paliły się lampy. Okna we wszystkich ścianach miały zaciągnięte do połowy żaluzje, a pod wysokim sufitem, z ozdobnymi kratkami na szczytowych ściankach, obracały się powoli dwa wentylatory. Za balkonowymi drzwiami Eleanor dostrzegła prywatny lanai. Dochodził stamtąd szmer pompy napełniającej ciepłą wodą mały basenik.

- Bardzo ładnie? - powtórzył recepcjonista pytająco.

- Bardzo ładnie - potwierdziła Eleanor. Mężczyzna uśmiechnął się. - Mam na imię Bobby. Proszę dać mi znać, gdybym ja lub ktoś inny z personelu mógł w jakikolwiek sposób uprzyjemnić pani pobyt u nas. Śniadanie podajemy na tarasie Wielkiego Hale i w Pirackim Barze od siódmej do wpół do jedenastej. Wszystkie informacje znajdzie pani tutaj... - Położył rękę na grubym pliku folderów i informacyjnych druków na nocnej szafce. - Nie używamy tu tabliczek z napisem „Proszę nie przeszkadzać”, ale gdyby życzyła sobie pani, żeby nikt nie zakłócał pani spokoju, proszę położyć ten kokosowy orzech na ganku i nikt na pewno nie wejdzie. - Wziął do ręki orzech z wymalowanym symbolem Mauna Pele. - Aloha!

Napiwek, błysnęło w głowie Eleanor poprzez mgiełkę znużenia. Sięgnęła do torebki. Znalazła tylko dziesięciodolarowy banknot, ale kiedy obróciła się trzymając go w dłoni, Bobby'ego już nie było. Usłyszała szum odjeżdżającego elektrycznego wózka, ale zanim znalazła się przy zasłoniętym żaluzjami oknie, i on rozpląnął się w mroku.

Przez kilka minut zwiedzała swój hale zapalając i gasząc światła w różnych zakątkach. Upewniła się, czy składane tylne drzwi i wejście na werandę są zamknięte. Wreszcie usiadła na łóżku, zbyt zmęczona, aby się rozpakować czy rozebrać.

Siedziała tak na wpół drzemiąc i jeszcze raz przemierzając we śnie drogę przez przełęcz, pośród stalowych bestii przedzierających się z łoskotem przez zagajniki, kiedy za oknem rozległy się przeraźliwe krzyki.

Rozdział szósty

*Kiedy układam się do snu, pośród nocnej ciszy
podnosi się donośny, głęboki głos.*

*W tym dalekim zakątku, na skale wylaniającej się z oceanu gdzieś na krańcach ziemi,
rozpoznaję znajomą melodię z moich stron.*

Ale jej słowa wydają mi się trochę przekręcone: Waikiki lantoni oe Kaa hooly hooly wawhoo.

W tłumaczeniu znaczą one: „Kiedy maszerowaliśmy przez Georgię... „

Mark Twain Roughing it in the sandwich islands

7 czerwca 1866 roku, Hilo, Hawai

Nasz pan Clemens staje się powoli źródłem mojego stałego utrapienia. Dwudniową podróż z Honolulu na wyspę Hawai mogę ocenić najogólniej jako jedno z najprzykrzejszych doświadczeń w moim życiu. Ledwie wyszliśmy na morze, kiedy nasz statek „Boomerang”, podstarzały parowiec z napędem śrubowym o wyporności około trzystu ton, zaczął się zataczać, to wspinając się na grzbiety fal, to znów zjeżdżając w doliny. Większość moich towarzyszy podróży postąpiła słusznie i wycofała się na swoje koje, aby przeżywać napady nudności we względnym odosobnieniu. Co prawda na tym okropnym statku nie było żadnych odosobnionych miejsc ani rozdziału według płci, bo wszyscy - hawajski krajowiec, dżentelmen z Honolulu, brytyjska lady, Chińczyk i miejscowy poganiacz krów - zostali wymieszani w najbardziej przypadkowy sposób. „Rufowa kajuta” była tyl-62 ko przedłużeniem ogólnego pomieszczenia, w którym sieje, pije, przechadza i gra w karty.

Po wspomnianym poprzednio werbalnym zwycięstwie nad nudnym panem Clemensem zeszedłam na dół do przepastnej kajuty, ale natychmiast po dotarciu do mrocznych czeluści długiego, wspólnego pomieszczenia zobaczyłam dwa karaluchy na przydzielonej mi koi. Wspominałam często, że brzydzę się tych stworów i boję się ich bardziej niż niedźwiedzi i panter z Gór Skalistych, dodam więc tylko, że nie były to zwyczajne karaluchy. Te potwory miały czerwone oczy i dorównywały rozmiarami homarom, a na ich czułkach można by powiesić kapelusz i parasolkę. Oprócz niestosownych dźwięków wydawanych przez co bardziej uczulonych na morską chorobę pasażerów, którzy pozbywali się uroczystych lunchów, spożytych przed odpłynięciem z Honolulu, było też słychać chrapanie obojętnych na wszystko podróżnych, którzy poukładali się do snu niczym kłody pod ścianami wspólnego pomieszczenia. Zauważyłam, że pani Windwood wykorzystuje w charakterze podnóżka głowę jakiegoś drzemiącego dżentelmena, którym był, jak to odkryłam później, gubernator wyspy Maui.

Nie spuszczać z oka karaluchów, które kręciły się po mojej poduszce najwyraźniej szykując się do ucięcia sobie długiej drzemki, wycofałam się na górny pokład i zgodziłam się przyjąć miejsce na materacu koło nadburcia na rufie. Wydawało mi się, że pan Clemens także zaplanował spędzenie większej części podróży tu, na górze, gdzie „wdycha się powietrze tylko raz”, i w ten sposób znowu zostaliśmy skazani na rozmowę. Przez kilka godzin, zanim ostateczne wyczerpanie nie zmusiło nas do położenia się na naszych pokładowych „kojach”, rozmawiałam z panem Clemensem na przypadkowe, a często niestosowne tematy. Korespondent był, jak przypuszczam, zaskoczony tym, że spotkał damę lubiącą żarty i opowiadającą nie mniej zabawnych anegdot niż on sam. Ani na chwilę nie wyzbył się swej młodzieńczej szorstkości i okropnego zwyczaju zapalania tanich cygar, i to nawet bez

zwyczajowego „za pozwoleniem pani”. Jednak po podróży przez pustkowie Górn Skalistych, a stamtąd przez cały Dziki Zachód aż do San Francisco, byłam przyzwyczajona do takiego nieokrzesania. Przyznaję, że gadatliwy dziennikarz pomógł mi zapomnieć o żołądku i odwrócił moją uwagę od pokonującego fale „Boomeranga”, a także uchronił przed groźbą zagryzienia na śmierć przez karaluchy.

Kiedy wspomniałam mu, jaki wstręt ogarnął mnie na widok tych stworzeń, pan Clemens stwierdził, że ich obecność była także w znacznej mierze powodem, dla którego wyszedł na pokład.

- Karaluchy, które rezydowały w mojej koi, były wielkości brzoskwińowego liścia - powiedział. - Miały długie, drgające czułki i gorejące, złośliwe oczka. Zgrzytały zębami niczym robaki żerujące w tytoniu i wyglądały tak, jakby były z czegoś niezadowolone.

Opisałam wielkie jak homary insekty, które wzięły w posiadanie moją poduszkę. - Próbowałam przepędzić je parasolką- powiedziałam- ale mniejszy z dwóch karaluchów przywłaszczył ją sobie. Pewnie chce z niej zrobić namiot. - To prawdziwe szczęście, że zrezygnowała pani z dalszej walki - oświadczył pan Clemens. - Wiem z wiarygodnego źródła, że te gady w owadziej skórze mają zwyczaj objadać śpiącym marynarzom paznokcie u nóg, i to do żywego. To właśnie obudziło we mnie nieprzeparte pragnienie, żeby znaleźć się tu, na górze i spać na deszczu.

Na takich to nedorzecznych pogaduszkach spędziliśmy sporą część wieczoru. O piątej rano statek zawinął do Lahaina, największego miasta na zielonej wyspie Maui. Pan Clemens zdradzał wielką ochotę do wyjścia na ląd. Na nieszczęście dla niego i dla niżej podpisanej - bo dzięki temu mogłabym odetchnąć od jego natrętnej gadatliwości - kapitan „Boomeranga” wysłał na brzeg jedynie szalupę z pocztą i różnego rodzaju prowiantami, zabierając stamtąd podobny ładunek. Panu Clemensowi pozostało jedynie stanąć przy nadburciu, wdychać woń sandałowego drzewa, płynącą od tej południowej wyspy, i obdarzać mnie opowieściami o wędrówkach po zielonych wzgórzach, które odbył wcześniej, podczas swego trzymiesięcznego pobytu na archipelagu.

Odplynęliśmy z Maui wczesnym popołudniem. Kanał między wyspą a jej większą siostrzycą od strony południowej okazał się najbardziej niespokojnym kawałkiem morza, na jaki natknęliśmy się dotąd. Przejście zajęło nam tylko sześć godzin, ale większości naszych towarzyszy podróży czas ten musiał wydawać się dłuższy, bo zanim dotarliśmy do przybrzeżnych wód wyspy Hawaj, niektórzy z nich modlili się o śmierć, nie widząc innego ratunku od trapiącej ich mai de mer. Pan Clemens okazywał w dalszym ciągu odporność na wszystkie te wstrząsy i kołysania statku, choć zdawał się trochę poruszony widokiem zataczających się pasażerów, a kiedy napomknęłam o jego niewrażliwości, zwierzył mi się, że „przeszedł swój e” j jeszcze przed wojną domową jako pilot rzecznych statków. Zapytałam go, czemu zdradził tę profesję, aby zostać korespondentem. Pan Clemens oparł się o nadburcie, przypalił kolejne ze swoich obrzydliwych cygar i powiedział z lekkim błyskiem w oku:

- Zrobiłem to bardzo niechętnie, panno Stewart. Mam na myśli włączenie się do literackiego życia. Próbowałem znaleźć uczciwą pracę... niech Opatrzność zamieni mnie w metodystę, jeśli tak nie było. Próbowałem, ale bez skutku, więc poddałem się pokusie znalezienia zajęcia, przy którym mogę zarobić na życie bez pracy. - Ależ panie Clemens, nie tęskni pan za tamtym zawodem? - zapytałam, aby nie dać się wciągnąć w jego dziecinne rozważania.

Tym razem, zamiast odpowiedzieć mi kolejnym niezgrabnym zarcikiem, rudowłosy korespondent spojrzał w dal nad oceanem, jakby dojrzał tam coś szczególnie frapującego. Po raz pierwszy zobaczyłam wyraz powagi na jego twarzy. - Nigdy nie pokocham innego zajęcia ani innej osoby tak jak kochałem tamten zawód - powiedział, tym razem bez przesadnej afektacji, którą wyczuwałam

przedtem w jego głosie. - Tam na rzece prowadziłem życie najbardziej niezależne, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nikogo o nic nie pytałem, nikt mi nie rozkazywał i cieszyłem się nieskrępowaną wolnością, o jakiej ludzka istota może tylko marzyć.

Trochę zaskoczona poważnym tonem jego odpowiedzi, powiedziałam:

- A czy pańska rzeka była równie piękna, jak ten nie tak znowu spokojny ocean?

Pan Clemens milczał przez chwilę, zaciągając się trującym dymem cygara. - W najwcześniejszym okresie, panno Stewart, wędrowanie po rzece było dla mnie tak samo pociągające jak zwiedzanie Luwru. Wszędzie odsłaniały mi się nieoczekiwane piękne szczegóły. Ale, jak powiedział kowboj, który odkrył węza w swoim bucie, byłem na to trochę nieprzygotowany. A kiedy doszedłem do większej sprawności jako pilot, to piękno gdzieś znikło. - Dlatego, że nabrał pan wprawy? - zapytałam.

- Nie - odparł pan Clemens wyrzucając niedopałek cygara do morza. - Dlatego, że nauczyłem się języka rzeki.

Obrzuciłam go pytającym spojrzeniem i zaczęłam obracać w rękę parasolkę.

Na twarzy korespondenta pojawił się chłopięcy uśmiech. - Tamta rzeka, panno Stewart, była jak książka. Powierzchnia wody, zarówno podczas posuwania się w górę, jak i z prądem, przypominała starożytny, ale niedawno odkryty pergamin zapisany martwym już językiem. W miarę, jak się go uczyłem... mam na myśli znaki dawane przez zdradliwe, spływające z nurtem kłody, niewidoczne ostre rafy czy zarośnięte brzegi, które zapamiętywałem nie ze względu na ich piękno, ale jako ostrzeżenia ułatwiające znalezienie bezpiecznego przejścia... ta wspinała księga wyrzekała się na moją rzecz swoich tajemnic. Tak samo było z jej naturalnym, pierwotnym pięknem - ciszą o świcie, zamierającymi szmerami o zachodzie słońca... wszystko to odchodziło na dalszy plan, jakby piękno tych zjawisk wynikało z ich tajemniczości. Przyznaję, nagle przeistoczenie się tego dżentelmena z gburowatego pisarczyka w filozofującego poetę sprawiło, że zaniemówiłam na chwilę. Może pan Clemens to zauważył, a może tak go poniosły zmagania z własną wyobraźnią, dość, że wyciągnął następne cygaro i zaczął nim wymachiwać jak laseczką. - W każdym razie, panno Stewart, musi pani wiedzieć, że rzeczny statek może panią zabić w każdej chwili. Wystarczy, żeby wybuchł kocioł albo kadłub rozpruł się w ułamku sekundy o którąś z tych ślicznych ostrych raf. Jednak nigdy nie wywraca człowieka na nice, tak jak to zrobiła z naszymi biednymi współpasażerami ta oceaniczna kolebka.

Zostawiłam pana Clemensa i wdałam się w ożywioną rozmowę z Thomasem Lymanem, panią Wendt i wielebnym staruszką Haymarkiem na temat różnych „za” i „przeciw” działalności misjonarskiej i jej wpływu na życie tych wysp. Pani Wendt i pan Lyman podzielali modne obecnie przekonania, że misjonarze oddziałują w sposób katastrofalny na gospodarkę, zdrowie i autonomię wyspiarzy, podczas gdy zażywający tabakę księżuło wyznawał bardziej tradycyjny pogląd. Oświadczył, że zanim jeszcze jego ojciec i przyjaciele z poprzedniej generacji przybyli tu z Dobrą Nowiną, krajowcy byli poganami składającymi ofiary z dzieci. Przyznaję, że kiedy nasza rozmowa zaczęła nieuchronnie zmierzać w wiadomym kierunku, zaczęłam zastanawiać się, jakiego rodzaju nie stosowną uwagę mógłby do niej wtrącić pan Clemens. On jednak zawładnął materacem pod płócienną osłoną i przespał najgorętszą część tropikalnego dnia.

Późnym popołudniem ukazała się nam wyspa Hawaj, ale chmury zasłoniły wszystko, z wyjątkiem szczytów dwóch potężnych wulkanów, połyskujących białym śniegiem. Już sama myśl o śniegu na tych szerokościach wystarczyłaby, aby przyprawić mnie o zawrót głowy. W tym momencie postanowiłam złamać słowo, dane moim przyjacielom-misjonarzom w Honolulu, którzy wymusili na mnie przysięgę, że nie będę nawet próbowała wejść na szczyt Mauna Loa ani jej ziejącej ogniem

siostrzycy. Kiedy weszliśmy do portu Kawaihae na północno-zachodnim brzegu Hawai, było już ciemno. Także tym razem nastąpiła krótka wymiana poczty i ładunku, po czym ruszyliśmy dalej kanałem oddzielającym wyspę Maui od północnego cypla Hawai. I tu, chociaż niebo wolne było od chmur, a tak jasno świecących gwiazd nie widziałam nigdy dotąd, z wyjątkiem nocy na najwyższych szczytach Gór Skalistych, morze było wzburzone bardziej niż przedtem. Zamieniło wspólne pomieszczenie pod pokładem w niemego świadka cierpienia ludzkości. Tej nocy nie było żadnych rozmów przy burcie z panem Clemensem ani z którymkolwiek z pozostałych pasażerów; przyjąłem z wdzięcznością miejsce na materacu pod płóciennym daszkiem koło pokładowego wywietrznika i spędziłem większość z następnych siedmiu godzin na czepianiu się jakichś lin i mosiężnych klamer, aby nie stoczyć się z pokładu do morza. Czasami, kiedy zapadałem w sen i zwalniałem chwyt, materac zjeżdżał po pochyłości w kierunku burty, aby w chwilę potem odstawić mnie na miejsce, kiedy statek przechylał się w przeciwną stronę. Zaczęłam rozumieć, dlaczego nadano mu imię „Boomerang”.

Wśród przelotnych deszczyków słońce wstało w glorii tęczy, a morze uspokoiło się i wygładziło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Otworzył się bezkresny widok na północno-wschodnie brzegi Hawai, które okazały się całkowicie odmienne od zaskakująco brunatnych, spalonych wzgórz i połaci czarnej lawy, jakie oglądaliśmy poprzedniego dnia o zmierzchu po stronie północno—zachodniej. Tu wszystko skąpane było w niezliczonych odcieniach zieleni, od promiennego szmaragdu aż po zmatowiałą szarość niektórych upraw, a północne wybrzeże otworzyło przed nami godny Mórz Południowych, zmieniający się niczym w magicznej latarni widok na przerażające urwiska okryte zieloną roślinnością. Nikt z nas nie był w stanie wyobrazić sobie, jak mogła ona wyrosnąć na tak pionowych płaszczyznach, przedzielonych przepaścistymi kanionami. Spoza nich wyzierały zieleniejące dolinki, ozdobione czasem małymi plażami, połyskującymi bielą lub czernią pod zieloną ścianą klifu. Spadały ku nim z wysokości trzystu metrów i więcej niezliczone wodospady, biorące początek w zielonej dżungli na szczytach nieprzebytych stromizn, aby rozprysnąć się w skalnych sadzawkach, zraszając wszystko wodną mgiełką. A wszędzie, na całej długości tego wspaniałego wybrzeża, rozbijały się na skałach fale przyboju, hucząc - zapewnił mnie o tym wielebny Haymark - niczym armaty podczas niedawnej wojny. W miej scach, gdzie toczące się bałwany wpadały z łoskotem do grot i szczelin w skalnej ścianie, strzelające w górę gejzery skrapiały kępy paproci, rozrośniętych bujnie na kamiennych zboczach. Cieszyliśmy oczy tymi wspaniałościami płynąc jakieś pięćdziesiąt kilometrów wzdłuż północnego wybrzeża. Nigdzie nie dostrzeżliśmy najmniejszych śladów ludzkich siedzib, oprócz kilku kościółków zbudowanych przez krajowców z trawy, które stały na polankach w pobliżu krawędzi urwisk. Dopiero na kilkanaście kilometrów od Hilo zauważyliśmy pierwsze plantacje trzciny cukrowej, których zieleń była jeszcze bardziej zdumiewająca od tej, do jakiej nasze oczy zdołały się już niemal przyzwyczaić. Białe budynki cukrowni z wysokimi kominami stanowiły przyjemny kontrast z tym morzem roślinności. Potem pojawiło się więcej domów, więcej dolin z mnóstwem chałup z trawy, a także więcej plantacji. Coraz niższe nadbrzeżne urwiska i skały zaczęły mi przypominać bardziej dostępne brzegi Nowej Anglii, aż w końcu dotarliśmy do Hilo, celu naszej podróży. Od pierwszej chwili, gdy tylko wpłynęliśmy do półkolistej zatoki, tak dogodnej i dobrze służącej miejscowej społeczności, mogłam stwierdzić, że Hilo jest prawdziwą perłą Pacyfiku i rajem, na który takie niby-miasta jak Honolulu mogą jedynie spoglądać z zazdrością. Z powodu wilgotnego klimatu i doskonałych warunków dla roślinności samo miasto dawało się raczej wyczuć niż zobaczyć. Wszędzie rosły palmy kokosowe, tungowce, drzewa chlebowe, a tysiączne odmiany tropikalnych kwiatów, paproci i pnączy nie pozwalały nawet dostrzec jakiegokolwiek białego domu czy wieżyczki.

Szum przyboju nie przypominał tu już armatnich wybuchów, ale przywoływał na myśl łagodne brzmienie chóru dziecięcych głosów. Zielony baldachim okrywający okazałe domy i chaty z traw i liści zdawał się kołysać do rytmu tej muzyki, płynącej z serca Natury. Czułam się tak, jakby nasz zatruty robactwem, trapiiony przez cały dwudniowy rejs chorobą parowiec przeistoczył się w jakiś cudowny sposób w niebiański statek, przenoszący szczęśliwych pielgrzymów do rajskiego przedsionka Edenu.

Była to wspaniała chwila. A mogłaby być j jeszcze bardziej wzniosła, gdyby pan Clemens nie potarł o podeszwę buta jednej ze swoich piekielnych zapalek, nie zapalił cygara i nie odezwał się cynicznie:

- Te drzewa wyglądają jak kolekcja pierzastych miotełek do odkurzania, w które rąbnął piorun, nieprawdaż?

- Bynajmniej - odparłam najchłodniej jak tylko mogłam, starając się nie utracić ani okruszyny ze wspaniałej uczy, jaką widok ten oferował każdej naprawdę wrażliwej duszy.

- A te chatki z trawy - ciągnął pan Clemens - są tak puszyste, jakby były zrobione z niedźwiedzich futer, nie sądzi pani? Nie odpowiedziałam mając nadzieję, że moje milczenie będzie dla niego wystarczającą reprimendą.

Lekceważąc mnie najwyraźniej, rudowłosy pomyleniec zasłonił mi widok chmurą tytoniowego dymu.

- Nie widzę żadnych czaszek ani łowców głów - powiedział -ale jeszcze nie tak znowu dawno stary Kamehameha i jego chłopcy ozdabiali te brzegi głowami wrogów i ludzi składanych w ofierze, umieszczanymi na tyczkach wokół świątyń. Otworzyłam parasolkę i odwróciłam się, aby nie słuchać więcej jego obraźliwych żartów. Ale zanim zdołałam oddalić się w kierunku dziobu, gdzie byli moi przyjaciele, usłyszałam jeszcze, jak ten prostacki korespondent mruczy pod nosem, jakby mówił do siebie:

- To haniebne, za cenę jakich szkód cywilizuje się takie zakątki. I jakrozczarowuje to, co pozostało dziś do obejrzenia turyście.

Rozdział siódmy

Gdy ci smutno, gdy ci źle

Nie daj się i wrzucaj luz,

Zatańcz, zatańcz, zatańcz hula,

Stary, dobry hula blues!

Popularna piosenka z lat trzydziestych

Nad ośrodkiem Mauna Pele wstał rześki jasny poranek. Promienie słońca pełzły po południowych krańcach wulkanu, uwydatniając kontury tysięcy zielonych palmowych liści. Umiarkowany wiatr odsunął chmurę popiołów daleko na południe, dzięki czemu kopuła nieba zajaśniała znowu niczym nie zmaconym błękitem. Morze było spokojne, a fale przyboju muskały łagodnie biały piasek plaży. Byron Trumbo nie rzucił nawet okiem w ich kierunku.

Japończycy przylecieli poprzedniego wieczoru na czas, aby trafić na otwarcie lotniska i wylądowali w godzinę po odrzutowcu Trumbo. Przejazd limuzyną i krótkie powitanie w Mauna Pele odbyły się według planu. Pan Hiroshe Sato i grono jego przyjaciół zostali umieszczeni w królewskich apartamentach Wielkiego Hale, obejmujących kompleks pokoi na najwyższej kondygnacji, trochę tylko mniej wykwintnych od prezydenckiego apartamentu samego Trumbo. Wszyscy członkowie grupy Sato położyli się spać wkrótce po przybyciu tłumacząc się długim lotem, choć w przypadku podróży z zachodu na wschód nie powinno to stanowić żadnego problemu. Ze względu na późną porę mogło się wydawać, że w ośrodku panuje normalna nocna cisza, nie spowodowana drastycznym wyludnieniem. Trumbo rozmieścił swych ochroniarzy trójkami wokół królewskiego apartamentu. Z samego rana dyrektor Stephen Ridell Carter zameldował, że trzech samochodowi dealerzy z New Jersey nie zostali odnalezieni, ale przynajmniej nie wyglądało na to, aby w nocy zginął ktoś jeszcze.

Byron Trumbo był wciąż niespokojny.

- Jakie mamy plany na dzisiaj? - zapytał Willa Bryanta. - Pierwsze spotkanie ma się odbyć przy śniadaniu?

- Zgadza się - odparł Bryant. - Nasi ludzie spotykają się z ich grupą u nich na tarasie, gdzie podadzą śniadanie. Pan i Sato wymieniacie uprzejmości i prezenty. Pan zaprasza na objazd posiadłości, następnie pańscy ludzie i ich ludzie prowadzą wstępne pertraktacje, podczas gdy pan i Sato gracie w golfa. Trumbo zmarszczył brwi nad filiżanką kawy.

- Moi ludzie? - Wszystkim było wiadomo, że po zamknięciu pierwszej fazy rozmów Byron Trumbo prowadzi negocjacje osobiście. A on i Sato już od paru tygodni mieli tę pierwszą fazę już za sobą.

- Pańscy ludzie to ja - powiedział z uśmiechem Will Bryant. Miał na sobie szary garnitur z leciutkiego tropiku od Perry'ego Ellisa. Długie włosy -jedyne przejaw pretensjonalności - związał z tyłu w zgrabny warkoczek.

- Powinniśmy zamknąć to w ciągu jednego dnia - powiedział Trumbo nie zważając na słowa sekretarza. Trumbo miał na sobie to samo, co podczas każdej wizyty w Mauna Pele - jaskrawą hawajską koszulę, wypłowiałe szorty i adidasy. Wiedział, że młody Sato ubierze się również w coś lekkiego do golfa, podczas gdy siódemka czy ósemka jego pomocników będzie się pocić w szarych garniturach. W tego rodzaju sytuacji nieformalność stroju podkreślała finansową potęgę. Will Bryant potrząsnął głową.

- Te negocjacje to bardzo delikatna sprawa...

- Staną się jeszcze bardziej delikatne, jeżeli w czasie rozmów któryś z ludzi Sato straci życie - przerwał mu Trumbo. - Musimy skończyć z tym w ciągu jednego dnia, dać temu Sato szansę, żeby sobie do woli pograł w golfa, i pozbyć się ich stąd, zanim wyschnie atrament na kontrakcie. Capiscf!

- Si- odparł Bryant. Pozbierał dokumenty, ułożył je równo, wsunął do foldera i włożył go do aktówki z cielejącej skóry. - Możemy zaczynać? Byron Trumbo mruknął coś i wstał z krzesła.

Eleanor obudził gwar ptasich głosów. Usiadła oszołomiona i zauważyła przez żaluzje jaskrawe światło -promienie odbite od tysięcy palmowych liści; poczuła na skórze ciepłe, przesycone zapachem kwiatów powietrze i usłyszała łagodny szmer przyboju.

- Mauna Pele - szepnęła.

Przypomniał się jej krzyk za oknem, który usłyszała w środku nocy. Nie mogła nic dojrzeć przez zasłony, więc kiedy nieludzkie wrzaski rozległy się znowu, zaczęła się rozglądać za czymś cięższym. Znalazła tylko gościnny parasol w szafce koło wyjścia. Chwyciła go mocno w garść i otworzyła drzwi. Krzyki dochodziły z gęstwiny, graniczącej z dróżką do jej hale. Dopiero po pełnej minucie oczekiwania na dróżkę wyszedł paw krocząc ostrożnie, jakby bolały go nogi. Nastroszył i złożył kilka razy ogon, wrzasnął po raz ostatni i oddalił się, ginąc z pola widzenia.

- Zupełnie jak w raj - powiedziała Eleanor do siebie. Już nieraz widywała z bliska te ptaki - pewnego razu w Indiach rozbiła namiot na polu, gdzie było ich mnóstwo - ale ich krzyki zawsze zwracały jej uwagę. Nigdy jednak nie słyszała, aby jakiś paw krzyczał w nocy.

Wstała z łóżka i wzięła prysznic, wdychając z przyjemnością zapach mydła w kształcie muszelki. Lekko podsuszyła krótkie włosy elektryczną suszarką, włożyła granatowe szorty i białą bluzkę bez rękawów, wzięła z nocnej szafki informacyjną broszurę i plan ośrodka, wrzuciła je razem z dziennikiem ciotki Kidder do słomkowej torby i wyszła na dwór.

Bujna, obsypana kwieciami roślinność i łagodne podmuchy morskiego wietrzyku obudziły w niej te same refleksje co zawsze, kiedy odwiedzała tropikalne zakątki. Także i teraz zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie obrała sobie jako miejsce zamieszkania i pracy część świata, w której zima i nocne ciemności zabierały tak dużą część roku. Asfaltowa dróżka wiła się przez starannie utrzymaną gęstwinę. Po obu jej stronach ustawione na drewnianych palach hale pięły się ku szemrzącym palmowym liściom, a jaskrawo upierzone ptaki fruwały i skakały po gałązkach rozpiętego w górze zielonego baldachimu. Co pewien czas Eleanor spoglądała na małą mapkę ośrodka, aby nie pogubić się pośród alejek, płytkich lagun, drewnianych mostków, kamiennych chodników i gładkich ścieżek, prowadzących w głąb sztucznej puszczy. Po prawej stronie mignęły jej parę razy pola lawy, które ciągnęły się aż do publicznej drogi. Od strony północno-wschodniej widać było poprzez kołyszące się palmy masyw Mauna Loa, a wydobywająca się z niego chmura popiołów rysowała nad horyzontem pastelową szarą kreskę. Wszystkie zmysły prócz wzroku mówiły jej o bliskości oceanu: docierał do niej syk fal, zapach morskiej wody i roślinności, na czole i gołych ramionach czuła pieśczołliwe muśnięcia porannej bryzy, a na ustach leciutki smak soli. Doszła do następnej dróżki, skręciła w lewo i zaczęła się wspinać po ułożonych z wulkanicznych głazów schodkach, wijących się pośród bogactwa kwiatów i drzew. Minęła pusty basen i wyszła na skraj należącej do Mauna Pele plaży. Półkolista wstęga białego piasku ciągnęła się przez ponad pół kilometra aż do wystającej w morze skały po lewej i do długiego języka lawy i piasku po prawej stronie. Po obu stronach bliżej wody widać było kilka droższych, dużych hale w stylu samońskim, wzniesionych z błyszczącego, sekwojowego drewna, a spoza kęp palm rosnących wzdłuż brzegu wyłaniał się siedmiopiętrowy Wielki Hale. W oddali, za wejściem do zatoki, Eleanor dostrzegała wysokie fale, których białe

grzywy rozbiły się o skały wznosząc gejzery wodnego pyłu, ale tu, wewnątrz osłoniętej laguny fale toczyły się powoli i ociężałe, liżąc z łagodnym pluskiem piaszczystą plażę.

Ten doskonale wymodelowany zakątek był zupełnie pusty. Eleanor dostrzegła tylko dwóch pracowników grabiących piasek, ubranego whawajską koszulę barmana za kontuarem bistra, urządzonego w pobliżu basenu pod daszkiem z palmowych liści i Cordie Stumpf, wyciągniętą na jedynym na całej plaży leżaku tuż obok linii, do której docierały leniwe fale. Uśmiechnęła się. Jej wczorajsza pasażerka miała na sobie jednoczęściowy, kwiecisty kostium plażowy, który wyglądał tak, jakby został zakupiony w latach pięćdziesiątych i dziś włożony po raz pierwszy. Grube ramiona i uda Cordie przypominały bryły białego ciasta, a jej okrągła twarz zdążyła się już zarumienić i okryć potem w promieniach porannego słońca. Nie włożyła okularów słonecznych i kiedy Eleanor zbliżyła się po piasku nie dość jeszcze nagrzanym, aby zmusił ją do stąpania na czubkach palców, Cordie spojrzała w jej kierunku spod przymrużonych powiek.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem Eleanor, obrzucając wzrokiem gładką lagunę aż po linię, na której łamały się wysokie, oceaniczne fale. - Piękny dzionek, prawda?

Cordie Stumpf mruknęła coś pod nosem i osłoniła oczy. - Uwierzy pani, że w tej firmie zaczynają podawać śniadanie od szóstej trzydzieści? Jak tu rozpocząć wakacyjny dzień, jeżeli człowiek może coś przegryźć dopiero o wpół do siódmej?

- Hmm - mruknęła potakująco Eleanor. Zostawiła swój zegarek w hale, pamiętała jednak, że kiedy wychodziła na spacer, nie było jeszcze wpół do siódmej. Zdarzało się jej wstawać wcześniej, kiedy miała poranne wykłady albo wybierała się na letnią wycieczkę, tak naprawdę jednak nie była rannym ptaszkiem. Gdyby sama ustalała porządek swoich codziennych zajęć, pracowałaby, pisała albo czytała do drugiej lub trzeciej nad ranem i spała do dziewiątej. - Więc gdzie zjadła pani w końcu śniadanie?

Cordie wyciągnęła rękę w kierunku Wielkiego Hale, nie patrząc w kierunku górującego ponad szczytami palm dachu budynku.

- Majątam coś w rodzaju jadalni na wolnym powietrzu. - Osłoniła dłonią oczy i spojrzała na Eleanor. - Rozumie pani, bogaci ludzie, którzy tu przyjeżdżają, mają pewnie zwyczaj długo spać... albo nie ma tu zbyt wielu gości. Eleanor kiwnęła głową. Słońce i falujące morze napępiały ją wewnętrznym spokojem. Nie wyobrażała sobie, aby w takim miejscu mogło wydarzyć się coś strasznego. Podświadomie podciągnęła wyżej pasek słomkowej torby i poczuła na biodrze dziennik cioci Kidder.

- Chyba i ja pójde coś zjeść. Mam nadzieję, że spotkamy się później.

- Ja też - powiedziała Cordie ze wzrokiem utkwionym w lagunę. Eleanor dochodziła już do bistra - zauważyła, że nosi on nazwę Pirackiego Baru, a niedaleko, za małym jeziorkiem, dostrzegła między drzewami osadzony w piasku, nieduży żaglowiec - kiedy usłyszała wołanie Cordie:

- Hej, przypadkiem nie słyszała pani czegoś w nocy? Uśmiechnęła się. Podejrzewała, że Cordie Stumpf nie słyszała nigdy dotąd krzyczących paw. Opowiedziała jej o tym, co zobaczyła i usłyszała. Cordie kiwnęła głową.

- Tak, ale ja nie miałam na myśli ptasich wrzasków. Jakiś głos dochodził z dalszej odległości. - Zastanawiała się przez chwilę z ręką uniesioną do przymrużonych oczu. Wykręconą w bok szyję pokrywały zmarszczki. - Nie widziała pani przypadkiem psa?

- Psa? Nie. - Eleanor znieruchomiała wyczekująco. Barman pochylił się nad lśniącym kontuarem, jakby również na coś czekał. - Nic, nic. Pewnie coś mi się przywidziało - powiedziała Cordie

Stumpf, położyła się z powrotem na leżaku i przymknęła oczy.

Eleanor odczekała jeszcze chwilę i zerknęła na barmana. Oboje porozumiewawczo wzruszyli ramionami, po czym Eleanor ruszyła w poszukiwaniu miejsca, w którym mogłaby zjeść śniadanie.

Spotkanie przy śniadaniu na należącym do apartamentu tarasie, wychodzącym na

Morską Łąkę, przebiegło mniej więcej według planu. Po posiłku Byron Trumbo zabrał gości na objazd. Rząd golfowych wózków wyjechał z jego prywatnego garażu, położonego osiem kondygnacji pod Prezydenckim Apartamentem, w przewidzianej protokołem kolejności: w pierwszym, prowadzonym osobiście przez Byrona Trumbo, jechał on sam i Hiroshe Sato; za kierownicą drugiego siedział Will Bryant, mając obok siebie na przednim siedzeniu głównego doradcę młodego Sato, wiekowego

Masayoshi Matsukawę, na tylnym zaś Bobby'ego Tanakę - tokijskiego przedstawiciela Byrona Trumbo, i młodego Inazo Ono, towarzysza Sato do wypitki i głównego negocjatora. Trzeci wózek kierowany był przez dyrektora Mauna Pele,

Stephena Ridella Cartera, ubranego tak samo przepisowo jak niżsi rangą

Japończycy. Wraz z nim jechali doktor Tatsuro,

osobisty lekarz Sato, oraz ludzie z jego pomocniczego personelu-Seizaburo Sakurabayashi i Tsuneo Takahashi, noszący przydomek „Sunny”. Następne trzy wózki wypełnione były prawnikami obu szefów i ich partnerami do gry w golfa. W pewnej odległości za nimi posuwały się jeszcze dyskretnie wózki z osobistą ochroną Trumba i Sato.

Kawalkada ruszyła gładką asfaltową alejką koło tarasu widokowego zwanego „wielorybim” i przez Morską Łąkę - lekko opadający, równiutko przycięty trawnik, otoczony kwietnikami i egzotycznymi roślinami. Łąkę przecinał sztuczny strumyk, którego wody toczyły się po wulkanicznych głazach tworząc rozlewiska i wodospady, aby wpaść do urozmaiconej grotami laguny, oddzielającej plażę od Wielkiego Hale. Wózki przejechały przez pas drzew palmowych i dotarły do spacerowej alejki nadbrzeżnej.

- Pompujemy codziennie do tych jeziorzek i strumyków ponad osiemdziesiąt milionów litrów morskiej wody - wyjaśniał Trumbo. -A ponadto sześćdziesiąt milionów litrów do laguny, żeby jej wody zachowały świeżość. - Czy jest to obieg zamknięty? - zapytał Hiroshe Sato. Trumbo zawahał się na moment. Usłyszał coś w rodzaju: It ii lecyrcaber? Kiedy mu na tym zależało, Sato wymawiał angielskie słowa niemal bez obcego akcentu, ale podczas tych negocjacji rzadko pamiętał o językowej poprawności.

- Tak, oczywiście - potwierdził Trumbo. - Utrzymanie sadzawek i strumyków z morską wodą nie sprawia kłopotów, trudniej jest z basenami i jeziorzami rybnymi. Mamy tu trzy ogólne baseny dla gości, ponadto lagunę, w której można pływać, a do tego jeszcze dwadzieścia sześć prywatnych basenów dla gości z luksusowych hale na półwyspie samońskim. A zbiorniki do hodowli karpia wymagają wody takiej samej jakości jak baseny kąpielowe. Razem wzięwszy, trzeba do tamtych liczb dodać jeszcze ponad dwa miliony świeżej słodkiej wody dziennie. - Ooo! - powiedział Sato i uśmiechnął się. - A potem dodał tajemniczo: -Koi.

Hai.

Trumbo skręcił w prawo, w idącą ku północy nadbrzeżną alejkę, oddalając się od Pirackiego Baru.

- A to są baseny z płaszczkami. Mamy tu podwodne halogeny o mocy dwóch tysięcy watów. Wieczorem wystarczy stanąć na tamtej skałce i wyciągnąć rękę, aby dotknąć płaszczy, którą

przyciąga światło.

Sato mruknął coś niewyraźnie.

- To jest najładniejsza plaża na południowym wybrzeżu Kona - powiedział Trumbo. - A może i na całym zachodnim brzegu Wielkiej Wiospy. Nie ma się co dziwić, w końcu przywieźliśmy tu ponad osiem tysięcy ton białego piasku. A laguna była tu już przedtem.

Sato pochylił głowę, aż dotknął brodą piersi. Na jego młodzieńczej twarzy malował się kamienny spokój, a krucze włosy lśniły w ostrym słońcu. Kawalkada małych samochodzików mknęła z cichym szumem obok restauracyjnych pawilonów, ogrodów i lagun, wreszcie dotarła do rzędu kokosowych palm. Na potężnych słupach stały tam wysokie, okazałe hale. - Tu zaczyna się Półwysep Samoński - powiedział Trumbo. Alejki prowadziły przez doskonale utrzymane, tropikalne kwietniki, po szerokich mostkach i między magmowymi głazami. - Domki, które pan tu ogląda, to największe spośród przeszło dwustu hale, jakie znajdują się na terenie posiadłości. W każdym z nich może wygodnie spać dziesięć osób. Te, które widać, na końcu półwyspu, mają własne baseny i obsługę.

- Ile? - zapytał Sato.

- Słucham?

- Ile wynosi cena noclegu?

- Trzy tysiące osiemset na dobę za taki samoński bungalow - powiedział Trumbo. - Nie licząc posiłków i napiwków.

Sato uśmiechnął się i Trumbo odniósł wrażenie, jakby tokijski miliarder doszedł do wniosku, że ma przed sobą świetną okazję zrobienia dobrego interesu. Rząd wózków opuścił półwysep i skierował się w kierunku rozległej kępy palm i nadmorskich sosen.

- To najbardziej ekskluzywne z trzech kortów tenisowych. Wszystkie mają elastyczną wykładzinę. Dalej, za drzewami, widać ośrodek dla żeglarzy i płetwonurków. Można tam wypożyczyć wszystko, od kajaka lub canoe z wyciągiem aż do któregoś z naszych reprezentacyjnych, klasycznych jachtów motorowych, których mamy sześć, a kosztowały nas po trzysta osiemdziesiąt tysięcy dolarów każdy. Klub płetwonurków prowadzi szkolenia i przybrzeżne wyprawy. Można tu uprawiać parażeglarstwo, żeglarstwo, windsurfing, pływanie na ślizgaczach, ale tylko na wodach przybrzeżnych, ponieważ te przekłete przepisy dotyczące ochrony środowiska nie pozwalają na robienie tego na naszej własnej lagunie. Są też morskie wycieczki o zachodzie słońca z kolacją na pokładzie... jednym słowem, cały ten nowoczesny chlām.

- Cała nowoczesna chlām - powtórzył za nim Sato. Japoński miliarder robił wrażenie, jakby za chwilę miał się zdrzemnąć.

Trumbo poprowadził kawalkadę z powrotem koło Wielkiego Hale, w stronę laguny.

- Jaka jest powierzchnia całości? - zapytał Sato. - Trzy tysiące siedemset akrów - odparł Trumbo. Nie miał wątpliwości, że Sato zna wszystkie te szczegóły na pamięć z prospektów. - Wliczając w to czternastoakrowy teren z naskalnymi rysunkami.

Golfowe wózki jechały krętymi alejkami przez główną hotelową część ośrodka, mijając obrzeżone skałami stawy, w których pod powierzchnią wody podpływały z otwartymi pyszczkami lśniące karpie. Po drodze spotkano niewielu spacerowiczów. Okrążywszy wyciągnięty na brzeg szkuner za Pirackim Barem, wózki przejechały koło dwudziestometrowego basenu, w którym pluskała się tylko jedna rodzina, i pomknęły dróżką wijącą się między klombami orchidei. Trumbo zauważył, że Sato się nie zainteresował, dlaczego na plaży albo na cienistych trawnikach pod trzydziestometrowymi palmami kokosowymi wypoczywało zaledwie kilkunastu wczasowiczów. Spojrzał na zegarek; było

jeszcze wcześniej. - Ile tu jest pokoi? - zapytał Sato.

- Hmm... mamy dwieście dwadzieścia sześć hale... a ponadto trzysta dwadzieścia cztery pokoje w Wielkim Hale. Niektórzy z naszych gości lubią bardziej prymitywne warunki. Przyjeżdża tu mnóstwo gwiazd filmowych i sławnych ludzi, którzy po prostu znikają w tych hale na tydzień lub dwa... Miesiąc temu mieliśmy Madonnę. Stałymi gośćmi są Norman Mailer i Ted Kennedy, senator Harlen też. Lubią te samońskie bungalowy, gdzie mogą być zupełnie sami. W każdym domku można położyć na schodach pomalowany orzech kokosowy i wtedy nikt nie zakłóci panu spokoju... nawet po to, żeby dostarczyć pocztę. Inni wolą pokoje z pełną obsługą, telewizją kablową, bezpośrednimi telefonami i faksami. Staramy się zaspokoić wszelkie wymagania.

Sato zacisnął wargi, jakby przełknął coś gorzkiego. - Prawie sześćset pokoi - powiedział cicho. - Dwa pola golfowe. Osiemnaście kortów tenisowych. Trzy duże baseny.

Trumbo przyglądał mu się wyczekująco, ale Japończyk nie dodał ani słowa.

Domyślając się, co tamten miał na myśli, Trumbo powiedział:

- Tak, mamy tu dużą powierzchnię i okazałą obsługę w stosunku do liczby pokoi. Nie próbujemy konkurować z Hyattem... zdaje się, że oni mają tam u siebie przeszło tysiąc dwieście pokoi - ani z Kona Village pod względem spokoju czy z Mauna Kea w przyciąganiu starszych wiekiem turystów. Sięgamy po najbardziej atrakcyjną klientelę. Zapewniamy większą intymność, nasze usługi rekreacyjne są obliczone bardziej na zaspokojenie potrzeb grubych ryb niż na dostarczenie zwykłych, rodzinnych rozrywek, a sklepy są bliższe oczekiwaniom klientów z Tokio czy z Beverly Hills. Mamy lepsze restauracje: pięć rozrzuconych po terenie, do tego lokale gastronomiczne w Wielkim Hale i system dowożenia posiłków do samońskich bungalowów. Na naszych terenach nie ma tłoku, a pola golfowe są lepiej zaprojektowane niż gdzie indziej.

- Pola golfowe... - powtórzył za nim Sato, tym razem poprawnie wymawiając literę „l”. W jego głosie można było wyczuć ton niecierpliwego oczekiwania. - Właśnie tam jedziemy. Następny przystanek - powiedział Trumbo i skierował wózek w stronę dużego głazu. Wyjął z kieszeni na piersiach pilota do zdalnego sterowania, wycelował go w kierunku wulkanicznej skały i nacisnął jedyny znajdujący się na nim guzik. Płyta wielkości drzwi garażowych odsunęła się na bok i kawalkada golfowych wózków wjechała po asfaltowej nawierzchni do jasno oświetlonego tunelu.

Siedząc przy śniadaniowym stole w dużej restauracji na Wielorybim Lanai - widokowym tarasie, sterczącym na wysokości pierwszego piętra niczym dziób oceanicznego statku nad trawnikami i kwietnikami, Eleanor przyglądała się przejeżdżającej w dole procesji golfowych wózków. Wszystkie twarze, które mignęły jej w ruchu, miały japońskie rysy. Mając w pamięci turystyczne grupy, które oglądała w najdziwniejszych zakątkach świata, Eleanor zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem japońscy turyści nie zaczęli się garnąć do superekskluzywnych ośrodków tak samo tłumnie, jak garnęli się dotychczas do miejsc o raczej średnim standardzie.

Lanai było przestronne i miłe; przez pootwierane harmonijkowo składane okna każdy powiew wiatru niósł zapach kwiatów. Ciemną podłogę wykonano z polerowanego eukaliptusa, stoliki z jasnego drewna, krzesła z drogiego bambusu i wikliny. Na czerwonych lnianych serwetach stały kryształowe szklanki na wodę. Mogło się tu pomieścić wygodnie ze dwie setki osób, ale Eleanor dostrzegła nie więcej niż kilkunastu gości. Obsługa składała się wyłącznie z kobiet, samych Hawajek, które poruszały się wdzięcznie w kwiecistych muu-muu. Z ukrytych głośników sączyły się dźwięki muzyki klasycznej, ale prawdziwą muzyką był szum palmowych liści i dobiegające z oddali odgłosy przyboju.

Eleanor przejrzała menu, zwracając uwagę na miejscowe specjały, takie jak portugalski bekon czy francuska grzanka z syropem kokosowym, po czym zamówiła angielskie bułeczki na ciepło i kawę. Świeżo zmielona kawa była doskonała. Popijając ją drobnymi łyżkami Eleanor rozejrzała się po tarasie. Była jedyną osobą siedzącą samotnie przy stoliku. Nie było to dla niej niczym nowym: przez całe dorosłe życie Eleanor czuła się jak jakiś pojedynczy mutant, któremu przyszło żyć na planecie stworzonej dla par. Nawet w postfeministycznej Ameryce samotna kobieta w podróży, w kinie, teatrze czy na przedstawieniu baletowym zwracała uwagę jako niezwykle zjawisko. W wielu innych krajach, do których Eleanor trafiała w swoich wakacyjnych wędrówkach, bywało to nawet niebezpieczne.

Nie przejmowała się tym. Tego ranka pojawienie się samotnej kobiety na śniadaniowym lanai, czy w ogóle samotnej osoby dowolnej płci, wydawało się jej rzeczą naturalną. Od lat miała zwyczaj czytać przy posiłkach - w tej chwili też na stole leżał dziennik cioci Kidder. Już we wczesnym okresie życia, po ukończeniu college² uświadomiła sobie, że książka jest dla niej czymś w rodzaju tarczy, chroniącej przed osamotnieniem pośród wszystkich tych szczęśliwych rodzin i par wokół niej. Od czasu do czasu przebiegała więc oczami parę linijek podczas jedzenia, zadowolona, że może to robić właśnie dlatego, że jest sama; nigdy jednak nie chowała się za książką od początku po siłku. Stała się prawdziwą znawczynią restauracyjnych bywalców, wyspecjalizowaną w ich ukradkowym podglądaniu. Współczuła rodzinom i parom, tak mocno pogrążonym w codziennej paplaninie, że nie byli w stanie dojrzeć dramatów, rozgrywających się w każdej restauracji i w każdym publicznym miejscu.

A tego ranka na śniadaniowym tarasie w Mauna Pele rzeczywiście rozgrywała się małe psychodrama. Pozostali goście zajmowali tylko sześć stolików w pobliżu otwartych okien; były to same pary. Jednym rzutem oka Eleanor oceniła, że to Amerykanie, z wyjątkiem dwojga młodych Japończyków i siwowłosej pary, która mogła pochodzić z Niemiec. Nosili drogie, urlopowe ciuchy. Mężczyźni zwracali uwagę opalenizną i idealnym ostrzyżeniem, kobiety krótkimi, eleganckimi fryzurami i mniej intensywną opalenizną, co zaczynało wchodzić w modę wobec zagrożenia rakiem. Prowadzili przyciszone rozmowy albo nie rozmawiali wcale. Mężczyźni pochylali się nad egzemplarzami „Wall Street Journal”, kobiety przeglądały leżące na stolikach foldery informujące o codziennych atrakcjach albo siedziały z obojętną miną, zajęte jedzeniem.

Eleanor spojrzała ponad czubkami palm w kierunku małej zatoki i rozciągającego się za nią oceanu. Daleko, w pół drogi do linii horyzontu, powierzchnię wody przeciął nagle jakiś wielki szary kształt. W powietrzu mignęły płetwy i wysoka fontanna bryzgów zaznaczyła miejsce, w którym ogromne cielsko znikło tak samo błyskawicznie, jak się ukazało. Eleanor wstrzymała oddech nie przestając wpatrywać się uważnie w piękny widok. W chwilę potem o jakieś dwadzieścia metrów od niej sca, w którym ukazał się wielki ssak, trysnął w górę strumień wody. Można było pomyśleć, że Wielorybie Lanai okazało się godne tej nazwy. Popatrzyła na siedzące przy stolikach pary. Nie wydawało się, aby ktokolwiek coś zauważył. Kobieta przy trzecim stole od niej narzekała na ograniczone zaopatrzenie tutejszych sklepów. Chciała pojechać na Oahu. Jej mąż kiwnął głową, podniósł do ust kawałek grzanki i pogrążył się znowu w lekturze gazety. Eleanor westchnęła i wzięła do ręki kartkę informującą o przygotowanych na dziś przez ośrodek Mauna Pele turystycznych atrakcjach. Informacje wydrukowane były kursywą na popielatym plótnowanym papierze, a kartka wyglądała elegancko niczym jakieś zaproszenie. Oprócz zwykłych rekreacyjnych propozycji, jakich można było oczekiwać w ośrodku takim jak ten, z których żadna jej nie zainteresowała, jej uwagę zwróciły dwie linijki: na dziewiątą trzydzieści zaplanowana była wycieczka prowadzona przez

doktora Paula Kukali, opiekuna artystycznego i archeologicznego dziedzictwa Mauna Pele, a o trzynastej miał się odbyć spacer po terenie z naskalnymi napisami, także pod kierunkiem doktora Kukaliego. Uśmiechnęła się. Postanowiła jeszcze tego samego dnia dać się porządnie we znaki biednemu doktorowi.

Rzuciła okiem na zegarek i dała znak młodej kelnerce, aby podała jej jeszcze jedną kawę. Daleko, poza zatoką ukazał się płetwał 80 i uderzył ogonem o wodę w sposób, który wydał się jej - chociaż zdawała sobie sprawę z bezsensowności przypisywania ludzkich cech przyrodzie - pochwalnym gestem na cześć pięknego dnia.

Trumbo poprowadził kawalkadę wózków w głąb długiego tunelu, wyciętego w czarnej lawie. Umieszczone w górze lampy rzucały na posadzkę plamy światła. - W większości tych przeklętych ośrodków problem polega na tym, że ich obsługa wchodzi w drogę wypoczywającym gościom. Ale nie tutaj. - Ukazało się szerokie skrzyżowanie i Trumbo skręcił w prawo. Drogę wskazywały białe znaki na ścianach. Minęli wózek z zaopatrzeniem, potem kobietę w hotelowym uniformie jadącą rowerem. Duże, okrągłe lustro przytwierdzone w górze do kamiennej ściany informowało jadących i pieszych, co się dzieje za rogiem. - Cała nasza obsługa pracuje tu, na dole - ciągnął Trumbo, wskazując wyłaniające się z mroku, oświetlone biura. Ich okna wychodziły na główny korytarz, niczym w supermarkecie. - Tu znajduje się pralnia... w pełni sezonu pierzemy tu więcej niż jakikolwiek inny ośrodek na wyspie. W każdym pokoju i hale znajduje się dwanaście kilogramów bielizny. A tu... czuje pan? To jest piekarnia. Mamy ośmiu piekarzy. W tym miejscu praca wre przez całą noc, mógłby pan poczuć ten zapach nawet o piątej rano. Tam na lewo jest kwaciarnia. Współpracujemy wprawdzie z miejscowym hodowcą kwiatów, ale każdego tygodnia ktoś musi uciąć i sporządzić ponad dziesięć tysięcy bukietów i wiązanek. Tu znajduje się biuro naszego miejscowego astronoma... a tu wulkanologa... doktor Hastings pracuje w tym tygodniu w obserwatorium na wulkanie, ale będziemy mogli porozmawiać z nim jutro rano. Tu mamy rzeźnika, ale w całą wołowinę zaopatrujemy się na ranchu Parkera w Waimea... to takie krowie zagłębienie, na Hawajach też są kowboje. A tu jest biuro naszego specjalisty od sztuki i archeologii, Paula... świetny facet, jest urodzonym Hawajczykiem, ale studiował w Harvardzie, no i był naszym głównym przeciwnikiem w okresie budowy Mauna Pele. No więc... co miałem robić, u diabła... zaangażowałem go. On zdaje się wyobrażał sobie, że jest piekielnie mądry, wie pan, co mam na myśli?

Hiroshe Sato wpatrywał się obojętnym wzrokiem w amerykańskiego miliardera.

Na następnym rogu Trumbo skręcił w lewo. W wielu drzwiach i oświetlonych oknach widać było ludzi, którzy rozpoznawali właściciela i witali go uprzejmym skinieniem głowy. On zaś machał ku nim energicznie ręką, od czasu do czasu wołając po imieniu do swoich pracowników.

- Tu mieści się ochrona... tu uprawa i utrzymanie terenu... oddzielny dział zaopatrzenia w wodę... koordynator ochrony środowiska i oceanolog... tu masażystka, mamy wspaniałą masażystkę, Hiroshe... szef działu dzikiej zwierzyny, może pan zauważył, że mamy tu ptaki, mangusty i kupę innych stworzeń... a tu dział transportu.

- Jak dużo? - zapytał Sato.

- Słucham? Dużo czego? - odpowiedział pytaniem Trumbo. Za jego plecami Will Bryant zareagował śmiechem na jakieś słowa pana Matsukawy. - Jak dużo macie tu pracowników?

- Och. Zatrudniamy około tysiąca dwustu osób - odparł Trumbo. Sato opuścił brodę na piersi.

- Trochę ponad pięćset pokoi. Ogółem możecie przyjąć, powiedzmy, ośmiuset gości, tak?

Trumbo potwierdził skinieniem głowy. Podana przez Sato liczba odpowiadała prawdzie.

- Na każdego gościa przypada więc półtora pracownika. - Zgadza się - potwierdził Trumbo. - Ale są to goście najwyższej klasy. Są to ludzie, którzy przyjeżdżając do Bangkoku zamawiają apartamenty w Orientalu, którzy spędzają lato w najlepszych prywatnych hotelach w Szwajcarii. Oni oczekują, że zostaną obsłużeni według najwyższych światowych standardów. I płacą za to.

Sato kiwnął lekko głową.

Trumbo westchnął i skręcił na rampę. Automatyczne drzwi otworzyły się i sznur golfowych wózków wyjechał na olśniewająco jasne słońce. Wszyscy przymrużyli oczy.

- Ale to wszystko pestka, Hiroshe. Cel naszej porannej wycieczki znajduje się tutaj. - Kawalkada potoczyła się po ocienionej wysokimi palmami kokosowymi łące w stronę stanowiska do pierwszego wybicia piłki. - Oooo! - westchnął Hiroshe Sato unosząc głowę. Po raz pierwszy tego dnia na jego twarzy zagościł uśmiech. - Golf!

Rozdział ósmy

Nad Kaliu ściele się dym.

Myślałam, że moje mirtowe gaje są nietykalne.

Lecz oto pożerają je ogniste ptaki.

Wydziobują moje krzewy

Aż do ostatniego.

Pieśń siostry Pele, Hi'iaki o tym, jak Pele ją zdradziła

14 czerwca 1866 roku, Wulkan Kilauea

Poobijane członki, bolące mięśnie i zmęczenie tak ogromne, że aż przerażające, wszystko to powinno zniechęcić do podejmowania dodatkowego trudu pisania tych notatek, nic j ednak nie jest w stanie powstrzymać mnie od uwiecznienia wspaniałości i czystej, nie dającej się wypowiedzieć zgrozy, porywających uniesień i wzruszeń, jakie przeżyłam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Spisuję je przy świetle ognistej lampy, którą przytrzymuje mi sama Madame Pele.

Jeśli dobrze pamiętam, napisałam wcześniej, że Hilo wydało mi się „perłą Pacyfiku i przedsionkiem raj” ze względu na ukwiecone ulice, urzekające, białe domki i egzotyczną florę. Wszędzie rzucają się tu w oczy omdlewające żałobnie liście pandanu, który wyciąga swe nadziemne korzenie ku drewnianym chodnikom, jakby pragnął towarzyszyć przechodniom w ich przedwieczornych spacerach. Banany rozwieszają dumnie, niczym wspaniałe odznaczenia, purpurowe kolby nie rozwiniętych jeszcze kwiatów, a każde podwórko zdobią gardenie, eukaliptusy, gwajawy, bambusy, mangostany, drzewa kamani, flaszowce, palmy kokosowe, zamieniając je w prawdziwy rozkoszny ogród botaniczny. Misjonarze, którzy zamieszkują w tym niezwyklej ziemskim raj, okazali mi wielką troskliwość zapraszając mnie na tyle towarzyskich spotkań, że minął cały oszołamiący tydzień, zanim mogłam podjąć wyprawę na szczyt wulkanu. Bliżej mi nie znane przyczyny przytrzymały także pana Clemensa, rozpoczęliśmy więc wspólnie naszą przygodę.

Powinam wspomnieć, że mieszkańcy Hilo, zarówno krajowcy, jak i przybysze, jeżdżą stale konno i to z zapalem i wprawą, jakich 83 nigdy dotąd nie oglądałam. Wszyscy, z wyjątkiem najbardziej leciwych dam, najspokojniej w świecie dosiadają swoich rumaków okrakiem. Tak więc kiedy wybrałam sobie wierzchowca - dorodnego deresza z ozdobnym meksykańskim siodłem ze skórzanymi osłonami na strzemionach dla ochrony butów podczas jazdy przez zarośla - trudno było się dziwić, że i ja dosiadałam go tak, jak każe miejscowy zwyczaj. Wszystkie wybrane na tę wycieczkę konie miały sześciometrowe albo i dłuższe powrozy, uwiązane do szyi, a sakwy przy siodłach wypchane były chlebem, bananami i butlami z herbatą.

W naszej grupie znalazł się młodszy, bardziej ponury z bliźniaków Smith, młody Thomas McGuire (bratanek pani Lyman), zażywny kapłan Haymark i zuchowaty korespondent, pan Clemens. Panicz Wendt, który jako pierwszy rzucił hasło do szturm na królestwo bogini Pele, zachorował, mógł więc tylko zachęcić nas ze swego łoża boleści, abyśmy wyruszyli bez niego. Muszę przyznać, że z mocno sprzecznymi uczuciami przyjąłam włączenie pana Clemensa do naszej miłej grupki: z j ednej strony j ego cyniczne zachowanie groziło pomniejszeniem duchowego wymiaru czekających nas niezwyklej doświadczeń; z drugiej jednak... zarówno Smith, jaki McGuire są nudni, całkowicie pozbawieni poczucia humoru i umiej ętności podtrzymania dłuższej konwersacj i, a wielebny Haymark zdaje się interesować wyłącznie Galatami i jedzeniem. Tak więc niemal z uczuciem ulgi powitałam widok

wyrazistego czoła, rozwichrzonych kędziorów i agresywnie nastroszonych wąsów pana Clemensa. Nasz jaskrawo wystrojony, obwieszony na miejscową modłę girlandami kwiatów przewodnik Hananui nie stracił ani chwili na żadne wstępy czy wyjaśnienia, dotyczące czekającej nas drogi, ale spał ostrogami konia i poprowadził nas galopem za miasto. Mogłam albo udawać, że kieruję moim wierzchowcem, albo uczeplić się obiema rękami łąku siodła i starać się utrzymać na jego grzbiecie. Wybrałam to drugie.

Niebawem znikły nam z oczu śliczne małe domki i zgrabne wieżyczki Hilo. Zanurzyliśmy się w dżungłę, której dzikość przerastała wszystko, co widziałam dotąd i pięliśmy się w górę przez zielony gąszcz po twardej ścieżce z czarnej lawy, nie szerszej niż trzy czwarte metra. Uczepiona kurczowo siodła, w szerokim, ale miękkim kapeluszu zawiązanym na wstążki pod szyją, który kupiłam kilka miesięcy wcześniej w Denver, uchylałam się jak mogłam przed nisko zwisającymi gałęziami i pnączami, aby nie dać się zmieść z mojego 84 konika - upartego stworzenia, o którym myślałam, że ma na imię „Leo”, dopóki nie odkryłam, że jest to po prostu Ho, czyli po hawajsku „koń”. Wkrótce wydostaliśmy się z tropikalnej puszczy i zaczęliśmy posuwać się przez tak samo gęsto zarośnięte pola trzcinowe. Po godzinnej jeździe Hananui zarządził postój i wydzielił nam po blaszanym kubku zimnej herbaty. Po posiłku wyjechaliśmy galopem pomiędzy trzcin i ostatnich drzew napahoehoe, czyli gładką lawę, której bezmiar rozciągał się jak okiem sięgnąć po zboczu góry. Gdyby nie obfitość paproci i traw, które tonowały czerń tego zalewu, to już sam widok tak niszczycielskiej potęgi - pola te ciągnęły się przez mniej więcej trzydzieści kilometrów - powinien zawrócić z drogi nawet tak zahartowanego wędrowca jak ja. Kiedy wspięliśmy się jeszcze wyżej, a daleko za nami, w dole, zajaśniał w intensywnym, popołudniowym słońcu Pacyfik, zaczęłam rozpoznawać liczne odmiany paproci, takie jak urocza *Microlepia tenuifolia*, nitkowata *Gleichenia Hawaiiensis*, pospolita *Sadleria* i drobnolistna, okryta szkarłatnymi kwiatami *ohias* (*Metyrosideros polymorpha*). Moi dwunożni towarzysze podróży nie odznaczałi się tak barwnym różnicowaniem. Tu, na magmowych polach droga była szersza i nasza grupa podzieliła się na gawędzące po przyjacielsku pary. Na czele jechali Hananui i gadatliwy pan Clemens. Za nimi podążali młodzi Thomas McGuire i Smith (odkąd odróżnienie bliźniaków stało się tak mozolnym zadaniem, żadnego z nich nie nazywano po imieniu), a wielebny Haymark i ja zamykaliśmy pochód. Kapłan nie czuł się wygodnie w siodle, a i jego nieduży konik nie wydawał się zbyt zachwycony niesieniem takiego ciężaru. Zsumowany brak zapachu w nich obu sprawił, że bardziej z tej przyczyny niż z chęci dostosowania się do mojego wolniejszego kroku, mężczyźni zwolnili tempo jazdy.

Pan Wendt ostrzegał nas, że wycieczka nie będzie łatwa - do pokonania było przeszło czterdzieści kilometrów, głównie przez rozległe magmowe pola, a do tego trzeba się było wspiąć na wysokość około tysiąca trzystu metrów - jednak nie byłam przygotowana na to, że mnie tak zmęczy. Okazało się to późnym popołudniem, kiedy dotarliśmy do miejsca, które Hananui określił mianem „zajazdu w połowie drogi”, kusząc wygodnymi fotelami, gorącą herbatą i ciepłymi jęczmiennymi placuszkami, chociaż okazał się tylko zrujnowaną chatką z trawy. Mimo wszystko chętnie odpoczęłabym i w tym schronieniu - zaczął padać nieduży deszczyk i mój kapelusz ociekał wodą -

gdyby nie to, że ów przydrożny „zajazd” zastaliśmy całkiem solidnie zamknięty na klucz.

Hananui był wyraźnie zaniepokojony, że możemy nie dojść do celu przed zapadnięciem zmroku. Uwiązał swojego konia i obszedł nas wszystkich, aby się upewnić, że mamy odpowiednie ostrogi - grube i zardzewiałe, meksykańskie żelastwa z długimi na trzy centymetry kolcami. Na pytanie pana Clemensa wyjaśnił, że mamy przed sobą co najmniej pięć godzin trudnej drogi, na której nie ma wody ani miejsca na odpoczynek.

Moje członki były tak wymęczone niewygodnym ułożeniem na beczkowatym grzbiecie wierzchowca, że niedługo po wyruszeniu zostałam z tyłu. Uczepiona kurczowo łęku siodła prawie nie miałam sił, aby ustawicznie popędzać ostrogami zmęczone zwierzę. Odkryłam, że przy odchyleniu głowy na bok strugi rześście już teraz padającego deszczu spływają na ziemię nie mocząc moich nóg ani końskiej szyi. Byłam zaskoczona, kiedy uniósłszy głowę zobaczyłam, że obok mnie jedzie pan Clemens. Poirytowana jego troskliwością, jeśli to ona kazała mu zbliżyć się do mnie, pobudziłam mojego „Leo” do nieco mniej ociężałego kroku. Korespondent palił właśnie kolejne z tych jego obrzydliwych cygar, chroniąc przed deszczem dymiący koniec pod nieprzyzwoicie szerokim rondem sombrera, które miał na głowie. Zauważyłam też z uczuciem graniczącym z zawiścią, że okrywa go coś w rodzaju długiego po kostki, woskowanego prochowca, który - jakkolwiek za ciepły na tutaj szy klimat - zdawał się skutecznie zabezpieczać go od deszczu. Moje spódnice i pozostałe części jeździeckiego stroju musiały -jak to oceniłam w trakcie przydługich dywagacji wielebnego kapłana na temat Galatów - ważyć pewnie ze sto funtów, tak bardzo przemoczyła je popołudniowa mżawka. - Wspaniały kraj, nieprawdaż? - zagadnął były pilot rzecznych statków.

Przytaknęłam w sposób najbardziej wymijający, na jaki mogłam się zdobyć. - I jak to miło, że krajowcy porozsiewali w powietrzu tyle aromatów na nasze przybycie, prawda? - nie dawał za wygraną. - I że wybrali tak szczególny rodzaj światła, godny Pańskiego Dnia.

- Rodzaj światła? Godny Pańskiego Dnia? - zapytałam. Był przecież zwykły dzień tygodnia, a nie niedziela.

Pan Clemens obejrzał się do tyłu i kiwnął głową. Po raz pierwszy od kilku godzin odwróciłam się w siodle i popatrzyłam ku wscho-86 dowi. Tu, na pokrytej czarną lawą pochyłości padał deszcz, ale daleko na morzu zachodzące słońce zapalało grzywy fal oślepiającym złotem i bielą. Widoczne tu i ówdzie chmurki rzuciły na powierzchnię oceanu cienie, które zdawały się umykać niczym strachliwe zwierzątka przed zalewającą wszystko jasnością. Na lewo od nas, gdzie przedwieczne światło padało na dolinę między naszą Mauna Loa a wulkanem Mauna Kea, słoneczne promienie przedzierały się przez chmury, strzelając prawie poziomymi snopami tak nasyconymi złotem, że wyglądały jak z prawdziwego metalu. Ukazywały sklepienie dżungli w zupełnie nieziemskich odcieniach zieleni.

- Można by zadać sobie pytanie, dlaczego ci poganie nie poddali się i nie przeszli na chrześcijaństwo jeszcze przed przybyciem pierwszych misjonarzy, nie sądzi pani? - wycedził pan Clemens, który dosiadał swego konia z tak arogancką swobodą, jakby spędził w siodle większą część życia. Z jego sombrera spływały strumienie wody.

Wyprostowałam się w siodle i ujęłam lewą ręką wodze, jakbym chciała zmienić kierunek jazdy.

- Nie żywi pan zbyt przyjaznych uczuć wobec tutejszego kościoła, prawda, panie Clemens?

Mój nieproszony towarzysz palił przez chwilę w milczeniu, pogrążony w myślach.

- Jaki kościół ma pani na myśli, panno Stewart? - Chrześcijański, panie Clemens. - Przemoczona i obolała, nie byłam w nastroju do podejmowania dyskusji, która gdzieś tam, w Missouri albo w Kalifornii, mogłaby ująć za przekomarzenie się.

- Ale który z chrześcijańskich kościołów, panno Stewart? Nawet tutaj poganie mają do wyboru wiele wyznań.

- Dobrze pan wie, co mam na myśli, panie Clemens - powiedziałam. - Pana uwagi pokazują, że potępia pan wysiłki naszych dzielnych misjonarzy i ich wiarę, która każe im przebywać tak daleko od wygodnych domów. Po chwili pan Clemens skinął leciutko głową i przejechał ręką po rondzie swego kapelusza, aby strząsnąć z niego wodę.

- Znałem kiedyś zakonnicę, którą wysłano tu, na Wyspy Sandwich. Nadzwyczajna osoba, naprawdę. Przeniesiono ją z St. Louis. A właściwie znałem nie ją, ale jej siostrę... Trudno by było znaleźć bardziej szczodrobliwą niewiastę... zapewniam, że gdyby poprosiła ją pani o coś, a ta życzliwa kobieta byłaby w posiadaniu tej rzeczy, oddałaby ją pani natychmiast, aby mogła pani swobodnie z niej korzystać.

Korespondent zdawał się zupełnie pogrążony w tak miłym mu wspomnieniu, toteż po chwili milczenia, w której słychać było tylko krople deszczu i kłapanie podków naszych koni, zapytałam:

- No i cóż to takiego się jej przydarzyło?

Pan Clemens zwrócił nastroszone wąsy i żarzące się cygaro w moim kierunku.

- Komu?

- Tej zakonnicy - powiedziałam zszokowana. - Siostrze pana znajomej, która przybyła tu, na Wyspy Sandwich.

- Aaa - powiedział korespondent wyjmując z ust cygaro, aby strząsnąć z niego popiół o łęk siodła. - No cóż, zwyczajnie ją zjedli. Muszę przyznać, że aż zamrugałam oczami.

- Słucham pana?

- Zjedli ją- powiedział pan Clemens, znowu ściskając mocno w zębach okropne cygaro.

- Krajowcy... - powiedziałam przyciszonym, zszokowanym głosem. - Hawajczycy.

Pan Clemens obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem. - Oczywiście, że krajowcy. A kogóż innego zdaniem pani mogłem mieć na myśli, panno Stewart... innych misjonarzy?

- Jakież to okropne!

Pan Clemens kiwnął głową, najwyraźniej zainteresowany dokończeniem swojej opowieści.

- Powiedzieli potem, że jest im przykro. Znaczą się, ci krajowcy. Kiedy rodzina tej nieszczęsnej kobiety przysłała po jej rzeczy, ci poganie tłumaczyli, że to był zwykły przypadek i że więcej się nie powtórzy. Mogłam zdobyć się tylko na to, aby wpatrywać się w niego w zapadającym mroku.

Nasze konie stąpały ostrożnie po mokrej lawie.

- Przypadek... - powiedziałam z wyraźną pogardą w głosie. Pan Clemens przesunął w ustach cygaro.

- Zgadzam się z panią, panno Stewart. To nie był przypadek. Przecież nie istnieje coś takiego jak przypadek. - Uniósł rękę, celując palcem w górę. - To Boska Opatrzność sprawiła, że siostra mojej znajomej z St. Louis została zjedzona... wszystko to było tylko częścią Kosmicznego Planu! Czekałam w milczeniu.

Pan Clemens odwrócił się ku mnie, skrzywił się niewyraźnie pod wąsem, co wyglądało jak nieudana próba uśmiechu, po czym dźgnął ostrogami swego konia i okrążywszy wielebne Haymarka i obu chłopców, pogrążonych w ponurym milczeniu, dołączył do naszego przewodnika. Przed nami, za zieloną zasłoną zagajnika, pierwszego, jaki zobaczyliśmy po kilku godzinach jazdy przez zupełnie bezdrzewną okolicę, niebo i ziemia płonęły blaskiem bardziej jeszcze ognistym od łuny odbitej od słońca, które znikło już za horyzontem. Wielkie kałuże wokół nas zamieniły się w szkarłatne sadzawki, aż w końcu, muszę przyznać, przed oczami stanęli mi dzicy poganie składający na czarnych skałach ofiary z ludzi, po których zostały te krwawe jeziora. Zatopiłam wzrok we wspaniałym widowisku, jakie zgotował nam płonący wulkan.

Zbliżyliśmy się do ognia, rozpalonego przez Madame Pele. Aby zrobić coś z czasem, który pozostał do artystycznego spotkania, Eleanor postanowiła przejść się po terenie Mauna Pele.

Zaczynała orientować się w topograficznym układzie ośrodka. Na wschód od Wielkiego Hale położone były ogrody, gaj palmowy, jeden z trzech tenisowych kortów i oba pola golfowe z osiemnastoma dołkami każde, przy czym jedno z nich opadało ku północy i wybrzeżu, drugie ku południowi. Po stronie zachodniej Wielkiego Hale znajdowała się Morska Łąka, liczne ogrody, wodospady i jeziora, Piracki Bar, basen z płaszczkami oraz licząca prawie pół kilometra długości, półkolista plaża. Idąc ku południowi wzdłuż brzegu można było zobaczyć gęsty las, w którym usytuowano większość hale, w tym także zajmowany przez Eleanor. Spacer ku północy, wzdłuż brzegu, a potem długim, skalistym półwyspem pozwalał dotrzeć do tak zwanych Samoańskich Bungalowów - wielkich hale z własnymi basenami i dziedzińcami. Skrajne tereny od wschodu, południa i północy pokryte były lawą - pola ze zwałami a 'a rozciągały się tam na wiele kilometrów. Jedynymi miejscami umożliwiającymi kontakt z morzem była zatoka z plażą oraz osłonięty porcik jachtowy po północnej stronie półwyspu; klifowe skały po stronie północnej i południowej narażały na bezpośredni atak Pacyfiku. Eleanor zdołała już zlokalizować teren z naskalnymi napisami. Ku wybrzeżu wzdłuż południowej granicy magmowego pola, tuż za sekcjami południowego pola golfowego biegła ścieżka joggingowa, a mała tabliczka umieszczona na jej początku informowała, że rysunki na skałach zostały namalowane przez pierwotnych Hawajczyków i znajdują się pod ścisłą ochroną ośrodka Mauna Pele. Inne znaki ostrzegały uprawiających jogging turystów, że powinni trzymać się ścieżki i nie korzystać z niej po zmroku, ze względu na niebezpieczeństwa czyhające na polach a 'a w postaci szczelin i zawalonych korytarzy, którymi kiedyś uchodziła lawa. Po tym krótkim rekonesansie Eleanor wróciła na dwadzieścia minut, które miała jeszcze w zapasie, do Wielkiego Hale. Minąwszy schody, prowadzące na Widokowe Lanai i do kilku fantastycznych restauracyjek, zamkniętych w ciągu dnia, przeszła przez szeroki hol koło wewnętrznego dziedzińca. Zdała sobie sprawę, że Wielki Hale jest samodzielnym ośrodkiem rekreacyjnym; przebywający tu turyści mogli odnieść wrażenie, że są na egzotycznych wakacjach, nie wychodząc ani na chwilę z ogromnego budynku.

Jego zewnętrzny wygląd był mylący: udające strzechę dachy i szeroki nawis, siedmiopiętrowa fasada z tarasami pełnymi doniczkowych roślin sprawiały, że Wielki Hale pasował do skansenowej, tradycyjnie hawajskiej zabudowy całego ośrodka, ale oglądany od strony dziedzińca odkrywał całą swoją wyjątkową elegancję. Wzniesiony na stoku budynek ukazywał temu, kto zbliżał się od strony wschodniego portyku, tylko pięć kondygnacji. Ale ktoś, kto jak Eleanor wchodził do niego od strony oceanu, miał restauracje i sklepy, przechodził przez bambusowy gaj, kroczył ścieżką pośród wznoszących się tarasowo trawiastych pagórków, sztucznych sadzawek i pęków wiszących orchidei. Z Wielkiego Hale otwierał się widok na niebo; każdy z tarasów na kolejnych kondygnacjach wystawał trochę nad pełnym drzew atryum, a z ustawionych na nich pojemników i donic zwieszały się kwitnące rośliny i pnącza. Eleanor przyszło na myśl, że tak musiał wyglądać starożytny Babilon.

Główny hol znajdował się o dwa piętra nad najniższą kondygnacją. Wyłożony był lśniąca posadzką, a przy wejściu promieniały złote posągi Buddy. Wyczuwało się tu powiewy pasatu, który wnikał przez wschodnie wejście i docierał niczym nie zakłócony do tarasu, położonego po stronie zachodniej nad Wielorybim Lanai. Eleanor dostrzegła kilka osób z hotelowej służby, poruszających się dyskretnie po osłonecznionych korytarzach, ale jej pierwszym wrażeniem było uczucie absolutnej pustki i ciszy, łagodzonej tylko przez szum przyboju, nieustanne szmery i szepty palmowych liści, a także ptaki. Zarówno w holu, jak i w atryum, stały ogromne klatki, w których gwizdały i skrzeczały ary, kakadu i wielu innych egzotycznych przedstawicieli ptasiego rodu.

Eleanor przeżyła kiedyś długi romans z pewnym architektem, mogła więc teraz docenić kosztowne

elementy wyposażenia z lśniącego mosiądzu, polerowanego cedru i pięknie rzeźbionego mahoni, ciemne framugi okien z drzewa żelaznego i obramowania wind z delikatnego marmuru, a także tradycyjne, japońskie werandy, które w jakiś sposób wtapiały się w postmodernistyczny, a przecież dziwnie przytulny wystrój całości. Budowla ta nie miała w sobie nic z disneyowskiej agresywności, a jednocześnie nie była nudna. Eleanor wyobrażała sobie, że tak właśnie określiliby to jej były kochanek.

Przypomniała sobie, że powinna coś zrobić z włosami. Zwykle nosiła je obcięte krótko - jedna z przyjaciółek powiedziała nawet, że wygląda jak Amelia Earhart - ale wiosną pozwalała im trochę urosnąć po to właśnie, aby obciąć je tam, dokąd jechała na wakacje. Po zainstalowaniu się w hotelowym pokoju w jakimkolwiek mieście zaczynała chodzić po ulicach dopóty, dopóki nie znalazła jakiegoś damskiego fryzjera, czy raczej salonu piękności, choć jeszcze gdy miała pięć lat, ciocia Beanie nauczyła ją traktować to określenie z przymrużeniem oka. Tam pozwalała ułożyć sobie nawet najokropniejszą fryzurę, jeżeli akurat była modna w tej okolicy. Podczas tego zabiegu prawie zawsze udawało się jej przełamać językowe i kulturowe bariery na tyle, aby umożliwiło jej to nawiązanie kontaktów z innymi kobietami. Wychodząc z ułożonymi włosami, a czasami także zrobionym manikurem, miała dość informacji o mieście, aby znaleźć w nim porządną restaurację, zrobić dobre zakupy, zobaczyć rzeczy godne obejrzenia, a często także zasiąść do kolacji albo udać się na zwiedzanie w towarzystwie jednej z pań, które poznała siedząc pod suszarką do włosów. Przeżyła już tego rodzaju fryzjerskie przygody w Moskwie i Barcelonie, Reykjavíku i Bangkoku, Kyoto i Santiago, Hawanie i Stambule... na szczęście włosy odrastały i mogła obciąć je znowu na jesieni, po powrocie do uniwersyteckiego campusu. A dzięki nowym fryzynom zdarzało się często, że brano ją za stałą mieszkankę kraju, który akurat odwiedzała - choćby przy zakupach ciuchów w sklepach polecanych przez kobiety poznane w salonach piękności, co było zawsze drugim punktem w jej turystycznych programach. To także pomagało jej przełamywać międzyludzkie bariery.

Zaczęła się zastanawiać, gdzie też układają sobie włosy kobiety zatrudnione w

Mauna Pele. Na pewno nie w znajdującym się na terenie ośrodka salonie piękności, którego nie powstydziliby się Beverly Hills. Wiedziała już, że służbę hotelową dowożono z miejscowości położonych o wiele kilometrów stąd, gdzieś na wybrzeżu Kona, a niektórych nawet z Hilo.

Rzuciła okiem na zegarek. Informacyjna ulotka podawała tylko, że spotkanie z przewodnikiem nastąpi koło posągów w głównym holu, ale Eleanor nie dostrzegła ani jednej oczekującej osoby. Kiedy lepiej przyjrzała się odlanym w brązie posągom, stwierdziła, że nie przedstawiają Buddy. Eleanor spędziła już dość czasu na podróżach wokół Pacyfiku, aby zidentyfikować je jako buddyjskich mnichów, klęczących z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Ich szczupłe ciała ukryte były pod szatami ze złoczonego, polerowanego do połysku brązu. Przypuszczała, że pochodzą z Tajlandii albo z Kambodży. - Tajlandia- odezwał się sympatyczny głos za jej plecami. -Koniec osiemnastego stulecia.

Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę nie wyższego od niej, choć może o kilka lat starszego. Jego wolna od zmarszczek twarz wskazywała na azjatyckie albo polinezyjskie pochodzenie przodków. Miał krótko ostrzyżone, ale wyraźnie kręcone, siwiejące włosy. Duże, wyraziste oczy spoglądały spoza okrągłych okularów od Armaniego. Był dokładnie ogolony, a jego opalenizna miała taki sam odcień głębokiego brązu, jak drewno w wewnętrznych framugach Wielkiego Hale. Miał na sobie luźną granatową koszulę z jedwabiu o wyraźnej fakturze, lniane spodnie i sandały.

- Czyżby pan doktor Kukali? - zapytała Eleanor wyciągając rękę. Jego dłoń była przyjemna w dotyku.

- Paul Kukali - przedstawił się głębokim, dźwięcznym barytonem. - Jest pani, jak przypuszczam, całą moją grupą na dzisiejszą wycieczkę. Czy mogę zapytać o nazwisko?

- Eleanor Perry.

- Miło mi panią poznać, pani Perry.

- Ponieważ nasza grupa jest tak mała, proszę mi mówić po imieniu - powiedziała Eleanor, odwracając się znowu do pilnujących wejścia posażków. - Wspaniali są ci mnisi.

Paul Kukali spojrział na nią z uznaniem.

- Och, widzę, że wie pani, kogo one przedstawiają. Zauważyła pani drobne różnice w ich wyglądzie?

Eleanor odstąpiła krok do tyłu.

- Teraz widzę. Różnią się nieco kształtem nosów... i noszą trochę inne szaty.

Obaj mają długie płatki uszne, co oznacza królewskie pochodzenie...

- Boscy pomazańcy - powiedział kustosz.

- Tak, ale uszy tego tutaj są jakby trochę... szersze - roześmiała się Eleanor.

Kustosz podszedł do posągu i położył dłoń na jego złoczonej powierzchni. - Sąto wyidealizowane portrety donatorów. To samo można zobaczyć na rzeźbionych ołtarzach w Europie. Bogaci ludzie rzadko opierali się pokusie oglądania podobizn w pobliżu obiektów ich uwielbienia.

Eleanor rozejrzała się po zgromadzonych w holu rzeźbach, ozdobnych stołach, draperiach, czarach, delikatnych figurkach i buddyjskich ołtarzach. - Czuję się tu jak w prawdziwym muzeum.

- Bo to jest muzeum - powiedział uśmiechając się lekko Paul Kukali. - Na szczęście zdołałem przekonać pana Trumbo, żeby nie opatrywał wszystkiego mosiężnymi plakietkami czy opisami. Ale przedmioty rozrzucone po Wielkim Hale i innych budynkach Mauna Pele stanowią najciekawszą kolekcję sztuki Azji i Pacyfiku, jaką mamy na całych Hawajach. Może z nami konkurować tylko zbiór w Mauna Kea na północnym wybrzeżu, a to dlatego, że kolekcjonował go osobiście Lawrence Rockefeller.

- Czemu skłonił pan pana Trumbo, żeby nie opatrywał tych skarbów tabliczkami? - zapytała Eleanor. Ruszyła na drugą stronę holu, aby popatrzeć z bliska na czerwone japońskie tansu.

- No cóż, chciałem, żeby tutejsi goście nie czuli się jak w muzeum, ale tak, jakby natknęli się na te wspaniałe przedmioty składając wizytę w domu przyjaciela.

- Piękne to - powiedziała Eleanor. Nad tansu umieszczono dwie drewniane, wotywnie tablice, które, jak przypuszczała, musiały pochodzić z Tajlandii. - A poza tym - ciągnął Paul Kukali - pozostawienie tych przedmiotów bez tabliczek zapewniało mi zajęcie przy oprowadzaniu turystów w czasie wolnym od wykładów w Hilo.

Eleanor roześmiała się. Kustosz wskazał jej wyjście na klatkę schodową.

Zwiedzanie się rozpoczęło.

Ośrodek Mauna Pele miał dwa pola golfowe: „łatwe”, zaprojektowane przez Roberta Trenta Jonesa Juniora, i nowsze, dużo trudniejsze, które było dziełem Billa Coore’a i Bena Crenshawa. Na obu znajdowały się dołki, do których wybita piłka musiała szybować nad wodą; oba też przypominały zielone, naturalne płaskorzeź-93 by, wycięte w bezkresnej, magmowej skale. Byron Trumbo sądził, że Hiroshe Sato pogra sobie dziś chętnie na łatwiejszym, południowym polu, a jutro rzuci wyzwanie łamańcom wymyślonym przez Coore’i Crenshawa. Pierwsze cztery dołki poszły dość łatwo. Czwórka grających składała się z Trumba, Sato, Inazo Ono i Willa Bryanta. Jednak

Bryant, który ku ustawicznej irytacji Trumba dotąd nie nauczył się grać w golfa, musiał zostać przy wózkach i przyglądać się wyczynom szefa. Trumbo zgodził się, aby zastąpił go Bobby Tanaka, ale chociaż Tanaka systematycznie uprawiał tę grę w Japonii, grał, delikatnie mówiąc, bez polotu. Sato natomiast grał prawie tak samo agresywnie jak Trumbo. Trumbo ocenił, że jeśli ma w ogóle ubić interes z Sato, może to zrobić równie dobrze tu, przy podchodzeniu do kolejnych dołków. W tym celu starał się opóźniać nieco swoje uderzenia, aby jego piłka padała jak najczęściej w pobliżu piłki Sato. Miał przy sobie swojego stałego podawacza z Mauna Pele, Gusa Roo. Japończykowi podawał piłki pomocnik, który przyleciał z nim samolotem - starszy wiekiem gość, który, jeśli sądzić z wyglądu, powinien siedzieć raczej z wędką nad wiejskim stawem, zamiast plątać się po pięciogwiazdkowym kurorcie. Dzień był nadal słoneczny i przyjemny - dzięki łagodnej oceanicznej bryzie temperatura powietrza wynosiła około trzydziestu stopni Celsjusza przy bardzo niskiej wilgotności. Sato przegrywał o jedno czy dwa uderzenia z Trumbem, który trafiał na łatwiejsze przeszkody. Byron Trumbo demonstrował w grze w golfa, jak zresztą we wszystkim, wielką zajadłość, chętnie jednak przegrałby z japońskim młodzieniaszkiem z miliardami w portfelu, gdyby tylko pomogło mu to pozbyć się Mauna Pele. Utrzymywała się piękna pogoda, nigdzie nie było widać chmury popiołów ani ściany kipiącej lawy, gotowej pogrzebać kupujących, toteż Trumbo spodziewał się, że spędzi udane popołudnie, a potem ostatecznie sfinalizuje transakcję.

Sprawy zaczęły się psuć przy ósmym dołku. Kiedy Trumbo wprowadził już swoją piłkę i czekał, aż Sato przestanie mamrotać pod nosem i wbije swoją. Will Bryant przywołał go ruchem ręki do wózka. Sekretarz rozmawiał dopiero co przez telefon. - Złe wieści - powiedział. - Dzwonił Sherman z Antiguy. Bicki szaleje. Dotąd suszyła głowę Feliksowi, aż zgodził się zabrać ją do gulfstreama. - Cholera - mruknął Trumbo. Sato przymierzył się do ostatniego uderzenia, zwykłej łatwizny z odległości niecałych dwóch me-94 trów, i spudłował o dwadzieścia pięć centymetrów. Trumbo pokiwał współczująco głową. - Dokąd zamierza lecieć, u diabła?

- Tutaj.

- Tutaj?

- Tutaj.

Trumbo ścisnął kij tak mocno, aż mu zbieleły palce.

- Cholera. Kto jej powiedział, gdzie jestem? Will Bryant wzruszył ramionami.

- To jeszcze nic - dodał. Trumbo wytrzeszczył na niego oczy.

- Pańska żona i jej adwokat wystartowali cztery godziny temu z Nowego Jorku. - Chyba nie powiesz, że i oni tu lecą? - zapytał Trumbo. Sato uderzył piłkę i znowu spudłował, tym razem o pięć centymetrów.

- Niestety, tak - powiedział Will Bryant. - Mają najwyraźniej zamiar zająć Mauna Pele w charakterze zastawu. Koestler musiał wywachać, że chcemy sprzedać ośrodek.

Przed oczami Byrona Trumbo stanął siwy adwokat, o włosach związanych na szyi w kucyk. Ostatnio ten były obrońca Czarnych Panter i antywojennie nastawionych radykałów działał przeważnie jako prawny pełnomocnik żon miliarderów, które chciały uzyskać rozwód. Trumbo próbował przypomnieć sobie numer telefonu mafijnego człowieka od mokrej roboty, którego poznał kiedyś w Detroit. - Caitlin, Caitlin - szepnął do siebie - będę musiał cię zabić, moja droga, kochana dziewczynko.

- Jest coś jeszcze - powiedział Bryant.

Sato przyklęknął, przymierzając się do wbicia piłki leżącej o piętnaście centymetrów od dołka.

Trumbo odwrócił się gwałtownie. - Maya? - krzyknął.

Will Bryant potarł brodę telefonem i kiwnął głową. - Leci tutaj? - Trumbo próbował wyobrazić sobie trzy towarzyski jego życia, przebywające jednocześnie w tym samym miejscu. Robił to już wcześniej, ale bez powodzenia, takjak i tym razem.

- Barry nie jest tego pewien - powiedział Will Bryant. - Wyszła po południu po zakupy do Barneya i nie wróciła.

Trumbo uśmiechnął się. Maya miała do dyspozycji swój własny odrzutowiec. - Dowiedz się tego - zażądał. - Jeżeli leci tutaj, powiedz tym na lotnisku, żeby nie zezwolili jej naładowanie. A jeżeli uzyska zezwolenie, pošlij tam Briggsa z rakieta Stinger, żeby zestrzelił jej samolot.

Will Bryant zerknął w kierunku niezgrabnej sylwetki szefa ochrony, ale nic nie odpowiedział.

- Zastrana sprawa - rzucił szczerze zmartwionym tonem Byron Trumbo. - Rzeczywiście - przytaknął jego osobisty sekretarz. Hiroshe Sato umieścił piłkę w dołku. Trumbo klasnął parę razy w dłonie i uśmiechnął się.

- Każ Briggsowi zestrzelić wszystkie trzy maszyny, co do jednej - powiedział na odchodnym do Willa Bryanta. Całe towarzystwo ruszyło w kierunku dziewiątego dołka.

Zwiedzanie miało według programu trwać godzinę, ale Eleanor i Paul Kukali ani się obejrżeli, jak minęło całe dziewięćdziesiąt minut. Podczas wędrówki po siedmiu kondygnacjach Wielkiego Hale i sąsiadujących z nim ogrodach, kustosz pokazał jej wspaniałe hawajskie czary, wysokie na półtora metra rytualne maski z Nowej Gwinei, czternastowieczne japońskie rzeźby buddyjskie, tajlandzkie rzeźby w drewnie z okresu Ajutthai, pięknego hinduskiego Buddę z Nagapattinam, ukrytego pod bananowym drzewem w ogrodzie, skrzydlate lwy z brązu strzegące wejścia do Prezydenckiego Apartamentu na górze, zabawną, skuloną kozę wyrzeźbioną w polakierowanym na czerwono drewnie i wiele innych skarbów. Mało kiedy rozmowy o sztuce sprawiały Eleanor tyle przyjemności. Podczas spaceru dowiedziała się, że Paul Kukali od sześciu lat jest wdowcem, on zaś, że Eleanor nigdy dotąd nie miała męża. On odgadł, że ona jest wykładowcą w college'u, był jednak zaskoczony tym, że specjalizuje się w okresie Oświecenia. Oboje okazywali głębokie zainteresowanie religią Zen i stwierdzili, że odwiedzili wiele tych samych tradycyjnych ogrodów w Japonii. Odkryli też, że uwielbiają tajlandzką kuchnię i jednakowo nie cierpią kampusowych polityków, a w końcu złapali się na tym, że śmieszają ich te same dowcipy. - Przepraszam za przedłużenie spaceru - powiedział Paul, kiedy znaleźli się z powrotem w głównym holu. - Wszystkiemu winien siedzący Budda. Kiedy zaczynam o nim mówić, zawsze tracę głowę.

- Głupstwo - odparła Eleanor. - Byłam zachwycona. Gdyby mi go pan nie pokazał, nigdy nie zauważyłabym „koła praw”, wrytego na jego dłoni. Kustosz uśmiechnął się.

- To było ładnie z pani strony, że położyła tam pani kwiatek. I bardzo na miejscu.

Eleanor spojrzała na zegarek.

- Hmm... wspominam o tym nie bez zakłopotania, ale planowałam wziąć udział w spacerze po terenie z naskalnymi rysunkami. Jeżeli przyjdę tam tylko ja, to czy zwiedzanie się odbędzie?

Paul uśmiechnął się jeszcze szerzej, ukazując dwa rzędy białych zębów. - Jeżeli nie przyjdzie nikt prócz pani, to spacer znowu może się przedłużyć. - On także spojrzał na zegarek. - Mam pewien pomysł. Gdyby pani miała ochotę, moglibyśmy zjeść razem lunch na lanai i prosto stamtąd udać się do tych skałek. - Zawiesił na chwilę głos. - Do licha, zabrzmiało to tak, jakbym chciał panią poderwać...

- Nie - odparła Eleanor. - Zaprosił mnie pan tylko na lunch. Przyjmuję zaproszenie.

Na lanai siedziało przy lunchu nie więcej jak dziesięcioro turystów, ale była wśród nich Cordie Stumpf, owinięta plażową narzutką, harmonizującą z jej kąpielowym kostiumem. Pociągała drobnymi łyżkami napój z wysokiej szklanki, w której pływało kilka kwiatuszków, i marszczyła brwi nad menu, jakby wydrukowano je w obcym języku.

- Oho - powiedziała Eleanor - jest tu osoba, której poznanie powinno sprawić panu przyjemność. Zapytamy ją, czy nie zechciałaby się do nas przyłączyć? - Ależ tak, oczywiście - odparł z uśmiechem archeolog, jakby propozycja Eleanor zdjęła mu kamień z serca.

Cordie Stumpf zerknęła w ich stronę. Miała zaróżowioną od słońca skórę na nosie. - Zapraszam do mojego stolika. Hej, jak myślicie, czy to możliwe, żeby podawali tu delfina? Zastanawiałam się właśnie, czy nie zamówić sandwicza z tą rybką. Sprawy Byrona Trumbo zaczęły psuć się naprawdę przy czternastym dołku. Już drugim uderzeniem posłał piłkę na gładki trawniczek, podczas gdy Sato męczył się najpierw w dzikim terenie, a potem wpadł w piaszczystą pułapkę. Japoński miliarder wyraźnie przegrywał. Problemy mieli także Bobby Tanaka i Inazo Ono.

Trumbo stanął na skraju zielonego pola razem z podawaczem Gusem i przyglądał się, jak Sato pakuje się w coraz większe kłopoty. Miał nadzieję, że Japończyk pošle tę przeklętą piłkę gdzieś w skałki i da wreszcie spokój. Jakimś cudem Sato wrzucił w końcu piłkę na zielone pole i podszedł do swojego podstarzałego podawacza, który wręczył mu jedwabną chusteczkę, żeby sobie otarł zarumienioną twarz.

- Proszę, panie Trumbo, niech pan kończy.

- Stracił pan trochę punktów, Hiroshe - powiedział z uśmiechem Trumbo. Will Bryant właśnie poinformował go, że samolot Caitlin rzeczywiście zmierza na lotnisko Keahole-Kona, i że ona i jej adwokat zarezerwowali pokoje w Mauna Pele. Już chciał się poddać i wymierzyć celne uderzenie, potem jednak oparł kij o pień palmy. - Proszę - powiedział i wyciągnął rękę w wymownym geście: „pan pierwszy”. Sato potrząsnął głową. Trumbo po raz pierwszy dostrzegł u niego oznaki rozdrażnienia.

- Nie, proszę wbić swoją piłkę - powiedział Japończyk - a ja tymczasem przemyślę błędy, z powodu których dostałem takie lanie.

Trumbo odchrząknął i podszedł do piłki. Odległość wynosiła około trzech metrów. Gus schylił się, żeby wyciągnąć chorągiewkę, nagle jednak znieruchomiał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Wyciągnij ją, Gus.

- Ale, panie Trumbo... - W cichym głosie pomocnika słychać było dziwne drżenie.

- Wyciągnij ją i odejdź na bok.

- Ale, panie Trumbo... - Pomocnik wpatrywał się w palik wytrzeszczonymi oczami, jakby go zamurowało.

- Wyciągnij tę pieprzoną chorągiewkę i zejdź z drogi - powiedział Byron Trumbo rozkazującym tonem, którego rzadko używał.

Gus wyjął chorągiewkę i odszedł chwiejnym krokiem na bok. Byronowi Trumbo przeleciało przez głowę, czy przypadkiem jego pomocnikowi nie grozi zawał serca. Jeśli tak, to na wszelki wypadek postanowił nie posyłać kwiatów na jego pogrzeb... Ostatnią rzeczą, jakiej dziś potrzebował, były jakieś numery odstawiane przez pieprzonego podawacza piłek.

Przymierzanie się zajęło Byronowi nie więcej jak sekundę. Piłka potoczyła się gładko i wpadła do dołka. Trumbo spojrział w stronę Sato oczekując, że tamten uśmiechnie się z uznaniem, ale japoński miliarder szeptał coś akurat do Inazo Ono, któremu udało się czwartym uderzeniem posłać piłkę na

skraj zielonej trawki. Mam cię gdzieś, pomyślał Trumbo i podszedł do dołka, aby wyjąć piłkę.

Nie zareagował od razu; nawet nie wtedy, kiedy jego palce dotknęły palców sterczących z dołka. Wyglądało to tak, jakby ktoś wyciągał rękę spod ziemi, aby wymienić z nim uścisk dłoni. Wrażenie było tak niesamowite, że jeśli nie liczyć zimnego dreszczu, który przebiegł mu po plecach, nie drgnął nawet. Znieruchomiał pochylony ku ziemi, z ręką w dołku.

Dopiero po chwili schylił się bardziej i zajrzał do środka. Jego piłka leżała tuż przy wlocie, zaklinowana między czterema rozcapierzonymi ku górze palcami i kciukiem odciętej, prawej ręki.

Rozejrzał się wokół nie zmieniając pozycji. Zauważył, że Sato i Ono odwracają się, żeby popatrzeć w jego stronę, a piłka Bobby'ego Tanaki znalazła się po ostatnim uderzeniu na zielonym polu. Zerknął na Gusa Roo. Pomocnik trzymał chorągiewkę w jednej ręce, a drugą unosił w bezradnym geście. Jego twarz była bardzo blada jak na Hawajczyka. Trumbo zauważył, że dolny koniec palika z chorągiewką zaplamiony jest krwią.

Obejrzał się w kierunku Sato z uśmiechem, nie odsuwając dłoni od przytrzymujących piłkę palców. A jeśli jest tam ktoś żywy i spróbuje wydostać się przez darninę?

- Piękne uderzenie - powiedział bez większego entuzjazmu Sato. Trumbo uśmiechnął się znowu, nie podnosząc się z niewygodnej pozycji. Zauważył, że Will Bryant wytrzeszcza na niego oczy, zastanawiając się najwyraźniej, co się stało. Zaniepokoił się może, że szef nadwerężył sobie kręgosłup. Trumbo jeszcze raz sięgnął po piłkę. Wstrzymał oddech na myśl, że odrąbana ręka może jej nie puścić.

Chwycił wreszcie piłkę, wyprostował się i obojętnym ruchem włożył ją do kieszeni.

- Kto jest za tym, żeby zrobić przerwę na małego drinka? - zapytał.

Sato i jego ludzie zmarszczyli brwi.

- Na drinka, panie Trumbo? Jesteśmy dopiero przy czternastym dołku.

Trumbo ruszył po trawie w ich kierunku.

- Hej, gorąco dzisiaj, a my harujemy w pocie czoła, więc moglibyśmy zrobić sobie parę minut przerwy na łyk czegoś chłodnego tam, w cieniu - powiedział wyciągając rękę nad piaszczystą pułapką w kierunku paru szeleszczących palm. - Najpierw muszę wbić moją piłkę - odparł Sato, wyraźnie zde gustowany lekceważącym stosunkiem gospodarza do golfa.

Trumbo potrząsnął głową, szczerząc wciąż zęby w idiotycznym uśmieszku.

- To fraszka, Hiroshé.

- F... fraszka?

- Oczywiście - powiedział Trumbo. - Zrobi to pan później. Sato nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Jestem o osiem i pół metra od dołka, panie Trumbo. - Tak, ale coś za bardzo się pan dzisiaj poci, Hiroshé - nie dawał za wygraną Trumbo. Jednocześnie mrugnięciem przywołał do siebie Willa Bryanta. Sekretarz ruszył w jego stronę po trawniczku, nie zważając na zdziwione miny japońskich gości, którzy zmarszczyli brwi widząc, że wkracza w zwyczajnych butach na delikatną trawę. Trumbo pochylił się w jego stronę. - Coś jest w dołku - szepnął Willowi do ucha. - Weź od Gusa jakiś ręcznik i wyjmij stamtąd to pieprzone świństwo, tylko zrób to tak, żeby Sato ani żaden z nich nic nie zauważyli. Kapujesz?

Will Bryant spojrział na szefa, kiwnął nieznacznie głową i odszedł, kierując się w stronę pomocnika.

Trumbo zbliżył się do japońskiego miliardera i położył mu rękę na ramieniu.

Poczuł, że tamten odsuwa się lekko pod dotykiem jego dłoni. - Chciałbym coś panu pokazać, Hiroshe - powiedział i poprowadził całą grupę do stojących z boku wózków. Otworzył teczkę Willa i wyjął z niej prospekty i plany sytuacyjne, na które powoływano się przy śniadaniu. Rozłożył na tylnym siedzeniu wózka plan pola golfowego, jakby miała z niego wyskoczyć wielka niespodzianka. Sato, Tanaka i Ono, a także stary pomocnik japońskiego miliardera zgromadzili się wokół niego. Trumbo wyczuł, że przyglądają mu się, jakby byli pewni, że po prostu mu odbiło. Może i tak, pomyślał przykładając gruby palec do miejsca, gdzie zaznaczony był czternasty dołek.

- Przepraszam pana, Hiroshe, ale chodziło mi to po głowie już przy poprzednich dołkach i w końcu musiałem powiedzieć choć parę słów. Czy zdaje pan sobie sprawę, jakie tu się kryją możliwości, jeżeli pana ludzie zbudują luksusowe pola tu... i tu... i tu? O ile wiem, chce pan zamienić Mauna Pele w ekskluzywny klub golfowy dla tokijskich graczy, którzy płacą po dwieście tysięcy dolarów. Sato wytrzeszczył na niego oczy, jakby miał za chwilę eksplodować. To, że zamierzał zlikwidować w Mauna Pele kąpielisko i urządzić tu kluby dla graczy w golfa, było tajemnicą, o której żadna ze stron miała nie wspominać w tych negocjacjach.

- W porządku, ale ja muszę wbić moją piłkę - powiedział i zaczął odwracać się w kierunku zielonego pola.

Trumbo dostrzegł kątem oka, że Will Bryant pochyła się nad dołkiem, wyciągając ostrożnie ręcznik w kierunku otworu. Gus Roo siedział na kawałku lawy i trzymał się za głowę.

- Niech pan weźmie pod uwagę jedną rzecz - powiedział Trumbo, położył dłoń na ramieniu Sato i obrócił go z powrotem twarzą do mapki. Poczuł, że japoński magnat wzdryga się w reakcji na ten jawny zamach na jego osobę. - Mam na myśli zrównanie terenu po stronie wschodniej, o tu... widzi pan? Posadzi pan tu drzewa, wykopie parę płytkich sadzawek, jednym słowem zrobi to samo, co myśmy już zrobili od zachodu... No, za ile można by to wydzierżawić, Hiroshe? Za dwa miliony każde, nie?

- Słuchaj, Byron... - odezwał się Bobby Tanaka. - Myślę, że powinniśmy... - Zamknij się - rzucił mu Trumbo. Sato wpatrywał się smutno w mapkę, próbując uwolnić się od przytrzymującej ręki. Trumbo obejrzał się i zobaczył, że Will Bryant kroczy w stronę pola a 'a, niosąc coś w ręczniku. - No, dobra - powiedział - ciążyło mi to i chciałem mieć z głowy. Okay, wracamy do gry. - Rzucił wściekłe spojrzenie Tanace. - Musiałeś się napocić, żeby dojechać wreszcie do trawki, co?

Inazo Ono powiedział coś na ucho szefowi.

- Zaproponowałem, żeby pan Sato dokończył jako pierwszy - wyjaśnił. Trumbo kiwnął głową. Usłyszał wprawdzie słowa „Amerykaniec” i „zwariowany”, ale miał to w nosie. Spoza palmowych drzew i magmowych skałek dochodziły prawie niesłyszalne odgłosy torsji.

Sato zgarbił się nad kijem do precyzyjnych uderzeń. Trumbo zobaczył, że Will Bryant wyłania się spomiędzy skał. Udało się, żaden z Japończyków niczego nie zauważył. Nie do wiary. Sato uderzył, piłka pokonała gładko ponad ośmiometrowy odcinek i wpadła do dołka. Rozległy się brawa. Nie przyłączył się do nich tylko Gus Roo, który ciągle siedział trzymając się za głowę. Kiedy wszyscy ruszyli do wózków, aby podjechać do piętnastego dołka, Bryant podszedł do szefa i szepnął:

- Należy mi się za to ekstra premia.

Rozdział dziewiąty

W charakterystycznych dla polinezyjskiej kultury poglądach na świat istniało zjawisko przeciwstawianie sobie poszczególnych kategorii w opozycji.

Najpowszechniejszą i najbardziej znaczącą była dychotomia pierwiastków męskiego i żeńskiego, w której cechy „ męskie „, oznaczały dobroć, potęgę, światło, „żeńskie” zaś głównie to, co słabe, niebezpieczne, mroczne (ale paradoksalnie mające także znaczenie podstawowe, jako źródło życia).

William Ellis, Studia Polinezyjskie

Po lunchu Eleanor, Cordie i Paul Kukali obeszli bez pośpiechu teren z naskalnymi rysunkami. Joggingowa ścieżka wiła się między głazami a ‘a niczym gładka wstążka rozłożona na kamienistym brzegu. Po prawej ręce mieli nadmorskie urwiska, po lewej palmy i soczyste trawniki wysuniętego bardziej na południe pola golfowego, skrapiane mgiełką wodnych spryskiwaczy. Co jakiś czas do uszu Eleanor dochodziły przypadkowe okrzyki grających, poza tym słychać było tylko szum wiatru i fal. - Kiedy Trumbo i jego konsorcjum postanowili zagospodarować ten teren - mówił Kukali - złożyliśmy w stanowym Sądzie Najwyższym wniosek o zachowanie starych hawajskich stawów rybnych i skalnych rysunków.

- Jakich znowu stawów rybnych? - zapytała Cordie rozglądając się na wszystkie strony.

- Właśnie - odparł kustosz. - Zanim zdążyliśmy uzyskać nakaz wstrzymujący prace, ich buldożery zasypały już te stawy. Zagroziłem wywołaniem międzynarodowego skandalu, jeśli Trumbo zniszczy napisy, tak więc zostawiono w spokoju tych parę akrów... jeśli oczywiście nie liczyć poprowadzonej przez nie joggingowej ścieżki.

Grupka zatrzymała się koło strzałki, wskazującej niską skałę z małymi otworkami i wyblakłym rysunkiem męskiej postaci.

- To są te cudeńka? - zapytała Cordie.

- Tak - odparł Paul.

- Ile mogą mieć lat? - Cordie przykucnęła obok skały, rozkładając szeroko grube nogi. Położyła na niej pulchną dłoń.

- Nie ma co do tego żadnej pewności - odparł Paul. - Ale tu znajdowały się najstarsze osady na tych wyspach... prawdopodobnie zakładane jeszcze w czasach, gdy przybywali tu moi pierwsi polinezyjscy przodkowie, jakieś czternaście wieków temu.

Cordie gwizdnęła cicho i dotknęła palcem kamienia.

- Co to za dziurki?

Paul i Eleanor przykucnęli obok niej.

- Tak zwane piko - wyjaśnił kustosz. - Otworki na pępownię. Tradycyjne przekazy powiadają, że kiedy nowo narodzonym dzieciom odcinano koniuszek pępownicy, wkładano go do tych otworków i zatykano je małymi kamyczkami. Rodziny musiały pokonywać duże nawet odległości z pępownią umieszczoną w naczyniu z tykwy, żeby złożyć ją tutaj. Mamy bardzo niewyraźne pojęcie o tym, dlaczego to miejsce uważano za tak potężne siedlisko mana.

Cordie zmarszczyła pytająco gęste brwi.

- Mana to zdaje się „duchowa siła”, prawda? - zapytała Eleanor.

Paul kiwnął potakująco głową.

- Dla dawnych Hawajczyków wszystko w świecie przyrody miało w sobie mana. A niektóre miejsca, takie jak to, wydawały się im przeniknięte szczególną potęgą. Eleanor podniosła się i podeszła do skały, na której przestrzeń między otworkami wypełniały rysunki ludzkich postaci. Popatrzyła na jedną z nich, przedstawioną z ptasimi stopami, kolczastym owłosieniem i nieproporcjonalnie długim penisem. Cordie podeszła do niej.

- Takie chuchro, a przyrodzenie ma jak armata. Czy to oznaczało, że było w nim więcej manal Paul Kukali roześmiał się.

- Prawdopodobnie tak. Wszystko, co Hawajczycy robili albo o czym myśleli, obracało się wokół mana i kapu.

- To były ich tabu?

Paul przysiadł obok i dotknął skały tuż nad rysunkiem męskiej postaci, która wzbudziła w Cordie taki podziw.

- Pojęcia określane jako kapu nie były zwykłymi regułami mówiącymi, co można, a czego nie wolno robić. Przez tysiące lat Hawajczycy byli opętani wiarą w mana... duchową siłę, płynącą z ziemi, od bogów i innych istot... akapu pomagały zatrzymać tę siłę tam, gdzie ona się znajdowała... nie pozwalały wykraść jej stamtąd. Cordie potarła sobie czubek nosa.

- Więc oni uważali, że można ukraść coś takiego jak siła? Kustosz skinął głową. - Do tego stopnia, że kiedy przechodzili ali 'i, czyli członkowie rodziny królewskiej, zwykli śmiertelnicy, tacy jak wy i ja, musieli rzucać się na ziemię i zakrywać twarze. A gdyby padł na kogoś z wielkich choćby cień od takiego zwykłego człowieka, zostałby on ukarany śmiercią. Mana było zjawiskiem rzadkim i zdarzało się, że zależało od niego życie wioski i wszystkich mieszkańców. Kary były więc bardzo surowe.

Cordie rozejrzała się po wulkanicznych skałach.

- Więc w takich miejscach... może nawet tu... składano ofiary z ludzi?

Paul założył ręce na piersi.

- Prawie na pewno. Na całym tym wybrzeżu znajduje się wiele heiau, dawnych świątyń, w których składane były ofiary. Nawet wkopywanie w ziemię wielkich słupów, które wówczas stawiano, wymagało umieszczenia w dole ciała niewolnika. - Coś takiego - mruknęła Cordie.

- Ale były tu także heiau innego rodzaju, na przykład Puuhonua O Honaunau, tam dalej, na wybrzeżu - powiedział kustosz. - Było to tak zwane Miasto Uciezki, w którym mogli się schronić słabsi, aby uciec przed tego rodzaju okrucieństwem. Eleanor podeszła bliżej.

- Czy nie znajdowało się tu gdzieś... może nad tą zatoką... heiau, które według legend zostało zbudowane w ciągu jednej nocy przez tak zwanych Nocnych Wędrowców?

Paul Kukali spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Tak, właśnie tutaj - powiedział. - Dokładnie w tym miejscu, choć nie znaleziono żadnych śladów tej świątyni. Było to jednym z powodów, dla których próbowaliśmy przeszkodzić niszczeniu tutejszego środowiska. I argumentem za zachowaniem go.

- Nocnych Wędrowców? - zapytała Cordie.

Kustosz odwrócił się w stronę małej kobietki i uśmiechnął się.

- Chodzi o procesje śmierci... umarłych królów, ali 'i, jeśli wierzyć legendom.

Uważano powszechnie, że każdego, kto ich zobaczył, czekał jakieś nieszczęście.

Według pewnej legendy heiau na tym miejscu została zbudowana w ciągu jednej nocy w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym przez te wędrujące duchy - powiedział i odwrócił się do Eleanor. - Gdzie natknęła się pani na tę ciekawostkę? Eleanor zastanawiała się nie dłużej niż sekundę.

- Chyba u Marka Twaina. Paul kiwnął głową.

- Ach, rzeczywiście. Zapomniałem o jego korespondencjach z Hawajów. Jak się dowiedziałem z pewnych moich badań, przebywał on na Wielkiej Wyspie tego samego lata, kiedy nocni wędrowcy zbudowali tę heiau. Ale nie przypuszczałem, że ten właśnie list został kiedykolwiek opublikowany... Nadal znajduje się w papierach, które po nim zostały, prawda?

Eleanor nie odpowiedziała.

- Czy jest pan czystej rasy Hawajczykiem? - zapytała Cordie z dziecięcą ciekawością.

- Tak - odparł Paul Kukali. - Prawdę mówiąc, nie zostało nas już zbyt wielu. Czytałem gdzieś, że do hawajskiego pochodzenia przyznaje się sto dwadzieścia tysięcy mieszkańców archipelagu, ale etnologzy sądzą, że nie zostało już więcej niż kilkuset rdzennych Hawajczyków. - Zawiesił na chwilę głos. - Myślę, że to dobry znak, jak się paniom zdaje?

- Im więcej domieszek, tym silniejsza rasa - powiedziała Eleanor. - Przejdziemy się po całym terenie z napisami? - zapytał Kukali. - Pole golfowe zabrało spory jego fragment, ale zachowało się dobrze kilka przykładów postaci z głowajastrzębia, których nikt nie potrafi zinterpretować. Mała grupka ruszyła dalej joggingową ścieżką, rozmawiając po drodze. Niedługo potem znikła w skalnym labiryncie.

Trumbo zaczął się już bać, że ta przeklęta partia nigdy się nie skończy. Jego pomocnik Gus był tak roztrzęsiony, że odesłał go do klubowego pawilonu. Przy ostatnich paru dołkach zastąpił Gusa jego bratanek Nicky Roo, ale sam Trumbo tak się przejął niedawnym odkryciem, że wysłał Willa Bryanta do przodu, aby sprawdził wszystkie pozostałe dołki i piaszczyste pułapki. Nic w nich jednak nie było.

- Musimy zawiadomić o tym policję - szepnął mu Bryant wsiadając do golfowego wózka.

- O czym? - syknął mu w odpowiedzi Trumbo. - Że na polu wartym dwadzieścia milionów dolarów sterczą z dołków jakieś pieprzone odrąbane ręce? A może o tym, że wyrzuciłeś między skałki dowód rzeczowy morderstwa, żeby Hiroshe mógł wbić piłkę? Miejscowe gliny będą tym zachwycone. Will Bryant nawet nie mrugnął okiem.

- Trzeba złożyć zawiadomienie.

- Najpierw będziesz musiał iść tam z powrotem i znaleźć to świństwo - szepnął Trumbo oglądając się w kierunku Sato i jego przyjaciół, którzy chichocząc rozmawiali o czymś po japońsku. Niezdarny Sato spisał się przy ostatnich dołkach całkiem nieźle.

Bryant wzdrygnął się na myśl o czekającym go zadaniu.

- Mam iść teraz?

- Nie, nie od razu. Najpierw przeszukaj dołki, które jeszcze zostały. Nie chciałbym, żeby Hiroshe albo któryś z jego kumpli nadziali się na odrąbaną głowę czy stopę, jak się będą wygrzebywać z piasku.

Poblady Bryant kiwnął głową i zacisnął usta.

- Potem poszukasz Steviego Cartera i powiesz mu, że chyba znaleźliśmy jednego z tych facetów z New Jersey... a przynajmniej kawałek. - Trumbo zawahał się na moment. - To była męska ręka?

- Tak - potwierdził Bryant. - Prawa. Z paznokciami po manikiurze.

Trumbo drgnął lekko.

- W pierwszej chwili nie zauważyłem w tym nic szczególnego. Jak się schyliłem nad dołkiem, żeby wyjąć piłkę, wydało mi się całkiem normalne, że ktoś mi ją podaje.

- Trzeba będzie wezwać gliny - powtórzył szeptem Bryant. Byron Trumbo potrząsnął głową.

- Ale nie wcześniej niż ubijemy ten pieprzony interes.

- Ukrywanie dowodów...

- Mniej zapłacę adwokatom za obronę niż by mnie kosztowało utrzymywanie tego przeklętego ośrodka. On pochłania straszne pieniądze, Will. Bryant wahał się tylko przez chwilę.

- Tak jest, szefie. Co mam powiedzieć Carterowi, gdyby nalegał, żebyśmy wezwali gliny?

- Przypomnij mi, że dał mi dwadzieścia cztery godziny, które jeszcze nie minęły- powiedział Trumbo i zerknął na czekających biznesmenów. - No to leć. Nie zapomnij przeszukać krzaków. Zginęło trzech facetów... zanim wrócimy do klubu, może nas spotkać dwadzieścia albo i trzydzieści takich małych niespodzianek. Nie 106 chciałbym zobaczyć czyjś kutasa leżącego między mną a dołkiem, jak się będę składał do zrobienia osiemnastej dziury. Bryant zamrugał oczami. - Tak jest. Kapuję, o co chodzi. - Jego wózek odjechał z cichym szumem. Teraz rumbo popijał chłodny koktajl w towarzystwie Sato, Bobby'ego Tanaki, Inazo Ono, Masayoshi Matsukawy, doktora Tatsuro, Sunny'ego Takahashi i Seizaburo Sakurabayashi przy dużym, okrągłym stole, skąd otwierał się widok na wspaniałe ogrody i kryte „strzechą” dachy Wielkiego Hale, górujące nad czubkami palm po stronie zachodniej. Odetchnął wreszcie z ulgą.

Ale relaks nie trwał długo. Przy stole pojawił się Stephen Ridell Carter w garniturze z brązowego tropiku i z nienagannie jak zwykle uczesanymi siwymi włosami. Ale jego mina i zachowanie mówiły, że gnębi go jakaś niecierpiąca zwłoki sprawa.

Trumbo nakazał mu spojrzeniem, żeby nie puszczał pary z ust. - Chodź, Steve... usiądź z nami. Omawiamy właśnie ostatnich pięć rund pana Hiroshy. Bombowa partia. - Ale jego wzrok mówił jednocześnie: „Jedno pieprzone słowo o tym, co się stało, a zostaniesz kierownikiem supermotelu ósmej kategorii w Ottumwa, stan Iowa”.

- Mogę zamienić z panem kilka słów, panie Trumbo? Trumbo westchnął ciężko. Całe odprężenie diabli wzięli.

- Teraz? - Wskazał ruchem głowy prawie pełną szklankę wymyślnego koktajlu owocowego z pływającą po wierzchu parasolką.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu. - W głosie Cartera można było wyczuć skrajne napięcie, spowodowane panicznym strachem przed własną niesubordynacją. Trumbo mruknął coś pod nosem, przeprosił Sato i podszedł do dyrektora. Opuścili taras i odeszli w stronę tenisowych kortów, gdzie nie musieli się obawiać, że ktoś ich podsłucha.

- Posłuchaj, Carter - zaczął Trumbo - jeżeli zamierzasz nalegać, żebym wezwał gliny, to powtarzam ci, zapomnij o tym. Wsadziłem tu za dużo pieprzonej for... - Nie o to chodzi - powiedział Carter jednostajnym, obojętnym głosem. - Pan Bryant zawiózł mnie, żeby mi pokazać tę rękę, ale jej tam nie było. - Nie było jej? - zapytał Trumbo.

- Nie było - potwierdził Carter.

- O, cholera - powiedział w zamyśleniu Trumbo. - To rzeczywiście coś nowego.

Może jakieś kraby albo coś w tym rodzaju...

- Nie - przerwał mu Carter. - Nie po to przyszedłem. Trumbo uniósł gęste brwi i znieruchomiał wyczekująco.

- Chodzi o to, że zniknął gdzieś pan Wills.

- Kto taki?

- Wills... Conrad Wills... nasz astronom.

- Kiedy? - zapytał Trumbo.

- W godzinach rannych. Widziano go na śniadaniu, ale nie przyszedł na południową odprawę pracowników.

- Gdzie mógł zginąć?

- Prawie na pewno w katakumbach...

- W czym?

- W katakumbach - powtórzył Carter. - Nasi ludzie nazywają tak podziemne tunele.

- Skąd wiadomo, że właśnie tam? - zapytał Trumbo. - Jego biuro... eee... będę musiał to panu pokazać, panie Trumbo. Jest tam teraz szef ochrony Dillon. Wygląda to strasznie, po prostu strasznie... Trumbo miał szczerą ochotę wymierzyć dyrektorowi hotelu policzek albo zdzielić go po plecach, zanim ten się rozbeczy. Powstrzymał się jednak. - Hmm, nie sądzę, żeby nasz astronom był nam tak znowu potrzebny, powiedzmy, jutro czy pojutrze. Mam na myśli, że chyba nie przewiduje się na dziś wieczór zaćmienia księżyca czy czegoś takiego?

Stephen Ridell Carter wybałuszył na niego oczy, całkiem osłupiały. Dopiero teraz Trumbo zauważył, że facet ma na głowie siwą perukę. Nic dziwnego, że zawsze był tak doskonale uczesany, pomyślał.

- Panie Trumbo... - zaczął Carter roztrzęsionym głosem. Przez chwilę Trumbo był przekonany, że dyrektora zdenerwowało tak bardzo to, że wpatrywał się w jego perukę, potem jednak przypomniał sobie wygłoszoną dopiero co własną niedelikatną uwagę.

- Och, proszę mnie źle nie zrozumieć... Będziemy szukać tego biednego... jak on się... ?

- Wills.

- Tak, właśnie. Polecimy Dillonowi, żeby kazał wszystkim swoim ludziom rozglądać się za panem Willsem, no i na pewno zawiadomimy policję... może jutro, albo wtedy jak będziemy składać zawiadomienie o tym wszystkim... chciałem powiedzieć, hmm, tego., .może ten Wills gdzieś sobie poszedł, bo pomyślał, że przy tak małej liczbie gości astronom jest prawie niepotrzebny? - Nie sądzę, żeby...

- Ale przecież nie wiemy nic na pewno, prawda? - przerwał mu Trumbo kładąc ciężką dłoń na ramieniu wyższego od siebie dyrektora. - Rzeczywiście, po prostu nic nie wiemy. A dopóki nie dowiemy się czegoś, byłoby z naszej strony zwyczajnym samobójstwem torpedowanie tej transakcji z powodu paru... nieprawidłowości.

- Nieprawidłowości... - powtórzył dyrektor hotelu nieswoim, cienkim głosem.

Trumbo ścisnął go za ramię tak mocno, aż tamten się skrzywił. - Niech ochrona robi swoje, a my swoje, tak czy nie, Steve? Wszystko dobrze się skończy. Wierz mi.

Carter wyglądał tak, jakby przełknął coś zbyt dużego, co utkwiło mu w gardle.

- Ale w biurze...

- W którym biurze, Steve? - zapytał Trumbo uspokajającym, niemal usypiającym głosem. Przyszło

mu do głowy, że skoro radził sobie za pomocą tego tonu z najbardziej histerycznymi, drażliwymi kobietami w Ameryce, poradzi sobie i z tym lalusiem w peruce.

- W biurze pana Willsa.

- Co się tam stało, Steve?

Dyrektor odetchnął głębiej i jego głos odzyskał trochę siły.

- Musi pan sam zobaczyć, panie Trumbo. Dopiero wtedy pan zrozumie. Miliarder rzucił okiem na swojego rolexa. Miał jeszcze trochę czasu. Przed popołudniową turą rozmów Sato i jego ludzie chcieli się zdrzemnąć i zjeść lunch na własnym lanai.

- W porządku, pokaż mi to - powiedział i poklepał dyrektora przyjaźnie po plecach.

Carter ruszył przodem, żeby pokazać drogę.

- Ale wie pan... oni nie będą teraz chcieli chodzić tamtędy. - Kto? - zapytał Trumbo czując się tak, jakby rozpoczynał rozmowę na nowo. - Gdzie?

- Personel - odparł Carter. - Wszyscy ci, którzy mają w tunelu biura albo muszą tamtędy przechodzić. Nigdy zresztą tego nie lubili, panie Trumbo. Zawsze zdarzały się jakieś historie. No a teraz, po tym... - Miej ich w dupie - poradził Trumbo, którego zmęczyło już odgrywanie „ludzkiego paniska”. - Powiedz im, że jeżeli chcą dalej dostawać swoje pensje, muszą tam pracować, i koniec.

- Ale biuro pana Willsa... to się po prostu nie da opowiedzieć....

- Więc nic nie mów - powiedział Trumbo spoglądając znowu na zegarek, a potem popchnął szczupłego dyrektora w kierunku katakumb. - Pokaż mi je. - Co to za dziura, tam w ziemi? - zapytała Cordie, wskazując miejsce, w którym między skałami widać było postrzępione krawędzie wejścia do podziemnego tunelu, już poza obrębem terenu ze skalnymi rysunkami.

- To stary komin wulkaniczny - odparł Paul Kukali i wyciągnął rękę ku wschodowi. - Jest ich tu pełno, na całym zboczach Mauna Loa... Ciągną się przez trzydzieści, może czterdzieści kilometrów.

- Bez lipy? - zapytała Cordie.

- Bez - potwierdził opiekun zabytków i archeolog. - Te kominy, to zdaje się źródło mana, prawda? - zapytała Eleanor. Paul kiwnął głową.

- Po nui ho ‘olokolako. „Niesie ją wielka noc”. Pewna legenda mówi, że ujścia ciemności są podobne kobiecym łonom, kanały, z których taka moc wypływa. Cordie mruknęła pod nosem, jakby to porównanie wydało się jej zabawne. Zaczęła wspinać się po skałach, aby zajrzeć z bliska do mrocznego otworu. - Ostrożnie! - ostrzegł ją Paul.

- Tu jest coś w rodzaju tunelu - zawiadomiła Cordie, jakby nie całkiem wierzyła wyjaśnieniom kustosa. - Widać nawet miejsce, gdzie zakrzywia się do góry. Ściany są takie jakieś... pręgowane.

- To ślady zostawione przez lawę, w czasie stygnięcia i cofania się - wyjaśnił Paul.

- Taak - powiedziała w zamyśleniu Cordie. - Można by się przejść kawałek tym korytarzem. Czy to bezpieczne?

Paul Kukali wzruszył ramionami.

- Kierownictwo hotelu odradza tego rodzaju wycieczki. - Dlaczego? - zapytała Cordie. - Z powodu nietoperzy? Kustosz pokręcił przecząco głową.

- Nie, większość nietoperzy na Wielkiej Wyspie sypia na drzewach. Obawy dotyczą raczej tego, żeby ktoś nie spadł i nie zrobił sobie czegoś złego. Te lawowe kominy są bardzo rozgałęzione. Można zabłądzić w nich bez większego wysiłku. - Może tu właśnie weszli ci zaginieni goście

hotelowi - mruknęła znowu Cordie.

Paul Kukali stanął jak wryty, jakby nagła wzmianka o przeżywanych przez ośrodek problemach wprawiała go w zakłopotanie. Eleanor przyjrzała mu się uważnie. - Czy zaaresztowano osobę podejrzaną o porywanie... a może o morderstwa?

- Tak, Jimmy'ego Kahekili - potwierdził Paul. - Ale niedługo będą musieli go wypuścić.

- Dlaczego? - zapytała Eleanor. Paul spojrział na nią obojętnie. - Ponieważ on niczemu nie jest winien. Albo raczej cała jego wina sprowadza się do tego, że ma niewyparzoną gębę i jest fanatycznym zwolennikiem separatystów. Cordie ruszyła ostrożnie z powrotem i po chwili znalazła się znowu na ścieżce.

- Co to za separatyści? Jakaś partia?

- Coraz większa liczba Hawajczyków, tych rdzennych, domaga się od rządu Stanów Zjednoczonych, żeby przywrócił wyspom poprzedni status niepodległego państwa - wyjaśnił Paul.

- Czyżby? - zapytała Cordie. - Chce pan powiedzieć, że tutaj było kiedyś państwo? Zawsze myślałam, że zanim zjawili się tu faceci od trzciny cukrowej, była to po prostu wyspa z krajowcami, szalasy z trawy i całym tym chłamem. Eleanor skrzywiła się lekko, zobaczyła jednak, że Paul Kukali tylko się uśmiecha.

- To prawda, byli tu krajowcy i szalasy z trawy - powiedział - ale aż do pewnego styczniowego dnia 1893 roku Hawaje miały także własną władzę: monarchię. Kiedy biali plantatorzy i amerykańska piechota morska anektowali wyspy po bezprawnej inwazji, na tronie zasiadała królowa Liliuokalani... no i tak to się odbyło.

Niedawno prezydent Clinton podpisał dokument wyrażający ubolewanie z powodu tej aneksji. Uspokoiło to niektórych Hawajczyków, ale inni, choćby Jimmy Kahekili, domagają się zwrotu całego archipelagu i przywrócenia monarchii.

Cordie prychnęła pogardliwie.

- To tak, jakby Indianie zażądali, żeby im zwrócić Manhattan, no nie?

Paul rozłożył ręce.

- Tak by to wyglądało. Przynajmniej w sprawie żądań przywrócenia niepodległości na wszystkich wyspach. Nikt przy zdrowych zmysłach nie spodziewa się, że Stany

Zjednoczone oddadzą Waikiki i wszystkie bazy wojskowe. Ale niektórzy z nas uważają, że przyznanie pewnej, ograniczonej niezależności jest możliwe... choćby takiej, jaką otrzymali rdzenni Amerykanie na kontynencie.

- Rezerwy? - zapytała Cordie. Kustosz potarł palcami brodę.

- Słyszały panie o Kahoolawe?

- Tak, oczywiście - odparła Eleanor.

- O czym? - spytała Cordie. Zadarła głowę patrząc na wyższych od siebie rozmówców. Białe oprawki jej ciemnych okularów zajaśniały w słońcu. - Co to takiego?

Paul Kukali odwrócił się do niej.

- Kahoolawe to hawaj ska wysepka, na którą nikt nie j eździ. Ma tylko piętnaście kilometrów długości i dziewięć szerokości, ale w mitologii Hawajczyków została uznana za miejsce święte. Do dziś jest tam mnóstwo dawnych świątyń i innych archeologicznych skarbów.

- To ci dopiero - zdziwiła się Cordie. - Dlaczego nikt tam nie jeździ? - Aż do roku tysiąc

dziwięćset czterdziestego pierwszego wyspa znajdowała się w posiadaniu pewnego białego farmera - wyjaśnił Paul. - W dzień po ataku na Pearl Harbour amerykańska marynarka zajęła ją poligon i od tamtej pory zasypuje ją bombami i granatami.

Cordie Stumpf uśmiechnęła się jak dziecko, odsłaniając małe zęby. - Więc Hawaj czyicy chcą urządzić rezerwat właśnie tam? Ja zażądałabym co najmniej czegoś takiego jak Mauna Pele.

Kustosz odpowiedział jej uśmiechem.

- Ja też. Ale odchodzimy od tematu.

- Ma pan na myśli mordercę, który pozabijał hotelowych gości? - spytała Cordie. - Nie - odparł Paul spoglądając na zegarek. - Płacami za udzielanie informacji o tych skalnych rysunkach. A nasz czas prawie się już skończył. Cała trójka ruszyła dalej asfaltową ścieżką wijącą się wśród czarnych skał. W czasie całego spaceru nie spotkali nawet jednej osoby, która wybrałaby się tu na rekreacyjny truchcik.

- Proszę opowiedzieć nam o Milu i o wejściu do Podziemnego Świata - poprosiła Eleanor.

Kustosz przystanął i spojrzał na nią z uznaniem.

- Ma pani całkiem sporą wiedzę o miejscowych ciekawostkach.

- Bez przesady - odparła Eleanor. - Wydaje mi się, że czytałam o Podziemnym Świecie w rym samym artykule, który mówił o wizycie Marka Twaina w tej okolicy. Wejście musi się znajdować gdzieś niedaleko, prawda?

Zanim Paul Kukali zdążył jej odpowiedzieć, Cordie strzeliła palcami.

- Tu jest pies pogrzebany... teraz już wiem, dlaczego zaginęli tamci faceci. Hotel stoi na terenie starego hawajskiego cmentarza. Ale nie tylko... jest j jeszcze wejście do... jak to nazwaliście?... a, do Podziemia. Na pewno kupa wkurzonych tym wszystkim dawnym bogów, duchów i innych diabłów wciąga gości do tuneli, żeby ich sobie ugotować na obiad. Można by z tego zrobić niezły film. Cholera, mam przyjaciela, który zna żonę jakiegoś producenta z Hollywood.

Moglibyśmy im to sprzedać.

Paul uśmiechnął się.

- Przykro mi, ale nie było tu cmentarza w dokładnym sensie tego słowa. A wejście do Podziemia, o którym wspomniała Eleanor, znajduje się przypuszczalnie bliżej brzegu, u ujścia Doliny Waipio, a ta położona jest po przeciwległej stronie wyspy. Trzeba by wielu godzin, żeby tam dojść.

- No to co? - powiedziała Cordie, zdjęła słoneczne okulary i przetarła je ręką kwiecistej narzutki. - Filmowcy i tak to kupią. Eleanor przystanąła.

- Czy przypadkiem nie ma tu drugiego wejścia do Podziemnego Świata Milu? Tylnych wrót? Wychodziłoby, że powinny znajdować się na tym wybrzeżu. - Może według Marka Twaina - powiedział obojętnym tonem kustosz. - Według naszej ludowej mitologii było tylko jedno wejście, ale zostało opieczętowane przez Pele po wielkiej bitwie z bogami ciemności. Od czasu, jak zamknęła drzwi, nikogo nie niepokoiły żadne demony czy złe duchy... ani nawet chodzące upiory. Zależy, komu wierzymy: Hawajczykom, którzy stworzyli te legendy, czy Twainowi, który przyjechał tu na parę tygodni i usłyszał je z drugiej ręki. - Chyba ma pan rację - powiedziała Eleanor i spojrzała na zegarek. - Już prawie trzecia. Był pan z nami dużo dłużej, niżby to wynikało z pana obowiązków, Paul. Ale spacer udał się świetnie.

- Tak - potwierdziła Cordie. - Było naprawdę morowo. Szczególnie podobał mi się gość z tym dłu... z tą armatką.

Zawrócili w kierunku Wielkiego Hale. Po drodze rozmawiali pokazując sobie co bardziej malownicze rysunki na skałach, kiedy nagle spomiędzy nieforetnych głazów wyskoczył na ścieżkę ogromny czarny pies. Przez długą chwilę wlepił w nich ślepią, machając ogonem. Trzymał w zębach ludzką rękę.

Rozdział dziesiąty

Oglądałem potem Wezuwiusza, ale w porównaniu z tym wulkanem wydał mi się on zwykłą zabawką, dziecinną blachostką, garnkiem do gotowania zupy.

Mark Twain Kilauea o wulkanie

14 czerwca 1866 roku, wulkan Kilauea

Do zajazdu na wulkanie, stojącego na krawędzi krateru, dotarliśmy trochę przed dziesiątą wieczorem. Ostatnie podejście odbyło się w nader efektownej, krwistoczerwonej poświacie, idącej od nisko zawieszonych chmur, na które padał blask czynnego wulkanu. Szkarłatna łuna oblała całą naszą grupkę, końskie oczy zaczęły świecić rubinowym blaskiem, a nasze odkryte członki nabrały takiego wyglądu, jakby obdarto nas ze skóry. Na pół godziny przed chwilą, w której zajazd ukazał się naszym oczom, dotarł do nas z powiewem wiatru zapach siarki. Sięgnęłam po szal, aby osłonić nim twarz, ale spostrzegłam, że panu Clemensowi odór ten zdaje się wcale nie przeszkadzać.

- Nie drażni pana ten zapach? - zapytałam.

- Grzesznikowi woń ta nie powinna być niemiła - odparł. Przez resztę drogi nie spojrzałam nawet w jego stronę.

Uświadomiłam sobie, że od pewnego czasu słyszę odgłosy fal rozbijających się o skały, choć ocean został przecież o pięćdziesiąt kilometrów za naszymi plecami. Hałasy te musiały pochodzić od lawy i pary, napierających na skały tuż pod naszymi stopami. Kiedy podeszliśmy bliżej, naszym oczom ukazały się wysokie słupy oparów, które niczym kołyszące się kolumny zdawały się podtrzymywać ogniste sklepienie chmur. Konie, chociaż brały już wcześniej udział w podobnych wyprawach, w miarę zbliżania się do kaldery zaczynały przewracać oczami i stawiać nerwowe kroki.

Spodziewałam się, że zajazd okaże się hotelem w pełnym znaczeniu tego słowa i nie doznałam takiego rozczarowania jak w połowie drogi. Gospodarz tego jedyne w swoim rodzaju siedliska wyszedł, aby nas powitać, a kilku krajowców ze służby zajęło się naszymi wyczerpanymi końmi. Gospodarz chciał nas posadzić przy jedynym stole w jadalni do spóźnionej kolacji, a potem zaprowadzić do pokojów, ale mimo zmęczenia wszystkie nasze myśli krążyły wokół wulkanu, wyszliśmy więc na werandę, zawieszoną dosłownie nad gardzielą krateru. - Dobry Boże! - powiedział wielebny Haymark, kiedy podeszliśmy do balustrady.

Myślę, że wszyscy mieliśmy ochotę wykrzyknąć to samo. Wulkan Kilauea ma przeszło dwanaście kilometrów obwodu, a nasza mała weranda wisiała nad co najmniej trzy stumetrową przepaścią, która dzieliła ją od powierzchni widocznego w dole ognistego jeziora. Gospodarz wskazał nam małeńki budynek oświetlony blaskiem bijącym z krateru, nazwany przez niego „budką obserwacyjną”, i dodał, że jest on oddalony o ponad cztery kilometry drogi krawędzią wulkanu.

- Wygląda jak jaskółcze gniazdo przyklepione pod sklepieniem katedry - powiedział pan Clemens.

Między nami a małym domkiem znajdowało się poprzecinane gorejącymi szczelinami dno wulkanu. Spomiędzy czarnych bloków tryskały gejzery lawy, płynęły rzeki ognia i wznosiły się słupy pary sięgające krwistoczerwonych chmur, które wisiały nad kraterem niczym baldachim z czerwonego jedwabiu. Rozejrzałam się po zachwyconych twarzach moich towarzyszy. Ich twarze płonęły w wulkanicznym świetle, a oczy połyskiwały takim samym czerwonym blaskiem, jaki wcześniej zauważyłam u koni.

- Wyglądamy trochę jak na pół usmażone diabły, nieprawdaż? -zapytał pan Clemens uśmiechając się do mnie.

W pierwszym odruchu chciałam zignorować jego odezwanie, żeby nie zachęcać go do wygłaszania kolejnych żartów, ale moje podniecenie było w tym momencie tak wielkie, że zareagowałam w zupełnie przeciwny sposób. - Jak upadłe anioły - powiedziałam. - Tylko moim zdaniem nie tak piękne jak u Milтона.

Pan Clemens zaśmiał się i odwrócił wzrok ku płomiennej zorzy. Zapalił kolejne ohydne cygaro, z którego uniósł się dym tak samo czerwony jak siarczane opary idące z wulkanicznego piekła.

Na przeważającej części ogromnej kaldery ukazywały się ogniste kałuże, języki i strumienie rozpalonej do czerwoności lawy, ale największy blask szedł od stałego jeziora przy południowym krańcu krateru, zwanego Hale-mau-mau, czyli Domem Wiekuistego Ognia, w którym lokalna mitologia umiejscowiła siedzibę straszliwej bogini Pele. Chociaż dzieliły je od nas cztery kilometry pokładów lawy, jezioro rzucało więcej ognia i światła, niż wszystkie pozostałe ogniska w kraterze. - Chciałbym tam pójść - powiedział pan Clemens. Wszyscy uczestnicy wyprawy byli wstrząśnięci tym pomysłem.

- Tej nocy? - zapytał wyraźnie strwożony gospodarz. Utkwiłam wzrok w wahającym się w górę i w dół ogniku żarzącego się cygara pana Clemensa. - Tak. Jeszcze tej nocy. Teraz.

- To zupełnie niemożliwe -powiedział gospodarz. - Żaden z naszych przewodników nie zejdzie do krateru.

- Dlaczego? - zapytał pan Clemens. Gospodarz chrząknął. - Po wybuchu w zeszłym tygodniu ruchy lawy bardzo się ożywiły. Jest tam ścieżka, ale w mroku trudno ją dostrzec, nawet w świetle latarni. Gdyby idący nią człowiek zszedł z niej, jest bardzo prawdopodobne, że pokruszona skorupa lawy załamałaby się pod nim i zapadłby się o trzysta metrów, na pewną śmierć. - Hmm - mruknął pan Clemens wyjmując z ust cygaro. - Myślę, że dwieście metrów wystarczyłoby mi w zupełności.

- Słucham szanownego pana? - zapytał gospodarz. Pan Clemens potrząsnął głową. - Mimo wszystko chciałbym wyruszyć. Tej nocy. Gdyby był pan tak uprzejmy, żeby mi pożyczyć latarnię i wskazać tę ścieżkę... -Zawiesił głos i powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych uczestników wyprawy. - Czy ktoś chciałby mi towarzyszyć? - Myślę, że lepiej będzie dobrze się wyspać w nocy i zacząć do rana - powiedział młody McGuire.

- Doskonały pomysł - podchwycił bliźniak Smith, najwyraźniej przerażony pomysłem zagłębiania się w kalderze jeszcze tej samej nocy.

Ku memu zaskoczeniu wielebny Haymark otarł twarz chusteczką i powiedział:

- A ja, jako że już tam kiedyś byłem, pójdę... i posłużę za przewodnika. Szedłem tą ścieżką za dnia. Myślę, że nie zgubię jej i w nocy.

Dozorca schroniska zaczął kręcić głową i wskazywać na niebezpieczeństwa zboczenia z drogi, ale pan Clemens uśmiechnął się jeszcze szerzej spod rudych wąsów.

- Wspaniale - powiedział. Odwrócił się do mnie. - Panno Stewart, gdybyśmy nie wrócili przed świtem, proszę swobodnie rozporządzić moim wynajętym koniem, jak pani będzie pasowało.

Odpowiedziałam mu pogardliwym prychnięciem.

- Będzie pan musiał zlecić komu innemu rozporządzenie pańskim koniem, panie Clemens - powiedziałam. - Bo ja zamierzam towarzyszyć szanownym panom. - Ależ... ależ... droga panienko - zaczął wielebny Haymark. Jego zaróżowione oblicze oblało się jeszcze mocniejszym rumieńcem. Rozprawiał się z jego zastrzeżeniami jednym ruchem głowy. - Jest oczywiste, że jeśli szanowni

panowie nie popełniacie szaleństwa, nie popełni go także i trzeci uczestnik wyprawy. A jeżeli to rzeczywiście jest szaleństwo, w takim razie... hmm... popełnimy je we trójkę. Pan Clemens włożył cygaro z powrotem do ust i rozżarzony ognek zaczął się znowu wahać w górę i w dół.

- Święta prawda, święta prawda. Panna Stewart będzie wspaniałym uczestnikiem tej wyprawy szaleńców.

Wielebny Haymark ciskał się wprawdzie, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów, aby wyrazić swoje obawy. Tak więc, kiedy służący uwijali się, aby przyrzadzić spóźnioną kolację dla McGuire'a i zasnętego pana Smitha, pan Clemens, posapujący kapłan i ja przygotowaliśmy się do spaceru o północy przez kilkanaście kwadratowych kilometrów najbardziej spektakularnej scenerii na naszej zdumiewającej planecie.

Przy zejściu z Wielkiego Hale do katakumb czekali już na Byrona Trumbo i Stephena Ridella Cartera szefowie ochrony - Dillon, odpowiedzialny za Mauna Pele i Briggs, kierujący osobistą ochroną Trumba. Obaj mężczyźni różnili się pod każdym względem: łysy, potężnie zbudowany Briggs miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, Dillon natomiast był niedużym, brodatym faceciem o poważnym spokojnym spojrzeniu i ruchliwych rękach. Trumbo zatrudnił obu osobiście, stawiając im bardzo zróżnicowane zadania.

- Jak tam, chłopaki, znaleźliście coś? - zapytał Trumbo.

Obaj ochroniarze pokręcili przecząco głowami.

- Panie Trumbo, sprawa wygląda dość zagadkowo - zaczął Dillon. Cała czwórka zeszła po pochylni do dudniącego echem tunelu.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - powiedział Trumbo. - Chyba że traktujesz poćwiartowanych gości hotelowych i znikających astronomów jako zagadkę. - Nie, nie o to mi chodzi - odparł Dillon. Trumbo rzucił mu piorunujące spojrzenie. - To znaczy, tak, to także jest niejasne, ale ja mówię o czym innym... Do biura administracji przyszedł ten muzealnik Kukali razem z dwiema turystkami. Mówią, że dopiero co widzieli psa, który biegał po okolicy z ludzką ręką w zębach.

Trumbo stanął jak wryty. Kroczący obok niego mężczyźni omal na niego nie wpadli.

- Pies? Z ręką w zębach? Gdzie?

Z okien biur i pomieszczeń różnych służb hotelowych, umieszczonych w podziemnych galeriach wyjrzały ku nim poblądłe twarze pracowników. Dillon potarł palcami brodę i uśmiechnął się niemrawo. Cała ta sprawa zdawała się go bawić.

- Na joggingowej ścieżce, między południowym polem golfowym i brzegiem oceanu. - Cholera - rzucił Trumbo przyciszonym głosem, żeby nikt niepowołany nie usłyszał go w dudniącym korytarzu. - Powiadasz, że widzieli go wszyscy troje? - Tak. Doktor Kukali i te dwie...

- Kukali jest naszym pracownikiem, prawda?

- Tak, zajmuje się muzealnymi zabytkami i archeologią. Jest... - Jest pieprzonym Hawajczykiem, który chciał nas zaskarżyć z powodu tych skalnych bohomazów i paru rybnych sadzawek - dokończył za niego Trumbo. - Zwykły gówniarz. Zatrudniłem go pod warunkiem, że wsadzi mordę w kubek i przestanie gadać o tym wszystkim. Musimy znaleźć sposób, żeby teraz też go uciszyć. Powiedziałeś, że byli w administracji?

- Miałem zamiar poprosić ich, żeby zaszli do mojego biura - powiedział Dillon - ale jak wyszła sprawa z tym Willsem..

- Willsem? - spytał Trumbo, najwyraźniej pogrążony we własnych myślach. - Z jakim znowu... a,

prawda, to ten astronom. Słuchaj, Steve, przełożymy tę naradę na potem, jak już pogadam z Kukalim i tymi dwiema turystkami... Dyrektor hotelu potrząsnął niecierpliwie głową.

- Panie Trumbo, jeszcze tylko parę kroków. Naprawdę uważam, że powinien pan to zobaczyć. A potem pójdę z panem na rozmowę z Kukalim. Winien mi jest rewanż za pewną przysługę.

Trumbo gwizdnął przez zęby.

- No dobra, pokażcie mi to pieprzone biuro, jeżeli to naprawdę takie ważne.

Rolety w małym okienku były zaciągnięte. Tabliczka nad drzwiami informowała:

KIEROWNIK PRACOWNI ASTRONOMICZNEJ. Carter zaczął szukać w pęku kluczy, które miał przy sobie.

- Kiedy przyszliśmy tu szukać pana Willsa, drzwi były zamknięte - wyjaśnił. Trumbo kiwnął głową i wszedł za Carterem do małego pokoju. To, co zobaczył, całkowicie go zaskoczyło.

Pokój miał nie więcej niż trzy i pół na cztery i pół metra powierzchni, zajętej prawie w całości przez biurko, regały i duży teleskop na trójnogu. Nie było tu żadnych innych drzwi, nawet do łazienki czy ubikacji. Na pomalowanych na biało ścianach wisiało kilka oprawionych w ramki astronomicznych rysunków. Jedynym objawem, że coś się tu stało, był przewrócony na podłogę fotel za biurkiem, a także długa na prawie dwa i pół metra, ziejąca mroczną pustką szczelina w tylnej ścianie, biegnąca od podłogi do sufitu. I ślady krwi. - Jezu Chryste - wyszeptał Trumbo.

Krew widać było na przewróconym fotelu, na białych ścianach, na całym blacie biurka i leżących tam papierach. Skropione krwią było także jedyne krzesło dla interesantów. Strumień z otwartej tętnicy musiał też zbryzgać astronomiczne rysunki i teleskop.

- Chryste Panie - jęknął znowu Trumbo i zrobił krok do tyłu, na korytarz. Rozejrzał się w obie strony po blade oświetlonym tunelu i wrócił do astronomicznej pracowni. - Czy widział to ktoś jeszcze? - Nie - odparł Carter. - Z wyjątkiem pani Windemere z księgowości, która zajrzała tu szukając Willsa, ponieważ mieli się spotkać na lunchu. Była przy tym, jak pan Dillon otworzył kluczem drzwi.

Ten ostatni szczegół uderzył Trumba.

- Drzwi były zamknięte na klucz? Więc to się wydarzyło, kiedy Wills był w środku, za zamkniętymi drzwiami? - Trumbo wytrzeszczył oczy na szczelinę w ścianie. Nie wyglądała, jakby mógł się przez nią przecisnąć normalnej budowy mężczyzna. - Dokąd prowadzi ta dziura? Skąd się wzięła? - Nie wiemy - odparł Dillon. Wszedł za biurko, wyjął latarkę z kieszeni marynarki i poświecił nią w szczelinę. Poszarpana krawędź 119 była czymś wysmarowana. - Jak pan wie, te tereny podziurawione są jak sito starymi kominami wulkanicznymi. Jeden z nich być może znajduje się właśnie tutaj. Robotnicy, którzy drążyli komunikacyjny tunel, natknęli się na kilkadziesiąt takich kominów.

Trumbo zrobił krok w kierunku ściany, starając się nie wdepnąć w plamę krwi na podłodze. Uważał, żeby nie dotknąć biurka czy krzesła, dosłownie niczego. - Tak, ale skąd się wzięła ta dziura? Nie wyczułem żadnych wstrząsów. - Odwrócił się do Stephena Ridella Cartera. - Czy było jakieś trzęsienie ziemi? Dyrektor miał zupełnie białą twarz. Oderwał wzrok od papierów na biurku Willsa i przełknął ślinę.

- Och... tak... dzwoniłem do doktora Hastingsa z Obserwatorium Wulkanicznego, który powiedział mi, że między ósmą rano i drugą po południu było ponad dwadzieścia sejsmicznych wstrząsów związanych z erupcjami, ale żaden z nich nie był odczuwalny tutaj... Nic nie poczuli też ludzie zatrudnieni wkatakumbach... znaczy się, w serwisowym tunelu. - Carter wlepił wzrok w szparę,

jakby się spodziewał, że coś się z niej wyłoni. - Jeżeli to pęknięcie spowodowało trzęsienie ziemi, musiał to być wstrząs o bardzo ograniczonym zasięgu. - Na to wygląda - powiedział Trumbo i spojrzał na Dillona. -Dlaczego drzwi były zamknięte?

Szef ochrony wziął do ręki kolorowy magazyn, który leżał między papierami na biurku astronoma. Otwarte stronicie były zbryzgane krwią, ale Trumbo dostrzegł kolorowe zdjęcie nagiej kobiety, leżącej na plecach z rozsuniętymi na boki nogami.

- Wspaniale - powiedział. - Nasz astronom lubi walić konia przed lunchem. - Obejrzał się na stojącego za nim Cartera. - Co to za jedna, ta pani Windemere z księgowości? Może przyszła tu, zobaczyła Willsa przy tej robocie i wzięła ją zazdrość, więc złapała tasak albo coś w tym rodzaju i posiekała go na kawałki. Dyrektor gapił się tylko, jakby nie mógł wykrzusić słowa. - To mało prawdopodobne, proszę pana - powiedział w końcu. - Pani Windemere przyszła tu dopiero wtedy, gdy Wills nie zjawił się na lunchu, i zemdląca na widok tej jatki. Do tej pory siedzi w ambulatorium i próbuje dojść do siebie. - To dobrze - powiedział Trumbo. - Jak długo da się ją tam zatrzymać?

- Słucham pana? - zapytał Carter.

- Musimy dopilnować, żeby i ona siedziała cicho. Nie można jej puścić do domu.

Przyślij mi doktora Scamahorna. Może da się ją zwyczajnie uspić na dzień lub dwa.

Wyraz twarzy Cartera dobitnie mówił, co sądzi o tego rodzaju planach.

Trumbo rozejrzał się znowu po pokoju i ruchem ręki przywołał do siebie Briggsa. - Co mogło spotkać tego biedaka? Kto go tak załatwił? Ciężki i niezgrabny szef osobistej ochrony wzruszył ramionami.

- Jest mnóstwo możliwości, szefie. Sam pan wspominał o tasaku. Przy tego rodzaju narzędziach bryzga mnóstwo tętniczej krwi. Siekiera też pasuje. A nawet duży nóż albo pistolet maszynowy, powiedzmy uzi albo macten, też mogły spowodować takie krwawienie. Ludzie zwykle nie orientują się, ile krwi zawiera ciało człowieka. Trumbo kiwnął głową.

- Mimo wszystko jest pewien problem - powiedział Dillon, rozglądając się bystro na wszystkie strony.

- Co masz na myśli?-zapytał Trumbo.

- Tasak, siekiera, nóż czy uzi - odparł Dillon - powodują duży upływ krwi, ale zostawiają ciało ofiary na miejscu. A przynajmniej jakieś kawałki. - Wskazał pusty pokój i uniósł rękę. - Chyba, że nasz pan Wills został wyciągnięty tamtędy... - Pokazał kciukiem w kierunku dziury wyrwanej w ścianie. - Musiałby być w kawałkach, żeby przecisnąć się przez tę szczelinę - powiedział Briggs z profesjonalną pewnością siebie. Wyjął z kieszeni własną latarkę, podszedł do szpary i poświecił w nią. - Zdaje się, że za ścianą jest jakaś jama albo tunel czy coś takiego.

- Każ paru ludziom, żeby przyszli tu z młotami - polecił mu Trumbo. - Niech rozwalą tę ścianę do reszty. A ty, Briggs, sprawdzisz razem z Dillonem, co znajduje się za nią.

- Panie Trumbo - odezwał się roztrzęsiony Stephen Ridell Carter - w tym pokoju popełniono morderstwo. Policja będzie wściekła, jeżeli coś tu ruszymy. Moim zdaniem niszczenie dowodów jest pogwałceniem prawa. Trumbo potarł dłonią czoło. Poczł dokuczliwy ból głowy.

- Słuchaj, Steve, przecież nic nam nie wiadomo o tym, że popełniono tu morderstwo. Nie wiemy, czy Wills żyje, czy nie. Równie dobrze może w tej chwili siedzieć w jakimś barze topless. Nie widzę nic więcej prócz zaśmieconego pokoju i być może niebezpiecznego pęknięcia w ścianie. Musimy się upewnić, czy konstrukcja ściany nie została naruszona. Dillon?

- Słucham pana.

- Ty i Briggs sami rozwalicie tę ścianę. Osobiście. Nie potrzeba, żeby wścibiali tu nos jacyś inni ludzie.

Niski brodaty facecik nachmurzył się, ale Briggsowi pomysł rozwalenia ściany zdawał się przypadać do gustu.

Stephen Ridell Carter zaczął coś mówić, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je Briggs.

Przed wejściem stał Will Bryant, wyraźnie zaniepokojony.

- Panie Trumbo, mogę zamienić z panem słowo?

Trumbo wolał wyjść na zewnątrz niż zaprosić sekretarza do pokoju, narażając go na oglądanie krwawej jatki. Powietrze w tunelu było trochę świeższe. - Mamy pewien problem - powiedział Bryant. Trumbo uśmiechnął się niewyraźnie.

- Sato?

- Nie, z Japończykami wszystko w porządku. Niedługo wstaną od lunchu. Mniej więcej za godzinę rozpoczniemy następne posiedzenie. - Więc co się stało? - zapytał Trumbo. - Znaleźliście jeszcze parę odrąbanych kawałków?

Will Bryant potrząsnął głową.

- Właśnie wylądował samolot pani Trumbo. Wysłałem limuzynę, żeby przywiozła ją i Koestlera. Zarezerwowali tu apartament.

Trumbo stał w milczeniu. Próbował wyobrazić sobie to coś, co przecisnęło się przez szczelinę w ścianie, poćwiartowało astronoma i wydostało się z pokoju zabierając kawałki ze sobą. Zastanawiał się, czy to coś, bez względu na to, czym lub kim było, dałoby się namówić na zrobienie tego samego z pewną twardą, wychowaną w Nowej Anglii suką, która nazywała się Caitlin Sommersby Trumbo. - Ale tak naprawdę problem polega nie na tym - odezwał się Bryant.

Niewiele brakowało, a Trumbo wybuchnąłby śmiechem.

- Nie na tym, Will? A na czym?

Will Bryant rzadko okazywał zdenerwowanie, teraz jednak przyglądał nerwowym ruchem długie włosy.

- Odrzutowiec z Mayą Richardson dopiero co połączył się przez radio z wieżą.

Będą lądować za dwie godziny.

Trumbo oparł się o ścianę. Jego chłodna, lekko spocona dłoń dotknęła szorstkiego, wilgotnego kamienia.

- Została już tylko Bicki. Założę się, że wyląduje tu na spadochronie, zanim skończymy tę rozmowę.

- Dzwonił Deavers z lotniska imienia Lindbergha w San Diego - powiedział jego asystent. - Godzinę temu jej samolot zatankował tam paliwo. Przewidują, że przyleci do Kona o ósmej trzydzieści osiem czasu miejscowego. Byron Trumbo kiwnął głową bez słowa. Czuł, że za chwilę dopadnie go atak śmiechu, ale zdołał się opanować. Dillon, Briggs i Carter wyszli z biura astronoma, ten ostatni zamknął drzwi na klucz.

Trumbo położył dłoń na ramieniu Willa.

- To co, Will, nie zapomnisz pozdrowić ode mnie Caitlin i tego sukinsyna Koestlera? Podaruj im

wieńce, przekaz buziaki, zanieś owoce i daj im Apartament Ali'i od północnej strony Wielkiego Hale, całe dziewięć pokoi. Powiedz Caitlin, że przyjdę ją przywitać, jak tylko pogadam z kustoszem i parą turystek o tym psie i uciętej ręce.

Bryant kiwnął głową na znak, że zrozumiał wszystko. Grupka mężczyzn ruszyła zdecydowanym krokiem z blado oświetlonego korytarza do wyjścia. Eleanor była już zmęczona tą niemożnością załatwienia czegokolwiek. Wraz z Paulem i Cordie poprosiła o rozmowę z dyrektorem, który był jednak nieobecny, skończyło się więc na pogaduszcze z małym brodatym człowieczkiem, panem Dillonem. Facet przedstawił się jako szef ochrony i poprosił ich, aby jeszcze raz opowiedzieli całą historię jego asystentowi, sympatycznemu Murzynowi o nazwisku Fredrickson, sam zaś gdzieś się ulotnił. Także Paul Kukali zaczynał odczuwać wyraźne znudzenie powtarzaniem w kółko tego samego. - Niech pan posłucha - powiedział archeolog. - Zobaczyliśmy psa. Ten pies trzymał w zębach ludzką rękę. I to jest wszystko, co wiemy o sprawie. Może wysłałby pan tam kogoś, żeby się rozejrzał... na przykład za resztą ciała? Pan Fredrickson pokazał w uśmiechu białe zęby.

- Tak, proszę pana. Niech się pan o to nie martwi. Ale ustalmy jeszcze raz, jak to było. W którą stronę pobiegł ten pies?

- Między wulkaniczne skały koło ścieżki joggingowej, od strony oceanu - powiedziała Cordie Stumpf. Spojrzała na swój tani zegarek. - Opowiadamy tę historię już od czterdziestu pięciu minut.

Wystarczy. Idę stąd, żeby się cieszyć wakacjami - dodała wstając z miejsca.

Podniósł się także Fredrickson. I Paul Kukali.

W tym momencie drzwi do pokoju otworzyły się i ukazał się w nich pan Dillon w towarzystwie agresywnie wyglądającego, niewysokiego mężczyzny w wytartych szortach i wypłowiałej hawajskiej koszuli. Eleanor rozpoznała go natychmiast. Widziała jego zdjęcia w „Time'ie” i „Wall Street Journal”. - Witaj, Paul! - powiedział Trumbo, podszedł szybkim krokiem do kustosza i wylewnie uściskał mu rękę. - Tak dawno cię nie widziałem. Paul Kukali oddał mu uścisk dłoni, okazując znacznie mniej zapału od swojego szefa.

- Panie Trumbo, widzieliśmy...

- Słyszałem o tym, słyszałem - przerwał mu Trumbo obracając się do Cordie i Eleanor. - Okropność. Widzę, że przyszedłeś tu w towarzystwie miłych pań. Z kim mam przyjemność? - zapytał uśmiechając się szeroko. Cordie przeniosła ciężar ciała na jedną nogę i założyła ręce na piersi. - Te miłe panie to dwie z trójki osób, które widziały psa biegającego po pańskiej posiadłości z ludzką ręką w pysku - wyjaśniła. -A gdyby mnie pan o to zapytał, powiedziałabym, że ten pies miał piekielnie dużo miejsca do biegania po pańskim kurorcie.

Trumbo nie przestał się uśmiechać, ale jego uśmiech zaczął przypominać kurczowy grymas.

- Tak, tak, to właśnie powiedział mi pan Dillon. - Odwrócił się do kustosza. - Paul, jesteś pewien, że to była ludzka ręka? Czasami białe kraby wyglądają bardzo podobnie jak...

- To była ręka - przerwał mu Paul. - Wszyscy ją widzieliśmy. Trumbo kiwnął głową, jakby chciał pokazać, że docenia wagę wydarzenia.

- No cóż, miłe panie, proszę przyjąć moje osobiste przeprosiny za ten przykry incydent. Oczywiście sprawdzimy, co to było. Jeszcze raz przepraszam za zdenerwowanie i wszelkie kłopoty, na jakie zostały panie narażone. Weźmiemy naturalnie na siebie wszelkie koszty zaplanowanego pobytu pań w Mauna Pele. Jeśli jest coś, co moglibyśmy uczynić, żeby jakoś wynagrodzić paniom ten przykry incydent, proszę nam powiedzieć, a my natychmiast to zrobimy... ma się rozumieć gratis. - Na jego twarz powrócił uśmiech.

- To wszystko? - zapytała Cordie.

- Nie rozumiem - zdziwił się Trumbo nie przestając się uśmiechać. - To wszystko? Mówimy panu, że po kąpielisku biega pies z czyjąś łapą w zębach, a pan chce nas splawić obietnicą darmowego pokoju? Byron Trumbo westchnął.

- Mam przyjemność z panną ...?

- Nazywam się Stumpf- powiedziała Cordie. - I nie jestem już panienką. - Droga pani Stumpf... Oczywiście pan Dillon i wszyscy, z którymi państwo rozmawialiście, są bardzo tym przejęci... Odszukamy tego psa i wszystko, co on tam mógł zwęszyć. Ale znamy już przyczynę tego... hmm... godnego pożalowania incydentu.

Paul, Cordie i Eleanor czekali w milczeniu. Także Fredrickson zdawał się oczekiwać dalszego ciągu wyjaśnień.

- Na nieszczęście, niedawno zdarzył się przypadek utonięcia niedaleko brzegu - powiedział Byron Trumbo. - Pewien miejscowy dżentelmen wypadł z łódki i utopił się. Wydobyto część jego ciała, ale... eee... dobrały się do niego rekiny i szczątki nie były... no... nietknięte. Wydaje się prawdopodobne, że ten pies... skądinąd musi to być jakiś przybłęda, bo w Mauna Pele nie ma psów... więc ten pies musiał znaleźć taki kawałek i przyniósł go tutaj. Bardzo nam przykro z powodu wstrząsu, jakiego panie doznały.

Paul Kukali zmarszczył brwi.

- Czy mówi pan o utonięciu samońskiego chłopca z Milolii? Trumbo zawahał się i spojrzał na Dillona. Szef ochrony przytaknął. Paul Kukali pokręcił przecząco głową.

- Tamten wypadek zdarzył się trzy tygodnie temu, a ciało chłopca znaleziono wiele kilometrów dalej na północ. Ręka, którą widzieliśmy dzisiaj, musiała należeć do białego człowieka.

Szef ochrony chrząknął niewyraźnie pod nosem.

- Kiedy ciało przeleży jakiś czas w wodzie...

- Domyślam się, co pan chce powiedzieć - przerwał mu Paul. - Ale ta ręka nie wyglądała tak, jakby zbielała od moczenia. Można było dostrzec na niej opaleniznę. Nie przypuszczam, żeby w ogóle leżała w wodzie. Była to ręka białego człowieka...

- Nie widzę powodu, żeby nadal niepokoić miłe panie - powiedział Trumbo odwracając się do obu turystek. - Jestem pewien, że pani Stumpf i pani... eee... - Perry - powiedziała Eleanor. - Panna Perry.

- Jestem pewien, że pani Stumpf i panna Perry wolałyby zająć się czymś przyjemniejszym niż ta dyskusja. - Wyjął z portfela dwie 125 karty wizytowe i coś na nich napisał. - Jeżeli miłe panie pokażą to Lany' emu w Pirackim Barze, on przyrządzi wam mój ulubiony koktajl... skład jest moją tajemnicą... nazywa się Ognista Pele. Z najlepszymi życzeniami od kąpieliska Mauna Pele.

Cordie zerknęła na bilecik, a potem na miliardera. - To bardzo miło z pana strony, panie Trumbo, ale muszę panu przypomnieć, że ja i tak mam tu wszystko gratis. Jestem jedną z laureatek pańskiego konkursu „Wakacje z milionerami”, a konkretnie laureatką ze stanu Illinois. - Ach, tak - powiedział Byron Trumbo z przyklepionym wciąż do warg sztucznym uśmiechem. - Illinois, bardzo ładny stan. Znam dobrze jednego z waszych senatorów.

Cordie uniosła energicznie głowę.

- Tak? A którego?

- Najbardziej zasłużonego - odparł miliarder, tak jakby miał pewność, że ta blada, pulchna

kobietka i tak nie będzie wiedziała, o kogo chodzi. - Senatora Harlena.

Cordie Stumpf roześmiała się.

- Obawiam się, że nie pan jeden - powiedziała.

- Słucham panią? - zapytał Trumbo.

- Och, nic ważnego. - Cordie odwróciła się do Eleanor. - Nie znudziły się pani te idiotyzmy?

Eleanor kiwnęła głową, ale zawahała się na moment. Spojrzała na szefa ochrony i właściciela.

- My naprawdę widzieliśmy tę rękę - powiedziała. - Wyglądała tak, jakby ktoś dokładnie ją odciął

... z chirurgiczną niemal precyzją. A Paul ma słuszość... była to ręka białego człowieka, miała

wypiełgnowane paznokcie, no i wcale nie robiła wrażenia, jakby przeleżała jakiś czas w wodzie.

Trumbo kiwnął ze znużeniem głową. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Panno Perry...

Eleanor czekała w milczeniu.

- Wyświadczyłyby mi panie osobistą przysługę, gdyby żadna z pań nie wspomniała o tym innym gościom. Mogłoby to zakłócić ich spokój ducha... w dodatku bez żadnego powodu. Zapewniam panie, że dogłębnie zbadamy tę sprawę. - A jeśli nikomu nic nie powiemy - zapytała Cordie - czy uchyli pan przed nami rąbka tajemnicy?

Trumbo zamrugnął oczami.

- Słucham?

- Czy podzieli się pan z nami tym, co znajdzie? - zapytała Cordie. - Mam na myśli wyniki waszego dochodzenia.

- Oczywiście - odparł Trumbo i spojrzał na szefa ochrony. -Panie Dillon, proszę pamiętać, aby pani Stumpf i panna Perry były informowane na bieżąco o tym, co pan odkryje.

Brodaty facecik kiwnął głową, wyjął notes z piórem i ostentacyjnie zapisał polecenie szefa.

- Przypuszczam, że miejscowa policja będzie chciała nas przesłuchać - powiedziała Eleanor.

- Z całą pewnością - potwierdził bez zająknięcia Trumbo. Eleanor zawahała się. - Mam tu rezerwację do końca tygodnia - powiedziała. - Pańscy ludzie wiedzą, w którym hale mieszkam.

- Tak, oczywiście, dziękuję pani - mruknął Byron Trumbo i odwrócił się do Cordie. - Pani Stumpf, czy jest jeszcze coś, czym moglibyśmy pani służyć? Cordie otworzyła drzwi nie czekając, aż zrobią to za nią Dillon albo Fredrickson.

- Nie, nic, proszę tylko pozdrowić ode mnie Jimmy'ego, gdyby go pan zobaczył.

- Jimmy'ego? - Na twarz Trumbo powrócił szeroki uśmiech. - Tego zasłużonego senatora - powiedziała Cordie, a potem wyszła za Eleanor z pokoju.

14 czerwca 1866 roku, wulkan Kilauea

Mając wielebnego Haymarka za niezbyt pewnego przewodnika, przygotowałam się wraz z panem Clemensem do nocnego zejścia w głąb krateru Kilauea. Zdawałam sobie sprawę, że ta wyprawa jest szaleństwem, ale w przeszłości tego rodzaju świadomość rzadko tylko zniechęcała mnie do przeżywania ryzykownych przygód. Tak też się stało i tym razem. Nasze przygotowania były nader skromne: gospodarz dał każdemu z nas po latarni i mocnej lasce, wyposażył nas też w torbę z chlebem, serem i winem, żebyśmy mogli urządzić sobie „wulkaniczny piknik” po przemierzeniu kilkukilometrowego dna krateru i dojściu do czynnego rozlewiska lawy.

Wobec tego, że ani Hananui, ani żaden z miejscowych przewodników nie chcieli pójść z nami tej

nocy - wydawało się, że w dniu 127 zagłębienia może powstać nowy krater - nasz dotychczasowy opiekun odprowadził nas tylko do „schodów”, stromej ścieżki prowadzącej skalną rysą w ścianie krateru, która rozpoczynała się w połowie drogi między zajazdem i obserwacyjnym domkiem. Wielebny Haymark zapewnił nas, że schodził tą właśnie ścieżką podczas swych poprzednich wypraw. Tak więc, mając przed sobą korpulentnego kapłana, a za plecami kalifornijskiego korespondenta, ruszyłam wyciętymi w magmowej skale schodkami do położonego o trzysta metrów niżej dna krateru. Myślę, że otaczające nas ciemności - skalne ściany wokół spowijała tylko ta sama wulkaniczna poświata, która zabarwiała nasze ręce i twarze na czerwono - były prawdziwym dobrodziejstwem, albowiem maleńkie kręgi światła rzucanego przez nasze kołyszące się latarki nie były w stanie ostrzec nas przed straszliwym losem, który czekał każdego, kto zrobiłby fałszywy krok albo zszedł ze ścieżki. Już na dnie krateru stało się jasne, że nawet jeśli warstwa wystudzonej lawy wydawała się dość mocna, aby nie zapaść się pod nami, w rzeczywistości była pocięta tysiącnymi rysami i szczelinami, przez które dostrzegaliśmy całkiem wyraźnie czerwonawą powierzchnię roztopionej, ciekłej magmy pod naszymi stopami. Wielebny Haymark zawołał, że pamięta ścieżkę, po czym ruszył przodem, odnajdując za pomocą latarki twarde, gładkie języki lawy. W ten sposób rozpoczęliśmy wędrówkę dnem krateru.

Chociaż stąpaliśmy po „wychłodzonej” lawie, była ona tak gorąca, że czułam stopami żar przenikający przez grube podeszwy moich butów. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, do jakiego stopnia może być rozgrzana lawa, która dosłownie bulgotała na prawo i lewo w odległości niewielu metrów, na tej samej wysokości, a nawet wyżej od nas.

- Myślę, że ten trudny kawałek ma nie więcej niż kilkaset metrów - zakrzyknął Haymark i ruszył z niejakiem pośpiechem po gorących kamiennych płytach. Kołysząc spódnicą ruszyłam za nim, ale kręgi światła, rzucanego przez nasze latarki, z rzadka tylko spotykały się ze sobą. Pan Clemens pospieszył za nami z nieodłącznym cygarem w ustach, choć było ono całkiem zbędne w tym diabelskim dołku. Ale w cuchnącym odorze siarki ginął przynajmniej jego zapach.

Jest rzeczą niemożliwą, abym mogła dokładnie opisać zdumiewające wyczyny przebudzonego wulkanu, choć upłynęło tak mało czasu od chwili, w której przeżywałam to wszystko. W pierwszej chwili wydawało się, że znajdujemy się w jakiejś czerwonawej pustce, w której nie można odróżnić żadnych szczegółów w rzeźbie otaczających nas skał. Jednak prędko nasze oczy przyzwyczyły się bardziej do ognistej poświaty wokół nas niż do kręgów światła rzucanego przez nasze latarki, i dno wulkanu zaczęło odsłaniać przed nami swe fantastyczne kształty: platformy czarnego kamienia, ogniste jeziora, ostre grzbiety i urwiska, strumienie płynnego ognia, piramidy popiołu, ogromne bąble wybrzuszonej lawy, przepaściste otchłanie wypełnione dymem i siarczanymi oparami. Wulkan Kilauea dokazywał wokół nas, skakał, sapał i pluł jadem, niepomny naszej obecności, przyjmując nasze wtargnięcie z taką samą obojętnością, na jaką zasługiwałyby trzy bojaźliwe pchełki, które znalazły się w ognistym piecu potężnego boga podziemi.

A był to najprawdziwszy piec ognisty. Myślę, że nawet pan Clemens uświadamiał sobie szaleństwo naszej nieprzemyślanej decyzji, bo kiedy wielebny Haymark przystanął, aby sprawdzić, czy jesteśmy na ścieżce, i wytrzeć twarz, korespondent krzyknął do niego przez splekane zwały stygnącej lawy:

- Jest pan pewien, że zna pan drogę?

- Łatwiej ją znaleźć za dnia - odparł kapłan, rozglądając się szeroko otwartymi oczami, których białka połyskiwały w przerażającej poświacie. -No i z przewodnikiem.

Na naszych twarzach musiały się pojawić oznaki niepokoju, bo Haymark pospieszył z

wyjaśnieniem:

- Ale niedługo najgorszy odcinek zostanie za nami. Potem będziemy już kroczyć po twardym kamieniu.

Jak się okazało, ten „najgorszy odcinek” ciągnął się jeszcze przez ćwierć kilometra, zmuszając nas do przeskakiwania przepaścistych rys, w których lawa płynęła ze dwieście metrów pod nami. Myśl o skutkach, jakie mógł pociągnąć za sobą choćby jeden nieudany krok, tak mnie sparaliżowała, że przestałam zastanawiać się nad tym i zwyczajnie skoczyłam raz i drugi. Moja spódnica zatliła się od gorąca, buchającego w zadymionym powietrzu. Raz nie zauważyłam jakiejś dziury, wpadłam w nią i poczułam, że płomienie liżą mi buty, więc -nie czekając, aż obaj panowie odstawią latarki i wybawią mnie z opresji - złapałam się rękami za skalną krawędź i wydostałam na bezpieczny grunt. Ku memu zdumieniu skała, której dotknęłam rękami, była tak gorąca, że moje mocne rękawice z giemzy przepaliły się prawie na wylot, a dłonie pokryły się pęcherzami, zupełnie jakbym położyła je na rozpalonej blasze.

Nie powiedziałam o tym żadnemu z moich towarzyszy, ale uniosłam latarkę i pospieszyłam za potykającym się wielebnym Haymarkiem, który parł do przodu po chropowatym dnie krateru.

Wędrówka przez krater Kilauea musiała trwać niewiele ponad godzinę, ale otaczająca nas ognista poświata, stan ciągłego zagrożenia i konieczność uważania na każdy krok w sytuacji, gdy droga była prawie niewidoczna, sprawiły, że przeprawa ciągnęła się tak, jakby nigdy nie miała się skończyć. Nagle, zupełnie niespodziewanie i bez żadnego ostrzeżenia, dotarliśmy do ognistego jeziora, na sam skraj Hale-mau-mau.

Zwykłe słowa są tu zupełnie bezużyteczne. Takie wyrazy, jak fontanny, strumienie, eksplozje, ogniste mgły okazują się zupełnie bezradne, niezdolne do oddania nieopisanej potęgi i przerażającej wspaniałości tego, co ujrzeliśmy. Jezioro mogło mieć w najwęższym miejscu ponad pół kilometra szerokości. Otaczały je pionowe ściany czarnej lawy -tej samej „wystygłej” lawy, na której stałam i od której żaru zaczynały dymić moje buty - z których żadna nie miała mniej niż piętnaście metrów wysokości, a niektóre wyrastały na przeszło sześćdziesiąt metrów w górę - niczym Czarne Urwiska pod Dover - wprost z leniwie płynących, żarzących się rzek lawy. Unosiły się nad nim, a także nad brzegami, słupy pary i przesyconej siarką mgły, zabarwione ciemną czerwienią i pomarańczowymi odbłaskami idącymi od rozpalonej magmy. Opary te rozchodziły się ku brzegom krateru, górującym w tej chwili nad nami w trudnej do określenia odległości, sięgając ognistej czapy chmur, wiszących nisko nad wulkanem. Ale całą moją uwagę przykuło - i jak myślę, na zawsze pozostanie w mojej pamięci - ogniste jezioro.

Lawa kotłowała się w nim i tryskała w górę, ogromne fale waliły o siebie i o czarne urwiska, usiłujące zamknąć ją w swym kręgu. Wszędzie wyskakiwały ogromne bąble, a ich odpryski szybowwały na prawie sto metrów nad naszymi głowami, aby rozpaść się na tysiące wirujących cząsteczek, które skrapiały brzegi ognistym deszczem. Dokładnie na wprost nas tryskało w górę j edenaście fontann. Posyłały w górę strumienie krwiście zabarwionego ognia, który opadał z powrotem do ognistego jeziora.

Wszędzie wokół nas słychać było syki i trzaski krzepnącej lawy, szum pary wylatującej z tysiąca niewidocznych szczelinek, jęk wybrzuszących się i zapadających z powrotem powierzchni, a wszystko to na tle odgłosów ustawicznego kotłowania się morza ognia, które falowało i wzdychało wprost u naszych stóp, jak za pierwszych dni stworzenia. Odwróciłam się do wielebnego Haymarka, ale on stał z półotwartymi ustami, wpatrując się w to widowisko wybałuszonymi, błyszczącymi oczami. Mruczał pod nosem: „Nie widziałem czegoś takiego nawet we śnie...”. Spojrzałam na pana

Clemensa, takjakbym chciała sprowokować młodego, zuchowatego korespondenta do rzucenia jakiegoś śmiałego żarciku, ale i on, odrzuciwszy precz cygaro, wpatrywał się w pełnym zachwytu uniesieniu, graniczącym z religijną ekstazą. Widocznie wyczuł moje spojrzenie, bo odwrócił się moją stroną -jego rudawe brwi, wąsy i włosy zaświeciły przy tym pomarańczowym blaskiem - i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wyrzekł ani słowa. Skinęłam mu głową i odwróciłam się, aby wraz z nim podziwiać wspaniałe spektakl. Przez dwie godziny, albo i dłużej, staliśmy na krawędzi Hale-mau—mau, siedziby Madame Pele, i przyglądaliśmy się, jak przybywa stygnącej lawy, już to tworzącej wysepki i kamienne bryły pośrodku ognistego jeziora, to znów rozpuszczającej się pod wpływem żarui zamieniającej się z powrotem w płynną rzekę ognia. Chwilami poziom lawy rósł i fale kłębiły się wyżej, tak że bijący od nich żar zmuszał nas do odstąpienia dalej, aby po jakimś czasie opaść, umożliwiając stygnącej magmie tworzenie nowych brzegów, nowych urwisk i skalnych brył. Przez cały czas z huczącego morza ognia podnosiły się słupy oparów, wyciągając ku chmurom płomieniste ramiona. Od czasu do czasu skały, na których staliśmy, zaczynały kołysać się i trzeszczeć, a u naszych stóp pojawiały się języki płynnej magmy. To właśnie miejsce wybraliśmy sobie na piknik i zabraliśmy się do pojadania chleba z serem, popijając go winem ze szklanek, które nasz gospodarz poowijał dokładnie i włożył do worka z prowiantem.

- Najwyższy czas wracać - powiedział w końcu wielebny Haymark głosem tak ochrypłym, jakby krzyczał przez cały ten czas, choć w rzeczywistości godziny spędzone na tym piekielnym brzegu upłynęły nam w kompletnym niemal milczeniu. Wymieniłam z panem Clemensem znaczące spojrzenia, jakbyśmy zamierzali zaprotestować, zbuntować się przeciwko tej decyzji i pozostać tu do rana, a potem przeczekać dzień, żeby zanurzyć się znowu we wspaniałościach kolejnej nocy w królestwie Pele.

Ale buntu oczywiście nie było, choć, jak mi się zdaje, każde z nas odczytało w oczach drugiego szaleńcze pragnienie pozostania 131 dłużej. Kiwnęliśmy więc głowami na zgodę i ruszyliśmy z powrotem, obserwując morze płomieni tak długo, jak tylko się dało. W końcu rozsądek kazał nam baczniej uważać na to, gdzie stawiamy kroki, i podążać za chwiejącą się latarką naszego przewodnika.

Muszę się tu przyznać, że gdy tylko ukazało się moim oczom morze płomieni, postawiłam moją latarkę na ziemi i już się po nią nie schyliłam ani nawet nie pomyślałam o niej, kiedy ruszałam w drogę powrotną. Czerwonawe światło wydawało się tak jasne, a moje zmysły tak były przepełnione przerażającą wspaniałością całego otoczenia, że na dobre zapomniałam o latarce. Myślałam tylko o tych widokach i zapachach, które zawaładnęły mną tak, jak nie zdołało tego uczynić nic w okresie trzydziestu jeden prawie lat mojego życia. Zająłam miejsce w środku między dwoma mężczyznami i dopiero wtedy zauważyłam bezwiednie, że pan Clemens niesie swoją latarkę, a na przedzie kołysze się tak samo jednostajnie latarka wielebnego Haymarka. Zaczęłam stawiać kroki na czarnej lawie i posuwać się z trudem do przodu w moich dymiących butach, zbyt zmęczona i przejęta, aby zdobyć się jeszcze na myślenie.

Przeraziłam się więc nie na żarty, kiedy usłyszałam zaniepokojony głos wielebnego Haymarka:

- Stop!

Zatrzymaliśmy się raptownie w miejscu, o jakieś trzy metry od siebie. - O co chodzi? - zapytał korespondent tonem, w którym można było wyczuć pewne napięcie.

- Zeszliśmy ze ścieżki - odparł kapłan. Usłyszałam, że drży mu głos i nogi zatrzęśły się pode mną.

Zarówno Haymark, jak i Clemens natychmiast wyciągnęli swój e latarki na całą długość ręki nie ruszając się z miejsca, ale nadal otaczały nas ciemności rozświetlane jedynie poświatą idącą od

lawy, przebłyskującej w wąskich szczelinach.

- Dno jest tu wyższe - powiedział wielebny Haymark. - Znajdujemy się wysoko nad największym zagłębieniem. Skorupa lawy jest tu pokruszona i cienka. Zauważyłem różnicę po odgłosie kroków w czasie marszu. Przyznaję, że nie dość uważałem, żeby sienie zgubić.

Staliśmy w milczeniu. Wreszcie pan Clemens odezwał się cicho:

- Może cofniemy się po naszych śladach...

Latarka wielebnego Haymarka zaczęła kołysać się gwałtownie, ukazując od czasu do czasu jego przerażoną twarz.

- To byłoby bardzo trudne, mój panie. Stawialiśmy duże kroki, przeskakiwaliśmy z jednej górki na drugą. Jakiś fałszywy krok w tej okolicy mógłby spowodować załamanie się skorupy. Moglibyśmy zlecieć ze trzysta metrów w dół, prosto do lawy, która płynie pod nami.

- Myślę, że dwieście wystarczyłoby mi w zupełności - powiedział pan Clemens, odgrzewając kiepski dowcip sprzed paru godzin.

Poczułam, że ściśnięte gardło nie pozwala mi oddychać, tak byłam przerażona myślą, że moglibyśmy stracić życie na tej zdradliwej, cienkiej skorupie. - Zaczekajmy do świtu - powiedziałam, ale do świtu było j jeszcze parę godzin, toteż jeszcze zanim wygłosiłam te słowa, uświadomiłam sobie, że nie możemy zostać tu aż do końca długiej nocy.

- Spróbujmy może iść ostrożnie z powrotem, póki nie natrafimy znowu na ścieżkę - zaproponował wielebny Haymark, ale zaledwie zrobił jeden krok, krucha powłoka załamała się pod nim.

Mój krzyk był zapewne tylko żalosnym westchnieniem w porównaniu z rykiem lawy i świstem pary, strzelającej wokół nas pośród nocnego mroku.

Rozdział jedenasty

Póki blask lawy Będzie bił z ognistego jeziora

Przyćmiewając gwiazdy; Póki srebrne mgły będą płynąć za dnia Nad szczytami gór, Splendory Kapiolani będą się kojarzyć Z przepychem wielkiej Hawai.

Alfred lord Tennyson Kapiolani, 1892

Szef ochrony Matthew „Matt” Dillon był w zupełnie niezłym nastroju, kiedy otwierał drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU, aby zejść po pochyłej rampie w głąb katakumb pod Mauna Pele. Zanim podjął pracę jako prywatny ochroniarz, pracował krótko dla FBI, a potem przez siedem lat także dla CIA, wykonując od czasu do czasu nieduże zlecenia. Jego specjalnością były działania antyterrorystyczne, szczególnie przy atakach na duże obiekty i instalacje. Aby wyspecjalizować się w ich ochronie, Dillon stał się także ekspertem w ich napadaniu. Swoje usługi oferował nawet wojsku, kiedy otaczający prezydenta Cartera idioci planowali uwolnienie zakładników przetrzymywanych w amerykańskiej ambasadzie w Iranie. Dillon z zadowoleniem wspominał zawsze, że armia nie skorzystała wówczas z oferty FBI, dzięki czemu nie został zamieszany w tamtą wiekopomną klapę. Miał już za sobą pięć lat pracy w charakterze prywatnego konsultanta, kiedy Pete Briggs, który rok wcześniej przeszedł pod jego kierunkiem kurs ochroniarski, zapytał go, czy nie podjąłby współpracy z Byronem Trumbo. Dillona nie interesowało tego rodzaju zajęcie - umarłby z nudów przy jednostajnej ochroniarskiej robocie - ale Briggs nalegał, więc dał się w końcu zawieźć prywatnym odrzutowcem z San Diego do Nowego Jorku, gdzie przyjął go osobiście Trumbo. Praca zapowiadała się ciekawie - miał być nie tyle szefem ochroniarskiej ekipy, ile raczej ekspertem, wyszukującym słabe punkty w szeroko rozbudowanym imperium Trumba, składającym się z hoteli, domów gry i i tym podobnych przedsiębiorstw - a honorarium miało być dwa razy wyższe od sum, które zarabiał jako prywatny konsultant, nawet w tamtych tłustych latach, kiedy to aż roiło się od porwań i krwawych rozrachunków. W końcu więc powiedział „tak”. Przez rok czy dwa było to nawet zabawne. Latał po całym świecie, unieszkodliwiał szantażystów, likwidował słabe punkty w zabezpieczeniu, wyłapywał oszustów w należących do Trumba kasynach i kantorach, a kiedy nie było innej rady, rozprawiał się nawet na siłę z jego mniej groźnymi przeciwnikami. Nie wahał się działać na pograniczu prawa, a gdy sytuacja tego wymagała, także i poza nim. Trumbo zdawał się doceniać jego zalety i wykorzystywał je stosownie do potrzeb. Wreszcie, sześć miesięcy temu, zaczęły się tajemnicze zaginięcia w należącym do Trumba kurorcie Mauna Pele. Dillona przysłano tu pierwszym samolotem lecącym na Hawaje. Przybył nieoficjalnie, żeby zorientować się na miejscu, jak sprawy wyglądają. Opalał się, pływał, przesiadywał wieczorami w Pirackim Barze udając głupkowatego turystę, a jednocześnie próbował dociec, co tu się naprawdę dzieje.

Niewiele mu to dało. Stephen Ridell Carter prowadził przedsiębiorstwo twardą ręką. Ówczesny szef ochrony Mauna Pele, były hawajski policjant Charlie Kane, lenił się trochę, nie był jednak całkowicie niekompetentny. Miejscowe gliny sprawdziły wszystko, co narzucało się samo - niezadowolonych byłych pracowników, lokalne szumowiny, faceta, który miał jakieś osobiste pretensje do Trumba - ale nic z tego nie wynikło. Po tygodniu bezowocnego szperania Dillon poinformował Cartera, Kane'a i miejscowe władze, kim jest naprawdę i zaczął z nimi współpracować. Nadal bez rezultatu. To niepowodzenie mocno go zniechęciło. Kiedy Trumbo zwolnił Charlie Kane'a i zaproponował mu objęcie posady szefa ochrony Mauna Pele do czasu, aż wszystko wróci do normy, Dillon przyjął propozycję sądząc, że nie będzie to trwało dłużej niż parę

tygodni. Pozostawianie takich spraw bez wyjaśnienia nie było w jego stylu.

Teraz, po przeszło sześciu miesiącach, Matthew Dillon miał już dość Hawajów, Mauna Pele, słońca, świeżego morskiego powietrza i tłukących o brzegi fal przyboju. Chciał wrócić na zimę do Nowego Jorku, z jego zaśmieconymi uliczkami i zgryźliwymi taksówkarzami. Zamierzał wyczyścić sprawy w którymś z należących do Trumba domów gry w Las Vegas albo w Atlantic City, pracując w zamkniętym światku, w którym nikt nie pytał, czy jest noc, czy dzień i można było mieć w nosie całą resztę świata.

Ale naraz zaczęły się tu dziać dziwne rzeczy. Pojawiły się ludzkie członki na polu golfowym. Zaginęło trzech facetów z New Jersey. Znikł gdzieś astronom, po którym zostały tylko plamy krwi. Matthew Dillon uśmiechnął się do siebie, poklepał po kaburze przypasanej do biodra i dziarsko zanurzył się w czeluściach tunelu. To już było bliższe jego upodobaniom.

Pracownia astronomiczna nie była zamknięta. Dillon wysunął z pochwy glocka kaliber dziewięć milimetrów i ostrożnie uchylił drzwi. Na środku pokoju stał Pete Briggs z pięciokilowym młotkiem w dłoni i w zamyśleniu pocierał sobie brodę palcami. Dillon schował półautomatyczny pistolet z powrotem do kabury.

- Widzę, że masz naprawdę zamiar rozwalić tę ścianę - powiedział. Briggs nie odwrócił głowy w jego stronę. Dillon zdawał sobie sprawę, że ten osiłek tylko pozornie wygląda na przygłupa, w rzeczywistości jednak jest całkiem sprytnym facetem. I dobrym osobistym ochroniarzem. Obserwując z bliska ludzi z tego środowiska, poznał już wielu gorszych od niego. - Tak - potwierdził Briggs.

- Miejscowe gliny nie będą tym zachwycone.

- Tak - stwierdził Briggs, najwyraźniej nieciekawym reakcji miejscowych policjantów. Przerzucił młotek z lewej do prawej dłoni i spojrzał na Dilonę. - Czekałem na ciebie.

Dillon spojrzał na niego spod uniesionych gęstych brwi. Briggs kiwnął głową w kierunku mocnej latarki na sześć baterii.

- Zdaje mi się, że najlepiej będzie, jeżeli jeden z nas poświeci, a drugi zabierze się do rozwalania tej ściany.

- Okay - zgodził się Dillon biorąc do ręki latarkę. Briggs sięgnął po leżące na biurku plastikowe gogle, założył je, odsunął jedną ręką biurko na bok i przymierzył się ciężkim młotem do szczeliny w ścianie w jej najszerszym miejscu.

- Odsuń się stąd lepiej - powiedział.

W pokoju było niewiele miejsca, ale Dillon wycofał się pod przeciwległą ścianę i uniósł latarkę.

- Trzymaj też w pogotowiu swoją pukawkę - poradził Briggs. Dillon rzucił mu zdziwione spojrzenie.

- Po co? Boisz się, że z tej dziury wylezie jakieś straszidło, żeby cię załatwić, jak przedtem Willsa?

Na twarzy Briggsa nie pojawił się nawet cień uśmiechu. - Jak będę poszerzał tę dziurę, trzymaj latarkę i glocka wycelowane prosto w nią - polecił.

Dillon nie lubił, jak mu rozkazywano, teraz jednak wzruszył ramionami i wyciągnął pistolet. Wiszące pod sufitem żarówki były wystarczająco mocne, aby oświetlić mały pokój, skierował jednak na otwór światło latarki, którą trzymał lewą ręką, tak jak go nauczono, tuż nad pistoletem w prawej, celując obydwoma przedmiotami w to samo miejsce.

- Gotowe - powiedział.

Pete Briggs zamachnął się młotem i wyrznął nim z całej siły w ścianę. Eleanor z brzegu w pobliżu jej hale obejrzała, jak słoneczna tarcza zanurza się gdzieś daleko w oceanie, a potem udała się na drinka do Pirackiego Baru. Tylko parę stolików, ustawionych pod daszkiem z palmowych liści i na wychodzącym na morze, wyłożonym kamiennymi płytami tarasie, było zajętych przez nielicznych gości. Eleanor usiadła samotnie na skraju tarasu, zamówiła dzin z tonikiem i pociągała drobne łyeczki przyglądając się, jak różowa łuna na zachodzie ciemnieje, przybierając coraz głębsze odcienie szkarłatu, aż w końcu rozplywa się w zamierającej fioletowej poświacie. Pierzaste liście palm odcinały się wyraźnie na tle nieba. Od wschodu widać było oświetloną wulkanicznym blaskiem chmurę popiołów, która znowu zmieniła kierunek, okrywając cieniem wybrzeże Kona. Na brzegu i na spacerowych alejkach nie było widać nikogo, jeśli nie liczyć samotnego Hawajczyka w tradycyjnej przepasce na biodrach, który nadbiegł z długą żagwią w dłoni, zapalając po drodze liczne gazowe pochodnie i lampy, ustawione wzdłuż ścieżek i chodników. Płomienie trzeszczały i skwierczały w rosnącym wietrze.

Eleanor siedziała pogrążona w myślach o minionym dniu, o psie i jego przerażającym znalezisku, o dziwnej rozmowie w dyrekcji, kiedy nagle zobaczyła Cordie, stojącą tuż obok z butelką piwa i szklanką w dłoni. - Hej, Nell, pozwolisz, że się przysiadę?

- Oczywiście, zapraszam - powiedziała Eleanor, zastanawiając się nad tym „Nell”. Lubiała to zdrobnienie. Stare panny ze wszystkich pokoleń w jej rodzinie miały jakieś przezwisko, które przyczepiało się do nich pod koniec życia - była ciocia Kidder, ciocia Mittie, ciocia Tam, ciocia Beanie - toteż doszła do wniosku, że i ona mogłaby przeżyć lata, które jej zostały, jako „ciocia Nell”. - Trafiliśmy na niezłych krętaczy dziś po południu, no nie? - zapytała Cordie i pociągnęła łyk piwa.

Eleanor kiwnęła głową, wpatrując się nadal w ciemniejące na zachodzie niebo. - Trumbo chciał najwyraźniej zatuszować całą sprawę - powiedziała Cordie. - Gliny nie kontaktowały się ze mną. Byli może u ciebie? - Nie - odparła Eleanor.

- Założę się, że Trumbo nawet do nich nie zadzwonił. - Czemu miałby tego nie robić? - zapytała Eleanor. Daleko, na oceanie, widać było trójkątną sylwetkę żagla jakiegoś jachtu, odcinającą się na tle coraz ciemniejszego nieba nad horyzontem. Mimo rosnącego wiatru ocean był bardzo spokojny, fale z rzadka tylko załamywały się na odległym o dwadzieścia metrów piasku.

Cordie wzruszyła ramionami.

- Prawdopodobnie próbuje uniknąć rozgłosu.

Eleanor przekręciła się na krześle, aby spojrzeć na nową znajomą. - Przecież i tak mu się nie uda. Mamy obowiązek zawiadomić o tym kogoś, i to jak najprędzej. Mogłybyśmy zadzwonić na miejscowy posterunek jeszcze dziś wieczorem... teraz.

Cordie dołała sobie piwa z butelki, pociągnęła łyk i oblizała pianę z ust. - Tak, ale nie zrobimy tego. Jesteśmy na wakacjach. Eleanor nie była pewna, czy Cordie nie żartuje.

- Poza tym - ciągnęła Cordie - coś mi się zdaje, że Trumbo próbuje sprzedać ten ośrodek. Być może zależy mu zachowaniu tajemnicy, dopóki nie przejmą go Japonce, których obwoził dziś rano, jak sama widziałam.

Eleanor drgnęła na dźwięk słowa „Japonce”.

- Skąd wiesz o zamiarach Byrona Trumbo?

- Czytałam w „National Enquirer” i w „A Current Affair” - odparła Cordie. - Nie słyszałaś o jego żonie i kłopotach z przyjaciółkami? Eleanor pokręciła przecząco głową.

- Wygląda na to, że wpadł j jeszcze gorzej niż stary Donald Tramp parę lat temu przez jakąś tam... nie pamiętam jej nazwiska. Trambo rozwodzi się właśnie z żoną, która bardzo mu się przysłużyła, bo pomogła zbudować to j ego imperium. Tak przynajmniej twierdzą ej adwokaci. A teraz zaczął się afiszować z jedną supermodelką...

- Z Mayą Richardson - powiedziała Eleanor i wychyliła resztę dzinu z tonikiem.

Cordie uśmiechnęła się szeroko.

- Pisał o tym „National Perspiner”. Musisz czytać ten magazyn.

- Zapamiętałam tylko tytuł. Rzucił mi się w oczy w supermarkecie. - Ach, tak - powiedziała Cordie. - No, no. W każdym razie, „A Current Affair” pisze, że Trambo ma nowy romans z j jeszcze młodszą modelką. Na razie Maya nic o tym nie wie. - Dała znak kelnerowi, a kiedy młody człowiek podszedł do niej, pokazała mu kartę upoważniającą obie panie do bezpłatnych drinków przez resztę pobytu i powiedziała: - Spróbujemy jednego z ulubionych drinków pana Trambo. Piękną Pele.

- Ma pani zapewne na myśli Ognistą Pele? - powiedział kelner, przystojny blondyn, opalony na brąz.

- Wszystko jedno - powiedziała Cordie. - Proszę przynieść dwa. - Odprowadziła wzrokiem kelnera, kiedy ten ruszył w stronę bufetu. - Nie jestem pewna, czy powinnam mieszać napoje - powiedziała Eleanor.

Brwi Cordie uniosły się pytająco w górę.

- Ty też miałaś ochotę na tę Pele? - Uśmiechnęła się. - Ej, widzę, że dzisiejsze przeżycia zaostriły ci apetyt.

Eleanor zawahała się.

- Zaczynam się zastanawiać, co myśmy dziś tak naprawdę widziały. - Och, odsuń wszelkie wątpliwości - powiedziała Cordie. - Widziałyśmy to, co widziałyśmy. A ja oglądałam już dużo dziwniejsze rzeczy. Eleanor już otwierała usta, żeby zapytać o te dziwne rzeczy, ale Cordie ją ubiegła.

- Zwróciłaś uwagę na tego psa?

- Zauważyłam tylko, że był czarny - odparła Eleanor. - I duży. Jak przerośnięty labrador.

Cordie pochyliła się ku niej.

- Widziałam go dziś wcześniej rano. Właściwie o świcie. To samo piekielne psisko biegło brzegiem plaży.

- Och, rzeczywiście - powiedziała Eleanor. - Pytałaś nawet, czy nie widziałam czarnego psa. Dopiero teraz sobie przypomniałam. Cordie kiwnęła głową.

- A widziałaś, jakie miał zęby? To dlatego pytałam cię dziś rano, czy go nie widziałaś.

- Zęby? - Eleanor próbowała sobie przypomnieć. Pies tylko przez kilka sekund stał naprzeciwko nich i zaraz potem zniknął między magmowymi głazami. Pamiętała szok, jaki przeżyła na widok tego, co trzymał w paszczy, ale w jej pamięci utkwiło też wrażenie, jakby coś z tym psem było nie w porządku, tyle że nie dotyczyło to jego zębów. Pokręciła przecząco głową. - No więc, co z tymi zębami? Zjawił się kelner z drinkami i Cordie na moment wyprostowała się na krześle.

Kiedy oddalił się, powiedziała:

- On miał ludzkie zęby.

Eleanor spojrzała na nią spod przymrużonych powiek. - Naprawdę - potwierdziła Cordie Stumpf i

przysunęła do siebie wysoką szklanę z napojem. Drink był czerwony, a po wierzchu pływał plasterk pomarańczy. - Bóg mi świadkiem, ten piekielny pies miał ludzkie zęby. Przypominały protezy. Ta bestia uśmiechnęła się do mnie dziś rano na plaży.

- Na pewno tak ci się tylko zdawało - uspokoiła ją Eleanor.

- Ho, ho - odparła Cordie. - Miałam w życiu co najmniej tyle psów, co i chłopów, i wiem, jak one wyglądają. A to zwierzę od razu wydało mi się jakieś nienormalne. Kiedy wyszczerzył do mnie zęby dziś rano, zobaczyłam to, czego mogłam nie dostrzec po południu, kiedy z paszczy zwisała mu ta ludzka ręka. Wiedziałam już, na co zwrócić uwagę, więc się przyjrzałam i to były naprawdę ludzkie zęby.

Eleanor poczuła lekki zawrót głowy. Polubiła Cordie Stumpf i byłoby jej przykro, gdyby ta kobieta okazała się wariatką. Aby ukryć zmieszanie, sięgnęła po drugą z wysokich szklanek, odłożyła na bok pokrywkę i listek mięty, i pociągnęła łyczek napoju.

- Słodkie to. Ciekawe, co oni tu wymieszali.

- Wszystkiego po trochu - odparła Cordie. - Przypomina mrożoną herbatę z Long Island, którą przygotowują wiśniami i dolewają chyba ze cztery różne alkohole. Wystarczyłyby mi dwie takie szklanki, a puściłabym się nago w taniec na kontuarze.

Eleanor próbowała wyobrazić sobie tę scenę, prędko j ednak zrezygnowała. - A jeśli już mowa o tańcach na golasa - powiedziała Cordie - powiedz, co myślisz o tym Paulu?

Eleanor przełknęła ślinę.

- Dlaczego pytasz? Cordie uśmiechnęła się.

- Zdaje się, Nell, że facet nieźle się na ciebie napalił. Jak daleko Eleanor sięgała pamięcią, nikt nigdy dotąd nie użył podobnego określenia w jej obecności. Potrzebowała paru sekund, aby odpowiedzieć:

- Chyba jesteś w błędzie.

- Ejże.

- Nie interesuje mnie doktor Kukali - powiedziała Eleanor i od razu zdała sobie sprawę, jak drętwo to zabrzmiało: jakby nauczycielka karciała ucznia. Nic jednak nie mogła na to poradzić.

- Wiem, wiem - powiedziała Cordie, ciągle uśmiechając się leciutko. - Znam się na tym. Ale nie jestem pewna, co by na to powiedział sam doktor Kukali. Mężczyźni są czasami całkiem niepojętni.

Eleanor postanowiła zmienić temat.

- Doktor Kukali powiedział, że dziś po południu wraca do Hilo. Prowadzi te zajęcia w Mauna Pele tylko raz w tygodniu.

- Nie wydaje mi się, żeby pojechał - odparła Cordie. - Myślę, że został tu na noc.

Eleanor pociągnęła jeszcze jeden łyczek. Napój był za słodki, ale raczej przyjemny w smaku.

- Dlaczego tak myślisz?

Cordie kiwnęła głową w kierunku wejścia na taras, które znajdowało się za plecami Eleanor.

- Bo właśnie przyszedł do baru i za chwilę podejdzie do naszego stolika.

14 czerwca 1866 roku, wulkan Kilauea

Kiedy pod wielebnym Haymarkiem załamała się wierzchnia skorupa zastygłej lawy, moją pierwszą myślą było: „On zaraz wyparuje, a płomień z jego szczątków pożrą nas wszystkich!” Ale to przypuszczenie okazało się błędne, a hipoteza pozostała niesprawdzona, ponieważ korpulentny

kapłan zapadł się tylko po wyciągnięte na boki ramiona.

- Nie podchodźcie, żeby mnie ratować! - zawołał wielebny Haymark. Rzeczywiście, gotowość do poświęceń musiała być w nim znacznie mocniejsza niż w panu Clemensie czy we mnie, bo żadne z nas nie uczyniło najmniejszego ruchu, aby wydobyć go z opresji. Co do mnie, to wątpiłam w istocie, czy będę zdolna zrobić choćby jeden krok.

Sapiąc i dysząc głośno kapłan wydostał się na powierzchnię i odczołgał się na czworakach od zapadliny. Przez postrzępiony otwór zionął blask magmy. Podniósłszy się ostrożnie na nogi wielebny Haymark sięgnął po latarkę, która wypadła mu z ręki, i powiedział:

- Rozejrzyjcie się za ścieżką. Jest twardsza i bardziej wysuszona niż to tutaj. Pan Clemens i ja zaczęliśmy rozglądać się dziko na wszystkie strony nie robiąc ani kroku po zdradliwej powierzchni, ale wszędzie, dokąd docierało światło naszych latarek, lawa wyglądała tak samo. Jeśli jakaś twardsza powłoka znajdowała się w pobliżu, to zupełnie nie było jej widać. Zagubiliśmy się bez żadnej nadziei na tej skorupie, okrywającej bezdenne morze lawy. - Szybko! - krzyknął wielebny Haymark. - Zgaście latarki! Zarówno korespondent, jak i ja odnieśliśmy się do tego polecenia jednakowo nieufnie, ale poszliśmy za przykładem naszego dostojnego przewodnika. W chwilę potem ogarnęła nas ciemność rozjaśniana tylko piekielną łuną z jeziora lawy, które zostawiliśmy za sobą, oraz z pęknięć i szczelin wokół nas.

- Nigdy bym nie zauważył, że zeszedliśmy ze ścieżki, gdybym kierował się tylko wyglądem powierzchni - wyjaśnił wielebny Haymark przyciszonym głosem, jakby bał się, że jakikolwiek głośniejszy dźwięk spowoduje, iż cała nasza trójka zapadnie się pod pogruchotaną powłokę. - Zorientowałem się dopiero po odgłosach. - Co pan ma na myśli? - zapytał pan Clemens.

- Ścieżka była gładka, a w tych miejscach, po których nikt nie chodził, znajdują się maleńkie okruchy lawy. Proszę posłuchać. - Przejechał butem po powierzchni i rzeczywiście dał się słyszeć odgłos rozgniatania małych drobinek przez podeszwę. - To właśnie dzięki tym dźwiękom zdałem sobie sprawę, że zabłądziliśmy. Rozejrzałam się po otaczających nas ciemnościach. Gdybyśmy odnaleźli ścieżkę, być może dałoby się odróżnić ją wzrokiem, teraz jednak była zupełnie niewidoczna.

- Zamknijcie oczy! - zawołał wielebny Haymark i zrobił to sam, a potem zaczął zataczać prawym butem małe kręgi, utrzymując ciężar ciała na lewej nodze. Pan Clemens i ja natychmiast dostrzegliśmy roztropność tego posunięcia. Zamknęliśmy oczy i zaczęliśmy wymacywać drogę butami, wsłuchując się w ostrzegawcze chrzęsty. Gdyby ktoś mógł nas przy tym zobaczyć, widok wydałby mu się z pewnością zabawny. Ujrzałby trójkę wędrowców, którzy stoją z zamkniętymi oczami w piekielnych ciemnościach na jednej nodze, drugą zaś wykonują powolne, ostrożne, taneczne niemal ruchy. A po każdym kroku, poszerzającym badany teren, na ich twarzach pojawiało się nieopisane przerażenie. Co do mnie, z każdym krokiem oczekiwałam załamania się skorupy i byłam pewna, że usłyszę naokoło trzaski i zgrzyty całej powłoki, gotowej pokruszyć się pod nami niczym tafla cienkiego lodu.

- Znalazłem! - krzyknął Samuel Clemens. Wielebny Haymark i ja otworzyliśmy oczy i zobaczyliśmy, że korespondent stoi z wyciągniętą na całą długość prawą nogą, szurając podeszwą buta po skorupie lawy w sporej odległości od nas, po lewej stronie. Nie wiem, jak udało mu się utrzymać równowagę w tej komicznej pozie. - Słyszę tu zupełnie inny odgłos - powiedział. - Spróbuję zrobić krok, żeby się przekonać, czy moje uszy nie kłamią. Powłoka może być tu jeszcze cieńsza. - Proszę zachować ostrożność, panie Clemens - powiedziałam i zdałam sobie sprawę z absurdalności mojego ostrzeżenia.

Korespondent obejrzał się w moją stronę. Jego oczy zaświeciły spod gęstych brwi.

Czerwonawa poświata nadawała mu wygląd złośliwego demona.

- Panno Stewart... - zaczął poważnym tonem.

- Tak?

- Gdyby skorupa zapadła się pode mną, czy zechciałaby pani zawieźć do Kaliforni przesłanie ode mnie?

Serce skoczyło mi do gardła.

- Tak, panie Clemens, zrobię to.

- Czy byłaby pani tak uprzejma odszukać wszystkie młode kobiety, do których kiedykolwiek się zalecałem, i powiedzieć każdej z nich, że umierałem z jej imieniem na ustach?

Tego rodzaju zuchwalstwo musiało pozostać bez odpowiedzi, rzuciłam mu więc tylko:

- Niechże pan już zrobi ten krok, panie Clemens. Korespondent wykonał długi skok i wylądował na obu nogach, niczym dziecko grające w klasy. Skorupa wytrzymała. Pan Clemens przykucnął, obmacał obiema rękami powierzchnię lawy i oświadczył:

- Tak, to jest ścieżka. Widzę stąd, dokąd prowadzi. Kilka czy kilkanaście kroków, jakie musiałam zrobić z wielebny Haymarkiem, żeby dojść do stojącego na mocnym gruncie pana Clemensa, stanowiły najdłuższą podróż w moim życiu. Kiedy wreszcie upewniliśmy się, że jest to rzeczywiście ścieżka, którą schodziliśmy do ognistego jeziora, zapaliliśmy latarki i ruszyliśmy w drogę, stąpając ostrożniej niż przedtem. Po przerażających przeżyciach na Hale-mau-mau i w czasie tej niemiłej przygody przejście ostatnich kilkuset metrów po nagrzanej powłoce, pełnej wąskich szczelin, które napędziły nam tyle strachu, kiedy schodziliśmy w dół, teraz wydało się nam dziecinną zabawą. Świtało już prawie, kiedy pokonaliśmy ostatnie schodki po liczącym trzysta metrów zboczu i wydostaliśmy się na krawędź krateru. Cekał tam na nas Hananui. Wyczuwając, że nadchodzimy, ocknął się niczym wierny pies, szczęśliwy, że może znowu ujrzeć swego pana. Pomyślałam, że nasz przewodnik wytrwał na posterunku wiedziony zawodową lojalnością, ale z jego pełnej podniecenia paplaniny można było wyczuć, że w zajeździe nad wulkanem musiało się wydarzyć tej nocy coś zupełnie szczególnego.

- Pomału, pomału - powiedział wielebny Haymark, kładąc ciężkie dłonie na ramionach Hawajczyka, jakby uspokajał rozbrykane dziecko. - Opowiedz nam wszystko po kolei.

- Przyszli z Kona misjonarze - wysapał mały człowieczek świecąc w blasku latarni szeroko otwartymi oczami. - Oni uciekli.

Pan Clemens zabierał się właśnie do przypalenia cygara. Wyglądało na to, że czekał z tym aż dotąd, żeby uczcić bezpieczne wydostanie się z krateru.

- Uciekli? A przed czym? - zapytał.

- Przed Pana-ewa! - odparł Hananui. - Przed Ku i Nanaue! Wielebny Haymark zrobił krok do tyłu z wyrazem niechęci i otwartego obrzydzenia na rumianej twarzy.

- Co takiego? - zapytał pan Clemens wypuszczając kłęb tytoniowego dymu. Na jego twarzy pojawiła się zawodowa ciekawość.

Kapłan machnął lekceważąco ręką.

- To takie tam miejscowe bóstwa - powiedział pogardliwie. -A właściwie gromada półbogów. Zwykle maskary.

Pan Clemens podszedł do przewodnika, który był najwyraźniej mocno czymś przerażony.

- O kim ty mówisz? Co to za zjawy? Hananui potrząsała głową. - Uwolnieni. Wszyscy uwolnieni. Zabili wielu ludzi niedaleko wioski Kona. Zabili większość misjonarzy. A ci misjonarze, co przyszedli do zajazdu na wulkanie, uciekli. Uciekli do Hilo.

Cygaro pana Clemensa podskoczyło do góry, a jego oczy błysnęły tak samo złośliwie, jak wcześniej w głębi krateru.

- Powiadasz, że na wybrzeżu Kona zostali zamordowani jacyś misjonarze?

Hananui kiwnął głową, ale najwyraźniej nie to było powodem jego strapienia.

- Otworzyły się wrota Milu - powiedział cicho.

Wielebny Haymark odwrócił się plecami do niższego od siebie Hawajczyka. - O ile wiem, ten Milu jest ich bogiem Podziemi - powiedział. - Taki miejscowy Pluton.

Hananui kiwał i potrząsał głową na przemian.

- Siedlisko Milu. Podziemie. Królestwo Milu, gdzie żyją duchy. Wielebny Haymark westchnął i uniósł latarkę.

- Chyba powinniśmy już wracać. Jeżeli coś się przydarzyło misjonarzom z Kona, powinniśmy dowiedzieć się, co i jak.

Ruszyliśmy więc do odległego o kilkaset metrów zajazdu. Poszłam przodem z wielebnym Haymarkiem, zbyt wyczerpana, aby prowadzić rozmowę, pan Clemens zaś zamykał pochód z gadającym bezustannie Hawajczykiem. Objął go wpół i wypytywał o szczegóły, przysłuchując się jego beładnej paplaninie. Byłam zbyt zmęczona, aby mogło mnie to cokolwiek obchodzić.

Byron Trumbo i jego ludzie byli w połowie długiej, półoficjalnej kolacji z udziałem Hiroshe Sato i jego świty - półoficjalnej w tym sensie, że Trumbo miał na sobie „strój Aloha”, składający się z czystej hawajskiej koszuli, szortów z wojskowego drelichu i sportowych butów z wysokimi cholewkami - kiedy nastąpiło załamanie pogody i zaczęły napływać złe wieści. Zła pogoda nadeszła najwyraźniej ze wschodu wraz z silnymi porywami wiatru, który pod wieczór przygnał chmurę wulkanicznych popiołów. Po zmierzchu palmowe liście, sięgające niemal siódmego piętra, na którym znajdował się prywatny lanai japońskiego biznesmena, zaczęły dygotać jak szalone, a jednocześnie zanosło się na deszcz. Ten ostatni nie stanowił problemu - część lanai, na której ustawiono stoły, przykryta była daszkiem i osłonięta mocnymi markizami - ale wichura mocno skomplikowała rozmowę i obsługę biesiadników.

Potem zaczęli się zjawiać jeden po drugim asystenci Willa Bryanta, przynosząc coraz gorsze wiadomości, z których większość nadchodziła także ze wschodu. Bryant wysłuchiwał ich, a potem czekał na chwilę przerwy w ogólnej rozmowie, osłaniał usta lnianą serwetą i przekazywał je wprost do ucha szefa.

Podczas konsumowania przystawek z krewetek poinformował go szeptem:

- Pani Trumbo i jej adwokat chcą rozmawiać z panem. Są w apartamencie Ali'i.

Pani Trumbo nalega, żeby spotkał się pan z nią dziś wieczorem. Trumbo potrząsała tylko głową i Will oddalił się, aby przekazać jego żonie wyniki swojej misji. W dziesięć minut później wrócił i szepnął:

- Ona koniecznie chce, żeby pan przyszedł jeszcze dziś wieczorem. Mówi, że to ważne. Będzie z nią Koestler. Grozi, że jeżeli nie zjawi się pan u niej na rozmowę, przyjdzie tu i przeszkodzi wam w kolacji. Wie, że jest tu Sato. - Mam ją gdzieś - odszepnął Trumbo i uśmiechnął się przez cały stół do doktora Tatsuro, który spojrzał na niego z niepokojem. Adwokat Trumba, Benny Shapiro „Rąbanka”,

siedział w Nowym Jorku. Caitlin prowadziła nieczystą grę. O siódmej czterdzieści pięć, kiedy podano chłodny napój między zupą a rybą, Will szepnął:

- Do hotelu przyjechała właśnie panna Richardson. Daliśmy jej główny tahitański hale na cyplu.

Trumbo kiwnął głową. Nie było innego miejsca, w którym można było umieścić Mayę dalej od Wielkiego Hale i Caitlin. Na szczęście eks-modelka przyzwyczajona była do luksusu i starannej obsługi, a jej tahitański hale miał własny basen kąpielowy, kucharza i lokaja, pełniącego służbę „na okrągło”. Nie miała więc żadnych powodów, aby przychodzić do głównego budynku. - Mówi, że chce rozmawiać z panem - szepnął Will Bryant.

- Dziś wieczorem?

- Natychmiast - powiedział Will.

- Pieprzę to - odszepnął Trumbo i uśmiechnął się znowu do doktora Tatsuro, którego głowa kiwała się jak u jednej z tych figurek, które kierowcy umieszczają za szybą samochodu.

O ósmej trzydzieści, w trakcie głównego dania, które stanowiły pierwszorzędne befsztyki z wołowiny, pochodzącej z rancza Parkera na wybrzeżu Kohala, Will Bryant szepnął:

- Wylądowała Bicki. Jedzie tutaj. - Sekretarz Trumba wolał zwykle wymieniać nazwiska i tytuły, ale Bicki była dla niego, przynajmniej od czasu, gdy poznał ją Trumbo, po prostu „Bicki”, wschodzącą gwiazdą wśród modelek, która dołączyła do innych sław, znanych z jednego tylko imienia, takich jak Prince czy Madonna. Byronowi Trumbo odpowiadała tego rodzaju prostota - równoważyła ona ekstrawagancje w postaci kółka w nosie czy przeklutego języka, na jakie jego najnowszy przedmiot uwielbienia pozwolił sobie w ciągu ostatniego miesiąca. Trumbo bardzo nie lubił małych metalowych kuleczek na górnej i dolnej po wierzchni języka dziewczyny, na jakie natykał się przy pocałunku. Bicki tłumaczyła mu, że powinien traktować je jak landrynki, ale jemu niezbyt odpowiadałoby także całowanie się z osobą, która miałaby w ustach kawałki twardych cukierków. Więc po prostu przestał się z nią całować, zwłaszcza że i tak nie odgrywało to dla niego większej roli. W każdym razie zakazał jej dziurawienia sutków albo innych intymnych fragmentów ciała. Bicki dąsała się trochę, ale ustąpiła.

- Gdzie ją ulokujemy? - zapytał szeptem swego sekretarza.

- Proponuję stary barak po budowlańcach - odparł Bryant. W pierwszej chwili Trumbo myślał, że Bryant żartuje, potem jednak przypomniał sobie wygodny dom, postawiony na południowym skraju zatoki w okresie budowania Mauna Pele. „Barak”, mający trzy sypialnie, usytuowany był zaraz za czternastym dołkiem pola golfowego, o kilkaset metrów od terenu z małymi hale. W okresie budowy ośrodka nie korzystał z niego nikt prócz samego Trumba 146 podczas jego krótkich wizyt. Dom nie miał własnej plaży, ale stał na niewielkim wzniesieniu, z którego roztaczał się piękny widok na zatokę i południowy cypel półwyspu. Teraz wykorzystywano go tylko w czasie okazjonalnych wizyt różnych lubieżnych VIP-ów w rodzaju senatora z Illinois Harlena, który pragnął przebywać tu ze swymi nieletnimi panienkami z dala od ciekawskich oczu. - Dobry pomysł - powiedział Trumbo. - Bicki jest za głupia na to, żeby zauważyć, jak została odizolowana. Upewnij się, czy jest tam kucharz i służba. - Pomyślałem już o tym - szepnął Will i ruszył do swojego miejsca przy stole. - Ej! - syknął za nim Trumbo i kiwnął palcem, żeby przywołać go z powrotem. - Kogo Briggs wyznaczył do ochrony Mayi i Bicki? - Nie obchodziło go, że taj emniczy morderca z Mauna Pele mógłby porwać Caitlin i jej pieprzonego adwokata. Will Bryant podszedł do szefa, przykucnął za jego krzesłem i szepnął po krótkim wahaniu:

- Przydzieliłem pannie Richardson Meyersa, a Bicki Courtneya.

- Ty ich wyznaczałeś? A gdzie jest Briggs?

- Hmm, wyłonił się mały problem.

Sato, doktor Tatsuro i Sunny Takahashi patrzyli akurat na Trumba sponad swoich befsztyków. Trumbo był szczerze przekonany, że jeśli jeszcze raz usłyszy słowo „problem”, po prostu puści pawia. Pochylił się nad Bryantem, starając się zachować spokój i obojętną minę.

- Co za problem?

- Wydaje się, że pan Briggs i pan Dillon gdzieś zniknęli - szepnął sekretarz. Przez chwilę Trumbo miał ochotę zacząć wrywać włosy z głowy - swojej albo sekretarza.

- Kazałem Briggsowi i Dillonowi, żeby rozwalili tę pękniętą ścianę w biurze astronoma.

Will kiwnął głową. Także on się uśmiechał, robiąc wrażenie jeszcze jednego usłużnego urzędnika, szepczącego szefowi do ucha wesołe błahostki. - Tak. Ściany już nie ma. Nie ma też Briggsa i Dillona. Znaleźli tam coś w rodzaju jaskini. Pan Carter pytał, czy chce pan posłać kogoś, żeby ich poszukał. Trumbo poświęcił rozważeniu tej sprawy nie więcej niż dwie sekundy.

- Pieprzę ich obu - powiedział i odwrócił się do swych gości. - Cholernie smaczne to mięso, prawda?

- Bardzo miękkie - powiedział Hiroshe Sato.

- Doskonałe - potwierdził Sunny Takahashi.

- Bardzo smakolite - pochwalił staruszek Matsukawa.

- I bardzo szkodliwe dla naczyń wieńcowych - dodał doktor Tatsuro. Z nadejściem burzy Eleanor, Cordie i Paul Kukali przenieśli się z Pirackiego Baru na Wielorybie Lanai w Wielkim Hale.

Paul podszedł do obu kobiet, bo czuł, że powinien je przeprosić za to, co widziały i co przeżyły po południu. Zanim Eleanor zdążyła otworzyć usta, Cordie zaproponowała archeologowi, żeby się do nich przyłączył i już we trójkę udali się do Wielkiego Hale. Na dworze porywisty wiatr szarpał gałęziami palm i krzewami bugenwilli.

Paul wyjaśnił, że postanowił zostać tu na noc, żeby się upewnić, czy za ich zawiadomieniem pójdą jakieś działania dochodzeniowe. - Powinniśmy sami zadzwonić na policję - powiedziała Eleanor. Paul uśmiechnął się.

- Zrobiłem to. Szeryf w Kona, Charlie Ventura, jest moim znajomym. Powiedział mi, że sprawę powinna przejąć policja stanowa... - Tak - przerwała mu Cordie. - Hawaje, Oddział Piąty-O, sekcja zabójstw.

Paul uśmiechnął się znowu.

- Oddział nazywa się trochę inaczej, ale mniejsza o to. Charlie nie był pewien, czy stanowej policji uda się przysłać tu dziś jakichś ludzi. Są mocno zajęci w związku z zamknięciem drogi do Hilo, a z kolei jego chłopcy mają sporo roboty z powodu wielkiego napływu turystów na północne wybrzeże Kona... - Ale chyba przyślą tu kogoś? - zapytała Eleanor. Paul kiwnął głową. - Charlie zwrócił mi uwagę, że na razie nie ma żadnego oficjalnego meldunku o zaginięciu jakiejś osoby. Wspomniał tylko o samońskim chłopcu, który się utopił...

- Trzy tygodnie temu.

- Tak.

- Hmm - odezwała się Eleanor - zrobił pan to z pominięciem Byrona Trumbo. Mam nadzieję, że nie straci pan pracy z tego powodu.

Paul Kukali uśmiechnął się szeroko, pokazując jeszcze raz mocne białe zęby. - To nic wielkiego. Mam przecież posadę na uniwersytecie. Dodatkowe zarobki przydały mi się wprawdzie... umożliwiły mi kupienie własnego domu koło Waimea... ale tak naprawdę podjąłem tę pracę nie z tego powodu. Rozmawiali jeszcze przez chwilę o jego posiadłości koło Waimea, o zabezpieczaniu archeologicznych zabytków, o tym i owym. Wreszcie rosnący wiatr i głód kazały im przenieść się do restauracji.

- Chyba widok tej ludzkiej ręki nie zniechęci nas do jedzenia - powiedziała Cordie, kiedy podchodzili do stolika przy oknie. - Gdyby ten pies pokazał się znowu z jakimś większym kawałkiem w zębach, wystarczyłoby nam apetytu najwyżej na jeden czy dwa kąski, ale ponieważ tego nie zrobił, jestem gotowa pożreć konia z kopytami.

- Nie podają tu koniny, więc nie mogę jej polecić - powiedział Paul - ale a 'u jest bardzo dobre.

- Czy nie tak nazywają się tutejsze wulkaniczne skały? - zapytała Cordie.

Włożyła okulary w czarnej oprawce, żeby przejrzeć menu. - Nie - odparł Paul. - One nazywają się a 'a. Natomiast a 'u to potrawa z latającej ryby albo z miecznika. Droga, ale doskonała. Cordie odłożyła jadłospis.

- Okay. I tak za nic nie płacę, jak mawiał jeden właściciel burdelu. Wszystko funduje pan Trumbo. Niech będzie a 'u.

Paul także zamówił a 'u, a Eleanor zdecydowała się na ulua, dużą rybę o płaskiej głowie, której próbowała już pod różnymi nazwami w Ameryce Południowej. Kelner zapytał, czy życzą sobie także coś do picia. Zanim ktokolwiek zdążył podziękować, Cordie zamówiła dla wszystkich po jeszcze jednej szklance Ognistej Pele. W chwilę potem rozmowa zeszła na pracę Eleanor. - Skoro zajmuje się pani filozofami okresu Oświecenia - powiedział Paul - musi pani mieć niechętny stosunek do mitotwórczego świata moich przodków.

- Wcale nie - zaprotestowała Eleanor. - Tamci filozofowie odnosili się niechętnie do mitotwórczej mentalności wcześniejszych epok, to znaczy chrześcijaństwa i judaizmu, sami natomiast starali się przywrócić pierwotny, pogański w istocie, punkt widzenia. - Pociągnęła z wysokiej szklanki łyk czerwonego napoju i uśmiechnęła się czując, jak po jej ciele rozchodzi się miłe ciepło. - Chociaż kładli nacisk na myślenie racjonalne.

- Właśnie - powiedział Paul. - Zwrócili się ku naukowemu racjonalizmowi.

Eleanor skinęła głową.

- Filozofowie tego okresu traktowali mitotwórczą świadomość jak zasłonę, przez którą trzeba się było przedrzeć z pomocą metodycznego krytycyzmu, jaki skodyfikowali jeszcze Grecy, a narzucili światu Rzymianie. Cordie Stumpf wodziła za nimi oczami niczym widz na tenisowym meczu. - Ale mitotwórczą świadomość była tylko fałszem, z której należało wyrosnąć - upierał się Paul, bawiąc się sałatą. - Zasłoną, która zarazem zaciemniała i chroniła.

Eleanor znowu skinęła głową.

- Ale wraz z ową zasłoną utraciliśmy też jasność bezpośredniego doświadczenia, zdolność reifikacji, która - zarówno w waszej, jak i w naszej starożytnej kulturze - przepajała wszystko ekscytującą świadomością rozpoznawania rzeczy jako żywych potęg.

- W waszej starożytnej kulturze? - zapytał Paul. - Miałam namyśli przedchrześcijańską Europę - wyjaśniła Eleanor. - Szkockich mistyków. I ja sama pochodzę po części od amerykańskich krajowców... od Siuksów, jak mi się wydaje.

- A j ednak - powiedział Paul - dla Hawaj czyków wszystko miało w sobie żywą potęgę... było

źródłem mana. Trudno wyobrazić sobie, aby Diderot, Wolter, Lessing, Rousseau czy Hume mieli choć trochę zrozumienia dla tego rodzaju światopoglądu.

Kelner zabiał ze stołu talerzyki po sałacie. Trójka biesiadników popijała wodę z kielichów na wysokich nóżkach. Przez otwarte okna zaczynały dochodzić odgłosy podnoszonych przez wiatr fal przyboju, równie usypiające jak jednostajne furkotanie palmowych liści.

- Walka między myśleniem mitologicznym a racjonalizmem wyprzedziła z pewnością epokę Oświecenia - powiedziała Eleanor czując odurzające ciepło Ognistej Pele w całym ciele. Jakaś część jej świadomości mówiła, że to dziwne, siedzieć sobie tak w środku zimy przy kolacji w bluzce z krótkimi rękawami koło otwartego okna, przez które wpada ciepły wietrzyk. - W swoim dziele O naturze wszechrzeczy

Lukrecjusz powtarza bezustannie: „Te lęki i mroki umysłu potrzebują słonecznych promieni, jasnych posłańców dnia; może je rozproszyć tylko wiedza o ukształtowaniu natury”.

Paul uśmiechnął się znowu.

- Ale przecież dawni Hawajczycy, którzy piętnaście wieków temu zamieszkiwali to właśnie wybrzeże, mieli dogłębną wiedzę o przyrodzie: znali rośliny, zwierzęta, stworzenia morskie, no i sam wulkan.

Cordie pochyliła się ku niemu, jakby tylko czyhała na okazję włączenia się do do rozmowy.

- Proszę opowiedzieć nam o wulkanie - powiedziała. Paul Kukali zmrużył oczy.

- O Kilauea czy o Mauna Loa?

- O obu.

- To niespotykane, aby oba j ednocześnie wykazywały tak wielką aktywność - powiedział archeolog. - My tu, na Wielkiej Wyspie, przyzwyczailiśmy się już do wybuchów. Mają one mniej więcej stały charakter i zazwyczaj zagrażają tylko tym budowlom, które ludzie wzniesli w nieodpowiednich miejscach. - Czy Mauna Pele też znajduje się w nieodpowiednim miejscu? - zapytała Cordie.

Paul wahał się tylko przez moment.

- Nie, przynajmniej w świetle większości badań, jakie zostały przeprowadzone. Tereny te były wulkanicznie aktywne... płynęły tu całe rzeki lawy... ale nie w tym stuleciu. Jak widzicie na własne oczy, nawet w czasie poważnych erupcji można tu zobaczyć tylko chmurę popiołów i odbite światło. Cordie dopiła resztkę swojej Ognistej Pele.

- Widziałam kiedyś film... grali w nim zdaje się Paul Newman, Ernest Borgnine, James Franciscus i cała gromada aktorów, którzy występowali w tych starych filmach o wielkich katastrofach, jak Wrota piekieł czy Port lotniczy... pokazany był w nim jakiś tropikalny kurort, który został pogrzebany pod zwałami lawy. Paul i Eleanor czekali na puentę.

- Cóż - dokończyła po chwili Cordie - przypomniałam go sobie, bo wydało mi się, że jego treść pasowałaby jak ulał do tego, o czym rozmawialiśmy. Paul potrząsnął głową.

- Budowanie Mauna Pele było błędem, ale nie sądzę, aby w najbliższym czasie groziło ośrodkowi pogrzebanie pod lawą. - W jego głosie można było niemal wyczuć nutkę żalu, że tak się nie stanie.

- Chciałabym zobaczyć z bliska wybuchający wulkan - odezwała się niemal bezwiednie Eleanor. Zdała sobie sprawę, że alkohol w drinkach podziałał na nią bardziej niż mogła się spodziewać.

- To by było raczej trudne - powiedział Paul. - Z powodu nasilenia erupcji zamknięto Narodowy Park Wulkaniczny... Ludzie pchali się tam tysiącami, a z wulkanu wy dostaj e się wiele gazów, które

mogą się okazać śmiertelnie trujące. - Czy nie to właśnie przydarzyło się wrogom króla Kamehameha, których uśmierciły trujące wyziewy? - zapytała Eleanor. Na dworze zaczął kropić drobny deszczyk. Odgłosy bębniących o dach tarasu kropli brzmiały zupełnie miło, a zapach zroszonych roślin i kwiatów działał niemal podniecająco. - Tak - odparł Paul. - W roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym wódz Keoua, wracając z wypadu na sprzymierzeńców króla Kamehameha, postanowił podzielić armię na trzy oddziały, które miały się spotkać w kalderze, żeby złożyć ofiarę bogini Pele. Dwie z tych grup napotkały w drodze na umówione miejsce nieżywych wojowników z pierwszego oddziału. Wszyscy - mężczyźni, kobiety i dzieci - zginęli od trujących gazów, które zeszyły w dół, pełzając po zboczu góry. - Wypadek nie przyczynił się zapewne do podniesienia bojowego ducha - zauważyła Eleanor.

Paul pokręcił głową.

- W rok później Keoua poddał się. Został zabity, a jego ciało złożono w ofierze.

Kamehameha umocnił swoje panowanie nad całą wyspą.

Cordie dopiła swojego drinka do końca.

- Czy to wydarzyło się daleko stąd?

- Ale co? - zapytał Paul.

- Zatrucie wojowników wulkanicznymi gazami.

- Nie, niedaleko. Dokładnie na zboczu tej samej południowo—zachodniej rozpadliny, na której się znajdujemy. W stwardniałej glinie do tej pory można zobaczyć ślady wycofującej się armii Keoua.

Zjawił się kelner z głównym daniem. Przez jakiś czas cała trójka wymieniała tylko pochwalne uwagi o rybnych smakołykach.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak trudno jest dostać się w pobliże wulkanów - odezwała się po chwili Eleanor.

Paul znieruchomiał z uniesionym widelcem w dłoni.

- Można obejrzeć erupcje z pokładu helikoptera. Tyle, że wszystkie loty na wyspie zarezerwowane są na wiele najbliższych tygodni. Śmigłowce startują z wielkich kurortów, położonych na północ od Mauna Pele oraz z Hilo. Na taką wycieczkę, która kosztowała do tej pory sto dolarów, trzeba teraz wydać pięćset albo i sześćset.

Eleanor potrząsnęła głową.

- Za drogo, jak na mnie. Poza tym za parę tygodni już mnie tu nie będzie.

Paul odłożył widelec.

- Może udałoby mi się coś zorganizować.

Eleanor obrzuciła go uważnym spojrzeniem. W jego twarzy nie było śladów wyrachowania.

- Właściwie to niezbyt mi na tym zależy - powiedziała. - Poza tym...

Paul powstrzymał ją ruchem ręki.

- Mam przyjaciela na wyspie Maui - powiedział - który lata własnym helikopterem. Jest mi winien wdzięczność za pewną przysługę, a jutro ma przylecieć na Wielką Wyspę. Będzie tu wieczorem, a najlepszą porą na oglądanie erupcji jest właśnie... noc.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotu... - zaczęła Eleanor. Paul nie dał jej dokończyć.

- Ależ nie, myślę, że to świetny pomysł. Sam też chętnie obejrzałbym ten wybuch, a będzie doskonała okazja. Tak na serio, jeśli naprawdę nie chce pani polecieć, to nie ma sprawy... ale gdyby

nabrała pani ochoty, to zorganizuję małą wycieczkę jutro wieczorem.

Eleanor wahała się tylko przez chwilę.

- Byłoby cudownie - odwróciła się do Cordie. - Pewnie ty też chętnie byś popatrzyła na takie widowisko, prawda?

- Nie za bardzo - odparła Cordie. - Nie lubię ognia ani wybuchów, no i nie cierpię latania w powietrzu. Polecisz sama i opowiesz mi, jak było. Eleanor i Paul próbowali ją przekonać, Cordie pozostała jednak niewzruszona. - W moich wakacyjnych planach nie ma miej sca na wypadnięcie z helikoptera prosto do pieca z rozpaloną lawą - powiedziała zamykając dyskusję.

Ucichli na moment, aby posłuchać odgłosów burzy, która coraz mocniej szalała na dworze. Za oknami tarasu miały się na wszystkie strony palmowe liście. Niebo przecięła błyskawica i nagle zgasty światła. Nieliczni goście nie zareagowali zbyt gwałtownie, ponieważ na stolikach już wcześniej paliły się świece, ale natychmiast zjawili się kelnerzy ze sztormowymi latarniami, rzucającymi dużo jaśniejsze światło. Pomieszczenie wypełniło się łagodniejszym, bardziej nastrojowym blaskiem.

Błyskawice raz po raz rozświetlały niebo po stronie zachodniej i południowej. - Często się to zdarza? - zapytała Eleanor archeologa. - Mam na myśli odcięcie prądu.

- Od czasu do czasu. Ośrodek ma własne generatory do zasilania najważniejszych urządzeń: zamrażalników, oświetlenia katakumb, głównych apartamentów... - Katakumb? - zapytała Cordie zadzierając głowę niczym myśliwski pies.

Paul Kukali opowiedział jej o serwisowych tunelach pod ziemią.

- Chciałabym je zobaczyć - powiedziała Cordie. Paul pociągnął łyk wina.

- Jeśli dobrze pamiętam, na środę zaplanowana jest specjalna wycieczka.

- Nie lubię wycieczek - odparła Cordie - ale chciałabym obejrzeć te podziemia.

Kustosz uśmiechnął się.

- Tam na dole jest też moje biuro. Jeżeli sobie życzyce, możemy tam pójść zaraz po kolacji. Jestem pewien, że przepisy zabraniają wprowadzania tam gości hotelowych, ale dziś i tak miałem już starcie z szefem, więc... pal to diabli. Całe towarzystwo uniosło kielichy z winem i uczciło kłopoty Paula toastem. Po chwili milczenia Eleanor zapytała cicho:

- Co mógłby mi pan opowiedzieć o Pana-ewie, Nanaue i Ku? Paul odłożył widelec.

- Dlaczego wymieniła pani właśnie te imiona?

- Czytałam o nich - wyjaśniła Eleanor. Kukali kiwnął poważnie głową. - To potwory - powiedział. - Bóstwa. Duchy. - Spojrzał na Cordie Stumpf. - Dawni Hawajczycy nie chowali nikogo na tych terenach, ale prawdopodobnie gdzieś tu, w okolicy, zostały pogrzebane te zjawy.

Oczy Cordie zabłyśły.

- Proszę nam o tym opowiedzieć.

Paul westchnął. Jego twarz oświetlały drgające płomyczki świec. Popłynęła opowieść o Pana-ewie, Nanaue i Ku.

Rozdział dwunasty

Płoną gwiazdy, płonie księżyc;

Zimowe miesiące pełne są żaru;

Kłębią się dymy nad spieczoną ziemią wyspy.

Nisko zawisły chmury, wielkie fale wdzierają się na brzeg - Ocean miota się gniewnie, krater Kilauea wzbiera lawą, Fale ognia ogarniają równiny.

Pele wychodzi z podziemi.

Ludowa pieśń o Pele

Briggs i Dillon zagłębili się już na trzydzieści metrów w wulkanicznym kominie, oświetlając latarką krwawy ślad pozostawiony na czarnym bazalcie. Dillon powiedział nagle:

- Cholerna sprawa.

Obaj mężczyźni mieli w dłoniach pistolety - Dillon półautomatycznego glocka kaliber dziewięć, Briggs policyjną trzydziestkęósemkę. Dillon oprócz tego trzymał w ręku latarkę. Kiedy spory kawał ściany padł wreszcie pod uderzeniami młota i ukazała się pieczara ze śladami krwi niknącymi gdzieś w głębinach, Briggs odrzucił młot i przeszedł po kupie zwalonych kamieni na drugą stronę. Dillon wśliznął się tuż za nim. Wulkaniczny komin, wysoki na niecałe trzy metry, miał ściany gładziej niż zwykła skalna jaskinia. Po obu stronach widać było pręgi pozostawione przez stygnącą, cofającą się lawę. Regularne zgrubienia przypominały Dillonowi umięśnioną ściankę jelita. Spostrzeżenie to bynajmniej nie podziało na niego uspokajająco.

Ruszyli do przodu z zawodową wprawą, niczym dwaj policjanci penetrujący zrujnowany dom, w którym może się kryć domniemany morderca. Latarka Dillona omiatała ściany, a oni posuwali się ramię przy ramieniu, ubezpieczając się nawzajem uniesionymi w górę pistoletami.

Nic się nie poruszyło. W jaskini nie było stalagmitów ani stalaktytów, a dno stanowiła gładka skała bazaltowa. Korytarz zdawał się wznosić leciutko i ginął z pola widzenia za zakrętem w prawo, w kierunku, jak Dillon się domyślał, niedalekiego oceanu. Szeroki krwawy ślad prowadził w głąb, bliżej lewej ściany.

- Zaraz zadzwonimy po posiłki, dobra? - powiedział Dillon, kiedy zatrzymali się z pistoletami wycelowanymi w mroczną czeluść.

- W porządku - odparł Briggs i zaczął się skradać w stronę zakrętu. - Ale rzućmy najpierw okiem, co widać za tym załomem. Może ten... jak mu tam... Wills leży gdzieś pod ścianą.

Dillon nie wiedział, czy ma zostać w miejscu, czy też iść za potężniej od siebie zbudowanym kolegą. Wybrał to drugie. Po pięciu minutach, kiedy pokonali następne trzydzieści metrów i dwa zakręty, przyszło mu do głowy, że powinien był puścić Briggsa samego.

- To naprawdę cholerna sprawa, całkiem bez sensu - odezwał się znowu. Bolały go już ręce od trzymania w pogotowiu glocka i wywijania na wszystkie strony latarką. Obaj starali się posuwać najciszej i najostrożniej - Dillon pamiętał ze wspólnych treningów sprzed roku, że mimo swego wzrostu Briggs potrafił poruszać się bardzo lekko i szybko. Co parę sekund zatrzymywali się i nasłuchiwali, sprawdzając też, co dzieje się za ich plecami. Smuga światła z latarki ślizgała się po gładkich bazaltowych ścianach i ciemnych pręgach lawy. - Co to mogło być, że odciągnęło Willsa tak daleko? - zapytał szeptem Briggs.

Obaj ochroniarze wyteżali uszy, żeby wychwycić najdrobniejszy dźwięk.

Dillon kiwnął głową. W świetle jego latarki wciąż było widać krwawe ślady.

- Widziałeś może taki film... nazywał się „Odmieniec”? - wyszeptał. - Cicho - polecił mu Briggs.

- Poświeć tu latarką. - Przykucnął koło plamy krwi widocznej na bazalcie, wyciągnął rękę i podniósł jakąś szmatkę. - Co to takiego?

- Chyba kawałek ubrania tego pieprzonego gnojka. Szare płótno.

- Tak, Wills dbał o to, żeby się dobrze ubierać.

- To jest mokre - powiedział Briggs. - Tak jakby... - Jakby co? - Dillon ciągle omiatał ściany korytarza strumieniem światła latarki, nie pozostawiając żadnego miejsca na dłużej w cieniu. Widoczność sięgała jakichś dziesięciu metrów, odjednego zakrętu do drugiego. - Tak jakby ktoś przeżuł to w gębie - dokończył Briggs.

- No, dobra - powiedział Dillon. - Ja wracam. Myślę, że gdybym wezwał wszystkich moich ludzi, można by tu wpuścić ze trzydziestu chłopca. Z nadajnikami i pistoletami maszynowymi. To, co załatwiło Willsa, mogło go odciągnąć na parę kilometrów stąd. Te tunele ciągną się bez końca.

- Więc jak? - zapytał Briggs. Ostrożnie odłożył na miejsce zmoczony kawałek materiału. - Zostawiasz mnie samego?

Dillon westchnął ciężko. Choćbyś się nie wiem jak starał, żeby nauczyć czegoś tych osiłków, i tak testosteron uderzy im do mózgu. - Możesz to tak nazwać - powiedział. - Wracam po posiłki i zabieram latarkę. Jeżeli chcesz, możesz tu zostać. - Pochylił się i ruszył z powrotem, świecąc sobie rozkołysanym jaskrawym strumieniem.

Po kilku sekundach Briggs ruszył za nim. Szedł tyłem, celując pistoletem w mroczną czeluść. Dillon spodziewał się trochę, że zaraz coś się wydarzy - może zza zakrętu tunelu wyskoczy nagle pół tuzina oszalałych hawajskich nacjonalistów z siekierami w rękach. Wciąż jednak słyszał tylko odgłos własnych kroków. Doszedł do ostatniego zakrętu, za którym zobaczył plamę światła, wpadającego do jaskini przez wyrwę w ścianie pracowni astronomicznej. Starał się zachować ostrożność; obracał się ciągle, aby poświecić do tyłu, a potem przenosił nagle światło w przeciwnym kierunku. Kiedy obaj podeszli do dziury, przylgnął do ściany z boku i zajrzał do środka, żeby się upewnić, czy ktoś nie zaczął się w pokoju Willsa. Szkoda by było dać się nabrać i wykończyć w chwili, w której mogli się już czuć niemal całkiem bezpiecznie. Biuro było puste, a po mrokach ciemnego korytarza światło rzucane przez świetlówki pod sufitem wydawało się oślepiająco jasne.

Zatrzymali się na chwilę przy rozwalonej ścianie, nie wchodząc do pokoju. - Jeżeli takich spraw będzie więcej, pan T. narobi w końcu w portki - zauważył Briggs.

Dillon wzruszył ramionami. To nie był ich problem. - Nie będziemy mogli wpuścić tu trzydziestu ludzi - powiedział Briggs. - Przyjechała była małżonka pana Trumbo, a niedługo zjawią się jego najważniejsze dziewczyny. Będą potrzebować ochrony. Szef wziął paru twoich chłopaków, żeby pilnowali Sato i jego grupy.

Dillon kiwnął głową.

- No to wpuścimy do tunelu dziesięciu facetów, damy im krótkofalówki i macteny, a tu urządzimy centrum dowodzenia. Chodzi o to, żebyśmy nie błakali się tam we dwóch z jedną latarką, jak para głupków z jakiegoś filmu o potworach. Wiesz, co mam na myśli: „Rozdzielamy się, ty idziesz tędy, a ja tamtędy”. Żadnych takich głupich pomysłów.

Briggs odchrząknął.

- Jak ci się wydaje, co mogło załatwić tego Willsa? I jak przeciągnęło go przez taką wąską szczelinę?

- Skąd u diabła mam wiedzieć... - zaczął Dillon. W tym momencie zgasło światło. Obaj błyskawicznie przycupnęli przy ziemi z wyciągniętymi przed siebie pistoletami. Dillon zapalił latarkę i zaczął wodzić strumieniem światła po całej długości tunelu.

- Wejdz do środka - szepnął do kolegi. - Ja po tobie. Ubezpieczaj mnie, jak będę przelaził.

Briggs podniósł się, żeby przeskoczyć przez dziurę w ścianie. W tej samej chwili Dillon usłyszał jakiś dźwięk.

- Psss! - szepnął. Briggs znieruchomiał i skierował pistolet za siebie, w ciemność.

Coś skrobało i sapało w głębi tunelu, tam, dokąd prowadziły krwawe ślady. Dillon przyklęknął na jednym kolanie. Wycelował pistoletem i latarką. Strumień światła znieruchomiał w miejscu, w którym tunel skręcał w prawo. - Ki diabeł? - szepnął Dillon.

Odgłosy przybliżały się. Coraz wyraźniej słychać było charkoty i pohukiwania, a to, co je wydawało, musiało być potężnych rozmiarów. Dillon miał wrażenie, że za chwilę zobaczy japońskiego zapaśnika sumo chorego na astmę. - Dwa ostrzegawcze strzały - szepnął. Przyszło mu do głowy, że Trumbo wolałby dostać sprawcę żywcem.

- Dobra - odszepnął mu Briggs. - Ja wpakuję mu dwa ostrzegawcze strzały prosto w łeb, a ty celuj w pierś.

Dillon nie odpowiedział. Dziwne pochrapywania zbliżały się; były już z pewnością nie dalej niż za najbliższym zakrętem. Żeby nic ich nie zaskoczyło, co dwie sekundy przenosił strumień światła z lewa na prawo i na odwrót. Coś ostrego drapało po kamiennym dnie korytarza. Pazury? A może kopyta? Wyglądało na to, że jest ich więcej niż dwa. Dillon słyszał już wyraźnie ciężkie, chrapliwe oddechy, nie tak głośne jak tamto charkliwe sapanie. Upewnił się, czy nabój wszedł do komory i czy bezpiecznik jest zwolniony. Odciągnął iglicę. Na pół świadomie spostrzegł, że światło jego latarki znieruchomiało w jednym punkcie.

Sapanie zamilkło na chwilę tuż za zakrętem tunelu. Drapanie po kamiennej posadzce zaczęło dochodzić jakby z jednego miejsca. Dillon uświadomił sobie, że i on wstrzymał oddech. Briggs przyczał się tuż obok niego, trzymając pistolet w obu potężnych dłoniach. Nagle charkot dał się słyszeć znowu, skrobiące odgłosy się wzmogły i w świetle latarki ukazał się potężny kształt.

- Ki diabeł? - rzucił Briggs i zerwał się na nogi. Świnia, którą zobaczyli, była gigantycznych rozmiarów. Miała co najmniej metr dwadzieścia wysokości i metr siedemdziesiąt albo i osiemdziesiąt długości. Dillon próbował oszacować na oko jej ciężar - mogło tego być ze sto osiemdziesiąt kilo żywej wagi. Wydawało się, że zwierzę ma o wiele za cienkie nogi, aby utrzymać takie cielsko. Świnia zatrzymała się o parę metrów od nich, sapiąc ciągle. Jej dziwne oczy połyskiwały w świetle latarki jasnoczerwonym światłem. - Co to za poczwara? - zapytał Briggs odejmując jedną rękę od pistoletu. - Ostrożnie - ostrzegł go ciągle przyczajony Dillon. Jego latarka i pistolet ani drgnęły. - Na tych zboczach pełno jest dzikich świń. Są piekielnie niebezpieczne.

Widoczna w smudze światła świnia była potężnych rozmiarów, ale nie wyglądała zbyt groźnie. Wydawało się nawet, że jasne światło lekko ją oślepiło. W jej oczach było coś niesamowitego. Zwierzę przybliżyło się o parę kroków. - Daj spokój, stary - powiedział Briggs i opuścił pistolet, trzymając ciągle palec na spuście. - Chcesz mi wmówić, że ten pieprzony wieprz rozwalił ścianę, wyciągnął Willsa przez dwudziestocentymetrową szczelinę, a potem go pożarł? - Nie, ale... czekaj! - rzucił Dillon, który w tym momencie uświadomił sobie, dlaczego oczy zwierzęcia wydawały mu się

jakieś nienormalne. Było ich po prostu za dużo. Co najmniej po cztery po obu stronach ogromnego ryja. Były małe i położone blisko siebie, ale teraz, kiedy świnia przybliżyła się jeszcze bardziej, dawały się łatwo odróżnić. Dillon na dwie sekundy skierował smugę światła w bok. Oczy dalej świeciły własnym, czerwonym blaskiem. Dillon zdążył wycelować latarką z powrotem w ryj zwierzęcia, kiedy odchyliło ono wargi. Zęby, które ukazały się spoza nich, nie były świńskimi zębami: przypominały raczej uzębienie jaguara - same długie kły i siekacze. Także one świeciły.

- Chryste Panie... - szepnął Briggs i uniósł pistolet.

W tym momencie świnia poderwała się i z niesamowitym impetem ruszyła na nich. Zgrzytnęły racice na czarnej lawie, błysnęły groźne kły. Dillon i Briggs otworzyli ogień. Tunel wypełnił się błyskami i echem wystrzałów.

75 czerwca 1866 roku, zajazd na wulkanie

Bardzo dziwny dzień. Jestem tak wyczerpana wczorajszą nocną wycieczką i dzisiejszymi niesamowitymi przeżyciami, że z trudem tylko znajduję siły, aby wziąć pióro do ręki.

Ostatniej nocy prawie nie spałam, rzucałam się tylko w półśnie, prześladowana obrazami Piekła i demonicznych zjaw. Wszyscy, wliczając w to naszą trójkę, wstaliśmy wcześniej, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o straszliwych doświadczeniach, jakie stały się udziałem misjonarzy, którzy schronili się tu uciekając do Hilo.

Pan Clemens, wielebny Haymark, Hananui i ja dotarliśmy do zajazdu na krótko przed świtem. Wszyscy troje byliśmy zbyt zmęczeni, aby prowadzić rozmowę. Zdumiał nas widok oświetlonego zajazdu, pełnego przekrzykujących się ludzi. Hananui nie przesadził, oceniając sytuację jako poważną. Pięcioro członków misji z Kona - trzy kobiety, młody chłopiec i staruszek - przybyli w środku nocy wraz z dwoma ochrzczonej krajowcami, którzy ryzykowali życiem prowadząc haole (białych ludzi) w bezpieczne miejsce na wulkanie. Do Hilo prowadzą wprawdzie łatwiejsze drogi - najkrótszą z nich jest wyboista dróżka przez przełęcz między wielkimi wulkanami Mauna Kea i Mauna Loa - ale misjonarze byli pewni, że wpadliby w zasadzkę, gdyby poszli tamtędy, wybrali więc o wiele dłuższą i trudniejszą drogę krawędzią wulkanu.

Powinam może wspomnieć tu imiona i nazwiska uciekinierów. Byli to: panna Charity Whister (siostra wielebnego Whistera z Kona), pan Ezra Whister (wiekowy ojciec wielebnego Whistera), pani Constance Stanton (zameżna córka państwa Whisterów), jej dziewięcioletni syn Teodor i pani Taylor, siostra pomocniczego pastora misji. Wszyscy są bardzo przybici tym, co ich spotkało. Straszliwe wypadki sprzed dwóch dni, które zmusiły ich do przedzierania się po wulkanicznych zboczach, najlepiej streściła panna Stanton. Jak się wydaje, wielebny Whister (z którym wielebny Haymark rozmawiał krótko w Honolulu) znalazł się wraz z rodzinami misjonarzy w Kona dziesięć miesięcy temu. Dzikusy, zamieszkujące tamtejsze dziewicze wybrzeże, zdaniem panny Stanton okrutnie potrzebowały pomocy, która przybliżyłaby ich ku zbawieniu, jednak wydało się, że dzięki poprzednim misjonarzom wiara zapuściła tam korzenie. Wielebny Haymark wyjaśnił później, że było to dziełem sławnego kapłana Titusa Coana, przyjaciela i doradcy jeszcze bardziej sławnego „Ojca” Lymanaz Hilo. O panu Coanie słyszałam nawet ja w czasie pobytu w Hilo: ten niezwykły kapłan przemierzył - i to kilka razy - liczące ponad czterysta kilometrów wybrzeże wyspy na piechotę i w małym canoe, zakładając po drodze kościoły i chrzcząc krajowców. Według jego własnych obliczeń, przyjął na łono Kościoła Powszechnego około dwunastu tysięcy dorosłych i cztery tysiące dzieci. W świetle tych liczb na wielebnego Coana i jego następców spadło trudne zadanie utrzymania krajowców w wierze, co wobec surowszych (panna Stanton użyła słów „mniej liberalnych”) kazań wielebnego Whistera naraziło prosty, bielony wapnem kościółek na groźne wyzwania. Po dziesięciu

miesiącach uprawiania tej Winnicy Pańskiej wielbnemu Whisterowi i jego pomocnikom udało się zbawić jedną tylko hawajską duszyczkę - a i ten nowo nawrócony powrócił do złego zwyczaju czczenia pogańskich bożków. Rozczarowany tym wielebny Whister musiał rzucić na niego klątwę. W sumie misyjna działalność Whistera w Kona wydawała się klęską. Tak więc zaledwie miesiąc temu wielebny zabrał swoją żonę, siostrę, córkę, zięcia oraz dwie inne rodziny białych chrześcijan i porzuciwszy swoją pierwszą parafię, ruszył wraz z nimi w dół wybrzeża Kona, do mniej uczęszczanych okolic na południe od Zatoki Kealakekua, w której w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym został zamordowany kapitan Cook.

Pani Stanton z rozgoryczeniem opowiadała nam o tych wypadkach, które wyglądały tak, jakby los spletał jej ojcu i pomagającej mu rodzinie szczególnie złośliwego figla. (Jej mąż, pan Stanton, sam przechodził właśnie kursy przygotowujące do kapłaństwa; wydaje się też, że jej ojciec, wielebny Whister, zdobył pewną sławę w Amherst w stanie Massachusetts, skąd przybyła grupa nieszczęsnych misjonarzy).

W pierwszej chwili wydawało się, że w nowym miejscu wszystko ułoży się szczęśliwie. Hawajczycy, zamieszkujący przybrzeżne wioski rozrzucone pośród pustynnych magmowych terenów, nie darzyli wielebnego Coana jakąś szczególną miłością i chętnie przychodzili co niedziela, aby słuchać płomiennych, zalatujących siarką kazań wielebnego Whistera. W istocie osobliwa, ognista retoryka tego kapłana zdawała się przemawiać do tych pogan, żyjących przecież na co dzień dosłownie w cieniu gniewnego wulkanu. Zaryzykowałabym nawet przypuszczenie, że wzmożona aktywność Kilauea w okresie ostatnich miesięcy, ta sama aktywność, która przyciągnęła mnie na tę wyspę, wzmogła także oddziaływanie kazań Whistera na przerażonych krajowców. Wreszcie, dwa tygodnie temu, zaczęły się pogrożki. Pani Stanton przedstawiła grozę, jaka padła na chrześcijańskie rodziny, osiadłe dopiero co na placówce w południowej części Kona, ze strony miejscowych wyznawców Pele - bogini ognia, o której wspominałam już w tych notatkach. Łzy nie pozwoliły jej mówić dalej i pani Whister, wykorzystując tę okoliczność, powiedziała nam, że podjęto już nawet budowę kościoła.

Wydaje się, że miejscowi kahunae (czyli kapłani) bogini Pele, potężne rodzeństwo, brat i siostra - napisałam „potężne”, ponieważ pani Stanton przysięgała, że każde z nich ważyło co najmniej sto osiemdziesiąt kilogramów - spostrzegli się w końcu, że kapłan i jego kongregacja zaczęli im poważnie zagrażać w utrzymaniu przywiązania i wierności wyznawców bogini Pele. Według pani Stanton, piewszymi znakami nadchodzących zagrożeń stały się „ostrzeżenia” przekazywane wielebnemu Whisterowi przez owego kapłana ognistej bogini. Otwarcie ostrzegł on pastora, że może się zdarzyć coś straszliwego, że w okolicy tej niedawno zostały otwarte bramy prawdziwych piekieł i że chrześcijanie - czyli, by użyć słów pogańskiego kapłana, „niewierni, pozbawieni łaskawej opieki bogini Pele” - znajdą się w wielkim niebezpieczeństwie. - W jakiego rodzaju niebezpieczeństwie? - zapytał w tym momencie pan Clemens, który rozkraczył się nieprzyzwoicie na krześle, a teraz pochylał się ze złośliwym błyskiem w oku. Tak wygląda zawsze wtedy, gdy usłyszy o czymś nieszczęściu.

Pani Stanton wyjaśniła, że poganin plótł jakieś bzdury o mającym znajdować się w pobliżu wejściu do hawajskiego Podziemnego Świata, zapieczętowanym niegdyś przez Pele po walce ze straszliwymi bogami i złośliwymi demonami, którzy napadli na to wybrzeże. Według niego mieszkańcy tych okolic wybrzeża Kona porzucili je na wiele stuleci, tak bardzo demony ich prześladowały. Poddani króla Kamehameha mogli tu wrócić dopiero wtedy, gdy Pele wspaniałomyślnie zamknęła wrota Podziemnego Świata. Były to oczywiście bezsensowne bzdury,

ucieła krótko pani Stanton. Marne rojenia, które miały ukryć prawdziwe zamiary tego nikczemnika. A on chciał ich po prostu przestraszyć.

W tym momencie, ku zdumieniu nas wszystkich, do rozmowy wtrącił się nasz przewodnik z Hilo.

- Nie, nie! -wykrzyknął, zapominając o swoim miejscu pośród białych ludzi. - Podziemny Świat Milu istnieje! Prowadziły do niego dwa wejścia: grotą w Waipio, przez którą wchodzili umarli, żeby zamienić się w duchy, i otwór na wybrzeżu Kona, którądy kiedyś uciekły najbardziej złośliwe demony! Madame Pele zrobiła bardzo dobrze, pieczętując wejście Kona do świata duchów! - Milczcie! -wrzasnął gospodarz zajazdu, najwyraźniej oburzony grubiańskim wtrąceniem się krajowca. Ale jego uciszył z kolei pan Clemens, który wyciągnął rękę, aby powstrzymać krewkiego gospodarza od dalszego besztania przestraszonego przewodnika.

- Nic się nie bój, Hananui - powiedział cicho pan Clemens. -Opowiedz nam, kto, czy może co, zamieszkuje w tym Podziemnym Świecie. Hananui spojrzał najpierw na groźną minę gospodarza, potem na nachmurzonych misjonarzy, ale odważnie podjął swojąopowieść.

- Tak jak mówiłem wczoraj wieczorem... Milu, on jest królem Podziemnego Świata, Panaewa jest bardzo zły demon w skórze gada, Ku czasem pojawia się jako pies. Tam mnóstwo bardzo złych duchów.

Pan Clemens kiwnął głową. Miał wyraźną ochotę usłyszeć coś więcej, nie chciał jednak irytować pani Stanton i jej trzódki. Powinnam może wspomnieć, że obecna przy tym panna Whister ograniczyła się do cichego popłakiwania, młody Teodor i jego pradziadek Ezra spali, a trzecia z kobiet, pani Taylor, przez cały czas nie odezwała się słowem, siedziała tylko z wytrzeszczonymi nieruchomo oczami, jakby wpatrywała się w jakiś obraz zrodzony w jej wyobraźni. Pani Stanton, która przeczekwała prostacki incydent z zaciśniętymi, zbielełymi wargami, podjęła relację:

- Te ostrzeżenia... te bzdury... zostały skierowane do mojego ojca, wielebnego Whistera, dwa tygodnie temu. A przed czterema dniami rozpoczęła się seria straszliwych wydarzeń...

W tym momencie nawet u tak odpornej kobiety, jak pani Stanton, pokazały się oznaki wewnętrznego załamania. Gospodarz przyniósł jej szklanekę wody i mimo targających nią wzruszeń ciągnęła dalej.

- Najpierw były to... przywidzenia. Dziwne zjawy zaczęły pokazywać się nocami na wiejskich drózkach.

- Jakiego rodzaju dziwne zjawy? - zapytał pan Clemens, który nadal siedział rozkraczony na krześle, jakby dosiadał konia.

- Właśnie do tego dochodziłam, proszę pana - wycedziła ze ściągniętymi ustami pani Stanton. - Miejscowi ludzie opowiadali niestworzone rzeczy o jakichś dziwnych zwierzętach. Miała to być... - tu spojrzała z wyrzutem na Hananuię - ... wielka jaszczurka. I dzika świnia. Jakiś przerażający drapieżny ptak. - Znowu zerknęła na przewodnika z Hilo. -I czarny pies. Wszystko to oczywiście nie miało żadnego sensu. Słuchając jej opowieści poczułam, że serce zaczyna mi kołatać w piersi jak oszalałe. Świadomość, że znajdowaliśmy się na krawędzi bulgocącego wulkanu, sprawiła, że ta opowieść, mimo iż za oknem był chmurny dzień, podziałała na mnie jeszcze bardziej niepokojąco.

- Wszystko to nie miało sensu, dopóki nie zaczął się koszmar -ciągnęła pani Stanton. - Jako pierwszy miał umrzeć mój mąż.

Chociaż w pokoju było przynajmniej tuzin osób, w tym momencie zapadła niemal kompletna cisza, jakby nikt prócz pani Stanton nie miał odwagi oddychać. Ona zaś rzeczywiście zaczerpnęła głęboko powietrza i podjęła opowieść:

- Cztery dni temu, nocą od strony wioski doszły nas przerażające krzyki. Nasz domek stał najbliżej wsi... Ojciec i matka mieszkali w bardziej solidnym domu na wzgórzu, koło tymczasowego kościoła. Mój mąż August złapał za muszkiet i postanowił pójść do wsi, żeby zobaczyć, co było przyczyną tej wrzawy. Zwróciłam mu uwagę, że jeśli nawet jakiś dzikus zginął w bójce czy kłótni, nie warto z takiego powodu ryzykować życia chrześcijanina. W odpowiedzi pogłaskał mnie po wstążce, którą związałam włosy, stwierdził, że przybyliśmy do tego dalekiego kraju, aby dać świadectwo czemuś wręcz przeciwnemu, przykazał Teodorowi pilnować domostwa aż do jego powrotu i wyszedł wraz z Kaluną, jednym z naszych nawróconych Hawajczyków. August nie wrócił do rana. Wioskę wypełniały ryki i wrzaski. Byłam pewna, że wszyscy zginiemy... Teodor, pani Taylor mieszkająca z mężem na wzgórzu, ojciec i matka, wszyscy... ale nikt inny nie zareagował na te hałasy, a ja byłam zbyt przerażona, żeby iść po ciemku po pomoc. - Kiedy nadszedł ranek, zabrałam Teodora i pobiegliśmy razem do domu mego ojca - mówiła dalej pani Stanton. - Ojciec zabrał mężczyzn: dziadka, pana Taylora i dwóch nawróconych Hawajczyków, którym można było ufać, i poszedł z nimi do wioski. Już koło pierwszych domostw znaleźli Kalunę, który miał głowę oblepioną zaschlą krwią i żył, ale nie pamiętał nic z tego, co go spotkało w nocy. Na terenie pokrytym lawą znaleźli Augusta...

Tu pani Stanton załamała się kompletnie. Wielebny Haymark pospieszył, żeby podnieść ją na duchu. Straszliwa opowieść urwała się na jakiś czas.

To, co zostało jeszcze do opowiedzenia, przekazali gospodarzowi hotelu dwaj Hawajczycy, którzy przyprowadzili tu chrześcijańskich uciekinierów; gospodarz opowiedział to później panu Clemensowi, który podzielił się następnie tymi wieściami z wielebnym Haymarkiem. Wszyscy oni starali się oszczędzić mi okropnych szczegółów, ale dzięki temu, że usiadłam w odpowiednim miejscu w małej sieni zajazdu, usłyszałam dokładnie wszystkie ich szept. Znalezionej pośród wulkanicznych skał pan Stanton był martwy. Miał przecięte gardło niczym zwierzę, z którego wytoczono krew. Następnego wieczoru wszyscy biali zgromadzili się w obszerniej szym od innych domu wielebnego Whisterakoło prowizorycznego kościoła. Z przekazanego przez Hawajczyków szeptem opisu wynikało, że była to noc czystej grozy - słychać było niesamowite dźwięki, jakieś potwory przekradały się między wulkanicznymi głazami, dochodziły nieludzkie wrzaski - a wszystko to działo się w poświęconym wybuchającego Hale-mau-mau, tego samego, który oglądałam zeszłej nocy. Jakieś stwory drapały pazurami i wdzierały się do zbudowanego z traw i liści domu przerażonych białych. Pan Taylor i wielebny Whister trzymali w pogotowiu stare muszkiety, podczas gdy kobiety pilnowały migocących latarni. Ale chociaż ściany nie wytrzymałyby nawet ataku zdecydowanego na wszystko szczura, nic nie wdarło się do środka. Wielebny Whister zapewnił wszystkich, że był to znak potęgi Jezusa, górującej nad siłami ciemności - choć nikt nie umiałby powiedzieć, czy miał on na myśli mściwych krajowców, czy też prawdziwe demony. Rankiem - a działo się to zaledwie przed czterema dniami, kiedy ja bawiłam się i rozmawiałam wesoło z członkami misjonarskich rodzin w Hilo! - biali wyszli z domu mimo strachu i stwierdzili, że wszystkie ich konie zostały zamordowane w nocy. Miały poprzecinane gardła i odrąbane kończyny. (O tym gospodarz hotelu szeptął najciszej jak mógł panu Clemensowi i wielebnemu Haymarkowi, jakby rozprawienie się w taki sposób ze zwierzętami było czymś dużo gorszym od zamordowania biednego pana Stanton).

Pomimo tak przerażającego odkrycia pan Taylor oświadczył, że weźmie godnego zaufania człowieka i wyruszy do Kona. Przynależał sprowadzić następnego dnia pomoc. Pani Taylor sprzeciwiła się temu planowi, ale przekonał ją pocałunek we wstążkę na głowie. Wielebny Whister otwarcie poparł propozycję zdając sobie sprawę, że gdyby udali się tam wszyscy, to mając pośród

siebie jego starego ojca i dziecko nie dotarliby na miejsce nawet po dwóch dniach, podczas 165 gdy samotny mężczyzna, choćby szedł na piechotę, mógł dojść do miasteczka po dwudziestu czterech godzinach wytężonego marszu. Tak więc pan Taylor i wspomniany wcześniej Kaluna wyszli około dziesiątej rano. Około piątej po południu Kaluna wrócił, ale sam. Na poły sparaliżowany strasznymi przejściami krajowiec opowiedział drżącym głosem, że kiedy przebyli niecałe trzy kilometry, ze skały skoczył na nich ogromny jaszczur z ludzkimi oczami. Pan Taylor wypalił do niego z odległości mniejszej niż dwa metry, ale jaszczur nawet nie drgnął. Kaluna powiedział też, że głowa pana Taylora pękła z takim hałasem, jakby to był orzech kokosowy - dosłownie tak się wyraził. Tamten potwór tak był zajęty pożeraniem swej chrześcijańskiej ofiary, że on - Kaluna - zdążył uciec, chociaż zranił się przy upadku o ostrą krawędź magmowej skały. Powiedział też, że przez trzy kilometry ścigały go jakieś stwory podobne do karłów, ale go nie dopędziły.

W tym momencie cierpliwość wielebnego Whistera uległa najwyraźniej wyczerpaniu, albowiem oskarżył Kalunę o kłamstwo i o to, że jest agentem kapłanów bogini Pele. Kaluna zaprzeczył oskarżeniom. Między rannym Hawajczykiem i obrażonym misjonarzem wywiązała się kłótnia. Kaluna dobył noża - jak wyjaśnili ochrzczeni krajowcy, którzy pomogli uciec pozostałym, tylko po to, aby na niego przysiąc - ale pan Whister błędnie zrozumiał ten gest i wypalił z muszkietu do nieszczęsnego Hawajczyka. Kaluna zmarł dopiero po kilku godzinach.

Zapadła kolejna noc. I znowu wielebny Whister, jego przerażona małżonka, stary, niczego nie pojmujący ojciec, a także córka, wnuczek, siostra i pogrążona w milczącej rozpaczycy pani Taylor musieli znieść dochodzące z dworu ryki i posapywania, skrobienia i szurgoty. Wreszcie - jak to przedstawili gospodarzowi hotelu dwaj krajowcy - kiedy kobiety wraz z dziadkiem i dzieckiem spały w drugim pokoju, z pomieszczenia, w którym wielebny Whister i jego żona stali na straży, dobył się straszliwy hałas. Słyszał było wrzaski i nieludzkie wycia. Rozległ się strzał z muszkietu, potem znowu krzyki. Pani Stanton próbowała otworzyć drzwi, ale w tym momencie zaprzyjaźnieni krajowcy wdarli się przez tylną ścianę domu i wyprowadzili tych, co przeżyli, bezpiecznie na dwór, a potem ponaglił do ucieczki dróżką prowadzącą przez pogrążone w nocnych ciemnościach wulkaniczne pustkowie. Za nimi płomienie trawiły kościół i dopiero co opuszczony przez nich dom. Do zajazdu na wulkanie dotarli po jakichś czterdziestu godzinach wędrówki przez jedną z najbardziej niedostępnych okolic na świecie. Nie zauważyli, aby ktoś ich ścigał, ale ich przewodnicy wspominali o dziwnych odgłosach, jakie dochodziły z magmowych pól i o upiornych błyskach, pojawiających się między skałami. Na tym zakończyła się ich opowieść. Była na tyle przerażająca, aby młody McGuire i bliźniak Smith zaczęli domagać się od Hananuiego natychmiastowego powrotu do Hilo. Gospodarz także postanowił zamknąć i opuścić tego ranka swój zajazd, pozostawiając go na łasce wichrów i wulkanicznych oparów. Krajowców, zarówno służących z zajazdu, jak i obu lojalnych przewodników nieszczęsnych uciekinierów, przerażała perspektywa wędrowania znowu po nocy, ale gotowi byli wyruszyć, jeśli tylko miałoby to oddalić ich od horroru dziejącego się na wybrzeżu Kona.

Dosłownie przed paroma minutami, kiedy wszyscy kończyli już przygotowania do wyjścia, usłyszałam niewiarygodną wypowiedź pana Clemensa, który rozmawiał na werandzie z wielebnym Haymarkiem.

- Nie zamierzam wracać z panem do Hilo - powiedział korespondent. - Muszę zobaczyć, co tam się wydarzyło. Bez względu na to, jakie jest prawdziwe oblicze tych wypadków... a podejrzewam, że nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, prócz zemsty zazdrosnego wiejskiego szamana... sprawa wygląda znacznie bardziej obiecująco niż historia zatonięcia „Horneta”!

Wielebny Haymark przyjął z nachmurzoną miną zamiar tak egoistycznego wykorzystania

oczywistej tragedii, ale ku memu zdumieniu powiedział:

- Pójdę tam z panem. Hananui, McGuire, gospodarz, Smith i ci dwaj krajowcy sami bezpiecznie sprowadzą kobiety z tej góry do Hilo. Oferta wielebnego wyraźnie zaskoczyła korespondenta, który oświadczył, że pragnie udać się sam do tych niebezpiecznych okolic. Wielebny Haymark odsunął na bok jego obiekcje.

- Nie zamierzam służyć panu za anioła stróża. Poznałem w Honolulu wielebnego Whistera i jego zięcia. Nie mamy jeszcze ostatecznej pewności, jaki los ich spotkał. Wiele z tego, co usłyszałem, to tylko babskie strachy i przesady krajowców. Moim obowiązkiem względem wielebnego Whistera i innych jest sprawdzić, czy da się jeszcze coś dla nich zrobić. A jeśli nie, to należy się im przynajmniej chrześcijański pochówek. Jestem pewien, że z Hilo będzie można wysłać szybki szkuner, który przyplynie na miejsce niedługo po tym, jak dotrzemy tam my dwaj. Nie powinno nam grozić specjalne niebezpieczeństwo.

Po tym oświadczeniu obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Udałam się do mego pokoju i spakowałam rzeczy. Wciągnęłam na nogi moje najgrubsze buty i włożyłam najmocniejszą spódnicę do konnej jazdy. Pan Clemens i wielebny Haymark jeszcze o tym nie wiedzą, że będą mieli towarzyszkę w drodze na wybrzeże Kona. Po nie kończącej się kolacji Sato i jego świta odeszli do swoich apartamentów. Około wpół do jedenastej wieczorem Byron Trumbo był wreszcie wolny i mógł zająć się osobiście swoimi nieszczęściami. Wraz z Willem Bryantem wsiadł do windy, aby pojechać do apartamentu żony i jej adwokata po północnej stronie Wielkiego Hale. Przed drzwiami dotknął ramienia sekretarza.

- Pięć minut. Ani chwili dłużej. Masz jej powiedzieć, że coś tam się wydarzyło... wszystko mi jedno, co wymyślisz. Pamiętaj, pięć minut. Will Bryant kiwnął głową i zniknął za palmami w donicach. Trumbo nacisnął dzwonek i przyjął najuprzejmiejszy wyraz twarzy, na jaki mógł się zdobyć tego wieczoru. Drzwi otworzył Myron Koestler. Miał na sobie włochaty płaszcz kąpielowy z drukowanym widokiem wulkanu Mauna Pele, a jego kędzierzawe włosy jak zwykle związane były na karku w kucyk. Trzymał szklanekę, w której złociła się spora porcja płynu, wyglądającego na szkocką whisky. Uprzejmą minę diabli wzięli.

- No, jak tam, Myron, rozgościliście się już? Zdążyliście z Cait wziąć jacuzzi?

Adwokat uśmiechnął się niewyraźnie.

- Cait czekała na ciebie.

- Taak, wiem - powiedział Trumbo i wszedł do środka. Wszędzie połyskiwały skórzane obicia, bielila się spod uchylonych narzut pościel z czesankowej przędzy. Marmurowe posadzki i puszyste perskie dywany zdawały się promienieć własnym światłem. Szalejąca na dworze wichura kołysała długimi zasłonami na sięgających od podłogi do sufitu oknach w zachodniej ścianie. Aż tu dochodził szum deszczu i jego zapach, zmieszany z aromatem sandałowego drewna i pasty do podłóg. - Gdzie ona jest?

- Na tarasie.

Ku niezadowoleniu Trumba adwokat wyszedł za nim na osłonięty daszkiem lanai. W

dzień otwierał się stąd widok ku północy, na przełęcz między Mauna Loa i dalekim, ośnieżonym szczytem Mauna Kea. Tego wieczoru widać było tylko miotające się czubki palm, oświetlane od czasu do czasu błyskawicą.

Caitlin Sommersby Trumbo także miała na sobie hotelowy płaszcz kąpielowy i ścisnęła w dłoni drinka. Czysta wódka z lodem, Trumbo był tego pewien. Spoczywała na szezlongu z podciągniętymi

stopami i uniesioną jedną nogą, odsłaniając kawalek niewiarygodnie gładkiego uda. W świetle stojącej blisko lampy do czytania jej jasne włosy mieniły się wieloma odcieniami złota. Trumbo poczuł, że odżywają w nim dawne emocje, które popchnęły go niegdyś do jej poślubienia. .. zwłaszcza że wraz z nią poślubił także należące do niej kilkaset milionów dolarów. Jaka szkoda, że okazała się taką suką. - Witaj, Cait - powiedział. - Miło widzieć cię znowu. Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa. Kiedyś myślał, że Cait ma chabrowoniebieskie oczy; teraz powiedziałby raczej, że są sine jak lodowiec. - Kazałeś mi czekać - odezwała się w końcu. Trumbo nigdy nie wiedział, co sądzić o tonie jej głosu: było w nim coś z dąsającej się debutantki, coś z rozpieszczonej córeczki, coś z lodowato wyniosłej królowej i coś z władczej bizneswoman. W sumie jednak był to głos zwykłej suki. - Byłem zajęty - powiedział Trumbo łapiąc się na tym, że popada w dawną szorstkość.

Caitlin Sommersby Trumbo prychnęła przez swój zgrabny nosek. Trumbo spróbował przejąć inicjatywę uprzedzając jej odpowiedź.

- Zdajesz sobie sprawę, że przyjeżdżając tutaj pogwałciłaś warunki separacji?

Caitlin błysnęła oczami.

- Dobrze wiesz, że nie. To nie jest twój a rezydencja. Nie mieszkasz tu, a tylko jesteś właścicielem. No i jest to publiczny hotel. Trumbo uśmiechnął się.

- W dodatku z Myronem... - Kiwnął głową w stronę rozwalonego na fotelu adwokata. - Powinnaś być bardziej ostrożna, Cait. W sypialniach mogą się znajdować ukryte kamery.

Caitlin uniosła głowę.

- Nigdy nie przysłoby mi do głowy, żeby instalować coś takiego w twojej sypialni. - Spojrzała na swojego adwokata. - Big T. zawsze wolał oglądać niż robić to osobiście.

Trumbo zdał sobie sprawę, że bezwiednie zgrzyta zębami.

- Czego chcesz ode mnie?

- Dobrze wiesz, czego.

- Nie możesz tego dostać - powiedział Trumbo. - To niemożliwe.

- Chcę Mauna Pele.

- Tego też nie dostaniesz. Caitlin uniosła głowę jeszcze wyżej.

- Przedstawiliśmy ci uczciwą propozycję. Trumbo roześmiał się. - Co ty wygadujesz, Cait... Wydałem przeszło osiemdziesiąt milionów dolarów na samą pieprzoną architekturę krajobrazową.

- Nie pozwalaj sobie na używanie brzydkich słów w mojej obecności. - Gdzieżby mi starczyło pieprzonej odwagi... Siedzący z boku Koestler odchrząknął.

- Gdybym mógł coś zaproponować...

- Zamknij się, Koestler - rzucił w jego stronę Trumbo. - Nie odzywaj się, Myron - powiedziała Caitlin. Adwokat zagłębił się w fotelu i pociągnął łyk whisky.

- Posłuchaj, Cait - powiedział Trumbo, próbując sięgnąć po rozsądne argumenty. - Wiem, po co tu przyjechałaś, ale nic ci to nie da. Zamiast próbować przejąć Mauna Pele za psi grosz, powinnaś raczej poczekać, aż wcisnę ten ośrodek Japończykom, a potem weźmiesz to, co ci się należy. Jego formalna już tylko małżonka wypięła łyk wódki i spojrzała mu prosto w oczy, trzymając wciąż uniesiony kieliszek.

- Chcę mieć Mauna Pele.

- Dlaczego? Nigdy tu nie przyjeżdżałaś, nie chodzi więc o jakieś wspomnienia czy inne sentymenty. Poza tym wiesz tak samo dobrze jak ja, że to jest pieprzona studnia bez dna, do której trzeba ciągle dokładać. - Chcę to mieć - stwierdziła Caitlin Sommersby Trumbo tonem wykluczającym wszelkie dyskusje. - Jeżeli sprzedasz to mnie, będziesz coś z tego miał. Jeżeli nie uda ci się sprzedać, może się skończyć na tym, że dostanę Mauna Pele w ramach naszego rozliczenia.

Trumbo roześmiał się znowu, ale tym razem trochę nieszczerze. - Nigdy go nie dostaniesz. Prędeż puszcę z dymem te pieprzone szafasy. A poza tym na pewno to sprzedam.

Caitlin uśmiechnęła się słodko.

- Czy ten twój Sato wie o wszystkich morderstwach, jakie popełniono tu w zeszłym roku?

- Chciałaś powiedzieć: zaginięciach.

- Było tu sześć morderstw - wycedziła Caitlin. - Tu jest bardziej niebezpiecznie niż w Central Parku o północy. A nie sądzę, żeby pan Sato czy któryś z jego inwestorów chciał kupić Central Park.

- Trzymaj się z daleka od Sato... - zaczął Trumbo zdumiony, że jest w stanie mówić przez zaciśnięte zęby.

- Bo co?

- Bo sama się przekonasz, jak niebezpiecznie może być w Mauna Pele... - Słyszałem to! - krzyknął Koestler podnosząc się z fotela. Spod kąpielowego płaszcza wyjrzały jego owłosione nogi. - To była groźba. Wygłoszona przy świadku.

- To było ostrzeżenie - powiedział Trumbo i odwrócił się do niego, wyciągając przed siebie gruby palec niczym rewolwer. - Ostrzegam was... tu może być naprawdę niebezpiecznie. Dzieją się tu niesamowite rzeczy. Mam dość ochroniarzy dla Sato i jego ludzi, ale może mi ich nie wystarczyć dla niezapowiedzianych gości. - Jeszcze jedna groźba - powiedział Koestler. - Możemy przedstawić to w sądzie, a wtedy...

- Zamknij się, Myron - powiedziała Caitlin. Utkwiła przenikliwe spojrzenie w twarzy Trumba. - Więc nie sprzedasz mi Mauna Pele? Trumbo odwzajemnił jej spojrzenie z taką samą intensywnością. - Cait, był taki czas, kiedy podarowałbym ci Mauna Pele w prezencie. Do diabła, trzy lata temu, na Boże Narodzenie, omal tego nie zrobiłem. Teraz nie oddałbym ci go nawet gdyby ziemia paliła mi się pod stopami, a to byłby jedyny sposób na ugaszenie ognia.

Zabręczał dzwonek u drzwi. Koestler poszedł, żeby je otworzyć. - Szefie - powiedział Will Bryant wyciągając w stronę Trumba telefon - przykro mi, że panu przeszkadzam, ale dzwoni doktor Hastings z obserwatorium na wulkanie. Mówi, że strumień lawy nie płynie prosto na południe, jak zapowiadali, ale kieruje się do starych rozpadlin w stronę Mauna Pele. Trumbo westchnął.

- Odbiorę na korytarzu. - Wycelował palcem w Cait. - Mówię całkiem poważnie, nie wtrącaj się do tej transakcji.

Caitlin odstawiła pusty kieliszek i rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- A ja całkiem poważnie powtarzam, że będę miała Mauna Pele. Trumbo odwrócił się i wyszedł wraz z Willem Bryantem. Jadąc w dół windą rzucił okiem na zegarek.

- Bicki w tym baraku będzie siedzieć do rana przed telewizorem, ale ja muszę skoczyć najpierw do Mayi, zanim ona urządzi na mnie polowanie. - Spojrzał na sekretarza. - Strumień lawy płynie w kierunku Mauna Pele? Powiedziałem ci, żebyś coś wymyślił, ale to... Chryste Panie, Will!

Will Bryant spojrzał na szefa i wręczył mu telefon. - Wcale nie żartowałem. Niech pan oddzwoni do Hastingsa. Mówi, że powinniśmy jeszcze tej nocy przeprowadzić ewakuację.

Rozdział trzynasty

W czasie, w którym rozżarzyła się ziemia,

W czasie, w którym odwróciły się nieba,

W czasie, w którym pociemniało słońce

I świecił już tylko księżyc,

W czasie, w którym weszły Plejady

Świat wziął początek z błotnistej mułu...

Z Kumulipo, Pieśni o stworzeniu świata

Niewiele brakowało, a Eleanor nie zesłaby z Cordie Stumpf i Paulem Kukali do katakumb.

Kolacja upłynęła miło, pomimo, a może dzięki burzy, która szalała na dworze, i ciepłym kręgom światła rzucanego przez sztormowe latarnie. Kiedy w godzinę później prąd włączono znowu, względnie jasne światło kilku słabych żarówek sprawiło, że nieliczni biesiadnicy na tarasie przymrużyli oczy. Z początku Paul odniósł się powściągliwie do pytań Eleanor o różne mity, ale kiedy zdał sobie sprawę, że profesorka historii z Oberlinu odnosi się do tych spraw bez cienia protekcjonalności, wyraźnie się ożywił. Wyjaśnił różnicę między moolelo - ustną tradycją o czynach bogów, którzy byli tak potężni, że można było opowiadać o nich tylko w dzień - i kaa, prostymi, pełnymi nieprawdopodobnych zmyśleń legendami o ludzkich bohaterach, które doskonale nadawały się do opowiadania przy wieczornym ognisku. Wspomniał o hierarchii bóstw z animistycznych wierzeń Hawajczyków: najważniejszą rodzinę tworzyli aumakua, 172 czyli bogowie; po nich szli kapua, czyli boskie dzieci, żyjące między zwykłymi śmiertelnikami, bardzo przypominające Heraklesai innych greckich półbogów. Z kolei akua kapu były to istoty, które - podobnie jak duchy z wierzeń amerykańskich Indian - straszyły po prostu ludzi i sprowadzały na nich nieszczęścia. Ten hawajski panteon uzupełniały wreszcie akua li 7, dosłownie „małe duszki”, animistyczne personifikacje drzew, wodospadów, różnych rodzajów pogody i wszelkich innych przejawów życia i przyrody. - Wszystko to miało związek z mana - powiedział Paul popijając kawę, kiedy ze stołu uprzątnięto już talerze. - Mana można było wykraść, otoczyć ochroną albo odkryć nowe jego źródła.

- Czyli źródła mocy - powiedziała Cordie, która uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

- Tak. Mocy tkwiącej w pojedynczym człowieku. Albo w innych ludziach. W całym naturalnym otoczeniu.

Cordie chrząknęła.

- Te wierzenia nie zmieniły się zbyt wiele z upływem lat - powiedziała. Kelnerka, otyła, poważna Hawajka o imieniu Lovey, wypisanym na przypiętej do jej muumuu karteczce, zapytała, czy życzą sobie coś na deser. - Do diabła, oczywiście - powiedziała Cordie i cała trójka wysłuchiwała długiej listy smakołyków. Było z czego wybierać; kusiły zwłaszcza wykwintne specjały przyrządzane na bazie orzechów kokosowych, ale Cordie wybrała lody z owocami i śmietaną, posypane orzechowymi wiórkami. Kiedy zjawily się na stole, Eleanor pomyślała, że ona też powinna to zamówić.

- Jakie miejsce w tych wierzeniach zajmował Ku? - zapytała Paula.

Kustosz odstawił filiżankę z kawą.

- Ku to jeden z najstarszych polinezyjskich bogów, który przybył tu w canoe razem z pierwszymi Hawajczykami. Był bogiem wojny, bardzo zawziętym i srogim. Składano mu ofiary z ludzi. Kiedy

pojawił się między ludźmi, przybierał różne postaci.

- Także psa? - zapytała Cordie oblizując łyżeczkę. Paul Kukali zawahał się na mgnienie oka.

- Czasami. A właściwie przede wszystkim. Myśli pani o psie, którego widzieliśmy dzisiaj? - Uśmiechnął się, aby podkreślić ironię zawartą w pytaniu. - Oczywiście - potwierdziła Cordie, nie odwzajemniając uśmiechu.

- W takim razie obawiam się, że będę musiał panią rozczarować - powiedział Kukali. - Ku... a przynajmniej jego psie wcielenie. .. został zabity wieki temu przez wielkiego wodza Polihale. Ciało Ku przerażano na dwie części, które potem zamieniły się w kamienie. Można je zobaczyć do dzisiejszego dnia na Oahu. - Można zabić psa, ale nie można zabić boga, no nie? - mruknęła Cordie i zabrała się do resztek deseru. Na jej górnej wardze pozostał wąziutki ślad po bitej śmietanie.

Paul spojrzął na Eleanor.

- Myślę, że Wolter i Rousseau nie zgodziliby się z tym poglądem.

Eleanor nie skwitowała żartem jego dowcipu, ale zapytała poważnym tonem:

- Czy Ku w postaci psa mógł zostać odesłany po śmierci do Podziemnego Świata Milu?

Tym razem kustosz zwlekał nieco dłużej z odpowiedzią. - Niektórzy kahuna, czyli kapłani, twierdzą, że tak. Inni jednak zaprzeczają temu.

- Ale duchy zmarłych ludzi idą pod opiekę Milu?

- Tak.

- Czyli tam, gdzie przetrzymywane są niektóre kapua i mo-o?

- Co to takiego? - zapytała Cordie.

- Mo-o albo moko - odpowiedział jej Paul - to potężne demony. Mogą sprawować władzę nad przyrodą i przybierać różne postaci. Rzeczywiście po zawziętej walce z Pele zostały one wygnane do Podziemnego Świata Milu. - Jakby dla podkreślenia jego słów gdzieś blisko uderzył piorun i za otwartymi oknami przetoczył się grzmot. Wszyscy troje wymienili uśmiechy.

- Dość na dziś - powiedział Paul rozglądając się po pustym la-nai. - Zdaje się, że jesteśmy ostatnimi gośćmi. Ale przynajmniej jest już prąd. - Popatrzył na Cordie. - Nadal ma pani ochotę na nocną wycieczkę do katakumb? - Wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest już późno.

- Tak, oczywiście - odparła bez namysłu Cordie. Paul kiwnął głową.

- Eleanor, pani też chciałaby je zobaczyć?

- Chyba nie. Jestem trochę śpiąca. Myślę, że wrócę już do mojego hale. Paul wskazał na okno, zza którego dochodził szum deszczu, bardziej rześkiego niż przedtem.

- Pani hale znajduje na południowym skraju ośrodka, prawda?

- Tak, za Pirackim Barem i tym małym basenikiem. - Eleanor spojrziała na kustosza, jakby była ciekawa, co za propozycję trzyma on w zanadru. - Czeka więc panią długi spacer w deszczu - powiedział. - Mają tu wprowadzić dodatkowe parasole, ale wylot z serwisowego tunelu... czyli z katakumb... znajduje się o parę kroków od pani domku.

- Nie zależy mi... - zaczęła Eleanor.

- Och, Nell, chodź z nami - powiedziała Cordie. Eleanor wahała się tylko przez moment.

- No dobrze, jeżeli tamtędy będzie rzeczywiście bliżej... Wszyscy troje podnieśli się.

- Tak, na pewno - powiedział Paul. - Odprowadzimy panią pod drzwi, a potem wrócę z panią Stumpf do Wielkiego Hale. A po drodze obejrzymy wszystkie te podziemne urządzenia.

Wychodząc z restauracji, kiwnęli głowami Lovey i kierownikowi lokalu. Za otwartymi oknami głównego holu deszcz bębnił po tropikalnej roślinności. Paul poprowadził obie panie do windy, którą zjechali do podziemi, a potem pochyłą rampą przeszli do drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU. Paul włożył swoją magnetyczną kartę identyfikacyjną do szczeliny elektronicznego zamka i przytrzymał ją, dopóki nie zapaliło się zielone światło, po czym cała trójka znalazła się w katakumbach.

- Co to znowu za pieprzenie o ewakuacji Mauna Pele? - wrzasnął Trumbo do słuchawki telefonu. Po drugiej stronie linii znajdował się szanowny doktor Hastings.

Naukowiec odpowiedział zmęczonym głosem:

- Zasugerowałem tylko panu Carterowi i panu Bryantowi, żeby poinformować pana o sytuacji i zastanowić się nad możliwymi krokami. Cywilne władze ostrzegły już osoby, zamieszkujące osiedla na widokowych tarasach i ranczo Kahuku... - Ale te miejscowości znajdują się na południe od nas - powiedział Trumbo. - Tak - potwierdził doktor Hastings - ale otworzyły się liczne poprzeczne szczeliny i niektóre z nich mogą skierować wtórny strumień lawy bardziej ku zachodowi, aż do Przylądka Keananuionana.

- To jest także na południe od nas - odparł Trumbo.

- Owszem, ale z każdym wtórnym wylewem pojawia się groźba poszerzenia na boki strumienia lawy. Powinienem przypomnieć panu, że w kwietniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego ósmego roku na terenie, na którym zbudował pan swój ośrodek, wystąpiło jednocześnie tsunami, wylew lawy i katastrofalne osunięcie się gruntu wzdłuż zespołu urwisk Hilina Pali... - A ja powinienem przypomnieć panu - powiedział Byron Trumbo - że gówno mnie obchodzi, co zdarzyło się w jakimś pieprzonym tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym roku. Chcę wiedzieć, co dzieje się teraz. Cisza w słuchawce trwała bardzo długo. Byron Trumbo i Will Bryant myśleli już, że wiekowy wulkanolog przerwał połączenie. W końcu jednak Hastings odezwał się jak gdyby nigdy nic:

- Erupcja w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym, na którą złożyły się jednoczesne silne wylewy zarówno z Mauna Loa jak i Kilauea, wykazuje największą być może zbieżność z obecną sytuacją w południowo zachodnich rozpadlinach. Rodziny misjonarzy, które mieszkały prawie dokładnie tam, gdzie obecnie znajduje się pański ośrodek, panie Trumbo, zapisały w swoich pamiętnikach, że przez długie minuty ziemia falowała im pod nogami jak ocean, a wszystkie ludzkie budowle na całym południowym wybrzeżu Kona legły w ruinie. Potem, w ciągu niecałych trzech minut, zwały błota przebyły pięć kilometrów, zmiatając wszystkie wioski wzdłuż brzegu. Kilka minut później wystąpiła wywołana tym trzęsieniem wielka fala tsunami, przynosząc wały wodne o wysokości osiemnastu metrów, które zmyły przywalone błotem ruiny do morza. Po pięciu dniach epicentrum przeniosło się z Kilauea do Mauna Loa. Wielki wulkan wybuchł z pełną siłą, a lawa zaczęła tryskać niespodziewanie z nowej szczeliny, trochę powyżej miejsca, na którym znajduje się teraz ranczo Kahuku. - A więc? - zapytał Trumbo. - Co pan chce przez to powiedzieć?

Specjalista od wulkanów westchnął.

- Jeśli to pobudzenie będzie się utrzymywać, musi pan rozważyć ewakuację ośrodka.

- Gubernator nie wydał mi j eszcze żadnych poleceń w tej sprawie - odparł Trumbo.

- I nie wyda, panie Trumbo. Gubernator, jak wszyscy na tej wyspie, boi się pana. Nie pragnie bynajmniej dzielić się z panem wieściami, których pan wolałby nie słyszeć.

Trumbo parsknął śmiechem.

- Ale pan, panie Hastings, wcale się nie boi.

- Ja jestem naukowcem. Moim zadaniem jest zbieranie możliwie najbardziej rzetelnych danych i przekazywanie naszych prognoz opartych na tych danych. A pańskim - zagwarantowanie życia i bezpieczeństwa gościom i pracownikom. - Tak, doktorze Hastings, rzeczywiście taki mam obowiązek - zgodził się ze swoim rozmówcą Trumbo. - Jestem panu wdzięczny za przypomnienie, kto i za co odpowiada.

Wulkanolog odchrząknął.

- Skoro powiedziałem panu już tyle, powinienem dodać, panie Trumbo, że jak tylko nasze dane ukażą, że w części wybrzeża Kona, które pan zajmuje, istnieje zagrożenie dla życia i zabudowań, poinformuję o tym media. Byron Trumbo zakrył ręką mikrofon i rzucił ostre przekleństwo. Ulżywszy sobie podniósł słuchawkę do ucha.

- Rozumiem, doktorze Hastings. Jak mi wiadomo, miał pan przyjechać do Mauna Pele jutro, teraz jednak widzę, że obowiązki pewnie nie pozwolą panu na to. - Przeciwnie - powiedział wulkanolog. - Cieszę się, że będę mógł przekazać pańskim gościom trochę informacji...

- Mniej szał o to - przerwał mu Trumbo zrezygnowanym tonem. - Niech pan trzyma rękę na pulsie. A my będziemy robić to samo tu, na dole. Gdyby lava zaczęła płynąć w naszą stronę, proszę do mnie zadzwonić, okay? - Zanim Hastings zdążył odpowiedzieć, Trumbo nacisnął wyłączający przycisk. - No dobra, Will, biorę teraz golfowy wózek, żeby odwiedzić Mayę na półwyspie... - Rozpadało się ... - zaczął sekretarz.

- Pieprzę jakiś tam deszczyk. Wezmę krótkofalówkę, ty też miej swoją przy sobie, żebyśmy byli w kontakcie. Chciałbym, żebyś zszedł na dół i zobaczył, z czym Briggs i Dillon pieprzą się tak długo w tunelu. Will Bryant kiwnął głową.

- Jak będę miał z głowy Mayę, skoczę do baraku budowlanego, żeby zobaczyć, czego chce Bicki. Przemówię jej do rozsądku, żeby jutro wyjechała, dopilnuj więc, żeby jej samolot był gotowy do startu po śniadaniu. Poza tym powiedz Bobby'emu Tanace, żeby wpadł do mnie do hotelu... posiedzimy trochę w nocy, żeby kontrakt był gotowy do podpisania jutro. Chciałbym, żeby Sato i jego chłopcy złożyli podpisy i odlecieli w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Jakies pytania? Will Bryant pokręcił przecząco głową.

- Dobra. Spotkamy się mniej więcej za godzinę. - Trumbo ruszył do garażu po wózek golfowy, żeby pojechać na półwysep.

- O tej porze większość znajdujących się na dole biur jest zamknięta - mówił Paul Kukali - ale wrota w pralni, a po północy zacznie się większy ruch w piekarni.

Mała grupka przemierzała płataninę podziemnych tuneli. Minął ich tylko jeden golfowy wózek, a jadące nim dwie kobiety pozdrowiły archeologa po imieniu. - Zdaje się, że pracownicy dobrze ze sobą żyją - zauważyła Cordie. - Większość zatrudnionych tu osób znałem już wcześniej - wyjaśnił Paul. - Molly i Terea były krótko moimi uczennicami w Hi-lo. Choć wyspa jest duża, ludność ma stosunkowo niewielką.

- Ilu jest mieszkańców? - zapytała Eleanor.

- Około stu tysięcy, z czego jedna trzecia mieszka w Hilo. Pod względem gęstości zaludnienia wyspa plasuje się na ostatnim miejscu w całym archipelagu. Skręcili w lewo do poprzecznego tunelu i przystanęli na chwilę przed pracującą na pełnych obrotach pralnią. Eleanor poczuła zapach bielidła i prasowanych płócien. Połaskotało ją w nozdrza zjonizowane powietrze z suszarek. - Czy pan Trumbo ma kłopoty ze znalezieniem pracowników? - zapytała Cordie. - Tak i nie - odparł Paul. - Nie brakuje wprawdzie ludzi, którzy chcieliby pobierać stosunkowo wysokie pensje za pracę w hotelu. ..

zwłaszcza, że od kilkudziesięciu lat wyspa przeżywa ostrą recesję. Upadają plantacje ananasów i cukrownie, na miejsce których nie powstają prawie żadne tubylcze zakłady, albo tylko nieliczne. Większość miejscowej siły roboczej musi szukać zajęcia w usługach. Ale rzeczywiście, pan Trumbo miewa kłopoty ze znalezieniem ludzi z powodu oddalenia ośrodka i ... - zawiesił na chwilę głos. - Dlatego, że Mauna Pele ma opinię niebezpiecznego miejsca? -dokończyła za niego Cordie.

- Tak. - Paul uśmiechnął się niewyraźnie. - Tu jest moje biuro... ale obawiam się, że nie ma w nim nic ciekawego. A to biuro naszego astronoma... dziwna sprawa, drzwi do pokoju pana Willsa są otwarte... W tym momencie zgasły światła.

Eleanor zwiedzała kiedyś jaskinię we Francji, w której na kilka minut wyłączono światło, żeby pokazać zwiedzającym, czym jest absolutna ciemność. Tamto przeżycie wciąż jeszcze wracało do niej w nocnych koszmarach. Także i teraz znieruchomiła z zapartym tchem i poczuła, że napierające ze wszystkich stron ciemności uciskają jej pierś aż do bólu..

- A niech to - odezwał się Paul i zaraz potem dodał: - Stójcie w miejscu. W przypadku wyłączenia prądu światła w tunelach zasilane są z generatora. Powinny się zapalić za kilka sekund.

Nadal było ciemno jak w lochu.

- Nie rozumiem - zdziwił się Paul. - Awaryjne światła włączają się automatycznie. Już powinny się palić...

- Cicho! - odezwał się w ciemności głos Cordie. - Słyszycie? Eleanor wyętyżyła słuch. Ucichły wszystkie dźwięki, które jeszcze przed chwilą wypełniały podziemne korytarze - szum wentylatorów, dudnienie przemysłowych pralek i suszarek w pralni, ciche buczenie podłużnych świetlówek pod sufitem, urywki rozmów dochodzące z piekarni... Panowała absolutna cisza, nie zmacona niczym, tak samo jak ciemność. Można było pomyśleć, że tych kilkanaście osób, które widzieli po drodze, znikło wraz ze światłem. - Zupełnie nie mogę... - odezwał się głos Paula.

- Cicho!-rzuciłaCordie.

Dopiero teraz Eleanor usłyszała coś po lewej stronie, choć wydawało się jej, że jest tam tylko ściana i kilka zamkniętych biur. Był to jakiś dziwny odgłos, po części podobny do szurania, po części do sapania, a może do wleczenia czegoś miękkiego po kamieniach. Poczuła, że dłonie same zaciskają się jej w pięści, a oczy starają się wypatrzyć cokolwiek w ciemnościach. Odezwało się ciche szcęknięcie kluczy.

- Zostańcie tutaj -powiedział Paul. -Pójdępo omacku wzdłuż ściany, aż dojdę do mojego biura. Mam tam w szufladzie latarkę. Zaraz... - Nie ruszać się! - usłyszeli głos Cordie. Zabrzmiał na tyle stanowczo i rozkazująco, że pozostała dwójka zastygła w bezruchu. Nagle zabłysło światełko i Eleanor odwróciła się w kierunku Cordie, która przykłękała na jednym kolanie, trzymając w wyciągniętej ręce płonąca zapalniczkę. Eleanor poczuła taką ulgę widząc światło... mogąc wreszcie cokolwiek widzieć... że dopiero po chwili uświadomiła sobie, iż Cordie sięga do słomkowej torby na ramieniu i wyjmuje z niej rewolwer, który wydał się Eleanor niedorzecznie ciężki i ogromny. Cordie, klęcząc ciągle najednym kolanie, uniosła go i wycelowała w kierunku, z którego dochodziły dziwne dźwięki. Źródło tych hałasów wciąż znajdowało się poza kręgiem małego światełka. W tym momencie Eleanor usłyszała głosy, dobiegające zza zakrętu tunelu, od strony pralni.

- Proszę poświecić z tej strony - powiedział Paul, którego cień majaczył po lewej - a zaraz odnajdziemy moje biuro...

- Nie! - rzuciła Cordie takim samym, nie dopuszczającym żadnych sprzeciwów głosem. - Proszę się nie ruszać. -Podniosła się błyskawicznie na nogi, aż jej brzydka sukienka zafalowała, uniosła

wyżej zapalniczkę i trzymając prawą rękę z rewolwerem wyprostowaną sztywno, ruszyła szybkim krokiem w kierunku źródła dziwnych odgłosów. Eleanor pospieszyła za nią, żeby tylko pozostać w błogosławionym kręgu światła.

Eleanor dostrzegła najpierw błyszczące oczy. Cordie ani na moment nie zwolniła marszu.

- O, kurczę - powiedziała mała kobietka.

Dopiero po chwili Eleanor rozpoznała w osuwającym się po ścianie brodatym facecie szefa ochrony Dillona, który przesłuchiwał ich przed kilkoma godzinami. Niski ochroniarz gapił się przed siebie tępym wzrokiem, jakby był w stanie szoku. Kiedy Cordie zbliżyła się do niego, Eleanor zrozumiała, dlaczego facet zachowuje się tak dziwnie. Wyglądał jak ofiara samochodowego wypadku: z jego ubrania pozostały niemal same strzępy - brakowało prawego rękawa bluzy, a biała koszula była podarta na paski - a na jego twarzy, rękach, piersi i w zmierzwionych włosach widać było krew. Z otwartych ust mężczyzny sączyła się na brodę ślina.

Dillon osunął się jeszcze niżej po ścianie, ślizgając się gładkimi podeszwami butów po posadzce. Paul podbiegł, żeby go podtrzymać. - Musimy zaprowadzić go do lekarza - powiedział. Cordie obróciła się nagle i uniosła zapalniczkę i pistolet w kierunku, z którego przed chwilą przyszli. Słychać było zbliżające się ku nim w ciemności szybkie kroki.

17 czerwca 1866 roku, Wybrzeże Kona

Przez dwa ostatnie dni nie napisałam ani słowa, ponieważ godziny nie przeznaczone na odpoczynek wypełnione były aż nadto wydarzeniami zbyt niezwykłymi, aby można było spojrzeć na nie z odpowiednim dystansem, biorąc pod uwagę także prywatny charakter niniejszego dziennika. Nawet i teraz, kiedy biorę do ręki pióro w marnej szopie, do której dochodzi dudniący łoskot przyboju, i wyteżam słuch, aby wychwycić poprzez huk oceanu i szum wstrząsanych wichurą palm odgłosy zwiastujące powrót niewiarygodnej gro-180 zy, mając przy tym pełną świadomość, że te nocne dźwięki mogą zapowiadać nam śmierć w straszliwych męczarniach, z trudem daję wiarę moim zmysłom i pamięci. Mam wrażenie, jakby upłynął cały wiek od chwili, w której wiedzona spontanicznym odruchem uparłam się, aby towarzyszyć korespondentowi i kapłanowi w wyprawie na Wybrzeże Kona, do której pchnęło ich poczucie miłosierdzia i ciekawość. Co najdziwniejsze, ich protesty nie trwały długo ani nie były zbyt gwałtowne. Być może nasza wspólna wyprawa poprzedniej nocy sprawiła, że ujrzeni we mnie towarzysza zdolnego stawić czoło wszelkim przygodom, jakie mogły nas czekać.

Teraz żałuję prawie, że nie stało się inaczej.

W każdym razie późnym rankiem tamtego dnia opuściliśmy zajazd na wulkanie wraz z uciekającą do Hilo misjonarską grupą, która udała się w drogę pod opieką Hananuięgo, McGuire'a, Smitha, gospodarza zajazdu i dwóch ochrzczonych przewodników. W zajeździe było pół tuzina koni i sporo mułów, tak że przynajmniej wszyscy biali mogli przebyć konno ostatni odcinek drogi na wschód.

Zarówno gospodarz, jak i jego hawajscy służący mieli muszkiety, które naładowali przed wyruszeniem.

Odbyła się krótka dyskusja na temat uzbrojenia naszej małej grupki. Wielebny Haymark odrzucił propozycję gospodarza, abyśmy wzięli jeden z muszkietów, ale pan Clemens otwarcie wyraził pogląd, że pomysł nie jest wcale taki zły. Ostatecznie stanęło na tym, że korespondent zgodził się przyjąć pożyczony mu rewolwer.

- Strzelał pan kiedy z broni palnej? - zapytał gospodarz, najwyraźniej wątpiąc w umiejętności gazetowego skryby. - Był pan na wojnie? Pan Clemens podniósł wzrok znad starego rewolweru,

który właśnie oglądał. - Szanowny panie - powiedział z wyraźnym akcentem mieszkańca stanu Missouri - miałem honor służyć w nieregularnych oddziałach milicji wspierającej Konfederatów.

- Ach, tak - odparł gospodarz kiwając ze zrozumieniem głową.

- Ale po trzech tygodniach zdezerterowałem - dodał pan Clemens.

- Czyżby? - zmarszczył brwi gospodarz.

Pan Clemens włożył rewolwer do kieszeni płaszcza i uniosł w górę palec wskazujący.

- I Południe upadło.

Powinno może wspomnieć tutaj, zanim opiszę straszliwe wrażenia z następnych dni, że chociaż żarty pana Clemensa mogły denerwować i męczyć, nie brakowało ich prawie nigdy. Przykładem może być Wulkaniczna Księga Pamiątkowa, o wpis do której poproszono nas mimo pośpiesznego wyjazdu. Chociaż niektóre zawarte tam uwagi były wartościowym opisem zaobserwowanych szczegółów wybuchu, nie brakło też zwykłych bzdur i nonsensów. Pośród nich i takie: „Mało bąbelków w tym szampanie”, lub „Madame Pele gotuje kluchy” czy „Bełkotliwa plujka”. Pod tego rodzaju tekstami widniały zwykle podpisy Anglików. Amerykanie pozostawili po sobie bardziej dramatyczne świadectwa: „9 czerwca 1865... zszedłem do krateru i złożyłem wizytę Madame Pele. Znalazłem nieduże, mocno wrzące jezioro, które przywiodło mi na myśl wzburzone morze. Widok jest okropny, ale zarazem wspaniały i podniosły...”. Albo takie, opatrzone datą czwartego sierpnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku: „Profesor William T. Brigham, wraz z panem Charlesem Wolcottem Brooksem, zeszli na dół i spędzili noc o trzy metry od wrzącego krateru. Widok był naprawdę wspaniały. Profesora Brighama i pana Brooksa przebudziło rano z mocnego snu gwałtowne dmuchnięcie siarczanym oparem, przed którym zmykali z godnym uwagi pośpiechem, pozostawiając za sobą koce i tym podobne rzeczy”.

Przepisałam te uwagi co do słowa, aby stworzyć kontekst dla wpisu, pozostawionego przez pana Clemensa:

Zajazd na wulkanie Piątek, 15 czerwca 1866 roku

Przybyłem tu jak wszyscy, którzy dotarli do tego miejsca przede mną. Większość trasy pokonałem drogą, którą jechałem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że czuwa nad nami Opatrzność i nie odczuwałem żadnego strachu. Prześladowała nas zła pogoda, choć bywały też chwile takie sobie (a jeśli mam być szczerzy, reszta była podobna do nich).

Moimi towarzyszami podróży byli wielebny Haymark i panna Stewart z Ohio. Jednak przedstawianie ze szczegółami w księdze upamiętniającej wulkaniczne zjawiska błahych przygód podczas jazdy w tę stronę mogłoby być uznane za przejaw złego smaku, nawet jeśli jeden z podróżników sam dymi jak wulkan, a drugi ma skłonności do okazywania ognistego temperamentu; dlatego też przejdźmy od razu do właściwego tematu.

Zeszliśmy do krateru z zamiarem pozostania przez całą noc, ale flaszka z zapasami stłukła się i zostaliśmy zmuszeni do odwrotu. Znajdując się w pobliżu Południowego Jeziora, powiedzmy, o ćwierć kilometra od jego brzegu, ujrzeliśmy wylatującą w górę kupkę błota wielkości kawałka kredy. W chwilę potem powiedziałem: „Boję się, że wydarzy się tu coś niezwykłego”. I zaraz zaobserwowaliśmy następną grudę mniej więcej tych samych rozmiarów; zawahała się, drgnęła i runęła z powrotem do jeziora.

O, Boże! To było okropne.

Uczciliśmy to kolejką.

Niewielu zwiedzających spotka szczęście oglądania jednego po drugim dwóch takich fenomenów,

jak wyżej opisany.

Kiedy popasaliśmy sobie, nadleciał podmuch gazów, więc zerwaliśmy się i porzuciwszy koce popędziliśmy po lawie w naj -śmieszniej szych podskokach, jakie można sobie wyobrazić. Zrobiliśmy to, ponieważ takie rzeczy są w modzie, a także świadczą o tym, że przeżyło się podniecającą przygodę. Wypiliśmy więc jeszcze jedną kolejkę.

Następnie wróciliśmy i rozłożyliśmy się trochę bliżej jeziora. Wpadłem w zadumę i rzekłem: „O, jakże zdumiewająca jest wspaniałość i majestat tej przerażającej, wysublimowanej manifestacji niebiańskiej potęgi, wypełniającej duszę poety podniosłymi myślami i jeszcze bardziej podniosłymi obrazami; i jakże przytłaczająca, uroczyta powaga...” (Tu, niestety, zabrakło dżinu. Pękła butelka, złożona w nieostrożne ręce szacownego duchownego, służącego mi za towarzysza i przewodnika, który niestrudzenie poszukiwał ziejącej siarką Ognistej Otchłani, o jakiej tak często i czule pawił w swych kazaniach, że załamała się pod nim krucha powłoka lawy. Przekonani o nierozważności naszego dyndającego nogami przewodnika, panna Stewart z Ohio i ja zwolniliśmy go od dalszego opiekowania się naszymi zapasami i postanowiliśmy, że powinienem przerwać te filozoficzne dumania i nie podejmować ich więcej).

Wielebny Haymark śmiał się długo i głośno z tych nieudanych dowcipów, a ja przytaczam je tutaj głównie po to, aby pokazać lekkomyślność mego towarzysza podróży, okazaną nawet w tak dramatycznym momencie.

Mimo iż pan Clemens proponował sutą zapłatę, żaden z krajowców nie miał odwagi pójść z nami w stronę zawietrznego brzegu wyspy. Wszyscy, łącznie z Hananuiem, byli na to zbyt przerażeni. Wyruszyliśmy w końcu opatrzeni mapą, którą narysował nam pospiesznie gospodarz. Nasze konie były obciążone kilkudniowymi zapasami, jakie zabraliśmy ze spiżarni wulkanicznego zajazdu. Początkowy odcinek drogi w dół minął nam bez żadnych wypadków, choć jechaliśmy w fantastycznej poświacie od gejzerów lawy tryskających za naszymi plecami, a nad nami wisiały niczym chmura długie pasma cuchnących siarezanych oparów. Na prawo od nas majaczył szczyt Mauna Loa, wznoszący się na jakieś trzy tysiące trzysta metrów i górujący nad siostrzanym wulkanem Kilauea. Nie było widać wydostającej się z niego lawy, ale kierujący się ku zachodowi pióropusz dymów z kaldery przestrzegał nas niczym złowróżbny omen.

Krajobraz po zawietrznej stronie wyspy jest niewypowiedzianie nudny. Pola lawy ciągną się jedno za drugim, warstwy zastygłej magmy typupahoehoe przybierają tysiączne niezgrabne kształty, bazaltowe skarpy i usypane z żużla stożki tworzą scenerię na poły dantejską, a na poły przypominającą pittsburskie zagłębienie węglowe. Szlak, będący częścią dawnej hawajskiej ścieżki zwanej przez miejscowych ludzi Ainapo, wił się w kierunku południowo-zachodnim między masywem Mauna Loa i nadmorskimi urwiskami po stronie południowej. Przez pierwszych kilka godzin nie było prawie nic do oglądania prócz czarnej lawy. Z rzadka tylko pokazywały się nędznie wyglądające karłowate drzewa, które Hawajczycy zwą ohi ‘a, i trochę odpornych, jak widać, paproci - ama ‘u - o których wielebny Haymark powiedział, że rosną na magmowych polach nie mających jeszcze roku. Ponieważ ten odcinek szlaku był mniej uczęszczany i bardziej dziki od ścieżki między Hilo i wulkanem Kilauea, do zapadnięcia zmroku nie przejechaliśmy nawet trzydziestu kilometrów. Powinno poświecić choć chwilę na opisanie zachodu słońca: przebyliśmy do tego czasu dość drogi ku zachodowi, aby daleko w dole ukazał się zawietrzny brzeg Wielkiej Wyspy, którego linię ku północy zasłaniała nam jedynie dolna część południowo-zachodniego stoku Mauna Loa. Z wysokości sześciuset albo i więcej metrów nad poziomem morza, dostrzegaliśmy południowy przylądek wyspy i ogromny obszar oceanu na południe i zachód. Przedwieczorne

powietrze było przejrzyste, wiatr skręcił ku zachodowi i zaczął odwiewać od nas wulkaniczne chmury, tak że od dalekiej linii horyzontu dzielił nas tylko błękit czystego nieba.

Przerwaliśmy urządzenie obozu i uwiązywanie zmęczonych koni, aby popatrzeć, jak doskonale okrągła czerwona kula ociąga się nad horyzontem niczym zakochany, który pragnie oddalić chwilę pożegnania swej bogdanki. W końcu słońce znikło, pochłonięte przez wiszącą tuż nad horyzontem, poszarpaną ciemną chmurę. Obserwowałam to odejście z prawdziwie poetyckim wzruszeniem, ale pan Clemens przyglądał mu się zapewne wyćwiczonym okiem byłego rzecznego pilota, bo stwierdził oschłym tonem: „Jeżeli wiatr się utrzyma, ta chmurka może narobić nam kłopotów jeszcze w nocy”.

Nie wyglądało na to, żeby jego przepowiednia miała się sprawdzić. Po posiłku z suszonej wołowiny dokonaliśmy najlepiej jak się dało wieczornych ablucji między blokami a ‘a i uwiązawszy konie na długich postronkach do samotnego drzewa lauhala ułożyliśmy się do snu pod błyszczącym gwiazdnym baldachimem, wykorzystując odwrócone siodła jako poduszki. Kiedy opłukiwałam twarz deszczową wodą, która zebrała się w zagłębieniu za zwietrzałą skałką, usłyszałam, że obaj mężczyźni zastanawiają się, czy trzymać nocną straż. Wielebny Haymark był przeciwny temu pomysłowi ze względu na niepokój, jakim mógł on napełnić „naszą lady”. Pan Clemens prychnął na to śmiechem i powiedział: „Myślę, że na tej planecie jest bardzo niewiele rzeczy, które byłyby w stanie przstraszyć tę niezwykłą damę”. Przyznaję, że nie bardzo wiedziałam, jak się odnieść do tego stwierdzenia, choć pamiętam, że poczułam się dotknięta żartobliwym tonem, jakim wypowiedział słowo „dama”.

W każdym razie żaden z nich nie stanął na warcie, chociaż miałam wrażenie, że powierzyli to zadanie koniom. Myślę, że mój rumak był tak leniwąbestią, że przespałby na stojąco napad rozwrzeszczanej bandy Czerwonoskórych. Proroctwo pana Clemensa potwierdziło się rankiem, bo jeszcze przed świtem obudził nas rześisty deszcz. A ponieważ nie było żadnej osłony prócz jedyne drzewa lauhala, zrezygnowaliśmy z przyrządzania kawy na małym ogniu, wznieconym przez korespondenta, i przytroczyliśmy nasze posłania i sakwy, gotowi do dalszej drogi. Ogarnęły mnie wątpliwości, czy uczyniłam roztropnie przyłączając się z własnej woli do tej dziwacznej wycieczki. Kiedy konie zaczęły stawiać ostrożnie kopyta na śliskich magmowych płytach, a echo ich kroków poniosło się między głazy z a ‘a, uświadomiłam sobie aż nazbyt jasno, że gdybym udała się z innymi, rozkoszowałabym się już wszelkimi wygodami w Hilo.

Nie przeczuwałam wtedy nawet, jak nieważne wydarzą mi się w parę godzin później jakiegokolwiek wygody.

Przez cały ten dzień - a było to wczoraj - schodziliśmy coraz niżej, przecinając w poprzek wysunięty najbardziej na południe stok Mauna Loa, a potem wzgórze przylegające do wybrzeża Kona. Z wysokości trzystu metrów nad poziomem morza dostrzegaliśmy plamy wspaniałej zieleni rosnącej w miejscach, w których kokosowe palmy znaczyły pas urodzajnej ziemi w pobliżu przybrzeżnych urwisk. Piszę „urwisk”, bo nawet z tej odległości widać było wściekłość przyboju w miejscach, w których gniewny Pacyfik napotykał na ścianę stromych, pionowych skał przybrzeżnych. Na przestrzeni około piętnastu kilometrów, bo tyle znajdowało się w zasięgu naszego wzroku, widać było tylko kilka plaż i zatok, a przeważającą większość linii brzegowej stanowiły klify, do których nie mógł przybić żaden statek ani szalupa. Gdzieś tam, w dole, straszliwy los dosięgną! Whisterów, Stantonów i inne rodziny. Widoki te ukazywały się nam przez coraz gęstsze chmury, które napływały z zachodu. Ich krawędzie mierzwiły się o sterczący za naszymi plecami ogromny masyw wulkanu.

- Sądzilem, że to jest sucha strona wyspy - zauważył lakonicznie pan Clemens. - Bo jest - powiedział wielebny Haymark, mokry od wody, ściekającej mu z kapelusza z wąskim rondem. - W

czerwcu deszcz jest tu niezwykłym zjawiskiem. - To dziwne, że deszcz zawsze wybiera niezwykłą porę, żeby po prostu lać się za kołnierz - mruknął korespondent. Schodziliśmy coraz niżej, a chmury zdawały się opadać razem z nami. Na wiele godzin przed zachodem słońca dzień zrobił się ponury i mroczny.

Doszedłszy do czegoś w rodzaju zalesionej półki, odległej o jakieś pół kilometra od nadbrzeżnych urwisk, trafiliśmy na ścieżkę, wijącą się między drzewami i gęstszymi na tej wysokości krzakami.

- To jest główny szlak między Kona i misjami w Kau i na Przylądku Południowym - powiedział wielebny Haymark, obracając konia głową ku północy. - Czy jesteśmy już blisko? - zapytałam łapiąc się na tym, że moje pytanie zabrzmiało jak płaczliwa skarga niezdyscyplinowanego wędrownika. - Jeszcze dziesięć, może dwanaście kilometrów - odparł duchowny, poprawiając się w siodle. - Obawiam się, że mając tak zmęczone konie, przy tej słocie nie dotrzemy do wioski naszych misjonarzy przed zapadnięciem nocy.

- Być może na nasze szczęście - zauważył pan Clemens i trzeba było jednej tylko krótkiej chwili, abym zrozumiała, co ma na myśli. Nie wiedzieliśmy przecież, co nas tam może czekać. Jeżeli mieszkańcy nadal byli uzbrojeni i jeżeli rzeczywiście wymordowali misjonarskie rodziny, nie byłoby rzeczą zbyt roztropną zjawiać się w pobliżu ich siedzib na parę minut przed zapadnięciem zmroku. Wielebny Haymark skinął głową.

- Jest pewne miejsce, może o kilometr czy dwa stąd ku północy. Poganie odprawiają na nim swoje obrzędy. Myślę, że możemy znaleźć tam schronienie. W taki to sposób dotarliśmy późnym popołudniem do wielkiego heiau, w którym miały się rozegrać tej nocy straszliwe wypadki. Już samo nasze wejście do heiau można było uznać za złą wróżbę: musieliśmy iść między dwiema wysokimi kamiennymi ścianami, prawdziwym korytarzem, do którego, jak to zauważył posępnym tonem wielebny Haymark, pogańscy kapłani zaciągali obrzędowe ofiary, aby zabijać je na stopniach ogromnego kamiennego stosu, do którego zmierzaliśmy.

- Świątynię tę wzniósł Kamehameha Wielki przed udaniem się na podbój Oahu - powiedział nasz kapłan, kiedy wstrzymaliśmy konie przed straszliwą budowlą. - Kamehameha śnił mi się ostatniej nocy - powiedział pan Clemens tonem dalekim od żartobliwego. - Przyśniło mi się, że w naszym obozowisku zjawiała się jakaś ponura, zakapturzona postać i poprowadziła mnie z powrotem do krateru Kilauea. Tam, po wejściu do podziemnej komory, mój upiorny przewodnik wskazał wielki głaz i zawołał: „Oto jest grób ostatniego Kamehameha!”. Pamiętam, że nacisnąłem ramieniem i wielki głaz dał się przesunąć, odsłaniając zmumifikowane szczątki wielkiego króla.

- Męczący sen - powiedział wielebny Haymark ocierając chusteczką rumianą twarz, a potem spojrzał w moją stronę.

- A jeszcze bardziej męczące było to - dodał korespondent poważnym tonem, jakiego dotąd u niego nie słyszałam - że zmarły król położył mi kościstą rękę na ramieniu i próbował coś mi powiedzieć wyschniętymi wargami, które mu zeszyto. Wydostał się z nich tylko jakiś potworny, nieludzki jęk, ale ja byłam pewien, że próbował ostrzec mnie przed czymś.

- Wydaje mi się, że nie czas na upiorne opowiadki - powiedziałam obrzucając wzrokiem zwały ofiarnych kamieni, wznoszących się jeden na drugim nad naszymi głowami.

Wydawało się, jakby pan Clemens ocknął się z głębokiej zadumy.

- Tak - powiedział w roztargnieniu. - Przepraszam.

Zaskoczona jego przeprosinami, pierwszymi w czasie tej wycieczki, zaczęłam zastanawiać się nad rozmiarami heiau. Wzniesiona była na planie nieregularnego równoległoboku o długości

przekraczającej sześćdziesiąt metrów, a jej ściany, zbudowane z magmowych głazów bez użycia zaprawy, szerokie u podstawy na około trzy i pół metra, miały sześć metrów wysokości i zwężały się u góry do niespełna dwóch metrów. Tak było po stronie mauka, czyli od lądu. Od strony morza mury niej scami zawaliły się i miały tylko dwa, może dwa i pół metra wysokości, ale były płaskie u góry, aby ułatwić wodzom i kapłanom dokonywanie obrzędów. Przy południowym skraju znajdował się wewnętrzny dziedziniec. Wielebny Haymark powiedział, że tu stało główne bożyszcze - Tairi. Był to obrany przez Kamehamehę bóg wojny, o groźnym wyglądzie, w hełmie i przystrojony piórami. To tu składano setkami, a może tysiącami, ofiary z ludzi, aby ułatwić królom osiągnięcie celów, jakie sobie wytknęli.

Deszcz rozpadał się jeszcze bardziej i muszę przyznać, że poczułam się tak, jakby przemokły mi nie tylko ubrania, ale i dusza. Wszystko było tu szare i ociekało wodą. Całe to miejsce nie tylko wywierało wrażenie, jakby uszło stąd wszelkie życie. Gorzej - zdawało się, że ono pozbawia życia, jeśli można się tak wyrazić.

Jakieś pięćdziesiąt metrów na północ od złowróźbnej heiau stały trzy nie używane od dawna szałas z trawy i to właśnie w j ednym z nich, najmniej zrujnowanym, postanowiliśmy uwiązać konie i spędzić noc. W środku nie padało i panu Clemensowi udało się rozpalić na glinianym klepisku małe ognisko z suchych kawałków zniszczonego szałasu, dzięki czemu zaparzyliśmy kawę, aby popić nią solone mięso i owoce mango. Wolałabym herbatę, ale i ten gorący napój podniósł nas na duchu, a kiedy zapadł zmrok, zaczęliśmy rozmawiać o tym, czego też dowiemy się jutro. Wielebny Haymark był zdania, że miejscowy kahuna uknuł spisek po to, aby przestraszyć misjonarzy, ale wydawało mu się rzeczą zupełnie możliwą, że wielebny Whister i inne osoby żyją jeszcze.

- A co sądzić o tamych potworach? - zapytał pan Clemens. - O człowieku-jaszczurze, o którym mówił Hananui, człowieku-psy 1 całej reszcie?

Wielebny Haymark nie ukrywał pogardy dla takich zabobonów. - Ale one z pewnością pomogłyby mi napisać lepszy artykuł, niż gdybym ograniczył się tylko do nieokrzesanych krajowców - powiedział w zamyśleniu korespondent. Skwitowałam to oświadczenie pogardliwym prychnięciem.

- Dlaczego dziennikarze zawsze muszą sięgać po groteskowe, niewiarygodne historie?

Pan Clemens uśmiechnął się.

- Panno Stewart - powiedział - zadawanie śmierci i ćwiartowanie, szaleństwo i kanibalizm, to przecież pierwszorzędne tematy chrześcijańskiej prasy, które nauczyły analfabetów czytania gazet. Im dziwniej sę są opisywane wydarzenia, tym lepiej się o nich czyta przy śniadaniu.

- Ale z pewnością jest to znak - odparłam - że w naszym stuleciu liczy się tylko sensacja.

- Tak - potwierdził pan Clemens - a także we wszystkich poprzednich stuleciach i w tych, które dopiero nadejdą. Powstają i upadają państwa, wymyśla się maszyny, żeby natychmiast o nich zapomnieć, rozkwitają i więdną niczym ostatnie jesienne kwiaty nowe mody i style... ale dobre morderstwo przed śniadaniem, panno Stewart, będzie czymś pożądanym zawsze, po wieczne czasy. Gdyby mój artykuł był choć w połowie tak sensacyjny, jak historia „Horneta”, mógłbym go sprzedać każdej gazecie zarówno w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym, jak i tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym, jak i sto lub dwieście lat później. Skwitowałam te niedorzeczne dywagacje wzruszeniem ramion. W tym momencie konie zaczęły rzeć i parskać. Nie ulegało wątpliwości, że coś musiało je bardzo przerazić.

Rozdział czternasty

*Pana-ewa jest wyspą pachnących lehua,
Rosnącym w jej głębinach lasem drzew ohia.
Opadły już z lehua czerwone kwiaty,
I czerwone jabłuszka z ohia,
Naga jest głowa Pana-ewy;
Nad ziemią unosi się dym;
Zapłonął wielki ogień.*

Inwokacja siostry Pele do Pana-ewy

Nagi, wyczerpany Byron Trumbo odrzucił na bok kołdrę. Wyciągnął się na plecach i zaczął wodzić wzrokiem za drewnianymi łopatkami obracającego się pod sufitem wentylatora. Maya drzemała, wtulona w zgięcie jego ramienia. Ciało obojga pokryte były cieniutką warstewką potu. Trumbo wciągał powietrze ustami, wciąż jeszcze próbując złapać oddech. Zapomniał o tym, jak męczące mogą być łóżkowe zmagania z Mayą Richardson. Obok niego leżała, opierając głowę na jego piersi, wysoka, szczupła, młoda i piękna, a do tego jeszcze sławna i bogata kobieta, namiętna ponad wszelkie jego wyobrażenia. Sypiał z nią od ponad dwóch lat, i prawie przez tyle samo czasu obiecywał jej małżeństwo. Nie pamiętał już, od kiedy oglądał swoje i jej zdjęcia, zamieszczane na plotkarskich kolumnach gazet i magazynów. Nie był pewien, jak dawno temu poczuł się zmęczony Mayą, wiedział tylko, że tak było: męczyła go jej doskonała piękność, jej godny zawodowej modelki narcyzm, jej brytyjski akcent i złośliwe angielskie poczucie humoru, wreszcie jej nieposkromiona namiętność i niez mordowanie w seksualnych zapasach. Alternatywą tego wszystkiego była Bicki. Ciemnoskóra, nie mając jeszcze dwudziestu lat rockowa piosenkarka w jakiś sposób równoważyła rozkoszną jędzowatość Caitlin i zmanierowanie pięknej Mayi. Egoistyczne, trudne do zaspokojenia seksualne skłonności Bicki sprawiały, że oziębłość Caitlin i dzikie niepohamowanie Mayi dawały się jakoś znieść, a nawet stawały się interesujące. Dziwne, jak ta kombinacja trzech charakterów mogła pozwolić Byronowi Trumbo na zadowolające ułożenie sobie stosunków z całą trójką, ale tak rzeczywiście było i on to akceptował. Trudność polegała na utrzymaniu tego stanu. Trumbo nie miał złudzeń, że Maya nie zniosłaby obecności Bicki w jego życiu, gdyby to się wydało, więc robił co mógł, aby utrzymać rzecz w tajemnicy. Całkiem niedawno sensacyjna prasa poszeptywała o nowej znajomości Trumba, ale na szczęście Maya była zbyt wielką damą, aby sięgać po takie gazety. - Mmm - zamruczała supermodelka, budząc się z drzemki. Przejechała wypielęgnowanymi paluszkami po owłosionej piersi Trumba. - Mmm - odpowiedział Trumbo i pogładził ją po doskonale zaokrąglonej pupie. - Podnieś głowę, dziecinko. Muszę się szybko ubrać. - Nieee - zaprotestowała gwałtownie Maya. Kiedy Trumbo usiadł na brzegu łóżka, oparła się na łokciu. - Musisz zostać ze mną na noc.

- Przykro mi, dziecinko. Czeka już na mnie Will, Bobby Tanaka i paru innych. Mamy przed sobą parę godzin roboty, żeby przygotować się do porannej sesji z Sato.

- Oooo - jęknęła Maya. - Nie ucieszyła cię moja mała niespodzianka? Trumbo wciągnął szorty i spojrzał na nią przez ramię. Miała małe, ale zgrabne piersi, kuszące różowymi, drobnymi sutkami. Nie naciągnęła na siebie prześcieradła.

- Mam na myśli niespodziewany przyjazd - powiedziała, wymawiając każdą sylabę z bezbłędnym

brytyj skim akcentem. Według prasowej wersji jej życiorysu miała się wychować i chodzić do szkoły w Anglii, ale Trumbo wiedział, że pochodzi z New Jersey. Brytyjskiej wymowy nauczyła się dzięki intensywnym, sześciomiesięcznym korepetycjom, które pobierała w siedemnastym roku życia, kiedy była już zawodową modelką.

- Owszem - odparł Trumbo. - Ucieszyła mnie. Ale jestem piekielnie zajęty. Wiesz przecież, jak ważna jest ta transakcja. - Podniósł się i rozejrzał za swoją koszulą. Pod sufitem obracały się powoli ramiona wentylatora. - Nie chcę wchodzić ci w drogę - powiedziała z odrobinę tylko nadąsanąminą. - Wiem, że nie chcesz, dziecinko. - Trumbo wciągnął luźną hawajską koszulę i zaczął zapinać guziki. - Wyjedziesz stąd jutro rano. - Nie!

- Tak.

- Od dwóch lat obiecujesz mi wakacje w Mauna Pele. - Chryste Panie, Maya, obudziłaś się za późno. Wiesz chyba, że próbuję pozbyć się tego interesu.

Maya naciągnęła na siebie prześcieradło.

- Właśnie dlatego przyjechałam. Chciałam zobaczyć to miejsce, zanim je sprzedasz.

Trumbo potrząsnął głową i zaczął rozglądać się za sandałami.

- Musisz zmyć się stąd jutro z samego rana.

- Dlaczego? Jest tu jakaś inna?

Trumbo znieruchomiał i odwrócił się powoli w jej stronę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Maya wychyliła się z łóżka, wyjęła ze słomkowej torby jakąś gazetę i położyła ją na prześcieradle.

Trumbo wziął pismo do ręki, rzucił okiem na pierwszą stronicę i smyrgnął nim w kąt pokoju.

- To jakieś bzdury. Wiesz, że nie może być inaczej. - Wiem, że to samo powiedziałaś Cait, kiedy gazety zaczęły pisać o nas dwa lata temu.

Trumbo roześmiał się.

- Chyba nie mówisz poważnie. Nie chcę nawet słuchać czegoś takiego. Nigdy nie widziałem tej kobiety, nawet w telewizji.

- Nie? - zapytała Maya dziwnie drżącym głosem.

- Nie - odparł Trumbo.

- To dobrze. Bo gdybym tylko doszła do wniosku, że łżesz, mogłabym dostarczyć tym szmatławcom coś, co chętnie by szybko wydrukowały. - Wychyliła się znowu z łóżka, ukazując spod prześcieradła jeden z kształtnych cycuszków, i wyciągnęła z torby coś jeszcze.

- Chryste Panie - stęknął Trumbo, gapiąc się wytrzeszczonymi oczami na niklowany pistolet w zgrabnej rączce. Pistolet był mały, może trzydziestka dwójka, ale Trumbo odczuwał respekt wobec wszystkich automatycznych pistoletów bez względu na kaliber. -Chcesz mnie nastraszyć, dzieciaku? - Coś ty, Byron, nie mam zamiaru cię straszyć - powiedziała Maya suchym brytyjskim akcentem. - Ale naprawdę nie pozwolę, żeby ktoś robił ze mnie idiotkę. Wierz mi.

Trumbo poczuł, że wzbiera w nim wściekłość. Zaczynał mieć tego wszystkiego dość. Nie panował już nad niczym. Zrobił pół kroku w kierunku łóżka, żeby wyjąć pistolet z dłoni tej zepsutej dziwki i walić ją dotąd, aż zacznie krzyczeć. Z wiklinowego fotela doszedł skrzekliwy sygnał krótkofalówki. Trumbo zatrzymał się i wziął aparat do ręki.

- Tak?

- Szefie - ozwał się głos Willa Bryanta - powinien pan tu wrócić. Trumbo nie spuszczał z oka Mayi. Nie wycelowała w niego z pistoletu, ale oparła go na uniesionym kolanie i przyglądała się swoim paznokciom. Trumbo poczuł, że swędzą go dłonie, żeby ją sprać na kwaśne jabłko. - Dlaczego? - rzucił do mikrofonu.

- Chodzi o Briggsa i Dillona - odparł chrapliwym głosem Will.

- Co z nimi?

- Niech pan tu lepiej wróci.

- Będę za chwilę. - Trumbo nacisnął guzik wyłącznika, a potem wycelował grubym palcem w Mayę. - Oddaj mi to.

Supermodelka błysnęła oczami.

- Nie.

- Jeszcze wpakujesz sobie sama jakąś pieprzoną kulkę.

- Może i tak. - W chwilach złości nie panowała już tak bardzo nad swoją wymową.

- To także spodoba się sensacyjnym brukowcom.

Trumbo zrobił krok w jej kierunku i zatrzymał się. - Posłuchaj, kochanie... Będę tobą szczery. Jest tu Caitlin. Ze swoim adwokatem. Przylecieli dziś wieczorem bez ostrzeżenia. Maya zacisnęła usta.

- Ta wiedźma? A po co?

- Próbuje przeszkodzić w transakcji z Sato. Założyła razem z Koestlerem coś w rodzaju spółki inwestycyjnej, no i oboje doszli do wniosku, że zdołają wyrwać mi Mauna Pele za śmiesznie niską cenę... Odgrają się, że uniemożliwią mi sprzedaż.

Maya rzuciła mu chmurne spojrzenie.

- Czy ona nie zdaje sobie sprawy, z kim ma do czynienia? Nie poznała cię jeszcze?

- Jak widać, nie - odparł Trumbo. - Schowaj wreszcie tę zabawkę. Maya wrzuciła pistolet do torby. Trumbo wahał się przez chwilę, czy nie zabrać jej tej torby, potem jednak dał spokój.

- Potrzebuję twojej pomocy, dziecinko.

- Jak mogę ci pomóc? - Maya uniosła głowę. W przyćmionym świetle świec ukazały się jej idealne kości policzkowe.

- Tak, że dostaniesz jutro skrzydełek i odleciez stąd. Nie możesz dopuścić, żeby Caitlin wywahała cię tutaj i dodała to do listy spraw, za które będzie się mścić na mnie.

Maya odęła doskonale wykrojoną dolną wargę. Trumbo przysiadł na brzegu łóżka i zaczął pieścić przez prześcieradło jej nogę.

- Posłuchaj, maleńka. To kwestia najwyżej miesiąca. Będę miał z głowy tę zastraną sprawę i weźmiemy ślub. Jak sprzedam Mauna Pele, wszystko wróci znowu na miejsce. Spędzimy miesiąc miodowy, gdzie tylko sobie zażyczysz. Zaufaj mi. Maya uniosła ku niemu twarz.

- Więc to nieprawda, co napisali o tej... jakiejś tam Bicki?

- Nigdy nie słyszałem nawet o kimś takim.

Maya oparła się na łokciu i przytuliła krótko ostrzyżoną głowę do ramienia Byrona.

- Dobrze, zrobię, o co prosisz. Ale musisz wrócić tu i spędzić ze mną resztę nocy.

Trumbo wahał się z odpowiedzią nie dłużej niż sekundę.

- Tak. Jasne. Ale daj mi ten pistolet.

Maya odłożyła torbę tak, żeby nie mógł jej dosięgnąć. - Nie. Słyszałam przerażające rzeczy o tym hotelu. Sam mi mówiłeś, że zaginęło tu kilka osób.

Trumbo westchnął. Więc po co u diabła tu się pchałaś, ty mała idiotko? - pomyślał.

- Posłuchaj, kochanie - powiedział. - Przez cały czas stoi tam na deszczu dwóch facetów, którzy pilnują twój ego hale.

Maya spojrzała w stronę nie zasłoniętych niczym okien. - Oni nie mogą zajrzeć do środka - zapewnił Trumbo. - Jesteśmy przeszło trzy i pół metra nad ziemią, a od zachodu są tylko skały i Pacyfik. W każdym razie pistolet nie jest ci do niczego potrzebny.

- Zatrzymam go do twojego powrotu.

Trumbo wzruszył ramionami. Znał już ten ton jej głosu. Cieszył się, że najczęściej ludzie, z którymi musiał prowadzić negocjacje, to mężczyźni. - Okay, dziecinko, ale wrócę późno. Mam przed sobą naprawdę kupę roboty.

Maya wsunęła się pod prześcieradło. Widać było tylko jej ogromne oczy.

- Będę na ciebie czekała.

Trumbo pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. Wyszedł na werandę i przystanął. Wsłuchując się w deszcz, bębniący o strzechę z palmowych liści nad Wielkim Hale, włączył krótkofalówkę.

- Will?

- Słucham, szefie. Odbiór.

- Co to za zaszra historya z tym Briggssem i Dillonem? Przez chwilę słyhać było tylko szum i trzaski.

- Nie jestem pewien, czy ta częstotliwość jest bezpieczna...

- Gadaj, o co chodzi.

- Dillon jest w ambulatorium. Briggs zaginął. Odbiór. Trumbo oparł się o poręcz werandy. Fale przyboju rozbijały się z łoskotem o wulkaniczne skały o niecałe dziesięć metrów od głównego wejścia do hale. Gdzieś z tyłu zajaśniała błyskawica.

- Co się stało? Odbiór.

- Jeszcze nie wiemy. Dillon nie może mówić. Coś jest chyba tam na dole, w... - Szumy i trzaski od pioruna, który z grzmotem przewalił się nad czubkami palm, zagłuszyły słowa sekretarza.

- Will? Słyszysz mnie?

- Tak. Odbiór.

- Zaraz przyjadę, żeby się rozejrzeć... - Trumbo zawiesił głos i spojrzał na zamknięte drzwi za swoimi plecami. - Przedtem zajrzę jeszcze do budowlanego baraku. Każ Fredricksonowi przysłać tu jeszcze jednego człowieka do pilnowania hale z Mayą i powiedz mu, żeby za jakieś czterdzieści pięć minut przyjechał po mnie do baraku. Niech zaczeka na dworze.

- W porządku, panie Trumbo. Ale wydaje mi się, że mógłby pan może... - Zobaczymy się mniej więcej za godzinę - przerwał mu Trumbo. Włożył aparat do kieszeni i zbiegł ze schodów do krytego wózka golfowego. Kiedy uruchomił mały pojazd, smuga światła z jego jedyne go reflektora oświetliła strugi deszczu i kępy bujnej roślinności. Zawrócił na asfaltowej drodze i ruszył z powrotem brzegiem półwyspu. Dziesięć metrów dalej zatrzymał się, żeby porozmawiać z mężczyzną, skulonym w

mrocznym cieniu pod jakimś drzewem. - Michaels, to ty?

- Tak, proszę pana. - Ochroniarz miał na sobie przemoczoną wiatrówkę i baseballową czapkę, z której daszka ściekały strugi deszczu. - Gdzie twój kolega?

- Williams pilnuje z drugiej strony, od północy... Patrolujemy na zmianę.

Trumbo kiwnął głową.

- Fredrickson przyśle wam jeszcze jednego człowieka. Masz krótko falo wkę? - Tak, jasne. - Michaels dotknął ręką słuchawki i małego aparatu, przytwierdzonego do paska od spodni.

- Powiedz im, żeby ci podrzucili jeszcze jeden pistolet- powiedział Trumbo. -1 oddaj mi ten, który masz przy sobie.

- Przyślą mi?... Już, zaraz. - Ochroniarz sięgnął pod wiatrówkę, wyjął broń i wyciągnął w stronę Trumba. - To browning, panie Trumbo. Dziewięć milimetrów. Bezpiecznik znajduje się...

- Tak, wiem - odparł Trumbo. - Mam taki sam. Zatelefonuj do Fredricksona i powiedz mu, żeby przysłał ci inny.

- Tak jest, proszę pana.

Trumbo ruszył z cichym szumem opon, ale po chwili zorientował się, że Michaels biegnie obok wózka.

- O co chodzi?

- Och, nic, panie Trumbo... zastanawiałem się tylko...

- Nad czym?

- Hmm, przyszło mi do głowy... chodzi o to, że jak już panu nie będzie potrzebny... znaczy się, mógłby mi pan zwrócić mój pistolet? Kupiła mi go pierwsza żona. Mam do niego... rozumie pan... sentyment. - Chryste Panie - rzucił Trumbo przez zęby i dodał gazu.

17 czerwca 1866 roku, Wybrzeże Kona

Siedzieliśmy w opuszczonym szałasie, w którym znaleźliśmy schronienie przed deszczem i wiatrem, kiedy przerażone czymś konie zaczęły się rzucać i rzeć. Wielebny Haymark skoczył na równe nogi, a pan Clemens sięgnął do kieszeni płaszcza po ogromny pistolet, pożyczony w zajeździe na wulkanie. Wszyscy troje stanęliśmy w otwartych drzwiach szałasu i zaczęliśmy wyglądać w mrok i deszcz. Między kamiennymi murami heiau widać było poruszające się pochodnie. Poprzez hałas czyniony przez wystraszone zwierzęta usłyszałam dźwięki bębnów i fletni, wygrywających jakąś dziką melodię. Wielebny Haymark próbował uspokoić konie, podczas gdy ja z panem Clemensem obserwowaliśmy migające pośród kamieni światła. - Kapu o moel - doszedł nas krzyk od strony świątyni. - Kapu o moel - Co tam się dzieje? - zapytałam szeptem.

- To jest wołanie nakazujące zamknąć oczy albo rzucić się na twarz - odszepnął wielebny Haymark, nie przestając głaskać uspokajająco końskich pysków. - Wydaje mi się, że pojawia się ono tylko wtedy, gdy przechodzi orszak królewski. Albo podczas przemarszu Nocnych Wędrowców.

- Nocnych Wędrowców? - szepnął cicho korespondent, który nadal dzierżył w dłoni pistolet. Jego oczy błysnęły w mroku. - Duchów? - Krajowcy wierzą, że w tych procesjach wracają ze świata umarłych ich dawni królowie - powiedział trochę głośniejszym głosem kapłan, jakby dla podkreślenia, że tego rodzaju przesady są mu zupełnie obce. - Czasami przychodzą w ten sposób sami bogowie.

Pochodnie i flety dały się słyszeć zza najbliższej kamiennej ściany heiau, od której dzieliła nas tylko mała, otwarta polanka. Drzewa przygięły się pod uderzeniem wiatru, jakby od strony lądu przetaczał się potężny cyklon, walcząc o lepsze ze sztormową wichurą od oceanu. Mimo wysiłków

wielebnego Haymarka konie szarpały się nadal na postronkach, świecąc białkami oczu.

- Chodźmy - powiedziałam i jak pchnięta nagłym impulsem wyskoczyłam na deszcz. Pan Clemens potruchtął wolno za mną. Wielebny Haymark krzyknął coś do nas, a potem, upewniwszy się, że końskie postronki uwiązane są dość mocno, pospieszył za nami przez polankę.

Jakieś dwadzieścia metrów dzieliło nas od krańca kamiennej ściany, za którą znajdowało się wejście i dziedziniec świątyni. Kiedy obeszliliśmy tę przeszkodę, procesja zdążyła już odejść dalej. Światła pochodni migwały teraz po drugiej stronie pogańskiej świątyni i stamtąd też dobiegały nas śpiewy i dźwięki fletów.

Trochę zdyszana od biegu przez polanę, powiedziałam do pana Clemensa:

- Oni wcale nie śpiewają tak, jakby byli duchami. - Może i tak - odparł korespondent i wskazał ręką dno korytarza między kamiennymi ścianami, w którym przystanęliśmy.

Padający przez cały dzień deszcz zamienił wąską ścieżkę w błotne grzęzawisko. Pozostawiliśmy za południowym załomem ściany wyraźnie odcisnięte ślady naszych butów, a brodzący ku nam wielebny Haymark wyciągał nogi z gęstej papki z charakterystycznym odgłosem przypominającym ssanie. Ale w mulistym podłożu nie było nawet śladu po procesji, która dopiero co tędy przeszła. Dotknęłam dłonią policzka.

- Czy nie mogli przejść inną drogą? - Ale odpowiedź narzucała się sama: dalej była już tylko masywna ściana samej świątyni. Procesja musiała przejść tym błotnistym korytarzem, bo inaczej nie moglibyśmy dostrzec pochodni. - Powinniśmy wracać - powiedział wielebny Haymark dysząc ciężko. Z jego kapelusza i ramion spływały strugi deszczu. - Nie mamy latarni ani nawet świec. Jakby w odpowiedzi na to stwierdzenie błyskawica oświetliła palmy i skały wokół nas.

- Muszę to zobaczyć - powiedział pan Clemens. Zauważyłam, że jego pistolet powędrował z powrotem do kieszeni płaszcza. Korespondent ruszył mulistą ścieżką, a ja za nim. Wielebny Haymark mruknął coś pod nosem, ale pospieszył za nami. Zanim doszliśmy do północnego krańca świątyni, procesja zdążyła już wejść do rosnącego z tyłu zagajnika. Wciąż słyhać było wołania: Kapu o moe, ale z coraz większej odległości. Ruszyliśmy ścieżką znikającą między drzewami. Ziemia usłana była palmowymi liśćmi z ogołoconych aż po czubki koron drzew. Pan Clemens zadarł głowę, próbując dostrzec coś w ciemności.

- Jak oni poucinali te liście? I po co?

- Dawny zwyczaj nakazuje, aby w czasie przemarszu bogów nic nie wisiało nad ich głowami - wyjaśnił kapłan. - Ale według tych samych tradycyjnych przekazów procesji bogów nie towarzyszy muzyka. Tylko zmarli wodzowie maszerują przy dźwiękach piszczałek.

Zobaczyłam w migotliwym świetle błyskawicy, że pan Clemens unosi krzaczaste brwi.

- Wielebny ojcze, wydaje mi się, że wie pan bardzo wiele o wierzeniach tych pogan, jak na człowieka noszącego duchowne suknie. - Miałem przyjemność pracować wspólnie z panem Hiramem Binghamem z Oahu nad jego kompendium, zawierającym streszczenia etiologicznych traktatów o krajowcach z Wysp Sandwich i ich osobliwych wierzeniach.

Pan Clemens kiwnął głową i wyciągnął rękę w stronę ddałającej się procesji. - No cóż, jeżeli nie podyrdamy za nimi, i to żwawo, to żywe kompendium osobliwych wierzeń zniknie nam z oczu. Ciekawi mnie, co aż tak ważnego wypiarze widzą w takim marszu, że gotowi są łązić po deszczu i narażać na przemoczenie swoje pióra.

Zagłębiliśmy się w las. Przy każdej błyskawicy można było zobaczyć odciski naszych butów na błotnistej ścieżce, która aż do naszego nadejścia wydawała się nietknięta ludzką stopą. Wszędzie

leżały gałęzie i konary, jakby jakaś niewidzialna siła zmiatała wszystko, co mogło się znaleźć nad upiornym orszakiem, chociaż większość drzew mogła mieć dwadzieścia albo i więcej metrów wysokości.

Znalazłszy się o jakieś pół kilometra na północ od świątyni mieliśmy już dość i byliśmy gotowi wracać. Burza odsunęła się w głąb łądu i nic nie oświetlało nam drogi. Wyrzucalam sobie, że nie zabrałam świec z mojej sakwy. Daleko w przodzie migały nam jeszcze światła pochodni, ale nie wyglądało na to, abyśmy mogli je dopędzić. Nie docierały już do nas dźwięki fletów ani śpiewy. Deszcz przestał wreszcie padać i kapąły już tylko krople z przemokniętych drzew. Moja odzież była przemoczona aż do bielizny.

Zatrzymaliśmy się na małej polance, aby zastanowić się nad powrotem, kiedy w świetle ostatniej, dalekiej błyskawicy zobaczyliśmy otaczającą nas scenę.

Ścieżka zakręcała ku wschodowi i od tego miejsca biegła w dół, zmierzając najwyraźniej kującej z nielicznych piaszczystych plaż, które oglądaliśmy wcześniej ze zbocza wulkanu. Przez zasłone ostatnich drzew i krzewów, za którymi ścieżka dotykała już nadbrzeżnych urwisk, widać było światła pochodni. Naszym oczom ukazała się też polanka, na której staliśmy. Soczysta trawa usłana była gałęziami i głazami, tu i ówdzie leżały też kokosowe orzechy, przypominające odcięte, włochate głowy. Ledwo to porównanie przemknęło mi przez myśl, kiedy dostrzegłam prawdziwą głowę, leżącą na trawie; obok niej białeły poodcinane ramiona. Wydałam stłumiony krzyk i w tej samej chwili zobaczyłam w świetle błyskawicy przerażenie na twarzy pana Clemensa, który sięgnął do kieszeni po pistolet. Na polanie wokół nas leżało co najmniej pół tuzina nagich ciał, zastygłych w przypadkowych, śmiertelnych pozach.

Światło błyskawicy zamarło. Znowu otoczyła nas mroczna dżungla, której nie mogły rozświetlić ani gwiazdy, ani nawet poświata od dalekiego wulkanu Kilauea, osłoniętego całunem burzowych chmur, które odsunęły się w jego kierunku. Usłyszałam przekleństwo rzucone w ciemności przez stojącego o kilka metrów ode mnie pana Clemensa i niewyraźne chrząknięcie oddalonego jeszcze bardziej wielebnego Haymarka, i w tej samej chwili poczułam wyraźnie, że łapie mnie za kostkę lodowata ręka, ukryta w wysokiej trawie. Na szczęście, pomyślała później Eleanor, Cordie nie wypaliła ze swój ego wielkiego pistoletu w kierunku, z którego zbliżały się ku nim czyjeś kroki. Eleanor bała się, że Cordie może to zrobić, bo wycelowwała w tego kogoś, kto zbliżał się z głębi mrocznych katakumb.

W małym kręgu światła ukazał się wysoki młody mężczyzna w eleganckim garniturze, ze zgrabnie związanymi z tyłu długimi włosami. Cordie opuściła pistolet.

- Pan Dillon! - wykrzyknął przybysz i szybkim krokiem podszedł do miejsca, w którym Paul Kukali podtrzymywał opartego o ścianę ранego szefa ochrony. Młody człowiek przesunął rękę przed wytrzeszczonymi oczami Dillona i powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych osób. - Co się stało?

- Nie wiemy - odparł Paul. - Przechodziliśmy tędy, kiedy nagle zgasły światła. - Kim pan jest? - zapytała wysokiego młodzieńca Cordie. Jej pistolet powędrował z powrotem do słomkowej torby.

- Nazywam się Will Bryant. Jestem osobistym sekretarzem pana Trumbo. A pani... chyba mam przed sobą laureatkę konkursu, panią Stumpf, prawda? Po co pani ta broń?

Cordie uśmiechnęła się.

- Nie domyśla się pan, panie Bryant? Czy nie znajdujemy się w ośrodku, w którym goście znikają jak kanapki na urodzinowym przyjęciu? Will Bryant mruknął coś i zwrócił się do Paula.

- Pomoże mi pan zaprowadzić go na górę?

- Oczywiście, ale... - W tej samej chwili zapaliły się światła. Cordie przymrużyła oczy i zgasiała zapalniczkę. - ...ambulatorium dla pracowników jest tu, na dole - przypomniał Paul.

Bryant potrząsnął głową.

- Zamierzamy zamknąć na jakiś czas te serwisowe tunele. Zabierzemy Dillona do punktu medycznego dla gości w Wielkim Hale.

- Będzie mu potrzebny prawdziwy szpital - zauważyła Cordie. Will Bryant i Paul ujęli szefa ochrony pod rękę i pomogli mu stanąć na nogach. Dillon nie protestował, ale też nie okazał nawet cienia ochoty, aby im pomóc w tym manewrze.

- Tak, rzeczywiście - powiedział sekretarz Trumba - najpierw będzie musiał obejrzeć go lekarz z ambulatorium dla pracowników. Czy pan Dillon powiedział, co mu się przydarzyło?

- Ani słowa - pospieszyła z odpowiedzią Eleanor i wskazała ręką otwarte drzwi, nad którymi wisiała tabliczka z napisem: KIEROWNIK PRACOWNI ASTRONOMICZNEJ. - Przyszedł gdzieś stamtąd.

Will Bryant kiwnął głową.

- Doktorze Kukali, mógłby pan podtrzymać go tak przez chwilę? Kustosz ujął Dillona mocniej pod rękę, a Will podszedł do otwartych drzwi, zajrzał do astronomicznej pracowni i powoli je zamknął.

- W porządku - powiedział wracając na miejsce, a potem przełożył sobie bezwładną rękę Dillona przez bark.

Korytarz wypełnił się ludźmi pracującymi w pralni i w piekarni. Wszyscy kierowali się do wyjścia.

- Możecie państwo iść do domu - oznajmił Bryant, przedstawivszy się pracownikom. - Kierownicy zmian niech się zgłoszą do biura pana Cartera. Wszyscy pozostali mają wolne. - Z wyrazem ulgi na twarzach pracownicy zaczęli znikać na schodach i rampie, prowadzącej do Wielkiego Hale.

- Kiedy zgasły światła, byłem w głównym korytarzu - powiedział Will Bryant, kiedy udało się im doprowadzić Dillona do windy w podziemiach Wielkiego Hale. - Zobaczyłem błysk pani zapalniczki i ruszyłem w tę stronę. Nie chciałem pani przestraszyć.

- Wcale się pana nie zlekłam - odparła Cordie.

- Myślę, że powinna pani zostawić broń w depozycie na recepcji, aż do wyjazdu - poradził sekretarz Trumba. - Noszenie przez gości ukrytej broni jest zabronione. Nie pozwala na to prawo i nasze wewnętrzne przepisy. - Założę się, że wasze przepisy zabraniają też psom biegania po terenach ośrodka z ludzkimi rękami w zębach. No i wystawiania szefa waszej ochrony, żeby coś go porało pazurami tak, że wszystko wisi na nim w strzępach. Zgadza się? - mruknęła Cordie.

Will Bryant nie odpowiedział.

- Zatrzymam rewolwer przy sobie - stwierdziła Cordie. - Jeżeli nie spodoba się to panu Trumbo, to proszę powiedzieć mu w moim imieniu, że może mnie pocałować w różowiułkapupę rodem z Illinois.

Bryant uśmiechnął się powściągliwie.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. Razem z Paulem wyprowadzili Dillona z windy i skierowali się wyłożonym lśniącymi kafelkami korytarzem do punktu medycznego. Bryant zatelefonował wcześniej z kieszonkowego aparatu, toteż przed drzwiami oczekiwał ich doktor Scamahorn. - Dziękuję paniom za pomoc - zwrócił się Bryant do obu kobiet. - Doktorze Kukali, czy mógłby pan

zaczekać chwilę, żebym zamienił z panem kilka słów?

Paul spojrział na Eleanor.

- Odprowadzałem właśnie obie panie do ich pokojów. Pani Perry mieszka w oddzielnym hale.

- Nie potrzebujemy pańskiej eskorty - stwierdziła Cordie, zrzucając na ramię ciężką torbę. -

Proszę pożyczyć nam parasolkę, która tam stoi, a ja odprowadzę Eleanor do jej domku.

Eleanor chciała już powiedzieć, że może z powodzeniem pójść sama, ale ton głosu Cordie dał jej do zrozumienia, że jej nowa znajoma chce z nią porozmawiać.

Ruszyły razem przez odkryty hol do klatki schodowej, minęły widokowy lanai i poszły dróżką w kierunku plaży. Burza prawie przeszła, siąpił tylko nieduży deszczyk. Wielki Hale za ich plecami błyszczał orgią świateł, dróżka oświetlona była gazowymi pochodniami i elektrycznymi lampami, umieszczonymi tuż nad ziemią po obu jej stronach. W milczeniu minęły Piracki Bar i skręciły ku południowi na wijącą się pośród tropikalnej roślinności ścieżkę, mijając ciemne, stojące na wysokich palach hale. Światło na werandzie domku Eleanor włączało się automatycznie, ale w środku, za zaciągniętymi zasłonami, było ciemno. Eleanor przekręciła klucz w zamku i odwróciła się, żeby zapytać: „Masz może ochotę na

...

Cordie położyła palec na ustach, wyciągnęła pistolet, odsunęła Eleanor na bok i weszła do środka, zapalając po drodze światła. W chwilę potem powiedziała:

- Możesz wejść. Nie miałam zamiaru urządzać przedstawienia, ale to był dziwny dzień. Przyszło mi do głowy, że gdyby ktoś chciał wyskoczyć nagle z kąta, nie szkodziłoby, gdyby się nadział na osobę trzymającą w ręku taką pukawkę. Eleanor wyminęła ją i poszła zapalić lampę koło łóżka. Domek był nieduży, ale komfortowo urządzony i tak samo czystutki i schludny, jakim zostawiła go rano. Nie... jeszcze bardziej, bo ktoś zasłał łóżko i zostawił kwiatusek na poduszce. Eleanor wzięła go do ręki i ruchem ręki wskazała Cordie trzcinowy fotel koło małego biurka, stojącego przy zaciągniętych zasłonach. Sama usiadła w drugim fotelu i położyła kwiatek na blacie biurka.

- Chciałaś ze mną porozmawiać?

- Tak - powiedziała Cordie, włożyła rewolwer do torby i wyjęła z niej sporych rozmiarów butelkę. Postawiła ją na biurku i wróciła, aby wyjąć kieliszki z kuchennego schowka.

- „Sheep Dip” - przeczytała Eleanor głośno napis na etykiecie. - A tak naprawdę, co to za mikstura?

- Tak naprawdę to najzwyczajniejsza gorzalka pod słońcem - powiedziała Cordie stawiając dwa kieliszki i siadając w fotelu. - Ośmioletnia szkocka whisky, poj edynczy malt, który pędzą małe angielskie gorzelnie. Pijasz czasami whisky? Eleanor skinęła głową. Pijała z przyjemnością whisky w czasie wycieczek do Szkocji, stała się też wielkim smakoszem drogich marek dawno temu, kiedy chodziła z pewnym pilotem. Ale nigdy nie widziała whisky z taką nalepką. - Ta, i jeszcze „Pig’sNose”, to moje ulubione marki - powiedziała Cordie. - Są lepsze od Glenlivet’a i tych najbardziej rozreklamowanych firm. - Nalała do obu kieliszków na trzy palce i podała jeden Eleanor. - Bez lodu? - zapytała Eleanor. - 1 bez wody?

- Rozcieńczać taką słabiznę? - zapytała Cordie i prychnęła pogardliwie. - Nie ma mowy. Do dna, Nell.

Wypiły jednocześnie. Eleanor poczuła miłe ciepło, rozchodzące się po ciele od łagodnego trunku. Kiwnęła z uznaniem głową.

- O czym chciałaś porozmawiać?

Cordie oparła się głębiej w fotelu i chwilę spoglądała przez zasłony na zaglądającą do okna zieleń. Odwróciła głowę od okna, uniosła swój kieliszek i powiedziała:

- Chętnie pogadałabym o tym, po co każda z nas tu przyjechała. Nie chodzi mi o wymyślanie jakichś bzdurnych wykrętów, ale o prawdziwe powody.

Eleanor przez moment przyglądała się małej kobiecie. - Zgoda - powiedziała w końcu. - Ty pierwsza. Cordie pociągnęła łyceczek z kieliszka i uśmiechnęła się.

- Mnie skłoniły do tego takie sobie głupie sentymenty. Chyba chciałam wrócić do moich lat dzieciennych.

Eleanor zdumiała się.

- Do twoich lat dzieciennych? Cordie roześmiała się. - Miałam bardzo dziwne dzieciństwo. Chyba można je tak określić. Częściowo wypełniły je... takie różne przygody. Kiedy usłyszałam, że w Mauna Pele dzieją się zdumiewające rzeczy, przyszło mi do głowy, że... mogłabym przeżyć j jeszcze j edną.

Eleanor kiwnęła głową.

- I przekonałaś się, że nie można przeżyć dwa razy tego samego.

- Tak pisał Thomas Wolfe - powiedziała Cordie i napełniła znowu kieliszki. Spojrzała na Eleanor i dostrzegła na jej twarzy wyraz zdumienia, a zarazem przestachu. - No wiesz, mogłam to przeczytać w którejś z tych Great Books. Ale rzeczywiście... masz rację, to nie jest to samo. Ale nie był to jedyny powód.... - Zamilkła i zatopiła wzrok w kieliszku.

- A co jeszcze? - zapytała cichym głosem Eleanor. - Już od lat dziecięcych musiałam całkiem ciężko pracować - powiedziała Cordie Stumpf, kołysząc kieliszkiem pełnym złotawego trunku. - Widzisz, wyrosłam mieszkając niemal na wysypisku śmieci, więc było rzeczą normalną, że na początek zaczęłam pracować jako kierowca śmieciarki w Peorii. Wyszłam za mąż za właściciela firmy. - Urwała na moment. - Kiedy umarł, przejął prowadzenie zakładu... Mój drugi mąż ożenił się ze mną ze względu na tę firmę. Powiększyliśmy ją wspólnie. Kiedy wzięliśmy rozwód, Hubie dostał dom i kupę forsy, a firma została przy mnie. Mój trzeci mąż... cóż, on też miał zakład wywozu śmieci, więc chyba można by powiedzieć, że połączyliśmy nasze przedsiębiorstwa. - Cordie uśmiechnęła się, wypila do dna i nalala znowu. - Ruszaj się, Nell. Zostałaś mocno z tyłu. Eleanor wypila bez słowa.

- No, w ciągu ostatnich paru lat, kiedy podorastali chłopcy, wyszło na to, że całe moje życie będzie już do końca kręcić się wokół tych śmieci. Rozumiesz, co mam na myśli?

Eleanor kiwnęła głową.

- Trzy miesiące temu sprzedałam cały interes. A potem, dwa miesiące temu, dowiedziałam się, że mam raka - powiedziała Cordie. - W jajnikach. Powiedzieli mi, że będą musieli usunąć mi oba. A ja im na to: no to usuwajcie... nie sami już do niczego potrzebne. No i usunęli.

- Ojej!-wykrzyknęła cicho Eleanor.

Cordie skubnęła dolną wargę, a potem przejechała palcem po obrzeżu kieliszka.

- Po operacji wróciłam do sił naprawdę szybko. Zawsze miałam mocny organizm.

Powiedzieli mi, że ich zdaniem wszystko się udało. Uważali, że wyjdę z tego. Potem wygrałam ten konkurs „Wakacje z milionerami” i pomyślałam sobie, że szczęście mnie nie opuszcza. Tego samego dnia poszłam na badanie kontrolne i mój lekarz powiedział mi, że podejrzewają przerzuty. W

tym tygodniu miałam zacząć chemioterapię i naświetlania, ale poprosiłam ich, żeby odłożyli leczenie o sześć albo siedem dni, które chciałam spędzić tutaj.

Eleanor popatrzyła na siedzącą naprzeciwko niej w przyćmionym świetle kobietę. Zdawała sobie sprawę, jak niewielkie szansę mają pacjenci, u których nowotwór jajników przerzucił się na inne organy. Z takiego samego powodu umarła jej matka.

- Niech diabli porwą tę piekielną chorobę - powiedziała współczującym tonem i osuszyła do dna kieliszek.

- Tak więc, można by powiedzieć, jechałam do Mauna Pele z nadzieją, że tu naprawdę łożą jakieś potwory - ciągnęła Cordie. -A przynajmniej latają siekierami mordercy. Że napotkam coś przerażającego, ale ... rozumiesz, poza mną. Coś, czemu można się przeciwstawić, tak jak tam... eee... no, z czym można powalczyć.

- Tak, rozumiem - powiedziała Eleanor.

- Wiesz, kiedy rozglądałam się dziś po tym terenie, przyszło mi do głowy... czy nie można by urządzić w takim miejscu szpitala, w którym chorzy na raka mogliby się leczyć, a przy tym wypoczywać i odzyskiwać siły na plaży. Większość szpitali, jakie widziałam, są kubek w kubek takie, jak tamta mordownia w Chicago, do której sama jeżdżę... Przysypane śniegiem więzienia. - Masz na myśli stworzenie czegoś w rodzaju luksusowego hospicjum? - zapytała Eleanor.

Cordie potrząsnęła energicznie głową.

- Hospicjum? Takiego miejsca do umierania, w którym specjaliści od wysyłania na tamten świat mówią ci, w jakim jesteś stadium?

Broniłaś się jak mogłaś, dziecinko, ale teraz musisz się z tym pogodzić, inni czekają już w kolejce. Nie, to do niczego. Mówię o takim szpitalu, w którym możesz patrzeć, jak włosy wypadają ci garściami i jednocześnie opalać się na plaży. To wszystko.

Eleanor kiwnęła głową i wyrzała zza uchylonej zasłony na dwór. Krzewy za oknem ociekały wciąż deszczem. Zmysłowy zapach wilgotnej roślinności miał w sobie coś przygnębiającego.

- Taki szpital byłby kosztowny - powiedziała. - Mogliby się w nim leczyć tylko bogaci ludzie.

Cordie roześmiała się.

- Ja myślę. Leczenie raka kosztuje. Jakbyś zobaczyła szpitalny rachunek, pomyślałabyś, że to jakiś bzdurny żart. Ale tutaj pacjenci płaciliby tylko za przelot samolotem... można by też pomyśleć o czymś w rodzaju... no, takich stypendiów, żeby mogli przyjechać także biedacy. Zorganizować comiesięczną loterię na wakacje dla chorych na raka. Coś w tym stylu. Eleanor podsunęła do napełnienia swój pusty kieliszek. Szkocka whisky roznosiła po całym jej ciele miłe ciepłko.

- Myślę, że pan Trumbo ma inne pomysły. Zdaje się, że tym skrawkiem ziemi zawładną niedługo Japończycy.

- Tak, wiem. - Cordie zabrała się znowu do skubania dolnej wargi. - Można by pomyśleć, że świat potrzebuje właśnie tego. Nowych ekskluzywnych klubów golfowych. - Uniosła nagle głowę. -Nell, byłaś kiedy zakochana? Eleanor poczuła, że ogarniają zakłopotanie, starała się jednak nie dać tego poznać po sobie.

- Tak - powiedziała. Ton jej głosu nie zachęcał do drażenia tematu. Cordie skinęła powoli głową, jakby lakoniczna odpowiedź zadowalała ją w zupełności.

- Ja też. Raz. Och... ale kochałam wiele różnych osób. Dwóch z moich trzech mężów. Wszystkich moich synów. To była miłość tego rodzaju, która jest albo jej nie ma, wszystko jedno. Ale

zakochałam się tylko jeden jedyny raz. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem. - Zamilkła. Przez kilka sekund słycać było tylko deszcz kapiący na dworze z palmowych liści. - Nie przypuszczam nawet, aby on o tym wiedział - powiedziała w końcu.

- Nie powiedziałaś mu o tym? - Eleanor pociągnęła łyk whisky.

- Och, nie. To był jeden z chłopców z tego samego małego miasteczka, w którym mieszkaliśmy. Pojechał potem do Wietnamu, był naprawdę ciężko ranny, a potem został księdzem. Katolickim księdzem. Jednym z tych, którzy się nie żenią ani nie kładą z kobietami do łóżka. - Ooo! - wykrzyknęła cicho Eleanor. Miała już na końcu języka pytanie: „Nie czytałaś w gazetach? Oni śpią z babami częściej niż ci się kiedykolwiek śniło”. Powstrzymała się jednak. - Nie rozmawiałaś z nim od czasu, jak został księdzem? - zapytała głośno.

- Nie - odparła Cordie. - Od lat nie zaglądałam nawet do tego miasteczka. Ktoś mi mówił, że kilka lat temu zdjął sutannę i ożenił się, ale to już bez znaczenia, prawda? Wspomniałam o tym dlatego, że od kilku tygodni rozmyślałam o rzeczach, o których myślą wszyscy ciężko chorzy na raka. O utraconych szansach... zmarnowanym życiu... o całym tym gównie. - Nie zmarnowałaś swojego życia - powiedziała Eleanor. - Przeleciało zwyczajnie i prosto - zgodziła się Cordie. - Moi synowie są tego samego zdania, co i ty. Przez cały czas zajęta byłam ich wychowaniem i tymi śmieciami. - Odstawiła na biurko pusty kieliszek. - No dobra, Nell, a co z tobą? Dlaczego ty tutaj przyjechałaś?

Eleanor zaczęła obracać kieliszek w dłoni.

- Nie uważasz, że mogłam przyjechać tu po prostu dla wypoczynku?

Cordie potrząsnęła krótko obciętymi prostymi włosami. - Jestem pewna, że nie przyjechałaś tu tylko na wypoczynek. Nie jesteś typem kobiety, która włóczy się w czasie wakacji po takich wielkich ośrodkach. Powiedziałabym raczej, że w twoim guście byłaby wędrownica po Nepalu albo ekologiczne sranie po piętach w dorzeczu Amazonki. Eleanor uśmiechnęła się szeroko.

- Przyłapałaś mnie. Nepal złąziłam przed pięciu laty, a dwa lata temu po raz drugi. A na to ekologiczne... po piętach nad Amazonką wybrałam się siedemdziesiątym siódmym.

- Tak? - Cordie wysączyła do kieliszków resztę whisky. - To co tu robisz? Eleanor sięgnęła do torebki, wyjęła z niej dziennik cioci Kidder i położyła go ostrożnie na biurku upewniając się, że nie ma tam jakiejś wilgotnej plamy. Popchnęła go dwoma palcami w kierunku Cordie.

Cordie zawahała się.

- Mogę zajrzeć do środka?

- Tak.

Cordie wyłowiła z torebki okulary i zaczęła kartkować stary pamiętnik, zatrzymując się tu i ówdzie, a potem czytając już całe akapity. Po chwili gwizdnęła cicho przez zęby.

- Tu jest mnóstwo materiału, który pasuje jak ulał do tych dziwnych rzeczy, jakie dzieją się teraz.

- Tak - potwierdziła Eleanor.

- A ta Lorena Stewart - zapytała Cordie - była jakąś znaną kobietą, o której powinno się wiedzieć? Na przykład drugą żoną Lincolna czy kimś takim? Eleanor roześmiała się.

- Nie, nie była aż tak ważną osobistością, chociaż napisała kilka cudownych książek podróżniczych, całkiem dziś już zapomnianych. Jestem jej daleką kuzynką. Kiedy była już staruszką, wszyscy nazywali ją ciocią Kidder ze względu na specyficzne poczucie humoru, a po części i dlatego, że nosiła zawsze białe rękawiczki z kozłej skóry.

Cordie ostrożnie dotknęła książki czubkami palców.

- Więc po co tu przyjechałaś?

Eleanor nie odpowiedziała od razu. Chociaż whisky przyprawiła ją o lekki zawrót głowy, była zdumiona, że w ogóle rozmawia o tym wszystkim. - W tej książce jest wiele tajemnic - powiedziała w końcu. - Łatwiejsze do rozwiązania są te... dotyczące zjawisk, które opisała ciocia Kidder. Trudniej odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego nie wyszła w końcu za Samuela Clemensa. - Samuel Clemens... - powtórzyła głośno Cordie. - Przecież to Mark Twain, no nie?

- Tak.

- Byłam raz w miasteczku Hannibal - powiedziała Cordie. - Całkiem miła, nadrzeczna miejscina.

- Tak. Ja też tam byłam - powiedziała Eleanor. Jeździłam tam co dwa lata, dodała, ale tylko w myśli. Oglądałam rodzinny dom pisarza i zakurzone muzeum, tak jakbym się spodziewała, że znajdę tam klucz do wyjaśnienia decyzji cioci Kidder.

- A czy Mark Twain chciał się ożenić z tą Loreną Stewart? - No, cóż... - Eleanor znowu zawiesiła głos. - Jeżeli masz ochotę, możesz sama o tym poczytać. - Od chwili, w której ciocia Beanie podarowała jej ten pamiętnik, był on dla niej prawdziwym talizmanem. Nigdy nie pożyczyła go nikomu ani nie podzieliła się z nikim jego zawartością.

Cordie pokiwała powoli głową, jakby rozumiała znaczenie tego gestu.

- Jestem ci bardzo zobowiązana, Nell. Przeczytam go jeszcze tej nocy i oddam ci jutro. Nic mu się nie stanie.

Eleanor rzuciła okiem na zegarek.

- Mój Boże, już pierwsza po północy.

Cordie podniosła się z fotela, oparła się jedną ręką o biurko i włożyła dziennik do torby.

- Ej, chyba kręci mi się w głowie - powiedziała. - Ale co tam, jesteśmy na wakacjach.

- Strasznie się martwię, że będziesz musiała wracać sama do Wielkiego Hale.

- Dlaczego? - zapytała Cordie Stumpf. - Deszcz przecież ustał.

- Tak, ale... - odparła Eleanor. - Chodzi o te... - Potwory? - dokończyła Cordie i uśmiechnęła się szeroko. - Mam nadzieję, że one rzeczywiście tu są. Cholernie mi na tym zależy. - Wyjęła rewolwer, zważyła go w dłoni, a potem schowała z powrotem i ruszyła do wyjścia. - Do zobaczenia jutro, Nell. Nie martw się o dziennik cioci Kidder. Każdy, kto mi go zechce zabrać, będzie musiał rozprawić się najpierw ze mną.

- No, to do jutra - zawołała za nią Eleanor, kiedy Cordie ruszyła krętą dróżką, aby po chwili zniknąć w zielonej gęstwinie.

Rozdział piętnasty

Wyrzucone przez ogień skały uderzają w słońce;

Ogień wylewa się w Puna do morza;

Rozświetla się morze koło Ku-ku 'i.

Bogowie nocy stoją przy wschodniej bramie,

Mającą szkielety drzew po spalonych gajach.

Co oznacza to wszystko? Oznacza to, że świat uległ całkowitemu spustoszeniu.

Hymn Hi'iaka'i do Pele

Dopiero po piątej Byron Trumbo położył się do łóżka, a właściwie zwałił koło Mayi, aby po półtoragodzinnej drzemce zerwać się i wziąć prysznic. O siódmej musiał wziąć udział w roboczym śniadaniu z grupą Sato.

To, co spotkało go w budowlanym baraku, mogłoby być urzeczywistnieniem któregoś z jego młodzieńczych marzeń. Bicki czekała na niego w wejściu. Była naga i rzuciła się na niego, zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi albo zasunąć żaluzje w oknach. Na werandzie od strony morza czekała ciepła kąpiel. Trumbo zaniósł tam drobną postać rockowej gwiazdki i wrzucił ją do wanny, a potem ściągnął z siebie ubranie, żeby do niej dołączyć. Wciągnęła go, zanim zdołał oswobodzić się ze spodenek.

Trumbo nie oceniał nigdy zbyt nisko swojego wigoru i seksualnych możliwości, ale po wcześniejszych miłosnych zapasach z Mayą i całym męczącym dniem, dziewięćdziesiąt minut z namiętną Bicki wystarczyło, aby był gotów osunąć się do bulgocącej, gorącej wody. Ostatecznie wyplątał się jakoś z objęć dziewczyny, ubrał i wygłosił przeciwiczony już monolog o Caitlin próbującej storpedować transakcję z Sato. Przemowa nie zrobiła na młodej piosenkarce żadnego wrażenia, bo Bicki nie interesowały prowadzone przez niego interesy. Zabrał się więc do przekonywania jej, że powinna wyjechać z samego rana. - Ojej - zrobiła kwaśną minę siedemnastolatka- dopiero co przyjechałam. - Ułożyła jedną z długich jasnobrązowych nóg na ogromnej poduszce i zapytała: - Czyżby cię to zaskoczyło, T.?

- Tak, zaskoczyło mnie - odparł Trumbo, zapinając guziki hawajskiej koszuli. - Nie mów do mnie T.

- Okay, T. - powiedziała Bicki. - Nie będę mówić ci T. A w ogóle to dlaczego chcesz, żebym wyjechała?

Trumbo nie odpowiedział od razu. Bicki pochodziła z Selma w Alabamie. Zwykle podobał mu się jej południowy akcent i używane bez żadnego zażenowania gwarowe zwroty. Dziś wieczorem jednak drażniły go one zupełnie tak samo, jak okrągłe samogłoski Caitlin rodem z Nowej Anglii i fałszywy brytyjski akcent Mayi. Do tego całkiem zapomniał o tym jej cholernym, podziurawionym języku. Kiedy w najbardziej gorącym momencie zabrał się do całowania, oczywiście z języczkiem, wymacał tam dwie małe metalowe kuleczki i o mało nie wyleciał z wanny. - Rozpraszasz mnie, malutka - powiedział w końcu. - Muszę zachować skupienie, jest mi potrzebne do negocjacji.

Bicki przeciągnęła udem w górę i w dół po poduszce.

- Nic mnie nie obchodzi twoje skupienie, T. Ani mnie twoje, pomyślał Trumbo.

- Wiem, malutka, ale te negocjacje są bardzo delikatne.

Bicki przeciągnęła po udzie długimi palcami.

- Ale ja się znam na delikatnych rzeczach, T.

Trumbo ujął w dłoń jej paluszki, pocałował je, chwycił leżący na podłodze radiotelefon i browninga dziewięć milimetrów, po czym ruszył do drzwi. - Wpadnę do ciebie z rana, malutka. Ale jutro wracasz na Antiguę. - Na szczęście Bicki wolała spać sama.

- Jutro - wycedziła Bicki przeciągając słowa - będzie całkiem nowy dzień. Trumbo przystanął w drzwiach, rozejrzał się na wszystkie strony, po czym pobiegł lekkim truchtem w zamierającej mżawce w kierunku czekającego wózka golfowego. Nagle stanął jak wryty i sięgnął po browninga na widok czarnej jak noc postaci, która wyłoniła się z gąszczy i ruszyła pędem w jego stronę. - O, cholera - rzucił Trumbo wsuwając browninga z powrotem do kabury trzęsącymi się palcami. - Nie strasz mnie tak więcej.

- Przepraszam, panie Trumbo - powiedział Lamont Fredrickson. Ciemnoskóry zastępca szefa ochrony ubrany był całkiem na czarno. Trumbo zapomniał, że prawie godzinę temu kazał mu czekać tu na siebie. Obejrzał się w kierunku nie zasłoniętych okien, przez które widać było jak na talerzu Bicki, leżącą w pełnym świetle na łóżku.

- Podobało ci się? - zapytał Fredricksona.

Ochroniarz okazał się człowiekiem na tyle rozsądnym, że nie odpowiedział na pytanie ani nawet się nie uśmiechnął.

- Co z Dillonem? - zapytał Byron Trumbo. Fredrickson dotknął ręką radiotelefonu i wzruszył ramionami.

- Pan Bryant nic mi nie powiedział.

- A z Briggsem?

- Nie wiem, nic nie słyszałem. Trumbo westchnął. - W porządku, posłuchaj teraz, co masz zrobić. Jeżeli Dillon nie będzie mógł pełnić obowiązków, ty go zastąpisz.

- Tak jest, proszę pana.

- Po pierwsze, masz chronić Sato i jego ludzi, żeby nie zostali zamordowani przez szaleńca, który cwiartuje nam gości i personel. - Tak jest, proszę pana.

- Po drugie, masz zapewnić ochronę pannie Richardson i młodej panience w tym tu budynku. Pilnuj, żeby się im nic nie stało i żeby nie skontaktowały się ze sobą i z moją byłą żoną. Zrozumiałeś?

- Tak jest, proszę pana.

- Po trzecie masz tak kierować ludźmi z ochrony, żeby jak najmniej rzucali się w oczy. Nie chciałbym, żeby Sato pomyślał, że to jest warownia. I nie mów: „Tak jest, proszę pana”.

- Tak jest, proszę pana. Znaczy się... - Fredrickson opuścił z zakłopotaniem głowę.

- Po czwarte masz znaleźć zasrańców, którzy wyczyniają z naszymi ludźmi te rzeczy i unieszkodliwić ich. Rozumiesz, co mam na myśli? - Ma pan na myśli współpracę z policją i z sekcją Five-O, sir? - Nie, niema na myśli współpracy z policją i z sekcją Five-O, sir - odparł Trumbo przedrzeźniając głos Fredricksona. - Chodzi mi o to, żebyś ich unieszkodliwił. Powystrzelał.

Fredrickson zmarszczył brwi.

- Tak jest, proszę... tego, panie Trumbo... Nie powinno być jeszcze czegoś po piąte? Znaczy się, tak naprawdę, po pierwsze.

- O czym ty gadasz? - Trumbo wsiadł do golfowego wózka. Siedzenie było mokre. Przekręcił

włącznik prądu i obejrzał się w kierunku Wielkiego Hale, którego światła jaśniały ponad czubkami palm po drugiej stronie ciemnej zatoki. Gdzieś tam na samej górze Caitlin leżała prawdopodobnie w łóżku z tą pijawką, Myronem Koestlerem.

- Mówię o panu, sir - powiedział Fredrickson. - Jeżeli Briggs gdzieś zaginął, to kto ochrania pana osobę?

Byron Trumbo westchnął.

- Sam będę pilnował swoich pleców. A ty rób co trzeba i pilnuj swoich ludzi, żeby też robili co trzeba. - Zostawił nowego szefa ochrony na deszczu i odjechał samotnie do głównego budynku przez pieczołowicie rozplanowany las mrocznych i cichych, stojących na palach hale, koło małego, potem dużego basenu i Pirackiego Baru, wreszcie krętą dróżką obok widokowego Wielorybiego Lanai, aby zagłębić się w końcu we wnętrzu Wielkiego Hale.

W głównym holu czekał na niego Will Bryant.

- Co z Dillonem? - zapytał Trumbo.

- Ma kilka poważnych ran, złamany obojczyk i ślady po zębach do samej kości na przedramieniu. Doktor Scamahorn mówi, że jest w szoku. - Ślady po zębach? - Trumbo przystanął na chwilę przed wejściem do windy. - Po jakich zębach?

Will Bryant pokręcił głową.

- Dillon nic nie powiedział, a Scamahorn nie ma pojęcia. Musiało to być coś dużego.

- Coś dużego - powtórzył za nim Trumbo. - Świetnie. A gdzie jest Briggs? - Wygląda na to, że coś wciągnęło go do tunelu. Zszedłem tam z panem Carterem i dwoma ludźmi, ale nie udało się nam zobaczyć... - Zaczekaj chwilę, zaczekaj. Jakiego tunelu? - Jechali już windą na najwyższe piętro.

- Tunelu, który znajduje się za ścianą pracowni astronomicznej. Pamięta pan, kazał pan Briggsowi i Dillonowi, żeby sprawdzili, co tam jest. - Tak, ale nie powiedziałem im, żeby dali się wciągnąć w jakąś dziurę albo pogryźć na śmierć. - Wyszli z windy i ruszyli szybkim krokiem w stronę Prezydenckiego Apartamentu. - Więc Dillon jest całkiem załatwiony, Briggs zaginął w tym pieprzonym tunelu, a my nie robimy nic, tylko gromadzimy na pęczki naocznych świadków całego tego gówna.

- Zgadza się - powiedział Will Bryant. - Dzwonił znowu doktor Hastings, ale powiedziałem mu, że pan jest nieuchwytny.

- Obytak dalej - powiedział Trumbo. Skinął głową Bobby'emu Tanace i wszystkim oczekującym w salonie i poszedł do swej sypialni, żeby włożyć spodnie i koszulkę polo.

- Ale Hastings powiedział, że strumienie lawy przesuwają się w bok. Najbardziej martwi go groźba erupcji gazów...

- Co do mnie, to boję się tylko tego - przerwał mu Trumbo - żeby Hastings nie zagazował nas własnymi smrodami. Masz ten poprawiony kontrakt? - Właśnie pracowałem nad nim razem z Bobbyem.

- Dobrze. O siódmej spotykamy się z Hiroshe i tym małym zdrańcem Inazo Ono.

Chcę, żebyśmy załatwili wszystko raz dwa.

- Ono jest trudnym negocjatorem - powiedział Will.

Byron Trumbo odpowiedział mu szerokim uśmiechem, pokazując wszystkie zęby.

O wpół do siódmej Trumbo wyszedł spod prysznic w samońskim bungalowie Mai.

Leżąca w łóżku modelka spojrzała na niego z ukosa.

- Nabierasz mnie?

- Żadnego nabierania, dziecinko - powiedział Trumbo. - Mam przed sobą wielki dzień.

- Tak? A co takiego ma się dziś wydarzyć?

- No, po pierwsze, wrócisz do swojego kołowrotka w Chicago.

- Mam najbliższy pokaz w Toronto.

- Doskonale, w takim razie polecisz do Toronto.

- Myślę, że raczej nie polecę.

- A ja myślę, że polecisz.

Zupełnie goła Maya podniosła się z łóżka i bez najmniejszego skrzępowania stanęła w oszklonych drzwiach prowadzących na wschodnią werandę. Promienie słońca ozłociły jej doskonale gładkie ciało.

- Pytam cię jeszcze raz, Byron. Co tu się dziś wydarzy? Trumbo pocałował ją w kark.

- Wszystko naraz - powiedział, a potem wyminął ją w drzwiach i wyszedł na dwór.

Nie przeczuwał nawet, że jego stwierdzenie spełni się co do joty.

17 czerwca 1866 roku, Wybrzeże Kona

Nie krzyknęłam, kiedy jakaś ręka złapała mnie za kostkę. Pan Clemens wyjął rewolwer i rzucił cicho parę przekleństw, a potem zaczął powoli iść w moim kierunku.

- Nie! Niech się pan nie rusza! - powiedziałam. Pochyliłam się nad mokrą trawę, ostrożnie uwolniłam kostkę z uchwytu i przejechałam palcami po krzywiźnie tajemniczej ręki aż do ramienia.

- Wielebny ojciec - zapytałam cicho - ma pan może zapalniczki? Nie mieliśmy przy sobie świec, ale po chwili usłyszałam cichy trzask i wielebny Haymark podbiegł do mnie z płonąca zapalniczką w dłoni. Leżący u moich stóp krajowiec krwawił z rany na głowie, a twarz miał wykrzywioną z bólu. Zobaczyłam, że to młody chłopak, a właściwie jeszcze dziecko. Był prawie zupełnie nagi.

- Musimy zanieść go do naszego szałas - powiedziałam cicho. Pochodnie upiornej procesji migotały o kilkaset metrów od nas, ale nie mieliśmy pewności, czy któryś z jej uczestników nie został z tyłu. - A co z innymi? - Obawiam się, że nie żyją - odparł pan Clemens, który w bladym świetle następnej zapalniczki wielebnego Haymarka chodził od jednego ciała do drugiego, sprawdzając je z rzeczowością, która zdawała się zadawać kłam jego opowiastkom o uchyleniu się od służby wojskowej. W końcu podszedł wraz z kapłanem i obaj przykucnęli obok mnie przy chłopcu.

- Dostał kamieniem albo jakimś tępym narzędziem - powiedział pan Clemens, obmacując czaszkęjącego chłopca. - Ma pani słysz-213 ność - zwrócił się do mnie - musimy wrócić z nim do szałas, żeby obejrzeć ranę przy świecy. - Potem odwrócił się do wielebnego Haymarka. - Będzie pan w stanie ponieść go sam?

Korpulentny kapłan wręczył mi kilka zapalek, jakie mu jeszcze zostały. Zdażyłam na czas potrzebę jedną z nich, aby zobaczyć, że z łatwością podnosi chłopca z ziemi. Spojrzałam na pana Clemensa.

- Nie zamierza pan wrócić razem z nami? Korespondent błysnął ku mnie oczami i kiwnął głową w kierunku piekielnej poświaty.

- Zobaczą tylko, co to jest, i zaraz potem wrócę.

- Może powinnam... - zaczęłam.

- Nie - uciał krótko pan Clemens, odwrócił się i znikł w mroku i deszczu. Kiedy wróciliśmy do

zrujnowanego szałas, konie zachowywały się nerwowo, ale stały na miej scu, uwiązane na postronkach. W szałasie nie było łóżka, stołu ani nawet wiązki słomy, ale wielebny Haymark położył chłopca ostrożnie w najsuchszym kącie, ja zaś zapaliłam dwie świece i pobiegłam do mojej sakwy przy siodle, żeby poszukać kawałka czystego płótna, które mogłoby zastąpić bandaż. Przykucnęłam obok księdza przy chłopcu, możliwie najdokładniej obmyłam ranę deszczówką, zatamowałam krwawienie i obwiązałam stłuczoną głowę pasem oddartym z bawełnianej spódnicy. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że wielebny Haymark zdejmuje surdut.

- Cemu pan to robi, sir? - zapytałam.

- Jeśli jego nagość obraża pani uczucia... - odparł czerwieniąc się kapłan i wyciągnął surdut w moją stronę.

Ruchem ręki oddaliłam jego obawy.

- To przecież dziecko, stworzenie boże. Niewinność nie może obrazić niczyich uczuć.

Wielebny Haymark włożył z powrotem surdut i wyrzwał w ciemność. Deszcz ustał, ale palmami wstrząsały wciąż uderzenia wiatru.

- Nie jestem pewien, czy w tych wydarzeniach jest tak znowu wiele niewinności. Chłopiec odzyskał przytomność. Z początkujączał tylko i mamrotał coś w swoim języku, kiedy jednak zobaczył nas, zaczął mówić dość poprawnie po angielsku. Powiedział, że ma na imię Halemanu i został ochrzczony Ora loa ia Jesu, czyli do „wiecznego życia w Chrystusie” w misji Kona wielebnego Titusa Coana, kiedy miał sześć lat... a było to, jak udało mi się zrozumieć z trochę beładnego opowiadania chłopca, siedem lat temu. Halemanu mieszkał w wio-214 sce Ainepo, położonej na północ stąd, po drodze do Zatoki Kealake-kua, w której został zamordowany kapitan Cook.

Daliśmy chłopcu trochę wody i owoc mango do zjedzenia. Usiadł, opierając się gołymi plecami o ścianę szałas i zaczął rozmawiać z nami łamaną angielszczyzną. Miał błyszczące oczy, być może wskutek przebytego wstrząsu i wielkiego strachu, jakiego się najadł.

Halemanu wędrował na południe ze swym stryjem i kilkoma wojownikami z wioski, ponieważ wioskowy kahuna, czyli znachor, powiedział im, że na wybrzeżu Kona, koło Honaunau, czyli Miasta Uciezki, pojawiły się potężne złe moce. Dla Halemanu była to pierwsza taka przygoda w jego dorosłym życiu. Dzień wcześniej ich grupa dotarła do bezimiennej wioski, tej samej, w której wielebny Whister zbudował swój kościół. W kościele nie było nikogo. Opustoszała była także wioska. Wuj Halemanu rozpoznał w tym znak, że złe siły zostały wypuszczone w tej okolicy. Ruszyli dalej na południe zamierzając dotrzeć do wioski Kau, gdzie, jak powiedział wuj Halemanu, mieszkały Pele kahunae, czyli kobiety, umiejące łagodzić gniew bogini, zdolne do zrozumienia takich rzeczy jak złe demony nawiedzające okolicę. Zapadła noc. Burza zaskoczyła pięciu mężczyzn i chłopca z dala od jakiegokolwiek schronienia, ale Halemanu i jego towarzysze postanowili nie zatrzymywać się w tak niebezpiecznym miejscu i podążać po ciemku w stronę Kau.

Nocni Wędrowcy zaskoczyli ich właśnie tutaj, o milę od wioski z Pele kahuna, w pobliżu starej heiau, znajdującej się za ścianą naszego szałas. - To nonsens, mój chłopcze - powiedział wielebny Haymark. - Jesteś chrześcijaninem i na pewno nie wierzysz w takie dziecinne zabobony. Halemanu spojrział na kapłana takim wzrokiem, jakby ten gadał od rzeczy.

- Były tam dwie Ka huaka ‘i oka Po- ciągnął chłopiec. - Dwie gromady Nocnych

Wędrowców. Próbowaliśmy się ukryć, ale dopadli nas, zanim zdążyliśmy wejść między a ‘a. Na czele szedł au-makua, stary ali ‘i, a za nim wodzowie i wojownicy, którzy pomarli dawno temu. Prowadził ich alo kapu, zmarły wódz, którego oblicze jest tak święte, że nikt i nic - żaden człowiek,

żadne zwierzę ani ptak - nie może ujść z życiem, jeżeli przejdzie przed nim. Słyszeliśmy, jak aumakua wołał: „Kapu o moel”, aby ostrzec wszystkie żywe istoty, ale nie mogliśmy biec. Mój wuj kazał nam wszystkim zdjąć odzienie, położyć się na plecach i zamknąć oczy. Zrobiliśmy tak. Przeszedł koło nas aumakua. Usłyszałem flety, bębny i manele, ujrzałem lektyki, w których byli wodzowie, ale nie alo kapu albo akua kapu... Oni nie zabili nas za to, że przeszliśmy przed nimi albo za nimi. Słyszałem, jak duchy wołały „Hańba!” widząc naszą nagość. Mieliśmy oczy zamknięte, ale usłyszałem, jak zmarły wódz powiedział: „Oni hańbią nas leżąc tak bez przykrycia. Niech nikt ich nie dotyka!”. I Nocni Wędrowcy odeszli. Ale po nich nadeszła druga gromada Ka huakia ‘o ka Po. Tym razem nie było muzyki i aumakua nie wołał „Kapu o moel”. Otworzyłem oczy na tyle, że zobaczyłem pochodnie. Były czerwone, o wiele jaśniejsze niż pochodnie tamtych i było ich pięć na przedzie, pięć w środku i pięć z tyłu, ponieważ pięć jest liczbą doskonałą- ku a Urna. Jeszcze zanim wuj zdążył nakazać nam, żebyśmy leżeli w trawie, wiedziałem, że ten Ka huakia ‘i o ka Po, to Przemarsz Bogów. Bogowie idą po sześciu, trzech bogów rodzaju męskiego i trzy boginie. Wuj szepnął mi, że w pierwszym szeregu idzie Hi ‘iaka-i-ka-poli-o-Pele, młodsza siostra Pele. Potem wuj kazał nam zamknąć oczy i leżeć tak, jakbyśmy byli nieżywi.

Halemanu przerwał opowieść, żeby napić się wody, a ja spojrzałam na stojącego w przyćmionym blasku świecy wielebnego Haymarka. Kapłan zmarszczył brwi i potrząsnął głową, jakby chciał mi powiedzieć, że nie powinniśmy zbyt, a nawet wcale wierzyć opowiadaniom rannego chłopca. Rzuciłam okiem w kierunku otwartych drzwi. Deszcz nie padał, ale z obwisłego daszku werandy kapwały krople wody. Po panu Clemensie nie było ani śladu.

- Kiedy przechodzili koło nas bogowie, nie towarzyszyła im muzyka - powtórzył Halemanu. - Za pochodnie służyły im błyskawice, a grzmoty ogłaszały ich imiona i wychwalały ich czyny. Przeszli tą samą ścieżką, którą podążali wcześniej wodzowie, ale nie wołali: „Hańba!”, tylko: „Niech zginą!”. Wtedy wystąpiły duchy wojowników, którzy szli z bogami, żeby ich osłaniać, i zbliżyły się do każdego z nas. Kiedy bogowie zakrzyknęli: „Bij!”, ludzie zrywali się na nogi, a wtedy duchy wojowników zadawały im śmiertelne uderzenie pałką. Aż w końcu przy życiu został już tylko mój wuj i ja. Wuj szepnął do mnie: „Halemanu, nie uciekaj, kiedy będą wołać „Bij!””. Kiedy podszedł do niego jeden ze strażników, a bóg zawołał: „Bij!”, mój wuj nie uciekał, ale duch wojownika i tak podniósł pałkę i uderzył go w głowę. Wtedy duch wojownika podszedł do mnie i bóg zawołał: „Bij!”, i...

- Skąd wiedziałeś, że to są bogowie i duchy? - przerwał mu wielebny Haymark.

Halemanu zmrużył oczy w świetle świecy.

- Bogowie są bardzo wysocy - powiedział chłopiec. - Ich głowy sięgają prawie palm kokosowych. Duchy są o wiele niższe, ale też wysokie... mają może ze dwa i pół metra. A ich stopy nie dotykają ziemi.

Wielebny Haymark odchrząknął.

- Mów dalej, Halemanu - powiedziała, ocierając ciągle z jego czoła krew zmoczonym kawałkiem płótna. - Co się stało, kiedy bóg zawołał: „Bij!”? - Duch wojownika uniósł pałkę, żeby mnie uderzyć. Chociaż mój wuj zginął, mimo że nie uciekał, zrobiłem jak mi kazał i też nie uciekłem. Wtedy jedna z bogiń krzyknęła: „Nie! On jest mój!” Duch wojownika nie zdołał zatrzymać pałki, ale wycelował nią w bok, tak że zawadziła mnie tylko trochę. Bogini znowu krzyknęła:

„Nie! On jest mój!”, a wtedy strażnik odszedł razem z bogami. Próbowałem ocucić wuję, ale zobaczyłem, że deszcz pada mu do oczu, a on ich nie mruży. Wszyscy pozostali też byli martwi. Potem już nic nie pamiętam, aż rozbłysło światło i zobaczyłem, że stoi nade mną bogini nani wahine

ubrana w nui muumuu. Dotknąłem twojej nogi, żeby ci podziękować. Ale ty nie jesteś tą boginią, choć mnie uratowałaś, prawda?

- Nie, Halemanu, nie jestem boginią- powiedziałam. - A ty musisz wypocząć.

Chłopiec pociągnął mnie za rękaw.

- Nie, nie możemy tu zostać! Bogowie i zmarli wodzowie zjawili się tu dlatego, że z Milu idą tu Pana-ewa i moko. Siostra Pele, Hi'iaka, inni bogowie i kahuna będą tu budować nową heiau, żeby pokonać Pana-ewa. Będzie straszna bitwa. Pana-ewa ma wiele postaci. On zjada dusze wahine. Jeżeli tu zostaniecie, zginiecie jeszcze przed świtem.

W tym momencie usłyszeliśmy hałas za naszymi plecami. Wielebny Haymark i ja obróciliśmy się i zobaczyliśmy jakąś postać, która wpadła drzwiami i rozciągnęła się na podłodze, gasząc po drodze jedną ze świec. Był to pan Clemens, którego potargane zazwyczaj włosy wicherzyły się w jeszcze większym nieładzie. Miał ubłocone ubranie i patrzył na nas szeroko otwartymi oczami. - Panno Stewart! - zaczął drżącym głosem. - Panno Stewart! - Jest pan ranny? - zapytałam klękając przy nim tak samo, jak parę minut wcześniej koło chłopca.

- Nie, panno Stewart, nie jestem ranny. Ale widziałem... - Urwał wybuchając dziwnym śmiechem.

- Co pan widział, panie Clemens?

Korespondent chwycił mnie za ramiona i przyciągnął do siebie. Muszę powiedzieć, że dotykając go tak nieoczekiwanie poczułam przestrasz, ale ogarnęło mnie zarazem jakieś dziwne ożywienie.

- Widziałem zdumiewające rzeczy, panno Stewart! Zdumiewające! Eleanor poszła spać późno, a do tego po wspólnym osuszeniu butelki „Sheep Dipa”, obudziła się o wpół do ósmej z leciutkim tylko bólem głowy. Nie zdziwiło jej to, wiedziała bowiem, że szkocka whisky prawie nie powoduje kaca. Zamiast iść na śniadaniowe lanai albo do baru koło plaży, nastawiła mały ekspres, który znajdował się w jej hale, i w oczekiwaniu na kawę ubrała się do porannego joggingu. Pomyślała, jak to ładnie ze strony ośrodka, że zaopatruje każdy domek w zapas świeżej kawy i młynek. Wypiła filiżankę aromatycznego napoju stojąc na małej werandzie. W koronach palm ćwierkały i pogwizdywały ptaki, po dróżce spacerowały pawie. Przez cienką zasłonę liści dochodził od strony zachodniej odgłos rozbijających się o brzeg fal, od wschodu zaś widać było błękitne niebo ponad poszarpanymi polami a 'a, które zaczynały się o kilkanaście metrów za jej stojącym na palach hale. Od strony południowej widać było pasmo mgiełki, ale niebo nad południowo-zachodnim grzbietem Mauna Loa było czyste.

Postawiła resztę kawy na podgrzewaczu i puściła się wolnym truchtem dróżką idącą na południe, koło sztucznych lagun, małego basenu i czternastego dołka aż do terenu ze skalnymi rysunkami. Przebiegła jeszcze pół kilometra i znalazła się poza sztucznymi oazami drzew i krzewów, na krętej dróżce między sięgającymi jej ramion głazami a 'a. Od czasu do czasu rzucała okiem na wymalowane postacie i otworki/>z'A;o. W końcu wykładana płytami dróżka przybliżyła się do nadbrzeżnych urwisk. Eleanor poczuła na twarzy orzeźwiająca mgiełkę, idącą od wysokich fontann wznoszonych przez fale rozpryskujące się dziesięć metrów niżej. W

powietrzu wokół niej tańczyły tęcze odbłaski. Następne pół kilometra kończyło się tabliczką ostrzegającą, że tu znajduje się granica ośrodka Mauna Pele i że dalsze spacerowanie po magmowych polach mogą być niebezpieczne. Eleanor przystanęła na moment na małym asfaltowym placu do zawracania. Zauważyła nierówną, wysypaną żużletną ścieżkę, wijącą się między głazami w kierunku urwisk i ruszyła nią wolnym truchtem.

Po dziesięciu minutach wybiegła na półwysep, skierowany ku północy, w stronę Mauna Pele. Urwiska były tu wyższe i wznosiły się co najmniej na dwanaście metrów nad poziom wody. Nie było

tu żadnej zatoki czy laguny, na której wiatr i fale mogłyby wyhamowywać swój rozpęd, toteż wody Pacyfiku rozбивały się tu ze znaczną siłą. Eleanor przystanąła i truchając w miejscu podziwiała piękny widok.

Od północy rozciągały się ponad malowniczą zatoką zielone kępy palm i krzewów ośrodka, z Wielkim Hale stojącym u samych stóp Mauna Loa. Dalej na północy rysował się masyw wulkanu Mauna Kea, połyskujący śnieżnabiłą szczytu. Odległe podnóża i wznoszące się krawędzie zboczy ukazywały nierówne, poszarpane skały okryte gęstymi brązowymi zaroślami. Był to widok nie mający nic wspólnego z popularną turystyczną wizją Hawajów. Eleanor wydał się porywający. Od południa linia coraz bardziej urwistych klifów zakrzywiała się ku wschodowi.

Ogromna, południowo-zachodnia krawędź Mauna Loa zasłaniała dużą część nieba. Dopiero stąd Eleanor mogła dokładnie zobaczyć pióropusze dymu i popiołów, które szły od wypływającej tam lawy ku południowi. Jej uwagę zwrócił jeszcze inny słup dymu, bardziej gęstego niż pióropusze pyłów, wznoszący się niczym stratocumulus od wybrzeża na wysokość dwunastu albo piętnastu kilometrów. Zdała sobie sprawę, że patrzy na jeden lub może kilka obłoków pary, powstającej w miejscu, w którym lava spływała do oceanu zaraz za zakrętem wybrzeża, o jakieś piętnaście kilometrów dalej. Widok ten przyprawił ją o gęsią skórę; uświadomiła sobie, jak potężne twórcze energie zostały tam uwolnione.

Ruszyła dalej nadbrzeżną ścieżką, biegnąc powoli i rozmyślając. Teraz, w świetle dnia poczuła się głęboko zaskoczona tym, że pożyczyła Cordie Stumpf dziennik cioci Kidder. Chociaż nie sądziła, aby mogła nawiązać przyjaźń z tą dziwną kobietą z Illinois, w jakiś sposób polubiła przecież Cordie. Wciąż jednak nie umiała wytłumaczyć sobie, że umożliwiła prawie obcej osobie przeczytanie dziennika. Od chwili, gdy przeszło trzydzieści lat wcześniej ciocia Beanie powierzyła go jej, Eleanor nie podzieliła się nim jeszcze z nikim. Zastanawiała się, co skłoniło ją teraz do tego kroku.

Być może potrzebuję sojusznika, pomyślała Eleanor i otarła pot z powiek.

Sojusznika w tym, co mogło nastąpić, powinna znaleźć oczywiście w Paulu Kukalim: był Hawajczykiem, doskonale obeznanym z mitami i historią wysp, znał też dobrze ludzi i małe społeczności, z którymi prędzej czy później Eleanor musiała wejść w kontakt... by nie wspomnieć o tym, że był przystojnym, czarującym i, przy całym swoim łagodnym usposobieniu, seksownym mężczyzną. Mruknęła pod nosem i zrobiła parę wymachów ramionami, żeby pobudzić krążenie. Znała wielu mężczyzn podobnych do Paula Kukali, jednakowo interesujących i pełnych osobistego uroku. Żaden z nich nie mógł jednak pojąć, dlaczego ten urok nie działa na samotnie żyjącą nauczycielkę w średnim już wieku, znaną im jako Eleanor Perry. Teraz natomiast potrzebowała kontaktów z Pauliem i świadomość tego zawadzała niebezpiecznie blisko o zamiar wykorzystania jego wiedzy. To nonsens, przeleciało jej przez głowę. Jeżeli zdołamy rozwikłać tę starą tajemnicę, będzie to bardziej jego zasługa niż moja. Nierówna ścieżka zwężała się coraz bardziej, aż w końcu zamieniła się w płataninę fałszywych tropów, wijących się między skałami. Eleanor doszła do wniosku, że czas wracać. Przystanąła, żeby zaczerpnąć tchu i pochyliła się opierając dłonie na kolanach, kiedy usłyszała jakiś hałas. Był to dziwny odgłos, równie głośny jak huk przyboju, ale odbywający się na przemian z łoskotem fal walących na prawo od niej o skały. Najpierw słychać było uderzenie fal, a potem, w dziesięć albo piętnaście sekund później, ten drugi odgłos, przypominający jakby potężny gwałtowny wydech. Eleanor odwróciła się w prawo i ruszyła między głazami w kierunku, z którego dochodziły dziwne dźwięki. Ich źródło znajdowało się o jakieś trzydzieści metrów od krawędzi urwiska. Eleanor zobaczyła najpierw pieniący się strumień wody, jakby

wyrzucał go wieloryb. Zrobiła jeszcze parę kroków po mokrej kamiennej płycie i przykucnęła nad otworem w skale. Porządek był zawsze jednakowy: najpierw fale uderzały o brzeg, potem słychać było jęk, jakby jakieś umęczone dusze błagały o zmiłowanie albo sto niemuzykalnych istot dęło we flety i oboje, a potem wydostawał się strumień wody rozpylonej niemal na oddzielne atomy. Woda tryskała ze skalnego otworu z taką siłą, jakby wyrzucał ją strażacki wąż pod ogromnym ciśnieniem. Po kilku takich wytryskach Eleanor cofnęła się uświadamiając sobie nagle, że gdyby taki strumień zahaczył o nią, mógłby ją wyrzucić w powietrze na kilkanaście, jeśli nie na kilkadziesiąt metrów. Kiedy jednak zdała sobie sprawę, że strumień 220 tryska w regularnych odstępach czasu, co minutę albo i więcej, przykucnęła nad otworem i zajrzała do środka.

Najwyraźniej był to wulkaniczny komin mający połączenie z morzem. Uszu Eleanor dochodziły uderzenia morza, kiedy fale atakowały wąski wlot znajdujący się dziesięć metrów niżej. Jakies wewnętrzne połączenia kierowały następnie potężnie uderzającą wodę do szczeliny, nad którą się pochylała. Zadowolona z tego odkrycia, a przy tym nie chcąc więcej moknąć, miała już zamiar odejść, kiedy poprzez jęki wiatru i wody usłyszała coś jeszcze. Były to głosy. Głosy dochodzące z wulkanicznego komina. Odskoczyła do tyłu, kiedy trysnął w górę rozpylony gejzer. Gdy tylko strumień przestał tryskać ze szczeliny, Eleanor wróciła i przyłożyła do niej ucho. Usłyszała jakby rytmiczną recytację, a może śpiew. Mając nadzieję, że nie zaskoczy jej jakaś niespodziewana eksplozja wodnej mgiełki, Eleanor przyłgnęła twarzą do otworu i zobaczyła, że na głębokości około czterech metrów komin dochodzi do sklepienia podziemnej pieczary. Jego odgałęzienie idące ku morzu było dużo głębsze i węższe, a żebrowana grota wznosiła się pochyło ku szczelinie na powierzchni. Stwierdziła, że na ostatnim odcinku około trzydziestu metrów wulkaniczny komin ma średnicę najwyżej jednego metra, ale rozszerza się i spłaszcza w miarę, jak dochodzi w górę do warstwy zastygłej lawy. Eleanor nie mogłaby zobaczyć tego wszystkiego, gdyby do zasłoniętego przez nią samą komina nie dochodziło żadne światło. Ale w środku nie było całkiem ciemno. Od strony mauka, czyli lądu, dochodziła do niego poświata jakby od pochodni - dziwne zielonkawe światło. Usłyszała grzmot rozbijających się o brzeg fal i nagle uświadomiła sobie, że pędzi ku niej gnany wielkim ciśnieniem strumień wody. Zbyt długo tkwiła nad otworem. Ślizgając się palcami po mokrej skale rzuciła się do tyłu, aby odsunąć twarz i ramiona od otworu, zanim strzeli z niego potężny wodny gejzer.

W chwili, gdy unosiła ramiona prostując się, poczuła na plecach czyjeś ciężkie łapy.

- Nabierasz mnie? - Byron Trumbo przygotowywał się właśnie do ostatniego uderzenia, kiedy Will Bryant przyniósł mu wiadomość o ucieczce mordercy. - Nigdy tego nie robię - powiedział sekretarz.

Trumbo zmarszczył brwi, uderzył, nie trafił, uderzył jeszcze raz i znowu nie trafił. Wreszcie udało mu się to za trzecim razem, ale stracił dwa uderzenia. Hiroshe Sato nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Trumbo pociągnął Willa za łokieć i zszedł z trawnika.

Poranna sesja poszła nieźle. Trzy tygodnie temu grupa Sato rozpoczęła rozmowy oferując sto osiemdziesiąt trzy miliony za Mauna Pele. Trumbo upierał się przy pięciuset milionach dolarów za ośrodek i przylegającą do niego nieruchomość. Teraz rozmowy kręciły się wokół dwustu osiemdziesięciu pięciu milionów, a kiedy kupujący zaoferowali trzysta, Trumbo był gotów zgodzić się na tę sumę. Kapitałem tym pokryłby przerażające straty w Atlantic City i w Las Vegas, pozbyłby się hoteli i kasyn i wrócił do poprzedniej działalności - papierów wartościowych i handlu nieruchomościami.

Kiedy przymierzał się do wbicia piłki na czwartym dołku północnego pola golfowego, Will Bryant szepnął mu do ucha:

- Przyjechał szeryf Ventura.

- Czego on tu szuka? - mruknął Trumbo pod nosem. Poprosił Sato i jego ludzi, żeby przeszli na następny odcinek, sam zaś ruszył w kierunku grupy palm, pod którymi czekał na niego Ventura. Szeryf z Kona był tak opalony, że wyglądał jak rodowity Hawajczyk, Trumbo wiedział jednak, że pochodzi ze stanu Iowa. - Charlie, wyglądasz wspaniale - powiedział ściskając dłoń policjanta. W okresie budowania Mauna Pele Trumbo uznał, że musi osobiście poznać wszystkich polityków i funkcjonariuszy strzegących prawa na wybrzeżu Kona. - Panie Trumbo... - zaczął szeryf, cofając potężną dłoń. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt osiem i nigdy nie okazywał miliarderowi zbytnej uległości. - Will mówi, że ma pan jakieś wiadomości o Jimmym, jak mu tam... o tym mordercy. - Kahekili - powiedział Ventura. Mówił matowym, bezbarwnym głosem. - Ale wie pan tak samo dobrze jak ja, że postawiono mu bezsensowne zarzuty. Jimmy Kahekili mógłby może pokrajać kogoś nożem po pijanemu, podczas bójki w barze, ale nie jest seryjnym mordercą.

Trumbo uniósł lekko brwi.

- Tak pan twierdzi? W każdym razie Will mówi, że przyszedł pan ostrzec mnie przed nim.

Charlie Ventura kiwnął głową.

- Dzwonił do mnie prokurator z Hilo. Wczoraj wieczorem wypuścili Jimmy'ego. Z

powodu braku dowodów sędzia obniżył kaucję z pięćdziesięciu tysięcy dolarów do tysiąca i rodzina Jimmy'ego wpłaciła tę kwotę.

Trumbo słuchał w milczeniu.

- Dziś rano aresztant, który siedział w celi razem z Jimmym, powiedział, że Jimmy potraktował całą sprawę bardzo osobiście -ciągnął Ventura. - Najwyraźniej Jimmy doszedł w ciągu ostatnich paru tygodni do wniosku, że to pan wpędził go w te kłopoty, no i zwierzył się w zaufaniu koledze z celi, że odegra się na panu, jak tylko wyjdzie na wolność.

Trumbo westchnął.

- Nie może pan nic zrobić w tej sprawie? Ventura machnął ręką. - Policja stanowa nakazała przesłuchanie Jimmy'ego w związku z tą groźbą, ale jak dotąd nie można go znaleźć.

- On mieszka gdzieś tu w okolicy, prawda? - zapytał Trumbo. - Tak. Przy drodze na Hoopuloa. Dziś rano rozmawiałem z jego matką i dwoma braćmi. Powiedzieli mi, że w ogóle go nie widzieli. Zapowiedziałem im, że jeżeli Jimmy pokaże się w Mauna Pele albo będzie się dalej odgrzał, sam zacznę go szukać.

Trumbo nie odpowiedział. Pamiętał, że Kahekili to kawał chłopca. .. prawdziwy olbrzym, większy od szeryfa. Kiedyś porąbał dwiema siekierami bar w południowej części Kona, trzymając po jednej w każdej ręce. - W każdym razie, panie Trumbo - powiedział szeryf - wiem, że ma pan tu ochroniarzy na kopy. Mógłby pan im powiedzieć, żeby uważali na Jimmy'ego. To zapaleniec i dobrze zna okolicę.

- Tak - odparł Trumbo, rozmyślając o swoich kłopotach z ochroną, o pozostającym wciąż w stanie śpiączki Dillonie i półgłówku, który przejął po nim obowiązki szefa. - Dziękuję, szeryfie.

- Jeszcze jedno - dodał Ventura. - Czy stanowa policja była tu w sprawie tego psa i ludzkiej ręki?

Trumbo zmrużył oczy. Jakim zaszranym sposobem on mógł się o tym dowiedzieć?

Ventura potraktował milczenie miliardera jako zaprzeczenie. - Powinni przyjechać tu dzisiaj, żeby przesłuchać świadków i spisać protokół - powiedział.

- Dobrze - odparł Trumbo. To ten pieprzony archeolog, pomyślał w duchu. Pies go trącał.

- Zawiadomię pana, jakby były jakieś wiadomości o Jimmym -powiedział Yentura.

- Niech pan trzyma rękę na pulsie - odparł Trumbo i odwrócił się w kierunku piątego dołka. Zobaczył, że biegnie ku niemu Will Bryant. Uniósł rękę i wycelował grubym palcem jak pistoletem w sekretarza, osadzając go na miejscu o jakieś cztery metry od siebie. -Jeżeli masz złe wiadomości, zabiję cię własnymi rękami.

Sekretarz kiwnął głową, przełknął ślinę i powiedział:

- Trzy sprawy, szefie. Po pierwsze, Carter dzwonił znowu do Hastingsa i wziął na siebie ostrzeżenie gości, że wypływ lawy może spowodować potencjalne zagrożenie. Carter nazywa to „możliwością zatruć substancjami unoszącymi się w powietrzu”. - Ten gówniarz - westchnął Trumbo. Najchętniej wywaliłby dyrektora na zbity pysk razem z facetem od zabytków. - Czy ktoś go już posłuchał? Will podrapał się palcem po górnej wardze.

- Dziś rano mieliśmy siedemdziesiąt troje gości, płacących za pobyt.

Czterdzieści dwie osoby wyjechały.

Trumbo wyszczerzył zęby. Grunt pod jego golfowymi trampkami robił się naprawdę śliski. Jak marmurowy chodnik pod skateboardzistą. Przyszło mu całkiem poważnie do głowy, że być może zaczyna tracić zmysły.

- To najgorsza z tych trzech wiadomości, prawda, Will? Bryant nie odpowiedział.

Trumbo w dalszym ciągu szczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Wal dalej.

- Po drugie, zaginął gdzieś Dillon.

- Zaginął? O czym ty mówisz? Dziś rano opatrywali go w ambulatorium.

Will kiwnął głową.

- Gdzieś po ósmej zdzielił doktora Scamahorna w głowę basenem i uciekł.

Pielęgniarka mówi, że miał na sobie szpitalną piżamę. Trumbo popatrzył na rozrzucone bezładnie głazy a 'a, jakby spodziewał się, że zobaczy, jak mały brodaty szef ochroniarzy przemyka od skałki do skałki, świecąc gołym tyłkiem.

- W porządku - powiedział. - To nic wielkiego. Powiedz Fredricksonowi, żeby rozglądał się za nim, jak będzie szukał Jimmy'ego jak-mu-tam, tego z siekierą. A po trzecie?

Will Bryant zawahał się.

- Wal śmiało - zachęcił go Trumbo. - Czekaj na mnie Sato. No, co jeszcze?

- Tsuneo Takahashi - powiedział Will.

- Tak - powiedział Trumbo przecierając jedno oko. - Hiroshe mówił mi, że Sunny zabawiał się do późna z paroma dziewczętami. Przespał śniadanie i nie zjawił się, jak wyjeżdżaliśmy na pole golfowe. Sato jest mocno na niego wkurzony. No więc?

- Zaginął - powiedział Will Bryant i wziął głęboki oddech. -Sunny miał własny pokój na czwartym piętrze Wielkiego Hale... Członkowie grupy Sato są widocznie przyzwyczajeni do tych jego zabaw i cieszą się, kiedy nie bierze udziału w naszych rozmowach... ale Fredrickson sprawdził jego pokój i mówi, że coś rozwaliło drzwi tarasowe chyba przed świtem. Cały pokój jest piekielnie porozbijany. Zdaje się, że nie brakuje żadnych ubrań i rzeczy Sunny'ego... nie ma tylko jego samego.

Trumbo uniósł kij do precyzyjnych uderzeń i zgiął go bezmyślnie w obu rękach.

- Tylko bez paniki - szepnął.

- Słucham, sir? - zapytał Will pochylając się ku niemu. - Tylko bez paniki - powtórzył szeptem Trumbo, jeszcze ciszej niż przedtem. Idąc w kierunku punktu do wybijania piłek na piątym dołku dalej wyginał kij wart pięćset dolarów. - Tylko bez paniki. Tylko bez paniki.

Rozdział szesnasty

O Pele, poczęstuj się jagodami 'ohelo;

Daję ci ich trochę,

A trochę zjem sama.

Ludowa inwokacja do Pele

Pani Cordie Stumpf z domu Cooke, urodzona w Elm Haven, Illinois, obudziła się przed świtem bez kaca, ale z uporczywym bólem, na który nie zwracała uwagi od dwóch miesięcy. Kiedy się rozwidniło i zaczęły śpiewać ptaki, wyszła na spacer. Ale nie biegała. Pomysł, żeby biegać, kiedy się nie musi, wydawał się jej absurdalny.

Doczekawszy się otwarcia lanai zjadła ogromne śniadanie, na które złożyły się naleśniki z syropem kokosowym, portugalskie kielbaski, jajecznica i cała pszenna grzanka, a do tego trzy szklanki doskonałego soku pomarańczowego i kilka filiżanek kawy. Miała w torbie oprawiony w skórę dziennik, pożyczony poprzedniego wieczoru od Nell, ale nie wyjęła go w czasie jedzenia. Nie zajrzała też do niego wczoraj, przed pójściem spać. Nie przeczytała dotąd zbyt wielu książek, tę jednak postanowiła przelecieć od deski do deski. Po śniadaniu przeszła się koło sklepów, znajdujących się w Wielkim Hale na tym samym poziomie, co i ogród. Małe, drogie butikie były w większości pozamykane, podobnie jak salon piękności i centrum masażu leczniczego. Cordie zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem miejscowi pracownicy nie postanowili nie przyjść do pracy.

Kiedy skierowała się w stronę plaży, na jej drodze wyrósł Stephen Ridell Carter.

- Pani Stumpf- zaczął, spoglądając nerwowo na wykaz nazwisk w notesie - cieszę się, że panią złapałem.

- Ja też - odparła Cordie. - Cieszę się zawsze, jak mnie łapią. Słyszając to dyrektor zrobił zakłopotaną minę, ale nie dał się całkiem zbić z tropu i wygłosił mowę, którą najwidoczniej powtarzał wielokrotnie tego ranka. Wyglądało na to, że po jednoczesnym wybuchu dwóch wulkanów strumień lawy dotarł na odległość około szesnastu kilometrów od Mauna Pele. Pan Carter był pewien, że nie ma bezpośredniego zagrożenia. Stwierdził jednak, że za radą największych światowych autorytetów w dziedzinie wulkanologii proponuje się, aby goście z Mauna Pele zechcieli wyjechać do domu albo przenieść się do innego wygodnego hotelu, z zapewnieniem zwrotu wydatków, jakie poniosą. - Ja i tak za nic nie płacę - przypomniała mu Cordie. - Spędzam wakacje z milionerami.

Pan Carter uśmiechnął się.

- Rzeczywiście. Ale zapewniam panią, że kiedy minie to... niewielkie zagrożenie, będzie pani mogła tu spędzić pozostałą część tych wakacji. - Czy gwarancje obejmują też przelot? Przewiozą mnie tutaj po raz drugi za darmo?

Dyrektor wahał się tylko przez chwilę.

- Oczywiście.

Cordie uśmiechnęła się szczerząc drobne zęby.

- No cóż, panie Carter, dziękuję, ale nie skorzystam. Skoro już tu jestem, to chyba zostanę.

- Alejeślijakimś sposobem...

- Nic, nic, dziękuję- powiedziała Cordie, klepiąc szczupłego dyrektora po ramieniu. - Wybieram

się właśnie na plażę. Mam do przeczytania duży kawał tekstu.

Cordie nie usiadła jednak do czytania na plaży. Miała wciąż jeszcze zaczerwienioną skórę po wczorajszym opalaniu, nie chciała też wystawiać dziennika na bezpośrednie działanie promieni słońca i słonego powietrza. Znalazła leżak w porośniętym trawą, przypominającym park zakątku na południe od Pirackiego Baru, dwadzieścia metrów od piaszczystego brzegu. Miejsce ocieniały palmowe drzewa, a o parę kroków znajdował się bufet z napojami orzeźwiającymi. Ułożywszy się na poduszkach i upewniwszy, że jej spalone słonecznym żarem uda są dobrze osłonięte, Cordie otworzyła książkę i zaczęła ją czytać. Szło jej to raczej powoli, ale późnym rankiem dotarła do uwiecznionej sto trzydzieści lat temu opowieści o wydarzeniach w południowej części Wybrzeża Kona. 18 czerwca 1866 roku, bezimienna wioska na Wybrzeżu Kona Po dniu i nocy, które minęły od ostatnich zapisków, pozostały mi tylko niewyraźne obrazy, jakby sprawy, które tu się wydarzyły, miały miejsce dawno temu. Prawdę mówiąc myślę, że zamieniłam piękny i wzniosły świat, w którym żyłam, na zwykłe piekło. Ale nawet taka wyprawa do piekieł wymaga od uczciwego podróżnika, aby opowiedział o tym, co widział, więc i ja zamierzam to uczynić. Wczorajszy wieczór koło pogańskiej świątyni, już po deszczu, po uratowaniu Halemanu i powrocie straszliwie podnieconego pana Clemensa... wszystko to wydaje mi się tak odległe. Ale to wtedy po raz ostatni wzięłam pióro do ręki i muszę podjąć opowieść od tego momentu.

- Zdumiewające rzeczy! - wykrzyknął pan Clemens. Nie zwracając uwagi na błagania chłopca, abyśmy niezwłocznie opuścili to miejsce, zaczęłam wraz z wielebny Haymarkiem nalegać na korespondenta, aby opowiedział, co przydarzyło mu się w ciągu ostatnich trzydziestu minut.

- Ostatnich trzydziestu minut? - zapytał pan Clemens, wyjął z kieszeni kamizelki zegarek i sprawdził godzinę. Przekonawszy się, że istotnie nie było go przez trzydzieści minut, wybuchnął dzikim śmiechem. Wielebny Haymark podszedł bliżej i z całej siły, jak zauważyłam, ścisnął szalonego korespondenta za ramię, a potem wręczył mu srebrzystą flaszkę.

- Whisky? - zapytał pan Clemens i zdusił śmiech. Podniósł flaszkę do nosa. - Na wypadek choroby - wyjaśnił kapłan. W ciągu kilku ostatnich wieczorów nasz wielebny dostarczył nam już niejednej niespodzianki. Pan Clemens pociągnął tego z flaszki i otarł wąsy drżącą ręką. - Musicie mi wybaczyć - powiedział nie patrząc nikomu z naszej trójki w oczy. - Zrozumiecie wszystko, kiedy... kiedy opowiem o zdumiewających rzeczach, jakie widziałem.

Wszyscy troje siedliśmy w milczeniu, aby posłuchać opowieści młodego rudowłosego dziennikarza, który zaczął mówić z dziwnie śpiewnym akcentem mieszkańca Missouri.

- Chociaż pochodnie na brzegu wydawały się świecić całkiem blisko, zajęło mi trochę czasu, zanim ześliznąłem się ukradkiem z urwiska. Przydały mi się tu wszystkie moje dziecinne doświadczenia. Przemykanie się po kryjomu to chłopięca specjalność. Po jakimś czasie dotarłem do podnóża skały i rozejrzałem się za miejscem, z którego mógłbym śledzić ich ruchy nie narażając się na to, że mnie odkryją. Najlepiej nadawała się do tego skała w kształcie litery S, coś w rodzaju rozłupanego na dwoje głazu, który leżał w miejscu, gdzie kończyły się drzewa i zaczynał piasek. Zaklinowałem się tam, niecałe sześćdziesiąt metrów od pochodni i wyczyniających dzikie harce upiornych postaci. Teraz, kiedy mam już to za sobą, przyznaję, że ... no, może słowo „przerażony” jest zbyt mocne dla oddania tego, co odczuwałem, ale muszę powiedzieć, że ciarki chodziły mi po plecach i miałem niezłego boja.

To, co zobaczyłem, wystarczyłoby, żeby zrobić ze mnie metodystę. Przodem szli ci Wędrowcy... ci sami śpiewający i wygrywający kocią muzykę Wędrowcy, których śledziliśmy z tego szalasu. Potem pokazała się druga grupa Wędrowców, która składała się, jak się wydawało, z przeszło

dwumetrowych olbrzymów o skórze świecącej takim samym perłowym odbłaskiem, jak ich niesamowite pochodnie... i jeszcze kilka grup Wędrowców, które nadeszły już wtedy, gdy przycupnąłem za moim głazem. W tym momencie oddałbym duszę diabłu za najpodlejszą lunetę, jaką miałem kiedykolwiek w dłoni jako rzeczny pilot... przyjąłbym ją z wdzięcznością.

Tych Wędrowców musiało być ze stu albo i więcej. Zarówno wśród tych o ludzkim wzroście, jak i pośród olbrzymów były postacie męskie i kobiece... nie mieli na sobie prawie nic, i nawet przy moich rozhuśtanych zmysłach mogłem to stwierdzić w świetle pochodni. Niektórzy musieli należeć do królewskiego rodu, bo siedzieli albo leżeli w lektykach - takich otwartych palankinach, w których na moich oczach noszono członków królewskiej rodziny na Oahu. Dźwigali ich niewolnicy, oni zaś wydawali rozkazy, a reszta zwijała się jak w ukropie. Królowie są tacy sami na całym świecie i najczęściej ogląda się ich w pozycji horyzontalnej.

Ale muszę powiedzieć, że ta reszta... pracowała ochoczo. Widziałem, jak ci niewolnicy... bo dla syna Południa, którego tu widzicie, było oczywiste, że są to niewolnicy, choć mieli taki sam kolor skóry jak ich panowie... więc ci niewolnicy znikali w dżungli i pojawiali się z powrotem z takim szaleńczym pośpiechem, jaki obserwowałem nieraz u mrówek z wyjątkowo dużego mrowiska. Za każdym razem, kiedy wracali z dżungli, uginali się pod ciężarem kanciastych kamiennych bloków, takich metr na metr, podobnych, jeśli nie identycznych z blokami, które oglądaliśmy w porzuconej świątyni za ścianą tego tutaj szałas. Przyglądałem się, jak bogowie... bo za takich wziąłem przeszło dwumetrowe postacie, tak godna była ich postawa i zachowanie... wskazywali miejsce na piasku, gdzie należało złożyć pierwsze kamienne bloki. Niewolnicy spieszenie spełnili polecenie i popędzili znowu do lasu po następny ładunek. I w taki to sposób stałem się świadkiem zbudowania nowej heiau, bo nie było to nic innego. Prędko rozpoznałem jej kształty... szerokie stopnie ofiarnego ołtarza i obronne mury. Och... widzę w waszych oczach, że nie wierzycie. Jak w ciągu pół godziny mogła wyrosnąć nowa świątynia? Może teraz zrozumiecie moje zdumienie, panno Stewart i ty, wielebny ojciec, bo zdawało mi się, że całymi godzinami siedzę ukryty za głazem i obserwuję tę szaloną krzątanicę. W pewnym momencie ogarnęło mnie zdumienie, że nie nadchodzi świt, który przerwałby tę tytaniczną pracę, ale kiedy wyjąłem zegarek, zupełnie tak samo jak przed chwilą, zobaczyłem, że minęło dopiero dziesięć minut od chwili, gdy sprawdzałem godzinę przed ześliżnięciem się z urwiska. Byłem pewien, że zepsuł się mechanizm zegarka. I rzeczywiście, okazało się, że sekundowa wskazówka stoi w miejscu.

Minęło jeszcze kilka godzin. Między drzewami i w krzakach u podnóża urwiska niewolnicy wciąż uginali się pod ciężarem głazów. Na brzegu krzatali się bogowie i wyspiarze królewskiego rodu nadzorujący budowę. Migotały pochodnie. Waliły bębny. Śpiewy zagłuszały łoskot fal przyboju. Mijały godziny. Heiau była prawie gotowa. Wydawało się, jakby słońce uległo zupełnemu zaćmieniu, aby mogły minąć całe dni w ciemnościach. Spojrzałem na zegarek. Pokazywał, że minęło dwadzieścia pięć minut. Gapiłem się na niego bardzo długo, aż w końcu sekundowa wskazówka szarpnęła się, drgnęła i przesunęła do przodu o jedną sekundę. W końcu, rzecz niewiarygodna, świątynia była gotowa. Bogowie i wodzowie, wojownicy i niewolnicy zgromadzili się wokół niej. Jakby na polecenie z niebios od morza zawiął ze zdwojoną wściekłością wiatr. Pochodnie zatrzepotały i zgasły. Całe to miejsce oświetlała już tylko poświata, idąca od postaci zgromadzonych na brzegu nieziemskich upiorów. Kiedy biegałem jako chłopiec po moim miasteczku w stanie Missouri, w letnie wieczory łapaliśmy z chłopcami robaczki świętojańskie i zanosiliśmy je w słoikach do domu. Ich światło nie różniło się od tej poświaty: było tak samo blade, zielonkawe, zalatujące śmiercią. Teraz wydarzyły się najbardziej zdumiewające rzeczy. Trudno było dojrzeć

wszystko z mojej kryjówki, ale ucichły dźwięki muzyki i śpiewy, a niewyraźne postacie na brzegu ustawiły się w hierarchicznym porządku... jakby na coś czekając. Oczekiwanie nie trwało długo. Z morza wynurzyło się kilka kształtów. Bogowie i wodzowie zrobili im przejście i owe kształty wyszły na brzeg, potem skierowały się do świątyni i po jej stopniach weszły na górne tarasy. Nazywam jeksztaltami, ponieważ były to jakieś fantastyczne stwory. Stąpająca w samym środku zjawia miała postać człowieka, ale nawet z mojej oddalonej kryjówki mogłem dostrzec, że jest o wiele za duża, aby być człowiekiem, i za bardzo niematerialna. Ten ktoś... czy to coś zdawało się uformowane z... hmm, mgły. Albo z wodnego pyłu. Z chmury. Z jakiegoś niematerialnego oparu.

W tym momencie przysłuchujący się Halemanu wykrzyknął:

- Pana-ewa!

- Bzdura - zauważył wielebny Haymark. - Pana-ewa to postać mityczna. Chłopiec nie spojrzał nawet na kapłana, ale zwrócił się cichym głosem do pana Clemensa:

- Pana-ewa ma wiele postaci. Może zjawić się jako kino-ohu, pod postacią mgły.

Właśnie w takim ciele zaatakował siostrę Pele, Hi'iąkę.

- Hmm - odezwał się pan Clemens. Przerwał swą długą opowieść na chwilę, która wystarczyła mu na potarcie o podeszwę zapałki i przypalenie cygara. - Postać, którą widziałem dziś wieczorem, uformowana była z mgły. Do tego kłębiącej się. Prześwitywała przez nią poświata tych upiornych olbrzymów. Ale nie ukazała się samotnie. W towarzyszącym jej orszaku, który wyłonił się z morza, był ktoś wyglądający mniej więcej jak normalny człowiek, krajowiec. Miał na ramionach coś w rodzaju peleryny. Po jakimś czasie ci stojący na brzegu przyprowadzili mu beczącą kozę, którą on uniósł w kierunku tej mglistej postaci...

- Pana-ewy! - wyszeptał Halemanu.

- Tak - potwierdził pan Clemens puszczając kłęb dymu z cygara. - Niech mu będzie Pana-ewa. Ten w pelerynie uniósł kozę do góry, jakby chciał ja ofiarować Pana-ewie, a potem zrzucił tę płachtę i włożył sobie kozę na plecy, tak jak nieraz widywałem, że robią pasterze, kiedy niosą zwierzątko ze swego stada. Tylko że to, co zdarzyło się teraz... - pan Clemens urwał i odchrząknął, jakby wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Co to? - zapytałam, spoglądając w kierunku ciemnego okna. Usiadł tam mały ptaszek, którego trzepot przeszył mnie nagłym strachem. - Kozą zaczęła beczeć coraz bardziej żałośnie, coraz okropniej ... a do tych odgłosów dołączyły się inne... jakby trzeszczenia kości i oddzierania ścięgien. I nawet z tak dużej odległości mogłem dojrzeć, że kozę... zaczęła znikać. - Zaczęła znikać? - powtórzył jak echo wielebny Haymark, który wciąż trzymał w ręku srebrną flaszkę, zwróconą mu przez pana Cle-mensa. - Tak, znikać - potwierdził pewniejszym głosem pan Clemens. - Zaczęło ją wchłaniać coś w rodzaju... otworu w plecach tego człowieka. Dopiero teraz zobaczyłem, że pod tą jego peleryną krył się potężny garb, tam, gdzie normalnie powinien być kręgosłup, a w tym garbie był ten... otwór.

- Paszcza - powiedział cicho Halemanu. - To był Nanaue. On jest rekinoludem.

Czasami służy Pana-ewie.

Wszyscy troje spojrzeliśmy na chłopca. Wreszcie pan Clemens powiedział:

- W tym orszaku byli jeszcze inni... mali ludzie, o wykrzywionych, zdeformowanych postaciach i rysach...

- To eepa i kapua - powiedział Halemanu. - Oni są bardzo zdradliwi. Bardzo. Także służą Pana-ewie.

Pan Clemens wyjął z ust cygaro i podszedł do chłopca, przyglądając mu się w zamyśleniu.

- Z morza wyszedł jeszcze jeden kształt - powiedział cicho. - Był to pies. Wielki czarny pies, który trzymał się blisko postaci z mgły, po jej prawej stronie. - Ku - powiedział krótko Halemanu.

- Ku - powtórzył za nim pan Clemens i usiadł ciężko na glinianym klepisku.

Spojrzał na mnie. - A zatem, kiedy koza została wchłonięta, śpiewy ucichły. Mglista postać wyciągnęła nieprawdopodobnie długie ramiona i... sam nie wiem, jak to opisać... przemieniła się jakby... w coś innego. Zobaczyłem ogon. I łuski. Zapamiętałem też żółte oczy. Podobny do gada potwór zachował ramiona i nadal unosił je do góry. Niebo nagle przecięła błyskawica i oślepiła mnie na chwilę... - Pan Clemens przypomniał sobie, że trzyma w palcach cygaro. Włożył je do ust, zmarszczył brwi, przypalił je po raz drugi zapałką i powiedział: - Kiedy odzyskałem zdolność widzenia, bogów już nie było, zniknęli też wodzowie, znikły pochodnie, znikł pies, poznikwały też dziwne małe gnomy. Nie było nawet tego osobnika z mgły, który zamienił się w gada.

Odkaszlnęłam cicho.

- Znikła też heiaul.

- Nie - odparł pan Clemens. - Kamienna świątynia stała nadal. Spojrzałem na zegarek. Gdybym miał wierzyć moim zmysłom, musiało minąć wiele godzin... może tyle, ile ich liczy cały dzień. A według zegarka niecałe trzydzieści minut. No i wróciłem tutaj.

Przez chwilę wydawało się, że z całej naszej trójki białych zostały tylko szeroko wytrzeszczone oczy, którymi gapiliśmy się jedno na drugiego. W końcu zapytałam.

- Co zamierzamy teraz zrobić? Halemanu pociągnął mnie za rękaw. - Za chwilę, chłopcze - powiedziałam do niego, wpatrując się wciąż pytająco w obu mężczyzn. Halemanu nadal wisiał na moim rękawie. Zniecierpliwiona tym uwolniłam rękę i zapytałam go: - O co chodzi?

- Uciekajmy stąd!

- Zaraz się zastanowimy... - zaczęłam. Tym razem chłopiec krzyknął głośno:

- Uciekajmy stąd!

Pan Clemens pogłaskał go i chłopiec się uspokoił. - Dlaczego powinniśmy stąd uciec? - zapytał. Halemanu wyciągnął rękę w kierunku okna.

- Ptaszki. Małe ptaszki.

Obrzuciłam wzrokiem ciemny kwadrat okna. Ptaszków nie było. Uśmiechnęłam się na myśl, że chłopiec mógł się przestraszyć paru najłagodniejszych bożych stworzeń. - Ptaki są braćmi Pana-ewy! - powiedział chłopiec podnosząc coraz bardziej głos.

- Ptaki odleciały! Idzie tu Pana-ewa!

Mimo nacisku rąk na plecy Eleanor odrzuciła głowę i ramiona w bok i szarpnęła się ostro do tyłu dokładnie w momencie, w którym ze szczeliny wystrzelił wodny gejzer. Była przemoczona do suchej nitki, ale strumień nie uderzył w nią z całą swoją siłą. Odwróciła się twarzą do stojącego za nią mężczyzny. Był to Paul Kukali. Jego słoneczne okulary spryskały kropelki wody. - Na litość boską! - wrzasnęła podnosząc zaciśnięte pięści. - Co pan wyprawia, u wszystkich diabłów? - Strzelający obok niej strumień ryczał przez chwilę, po czym opadł i ucichł.

Paul zdjął okulary i spojrzał na nią z zakłopotaniem. - Bardzo mi przykro, doktor Perry... Zobaczyłem panią, pomyślałem, że coś się pani stało i chciałem pomóc...

- Popychając mnie? - warknęła Eleanor. Zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma uniesione ręce z zaciśniętymi pięściami. Poczwała, że serce wali jej jak młotem, a całe ciało drży od nagłego

przyływu adrenaliny. Gdyby doszło do bójki z Kukalim, nie tłukłaby go bezcelowo po klatce piersiowej, jak jakaś idiotka z głupiego filmu. Wiele lat temu została napadnięta w Port-au-Prince. Była to zwykła przepychanka - nie pobito jej dotkliwie ani nie zgwałcono - ale to doświadczenie wystarczyło, aby tego samego lata zapisała się na kurs samoobrony, a potem odświeżała przynajmniej raz w roku swoje umiejętności. Gdyby użyła pięści przeciwko Paulowi, dostałby uderzenie w krtań, w nasadę nosa albo w parę innych czułych miejsc.

- Nie popychałem pani - powiedział cicho Paul wycierając zachlapane okulary. Krople wody błyszczały także w jego kędzierzawych włosach. - Chciałem tylko zwrócić pani uwagę. Nie słyszała pani mojego wołania? Czyżbym mogła go nie usłyszeć? - pomyślała Eleanor. To prawda, skupiła się na dziwnej poświacie i ruchach w jaskini, i na wsłuchiwaniu się w szum pędzącej ku niej wody. Nie odpowiedziała.

- Przykro mi, jeżeli panią przestraszyłem - powiedział Paul wkładając okulary na nos. - Te wyloty wulkanicznych korytarzy są niebezpieczne. Bałem się, że nie wie pani o strzelającej z nich morskiej wodzie. - Wiedziała - odparła krótko i opuściła ręce. Potrzebuję jego pomocy, pomyślała. - Przykro mi, że straciłam panowanie nad sobą. Przestraszył mnie pan. Paul kiwnął głową.

- Rozumiem. Jeszcze raz przepraszam.

Dał się słyszeć mocniejszy syk i oboje odskoczyli od szczeliny, zanim wystrzelił z niej nowy gejzer.

- Skąd pan się tu wziął? - zapytała Eleanor, wyzymając rąbek zmoczonej koszulki z krótkim rękawem, którą miała na sobie. Ruszyli z powrotem. Paul uśmiechnął się.

- Rozglądałem się za panią. Przyjechał mój znajomy, szeryf Ven-tura, żeby zadać nam parę pytań dotyczących tego... hmm, psa. Znalazłem panią Stumpf, ale nie mogliśmy ustalić, gdzie pani odeszła. Ogrodnik powiedział mi, że widział jakąś kobietę biegnącą tym szlakiem, więc przyszedłem sprawdzić tę informację i okazało się, że to była pani. Zauważyłem ślady pani adidasów na ścieżce, tam, gdzie kończy się asfalt, a potem dojrzałem panią przelotnie ze skał na cyplu. Eleanor przyglądała mu się przez chwilę.

- Przepraszam, że musiał mnie pan szukać tak daleko. Paul wzruszył ramionami. - To bez znaczenia. Charlie pewno pojechał już do tej pory. Dowiedziałem się zresztą, że to tylko jego prywatne, nieformalne dochodzenie. Możemy zadzwonić do niego później. Prawdę mówiąc, miałem inny powód, żeby rozglądać się za panią. Eleanor nie odezwała się. Szli w kierunku ośrodka krawędzią urwiska. Rozmyślała o tym, co zobaczyła w podziemnej jaskini i zastanawiała się, czy Paul mógł o tym wiedzieć.

- Udało mi się w końcu skontaktować z moim przyjacielem, pilotem helikoptera - powiedział Paul. - Tak jak przypuszczałem, jest przez cały dzień zajęty na Maui, ale mógłby przylecieć tu o zmroku, żeby pokazać nam wulkan z lotu ptaka. - Naprawdę? - ucieszyła się Eleanor. - To świetnie. - Prawie zapomniała o projekcie lotu nad wulkanem. Przez chwilę wahała się, co powiedzieć. - Mam do pana...

- Słucham?

- Chciałabym poprosić pana o wyświadczenie mi pewnej przysługi. ... - Urwała jakby z zakłopotaniem.

Specjalista od zabytków i archeologii rozłożył ręce i powiedział:

- Po tym, jak napędziłem pani takiego strachu, jestem gotów zrobić dla pani wszystko. Proszę mówić.

- Chciałabym odwiedzić miejscowego kahunę- powiedziała Eleanor. -Najchętniej mającego związek z Pele.

Paul Kukali zatrzymał się. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Kahunę? Kapłana? W jakim celu?

Eleanor przystanąła również i obróciła się do niego.

- Mam bardzo poważny, osobisty powód. Muszę porozmawiać z kimś takim.

Kustosz uśmiechnął się znowu.

- Myśli pani o porzuceniu racjonalistycznego światopoglądu? Eleanor uniosła rękę, tak jakby chciała dotknąć jego ramienia.

Powstrzymała się jednak.

- Wiem, Paul, że to przewyższa wszystko, w czym pomógł mi pan do tej pory... a także Cordie... ale taka rozmowa miałaby dla mnie wielkie znaczenie. - W ciszy, która nagle zapadła Eleanor przyglądała się własnemu odbiciu, spoglądającemu na nią z okularów Paula.

- Dlaczego sądzi pani, że znam jakiegoś kahunę? - zapytał w końcu Paul.

Eleanor zaśmiała się cicho.

- Przypuszczam, że zna pan tu wszystkich. Jeśli pan nie może, to trudno. Jestem w stanie to zrozumieć. Ale musiałam o to poprosić. Paul westchnął.

- Jest tu parę osób... mieszkają parę kilometrów stąd... w kierunku południowym, tam, gdzie spływa lawa. Być może zostali ewakuowani. Kiedy chciałaby pani tam pojechać?

Eleanor oparła ręce na biodrach i uśmiechnęła się szeroko.

- Jak tylko włożę na siebie coś suchego. Zgoda? Cordie nie przerwałaby czytania dziennika cioci Kidder, gdyby nie usłyszała nagle wołania jakiegoś dziecka. Krzyki dochodziły z plaży. Widok zasłaniały jej wprawdzie palmowe drzewa i trawiasty pagórek, ale dojrzała przez nie siedmioletniego może chłopczyka, który biegał tam i z powrotem po piasku i krzyczał. Nie wyglądało na to, aby w pobliżu byli jacyś dorośli. Cordie przypomiwała sobie niewyraźnie, że jakieś pół godziny temu przechodziło koło niej dwóch chłopców. Jeden z nich niósł nadmuchiwany materac.

Włożyła dziennik do podręcznej torby, podniosła się z leżaka i zarzuciła torbę na ramię. Wołania dziecka stawały się coraz głośniejsze. Szybkim krokiem Cordie ruszyła w stronę plaży.

Ujrawszy ją chłopiec podbiegł wyraźnie przerażony. Miał zaczerwienioną od krzyku, zalaną łzami buzię. Cordie rozejrzała się za jego rodzicami albo ratownikiem, ale w pobliżu nie było nikogo. Chwyciła chłopca za szczupłą rączkę. - No, już dobrze - powiedziała. - Uspokój się, moje dziecko. Chłopiec nie przestawał płakać. Wskazał ręką w kierunku gładkiej jak tafla laguny. - Mój b... brat - wyjąkał szlochając. - Mówiłem mu, żeby nie płynął... tak daleko.

Cordie osłoniła dłonią oczy i rozejrzała się po zalanej południowym słońcem zatoce. Zobaczyła chłopca płynącego na niezatapialnym materacu. Klęczał na nim; materac złamał się niemal na dwoje, a jego przednia i tylna część wystawały z wody. Mógł być najwyżej o rok starszy od braciszka. Wyglądał na mocno przestraszonego. Chyba miał powody, bo materac odpłynął na przeszło sto metrów od plaży i oddalał się coraz szybciej w stronę otwartego oceanu. Cordie jeszcze raz rozejrzała się po plaży. Nie do wiary, nie było ani jednego wczasowicza, a krzeselko ratownika stało puste. Ktoś będzie musiał beknąć, jeżeli ten dzieciak się utopi, przeleciało jej przez głowę. Mignęła jej jakaś sylwetka przy kontuarze Pirackiego Baru, ale odległość była za duża, aby usłyszano jej wołanie, a barman odwrócony był plecami do plaży. Naraz zobaczyła kajak, leżący na brzegu koło

miejsca ratownika. - Biegnij po swoich rodziców - powiedziała szlochającemu malcowi. - Popłynę po twojego braciszka. - Figę, nie umiem przecież pływać, mruknęła do siebie. Kajak był z włókna szklanego i miał okrągły otwór z siedzeniem dla jednego tylko kajakarza. Wyglądało na to, że Cordie może się w nim nie zmieścić. Musiała włożyć wiele wysiłku, aby ściągnąć małą łódkę na wodę, a potem do niej wsiąść, ale jakoś jej się to udało. Wiosło z dwoma piórami wpadło jej do wody, ale nie utonęło, więc dopłynęła do niego wiosłując rękami. Na szczęście tego dnia nie było prawie fal przyboju.

Chłopczyk nie pobiegł po rodziców. Stał po kostki w wodzie i wołał do niej coś jeszcze. Cordie odwróciła się, aby lepiej słyszeć. - Gregory popłynął tam, bo uciekał przed... przed... rekinem!

- Rekinem? - zapytała Cordie i uświadomiła sobie, że dostała gęziej skórki. Spojrzała w kierunku chłopca na materacu. Odpłynął o dalsze pięćdziesiąt metrów w kierunku oceanu i był już prawie w miejscu, w którym załamywały się fale przyboju.

- Nie widzę żadnego rekina - odkrzyknęła płaczącemu chłopcu. Trudno było patrzeć pod słońce, ale z wody nie wystawała żadna płetwa. Miejsce, w którym taplali się chłopcy, było czymś w rodzaju basenu dla płaszczyk. Skrzydlate stwory podpływały wieczorem, przyciągane światłem reflektorów, były też przyzwyczajone do karmienia w dzień. - Może to była manta - powiedziała Cordie. - One nie robią nikomu krzywdy. - Nie sądziła, aby manta mogła zrobić coś złego człowiekowi. Płaczący chłopiec pokręcił głową.

- To był naprawdę rekin. Tylko że nie miał płetwy. Za to miał nogi.

Chociaż temperatura sięgała trzydziestu pięciu stopni, Cordie zrobiło się zimno. - Dobrze - powiedziała. - Biegnij po rodziców, jak ci mówiłam, a ja popłynę po twojego braciszka. - Zawahała się na moment. - Hej! - krzyknęła za chłopcem, który odbiegł już parę metrów. - Rzuć mi tę plecioną torbę. - Przyszło jej do głowy, że nie powinna zostawiać dziennika cioci Kidder bez opieki. Chłopiec zakręcił się na piasku, złapał torbę i rzucił ją nad wodą w jej kierunku. Cordie musiała wychylić się mocno z kajaka, ale zdołała chwycić ją dwoma palcami, tak że nic się z niej nie wysypało. Uniosła nogi i wepchnęła ciężką torbę do wnętrza kajaka. Pochyliła się do przodu i machając ostro podwójnym wiosłem zaczęła płynąć w kierunku chłopca na materacu. - Ja pieprzę, chyba mi się coś przywidziało - mruknął do siebie Trumbo. Znajdowali się na siedemnastym dołku północnego pola golfowego, prawie na tyłach klubowego pawilonu; Hiroshe Sato wygrywał o pięć uderzeń i był z siebie wyraźnie zadowolony, kiedy nagle Trumbo zobaczył stojącego na krawędzi zielonego trawniczka ogromnego Hawajczyka. Mężczyzna był bez koszuli i musiał ważyć co najmniej dwieście kilo. W ręku trzymał siekiere. - Ooo! - powiedział Hiroshe Sato, który przymierzał się właśnie do uderzenia.

Najwyraźniej nagle pojawienie się intruza nie uszło jego uwagi. - Coś takiego!

Trumbo obejrzał się za siebie. Bobby Tanaka i Will Bryant byli wraz z drugą grupą na środku siedemnastego odcinka. Na trawie, razem z Byronem Trumbo, stali Hiroshe, Inazo Ono i stary Matsukawa. Olbrzymi Hawajczyk przerzucał siekiere z jednej ręki do drugiej, niczym chłopiec bawiący się kijkiem. Trumbo przejechał dłonią po skórzanym pasie pod hawajską koszulą: krótkofalówka z jednej i browning dziewięć milimetrów z drugiej strony były na miejscu. Zanosilo się na to, że partia zakończy się jakimś niemiłym incydentem. - Spokojnie, Hiroshe - powiedział Trumbo szczerząc zęby do japońskiego miliardera. - To jest facet, który wycina u nas niepotrzebne krzaki. Miałem dla niego małą robótkę. Niech pan tymczasem wbije swoją piłkę, a ja wrócę za moment. - Położył na trawie tabliczkę do zapisywania punktów, wrzucił piłkę do kieszonki na piersiach i pewnym krokiem ruszył w kierunku olbrzyma. Po drodze wyjął krótkofalówkę, włączył

częstotliwość zarezerwowaną dla ochrony i powiedział: - Fredrickson? Fredrickson? - Nic, same szumy. - Michaels? Smith? Dunning? - Cisza. Kiedy znalazł się o parę metrów od Hawajczyka, włączył inny zakres.

- Will?

- Słucham, szefie.

- Chodź tu prędko. Weź dodatkową obstawę. - Włożył krótkofalówkę z powrotem za pas i podszedł bliżej. Olbrzym przyglądał mu się uważnie. Trumbo zauważył, że ma on na szyi naszyjnik czy amulet z kości. W jasnym słońcu połyskiwały nanizane na nitkę wielkie zęby.

Zbliżywszy się na odległość półtora metra do Hawajczyka, Byron Trumbo powiedział:

- Coś mi mówi, że nazywasz się Jimmy Kahekili.

Olbrzym mruknął pod nosem i przełożył siekiere do prawej ręki. Byronowi Trumbo przeleciało przez głowę, że jego brzuch jest większy od niektórych samochodów, jakimi jeździł. Z szyi, piersi i pach Hawajczyka zwisały fałdy tłuszczu. - No więc, Jimmy Kahekili - powiedział Trumbo spoglądając na zegarek - czego sobie życzysz? Muszę zaraz wracać do moich przyjaciół. Olbrzym mruknął znowu i Trumbo zorientował się, że te pomruki układają się w słowa.

- Ukradłeś naszą ziemię - powiedział Hawajczyk.

- Zapłaciłem za tę pieprzoną ziemię. I płacę pensje twoim znajomym i sąsiadom, którzy tu pracują.

Olbrzym uniósł siekiere na wysokość brzucha.

- Ukradłeś nam całą ziemię. Wszystkie wyspy. Ukradłeś nasz kraj. - Och - westchnął Trumbo, unosząc prawą rękę, aby jego dłoń znalazła się o parę centymetrów od rękojeści browninga. - Mówisz o całym tym zasranym amerykańskim imperializmie. Zgoda, ukradliśmy wasz kraj. I co z tego? Tak robią wszystkie państwa. Zabierają innym ludziom ich kraje. Poza tym nie było mnie tu, jak to się stało. - Trumbo próbował wyczytać z oczu Hawajczyka, czy i w jakim momencie zamierza zaatakować, ale nic nie mógł zobaczyć za fałdami tłuszczu.

- Zniszczyłeś nasze rybne jeziora, haole - burknął nieco żwawiej olbrzym. - Rybne jeziora? - zapytał Trumbo. - Och, rzeczywiście... ale uratowałem rysunki na skałach.

- Nie masz żadnego poczucia malama a 'ina... szacunku dla ziemi. Rabujesz i niszczysz dla zysku.

Przez chwilę Trumbo wpatrywał się w ogromnego mężczyznę, a w końcu wzruszył ramionami.

- No, dobra. Nie będę się z tobą sprzeczał. Jestem kapitalistą... czy tam przedsiębiorcą. Rabowanie i niszczenie dla zysku to moja specjalność. Zgadza się, sto lat temu maryniesz obalili waszą królową, a teraz ja zasypałem buldożerami parę zaniedbanych rybnych sadzawek. Co chcesz mi za to zrobić? Porąbać mnie i moich przyjaciół tą siekiere?

Jimmy Kahekili mruknął coś, co można było wziąć za potwierdzenie, a potem uniósł siekiere obiema rękami.

Trumbo zaczął gorączkowo obliczać szansę. W magazynku jest dziewięć kul. To może nie wystarczyć. Pytanie, jak prędko ten dwustukilowy potwór potrafi biegać. - Mam dla ciebie lepszą propozycję - powiedział głośno. Tym razem pomruki olbrzyma można było uznać za pytanie, i Trumbo tak je odczytał.

- Posłuchaj, Jimmy - powiedział i odwrócił się, wskazując ręką czekających za jego plecami Japończyków. - Porzucam już te hotelowe interesy. To są faceci, z którymi będziesz negocjował w przyszłości. Nie przypuszczam, żeby porąbanie na kawałki prezesa ich korporacji pomogło choć trochę waszym nędznym nacjonalistycznym knowaniom. Oni mogą się okazać niezbyt skłonni do

zaspokajania waszych etnicznych i kulturalnych ciągót, jeżeli wyprawicie ich prezesa w podróż powrotną, zapakowanego w foliowy worek. Łagodniej szy pomruk. - Ale ja odnoszę się z sympatią do waszych aspiracji - powiedział Trumbo. - Zaraz zobaczysz, z jak dużą sympatią... za całe dziesięć tysięcy dolarów. Hawajczyk spojrzał na niego podejrzliwie spod obwisłych powiek.

Miliarder wyciągnął rękę.

- Nie myśl, że cię nabieram. Musisz tylko przekonać twoich patriotycznie nastawionych kumpli, żeby zostawili mnie w spokoju jeszcze na parę dni... najwyżej na tydzień... a dostaniesz czek na tę forszę. Do diabła, dam ci ją od razu, w gotówce. Mam do ciebie zaufanie.

Jeszcze jeden pomruk. Siekiera opadła trochę.

- No jak, zgoda? - zapytał Trumbo. - To daj grabę. - Uniósł znowu rękę, a po chwili olbrzym wyciągnął w jego stronę swoją potężną, nalaną tłuszczem dłoń. Dłoń Trumba znikła w tamtej i przez moment przeszywał go strach, że olbrzym wyszarpi mu jednym pociągnięciem ramię z zawiasów. Caitlin posiusiała się z radości. Ale po chwili zobaczył znowu swoją dłoń, całą i zdrową. Podszedł Will Bryant w towarzystwie Michaela i Smitha. Ochroniarze trzymali ręce pod połami marynarek.

- Kto smaruje, ten jedzie - powiedział Trumbo. - Will, bądź łaskaw zaprowadzić tego tu pana Kahekili do Wielkiego Hale i powiedz panu Carterowi, żeby wypłacił mu dziesięć tysięcy dolarów z funduszu na nieprzewidziane wydatki. Niech je zaksięgują jako koszty utrzymania zieleni.

- Szefie... - zaczął Will Bryant.

Trumbo uśmiechnął się do hawajskiego olbrzyma, jakby chciał powiedzieć: „Sam słyszałeś”.

- Jimmy, dziękuję, że do mnie zajrzałeś. Niedługo pogadamy jeszcze o tym wszystkim - powiedział, a potem odwrócił się do niego plecami i ruszył w kierunku zielonego trawniczka z siedemnastym dołkiem. Wróciwszy do swojego hale Eleanor wyłączyła ekspres do kawy, wzięła szybki prysznic, wciągnęła bawełniane spodnie i koszulkę 240 z krótkim rękawem, po czym ruszyła do Wielkiego Hale, gdzie miała się spotkać z Paulem. Po drodze rozglądała się, czy nie ma gdzieś w pobliżu Cordie, ale nie zauważyła jej ani na plaży, ani w Pirackim Barze, ani też na żadnym lanai. - Chciałabym, żeby Cordie też poj echała - powiedziała do Paula, który czekał w głównym holu.

- Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu - odparł archeolog. Zdawał się stracić już całkiem nadzieję na to, że znajdzie się kiedykolwiek sam z profesorką historii.

Eleanor zadzwoniła do pokoju Cordie, ale nikt nie podniósł słuchawki. Zajrzała na Wielorybie Lanai, ale restauracja była pusta. Cały ośrodek zdawał się jeszcze bardziej wyludniony niż przedtem. Poprosiła recepcjonistkę, żeby przekazała Cordie wiadomość, że wpadnie do niej po południu, a potem podeszła do Paula, który stał między dwoma buddyjskimi mnichami, pilnującymi wejścia. - Obawiam się, że będziemy musieli wypożyczyć dżipa - powiedział Kukali. - Mam tu mojego taurusa, ale tam, gdzie pojedziemy, droga jest trochę za kiepska. - Ja mam tu dżipa - odparła Eleanor, potrząsając kluczykami, które odebrała przed chwilą z recepcji.

- A pani Stumpf? - zapytał Paul, kiedy wyszli na dwór i ruszyli szpalerem barwnych, pachnących bugenwilli, które tworzyły obramowanie jezdni i chodników. - Nie mogłam jej znaleźć - odparła Eleanor. - Chyba pojedziemy tylko we dwoje.

Paul Kukali uśmiechnął się.

Eleanor przystanąła zdziwiona u wejścia na parking. Jej dżip stał w towarzystwie zaledwie kilku pojazdów, rozrzuconych po obszernym placu. - Wygląda na to, że prawie wszyscy wyjechali stąd w nocy - powiedziała.

Paul Kukali zajął miejsce na siedzeniu obok kierowcy. - To był właśnie drugi powód, dla którego rozglądałem się za panią dziś rano - powiedział. - Pan Carter ostrzegał gości o możliwym zagrożeniu strumieniami lawy.

Eleanor usiadła za kierownicą, ale dopiero po chwili przekreśliła kluczyk w stacyjce.

- Strumieniami lawy? Czyżby lawa nie kierowała się na południe, daleko stąd?

- Tak, ale nadal występuje problem z trującymi gazami. A doktor Hastings... to wulkanolog z obserwatorium, zatrudniony przez pana Trumbo... powiada, że są również inne strumienie, które kierują się do południowo-zachodniej rozpadliny, ale jak dotąd nie wyszły jeszcze na powierzchnię.

- Płyną tymi starymi kominami - powiedziała Eleanor.

- Dokładnie.

Jadąc wzdłuż północnego pola golfowego, a potem koło ogrodów, tenisowych kortów i długą alejką wysadzaną krzewami bugenwilli, Eleanor gryzła niecierpliwie dolną wargę. Zauważyła grupkę graczy na golfowym polu i jednego jedyne go ogrodnika w kapeluszu, który ocieniał mu twarz, ale poza nimi nigdzie nie było widać żywego ducha. Za polem golfowym w nawierzchni pojawiły się wyboje i dołki, a droga zaczęła się wic między pustynnymi polami wysokich głązów a 'a. Teraz, z błękitnym niebem nad głową i widokiem na zbocza Mauna Loa, podziurawiona droga i dzikie poszarpane pola wulkanicznej magmy nie wydawały się Eleanor tak groźne jak wtedy, gdy razem z Cordie jechały tędy.

Kiedy wyjeżdżali z bramy ośrodka, z budki wyszedł strażnik i kiwnął im głową. - Wciąż jednak ktoś pracuje - powiedział Paul, kiedy skręcili w prawo, na drogę numer jedenaście.

- Ludzie przestali przychodzić do pracy?

Paul odwrócił głowę w jej stronę. Błysnęły jego słoneczne okulary.

- Niektórzy nadal przychodzą. Ale wielu przestało to robić.

- Powodem tego jest wulkan czy te dziwne rzeczy, które dzieją się w Mauna Pele?

- zapytała Eleanor. Jak dotąd, nie spotkali żadnego pojazdu jadącego ku północy.

Eleanor zobaczyła półwysep i urwiska, wzdłuż których biegała tego ranka. - Tutejsi ludzie przyzwyczajeni są do wulkanu - odparł Paul. - Ale niepokoją ich te dziwne wypadki.

Jadąc na południe minęli Puuhonua O Honaunau, tak zwane Miasto Ucieczki. Za małym przydrożnym miasteczkiem Kealia jedynym znakiem obecności ludzkiej była jedna czy dwie chałupiny, stojące niedaleko drogi, oraz wąskie drożyny, prowadzące na wschód, do miasteczek Hoopuola i Milolii. Paul wyjaśnił, że obie te miejscowości zostały ewakuowane z powodu spływającej tam lawy.

Eleanor dziwiło, że już na wiele kilometrów przed pierwszym strumieniem lawy kłębiło się przed nimi tyle dymu i pary. Trochę z boku widać było ścianę granatowocznego dymu, a na wprost wyrastał słup białej pary, strzelający na wysokość ponad czterech kilometrów.

Strach było jechać w kierunku tak groźnie wyglądającego nieba. Pierwszym małym ostrzeżeniem była bariera na drodze. Wiatr rozwiewał krótkie włosy Eleanor, kiedy po jej ominięciu sunęli z prędkością ponad siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, ale po pokonaniu zakrętu ujrzeni następną barykadę i migające światła. Dwieście metrów przed tą przeszkodą drogę blokowały patrolowe wozy. Eleanor zwolniła i podjechała powoli do stojącego obok pierwszego światła policjanta.

- Droga zamknięta, proszę pani - powiedział funkcjonariusz. Był Hawajczykiem, ale ku zaskoczeniu Eleanor miał niebieskie oczy. - Strumienie lawy przecięły drogę tu i trochę dalej na

wschód. Najlepiej będzie, jeżeli pani zawróci. Och... witaj, Paul!

- To mój znajomy, Eugene - powiedział Paul Kukali. - Dziwne, że nie ma tu żadnych ciekawskich gapiów.

- Mieliliśmy ich pod dostatkiem - uśmiechnął się policjant. - Niektóre z dużych hoteli przysyłały aż do dzisiejszego ranka całe autokary. Ale nadeszło ostrzeżenie, że mogą wystąpić gazy i większe wylewy tam, skąd jedziecie, i urwało się. Większość turystów gromadzi się tam, od strony Hilo. No i są jeszcze loty helikopterami. - Jakby na potwierdzenie słów nisko nad polami lawy zawarczał śmigłowiec, kołujący wokół rosnącego słupa pary. - Mógłbym pokazać mojej znajomej, pani Perry, jak wygląda świeża pahoehoe? - Jasne - odparł policjant. - Zaparkujcie tam, na poboczu. Nie podjeżdżajcie za blisko. Dziś rano przyjechała autokarem z Mauna Lani pewna dama, wysiadła i zemdląca. Gorąco tam jak diabli, a gazy są zdradliwe. Paul kiwnął głową. Eleanor zaparkowała auto. Ruszyli pieszo obok zagrządzających drogę barier i samochodów policji stanowej.

- To nie do wiary - powiedziała Eleanor. Drogę pokrywała warstwa szarej lawy o grubości do trzech metrów, spływającej z Mauna Loa w kierunku odległego o kilometr wybrzeża. Skłębiona, szara masa wciąż jeszcze dymiła. W miejscach, w których grube fałdy pahoehoe dosięgły asfaltu, widać było pomarańczowy odblask żarzącej się wciąż magmy, przypominający światło w szczelinie pod drzwiami. Na oczach Eleanor ze szczelin i pęknięć przemieszczającej się kleistej masy wydobywały się maleńkie iskierki i unosiły z podmuchami rozgrzanego powietrza.

Cała powierzchnia pękała i oddychała w miarę stygnięcia. Trawy w pobliżu strumienia były zwęglone albo dymiły, a zarośla po obu stronach drogi paliły się; z niektórych zostały tylko czarne kikuty. Na szczęście wiatr unosił dym na południe, w przeciwnym kierunku, ale żar był tak wielki, że oboje musieli zatrzymać się o kilka metrów od szarej rzeki. Eleanor przyglądała się, jak pękały niczym skorupa jajka fałdy i wybrzuszenia pozornie zastygłej magmy, wyrzucając niczym żółtka płynne ogniste kule, które spływały na drogę albo na dymiącą trawę. Wszystko, czego lawa dotknęła, wybuchało płomieniem.

- Nie do wiary - powtórzyła, osłaniając twarz od żaru. - Ten strumień przekroczył drogę wczoraj rano - powiedział Paul. - Do tej pory było już przynajmniej pięć wypływów, które przecięły drogę na południe i wschód od miejsca, w którym jesteśmy.

Eleanor obrzuciła wzrokiem zbocze wulkanu. Jego większa część skrywała się za zasłoną dymu.

- Czy można zobaczyć taki strumień, kiedy dopiero się zbliża? - Zwykle tak. Ale ta rzeka wydostała się z komina, który znajduje się tylko o parę mil w górę zbocza. Zaskoczyło to władze, dlatego ewakuowano Milolii i Hoopuloa. Po prostu nie są pewni, co wulkan ma jeszcze w zanadru. Eleanor spojrzała w kierunku południowo-zachodnim, skąd wydostawał się słup pary.

- Chciałabym zobaczyć, jak lawa wpada do morza. - Obejrzała się w stronę policjantów i dodała. - Czy to oznacza, że nie będziemy mogli odwiedzić pana znajomych, kahuna?

Paul Kukali zawahał się.

- Być może dałoby się to zrobić, ale dżipem. Znam tych starych ludzi i nie sądzę, aby białym przedstawicielom władz, haole, udało się przepędzić ich z ziemi. - Wskazał ręką ścianę dymu i ognia między drogą a wybrzeżem. - Dojechać tam? - W głosie Eleanor można było wyczuć wielkie podekscytowanie. - Myśli pan o polach starej a 'al - Myślę o świeżej lawie. A przynajmniej tej, która spłynęła tu najpierw. - W jaki sposób moglibyśmy przejechać po niej? - Odstąpiła do tyłu, kiedy pękło kolejne jajowate wybrzuszenie skorupy, okrywającej żarzącą się w środku magmę. Paul wzruszył ramionami.

- Możemy dojechać dżipem przynajmniej do tego strumienia, a na miejscu zdecydujemy, co dalej. To jedyny sposób na to, żeby 244 dostać się do kahunów, z którymi chciała pani rozmawiać. Decyzja należy do pani. Eleanor przez chwilę przyglądała się kustoszowi. Przestrzeń między nimi wypełniały fale gorącego powietrza. Jeśli chciał ją zniechęcić bez narażania się na kłótnię, to rzeczywiście znalazł na to mądry sposób. - W takim razie jedziemy - powiedziała.

Szybkim krokiem wrócili do samochodu.

Cordie dostrzegła w wodzie jakiś biały kształt, kiedy była w połowie drogi do chłopca. Znajdował się bliżej przerażonego dzieciaka niż niej i płynął leniwie kilka metrów pod powierzchnią wody. Nawet z tej odległości Cordie dostrzegła ogromną paszczę i rzędy ostrych zębów. Chłopiec na brzegu miał rację: to był rekin.

Machała wiosłem tak zawzięcie, że spryskała sobie wodą twarz i ramiona. Złapała już właściwy rytm i czuła, jak kajak tnie wodę po każdym pociągnięciu wiosłem. Lewa, prawa, lewa, prawa. Mięśnie na plecach buntowały się przeciwko takiemu wysiłkowi, zaczęły też omdlewać jej ręce. Czuła promieniujący z okolic podbrzusza ból, który od czasu operacji dokuczał jej coraz bardziej. Ale podobnie jak to robiła całymi tygodniami, i teraz starała się go nie zauważać. Pochyliła się nad smukłym kadłubem kajaka, opierając się piersiami o jego skorupę i jeszcze mocniej pociągnęła wiosłem.

- Uwaga! - krzyknął chłopiec, kiedy znalazła się o dziesięć metrów od niego. - Rekin! - Tak energicznie wyciągnął rękę, że o mało nie zsunął się ze zgiętego jak scyzoryk materaca.

- Ostrożnie! - zawołała Cordie zaprzestając szaleńczego wiosłowania. Brakowało jej tchu. Kajak płynął rozpędem do przodu, kołysząc się na leniwych falach. Cordie wyczuwała już prąd, który wyniósł chłopca tak daleko od brzegu. Gdyby pozwoliła teraz kajakowi dryfować swobodnie, ten prąd, czy może ruch wody wywołany cofaniem się przyływu, poniósłby ją i chłopca dalej, ku załamującym się na koralowych rafach falom, oddalonym już tylko o jakieś trzydzieści metrów.

Słyszała wyraźnie huk przyboju. Co chwila fale rozbijały się z łoskotem, pozostawiając po sobie wodną mgiełkę, która kładła się na spokojniejszą wodę laguny. Kiedy obejrzała się za siebie, wydało się jej, że plaża Mauna Pele znajduje się niewiarygodnie daleko.

- Ostrożnie! - krzyknęła znowu, tym razem spokojniej. - Staraj się nie wpaść do wody!

Z materaca uszła połowa powietrza. Chłopiec, starając się za wszelką cenę utrzymać nogi nad wodą, bezwiednie wypychał oba jego końce do góry. Mógł mieć o rok czy dwa więcej od swojego braciszka na plaży, ale był szczupły i blady. Miał zapadniętą pierś i parę piegów na plecach. Na głowie sterczały mu mokre kosmyki krótkich włosów. Znowu wyciągnął rękę w kierunku wody między kajakiem i materacem.

- Wraca!

Cordie pochyliła się, żeby spojrzeć na groźnego potwora. Znajdował się teraz głębiej, może o siedem metrów pod powierzchnią, ale było go widać przez przezroczystą wodę. Zobaczyła zęby, uśmiechające się z otwartej, niewątpliwie rekiniej paszczy. Ale reszta jego ciała wydawała się jakaś zdeformowana. Zamiast wrzecionowatego, doskonale opływowego korpusu rekina, zakończonego potężnym rozwidlonym ogonem, bielejący w wodzie kształt miał różne wybrzuszenia i wypukłości, za to był zupełnie pozbawiony płetw. Całkiem jak człowiek od strony pleców, tyle że ze szczękami rekina u nasady karku.

- Trzymaj się materaca! - krzyknęła Cordie. - Nie ruszaj się, zaraz do ciebie podpłynę.

- Nie! - zawołał chłopiec, najwyraźniej przerażony myślą, że może stracić chwiejną równowagę.

- Nie dotknę cię, zanim nie będziesz na to gotowy - zawołała Cordie. Tańczące na wodzie odbicie słońca zmusiło ją do zmrużenia oczu. Podniosła jedną rękę, aby je osłonić. Oceaniczne fale były tu wyższe i szersze. To unosiły ją dwa metry w stronę otwartego morza, to znów o metr bliżej brzegu, a dalej od chłopca na materacu. Ale były one niczym w porównaniu z gwałtownie załamującym się przybojem, ku któremu dryfowali. - Trzymaj się - dodała manewrując ostrożnie wiosłem. Nie bardzo wiedziała, jak poradzi sobie z umieszczeniem chłopca w kajaku, kiedy podpłygnie już do niego. W maleńkiej łódce było miejsce tylko dla jednej osoby. Ale powietrze z materaca uchodziło w coraz szybszym tempie. - Uwważaj! - krzyknął znowu chłopiec i w tej samej chwili coś uderzyło z potężną siłą w dno kajaka.

W oczach Cordie wszystko zrobiło się naraz niebieskie. Do jej uszu zaczęły dochodzić głośniejsze i zarazem dziwnie zduszone dźwięki. Poczwała wodę na twarzy i w oczach. Uświadomiła sobie, że nie zdążyła wziąć głębokiego oddechu, zanim kajak przewrócił się dnem do góry. Od razu zdała sobie sprawę, że coś musiało ją wywrócić - oglądała w kablowej telewizji ze sto razy dokumentalne filmy, na których młode zuchy przewracały kajaki, wiosłując na rwącej rzece. Tylko że tam udawało się im zawsze w ciągu paru sekund postawić kajak z powrotem. Cordie robiła co mogła, ale wciąż wisiała głową do dołu. Wokół niej bulgotały banieczki powietrza. Kajak zdawał się trzymać ją w tej pozycji samym swoim ciężarem; nie pozwalał się odwrócić. Wykręcała się ile sił, ale nie udawało się jej sprawić, aby jej głowa choć trochę przybliżyła się do odległej o przeszło metr powierzchni wody.

Czuła, że w płucach zostały jej już tylko resztki powietrza. Zobaczyła przed oczami plamy mieszające się z lecącymi w górę srebrzystymi bąbelkami. Przyszło jej do głowy, żeby wydostać się z ciasnego siedzenia kajaka. Nie umiała pływać i wiedziała, że woda jest tu głęboka, ale pomyślała, że gdyby udało się jej chwycić kadłuba, mogłaby wykorzystać go jako pływaki podpłynąć jakoś do chłopca. Dziennik cioci Kidder! Myśl, że on może wypaść, kiedy ona będzie się wydostawać z kajaka, przeraziła ją jeszcze bardziej. Poczwała, że serce wali jej jak młotem. Czuła w piersi ból wywołany potrzebą zaczerpnięcia powietrza. Została w kajaku i jeszcze raz spróbowała odwrócić go, wychylając się w bok, ku srebrzystej powierzchni wody.

Tułów opadł jednak i znowu zawisła głową w dół. Coś wielkiego i białego przepłynęło tuż przed jej oczami.

Czując, że w płucach prawie już nie ma powietrza, Cordie pochyliła się do przodu, jak przy wiosłowaniu, oparła się piersioma o pokład odwróconego do góry dnem kajaka, chwyciła go niczym oporną kłodę i pociągnęła ze wszystkich sił, jakie jej jeszcze zostały.

Kajak odwrócił się. Cordie zaczęła łapać powietrze i wykaływać morską wodę.

Wciąż obejmowała małą łódkę i utrzymywała ją siłą woli w wyprostowanej pozycji. Dziecko nadal wołało na lewo od niej. Cordie uniosła rękę, aby otrzeć wodę z oczu i zobaczyła, że niezatapialny materac zaczyna tonąć, a trzymający się go chłopiec krzyczy, wskazując coś rękami.

Po obu stronach wyłoniły się z wody dwie dłonie, chwyciły kajak i zaczęły nim kołysać. Cordie błyskawicznie wyrzuciła ramiona na boki, starając się zachować równowagę. Mocne, opalone ręce obróciły kadłub i kajak przewrócił się znowu na prawą burtę. Cordie rąbnęła mocno o powierzchnię wody.

Tym razem jednak nie poszła pod wodę. Wymachując frenetycznie rękami odepchnęła się od niej i wyprostowała kajak do normalnej pozycji. Chłopiec był już w wodzie po piersi, a materac, z resztkami powietrza po obu końcach, trzymał go niczym w kleszczach.

- Za tobą! - krzyknął chłopiec i w tym samym momencie coś uderzyło mocno w łódkę.

Cordie usłyszała trzeszczenie szklanego włókna i kajak zatoczył prawie pełne koło. Biały kształt wynurzył się z wody i zanurkował znowu. Cordie zobaczyła, że kajak pękł trochę ponad linią wodną, w miejscu, z którego ostre zęby wyrwały przeszło czterdziestocentymetrowy kawałek poszycia. Rekin zatoczył koło wokół chłopca muskając jego stopy i znowu ruszył w kierunku kajaka. Cordie z trudem wcisnęła rękę między nogi. Przez moment myślała już, że torba wypadła, ale chwilę potem wymacała ją i przyciągnęła bliżej. Usłyszała szum wody kotłującej się wokół atakującego jarekina. Dotknęła okładek książki i wcisnęła ją głębiej, a jej palce prześliznęły się po znajomych kształtach rewolweru z długą lufą, pamiętki po jej byłym mężu.

O burtę kadłuba zgrzytnęły zęby, wyrrywając długie odłamki poszycia. Cordie byłaby się znowu wywróciła, ale wyciągnęła na czas rękę, omal nie wypuszczając z niej rewolweru. Kajak zakołysał się w drugą stronę; zacisnęła palce na kolbie i uniosła rewolwer w górę, żeby się nie zamoczył, a potem ujęła go obiema pulchnymi rękami i wycelowała w biały kształt, który widać było teraz obok tonącego materaca. Chłopiec stał już pionowo w wodzie i płakał bezgłośnie. Wypaliła cztery razy, przerywając strzelanie, kiedy dziwny kształt zbliżał się za bardzo do chłopca. Zdawało się, że podobny do rekina stwór zanurkował; przez chwilę Cordie drżała, że ciało chłopca pójdzie pod wodę i zostanie wciągnięte w głębiny. Ale biały kształt zniknął za tonącym materacem. Chłopiec płakał ciągle, przebierając nogami w wodzie.

- Płyn do mnie! - krzyknęła Cordie. - Tutaj! No, już! Nie bój się! Chłopiec zaczął płynąć. Woda burzyła się wokół jego rąk i nóg, ale zdawał się stać w miejscu. Cordie rozejrzała się za wiosłem, które gdzieś się zapodziało, ale nie dostrzegła go nigdzie. Uświadomiła sobie, że i tak nie mogłaby nim wiosłować trzymając w ręku rewolwer, zaczęła więc odgarniać wodę lewą ręką, starając się dopłynąć poharatanym kajakiem do chłopca. Zobaczyła go znowu. Biały kształt zbliżał się do nich po drugiej stronie materaca. Ostre zęby wbiły się w gumową powłokę i rozległ 248 się świst ulatującego powietrza. Atakującemu potworowi zostały jeszcze ze cztery metry. Tuż za migającymi w wodzie stopami dziecka Cordie zobaczyła otwartą, czarną paszczę z białymi trójkątnymi zębami, białą skórę, ramiona i ciemne owłosienie.

Uniosła rewolwer starając się trzymać go najpewniej, jak tylko pozwalało jej na to walące w piersi serce i podskakujący na wodzie kajak, a potem posłała dwa ostatnie naboje niemal między młócającymi wodę stopami chłopca. Usłyszała płaski, zduszony odgłos przypominający uderzenie drewnianym młotkiem o kawał surowego mięsa - znak, że przynajmniej jeden nabój dosięgnął celu - i biały kształt zanurkował głęboko w wodę.

Chłopiec rąbnąłby niechybnie o burtę kajaka, robiąc sobie przy tym krzywdę, gdyby nie to, że Cordie wyciągnęła ku niemu lewą rękę, podniosła go z wody i położyła w poprzek tuż przed sobą.

- Siądź okrakiem! - rzuciła krótko, wsunęła do torby pozbawiony już naboju pistolet i po raz ostatni rozejrzała się za wiosłem. Zobaczyła, że płynie z prądem o piętnaście metrów od niej w stronę załamujących się fal. Mam je w nosie, pomyślała, i zaczęła obracać kajak dziobem do brzegu młócając wodę rękami. - Pomóż mi wiosłować - powiedziała chłopcu, który przycupnął przed nią niczym białonoga żaba, starając się nie zanurzyć rąk ani nóg w wodzie. - Ale ten potwór w wodzie może mnie...

- Pomóż mi wiosłować, bo inaczej wrzucę cię tam z powrotem - powiedziała Cordie obojętnym tonem, nie budzącym wątpliwości, że może to zrobić. Chłopiec zaczął żwawo młócić wodę rękami i nogami. Mając aż sześć takich wiosł w ruchu, zaczęli przebijać się powoli pod prąd odpływu. Powrót do plaży zajął im pewnie z dziesięć minut, ale dla Cordie była to cała wieczność. Przypomniał się jej Sam Clemens i jego unieruchomiony czasomierz. Była pewna, że gdyby miała

przy sobie zegarek, mierzący chwile strachu, pokazałby pewnie, że minęły całe dni i noce. Zarówno ona, jak i pochlipujący chłopiec oglądali się bezustannie za siebie i spoglądali w lewo i w prawo czekając, kiedy wyskoczy koło nich z wody paszcza rekina, jego łeb albo ramiona. Dziwny biały kształt zniknął jednak bez śladu. Dopłynęli do płytcy.

- Pomóż mi wyciągnąć na brzeg ten... - zaczęła Cordie, ale chłopiec zeskoczył z kajaka i popędził przez ostatnie trzy metry płytkiej wody, a potem po piasku do czekających na niego z pobladłymi twarzami rodziców i braciszka. Rodzice byli bardzo zagniewani. Zaczęli krzyczeć na chłopca, zanim zdążył objąć rękami mamę. Młodszy braciszek stał tylko i śmiał się jak szalony.

Cordie była pewna, że gdy tylko wyjdzie z tego cholernego kajaka i stanie w wodzie, rekinowaty potwór wyskoczy z płytkiej laguny, porwie ją i pociągnie z powrotem na głębinę.

- Hej, moglibyście państwo pomóc mi z tym... - krzyknęła w kierunku rodziny na brzegu. Ale oni oddalali się już. Zobaczyła tylko ich plecy. Ojciec i matka pokrzykiwali wciąż i popędzali klapsami szlochające dziecko. - Bóg z wami - powiedziała Cordie. Wzięła głęboki oddech, przechyliła kajak na bok i wygramoliła się z ciasnego siedzenia.

Nic jej nie zaatakowało. Poczula pod nogami piasek, podniosła się i wyprostowała małą łódkę, zanim nalało się do niej jeszcze więcej wody. Szybko wyciągnęła kajak na brzeg, o bezpieczne kilka metrów od wody, a potem pochyliła się nad nim, żeby go obejrzeć.

Po lewej stronie kadłuba biegły dwa długie na półtora metra poszczerbione rozdarcia, z których wystawały pooddzierane niczym wióry szklane włókna. Odgryziony był kawałek kadłuba w środkowej części, i tylko wewnętrzna warstwa plastiku nie pozwoliła wodzie wedrzeć się do środka. Przypominało to Cordie ślad na kanapce po odgryzionym kęsie... tylko że paszcza, która go odgryzła, musiałaby mieć prawie metr szerokości.

Poczula na sobie czyjś cień i aż podskoczyła. Dopiero po chwili zobaczyła, że stoi nad nią ratownik. Dziarski, dwudziestopięcioletni może chłopak wyglądał jak Adonis, ze wspaniałą opalenizną na całym ciele, spłowiałymi na słońcu włosami i wyraźnie rysującymi się mięśniami brzucha nad pomarańczowymi kąpielówkami.

Wlepił w nią oczy i zapytał:

- Co pani u diabła zrobiła z naszym kajakiem?

Cordie podniosła się powoli, odchyliła się do tyłu na jednej nodze i wyrznęła go pięścią, wkładając w ten cios całą wagę ciała. Trafiła prościutko w jego wspaniałą, malowniczo umięśnioną brzuch, tuż poniżej podsercowego dołka. Dziarski zuch wydał dźwięk bardzo podobny do odgłosu, który usłyszała niedawno, kiedy z przegryzionego materaca uchodziło powietrze, a potem zwałił się na ziemię jak kłoda.

- Dlaczego nigdy was nie ma w pobliżu, gnojki, jak jesteście potrzebni? - zapytała. Wyjęła z kajaka swoją podręczną torbę, sprawdziła, czy jest w niej rewolwer, otworzyła dziennik cioci Kidder i po-250 czuła niewypowiedzianą ulgę widząc, że jakimś cudem nie zamoczyła się ani jedna stronica. A potem ruszyła z torbą w jednej i książką w drugiej ręce do Pirackiego Baru, aby usiąść w cieniu kołyszących się palm. Za kontuarem stał tęgi Hawajczyk mniej więcej w jej wieku. Kiedy zajęła miejsce na stołku, pochylił się ku niej i wyszczerzył zęby. - Cześć, Ernie - powiedziała Cordie. - Cztery razy Ognista Pele. Mogą być podwójne. I nie zapomnij zapisać ich na konto właściciela. .. tak zarządził pan Trumbo. Należ też czegoś sobie.

Kiedy zjawily się drinki, Cordie zaczęła pociągać z pierwszej szklanki przez długą słomkę. Ostrożnie, niemal z nabożnym skupieniem, otworzyła dziennik cioci Kidder i zatopiła się w lekturze

od niej sca, w którym nie tak dawno ją przerwała.

Rozdział siedemnasty

O Kamapua 'a,

Tylko ciebie okrywa stercząca szczecina.

O ty, który ryjesz w ziemi! I tarzasz się w błotnych stawach!

O niezrównana rybo pływająca w morzu!

O boska młodości!

Dawny hymn do Kamapua'a, boga-świni,

Który przybiera także postać ryby

Humuhumu-nukunuku-a-pua'a

18 czerwca 1866 roku, bezimienna wioska na Wybrzeżu Kona

Chociaż burza ucichła, wydawało się, że popełnimy czyste szaleństwo, jeśli porzucimy schronienie w suchym szałasie, w kręgu jasnego światła świecy, i zanurzymy się w ciemną noc za radą ранego wiejskiego dzieciaka, który twierdził z uporem, że dwa niewinne ptaszki sąbraćmi i szpiegami demonicznego boga, Pana-ewy. A jednak uczyniliśmy to.

Przez długie minuty omawialiśmy tę sprawę, a w miarę rozwoju dyskusji wielebny

Haymark i pan Clemens sprzeczekali się ze sobą z rosnącym podnieceniem. Nasz kapłan odrzucał twierdzenia chłopca jako czystą bzdurę. Korespondent wskazywał, że tej nocy wydarzyło się już wiele tajemniczych wypadków i obawy chłopca nie są bardziej pozbawione sensu niż połowa rzeczy, które oglądaliśmy od zachodu słońca. Aż dotąd nie wypowiedziałam swojego zdania.

W końcu obaj mężczyźni zwrócili się do mnie.

- Panno Stewart - powiedział wielebny Haymark - czy nie zechciałaby pani przemówić temu... temu... literatowi do rozsądku?

Pan Clemens prychnął pogardliwie i powiedział:

- Panno Stewart, jeżeli wyznajemy demokratyczne zasady... a mam nadzieję, że nasz wielebny kapłan nadal w nie wierzy... wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli pani głos zadecyduje o tym, które zdanie przeważy. Przez chwilę trwałam w milczeniu. Halemanu wpatrywał się we mnie przerażonymi oczami. Obaj mężczyźni przyglądali mi się uważnie, jeden z klerykalną zawziętością, drugi z rozbawieniem urodzonego humorysty. W końcu powiedziałam:

- Odejdziemy stąd. I to zaraz. Tej nocy.

- Ależ panno Stewart, z pewnością nic... - odezwał się z pretensją wielebny Haymark. W migocącym świetle świecy jego rumiana twarz poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Głosuję za tym, żebyśmy stąd wyszli - powiedziałam zdecydowanym głosem, przecinając wszelkie protesty. - Nie dlatego, że się boję jakiegoś straszdyła z Wysp Sandwich, ale ze względu na to, że mamy ranne dziecko, które potrzebuje pomocy. Poza tym... niezależnie od tego, co pan Clemens mógł widzieć tej nocy... znajdujemy się na pogańskim świętym uroczysku... albo powinnam może powiedzieć, na diabelskiej ziemi... po której łążą pochody ludzi nie mających wobec nas dobrych zamiarów.

Wielebny Haymark zamilkł w pół słowa, aby rozważyć moje argumenty. - Chłopiec powiada, że zna drogę do wioski położonej tylko o około kilometr stąd, w kierunku północno-wschodnim -

powiedziałam. - Jest to ta sama wioska, do której chciał dotrzeć jego wuj ze swoją grupą. Chłopiec ma tam krewnych, a tak zwana Pele kahuna zna pewnie jakieś leki, które mogłyby mu pomóc. Jeżeli do mnie rzeczywiście należy decydujący głos, to opowiadam się za tym, abyśmy jak najprędzej wyruszyli do tej wioski.

- Właśnie, właśnie - powiedział pan Clemens.

Zbierając moje rzeczy, spojrzałam na niego i zmarszczyłam brwi.

- Powtarzam panu, nie straszny mi żaden osobnik pańskiej płci - powiedziałam. - A tym bardziej jakiś bezbożnik zrobiony z mgły.

Pan Clemens zaczerwienił się i odgryzł koniuszek zgasłego cygara. Ruszyliśmy spiesźnie, ale bez paniki. Konie wciąż okazywały zaniepokojenie, jakiemu uległy wcześniej, kiedy w pobliżu znajdowali się Nocni Wędrowcy. Obaj mężczyźni musieli mi pomóc dosiąść mego łagodnego zazwyczaj Ho. Pan Clemens posadził chłopca przed sobą na siodle. Chłopczyna miał zranioną głowę, ale wydawało się, że będzie mu tam dość wygodnie.

Muszę przyznać, że wstrzymałam oddech, kiedy człapaliśmy błotnistą ścieżką między tymi piekielnymi kamiennymi ścianami. Oczekiwałam niemal, że z ukrycia wyskoczą na nas jakieś bóstwa, demony czy upiory wodzów, o których opowiadał pan Clemens. Panowały wystarczające ciemności, aby za tymi przesiąkniętymi krwią, starymi głazami mogły czyhać przyczajone całe mrowia pogańskich ludożerców. Ale nic na nas nie wyskoczyło. Halemanu wskazał nam niewyraźną ścieżkę, odchodzącą na wschód od dróżki, którą podążaliśmy przedtem na północ, i zaczęliśmy wspinać się znowu w ciemnościach bezgwiazdnej nocy na zbocze wulkanu. Pan Clemens z chłopcem na czele, tuż za nim mój niespokojny Ho, a na końcu kołysał się w siodle wielebny Haymark. Złapałam się na tym, że bezustannie oglądałam się do tyłu, aby się upewnić, że nasz kapłan podąża za nami, że żaden potwór z łuskami czy paszczą rekina nie ściągnął go z konia, aby zabrać się z kolei do mnie. Było ciemno, ale dostrzegałam wystarczająco wyraźnie krępa sylwetkę bożego sługi i słyszałam jego astmatyczne posapywania. Po jakimś czasie na niebie ukazały się w całym swym tropikalnym przepychu gwiazdy. W ich bladym świetle mogłam już odróżniać krzewy i kwiaty, urozmaicające wulkaniczny krajobraz wokół nas. Rosły tam ohia i ohelo (odmiana czarnej jagody), żółtodrzewy, paprotki, jakieś srebrne trawy i mnóstwo bulwiastych roślin uginających się pod gronami jagód, które w gwiazdnej poświacie zdawały się lśnić niebieskim nekrotycznym blaskiem. Było tu wiele odmian palm - choć nie były to palmy kokosowe - i różnorodność krzewów, paprotników, tungowców i drzew chlebowych, ale im wyżej się wspinaliśmy, tym bardziej ta bujna roślinność ustępowała niedużym najpierw, a potem dominującym już wszędzie zalewom i zwałom zastygłej lawy zwanej pahoehoe. Jechaliśmy powoli.

Halemanu zdawał się budzić co jakiś czas z drzemki, żeby wskazać drogę, a konie stąpały ostrożnie, wspinając się na porośnięte krzewami bazaltowe półki i tarasy. Raz, gdzieś w połowie drogi, zatrzymaliśmy się, żeby posłuchać dochodzących z tyłu dalekich rytmicznych dźwięków brzmiących tak, jakby wielki chór męskich głosów nucił coś półgłosem. Mógł to być także odgłos przyboju, choć znajdowaliśmy się już daleko w głębi łądu.

- Wędrowcy? - zapytał szeptem pan Clemens, ale chłopiec nie odpowiedział, a ja ani wielebny Haymark nie wiedzieliśmy, co to może być. Od tej chwili popędzaliśmy konie, żeby kroczyły trochę zwawiej. Świtało już prawie, kiedy dotarliśmy do wioski - chociaż przesadą wydaje się określanie mianem „wioski” pół tuzina walących się szałasów, jakie majaczyły w mroku. Nie paliło się ani jedno światło, nie obszczekał nas żaden pies. Przez chwilę siedzieliśmy na koniach przekonani, że te same siły, które pochłonęły wielebego Whistera i jego rodzinę, załatwiły się także z kuzynami

Halemanu w tej wiosce. Potem jednak z ust chłopca popłynął strumień śpiewnych, hawajskich zgłosek, a do moich uszu dotarły znajome słowa: wahine haole, czyli, oczywiście, „biała kobieta”, wai Ho, czyli „woda dla koni”, tyle, że w pytającej formie, tutu, -jak się dowiedziałam później, „babcia”, \Ka huak’i o ka Po, co, jak pamiętałam, oznaczało Nocnych Wędrowców.

Nagle wokół nas pojawiło się z pół tuzina cieni i wyciągniętych ku nam rąk. Przez moment czułam się jak ktoś zupełnie bezwolny i nie sprzeciwiałam się, kiedy te gorliwe, ale najwyraźniej nie wrogie ręce zdjęły mnie z konia, postawiły na ziemi i zaczęły dotykać z prostoduszną ciekawością. Usłyszałam jakieś protesty ze strony pana Clemensa i wielebnego Haymarka, ale ich także zdjęto z koni.

Halemanu przemówił znowu cicho. Odpowiedział mu starczym głosem stojący koło mnie cień, po czym bez dalszych ceregieli poprowadzono nas poprzez gąszcz listowia do najbliższego i największego ze wszystkich szałasów. Najwyraźniej wioska nie była opuszczona. W długim szałasie zasiadło w bladym świetle dwóch małych, ledwo pełgających olejnych lampek ośmiu starszych mężczyzn, trzy młodsze od nich kobiety i tutu, czyli stara jak świat babuleńka. Dopiero teraz mogłam ujrzeć ich pomarszczone twarze i sylwetki. Usiedliśmy razem z nimi: pan Clemens naprzeciwko mnie, po przeciwnej stronie nierównego kręgu, wielebny Haymark w pobliżu drzwi, a wyczerpany chłopiec 254 w najciemniejszym kącie szałasów, koło starowinki. Siedzący obok wielebnego Haymarka starzec przemówił znowu. Płynące z bezzębnych ust słowa byłyby pewnie niezrozumiałe, nawet gdyby mówił po angielsku, ale Halemanu przetłumaczył je bez trudu.

- Dziadek pyta, dlaczego wędrujecie nocą przy tak złej pogodzie. - Powiedz, że udawaliśmy się do wioski, w której mieszkał i miał kościół wielebny Whister - odpowiedział w naszym imieniu pan Clemens. Staruszek zagadał znowu.

- Dziadek mówi, że wioski i kościoła już nie ma. Nikt nie pozostał tam przy życiu. To jest złe miejsce. Kapu. - Wydawało się, jakby chłopcu przybyło lat w nowej dla niego roli tłumacza.

Teraz odezwał się wielebny Haymark.

- Zapytaj dziadka, jak to się stało, że ksiądz i ludzie z wioski zostali wymordowani.

Halemanu powoli przetłumaczył jego słowa. Zrobił to z zamkniętymi oczami, jakby ciągle doskwierał mu ból stłuczonej głowy. Odpowiedział mu inny starzec z koła. - Mój drugi dziadek mówi, że on i inni kahunae na wybrzeżu modlili się o to, żeby oni umarli - powiedział obojętnym tonem Halemanu. - Modlili się, żeby oni umarli? - powtórzył nasz kapłan z wyraźnym niesmakiem. - Tak - odparł Halemanu. - Ale haole nie poumierali, kiedy oni modlili się o to, oni tylko zachorowali. I to dlatego dziadkowie, którzy są najpotężniejszymi kahunae, zaczęli śpiewać stare pieśni i otworzyli drzwi do Podziemnego Świata, żeby wyszły stamtąd eepa, kapua i sam Pana-ewa i uwolniły nas od świętych haole, białych kapłanów.

- Uwolniły was? - powtórzył pan Clemens.

Słuchając słów chłopca poczułam, że serce zaczyna mi żywiej kołatać w piersi. - Tak - powiedział Halemanu i otworzył oczy. - Dziadkowie kazali mojemu wujowi i innym wojownikom, żeby sprowadzić was tutaj na ofiarę. Mnie też pozwolono iść, jako najmłodszemu kahu-nie. Ale zły los sprawił, że trafiliśmy w naszej krótkiej wyprawie na Ka huaka ‘i ka Po. Oni oszczędzili mnie, ponieważ noszę imię najślawniejszego aumakua, który służy Pana-ewie. Pan Clemens i wielebny Haymark próbowali zerwać się na nogi, ale starzec przy drzwiach dał znak małym palcem i obaj silni prze-255 cięż mężczyźni opadli z powrotem, tak jakby na plecy włożono im ogromny ciężar. Ze wszystkich sił starali się poderwać, ale nie byli w stanie. Ja nawet tego nie próbowałam.

- Posłuchaj, Halemanu - zaczęłam.

- Zamilcz, kobieto - odparł chłopiec władcym głosem, o wiele grubszym, niż można się było spodziewać po takim dzieciaku.

Starcy zaczęli śpiewać. Ich głosy zdawały się wnikać we mnie niczym narkotyk, wewnątrz szałasów zaczęło falować w świetle oliwnych lampek i poczułam nagle, że powieki ciążyą mi jak ołów. Widziałam, że pan Clemens i wielebny Haymark starają się przezwyciężyć działanie śpiewu, ale czynili to z nie lepszym skutkiem niż ja.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Halemanu. Cała postać chłopca zdawała się drgać i falować, jak kiedy patrzy się w południe na odległy miraż na pustyni, a potem jego ciało zaczęło płynąć i krążyć, roztopiać się i odpływać niczym ciemna woda niewidzialnym kanałem.

Została po nim mgła. Obłok falującej, wirującej mgły, która uniosła się i przybrała kształt ludzkiej postaci. Była to postać niewiarygodnych rozmiarów, sięgająca głową dachu szałasów, wznoszącego się na jakieś trzy metry nad nami. Patrzyłam, jak ta mgła wiruje w świetle lampek, a potem usłyszałam dobywający się z niej głos, podobny do echa ryku jakiegoś ogromnego zwierza, stojącego w głębi długiego tunelu.

- A teraz żądam tego, co należy do mnie! Kapu o moe, haole kanaka!

Mglisty obłok o ludzkim kształcie ruszył między nas, na środek szałasów. Eleanor zawróciła dzipa i ruszyła z powrotem drogą numer jedenaście. Po przejechaniu ponad kilometra skręciła na drogę do Mi-lolii i Hoopuloa. Wąską jezdnię zagradała policyjna blokada.

- Proszę nie omijać jej bokiem - poradził Paul Kukali. - Na tych a 'a opony podrażnią się na strzępy. - Wsiadł z auta i odsunął zaporę na bok. Eleanor przejechała na drugą stronę i archeolog ustawił ciężkie kozły na swoim miejscu. Droga była wąska i kręta. Prowadziła wokół tych samych pustynnych pól magmowych, które oddzielały Mauna Pele od głównego traktu. Eleanor jechała powoli, spodziewając się niemal, że za kolejnym zakrętem ujrzy stróżów prawa, którzy każą im zawrócić. Nie napotkali żadnego innego pojazdu.

Milolii wyglądała jak stara hawajska wioska rybacka, w której zatrzymał się czas. Wydawało się, że w kilku cichych domkach nie ma żywej duszy, a na jedynym publicznym budynku, jakim był wielobranżowy sklep, wisiało wielkie policyjne ogłoszenie o ewakuacji. Przypominało ono także o karach za pładrowanie. Wiatr zmienił kierunek. Dym snuł się teraz między kokosowymi palmami i nad dachami małych domków, krytych cynkowaną blachą. W cieniu drzew na piasku leżały czółna z wysięgnikami. Dryfujące wolno obłoki dymu przecinały snopy słonecznego światła, przydając scenerii niewypowiedzianego uroku, przynajmniej w oczach Eleanor.

- Proszę skręcić na drogę, która prowadzi równoległe do brzegu - polecił Paul Kukali.

„Drogę” stanowiły niedostrzegalne niemal koleiny, biegnące między zaroślami, a potem przez pole zarośnięte paprociami.

- Tutejsi ludzie rzeczywiście uprawiają rybactwo. To jedna z ostatnich, prawdziwie rybackich wiosek na Hawaj. Ale dorabiają sobie uprawianiem paproci i anturium. Muszą jakoś dać sobie radę na takim terenie. Jak pani widzi, niełatwo się utrzymać na tych magmowych polach.

Eleanor widziała to rzeczywiście. Uprawne pole skończyło się auto podskakiwało teraz na pokruszonych kamieniach, na skraju czarnych zwałów lawy, które rozciągały się we wszystkich kierunkach. O sto metrów na prawo oceaniczne fale rozbijały się o skały i widać tam było tryskające w górę fontanny wody. W odległości kilometra przed nimi nadal wznosił się sięgający stratosfery słup pary ze strumienia magmy. Dymy zgęstniały i kłębiły się na ciemnym bazalcie niczym pasma

mgły. Eleanor ostrożnie posuwała się na południe wzdłuż morskiego brzegu uważając, aby nie pociąć gum na ostrych krawędziach odłamków a 'a, leżących obok pociętej koleinami dróżki. Po kilku minutach, kiedy dym uniemożliwił niemal dalszą jazdę, Paul powiedział:

- Stop!

Wysiedli z samochodu i ruszyli dalej na piechotę. Przed nimi była ta sama rzeka lawy, która nieco wyżej przecinała szosę, ale tu wydawała się dwa razy grubsza i zalewała stare pola a 'a ipahoehoe. Eleanor obrzuciła wzrokiem ścianę spękanej, łuszczącej się, syczącej, świeżo stwardniałej magmy, która przykrywała ziemię warstwą o grubości co najmniej trzech i pół metra i ginęła w dymie w kierunku wschodnim i zachodnim. Wszystkie zarośla i małe drzewa, rosnące w zasięgu dziesięciu czy nawet dwunastu metrów, były zwęglone lub paliły się jeszcze. Tliły się trawy. Z paru niedawno utworzonych szczelin sączyła się i rozlewała po ziemi lawa, podpalając następne trawy. Rozchodzące się zapachy przypomniały Eleanor dziecięce lata, kiedy jesienią na Środkowym Zachodzie wolno było jeszcze spalać liście. Ale tu poprzez przyjemny aromat palących się gałęzi można było wyczuć odór siarki i innych szkodliwych gazów.

- Przez to chyba nie przejdziemy - zmartwiła się Eleanor. Paul cofnął się i zakrył usta i nos czerwoną chusteczką. Miał załzawione oczy.

- Dzentelmeni, z którymi chciała pani porozmawiać, mieszkają o niecałe pół kilometra dalej.

Eleanor spojrzała na niego z ukosa.

- Myśli pan, że oni są tam jeszcze? Po tym, co tu się stało i dzieje nadal?

Paul wzruszył ramionami.

- To uparci ludzie.

- Ja też taka jestem - powiedziała Eleanor. Zaczęła chodzić wzdłuż zalewu próbując znaleźć miejsce, choć odrobinę chłodniejsze nie wydzielające tak wyraźnej, pomarańczowej poświaty. W końcu podeszła bliżej, osłoniła twarz od gorąca i postawiła nogę na niedużym wybrzuszeniu szarej skały. Poczowała przy tym ruchu, jak od stygnącej lawy odskakują fruwające w powietrzu drobinki. Kamień był bardzo gorący. Eleanor zaczęła żałować, że nie ma na nogach czegoś innego niż adidas. Jednak podeszwa nie stopiła się, a skorupa lawy nie załamała, kiedy stanęła całym ciężarem na stopionej powierzchni świeżego kamienia. Weszła wyżej.

- Spróbuję to przekroczyć - powiedziała, stawiając ostrożnie nogę na twardym uskoku pół metra wyżej.

Paul Kukali mruknął coś, ale ruszył jej śladem. Eleanor powoli posuwała się po zwałach lawy, stąpając tak ostrożnie, jakby przekraczała rwący strumień po oślizłych kamieniach. Wszędzie wokół niej widać było szczeliny, z których ziałał w jej stronę żar roztopionej lawy, znajdującej się pod spodem. Z pęknięć i szpar wydobywał się dym, para i siarczane gazy, mieszając się z całunem napływającego z daleka dymu, który zakrył już słońce. Poczowała, że mięknapodeszwy i cholewkijej adidasów, zaczęła więc iść szybciej, nie zatrzymując się w najbardziej gorących miejscach dłużej niż musiała. Starła się nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby zapadła się w głąb. - Gdzieś tu, dołem - powiedział Paul Kukali, kiedy byli mniej więcej pośrodku szerokiego na sześćdziesiąt metrów języka lawy - 258 płynie prawdziwa rzeka lawy. W tym miejscu wierzchnia skorupa jest cieńsza. - Dzięki za ostrzeżenie - powiedziała Eleanor. Zatrzymała się, żeby odkaszląć. - Próbowałam nie myśleć o tym. - Zrobiła następny krok. Na prawo od niej słychać było syczenie i bulgotanie lawy, spływającej do chłodnych wód oceanu. Odgłosy te przypominały szum radia podkręconego na pełny regulator, ale łapiącego tylko trzaski pomiędzy stacjami nadawczymi.

Przy którymś kroku skorupa lawy trzasnęła jej pod stopą jak kruchy lód i Eleanor musiała nie tylko cofnąć błyskawicznie nogę, ale przeskoczyć na wyższą fałdę szarej skały, która znajdowała się o półtora metra od niej, żeby uciec przed żarem i płynną lawą, która wydobyła się z pęknięcia. Zanim ruszyła dalej, stała przez chwilę dygocząc z wrażenia. Imponowała jej zawsze ciocia Kidder i jej przygody, przeżywane przez nią sto trzydzieści lat temu w najdziwniejszych zakątkach świata, teraz jednak mogła na własnej skórze docenić odwagę tamtej kobiety, okazaną podczas przeprawy przez krater Kilau-ea w trakcie erupcji. Przyszło jej na myśl, że być może ciocia Kidder przekazuje pokoleniom, które idą po niej, coś więcej niż tylko swoje staropanieństwo. Może jest to gen szaleństwa. Zrobiła kolejny krok.

Pałaca się roślinność po północnej stronie utrudniała zejście na ziemię, w końcu jednak Eleanor znalazła miejsce, w którym mogła zeskoczyć z metrowej warstwy lawy na tłącą się trawę. Odeszła szybko z gorącego miejsca i zatrzymała się na chwilę na litej skale. Czuła, że nogi drżą pod nią lekko, ale miała też wrażenie, jakby była blisko stanu lewitacji, jak się czasami zdarza przy nadmiernym wydzielaniu adrenaliny.

Podszedł do niej Paul. Jego twarz upstrzona była plamkami sadzy; Eleanor zdała sobie w tej samej chwili sprawę, że sama też musi tak wyglądać. Miał chmurną minę.

- A niech to - powiedział. - Będziemy musieli przejść przez to jeszcze raz, w drodze powrotnej. Mam nadzieję, że podczas tej wycieczki lawa nie zaleje pani dziupa.

Eleanor wzięła głęboki oddech. Prawdopodobnie powinna była zostawić auto dalej od ognistej rzeki. Nie była jeszcze wulkanicznym ekspertem. Ale wciąż się uczy, pomyślała. Ruszyli dalej dziką, zasłaną dymem i starymi głazami a 'a okolicą, trzymając się kolein, które ukazały się po drugiej stronie zalewu.

Dwaj wiekowi kahuna'e stali przed służącym im za dom starym kontenerem. Obaj byli

Hawajczykami co najmniej po siedemdziesiątce, obaj też mieli na sobie dżinsy, spłowiałe amerykańskie koszule z kieszeniami na zatrzaski i zniszczone kowbojskie buty. Podobieństwo ich wyglądu, rysów twarzy i postawy obudziło w Eleanor podejrzenie, że są bliźniakami. - Aloha - powiedział jeden z nich, palący papierosa, co wyglądało dość dziwnie pośrodku buchających zewsząd dymów, zasłaniających niebo, ocean i dosłownie wszystko, co znajdowało się dalej niż w promieniu piętnastu metrów od kontenera. - Czekaliśmy na was - dodał rzucając niedopałek na ziemię i rozcierając go butem. - Wejdźcie do środka, tu jest niedobre powietrze. Kontener był niewielkich rozmiarów, a we wnętrzu pachniało bekonem i tłuszczem. Wszyscy czworo wcisnęli się za stół, Eleanor i Paul z jednej strony, dwaj kahuna'e z drugiej. W głębi, na miękkiej sofie, siedziała w mroku siwowłosa kobieta o spokojnym spojrzeniu. Eleanor skinęła głową w jej kierunku, ale mężczyźni, łącznie z Paulem, zdawali się jej nie zauważać. Paul zaczął od przedstawienia Eleanor i gospodarzy. - Eleanor, to są moi wujeczni dziadkowie, Leonard i Leopold. Kapuna'e, przedstawiam wam doktor Eleanor Perry. Pani Perry chce z wami porozmawiać. Siedzący bliżej wyjścia Leopold oparł złożone ręce na sklejkowym blacie stołu i uśmiechnął się do niej. Brakowało mu kilku zębów, ale pozostałe były bardzo białe.

- Pani doktor? - powiedział kiwając z zadowoleniem głową. - Dobrze, że pani przyszła. Mam ból w ramieniu i chciałbym, żeby go pani przepędziła precz. - Nie jestem tego rodzaju... - zaczęła Eleanor i urwała. Uświadomiła sobie, że on chce ją tylko wypróbować. Na jej twarz wrócił uśmiech. - Będzie pan musiał zdjąć koszulę.

Staruszek uniósł w górę obie ręce, tak jakby zdumiała go jej propozycja. - Nie, nie! Mahalo nui, ale ja zdejmuję koszulę w obecności pięknej wahine dopiero po kilku drinkach. - Sięgnął na półkę i

zjął z niej butelkę i cztery zakurzone szklanki.

Leonard Kamakaiwi siedział z poważną miną.

- Paul, czy to jest twojanowazpo? - zapytał surowym tonem. - Jesteście po wela kahao?

Paul Kukali westchnął.

- Nie, Kapuna. Pani doktor Perry jest gościem w Mauna Pele. - Odwrócił się do

Eleanor. - Słowo Kapuna znaczy „dziadek” albo „starzec”, ale oznacza również „ci, co posiadli mądrość”. Czasami używa się go dość swobodnie. Leopold zachichotał.

- Jeżeli pozwolicie, naleję trochę mądrości - powiedział i napełnił szklanki ciemnym płynem.

Stuknęli się szklankami i wypili. Zapach napoju uderzył Eleanor mniej więcej w tym samym momencie, w którym poczuła, jak alkohol pali ją w gardle, a potem piekący ogień dociera do żołądka. Przyszło jej na myśl, że smakuje jak nie oczyszczona nafta.

- Co to jest? - zapytała, kiedy odzyskała mowę. - Okolehau - zachichotał Leopold. - Inaczej mówiąc „żelazne dno”. Robimy go z korzenia ti, a do pędzenia używa się grubych żelaznych garnków. Dlatego w jego nazwie znalazło się hau, czyli „żelazo”.

- No cóż, z całą pewnością ten trunek usadził mnie na mojej własnej okole - powiedziała Eleanor i wypila następny łyk.

Nawet siedzący z surową miną Leonard przyłączył się do ogólnego śmiechu.

Leopold napełnił szklankę Eleanor i zapytał:

- Czego pani doktor życzy sobie od nas?

Eleanor wzięła głęboki oddech i postanowiła zagrać w otwarte karty.

- Paul powiedział mi, że panowie jesteście kahunae. Obaj starcy spojrzeli na nią obojętnym wzrokiem. Eleanor wzięła ich milczenie za odpowiedź twierdzącą.

- W takim razie - podjęła - ciekawi mnie, czy jesteście kahuna ana ‘ana, czy też kahuna ʻāpa ‘au. - Pierwsze z tych określeń oznaczało czarownika mającego władzę nad siłami czarnej magii. Drugie - kapłana, który umie leczyć ludzi zarówno fizycznie, jak i duchowo.

- Dlaczego to panią interesuje? - zapytał Leopold, odsłaniając znowu w uśmiechu swój e białe zęby. - Chce pani sprowadzić na kogoś śmierć za pomocą modlitwy? Leonard uciszył brata ruchem ręki.

- Istnieją kahunae, którzy potrafią i jedno i drugie - powiedział cicho.

Eleanor skinęła powoli głową.

- A może są też bracia-bliźniacy, którzy dzielą te umiejętności między siebie?

Żaden ze starców nie odpowiedział.

- Nie powinnam się wtrącać... - zaczęła Eleanor.

- Racja, racja - powiedział z uśmiechem Leopold Kamakaiwi i wypił łyk okolehau. - Nie powinnam się do tego wtrącać - powtórzyła Eleanor - ale myślę, że wy modlicie się o śmierć dla ośrodka Mauna Pele. Myślę, że otworzyliście Podziemny Świat Milu i pozwoliliście starym demonom uciec stamtąd. Sprowadziliście tu Pana-ewę, Nanue, Ku i inne złe moce. Umierają ludzie i jestem zdania, że musicie położyć temu kres. - Umilkła czując, że jej serce wali przyspieszonym rytmem. Była w tym momencie w pełni świadoma tego, że znajduje się daleko od świata, sama z trzema mężczyznami, z których każdy, jak podejrzewała, jest kahunae, a do tego jeszcze pośród szalejących rzek rozpalonej lawy. Między innymi z tego właśnie powodu zostawiła w recepcji

wiadomość dla Cordie, dokąd jedzie i z kim. Zapadła długa cisza, w której można było wyraźnie wychwycić syki i dudnienia lawy, wpadającej do odległego o pół kilometra morza. Eleanor spojrzała w oblepione brudem okno nad stołem i zobaczyła przesuające się za nim kłęby dymu. Wydawało się jej, że znajduje się w samolocie lecącym w chmurach. Może rzeczywiście leci w tej chwili przez chmury, bo kahunae unoszą ją gdzieś tam wysoko, na szczyt wulkanu, żeby ją złożyć w ofierze. Nie daj się, Eleanor, szepnęła do siebie w duchu. Trzymaj się.

- Nie chcemy, żeby umierali ludzie - odezwał się w końcu Leonard. - Musi pani w to uwierzyć.

Leopold wzruszył ramionami i dolał wszystkim „żelaznego” trunku.

- Mówiąc prawdę, nie uważamy wcale, że te stare czary jeszcze działają.

Paul Kukali dotknął jej ramienia.

- Sprawili to nie tylko wuj Leonard i wuj Leopold - powiedział. - Tego samego dnia wnieśli stare śpiewy wszyscy kahunae ze wszystkich wysp. To była moja wina. Kiedy sąd odrzucił nasze wnioski o uratowanie rybnych stawów i pól z napisami skalnymi, powiedziałem im, że nie mamy już gdzie się zwrócić. A moi wujowie pokazali mi, że jestem w błędzie.

Leonard potrząsnął głową.

- I źle zrobiliśmy. Mówiłem, że to się źle skończy. Lepiej było zostawić moko na zawsze pod ziemią i nie błagać o pomoc bogów - powiedział i pociągnął tęgi łyk. Leonard musi być kahuna łapa 'au, uświadomiła sobie nagle Eleanor, czyli czarownikiem leczącym ludzi. To ten wesoły Leopold ma konszachty z ciemnymi siłami.

Leopold uśmiechnął się do niej szeroko, jakby czytał w jej myślach.

- Nie moglibyście powstrzymać tego, co się dzieje na wyspie? - zapytała.

- Nie - odpowiedzieli jednocześnie obaj mężczyźni. - Wszyscy kahunae próbują to zrobić już od wielu miesięcy - ciągnął dalej Leonard. - Nikt nie chciał przecież, żeby umierali ludzie. Ale dzięki starym pieśniom duchy z Podziemnego Świata wyszły na wolność. Nasza wiedza nie wystarcza, aby zamknąć otwarte wrota i odesłać duchy z powrotem w ciemność. - Może jednak Pele... - zaczęła Eleanor. Leopold zrobił szeroki ruch ręką. - Pele gniewa się na nas... - Uniósł znowu rękę, wskazując dym za oknem. - Odwraca się od nas.

- Już od kilku pokoleń nie słucha naszych próśb - stwierdził markotnie Leonard. - Nie umiemy już żyć po staremu. Utraciliśmy naszą dumę. Nie jesteśmy godni tego, żeby nas wysłuchała.

Eleanor pochyliła się do przodu.

- A czy nie ma już Pele kahunael Tajemnego zakonu kapłanek, które pośredniczą między Pele i wami?

Leopold spojrział na nią z ukosa.

- Skąd pani zna te wszystkie rzeczy, haolel.

- Dużo czyta - powiedział z lekką ironią Paul Kukali. Eleanor rzuciła archeologowi przelotne spojrzenie, a potem odwróciła się znowu do braci. - Czyżbym się myliła?

- Tak, myli się pani - stwierdził obojętnym tonem Leonard. - Pele kahunae istniały tu sto lat temu. I jeszcze przed pięćdziesięciu laty. Ale już ich nie ma. Tamte kobiety poumieraly zabierając do grobu swoje tajemnice. Nie ma już ani jednej.

- Ani jednej? - powtórzyła jak echo Eleanor. Miała wrażenie, jakby zbierało się jej na wymioty. Rozwiały się wszystkie jej mądre plany. Popatrzyła na starą kobietę na sofie, jakby szukała u niej pomocy, ale staruszka spoglądała na nią tak obojętnym, pozbawionym wszelkiego wyrazu wzrokiem,

że Eleanor przyszło do głowy, iż ma przed sobą osobę niewidomą.

- Ani jednej prócz Molly Kewalu - powiedział Paul. Leopold prychnął pogardliwie.

- Molly Kewalu topupule - powiedział. - Wariatka. Obłąkana.

- No i z nikim nie rozmawia - dodał Leonard. Leopold znowu machnął ręką.

- Mieszka wysoko, na wulkanie, gdzie nie ma żadnych dróg. Trzeba by było wielu dni, żeby do niej dotrzeć. Prawdopodobnie zginęła już pod lawą. - Jak ona może mieszkać tak wysoko? - zapytała Eleanor. - Przecież nie można tam niczego uprawiać. Czym ona się żywi?

- Utrzymują ją przy życiu inne kobiety - powiedział Leopold i znowu prychnął pogardliwie. - Kobiety po wsiach ciągle myślą, że ona ma mana i od sześćdziesięciu lat znoszącej jedzenie manauahi, bez zapłaty. Ale to zwyczajna stara wariatka. Pupule.

Eleanor spojrzała na Paula, ale on pokręcił głową. - Molly Kewalu twierdzi, że rozmawia z Pele - powiedział - ale to samo utrzymuj e połowa starych hawaj skich kobiet, które przebywają w szpitalu w Hilo na oddziale dla chorych na chorobę Alzheimera.

- Mimo wszystko... - zaczęła Eleanor.

Paul machnął z powątpiewaniem ręką, jak przedtem jego wuj. - Eleanor, zna pani mit, który mówi, że nie należy zabierać z wulkanu żadnych kamieni, żeby nie obrazić tym Madame Pele?

- Oczywiście - odparła Eleanor. - Wiedzą o tym wszyscy turyści. Ta bogini nie lubi, kiedy kradnie się jej lawę. A zabranie takiego kamienia przynosi nieszczęście, prawda?

- Tak - potwierdził Paul. - Każdego roku konserwatorzy z Narodowego Parku Wulkanicznego otrzymują pocztą setki takich okruchów skalnych. Większość przysyłana jest ze Stanów, ale nadchodzą przesyłki z całego świata... a ostatnio głównie z Japonii. Turyści zabierali je stąd, a teraz odsyłają z powrotem razem z informacjami o nieszczęściach, jakie ich spotkały od czasu, gdy popełnili tę kradzież. Cztery razy w roku konserwatorzy odwożą te kamienie z powrotem na wulkan i zostawiają tam razem z ofiarami... przeważnie jest to butelka dżinu... dla przebłagania Pele. Mówię pani, Eleanor, przychodzą tu tysiące takich kamieni, zwróconych przez ludzi, których gnębiły wyrzuty sumienia. Cztery razy w roku j edzie w górę sznur wywrotek wypełnionych okruchami lawy. - Naprawdę? - zapytała Eleanor.

- Ale nigdy nie było takiego mitu ani takiego tabu - powiedział Paul.

- To nie było kapu - wtrącił Leopold.

- Przedstawiłem powstanie tej „legendy” w jednym z moich artykułów - ciągnął

Paul Kukali. - Przekonanie, że wulkaniczne okruchy są od dawna „tabu”,

narodziło się w rzeczywistości w latach pięćdziesiątych. .. Wymyślił to kierowca jakiegoś wycieczkowego autokaru, bo znudziło mu się usuwanie z wnętrza pojazdu wulkanicznego pyłu, który za każdym razem pozostawiali turyści obładowani tymi przeklętymi kamieniami. Eleanor wybuchnęła szczerym śmiechem. Czowała wciąż w żołądku palące działanie okolehau.

- Naprawdę tak było?

- Tak - potwierdził Paul Kukali.

Za przykładem mężczyzn Eleanor machnęła lekceważąco ręką.

- Ale co to ma wspólnego z Molly Kewalu?

- Jej legenda jest tak samo zmyślona - powiedział Paul. - Miała zwyczaj bredzić, że mówią sobie z Pele po imieniu, ale w rzeczywistości to stara obłąkana kobieta. Ukrywa się tam wysoko, żeby

nikomu nie udało się jej złapać i zawieźć do szpitala.

- To znaczy, gdzie?

- Na zupełnym pustkowiu - powiedział Leonard. - Nazywają to Ka'u. Mieszka w jaskini gdzieś w okolicy górskiego grzbietu, który starzy ludzie nazywali Ka-hau-komo, dlatego, że rosły tam zawsze dwa drzewa hau, a w takim nieurodzajnym miejscu nie miały prawa rosnąć żadne drzewa.

- Hau - powiedziała Eleanor. - Hau, czyli żelazo. Czyli drzewa żelazne.

Leonard odchrząknął.

- Jaskinia Molly Kewalu znajduje się w pobliżu miejsca, gdzie leżał głaz, który ludzie nazywali Hopoe - powiedział. - Przez setki lat głaz ten był tak doskonale wyważony, że mógł nim kołysać nawet wiatr. Ludzie nazwali go tak od imienia sławnej tancerki z Puma, Hopoe, która uczyła tańca Hi'iake, młodszą siostrę Pele. - Leonardo przerwał i odchrząknął znowu. - Głaz ten stoczył się w dół w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym, kiedy Pele przebudziła się i okazała gniew.

Eleanor dotknęła po kolei rąk obu starców, którzy podnieśli na nią oczy znad swoich szklanek.

- Uwolniliście te duchy waszymi śpiewami - powiedziała. - Naprawdę nie ma żadnego sposobu, żeby odesłać je z powrotem do Podziemnego Świata? Ujrzała jednoznaczny odpowiedź w ich rozpaczliwych spojrzeniach. Staruszka na sofie milczała także. Paul popatrzył na zegarek. - Powinniśmy już wracać. - Dopił resztę swojego drinka. - Jeżeli džip nie został spalony albo pogrzebany pod lawą.

Eleanor wzruszyła ramionami.

- Wypożyczyłam go. - Przed wyjściem skinęła głową milczącej starej kobiecie, rozdrażniona trochę tym, że Paul i obaj starcy zachowują się tak, jakby jej nie było.

Na dworze krajobraz wyglądał tak samo surrealistycznie, jak przedtem. Dym był gęstszy i kłębił się żwawiej, gnany południowym wiatrem. Zupełnie wyraźnie słyhać było bulgotanie stykającej się z lawą wody, dochodzące od strony oceanu. - Kapunae - zwrócił się Paul do wujecznych dziadków - strumienie lawy napływają coraz szybciej. Wszyscy ludzie z wiosek aż po Mauna Pele zostali ewakuowani. Nie pojechalibyście z nami?

Leonard Kamakaiwi rzucił mu tylko ponure spojrzenie. Leopold Kamakaiwi roześmiał się. Obaj starcy wrócili do swojego kontenera.

W drodze powrotnej lawa wydawała się jeszcze gorętsza i bardziej zdradliwa. Eleanor zaczęła się zastanawiać, czy na jej stopach nie porobiły się pęcherze od oparzeń. Rosnące w pobliżu dżipa drzewo zaczęło dymić od żaru idącego od licznych świeżych języków, ale pojazdowi nic się nie stało. - Muszę z panią o czymś porozmawiać - powiedział Paul, kiedy dojechali do drogi numer jedenaście i skręcili na północ. Jechali powoli, obserwując popołudniowe cienie, kładące się na czarnych skałach po prawej stronie drogi. Wciąż kłębił się tu gęsty dym i czuć było ostry, nieprzyjemny zapach siarki. - Proszę bardzo - powiedziała Eleanor.

- Mark Twain nie napisał ani linijki o tym, co zdarzyło się w latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia, kiedy to Nocni Wędrowcy wybudowali heiau w pobliżu miejsca, na którym obecnie znajduje się ośrodek Mauna Pele. My... to znaczy... nasi kahunae znają to tylko z pieśni i z ustnej tradycji. Musiała to pani znaleźć gdzie indziej.

- Paul, czy jest pan kahuna w pełnym rozumieniu tego słowa? -zapytała Eleanor, próbując zmienić temat.

Archeolog roześmiał się drwiąco, jakby chciał jązbyć byle czym. Jego śmiech brzmiał podobnie

jak Leonarda.

- Nigdy nie zostanę prawdziwym kahuna - powiedział, wpatrując się w dym kłębiący się przed nimi. - Zachodnie wykształcenie pozbawiło mnie naiwności i wiary, koniecznej do poznania arkanów tej umiejętności. Moje racjonalnie patrzące na świat oczy białego haole utraciły zdolność jasnego widzenia. - Ale wierzy pan w to, co pańscy wujowie i inni zrobili w sprawie Mauna Pele? - zapytała.

Paul spojrział na nią.

- Widziałem przecież psa... Ku... jak niósł rękę swojej ofiary. Widziałem też to, co wydarzyło się w nocy.

Eleanor wolała nie pytać go o te inne rzeczy. Jeszcze nie teraz. Zamiast tego, zagadnęła:

- Czy ciągle aktualna jest wycieczka helikopterem? Paul roześmiał się.

- Nadal chce pani polecieć?

- Tak.

- W takim razie załatwione. Mój znajomy wyląduje w Mauna Pele za parę godzin... może o zmroku. To znaczy, jeżeli do tego czasu ośrodek nie zostanie przymusowo ewakuowany albo nie zaleje go lawa. Co jeszcze mogę dla pani zrobić? - Niech mi pan tylko powie, kim była ta stara kobieta - poprosiła, kiedy podjeżdżali już do bramy Mauna Pele. Dym był tu rzadszy, ale widoczny. Z południa wiał ciepły, parny wiatr.

- Jaka stara kobieta? - zapytał Paul. - Ma pani na myśli Molly Kewalu? Eleanor skręciła w wewnętrzną dróżkę dojazdową. Strażnik w bramie poznał ich, machnął im przyjaźnie ręką i opuścił łańcuch. Wjechali między ciemne pola a 'a. Do wybrzeża były jeszcze trzy kilometry, ale magmowe skały i cały ośrodek spowite były dymem.

- Nie - odparła Eleanor. - Myślę o staruszce, która siedziała w kontenerze pańskich wujów.

Paul rzucił jej zdziwione spojrzenie.

- Jakiej znowu staruszce? Tam nie było żadnej staruszki. - Majtki w dół, nogi w górę- powiedział Byron Trumbo. -Koniec zabawy, bierzemy się do roboty. Gdzie jest ten dupek?

Will Bryant zamrugał oczami słysząc wulgarne żarty.

- Pan Sato martwi się, co się stało z Sunnym.

- Mam to gdzieś - powiedział Trumbo. Przy całym tym obłędzie negocjacje przebiegały zupełnie dobrze, tak jak je zaplanował. O trzeciej po południu, po cudownym lunchu na prywatnym lanai na siódmym piętrze i pokazie hula w wykonaniu pięciu zawodowych tancerek, Trumbo wrócił samolotem z Oahu, aby zasiąść do dalszych rozmów. Piętnaście po czwartej cena została ustalona na trzysta dwanaście milionów i zaczęto redagować dokumenty sprzedaży. Wraz z Sato zjawiała się falanga jego prawników; Trumbo zatrudniał wpraw-267 dzie ośmiu adwokatów, ale tak bardzo nienawidził podróżowania z nimi, że zlecił przejrzenie wszystkiego w swoim imieniu Willowi Bryantowi. Will, podobnie jak Bobby Tanaka, skończył prawo. Obaj spędzili pracowitą godzinę, sprawdzając drobiazgowo warunki porozumienia. O piątej trzydzieści umowy były gotowe do podpisania. Położono je na błyszczącym blacie biurka z drewna tekowego i mahoni w konferencyjnej salce Prezydenckiego Apartamentu. Ale Hiroshie Sato martwił się, co się stało z Sunnym Takahashim. - Kurwa - rzucił po raz może dwudziesty tego długiego dnia Trumbo. - Żadnej wiadomości od Fredricksona, gdzie może być ten Surmy? - Żadnej - odparł Will Bryant. Wciąż jeszcze czytał kopię kontraktu, który miał zamienić nadmorskie kąpielisko Mauna Pele w japoński

klub golfowy i uwolnić jego właściciela od poważnych finansowych kłopotów. Szybkretowe oprawki jego okularów i związane z tyłu włosy nadawały mu wygląd pilnego studenta prawa. Obraz psuł jedynie garnitur, kupiony za trzy tysiące dolarów u Donny Karan. - I żadnej wiadomości o Briggsie? - Trumbo lubił swojego osobistego goryla.

- Żadnej.

- A o Dillonie?

- Też nic. Ciągłe nie wiadomo, gdzie jest.

- Przekonałeś Bicki, żeby wyjechała?

- Nie. Poszła popływać w basenie.

- A co z Mayą?

- Też upiera się, żeby tu zostać.

- ACaitlin?

- Dzwoniła razem z panem Koestlerem do Nowego Jorku. Najwyraźniej ciągle mają nadzieję, że uda się zmusić pana do sprzedania im Mauna Pele po ich cenie. Dwa razy próbowała dostać się do pana Sato, żeby z nim porozmawiać, ale nasza ochrona jej nie wpuściła.

Trumbo położył się na kanapie i oparł na poduszce adidas z wysokimi cholewkami.

- Jestem już tym zmęczony.

Will Bryant kiwnął głową i zabrał się do czytania następnej strony umowy. - Na pewno pan chce, żeby Sato przekazał swoje płatności przez spółkę Miami Entertainment?

- Tak - odparł Trumbo. - Tak będzie najlepiej ze względów podatkowych; obciążymy stratą spółkę Miami Entertainment, a następnie zlikwidujemy ją. Potem przesunę kapitał na bliźniacze konta na Kajmanach i sprzedamy oba kasyna w ramach tego samego kontraktu. W ten sposób zamortyzujemy podatek za całe to paskudztwo, a ja będę mógł zainwestować wolną forszę w fuzję z telewizją kablową Hughesa i zrefinansować kontrakt z Ellisonem. Bryant kiwnął głową.

- To może się udać.

- Na pewno się uda. - Trumbo uniósł się na łokciu. - Myślisz, że Hiroshe nie kupił historyjki o tym, że Sunny balował ostro przez całą noc i teraz wybrał się gdzieś z dziewczynami na zsiadłe mleko?

Will Bryant położył umowę na stoliku do kawy.

- No cóż, Sunny słynie ze swoich nocnych eskapad, ale także i z tego, że zjawia się punktualnie następnego ranka. Pan Sato wychodzi z siebie ze zdenerwowania. - Czy Bobby sprawdza na bieżąco, co jest na taśmach? - Trumbo założył podsłuchowe pluskwy w apartamencie Japończyka i na aparatach telefonicznych. Oczywiście, ochroniarze Sato usunęli je po sprawdzeniu pokoi i telefonów. Trumbo zainstalował więc paraboliczne mikrofony rejestrujące z odległości stu metrów drgania szyb w oknach apartamentu pod wpływem ludzkich głosów, żeby komputerowo zrekonstruować prowadzone w środku rozmowy. Użył też najnowocześniejszych mikroskopijnych urządzeń, nie grubszych od ludzkiego włosa, które ukryto między korzeniami roślin w apartamencie Sato, a przekazywane przez nie informacje nagrywane były w apartamencie samego Trumba. Przez całe popołudnie Bobby Tanaka i dwaj ochroniarze śledzili rozmowy Japończyków. - Bobby mówi, że pan Matsukawa jest za tym, żeby wycofać się z kontraktu - powiedział Will, popijając chłodzoną wodę z wysokiej szklanki. - Stary pierdziel - mruknął Trumbo. - Szkoda, że to nie on znalazł się na miejscu Sunny'ego.

- Ale Inazo Ono nadal gorąco namawia, żeby zawrzeć tę transakcję - dodał Will. - A on jest

najbliższym przyjacielem pana Sato i głównym negocjatorem. Trumbo przymknął oczy i potarł palcami grzbiet nosa. - Za cztery miliony moich ciężko zarobionych dolarów ten duppek Ono powinien namawiać do tego jeszcze goręcej. A Hiroshe podaruje mu jeszcze pewno w nagrodę za trudne negocjacje spory kawał golfowego ośrodka, który tu powstanie.

- Pewnie tak- zgodził się Will. - A zatem wszystko gotowe. Brakuje tylko podpisów.

- To musi nastąpić jeszcze dziś - mruknął Trumbo nie otwierając oczu. - Przybywa coraz więcej tego cholernego dymu z wulkanu i nie wydaje mi się, żebyśmy zdołali utrzymać wszystko w garści jeszcze przez jeden dzień. Ilu gości zostało jeszcze na miejscu?

- Hmm... - mruknął Will zaglądając do notesu. - Jedenaście osób. - Jedenaście osób - powtórzył Trumbo. Wydawało się, że za chwilę wybuchnie szaleńczym śmiechem. - Pięćset pieprzonych pokoi, a my mamy jedenastu gości, którzy płacą za pobyt.

- Pan Carter ostrzegał wszystkich...

- Carter! - powiedział Trumbo, wciąż siedząc z zamkniętymi oczami. - Ten ananas ciągle się tu kręci?

- Tak, bo... - zaczął Will i dopił resztę wody. - Formalnie biorąc, jeszcze go pan nie zwolnił.

- Najchętniej bym go zamordował własnymi rękami - warknął Trumbo. - Skoro już o tym mowa, co się stało z tym grubym Hawajczykiem z siekierą? - Z Jimmym Kahekili?

- Tak. Poszedł sobie?

- Nie - odparł Will. - Według ostatniej wiadomości, jaką o nim miałem, siedział w kuchni i objadał się ciastkami. Miał ciągle siekierę. Obserwuje go Michaels. - To dobrze. Cieszę się, że jeszcze tu się kręci. Mając na głowie takie typki jak Caitlin, Myron Koestler i Carter, moglibyśmy znaleźć mu zajęcie. - Trumbo uśmiechnął się i pomasaował sobie skronie.

- Boli pana głowa, szefie? - zapytał Bryant.

- Co tam się urodziło, do nagłej cholery? - Odezwała się krótkofalówka, a Trumbo usiadł wyprostowany. Łączył się z nim ktoś z ochrony. - Tu Trumbo. - Panie Trumbo - ozwał się głos Fredricksona - mam dobrą wiadomość. Znalazłem Sunny'ego Takahashi. Odbiór.

Trumbo zerwał się na nogi, ściskając w ręku aparat.

- Żyje?

- Yes, sir. Jeżeli się nie mylę, nie ma nawet zadrapania. Odbiór. Byron Trumbo złapał Willa Bryanta za rękę, pociągnął go w górę, a kiedy ten zerwał się na nogi, zakręcił nim, jakby chciał się puścić w skoczne tany. Po chwili puścił go i nacisnął guzik nadawania. - Wspaniale, Fredrickson... przyprowadź go tutaj. Zaraz. Zarobiłeś na premię, chłopcze.

Przez chwilę słychać było tylko szumy.

- Myślę, że to raczej pan powinien tu przyjechać, panie Trumbo. Odbiór.

Miliarder zmarszczył brwi.

- Gdzie teraz jesteś?

- Na terenie z naskalnymi rysunkami. Wie pan, tam gdzie ścieżka joggingowa biegnie między skałami na południe od...

- A niech to wszyscy diabli - wrzasnął Trumbo. - Wiem, gdzie jest to pieprzone pole z rysunkami na skałach. Dlaczego chcesz, żebym tam pojechał? Czy Sunny jest z tobą?

- Tak, proszę pana. Sunny jest tutaj. Także i Dillon. Odbiór. Trumbo i Bryant wymienili zdziwione

spojrzenia.

- Jest tam Dillon? - zapytał Trumbo do mikrofonu. - Posłuchaj, Fredrickson, zależy mi na tym, żeby Sunny Takahashi wrócił tu jak najprędzej, więc nie zwracaj sobie dupy nikim innym...

- Naprawdę myślę, że powinien pan to zobaczyć, panie Trumbo - odezwał się głos ochroniarza. Miał dziwne, puste brzmienie, jakby dochodził z beczki. - Posłuchaj, do diabła, przywieź po prostu tego małego żółtka najszybciej, jak tylko... Halo, Fredrickson? Słyszysz mnie? Gówno! - Z aparatu wydobywały się już tylko szumy. Trumbo ruszył do drzwi, chwycił po drodze browninga i sprawdził magazynek. Will Bryant pobiegł za nim.

- Nie - powiedział Trumbo, polecając mu ruchem ręki, aby się cofnął. - Zostań tu i poproś Sato i jego ludzi do sali konferencyjnej. Powiedz im, żeby byli gotowi do złożenia podpisu. Ja wrócę tu z Sunnym za dziesięć minut. Nawet jeżeli przeszedł operację mózgu, przygotujemy go tak, że będzie się prezentował jak należy. Damy Sato do zrozumienia, że jego ulubieńcowi nic się nie stało, a potem podsunie mu te papiery do podpisania.

- Zrozumiałem, wykonam - powiedział Will i ruszył w kierunku apartamentu Sato.

Trumbo zjechał windą na dół.

Znalazłszy się w głównym holu przystanął na moment, a potem skierował się szybkim krokiem do kuchni. Przy ladzie z nierdzewnej stali siedział Jimmy Kahekili. W jednej ręce trzymał ciastko, a w drugiej siekiere. Ochroniarz Michaels nie spuszczał go z oka.

- Panie Trumbo! - zawołał szef kuchni Bree, wyrzucając w górę obie ręce. - Ten... ta góra tłuszczu płacze mi się tu od paru godzin. Chwała Bogu, że pan przyszedł!

- Zamknij się, Bree - rzucił Trumbo. - Słuchaj no, mam do załatwienia pewną sprawę na terenie z naskalnymi rysunkami. Pojedziesz ze mną, żeby mnie osłaniać. - Jasne, szefie - powiedział Michaels zapinając płócienną kurtkę, spod której wystawał mu pistolet.

- Nie, nie ty - powiedział Trumbo i wyciągnął palec w stronę dwustukilowego Hawajczyka. -Ty.

Jimmy Kahekili podniósł do ust ogromną łapę z ciastkiem. W drugiej trzymał na wysokości lady siekiere. Nie zwrócił na Trumba najmniejszej uwagi. - Dostaniesz dodatkowo dziesięć tysięcy dolarów - powiedział Trumbo, obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Jimmy Kahekili starannie wytarł upačkane ciastkami palce o gołą pierś, obrócił się na stołku, który całkiem zniknął pod jego ogromnym cielskiem i poczłapał za Trumbo.

Golfowy wózek okazał się za mały dla Hawajczyka, który nie mógł się zmieścić na siedzeniu. Trumbo zdecydował, że pójdą na piechotę. Kahekili ruszył za nim zwawym, kołyszącym się krokiem. Trumbo ginął prawie w cieniu górującej nad nim sylwetki, kiedy podążali spieszenie przez ogród, aby skręcić za Pirackim Barem na południe.

Byli już koło dużego basenu kąpielowego, kiedy Trumbo przystanął tak nagle, że Hawajczyk omal nie zmiądzzył go z rozpędu. Miliarder jakby obwisł. Na wprost niego stały na chodniku Caitlin Sommersby Trumbo, Maya Richardson i Bicki. Myron Koestler stał oparty o pień kokosowej palmy i uśmiechał się głupio. Na widok Trumba trzy panie przerwały ożywioną rozmowę. Stały z założonymi na piersi rękami, przebierając palcami po łokciach. Zamigotały w przedwieczornym słońcu ich długie paznokcie.

- O, Byron Trumbo - wycedziła powoli Caitlin z właściwym sobie, nienagannym akcentem z Nowej Anglii. - Człowiek, którego właśnie chciałyśmy zobaczyć.

Rozdział osiemnasty

U Pana-ewy jest noc i sroży się burza;

Gną się do ziemi gałęzie drzew;

Furkocą liście i kwiaty lehua;

Groźnie ryczy bóg Pana-ewa;

Poruszony wewnętrznym gniewem.

O, Pana-ewa!

Muszę sprawić ci ból.

Ukaż się, a zadam ci w bitwie ciężkie rany.

Zakłęcie Hi'iaki przeciwko wrogom Pele

18 czerwca 1866 roku, bezimienna wioska na Wybrzeżu Kona

I glista nocna zjawa wybrała na swoją ofiarę wielebnego Haymarka i spadła na niego tak błyskawicznie, że nawet gdyby pan Clemens zdążył zrobić jakiś ruch - a widziałam, że wciąż obezwładniają go niewidzialne siły - byłoby za późno na wszelką pomoc. Postać z mgły, która niedawno była chłopcem Halemanu, skoczyła jak pantera. Wydawało się, że bezradny kapłan został wchłonięty przez obłoczek. Wielebny Haymark krzyknął, ale był to tylko cichy szept, który zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Próbowałam się podnieść, aby pospieszyć do niego, ale stwierdziłam, że unieruchamiamy te same czary co i moich towarzyszy. Młócaca na wszystkie strony rękami mglista sylwetka wydała przeraźliwy, zgrzytliwy ryk, jakiego mam nadzieję nigdy więcej nie usłyszeć. Brzmiał on tak, jakby rozjuszony bestie zostały wypuszczone na leżący pośrodku nas połec mięsa. W końcu wielebny Haymark znieruchomiał w swych rozpaczliwych wysiłkach, a mglisty obłok - czy to był Pana-ewa? - zaczął przybierać bardziej, jak się wydawało, materialne kształty. Jego postać zrobiła się ciemniejsza niż noc. Zgrzytliwe ryki ustąpiły innemu odgłosowi, jakby jakaś dzika bestia chłeptała wodę z głębokiego szaflika. Wreszcie odgłosy te ustały.

Starzec, siedzący obok wielebnego Haymarka, śpiewał coś w starym hawajskim języku. Mglisty obłok zdawał się oddalać od znieruchomiałego ciała naszego przyjaciela i nagle zaczął przesuwać się w bok, aż w ciemnym kącie szafasu zamajaczyła przyczajona sylwetka ogromnego, pokrytego łuskami zwierza, niezupełnie przypominającego gada, ale też dalekiego od ludzkich kształtów.

Starcy śpiewali nadal w swoim płynnym języku. Rozpoznałam powtarzane często imię Pana-ewy. Potwór o kształtach gada zdawał się kołysać w rytm tych śpiewów. Wodził swoimi ludzkimi oczami na lewo i prawo, spoglądając złośliwie na pana Clemensa i na mnie. Spoza wilgotnych ostrych zębów wyskakiwał długi język, jakby próbował smaku powietrza. Spojrzałam na pana Clemensa w nadziei, że podniesie mnie to na duchu, ale korespondent, wpatrzony martwym wzrokiem w straszliwego gada, siedział z otwartymi szeroko oczami i obwisłą dolną wargą. Przeniosłam wzrok na wielebnego Haymarka, ale on nadal nie dawał najmniejszych oznak życia. Zaczęłam obawiać się najgorszego.

Starcy przestali wreszcie śpiewać i podnieśli się, a potem jeden za drugim wyszli z szafasu, w którym została tylko siedząca w cieniu stara kobieta, pan Clemens, ja, bezwładne ciało naszego towarzysza i dziwny stwór o imieniu Pana-ewa.

Gad przemówił nagle:

- Waaaszszsze duuuszzszsze należą do mnie, haole. Wrócę, żeby je zzzaaabrać. - Z tymi słowami potwór zaczął zagłębiać się w miękkiej ziemi w szalasię, aż w końcu straciłam go zupełnie z oczu. Jakby uwolniona z niewidzialnych więzów, omal nie przekoziółkowała do przodu, tak potężna była siła przytrzymująca mnie w niej i tak wielkie, nieświadome napięcie tkwiło we mnie. Wraz z panem Clemensem podbiegliśmy do naszego kapłana. Ujęłam go za rękę, żeby zbadać puls, korespondent zaś zajrzał do wielkiej dziury, przez którą wyszedł potwór.

- Zagadkowa sprawa - powiedział kalifornijski dziennikarz. - Bardzo zagadkowa.

Spojrzałam na niego zupełnie zszokowana.

- Wielebny Haymark nie żyje - powiedziałam. - Nie ma tętna.

Jeszcze bardziej szokująca była temperatura ciała naszego towarzysza wyprawy:

jego skóra była zimna jak lód. Lada chwila w wytrzeszczonych oczach biedaka mógł się pojawić szron, a jego ciało było twarde jak mrożona wołowina. Pan Clemens podszedł bliżej i potwierdził moją diagnozę.

- Martwy jak głaz - mruknął.

- On nie umarł - powiedziała siedząca w cieniu staruszka. Mówiła po angielsku powoli i z silnym akcentem, ale poprawnie.

Myślę, że oboje podskoczyliśmy na dźwięk jej głosu. Starowinka siedziała tak spokojnie i cicho przez ostatnie pół godziny, kiedy działy się te zdumiewające rzeczy, że zupełnie o niej zapomnieliśmy.

Pan Clemens pogłaskał się po wusach.

- Boję się zaprzeczyć pani twierdzeniu - powiedział do starej babuni - ale nasz przyjaciel nie tylko zakończył życie; zrobił się sztywny i lodowaty jak żaba w środku zimy w stanie Minnesota.

- On nie jest żywym człowiekiem - powiedziała powoli staruszka - ale nie umarł.

Wymieniliśmy spojrzenia z panem Clemensem.

- Kim pani jest? - zapytałam kobietę.

Starowinka nie raczyła mi odpowiedzieć. Z dworu dały się słyszeć głosy starych mężczyzn, którzy na nowo podjęli swoje śpiewy.

- Dlaczego pani przyjaciele zabili naszego przyjaciela? - zapytałam kobietę. - Po co przywołali tu tego demona?

Z gardła kobiety dobyło się niewyraźne chrząknięcie. - Ci kauwa kahuna... wyczuci ze wszystkiego, bezmyślni, pozbawieni przyrodzenia czarownicy... nie są moimi przyjaciółmi. To półludzie. Nie mogą mnie widzieć. Tylko wy mogliście zobaczyć mnie tutaj.

Pan Clemens i ja znowu spojrzeliśmy po sobie. Twierdzenie starej kobiety było absurdalne, ale przecież wszystko, co wydarzyło się wczoraj i w ciągu tej długiej nocy, przekraczało wszelkie granice rozsądku, przynajmniej w naszej ocenie.

- Czy oni zamierzają nas zabić? - zapytał pan Clemens. - Robią wszystko, żeby wymodlić waszą śmierć, nawet w tej chwili - odpowiedziała mu staruszka. - Słyszycie? Ale ich śpiewy nie zdadzą się na nic. Pan Clemens spojrział na sztywne ciało naszego przyjaciela.

- Zdołali przecież przywołać jakiegoś demona, i to z niezłym skutkiem.

Staruszka odchrząknęła znowu.

- Wzywanie demonów to dziecinna zabawa. A oni zachowują się jak dzieci. Pana-ewa mógł

wykraść duszę tylko jednemu z was i oni wybrali waszego przyjaciela, ponieważ uważali, że on jako wasz kahuna jest najpotężniejszy z was wszystkich. - Staruszka splunęła na ziemię. - To kompletne głupki.

Spojrzałam na wielką dziurę, w której znikł podobny do gada potwór.

- Czy on... czy on... wróci tu jeszcze?

- Nie - odrzekła kobieta. - On się boi.

- Boi się? A czego? - zapytał pan Clemens.

- Mnie - powiedziała staruszka i uniosła się. Nie stanęła na nogach. Nie wyprostowała się. Po prostu zaczęła unosić się w górę w pozycji siedzącej, aż zawisła na wysokości mniej więcej metra.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Byłam pewna, że pan Clemens zrobił to samo. - Posłuchajcie, co powiem - odezwała się staruszka. - Musicie stąd odejść. Ale zostawcie tu ciało waszego przyjaciela...

- Nie możemy zrobić czegoś takiego... - zaczął pan Clemens. - MILCZEĆ! - Byłam pewna, że krzyk staruszki musiał odbić się echem od zbocza wulkanu. Pan Clemens ucichł. Usłyszałam, że starcy na dworze nadal zawodzą drżącymi głosami.

- Zostawcie tu ciało waszego przyjaciela - powiedziała kobieta. - Nic mu się nie stanie. Sama tego dopilnuję. Ważne jest, żebyście zdołali odzyskać jego duszę.

- Jego duszę... - zaczął pan Clemens, ale urwał i zamilkł znowu. - Żeby to zrobić - powiedziała staruszka - musicie udać się do wrót Podziemnego Świata, które zostały otwarte przez głupich kauwa w ich nieświadomości i arogancji. Nie wiedzą, jak je zamknąć. Próbując przegnać stąd haole kahunae, spuścili z łańcucha straszliwe moce.

- Udacie się do wejścia do Podziemnego Świata i zejdzicie do niego - ciągnęła kobieta akcentując słowa tak samo rytmicznie jak starcy, zawodzący za splecionymi z trawy ścianami szałas. - Kiedy staniecie przed wejściem do Świata Duchów, zrzucicie z siebie absurdalne ubrania, jakimi haole okrywają swoje ciała...

Rzuciłam okiem na moją spódnicę, stanik, bluzkę, rękawiczki i wysokie buty. Co absurdalnego było w moim stroju? Kupiłam to wszystko w najlepszych sklepach w Denver.

- Kiedy już pozbędziecie się waszych szat - podjęła staruszka - namaścicie wasze ciała olejkiem ze zgniłych orzechów kukui. Duchy nie lubią tego zapachu. Pan Clemens spojrzał w moją stronę, ale roztropnie nie odezwał się ani słowem. - Wtedy ukręcicie linę z pnączy ieie i opuścicie się do Podziemnego Świata - powiedziała lewitująca w powietrzu babuleńka. Wyciągnęła ostrzegawczo palec. - Nie wolno wam dopuścić do tego, żeby duchy, demony i bogowie domyślili się, że wy sami nie jesteście duchami. Jeżeli zdradzicie się, że jesteście żywymi ludźmi, Pana—ewa albo jemu podobni zawładną waszymi duszami, a wtedy nie będę już mogła wam pomóc.

Zamknęłam oczy w nadziei, że wszystko to okaże się tylko snem. Ale nadal słyhać było dalekie śpiewy, szum wiatru w słomianym pokryciu dachu i monotony głos staruszki. Uniosłam powieki. Białowłosa starowinka unosiła się metr nad światłkami oliwnych lampek.

- Musicie odszukać nie tylko duszę, ukradzioną waszemu przyjacielowi - mówiła - ale dusze wszystkich haole, które zostały zabrane do podziemi od czasu, gdy dwa tygodnie temu ci szaleńcy otworzyli wejście. Zabierzecie je wszystkie. Jeżeli wejście ma zostać znowu zapieczętowane, w królestwie Milu nie mogą pozostać żadne duchy białych haole.

Oczy pana Clemensa i moje znajdowały się na tej samej wysokości, z jakiej spoglądały na nas

ciemne oczy szybującej w powietrzu staruszki. - A co mamy robić, jeżeli ci ludzie na dworze będą chcieli nas zatrzymać? - zapytał korespondent.

- Zastrzelcie ich - odparła kobieta bezbarwnym tonem. Dopiero teraz zauważyłam, że jej wargi nie poruszały się przy mówieniu. Po dziwnych rzeczach, które tu się wydarzyły, nie dostrzegałam w tym fakcie nic szczególnie osobliwego. Pan Clemens kiwał głową jakby odnajdywał sens w tym wszystkim. - Jeszcze j jedno - powiedział. - A raczej... kilka spraw. Hmm... jak mamy odnaleźć to wejście do Podziemnego Świata? I jeszcze... no... gdzie można kupić olej ze zgniłych orzechów kukui i znaleźć parę odpowiednio długich pnączy ieie? - MARSZ! - wykrzyknęła rozkazującym tonem staruszka wskazując ręką drzwi. Jej głos pobrzmiwał zniecierpliwieniem rodzica, którego wyprowadziły z równowagi nierozumne żądania dziecka.

Ruszyliśmy do drzwi, oglądając się na pozbawione życia ciało wielebnego Haymarka, spoczywające w mdłym świetle oliwnych lampek. Staruszka wróciła do ciemnego zakątka długiego szalasu.

Czekający na dworze starcy spojrzeli na nas, zupełnie jakby zaskoczyło ich to, że jeszcze żyjemy. Kiedy pan Clemens odwiązał konie i podał mi lejce mojego Ho, przzerwali śpiew i ruszyli w naszym kierunku. Pan Clemens wyjął rewolwer i wycelował w gołą pierś przywódcy małej grupy. Dało się słyszeć głośnie kliknięcie przy napinaniu masywnego kurka. Hawajczyk podniósł ręce do góry, roześmiał się głupio pokazując jeden ząb i cofnął się.

- Czary białego haole odnoszą czasami skutek - mruknął pan Clemens wsiadając na konia. Wyjechaliśmy z okropnej małej wioski tą samą drogą, którą przybyliśmy, posuwając się ostrożnie w dół zbocza po zdradliwych tarasach z wulkanicznej magmy.

Za naszymi plecami, hen, za dymiącym wulkanem niebo zaczynało się rozjaśniać, zapowiadając rychły wschód słońca.

- I co teraz zrobimy? - zapytałam, kiedy odjechaliśmy na bezpieczną odległość od wioski.

Pan Clemens schował pistolet.

- Najrozsądniej byłoby pojechać do Kona po pomoc. To jedyne mądre rozwiązanie. Obejrzałam się w kierunku ciemnych skał w oddali, które zasłaniały widok na wioskę.

- Ale wielebny Haymark...

- Czy pani naprawdę wierzy, że moglibyśmy przywrócić go do życia? - zapytał pan Clemens tonem tak samo ostrym, jak skały, po których stąpały nasze konie. - Przecież od lat nie dokonuje się kompetentny sposób cudów tego rodzaju. Nie odpowiedziałam. Coś drapało mnie w gardle i muszę przyznać, że byłam niebezpiecznie blisko ataku płaczu.

- Och, niech będzie - westchnął korespondent. - Temu wszystkiemu i tak brakuje choćby krztyny rozsądku. Nie ma żadnego powodu, żeby teraz właśnie odwoływać się do zdrowych zmysłów. Jedziemy do Krainy Duchów. - Ale jak tam trafić? - zapytałam trąc pięścią oczy. Pan Clemens wstrzymał swego konia. Od opuszczenia wioski jechałam za nim i nie patrzyłam przed siebie. Zrobiłam to dopiero teraz. O dziesięć metrów przed koniem pana Clemensa między głazami a 'a, niecałe dwa metry nad ledwo widoczną ścieżką unosiło się niczym błędny ognik kuliste niebieskawe światło, najwyraźniej czekając na nas, zupełnie jak cierpliwy górski przewodnik czeka na spóźnionych klientów.

- Jazda- powiedział pan Clemens i jego koń zaczął kroczyć ostrożnie po bazaltowych głazach. Błędny ognik poszybował dalej, jak pies spuszczonej na spacerze ze smyczy.

Zerknęłam w kierunku jaśniejącego na wschodzie nieba i szepcząc słowa, które może były

modlitwą, popędziłam mego zmęczonego konia śladem pana Clemensa. Na stronie pamiętnika padł czyjś cień. Cordie Stumpf podniosła głowę, żeby zobaczyć, kto nad nią stoi.

- Interesująca książka? - zapytała Eleanor.

Cordie wzruszyła zaróżowionymi od słońca ramionami.

- Postacie owszem. Ale akcja to zwykły bajer.

Eleanor roześmiała się i usiadła na leżaku, stojącym obok leżaka Cordie. Wiatr wiał teraz z południowego zachodu i po wybrzeżu snuło się niewiele dymu. Poprzez gałęzie palm prześwitywał błękit nieba. Cordie odwróciła swój leżak tyłem do plaży, aby popołudniowe słońce mogło padać na stronie książki. Cienie palm na trawie wydłużały się coraz bardziej.

- A tak na serio - zapytała Eleanor - co o tym sądzisz? Cordie zaznaczyła reklamowym kartonikiem z jakiegoś magazynu miejsce, do którego doczytała i zamknęła oprawiony w skórę pamiętnik. - Wydaje mi się, Nell, że rozumiem już powody, dla których tu przyjechałaś. Eleanor przyjrzała się jej uważnie. Okrągła jak księżyc twarz Cordie Stumpf była zaróżowiona od słońca, ale spod tej opalenizny wyglądała bladość. Cordie miała też pobladłe usta. Eleanor domyślała się, że trapią ją bóle. Położyła rękę na pokrytym piegami przedramieniu nowej znajomej.

- To dobrze - powiedziała. - Byłam pewna, że się ich domyślisz. - Przeleciałam już całość, a teraz czytam właśnie wszystko po raz drugi - powiedziała Cordie. - Wydaje się, że każdy drobiazg ma jakieś znaczenie. Eleanor kiwnęła głową.

- Więc co dziś robiłaś, Nell? Paradowałaś z archeologiem?

- Można by tak powiedzieć. - Eleanor opowiedziała jej o wizycie u dwóch kahuna. - Po powrocie rozmawialiśmy o tym długo. To nie Paul wpadł na pomysł, żeby wzywać starych bogów i otwierać wrota do Milu... tego ich Podziemnego Świata... ale kiedy jego wujeczni dziadowie to zaproponowali, przyłączył się do nich. Wygląda na to, że on też jest kahuna, choć tylko początkującym.

- To tak, jakby był klerykiem w seminarium, zgadza się? - zapytała Cordie.

- Mniej więcej.

- I co, powiedziałaś mu, że siostra twoich prapraprababek widziała, jak ich praprapradziadkowie zabawiali się zupełnie tak samo, jak to robi teraz on sam i jego wujowie?

- Nie - odparła Eleanor. - Ale on zdaje sobie sprawę, że mam dostęp do pewnych informacji o tamtych czasach... Do wspomnień, które mają coś wspólnego z Markiem Twainem i nigdy nie były publikowane.

Cordie odchrząknęła.

- A co u ciebie? - zapytała Eleanor. - Miałaś spokojny dzień? Cordie uśmiechnęła się.

- Tak. Zrobiłam tylko wycieczkę kajakiem po zatoce. Popływałam trochę.

Eleanor rzuciła jej zdziwione spojrzenie. Cordie opowiedziała swoją przygodę. Mówiła obojętnym tonem. Kiedy dobiegła do końca, Eleanor chciała coś powiedzieć, ale usta same się jej zamknęły. Potrząsnęła głową i spróbowała jeszcze raz. - Myślę, że wpadłaś na Nanaue - powiedziała. - Na człowieka—rekina.

Cordie uśmiechnęła się znowu.

- Nie bałam się tego, co w nim było z człowieka. Ale te jego rekinie kawałki napędziły mi trochę strachu - powiedziała unosząc w górę pamiętnik. - Twoja ciocia nie rozwodziła się zbyt na temat Nanaue. Wiesz o nim coś więcej? Eleanor przygryzła w roztargnieniu dolną wargę.

- Tylko to, co mówią o nim legendy - powiedziała w końcu. - Co do mnie, to nie mam pojęcia, co mówią legendy - powiedziała Cordie. - Wiem tylko tyle, że jakiś garbaty skurwiel z zębami w garbie odgryzł kawał mojego kajaka. Chętnie bym posłuchała czegoś więcej na jego temat. Eleanor obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

- Słuchaj, Cordie, nie wygląda na to, żebyś się tym specjalnie przejęła. - Wręcz przeciwnie, moja droga. Zawsze, kiedy coś próbuje mnie zjeść na drugie śniadanie, jestem tym mocno przejęta.

- Domyślasz się, co mam na myśli - powiedziała Eleanor. - Kłopot z tym, że... to wszystko jest takie nieprawdopodobne. Rozmawiamy o rzeczach zupełnie niemożliwych.

Uśmiech znikł z twarzy Cordie. Popatrzyła na swoje szorstkie ręce. - Wiesz, Nell, można by chyba powiedzieć, że ja nigdy tak na dobre nie wyrosłam z mojego małego, baśniowego świata. Jeszcze kiedy byłam dzieckiem, coś mi mówiło, że bym... hmm, że bym ufała przede wszystkim moim zmysłom. A dziś próbowało mnie zabić coś, co pływało w wodzie. Chciałabym wiedzieć, co to było. Eleanor przytaknęła niemal niedostrzegalnym ruchem głowy. - Dawno, dawno temu, niezbyt długo po osiedleniu się na wyspach pierwszych Hawajczyków, istniało tu coś w rodzaju boga o imieniu Ka-moho-ali'i... czyli Król Rekinów. Jak to się działo z większością hawajskich bogów, mógł się on pojawiać w swojej pierwotnej postaci, jako rekin, lub jako człowiek. Potem Ka-moho-ali'i zakochał się w kobiecie, która miała na imię Kalei. Wszedł z wody po północnej stronie tej wyspy, przybrał wygląd mężczyzny i ożenił się z Kalei. Mieszkali w Dolinie Waipio, która znajduje się całkiem 280 po drugiej stronie, niż my teraz, blisko północnego wybrzeża. Kiedy urodziło im się dziecko, okazało się, że to chłopiec. Dali mu imię Nanaue. Chłopiec miał na plecach nieduży garb, a na nim znak swojego pochodzenia: znamię w kształcie paszczy rekina.

Eleanor urwała na chwilę. Cordie uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Mów dalej, Nell. Masz głos stworzony do opowiadania bajek. - No więc, zgodnie z tym co mówią legendy, Ka-moho-ali'i porzucił swoją żonę, prawdziwą kobietę, i wrócił do morza...

- Typowy mężczyzna - mruknęła Cordie.

- Ale przed odejściem ostrzegł żonę, żeby nigdy nie pokazała nikomu znamienia, które miał Nanaue ani nie pozwoliła chłopcu jeść zwierzęcego mięsa. Kalei spełniła życzenie męża i chroniła Nanaue aż do chwili, gdy stał się dorosłym mężczyzną... Nakrywała jego coraz większy garb kawałkiem płótna zwanym kapa i nigdy nie dawała mu do jedzenia mięsa. Ale kiedy Nanaue dorósł, zaczął chadzać do tawerny i okazywać nienasycony apetyt na mięso. A kiedy pływał, co zawsze robił samotnie, stawał się bardziej rekinem niż człowiekiem... Niektóre legendy mówią, że przemieniał się całkowicie w rekina, inne - że zachowywał nadal pewne ludzkie cechy...

- Te drugie mówią prawdę - powiedziała Cordie. - Jedź dalej. Eleanor wzruszyła ramionami.

- To już prawie wszystko. Później tajemnica Nanaue wydała się. Miał brzydki zwyczaj zwabiania miejscowych ludzi do wody... szczególnie upodobał sobie chłodne jeziora, takie jak sadzawka pod Wodospadami Waipio... w których atakował swoje ofiary i zjadał je. Kiedy wieśniacy zwrócili się przeciwko niemu, uciekł do morza, nie mógł jednak żyć w nim przez cały czas. Legendy mówią, że grupa kahuna przepędziła go na wyspę Maui, niedaleko miasteczka Hana, a potem na wyspę Molokai. W końcu został złapany i przewieziono go z powrotem na Wielką Wyspę. W tym punkcie każda legenda mówi co innego. Niektóre twierdzą, że porąbano go na kawałki na wzgórzu Puumano, inne, że wygnano do Podziemnego Świata Milu razem z innymi demonami i złośliwymi półbogami, kiedy Pele zwalczyła ich w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym. Cordie pokiwała głową i zabębniła palcami po okładce dziennika cioci Kidder. - Chyba już wiemy, która wersja tej historii

trzyma się kupy. - Jej twarz skrzywiła się w niewyraźnym uśmiechu.

Eleanor odchyliła się na oparcie leżaka. Bolało ją całe ciało, choć nie wiedziała od czego, bo nie wysilała się tego dnia zbyt, a jeszcze 281 mniej denerwowała. Niebo na wschodzie było szare od dymów, ale dzięki południowo-zachodniemu wietrzykowi nad Mauna Pele wciąż utrzymywał się czysty błękit. Próbowwała wyobrazić sobie prawdziwie wypoczynkowy pobyt w tym ośrodku: granie w tenisa, pływanie w cudownej zatoce bez strachu przed jakimiś rekinoludami, bieganie po terenach z naskalnymi rysunkami bez oglądania pochodni w podziemnych tunelach, spacerowanie po zmierzchu bez obaw, że coś z wrzaskiem wyskoczy z zarośli. Wszystko to wydawało się jej przyjemne, ale raczej nudne. - Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tych bajdach - powiedziała naraz Cordie, oddając jej pamiętnik. - Jeżeli mamy trzymać się dziś w nocy razem, powinnam wiedzieć wszystko.

Eleanor westchnęła.

- Tak, wiem. Przykro mi, że to zajmuje tyle czasu. - Usiadła wyprostowana. - Ale nie musisz mieszać się do tego.

Cordie wybuchnęła swoim szczerym, wolnym od skrepowania śmiechem. - Ależ Nell, dziecko, ja się już wmieszałam. I tak zostanie, dopóki nie skończymy z tym wszystkim. - Zerknęła nad ramionami Eleanor ku chyłacemu się nad horyzontem słońcu. - Podejrzewam, że to się wydarzy dziś w nocy. Po zmroku może się tu zrobić niezły bałaganik. Musimy opracować plan działania, dziewczyno. - Odwróciła się i spojrzała w stronę Wielkiego Hale. - Nie wiesz, dają tam ciągle coś do zjedzenia, czy też Pana-ewa albo jakiś inny potwór pożarł szefa kuchni razem z pomocnikami?

- Paul mówił mi, że zostało już tylko paru gości - powiedziała Eleanor. - Ale szef kuchni pracuje, jest też dość pracowników, żeby główna restauracja mogła być czynna. Zdaje się, że pan Trumbo ubija dziś wieczorem wielki interes i gotów jest zapłacić porządne premie tym, którzy przyszli do pracy. - To świetnie - powiedziała Cordie wstając z miejsca. Owinęła się ręcznikiem i zarzuciła na ramię swoją wielką torbę. - Umieram z głodu. Co byś powiedziała, gdybyśmy zjadły razem kolację? Potem możesz mi wszystko opowiedzieć nad paroma szklankami Ognistej Pele.

Eleanor podniosła się także i spojrzała na zegarek. - O zmroku zaplanowałam tę wycieczkę helikopterem... W oczach Cordie pojawiły się przekorne błyski.

- Zdaje się, że wiem, co takiego masz w swoich planach. Ale jest dopiero szósta... do zmierzchu masz jeszcze dobre dwie godziny. Chodźmy coś zjeść. - Widząc, że Eleanor waha się z odpowiedzią, dodała: - Nell, prawdopodobnie czeka nas długa noc.

Eleanor skinęła głową.

- Spotkamy się za kwadrans w restauracji - powiedziała i ruszyła w stronę swojego hale, aby się umyć i przebrać na wieczór. Trumbo czekał w milczeniu.

Trzy kobiety zablokowały alejkę. Caitlin miała na sobie letnie spodnie z wybielanej bawełny i płócienną bluzkę, która trzepotała leciutko w podmuchach południowego wietrzyku. Trzymała rękę w torebce od Bally'ego. Stojącą w środku Mayę okrywało kwieciste hawajskie pareu - półtora metra zwykłego, bawełnianego płótna, którym modelka owinęła się jak spódnicą. Spod niego wyglądał jednoczęściowy, pomarańczowy kostium kąpielowy, ten sam, w którym pozowała do zdjęcia na okładce specjalnego wydania „Sports Illustrated”, poświęcanego raz do roku strojom plażowym. Jej usta i paznokcie lśniły purpurą. Bicki była w pantoflach na wysokim obcasie, a na sobie miała skąpy kawowy komplet plażowy w niemal dokładnie takim samym odcieniu jak jej skóra. Efekt był taki, że wyglądała, jakby za cały strój służyła jej złota bransoletka i pierścionki. Skrzyżowała ręce na piersi

i rozsunęła nogi do postawy strzeleckiej. - Cześć, dziewczyny - powiedział w końcu Byron Trumbo. Przez dobrą minutę słychać było tylko szelest palmowych liści i posapywanie Jimmy'ego Kahekili za plecami Trumba. W końcu odezwała się Caitlin Sommersby Trumbo:

- Ty mały, nędzny gnojku.

- Jesteś obrzydliwym, śmiesznym skurwielem - powiedziała Maya z wyraźnym brytyjskim akcentem.

- Hej, T. - powitała go Bicki szczerząc zęby w uśmiechu, który wylansował już z tuzin rockowych wideokaset.

- Hej, Bick - rzucił jej Trumbo.

- Pogadałyśmy już sobie i podjęłyśmy decyzję, T. - powiedziała Bicki. - Postanowiłyśmy obciąć ci twoje zabawki. Każda z nas zachowa sobie po kawałku na pamiątkę.

- Przykro mi, dziewczyny - odparł Trumbo. - Cholernie mi się spieszy - dodał i ruszył w bok, żeby obejść je z lewej strony. Trzy kobiety przesunęły się płynnie w tym samym kierunku, niczym stojący w pierwszej linii „Kowboje” z Dallas. Myron Koestler odepchnął się od pnia, o który się opierał i podszedł bliżej.

- Panie Trumbo... hmm... słuchaj, Byron, obawiam się, że to mocno skomplikuje sprawę. W świetle tych... hmm... nowych wypadków... boję się, że trzeba będzie zrewidować słuszne żądania mojej klientki i... tego, no... podnieść je nieco. Trumbo odwrócił się do Jimmy'ego Kahekili i oparł rękę na jego ramieniu. Ręka Hawajczyka była grubsza niż udo amerykańskiego miliardera. - Słuchaj, Jimmy- powiedział wskazując palcem Koestlera - jeżeli ten zasraniec powie j eszcze j jedno słowo, porąbiesz go tą siekierą na taką mielonkę, żeby można nią było karmić myszy. Comprendes?

Z głębi stojącego za nim cielska dobył się groźny pomruk. Koestler cofnął się błyskawicznie, spojrzał na trójkę kobiet i otworzył usta, jakby chciał powiedzieć, że bierze je na świadków tej groźby; potem popatrzył na Jimmy'ego i zamknął się.

Trzy panie nie ustąpiły z drogi.

- Słuchajcie no - powiedział Trumbo uśmiechając się niewyraźnie - chętnie bym tu został i pogadał z wami... Domyślam się, że chciałybyście dowiedzieć się, jakie miejsce przypada każdej z was względem pozostałych... ale ja naprawdę się spieszę. - Zrobił krok w ich kierunku.

Caitlin wyjęła rękę z torebki od Bally'ego i wycelowała w jego brzuch błyszczący półautomatyczny pistolet. Broń była większych rozmiarów niż pistolet Mayi. Trumbo zatrzymał się i westchnął.

- Co to takiego? Czyżby Bergdorffhandlował takimi błyskotkami? Caitlin ujęła pistolet w obie ręce. Pozostałe panie przyglądały się temu z obojętnym wyrazem twarzy.

- Nic nie zarobisz zabijając mnie, dziecinko - powiedział Trumbo. - Wsadzą cię prawdopodobnie do tej samej celi, co Leone Helmsley czy jak jej tam, tę sukę, która truła za pomocą specjalnej diety.

Caitlin uniosła pistolet i wycelowała w jego głowę. - Naprawdę nie mam czasu na jakieś idiotyzmy - powiedział Trumbo spoglądając na zegarek. Jeszcze przed kolacją miał się spotkać z Hiroshę na wspólnym drinku. - Chodź, Jimmy - dodał i ruszył w kierunku stojących przed nim kobiet.

Maya odstąpiła w bok. Caitlin zaczęła się obracać powoli, niczym zardzewiały kogut na dachu, trzymając wciąż wyciągnięte przed siebie ręce z wycelowanym w

Trumba pistoletem. Bicki obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, na jakie mogą się zdobyć tylko amerykańskie Mulatki. Przechodząc przez ten szpaler, Jimmy Kahekili zerknął nerwowo na lewo i

prawo. Myron Koestler schował się za pnem palmy; widać było tylko jego blade palce i mysi ogonek.

Trumbo odszedł na dziesięć czy piętnaście kroków i skręcił w bok. Znalazłszy się poza zasięgiem wzroku trzech kobiet, odetchnął głęboko. - Chodź, Jimmy - zachęcał. - Musimy się pospieszyć, żeby Sato nie przyrósł do podłogi czekając na Sunny'ego Takahashi.

- Niezły z ciebie lolo, brachu. Haole wahine robić duża hu hu. - Właśnie - powiedział Trumbo, biegnąc lekkim truchtem po chodniku przecinającym teren z rysunkami skalnymi. - Jak to baby.

Fredrickson czekał w miejscu, w którym chodnik się urywał i zaczynało się pustkowie z głazami a 'a. Ochroniarz trzymał w śniadej dłoni półautomatyczny pistolet i oglądał się nerwowo w kierunku skał, kiedy Trumbo i towarzyszący mu olbrzym podchodzili do niego.

- Gdzie on jest? - zapytał Trumbo. Zobaczył, że Fredrickson gapi się na Jimmy'ego i jego siekiere. - Nie zwracaj na niego uwagi, do diabła. Gdzie jest Sunny? Fredrickson oblizał sobie wargi.

- I Dillon... On też tu jest.

- Nie obchodzi mnie żaden Dillon - rzucił Trumbo. - Dawaj mi Sunny'ego Takahashi. Jeżeli wyciągnąłeś mnie tutaj na jakieś zastrane polowanie na dzikie gęsi... - Jednocześnie z olbrzymim Hawajczykiem zrobił krok w jego stronę. Fredrickson wycofał się między skały.

- Och, nie, panie Trumbo... Pomyślałem tylko, że musi pan sam to zobaczyć... Znaczą się, nie wzywałem nikogo innego, bo oni powiedzieli... przekona się pan... - Odwrócił się i poprowadził ich między wulkaniczne głazy. Jama znajdowała się niecałe sto metrów od joggingowej ścieżki. Po wyglądzie zwalonych bezładnie odłamków u jej wylotu można było sądzić, że wulkaniczny komin zapadł się przed paroma godzinami. Fredrickson ostrożnie zbliżył się do zagłębienia, trzymając uniesiony pistolet. Trumbo niecierpliwie ruszył za nim. Jimmy Ka-hekili wołał trzymać się z tyłu.

- Ale co to może mieć wspólnego... - zaczął Trumbo i stanął jak wryty. Wulkaniczny komin przebiegał w tym miejscu niezbyt głęboko pod ziemią, może cztery lub pięć metrów poniżej powierzchni. Od strony morza jama zawalona była kawałkami skał, które tworzyły wcześniej sklepienie, ale od strony mauka, czyli zbocza wulkanu, komin pozostał nietknięty i wyglądał jak owalna, czarna dziura.

W samym wylocie stali: szef ochrony Dillon, przyjaciel Hiroshe Sato - Tsuneo „Surmy” Takahashi i świnia wielkości niedużego szetlandzkiego konika. Dillon i Sunny byli nadzy. Ich ciała świeciły bladozieloną poświatą, jakby ktoś pokrył ich fosforyzującą farbą. Mieli otwarte oczy, ale patrzyli prosto przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby byli w transie. Świnia stała między nimi. Jej grzbiet sięgał wyżej niż ramiona Dillona. Tam, gdzie powinny być ślepia, świńska zjawa miała po kilka czarnych oczek - Trumbo doliczył się ośmiu. Rzucały one jaskrawe blaski, które przypominały mu kolor, jakim mienił się kąpielowy kostium Mayi w promieniach zachodzącego słońca. Świnia otworzyła ryj i uśmiechnęła się do nich. Jej zęby były dużych rozmiarów, ale wyglądały jak ludzkie. Trumbo odwrócił się i spojrzał na Fredricksona. Ochroniarz wzruszył bezradnie ramionami.

- On powiedział mi, że bym nie wzywał nikogo innego, tylko pana, szefie.

- On? - zapytał Trumbo. - Jaki on, u wszystkich diabłów?

- Ja - odezwał się wieprz.

Trumbo obrócił się na pięcie i wyciągnął browninga spod koszuli. Wieprz uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego osiem wilgotnych oczek spoglądało z zadowoleniem.

- Co to ... - zaczął Trumbo. Zauważył, że jego głos trzęsie się lekko, tak samo jak pistolet.

Przyłożył drugą rękę do kolby browninga. - Tylko nie to, Byron - powiedział wieprz. - Nie ma takiej potrzeby. Mamy zbyt wiele wspólnych interesów, aby rujnować w ten sposób nasze stosunki. - Miał niski, ochryply głos, jakiego można się było spodziewać po świni ważącej przeszło cztery kwintale.

Byron Trumbo poczuł, że pod koszulą ciekną mu po żebrach strugi potu. Odwrócił się, żeby spojrzeć, gdzie jest Jimmy Kahekili, ale Hawajczyk zniknął. Zrobił to z takim pośpiechem, że zgubił swoją siekiere.

- Psss! - odezwał się wieprz. - Patrz tutaj!

Trumbo odwrócił się z powrotem. Uśmiechnięta świnia i dwaj nadzy mężczyźni byli tam gdzie przedtem.

- Dillon! - wrzasnął Trumbo. Były szef ochrony nawet nie drgnął. Jego nieruchome oczy nadal spoglądały szklanym wzrokiem sponad czarnej brody. - Nie, nie - przemówił znowu wieprz. - Przyszedłeś tu, Byron, żeby pogadać ze mną.

Trumbo oblizał wargi.

- No, dobra. Czego ode mnie chcesz?

- Powiedz raczej, Byron, czego ty chcesz ode mnie - odparł bez zajknięcia wieprz.

- Oddaj mi Sunny'ego Takahashi - powiedział Trumbo. - Możesz zatrzymać Dillona. Ogromny wieprz zachichotał. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś dał w ogromne miechy, obracając jednocześnie beczką pełną skalnych odłamków. - Zaraz, zaraz - powiedział. - To nie takie proste. Musimy porozmawiać. - Pieprzę takie rozmowy - odparł Trumbo i wycelował pistolet między dwie grupki czarnych oczek potwora.

- Jeżeli naciśniesz spust - powiedział uprzejmym tonem wieprz - pójde tam do ciebie, wydrę ci flaki i schrupię te twoje wisiorki, jakby to były jabłka w lukrze.

- Będziesz musiał najpierw się tu dostać - odciął się Trumbo trzymając pistolet bez najmniejszego drgnięcia.

Wieprz zaśmiał się jeszcze grubszym głosem.

- Chcesz zdaje się tego tutaj - powiedział, wskazując ryjem stojącego jak w hipnozie Japończyka.

Trumbo kiwnął głową bez słowa.

- Jest twój, jeżeli tak bardzo go pragniesz - powiedział wieprz. Błysnął ośmioma oczkami i obaj lśniący mężczyźni odwrócili się i odeszli w głąb wulkanicznego komina, znikając z pola widzenia. - Musisz tylko zejść tu na dół i pogadać o tym ze mną. - Monstrualny zwierz obrócił się zgrabnie, niemal z wdziękiem, i podreptał parę kroków w ciemność tunelu. Obejrzał się wykręcając pokryty szczecina kark i tym razem w jego oczkach nie było już żadnych figlarnych błysków. - Tylko nie zwlekaj za długo, Byron. Za parę godzin zaczną się tu dziać interesujące rzeczy. - Wieprz zniknął w głębinach tunelu. Przez chwilę Trumbo przysłuchiwał się stukaniu jego racic, drepcących po bazaltowym dnie komina, aż nastąpiła cisza. Opuścił pistolet. - Cholera, cholera, cholera - jęknął Fredrickson i usiadł ciężko na wulkanicznej skale. Jego czarna twarz zrobiła się całkiem popielata. - Tylko mi tu nie zemdlej, do diabła - powiedział Trumbo. - Wsadź głowę między kolana. O, tak.

Fredrickson wytrzeszczył na niego oczy.

- Myślałem, że już po mnie. Jak po LSD... ale ja nigdy nie brałem LSD. On... ten wieprz kazał mi wezwać pana przez krótkofalówkę... - Dobra, dobra - przerwał mu Trumbo wsuwając pistolet do kabury. - Powiedziałeś o tym komuś jeszcze?

Fredrickson oparł dłonie na kolanach i zaczął ciężko łąpać powietrze. - Uch, uch. Ta świnia

powiedziała mi, że zrobi sobie podwiązki z moich kiszek, jeżeli wezwę kogoś innego... tak dokładnie się wyraziła. .. podwiązki z moich kiszek.

Trumbo próbował przez chwilę wyobrazić sobie tego rodzaju scenę.

- Spokojnie - powiedział w końcu.

Fredrickson podniósł głowę. Wydawało się, że na twarz wraca mu normalny kolor.

- Chyba pan tam nie zejdzie, panie Trumbo? Trumbo spojrział na niego ostro. - Wcale tak nie myślałem - powiedział spieszenie ochroniarz. - Ale jakbyśmy wzięli wszystkich naszych chłopaków i ludzi Sato, zabrali parę noktowizorów, uzi i mac-tenów...

- Zamknij się - przerwał mu Trumbo i spojrział na zegarek. - Kurwa, spóźniłem się na drinka z Hiroshe. - Wyciągnął rękę w kierunku Fredricksona. - Zostań tu. Bądź cały czas na nasłuchu. A ja...

Ochroniarz zerwał się na nogi.

- Nie ma sposobu, żebym sterczał tu jak palec w tych pieprzonych ciemnościach z jakimś gadającym polciem słoniny w tym pieprzonym... Trumbo doskoczył do niego i dwa razy trzepnął go porządnie po twarzy. - Zostaniesz. Zrób to, a będziesz miał w kieszeni dziesięć tysięcy dolarów ekstra. Dziesięć kawałków za ten jeden wieczór. Możesz spieprzać jak gazela, jeżeli ten zwierz wylezie z dziury, ale masz mnie o tym zawiadamić przez krótkofalówkę. Kapujesz? Gdybyś mnie zawiódł, Fredrickson, nie pożałuję forsy, żeby załatwić ciebie i całątwojąrodzinę... z kuzynami twoich kuzynów włącznie. Rozumiemy się?

Ochroniarz wytrzeszczył oczy z wyrazem absolutnego osłupienia. Wyglądał prawie jak przed chwilą Surmy i Dillon.

- To dobrze - powiedział Trumbo. - Przed północą przyślę tu kogoś, żeby ci przyniósł coś do jedzenia. - Poklepał znieruchomiałego ochroniarza po ramieniu i ruszył szybkim krokiem z powrotem ku ścieżce.

Wiatr zmienił znowu kierunek i wiał teraz z południa, niosąc ciepłe, wilgotne powietrze. Trumbo przypomniał sobie, że wiatr ten nazywano kona, a od niego wzięła nazwę cała ta część wybrzeża. Chmura popiołów z erupcji kierowała się w inną stronę i nie stanowiła problemu, ale znowu zaczął nadciągać gęsty, szary tuman dymu z rzek lawy, kierujących się na południe, okrywając wszystko przygnębiającym cieniem.

Zrobiło się nagle chłodniej, jakby słońce już zaszło. Wraz z gęstniejącą w górze chmurą dymu znikły cienie, a cała okolica zaczęła się pogrążyć w coraz głębszym mroku. Szeleściły i szeptały do siebie gałęzie palm, a między gałkami a 'a pogwizdywał ciepły wiatr.

Trumbo po raz ostatni rzucił okiem na zegarek i pospieszył w kierunku ciemniejącej wokół Wielkiego Hale, zielonej oazy. - Od czego mam zacząć? - zapytała Eleanor, kiedy na stole zjawiła się druga porcja Ognistej Pele. Siedziały na, Wielorybim Lanai, przyglądając się, jak przedwieczne mroki ustępują nagle miejsca szarości. - Od Pele - odparła Cordie, unosząc szklanę jak przy toaście. - Hmm... chyba tak, ponieważ to właśnie Pele jest główną opiekunczą boginią, dysponującą zwykłym w takich przypadkach asortymentem możliwości i obowiązków... - zaczęła Eleanor.

- Nie, nie, Nell - przerwała jej Cordie. - Daj spokój tym akademickim nudziarstwom. Zrób to tak, jakbyś opowiadała bajkę. Eleanor pociągnęła łyk Ognistej Pele, odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz.

- Pele nie należy do najstarszych bogów, ale pochodzi z ich najlepszej rodziny. Jak powiadano, jej ojcem był Moe-moea-aullii, dosłownie „wódz, któremu śniły się troski”, ale znikł on gdzieś bardzo prędko i nie występuje w żadnych późniejszych legendach o Pele...

- Typowy mężczyzna - mruknęła Cordie i wypła łyk ze szklanki. - Jedź dalej. - Tak... no więc, matką Pele była Haumea, znana też pod imionami Hina i La'ila'i. W swoich różnych postaciach Haumea jest najwyższym duchem żeńskim, patronką kobiecych prac i boginią płodności, matką wszystkich pomniejszych bogów i całej ludzkości, a najogólniej biorąc, żeńskim równoważnikiem męskiej potęgi we wszechświecie.

- To rozumiem! - powiedziała Cordie i potrząsnęła zaciśniętą pięścią.

Eleanor przerwała i zmarszczyła brwi.

- Wypiłaś już dwa całe drinki. Jesteś pewna, że chciałabyś... Cordie wyciągnęła rękę i poklepała Eleanor po grzbiecie dłoni.

- Zaufaj mi, Nell - powiedziała jasnym, wyraźnym głosem. - Niestraszna mi ta Ognista Pele. Opowiadaj.

- Potęga Pele wzięła swój początek z łona Matki Ziemi, którą starożytni Hawajczycy nazywali Papa - podjęła Eleanor.

- A więc Matka Ziemia to inaczej Papa - powiedziała Cordie, obracając w zębach pałeczkę do mieszania drinków. - W porządku. Jedź dalej, Nell. Już więcej ci nie przerwę.

- Starożytni ludzie widzieli równowagę kosmosu jedynie we wzajemnym przenikaniu się przeciwieństw - powiedziała Eleanor. - Cały ten świat przeciwieństw został zrodzony z męskiego światła, które przeniknęło w głąb żeńskiej ciemności. Cordie skinęła w milczeniu głową.

- Pele zjawiała się na tych wyspach późno - ciągnęła Eleanor, której głos odzyskał już „baśniowy” koloryt. - Sternikiem jej canoe był Ka-moho-ali'i... - Ej, przecież tak się nazywał król rekinów, o którym opowiadałaś mi wcześniej - wtrąciła Cordie. - Staruszek tego sukinkota, który próbował mnie dziś skosztować. Przepraszam... Będę trzymać usta na kłódkę. - Masz rację - potwierdziła Eleanor. - Ka-moho-ali'i był bratem Pele. Na wyspie Bora-Bora, z której oboje przybyli, uważano go też za króla smoków. W każdym razie dzięki jego pomocy canoe Pele przypląnęło na Hawaje. Wyszła na brzeg w Niihau, a potem przeniosła się do Kauai. Jako bogini ognia, Pele miała czarodziejski przyrząd do kopania w ziemi - zdaj e mi się, że nazywał się onpaoa. Przy użyciu paoa kopała sobie ogniste jamy, w których mogła mieszkać, ale morze wdzierало się na brzeg i gasiło płomień. Pele przenosiła się więc z jednej wyspy archipelagu na drugą, aż w końcu dotarła na Wielką Wyspę, gdzie trafiła na Kilauea, i tu poczuła się wreszcie dobrze. Przez tysiące lat miał to być jej dom.

Dało się słyszeć przeraźliwe skrzeczenie i Eleanor przerwała opowieść. Obie spojrzały w dół; spomiędzy gałęzi posypał się deszcz jaskrawych piór walczących ze sobą tropikalnych ptaków. Pociągnęły łyk ze swych wysokich szklanek. - Ale jeszcze przed osiedleniem się tutaj, Pele stoczyła na wyspie Maui ciężką bitwę ze swoją starszą siostrą Na-maka-o-kaha'i, boginią morza... - Nigdy nie miałam starszej siostry - odezwała się Cordie. - Samych braci. I wszyscy dali mi się we znaki z wyjątkiem jednego, który zmarł, kiedy był jeszcze malutki. Wybacz mi. Jedź dalej.

- Pele i jej siostra grzmociły się dotąd, dopóki Pele nie została zabita - powiedziała Eleanor.

- Zabita? - Cordie zrobiła zakłopotaną minę.

- Bogowie też są śmiertelni - potwierdziła Eleanor. - Po swojej śmierci Pele stała się jeszcze potężniejsza jako bogini. A ponieważ zmarła tutaj, na Hawaj, jej dusza mogła swobodnie ulecieć do wulkanów Kilauea i Mauna Loa, gdzie mieszka do dziś.

Cordie zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że Pele może się pojawiać jako zwykła śmiertelniczka... - Może to robić - potwierdziła Eleanor. Na stole zjawiła się trzecia kolejka Ognistej Pele. - Ale już nigdy nie będzie mogła zostać znowu uśmiercona. - Nic z tego nie rozumiem - powiedziała Cordie. - Ale opowiadaj dalej. Ty mów, a ja będę popijać.

- Rzeczywiście, sprawa jest skomplikowana - zgodziła się Eleanor. - Na przykład, Pele jest boginią ognia, ale nie może tego ognia tworzyć... to jest przywilej bogów rodzaju męskiego. Ona może za to sprawować kontrolę nad ogniem, co też czyni na tych wyspach. Ma braci, którzy również są bogami i władają piorunami, wybuchami, wytryskami lawy, tak zwanym ognistym deszczem... jednym słowem, najbardziej hałaśliwymi i widowiskowymi, ale nie tak potężnymi przejawami ognia. - To dla nich typowe - mruknęła znowu Cordie.

- Owszem - powiedziała Eleanor i odsunęła od siebie trzecią szklankę Ognistej Pele. - Dam sobie lepiej spokój z drinkami. Już kręci mi się w głowie, a jak powiedziałaś... czeka nas gorąca noc. Nie chciałabym, żeby Paul i jego znajomy pilot pomyśleli, że jestem na rauszu.

Cordie wzruszyła ramionami.

- Mam przeważnie w nosie to, co myślą inni. - Spojrzała na kelnerkę, która podeszła znowu, żeby zapytać, gdzie wolą zjeść kolację: w restauracji czy na tarasie. - Jak myślisz, Nell? Wolałabym chyba zostać tu, na powietrzu. - Niech będzie - zgodziła się Eleanor.

Zrobiły zamówienie. Na przystawkę Eleanor postanowiła spróbować pasztecika ahi, przyrządzonego z kilku warstw marynowanych i przypiekanych plasterków oberżyny, cebulek z Maui, bazylii, pieczonych ahi i pomidorów, posypanych lekko tartym kozim serem z Puna i przybranych palczatką cytrynową. Cordie poprosiła o pieczone ziemniaki nadziewane kawałkami homara z sosem musztardowym. Na drugie danie obie zamówiły stek z jagnięcia ze świeżym tymiankiem i tłuczonymi ziemniakami.

- Nazywałam je tłuczonymi ziemniakami, kiedy byłam dzieckiem - powiedziała Cordie.

Dania zjawiły się prędko i smakowały wybornie. Obie panie rozmawiały podczas jedzenia. Niebo zaczęło ciemnieć. W pewnej chwili przy stole zjawił się Paul Kukali, ale tylko po to, żeby powiedzieć Eleanor, że helikopter przyłeci mniej więcej za pół godziny. Archeolog zdawał się czymś mocno zaabsorbowany. Kiwnął im głową i odszedł.

- Okay, wracamy do Pele - powiedziała Cordie, kiedy uprzątnięto talerze po drugim daniu. - Kłopot polega na ustaleniu, czy ona jest po naszej stronie, czy też stoi za tym, co dzieje się w Mauna Pele.

- Właśnie - zgodziła się Eleanor i wypiła łyk wody. - Ale chyba wiesz, co ja o tym myślę.

- Tak, czytałam przecież dziennik cioci Kidder. Eleanor przez chwilę przyglądała się swojej dłoni, na którą padało teraz światło zachodzącego słońca. Przypominała jej dłoń matki. Od kiedy moje dłonie zaczęły wyglądać tak samo jak mamy? - zastanowiła się. Potrząsnęła głową, starając się skupić na temacie rozmowy.

- Musimy przyjąć założenie... a ja chciałabym, żeby tak było naprawdę... że sprawcami wypadków w Mauna Pele są siły wrogie tej bogini. Małe oczka Cordie ożywiły się.

- A którzy z jej wrogów za tym stoją?

- Nie wiem - odparła Eleanor. Poczowała się nagle zmęczona. - Pele ma mnóstwo wrogów. Oprócz Na-maka-o-Kaha'i, bogini morza, do jej odwiecznych przeciwników zalicza się Pliahu, boginię śniegu, która mieszka na szczycie Mauna Kea. Poróżniły się kilka tysięcy lat temu, ponieważ obie kochały tego samego mężczyznę.

- Hmm - mruknęła Cordie. Podano desery. Cordie zamówiła sernik lilikoi, chciała też spróbować ciastko z nerkowca z przysmażaną palczatką cytrynową. Eleanor poprosiła o kawę.

- Z tego co słyszeliśmy, można wywnioskować, że za obecnymi wypadkami, tak jak i w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym, stoi Pana-ewa, który przybiera postać mgły i gada - powiedziała. - Ale przy całej swój ej potędze, nie wydaj e się, żeby to Pana—ewa przewodził buntowi przeciwko Pele. - A kto jeszcze jej nienawidzi? - zapytała Cordie, zagłębiając łyżeczkę w serniku.

- Większość bogów rodzaju męskiego - odparła Eleanor. - Nawet ci starsi, tacy jak Łono i Ku, zazdroszczą przywiązania, jakie okazują jej Hawajczycy.

- Typowe dla facetów, którym brakuje pewności siebie - mruknęła Cordie.

- Słucham?

- Nie, nic - Cordie spróbowała drugiego deseru. - Jezu, to jest pyszne. Chcesz trochę?

- Jasne. - Eleanor wzięła na łyżeczkę kawałek ciastka, spróbowała i zamknęła oczy. - Ma cudowny smak.

- Chcesz jeszcze?

- Nie, dziękuję. - Wypiła łyk mocnej kawy i poczuła, że alkoholowy zawrót głowy zaczyna mijać. - O czym mówiłam?

- O Pele i zazdrosnych o nią bogach.

- Och, rzeczywiście... widziałyśmy przecież tego czarnego psa, a Ku przyjmuje taką właśnie postać.

- A w jakiej skórze pojawia się ten... jak mu tam... Łono? - Nie jestem tego pewna - odparła Eleanor. - Łono może się ukazać jako człowiek, ale myślę, że robi to rzadko. Był on najbardziej srogim i wymagającym ze wszystkich starych bogów... Większość ofiar z ludzi, jakie składano na tym wybrzeżu, poświęcano właśnie jemu... ale nie sądzę, aby miał on jakieś szczególne powody, żeby występować przeciwko Pele. Cordie zajadała na przemian sernik i ciastko z nerkowca. - A więc tu u nas przeciwko Pele mógł wystąpić ten kundel Ku, choć jeszcze bardziej prawdopodobne jest, że był to Pana-ewa i jego demony. Eleanor przyglądała się przez chwilę zamierającemu światłu, padającemu na szczyty drzew.

- Albo j jeszcze ktoś inny. - Rzuciła okiem na zegarek i spojrzała na Cordie.

Miała jeszcze kilka minut do spotkania z Paulem i wycieczki helikopterem. Zaczynała już odczuwać związane z tym napięcie. - Gdzieś tu, na tym wybrzeżu Pele stoczyła wielką bitwę ze swoją ulubioną siostrą Hi'iaką. Także i wtedy poszło im o mężczyznę. Słucham?

- Nie, nic nie mówiłam - powiedziała Cordie.

- Młodsza siostra Pele, Hi'iaka, była tancerką- podjęła Eleanor - i żyły ze sobą bardzo dobrze. Hi'iaka zachowała wobec niej lojalność, chociaż zadurzyła się w jednym z kochanków Pele, mężczyźnie o imieniu Lohi'au. Pele podejrzewała jakieś konszachty między nim a swoją siostrą, no i napadła na Hi'iakę dokładnie gdzieś tutaj, na tym kawałku wybrzeża...

Obie kobiety spojrzały w kierunku wiszącego nisko nad horyzontem słońca i ogromnego oceanu. Chmura popiołów i dymów wisiała nad wybrzeżem jak szary baldachim, a słoneczne promienie muskały jej spód, zabarwiając go na pomarańczo woczerwony kolor. Woda w zatoce falowała leniwie, niczym jezioro krwi.

- I która z nich zwyciężyła? - zapytała Cordie. Dokończyła już deser i brzęknęła teraz z zadowoleniem łyżeczką, odkładając ją na talerzyk po ciastku z nerkowca. - Słucham? A, chodzi ci o

walkę Pele z Hi'iaką. Zakończyła się ona remisem, ale Pele przypadkiem zabiła Lohi'au.

Cordie kiwnęła głową.

- Całkiem jak w sobotni wieczór w Chicago. Typowa domowa burda. - Ta legenda ma stosunkowo szczęśliwe zakończenie - powiedziała Eleanor. - Jeden z boskich braci Pele spotkał duszę Lohi'au, ulatując nad oceanem, i przyniósł ją powrotem na ląd, aby włożyć ją do martwego ciała. - Jak w dzienniku cioci Kidder? - zapytała Cordie. - Przypuszczalnie tak. W każdym razie Hi'iaka i jej nowy kochanek wynieśli się na wyspę Kauai. Ale mogła zachować jakąś urazę. A ona jest potężną boginią... Cordie założyła ręce na piersi i oparła się wygodnie w krześle. - Sama nie wiem, Nell. Jakoś nie wydaje mi się, żeby Paulowi i tym męskim kahunae udało się przemówić do kobiecej duszy. Myślę, że po ich stronie działa jakaś szowinistyczna męska świnią.

Eleanor uśmiechnęła się szeroko.

- Co w tym śmiesznego? - zapytała Cordie.

- Bo jest też bóg-świnią- powiedziała Eleanor. - A przynajmniej wieprz, Kamapua'a. Jest on wprost uosobieniem męskich cech wszystkich bogów... no i wrogiem Pele. Atakze jej kochankiem.

Cordie pochyliła się do przodu. Jej twarz musnęły ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- Opowiedz o nim. Eleanor wzruszyła ramionami.

- Dzik był największym zwierzęciem ziemnym, jakie znali Polinezyjczycy i Hawajczycy. Był on żywym wcieleniem męskiej siły. Kamapua'a przybiera więc postać świni albo... przystojnego mężczyzny. Jest potężnym bogiem. Woli przebywać na nawietrznych brzegach wysp, gdzie jest dużo deszczów. Łączy się go nawet z mokrymi, lesistymi, zacienionymi okolicami. Jednak jego potężny apetyt przysparza mu zawsze mnóstwa kłopotów. Kamapua' a próbował kiedyś porwać siostrę Pele, Kapo, ale Kapo uciekła mu dzięki temu, że 294 oddzieliła i odrzuciła od siebie swój srom, żeby zmylić tropy... słucham cię? Okrągła twarz Cordie przybrała zagadkowy wyraz. - Nic takiego, Nell - powiedziała. - Zastanawiałam się właśnie nad tym, jaki to użyteczny sposób na mężczyzn... ale mów dalej. To ciekawsze niż szpitalny serial w telewizji.

- Ten sam Kamapua'a, w ciągu wielu stuleci porywał również Pele, i to z tuzin razy- podjęła Eleanor. - W południowej części wyspy, koło Puna, jest miejsce zwane Ka-lua-o-Pele, gdzie ziemia jest zryta i poorana. Według legendy tam właśnie Pele przegrała swoją pierwszą wielką bitwę z Kamapua'a i tam udało mu się ją... no, wiesz.

- Wypieprzyć - sprecyzowała Cordie. - Zgwałcił ją. Eleanor kiwnęła głową.

- Widziałam zdjęcia tej okolicy. Wyglądają jak zmietoszone łóżko. - Szkoda, że Pele nie miała dość siły, aby dać po uszach świntuchowi - powiedziała Cordie, kiedy kelnerka zabrała ze stolika ostatnie talerzyki. - Niewiele brakowało, a byłaby to zrobiła - przyznała Eleanor. - Walka była bardzo zacięta: ognie Pele zmagaly się z potopami Ka-mapua'a. Posłał on nawet tysiące świń, żeby pożarły podszybie wszystkich lasów, tak aby nie miało się co palić. Pele zamieniła gnane jego huraganowymi sztormami fale w parę i pokryła lawą jego ziemie. On z kolei wysłał do boju jeszcze więcej potoków. Pele zdecydowała się narazić raczej na zniszczenie, niż mu ustąpić. Legendy powiadają jednak, że w końcu jej bracia, odpowiedzialni za ognisty deszcz zobaczyli, że zaczyna przegrywać i kazali jej, żeby się poddała. Obawiali się, że zostaną pogaszone wszystkie ognie.

- To też typowe - stwierdziła Cordie i strzeliła palcami. - Tak - powiedziała w zamyśleniu Eleanor. - Kamapua' a mógłby być jednym z naszych podejrzanych, ale on rzadko zjawia się po zawietrznej, suchej stronie wyspy, przynajmniej według tego, co...

- O, kurczę - jęknęła Cordie, wytrzeszczając oczy w przestrzeń, ponad ramionami Eleanor.

Obie kobiety podniosły się i podeszły do balustrady tarasu. W ostatnich blaskach zachodzącego słońca, odbitych od wiszącej nisko chmury popiołów, widać było tysiące dryfujących w przestrzeni, cienkich niteczek, świecących czystym słonecznym światłem. Cordie i Eleanor wybiegły z tarasu i skierowały się do ogrodu między Wielkim Hale i brzegiem zatoki. Wszędzie, na trawie, na ścieżkach i w gałązkach krzewów widać było całe pasemka dziwnej sub-295 stacji. Wiele z wijących się włókienek miało metr albo i więcej długości i przypominało falujące kobiece włosy.

- Co to takiego? - zapytała Cordie.

Eleanor pokręciła głową. Teraz, po zachodzie słońca, włókienka straciły swoje barwy. Wydawało się, że są bladoczerwone albo połyskują srebrnoszarym odcieniem. Wrażenie podobieństwa do kobiecych włosów było niesamowite. - To włosy Pele - odezwał się męski głos za ich plecami. Odwróciły się i zobaczyły Paula Kukali..

- To jest coś w rodzaju szklanej przędzy - powiedział bezbarwnym tonem - która powstaje wtedy, gdy Mauna Loa i Kilauea znajdują się w stanie pełnej erupcji. Dotknijcie ich... widzicie, jakie te włókna są giętkie? Rzadko docierają aż tutaj. - Popatrzył ku wschodowi, gdzie niebo miało intensywniejszą jasnoczerwoną barwę niż na zachodzie. Wyglądało to tak, jakby tego wieczoru odbywały się jednocześnie dwa zachody słońca. - Erupcja musi być coraz potężniejsza.

Eleanor po raz ostatni dotknęła podobnych włosom włókienek i podniosła się.

- Czy to oznacza, że nie polecimy?

- Nie - odparł Paul. - Wręcz przeciwnie. Helikopter już tu jest. Lepiej, żebyśmy wystartowali jak najprędzej, zanim zgęstnieje chmura popiołów i loty zostaną wstrzymane.

Eleanor odwróciła się do Cordie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz...

- Wiesz, Nell, niewiele jest rzeczy, których się boję, ale w czasie lotu jestem gotowa zrobić w majtki. Wolę się nie narażać na coś takiego. Ale pójdę z tobą, żeby popatrzeć, jak będziecie startowali.

Paul podjechał golfowym wózkiem. Ruszyli wokół Wielkiego Hale, minęli korty tenisowe i parking, przecięli kawałek północnego pola golfowego i znaleźli się koło lądowiska dla śmigłowców, które urządzone na terenie pokrytym gładzią a 'a. Przeświecające przez korony drzew niebo było tu trochę jaśniejsze, ale na wysokości kilku tysięcy stóp nad ziemią wisiała szara chmura popiołów. Helikopter stał pośrodku pokrytego asfaltem kręgu. Jego śmigła kręciły się powoli. Był o wiele mniejszy niż Eleanor się spodziewała. Przypominał niewielką banieczkę, tyle że z dodatkowym ogona z małym śmigiełkiem. Powiew wiatru z południowego wschodu zatrzepotał pomarańczowym rękawem, zawieszonym na maszcie po tej stronie lądowiska. Przez świetlne odbłaski na powierzchni pleksiglasowej kabiny widać było tylko niewyraźną sylwetkę siedzącego w środku pilota.

Eleanor odwróciła się do Cordie i ścisnęła ją za ramię.

- Zobaczymy się za godzinę lub dwie. Cordie spojrzała na Eleanor prosto w oczy. - Bądź ostrożna, Nell. Jeżeli znajdziesz osobę, której, jak myślę, szukasz, pozdrów ją ode mnie.

Eleanor uśmiechnęła się, kiwnęła głową i ruszyła w kierunku maszyny za pochylonym nisko Paulem.

Cordie cofnęła się dalej od strug powietrza wzbudzanych przez śmigła. Z miejsca, w którym się znajdowała, nie było widać pilota, zobaczyła jednak Paula, który wspiał się jako pierwszy, a po nim na przednie siedzenie wdrapała się Eleanor. Silnik helikoptera zawył na wyższych obrotach, kontury śmigieł rozmazały się i mała maszyna uniosła się w górę niczym ważka. Zatoczyła koło nad

ośrodkiem na małej wysokości, a potem odleciała ku morzu, kierując się na południe wzdłuż wybrzeża.

- Szczęśliwej drogi, Nell - szepnęła Cordie i zawróciła w kierunku cienistej oazy, otaczającej główny budynek ośrodka.

Rozdział dziewiętnasty

Promienni bogowie Podziemi.

W Vavau jaśniej bogowie nocy.

Bogowie stojący zwartym kołem przy Pele.

Modlitwa Pele

18 czerwca 1866 roku, bezimienna wioska na Wybrzeżu Kona

Słońce nie wstało jeszcze nad masywem wulkanu za naszymi plecami, nad którym zaczęły się gromadzić chmury, ale niebo pojaśniało na tyle, że noc ustąpiła szarówce, kiedy błędny ogień doprowadził nas do wrót Podziemnego Świata Milu. Ostatni odcinek szlaku schodzącego w dół ku wybrzeżu stanowiła brukowana, dość szeroka droga. Mój zmęczony koń stąpał po niej ciężko przez dobrych parę minut, zanim usłyszałam różnicę w dźwięku jego podków i zmusiłam się do rzucenia okiem w dół w ustępujących ciemnościach. Wyłożona płaskimi kamieniami dro-297 ga wyglądała na bardzo starą, ale musiała być dziełem zręcznych budowniczych. Kamienie były starte z wierzchu i gładkie.

- Przypomina mi ona antyczne brukowane drogi wychodzące z Rzymu, jakie ogląda się na starych rycinach - powiedział pan Clemens, który, odkąd droga na to pozwalała, wstrzymał swego konia, żeby jechać koło mnie. Niebieskawa, świecąca kula szybowiała przed nami niczym myśliwski pies prowadzący swego pana przez pole. Nasze wyczerpane konie podążały za nią bez żadnych oznak strachu. - Bardzo bym chciała, żebyśmy zmierzali teraz do Rzymu - odparłam uświadamiając sobie, jaka jestem zmęczona i zszokowana.

- Hmm - mruknął pan Clemens, najwyraźniej zgadzając się ze mną. - Wydaje się, że przyjemniej by było mieć w planie wizytę u papieża niż teraz, kiedy grozi nam nieuchronne spotkanie z Władcą Upiorów.

Mimo ciepłego wietrzyku wzdrygnęłam się.

- Nie powinniśmy pozwalać sobie na żarty - powiedziałam, a czując, że odezwałam się może zbyt ostro, zapytałam: - Był pan w Rzymie? - Niestety, nie - odparł korespondent - ale mam nadzieję zwiedzić całą Europę, zanim się zestarzeję... - Spojrzał na mnie tak, jakby odczuwał zażenowanie, że mnie niepokoi. - A pani, panno Stewart, była pani w Rzymie? Westchnęłam. Byłam zupełnie skonana.

- Dopiero rozpoczynam moje podróże, panie Clemens. Niewiele dotąd widziałam i moim największym zmartwieniem jest to, że życie trwa zbyt krótko, aby zwiedzić cały świat. Miałam nadzieję zobaczyć Rzym w tej podróży. Zobaczyłam wyraz zdziwienia na jego twarzy.

- Powiedziała pani przecież, że stąd skieruj się na zachód, przez Pacyfik... - Tak - odparłam. - Po zwiedzeniu Gór Skalistych i opisaniu moich wrażeń z tej podróży... - Urwałam, wstrząśnięta swoją własną niedyskrecją. - Pani pisze! - wykrzyknął pan Clemens. - Książki podróżnicze! Koleżanka po piórze!

Opuściłam głowę, wściekła na siebie za przyznanie się do tych praktyk. Chciałam też ukryć rumieniec, który oblał moje policzki. - Były to tylko takie sobie zapiski, które posyłałam siostrze - powiedziałam. - Przeznaczyłam je... zostały opublikowane prywatnie, dla wąskiego kręgu... ale nie była to normalna książka.

- Nonsens! -zawołałjeszcze głośniej pan Clemens. -Podróżuję z bratnią duszą nic o rym nie wiedząc. Jak widać, oboje porzuciliśmy uczciwą pracę dla przyjemności opisywania naszych wędrówek.

Ścisnęłam w dłoni cugle, próbując zmienić temat. - Zamierzałam popłynąć z Wysp Sandwich do Australii - powiedziałam. - Potem do Japonii. Stamtąd być może do Chin... Mam kuzyna, który jest tam misjonarzem. Później planowałam zwiedzić Indie, a stamtąd udać się może łodem do Ziemi Świętej... do Europy. .. Rzymu... - Urwałam, przerażona moim gadulstwem. Pan Clemens pokiwał z uznaniem głową.

- Godna podziwu trasa jak na podróżującą samotnie, drobną kobietę. - Poklepał się po kieszeni, jakby zamierzał wyjąć kolejne cygaro. - Ile czasu przeznaczyła pani na to okrażenie całego świata?

Uniosłam twarz na świeży wietrzyk, wiejący od zalesionej przestrzeni między nami a wybrzeżem. Zaczynaliśmy już dostrzegać morze, iskrzące się w blaskach porannej zorzy.

- Rok- odparłam. - A może dwa? Albo i więcej. To nie ma żadnego znaczenia. - I nic nie ciągnie pani z powrotem do Ohio? - zapytał. Wołałam nie odpowiadać wprost na to pytanie.

- Mój ojciec - powiedziałam - zapisał mi w testamencie znaczny majątek. Przez kilka lat dręczyły mnie chroniczne dolegliwości. Lekarz poradził mi, żebym wybrała się w podróż.

Pan Clemens spojrzał z błyskiem w oczach.

- Pewnie nie wyobrażał sobie - powiedział - że jego pacjentka wyprawi się dookoła świata. - Uniósł jedną nogę i położył jąospale w poprzek siodła. Jego wysokie buty pokryte były kurzem. - Gdyby pani lekarz mógł był przewidzieć, jakie przygody czekają na panią na Wyspach Sandwich, nie wypisałby ich na swojej recepcie.

Spojrzałam w bok, pragnąc za wszelką cenę zmienić temat. - Jakie to dziwne - powiedziałam. - Fale rozbijają się o skały prawie o dwa kilometry stąd, a ich huk słyszać tu zupełnie wyraźnie. Pan Clemens obejrzał się przez ramię w kierunku odległych, wałących o brzeg bałwanów.

- Obserwowała pani może krajowców przy uprawianiu ich narodowej rozrywki? - zapytał.

Potrząsnęłam głową. Słysząc było jednostajny stukot końskich kopyt na gładkich kamieniach. Odurzona zmęczeniem i wstrząsem doznany po śmierci wielebnego Haymarka, patrzyłam na wiodący nas błędny ognik jak na coś normalnego.

- Mam na myśli pływanie na grzbietach fal - powiedział rudowłosy korespondent obmacując znowu kieszenie, jakby w nadziei, że są tam może jakieś cygara, które uszłyjego uwagi. Jednak najwyraźniej się zawiódł. - Och, nie - powiedziałam. - Słyszałam o tym w Honolulu, ale nie widziałam tego. - Wspaniała rozrywka - stwierdził pan Clemens wracając do normalnej pozycji na siodle. - Drugiego dnia pobytu na Oahu natknąłem się na grupkę młodzieńców, hawajskich dziewcząt, które kąpały się nago i pływały po grzbietach fal. Podszedłem i usiadłem koło ich ubrań, żeby ich nikt nie ukradł. Prosiłem je, żeby wyszły na brzeg, bo morze burzyło się coraz bardziej i sądziłem, że ta zabawa może być ryzykowna, ale one zdawały się nie odczuwać żadnego strachu i zabawiały się dalej.

Opuściłam w milczeniu głowę i spojrzałam w bok, żeby ukryć uśmiech przed tym śmiałym młodzieńcem. Nagle przypomniałam sobie słowa staruszki: „... zrzucicie z siebie absurdalne ubrania, jakimi haole okrywają swoje ciała...” i uśmiech znikł z mojej twarzy.

- Po jakimś czasie - ciągnął pan Clemens - do owych dam dołączyli młodzieńcy z wioski i ich zabawa stała się jeszcze bardziej interesująca. Każde z nich zabierało ze sobą coś w rodzaju krótkiej deski, wypływało na trzysta albo czterysta metrów w morze i czekało na jakąś szczególnie

wypiętrzoną falę, a potem wypuszczało deskę na jej spienionym grzbiecie i wskakiwało na nią. To był zadziwiający widok, panno Stewart. Najbardziej zręczni, zarówno spośród chłopców, jak i dziewcząt, mknęli do brzegu jak strzały, z szybkością ekspresowego pociągu! A podczas tego ślizgu balansowali na jednej nodze, wymachiwali do siebie, stawali na rękach, zaplatali sobie włosy, pędząc w kierunku brzegu na czubkach tych ogromnych bałwanów. Uśmiechnęłam się znowu, tym razem z niedowierzaniem.

- A pan, panie Clemens, próbował tego sportu?

- Oczywiście! - odparł korespondent i zmarszczył brwi na wspomnienie tej przygody. - Ale przyznaję, nic mi z tego nie wyszło. Umieszczałem deskę prawidłowo i w odpowiednim momencie, ale nie udawało mi się na nią wskoczyć. No i w chwilę potem niczym nie obciążona deska wyskakiwała na brzeg, a ja w tym samym momencie waliłem się na dno, mając parę beczek wody w brzuchu. Podejrzewam, że nikt nigdy nie prześcignie krajowców w tej sztuce. Niebo jaśniało już porannym brzaskiem. Słońce kryło się jeszcze za szczytem wulkanu, ale od strony morza napływały niskie, po-300 sępne chmury. Mimo przeciwnego wiatru dawały się wyczuć cuchnące wulkaniczne wyziewy.

Z piersi wyrwało mi się znowu westchnienie. Zdawałam sobie sprawę, że przekomarzania mojego towarzysza wędrówki miały na celu j edynie podniesienie mnie na duchu i oderwanie moich myśli od czekających nas jeszcze groźnych przeżyć, wciąż jednak towarzyszył mi jakiś nieokreślony niepokój, tak samo realny, jak szybujący przed nami błędny ognik, który skręcił teraz ze starej, wyłożonej kamiennymi płytami drogi i popłynął między głazami a 'a w kierunku wybrzeża. Nasze konie zawahały się na moment, wyraźnie niezadowolone z tego, że znowu mają podjąć wysiłek wyszukiwania drogi przez ostre skały, ale popędziliśmy je do przodu i w końcu uległy. Kulka niebieskawego ognia zdawała się czekać, aż wejdziemy na pokryte lawą pole, po czym ruszyła dalej. Starając się utrafić w lekki, improwizowany ton, jakim zwracał się do mnie pan Clemens, powiedziałam:

- Obawiam się, że będę miała kłopot z wyprowadzeniem z Podziemnego Świata dusz białych haole... ponieważ nie wierzę w duchy.

Pan Clemens odchrząknął, tak jakby przygotowywał się do wygłoszenia kolejnej anegdoty.

- Ja też w nie nie wierzyłem aż do pewnej jesiennej nocy, dwa lata temu w Carson City, kiedy to... - Urwał i wstrzymał swego konia. Na wprost nas wznosiła się stroma, urwista ściana. Dawno temu musiał tu spadać w trzystumetrową przepaść ognisty wodospad, teraz zastygły i wyglądający w amfiteatralnym półkolu, prowadzącym w dół, ku szerokiej zatoce. Z odległości około pół kilometra dochodził łoskot przyboju. W tej amfiteatralnie ukształtowanej dolince widać było zagajnik palm kokosowych i kilka zrujnowanych domków. - Myślę, że może to być Zatoka Kealakekua - powiedział cicho pan Clemens, zupełnie jakby się bał, że ktoś go podsłucha - w której przed laty krajowcy zamordowali i ugotowali kapitana Cooka.

Jakkolwiek nazywała się owa zatoka, półkole gładkiej skały przecinała jedyna, długa szczelina, powstała najwyraźniej po zapadnięciu się sklepienia któregoś z wulkanicznych kominów, jakie napotkaliśmy po drodze. W miejscu, w którym zniknął błędny ognik, ziemia podpadała i otwór przypominał wejście do podziemnej groty. Nie można było podejść końmi bliżej niż na dziesięć metrów. Zsiedliśmy więc, pan Clemens spętał zmęczone zwierzęta, zdjął z siodła zwój długiej liny i zbliżyliśmy się powoli do skalnego otworu.

Wrażenie, że jest to wejście do jaskini, było mylące; z bliska okazało się, że jest to raczej coś w rodzaju studni, a nie groty. A ponieważ w miejscu, w którym sklepienie zawaliło się do środka,

pozostały skalne nawisy, nie można było zobaczyć, czy ma ona dwa, czy może dwieście metrów głębokości. Mój towarzysz obwiązał jednym końcem liny, którą przyniósł, nieduży kamień, a potem opuścił go do otworu u naszych stóp.

- Potrzebna jest nam sonda - wyjął z roztargnieniem. Kamień stuknął o skałę po wypuszczeniu niecałych sześciu metrów.

- W porządku - stwierdził pan Clemens wyciągając linę i zwijając ją niebywałą wprawą. - Mark Twain, jak myślę. Znacz dwójkę. - Rzucił kamień po raz drugi, tym razem trochę dalej. - Zgadza się - powiedział na koniec. Rozłożyłam ręce na znak, że nic z tego nie rozumiem. - To stary termin, używany na rzece - wyjaśnił pan Clemens. - Oznacza on, że ołowianka pokazuje dwa sążnie głębokości. Wystarczająco głęboko, aby kil statku nie dotknął dna. Dobra wiadomość dla pilota. Tak bardzo polubiłem ten termin, że kiedy wysyłałem w zeszłym tygodniu artykuł o „Hornecie”... - Jak my się opuścimy na taką głębokość? - zapytałam. Nie chciałam mu przerywać, ale w tym momencie bardziej ciekawiło mnie czekające nas zadanie niż sympatyczne szczegóły o życiu na rzece.

- Ta starucha wspominała coś o pnączach ieie - powiedział pan Clemens. - Ale przyszło mi do głowy, że ta lina byłaby lepsza... - Urwał wpatrując się w coś za moimi plecami z tak osobliwą miną, że odwróciłam się jak na sprężynie. O jakieś trzy i pół metra ode mnie stała młoda kobieta. Nie usłyszałam jej kroków, choć wcześniej kamyki i odłamki skał trzeszczały pod naszymi stopami. Była to młoda, piękna Hawajka o połyskującej brązowej skórze, żywych ciemnych oczach i falujących, kruczoczarnych włosach. Trzymała w szczupłych rękach dwie rzeczy - zamknięte naczynie z tykwy i zwój czegoś, co przypominało plecionkę z winorośli.

Zanim którekolwiek z nas zdążyło się odezwać, młoda kobieta powiedziała:

- Musicie się spieszyć. Pana-ewa i inni śpią przez krótki czas po nadejściu świtu, ale ich sen jest lekki i łatwo ich zbudzić. Więc nie zwlekajcie, ściągajcie z siebie okrycia...

Miała młody, dzwięczny i miękki głos. Wymawiała angielskie zgłoski płynnie, z melodyjnym hawajskim akcentem. Nietrudno było rozpoznać w nim młodsze wcielenie głosu starej babuleńki.

- Prędej! - ponagliła nas młoda ślicznotka, pomagając sobie ręką, w której trzymała zwinięte pnącza. - Zdejmujcie ubrania. Pan Clemens i ja obrzuciliśmy się nawzajem wymownymi spojrzeniami. - Słuchaj, Will, przed chwilą kłóciłem się ze świnią - powiedział Byron Trumbo, wychylając drugi kieliszek wódki. - Ze zwykłą, pieprzoną świnią. Will Bryant kiwnął głową, spoglądając w kierunku Hiroshe Sato i innych członków jego grupy po drugiej stronie długiego stołu.

- Wiem - powiedział. - Pani Trumbo odmawia wyjazdu, a jej adwokat nalega, żebyśmy...

- Ale nie z tą świnią - przerwał mu Trumbo, odwrócił się i szybkim ruchem wytarł sobie górną wargę. - Mam na myśli prawdziwą świnię. Wieprza. Może knura. Wielką, pieprzoną świnię.

Sekretarz spojrział z ukosa na swego szefa, ale nic nie powiedział. - Do cholery, nie gap się na mnie w ten sposób! - rzucił Trumbo na tyle głośno, że Sato, staruszek Matsukawa i doktor Tatsuro spojrzeli w ich stronę. Trumbo odwrócił się i pociągnął za sobą Willa.

- Nie patrz na mnie tak, jakbyś mi chciał dać do zrozumienia, że oszalałem - szepnął mu ostro do ucha. - Wiem, co mówię... Ten ogromny wieprz stał w wejściu do jakiejś podziemnej dziury, a razem z nim był Sunny Takahashi, który świecił jak jakaś pieprzona tarcza telefonu z lat pięćdziesiątych... I wiesz, Will, on miał chyba ośmioro oczu. Znaczy się, ta świnia. - Trumbo ścisnął Willa za ramię. - Wierzysz mi teraz? No, powiedz, Will.

- Wierzę panu, panie Trumbo - powiedział Will Bryant i delikatnie uwolnił ramię z uścisku.

Trumbo rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, ale Will Bryant kiwnął kilka razy głową.

- Tyle dziwnych rzeczy się tu dzieje - powiedział. - Jeśli pan mówi, że kłócił się pan ze świnia, to znaczy, że... kłócił się pan ze świnia. Miliarder klepnął sekretarza po ramieniu.

- To właśnie u ciebie lubię, Will... Pod wymuskaną powierzchownością absolwenta wydziału prawa w Harvardzie bije w tobie serce człowieka, który mówi sobie: mam wszystko w dupie i robię, co do mnie należy. Nie obrażaj się, Will.

- Skądże znowu, szefie - odparł Will. - Ale muszę panu powiedzieć, że znaleźliśmy Sunny'ego Takahashi...

Trumbo omal nie upuścił na podłogę butelki, z której napełniał właśnie kieliszki wódką.

- Wrócił? Z tej dziury pod ziemią? Ta świnia puściła go wolno? - Nic nie słyszałem o żadnej świni - powiedział Will - ale ciało Surmy'ego zostało znalezione w jednej z chłodniczych kabin w restauracji. Doktor Scamahorn mówi, że wygląda, jakby nie żył od około dwunastu godzin. Nie poinformowałem jeszcze pana Sato ani nikogo z jego grupy, ponieważ byłem pewien, że pan by sobie tego nie życzył. Było tam także ciało szefa ochrony Dillona. Próbowaliśmy połączyć się z panem, ale pańska krótkofalówka nie odpowiadała. Po zawiadomieniu władz doktor Scamahorn chce przeprowadzić sekcje zwłok. Trumbo znowu chwycił Willa za ramię i odciągnął go dalej od bankietowego stołu.

- Gdzie jest jego ciało?

- Czyje?

- Sunny'ego! - syknął Trumbo i znowu ściszył głos. - Sunny'ego. Mam w dupie tego Dillona. Gdzie ono jest?

- W ambulatorium. Oba ciała zabrano tam mniej więcej dwadzieścia minut temu.

Trumbo przyłożył gruby wskazujący palec do wątlej piersi Willa. - Połącz się przez radio... nie, idź tam osobiście. Dopilnuj, żeby zwłoki Sunny'ego... do diabła, Dillona też... wróciły z powrotem do lodówki. Masz to zrobić po cichu. Nikomu ani słowa.

Tym razem Will Bryant spojrział naprawdę podejrzliwie na swego pracodawcę. - Szefie, już i tak po wszystkim. Pan Sato na pewno nie złoży podpisu po tym, jak zamordowano tu jego przyjaciela. Wszystko na nic. Musimy... Trumbo odciągnął Willa jeszcze dalej od reszty towarzystwa. - Nic nie rozumiesz. Niecałe trzydzieści minut temu widziałem Sunny'ego Takahashi. Przyznaję, świecił i chwiał się na nogach jak jakiś pieprzony żywy trup, ale to był na pewno Sunny. Jeżeli przez ostatnich dwanaście godzin leżał nieżywy w lodówce, jak twierdzi Scamahorn, musi to oznaczać, że ta świnia wzięła jego duszę jako zakładnika, czy coś w tym stylu... - Jego duszę? - zapytał Will Bryant. Sekretarz Trumba nie wypił dziś ani kieliszka, nigdy zresztą tego nie robił, teraz jednak sięgnął po butelkę z wódką.

- Może duszę, może upióra, jeden czort - powiedział Trumbo, starając się szeptać najciszej jak mógł. - Nie znam się na tych pieprzonych hawajskich wierzeniach. Wiem tylko, że ten wieprz chciał mi oddać Surmy'ego... wiedział skądś, że Sunny dużo dla mnie znaczy i chciał ze mną pertraktować. Rozumiesz, ja nie mam zielonego pojęcia o tych hawajskich świńskich bogach, ale przecież poznam od razu, że ktoś chce się ze mną potargować, a ta pieprzona świnia rzeczywiście chciała.

Will Bryant wychylił kieliszek i kiwnął głową.

- W porządku, zrobię to - powiedział - ale przecież Sunny i Dillon to już trupy...

- Dillon może zostać trupem na dobre - syknął Trumbo. - Ale może ta świnia odda mi Sunny'ego. Powiedziała mi, że jeżeli tak bardzo mi na nim zależy, to będzie mój. I że muszę zrobić tylko jedno... zejść tam na dół, do tej dziury i porozmawiać o tym... znaczy się, z tą świnia - dokończył i zagryzł

usta. Will odstawił ostrożnie kieliszek na kontuar.

- Powinniśmy przyłączyć się z powrotem do towarzystwa. Hiroshe i jego ludzie będą niedługo chcieli usiąść do kolacji.

Trumbo kiwnął z roztargnieniem głową.

- Myślisz, że podpiszą, jeśli Sunny wróci? Will Bryant wahał się tylko przez moment.

- Wszystkie dokumenty zostały przejrane. Pokój konferencyjny jest gotowy. Sato nie lubi wprowadzić załatwiać interesów wieczorem, ale oni przebąkują tam między sobą, że chcieliby odlecieć stąd jutro rano.

Trumbo kiwał głową wpatrując się w przestrzeń.

- Okay, dobrze... wymyślę, jak sprowadzić Sunny'ego z powrotem i do rana będziemy mieli z głowy tę przekłętą transakcję. Idź teraz dopilnować, żeby obaj wrócili do lodówki...

Will skrzywił się.

- Do wszystkich diabłów - powiedział Trumbo - umyjesz sobie ręce przed powrotem na bankiet. Po prostu właduj obu z powrotem do zamrażalnika. Może ta świnią uwolni także Dillona. Nie wolno ci dopuścić, żeby Scamahorn zaczął przeprowadzać sekcję któregokolwiek z nich... Nawet jeśli dusza Sunny'ego wróci do niego, to co z niego będzie za biznesmen, jeżeli będzie mu brakować mózgu czy wątroby, albo czegoś innego. - Popchnął Willa lekko do drzwi. - Leć! Aja zabawię tymczasem gości i zaproszę ich do stołu.

Will Bryant kiwnął głową i ruszył do tylnego wyjścia z apartamentu. Doszedłszy do drzwi zatrzymał się.

- Co jest? - zapytał Trumbo.

- Zastanawiam się właśnie - powiedział w zamyśleniu Will -co dalej?

W apartamencie zgasły wszystkie światła.

Eleanor rozpoczęła helikopterową wycieczkę tuż po zachodzie słońca, a przed zapadnięciem nocnego mroku. Z ognisk rozpalonej lawy szedł gęsty dym. Kiedy okrążali krater Mauna Pele, aby skierować się następnie wzdłuż wybrzeża ku południowi, zawirowania od śmigieł helikoptera układały się za nimi w skomplikowane spirale.

Paul Kukali wgramolił się na tylne siedzenie - wąską, wyściełaną ławkę, zaopatrzoną w pasy bezpieczeństwa - Eleanor usiadła natomiast na pojedynczym pasażerskim fotelu z przodu. Zaabsorbowana zapinaniem pasów, nie dosłyszała pełnych personaliów pilota. Przedstawiając się sobie musieli zresztą przekrzykiwać hałas rotora. Zdołała tylko usłyszeć, że ma na imię Mikę. Zanim pilot zdążył wyjąć z kieszonki na piersiach przeciwsłoneczne okulary i umieścić je na nosie, Eleanor zobaczyła, że ma on najbardziej pogodne szare oczy, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny. Mógł być w tym samym wieku co i ona - czyli dobrze po czterdziestce - i miał ładną opaleniznę, przyjemny uśmiech, zgrabnie przyciętą bródkę i mocne ramiona, z zaskakująco subtelnie wymodelowanymi dłońmi, które opierał na przyrządach pokładowych. Ścisnął w rękach drążek między kolanami i jeszcze jedną dźwignię koło lewej nogi. Jego adidasy opierały się na pedałach, a pod stopami widać było ziemię, przeświecającą przez pleksiglasową obudowę kabiny.

Paul Kukali włożył słuchawki, pochylił się do przodu i dał znak Eleanor, żeby zrobiła to samo. Eleanor sięgnęła po parę słuchawek, leżących między nią a pilotem w zagłębieniu na zagraconej konsolce i wsunęła je na głowę, starając się pilnować, aby mały mikrofon znalazł się naprzeciwko ust. - Tak będzie lepiej? - pytał właśnie Mikę. - To jest elegancka maszyna, ale robi mnóstwo

hałas. Przez interkom łatwiej nam będzie rozmawiać. Słyszycie mnie? - Tak - odezwał się metalicznie brzmiący głos Paula. Eleanor kiwnęła głową i także potwierdziła, że słyszy.

- No to świetnie... miło mi poznać panią, Eleanor - powiedział Mike i wyciągnął do niej rękę. Najwidoczniej zrozumiał to, co Paul wykrzykiwał podczas przedstawiania.

Wymienili uścisk dłoni. Już ten krótki kontakt pozwolił Eleanor odnieść wrażenie, że ma do czynienia z silnym i zarazem delikatnym mężczyzną. - Możemy lecieć? - zapytał pilot. - Niedługo się ściemni. Eleanor kiwnęła głową. Po paru sekundach silnik przyspieszył obroty, mały kadłub drgnął i uniosł się w powietrze z lekkością, która dosłownie zaparła dech w jej piersiach, tak że odruchowo zacisnęła dłonie na poręczach fotela. Tuż obok niej znajdowały się małe drzwiczki, które Paul zatrzasnął po wejściu, ale przesuwne okienko było uchylone. Eleanor miała wrażenie, że trzepoczące na wietrze liście palm znajdują się zaledwie o centymetry od niej. Wznosząc się bezustannie pochylił się do przodu i zarazem w lewo. - Może się pani chwycić tamtego drążka - odezwał się w słuchawkach głos Mike'a - proszę tylko nie trzymać nóg na pedałach. Dzięki. Eleanor jeszcze raz kiwnęła głową. Czowała, że musi wyglądać trochę śmiesznie, zaraz jednak całkiem zapomniała o sobie, obserwując przez przednią ściankę, jak ucieka do tyłu Wielki Hale i Piracki Bar. Dostrzegła stojącą pod nimi na chodniku Cordie, która uniosła swą okrągłą jak księżyc, różową twarz, aby odprowadzić wzrokiem odlatujący helikopter. Eleanor odważyła się unieść rękę, żeby jej pomachać, ale nie zdążyła dostrzec, czy Cordie odpowiedziała jej tym samym. W chwilę potem przelecieli nad tarasami na dachu hotelu i przecięli plażę. Mignęły jej w dole kępy palm i grupki hale, stojących niepewnie na drewnianych podporach. Potem ich daszki odpłynęły do tyłu i znaleźli się nad zatoką, której jasnoniebieskie wody pociemniały nagle po drugiej stronie koralowych raf.

- Niedługo z zachodu nadciągnie sztorm - powiedział Mike wyciągając rękę w kierunku oceanu. - Według prognoz za dwie godziny. Akurat tyle, żebyśmy odbyli tę małą wycieczkę i żebym zdążył do domu.

- Gdzie jest pana dom? - zapytała Eleanor. W słuchawkach zahuczał jej własny głos i zdała sobie sprawę, że krzyczy do mikrofonu. - Mike mieszka na Maui - powiedział Paul. Eleanor wykręciła się na siedzeniu, aby spojrzeć na niego. Paul miał zapięte pasy, ale kabina helikoptera była tak mała, że kiedy pochylał się do przodu, dotykał niemal ramionami pleców Eleanor i pilota. - Koło Hana.

- Nazywa się to Kipahulu - powiedział Mike. - Nie ma tam elektryczności. Nie ma wody. Nie ma telefonu. Uwielbiamy to miejsce.

- Żona Mike'a jest sławną badaczką, no i mają dwójkę uroczych dzieciaków - dodał Paul. - Mieszkają w ślicznym domu w stylu japońskim, który stoi pośrodku lasu niedaleko brzegu, a ich najbliższym sąsiadem jest Mike Love... inaczej Chłopak z Plaży.

Eleanor kiwnęła głową, choć nie była całkiem pewna, czy Paul miał na myśli członka starego rockowego zespołu, czy jakąś osobistość z Maui. - Jakimi badaniami zajmujecie się pańska żona? - zapytała pilota. - Medycznymi - odparł Mike. Przekręcił dwa wyłączniki na tablicy rozdzielczej i rozparł się wygodnie w fotelu.

Lecieli na południe, mniej więcej o kilometr od nadbrzeżnych urwisk. Rozbijające się o brzeg fale i połyskujące skały przypomniały Eleanor początek jakiegoś starego telewizyjnego serialu, chyba kręconego na Filipinach Magnum. Uśmiechnęła się na widok uciekających do tyłu skał z rysunkami i ścieżki, po której biegła z samego rana. Mignęła jej strzelająca fontannami wody szczelina. - Latanie helikopterem to pana zawód? - zapytała Mike'a. Pilot uśmiechnął się szczerząc zęby. Koło jego oczu pojawiły się sympatyczne zmarszczki, widoczne mimo przeciwsłonecznych okularów.

- Raczej tak. Ta maszyna jest moją własnością. Mam umowę z Centrum Naukowym ... - Słoneczne okulary obróciły się w jej stronę. - Mamy tam takie instalacje na górze, na Haleakala... to ogromny, uspiiony wulkan po wschodniej stronie Maui... zajmują się tam głównie astronomią, meteorologią i opracowywaniem danych dla lotnictwa wojskowego. Kate... moja żona., pracuje tam na górze w laboratorium immunologicznym i codziennie dowożę ją do pracy z naszego domu na poziomie morza aż na wysokość prawie trzech tysięcy metrów, na której znajduje się laboratorium.

Eleanor wzdygnęła się na myśl o codziennym przenoszeniu się z tropikalnego upału do arktycznego zimna.

- Dlaczego założyli laboratorium immunologiczne tak wysoko i tak daleko? - zapytała.

Mikę wzruszył lekko ramionami. Jego prawa ręka spoczywała swobodnie na drążku, natomiast lewą regulował, jak się wydawało, obroty silnika.

- Chyba ze względów higienicznych. Wydaje się im może, że gdyby ktoś zaniósł tam jakiegoś brzydkiego mikroba, to on natychmiast zdechnie. Ale rzeczywiście, Kate jest jedyną chyba osobą na Hawajach, która jeździ tak daleko, żeby pracować w futrze z kapturem i kaloszach. - Mikę odwrócił się i pochylił helikopter skręcając w stronę lądu. Przelecieli nad półwyspem, na którym widać było kamienne ruiny i rzeźbione w drewnie postaci, które zdawały się spoglądać na rozbijające się o brzeg fale. - Miasto Uciezki - poinformował. W chwilę potem przelecieli nad pierwszym strumieniem lawy. Poprzez dym i coraz głębszy mrok Eleanor dostrzegła szarą asfaltową wstęgę drogi, przeciętą szerszą od niej, szarą wstęgą dymiącej lawy. W dole mignęła im wioska Milolii. Eleanor pochyliła się do przodu, aby lepiej dojrzeć poszerzający się wachlarz rozrzuconej lawy w miejscach, w których jej strumień stykał się z morzem. Chmura pary wznosiła się wciąż na wysokość pięciu tysięcy metrów lub jeszcze wyżej. Biały, przerażająco masywny słup bił w niebo o pół kilometra od nich, po prawej stronie. - Nie będziemy zbliżać się zbyt do tego - uprzedził Mikę. Przesunął drążek i helikopter skręcił w lewo, przyprowadzając Eleanor o dreszcz emocji, niczym podczas jazdy na diabelskim młynie w wesołym miasteczku. - O, tam - powiedziała, wskazując ręką przez pleksiglasową szybę. Strumienie lawy zdawały się płynąć bliżej opływowego kontenera dwóch kahuna, Leonarda i Leopolda Kamakaiwi. Płonące trawy i zarośla otaczały ze wszystkich stron mały domek, a pomarańczowe odbłaski płomieni tańczyły po wypukłościach przyczepy, przypominającej swym kształtem żuczka.

Mikę okrążył przyczepę na mniejszej wysokości.

- Nie powinniśmy sprawdzić, czy nie ma tam kogo?

- Nie, nie trzeba - odparł Paul. - Nie ma ich pikapa. - Dokąd mogli pojechać? - zapytała Eleanor rozglądając się na boki. Słup pary wznosił się po stronie południowo-zachodniej, niczym atomowy grzyb. Od wschodu rzeki lawy, spływające zboczem Mauna Loa, przecinały w trzech miejscach nadmorską drogę, oddzielając południową część wybrzeża Kona od Ka'u i południowego cypla wyspy w sposób bardziej skuteczny, niżby to zrobiła odkrywkowa kopalnia. Z góry widać to było jak na dłoni. - Nic im nie grozi - odezwał się Paul. - Wuj Leonard i wuj Leopold to uparte chłopcy, ale... nie są przecież szaleńcami.

- To dobrze - powiedział pilot. - Więc jak, robimy to? Popatrzmy na wulkany?

- Tak - potwierdziła Eleanor i dodała bez namysłu: - Proszę. Przelecieli nad południowym krańcem wyspy, trzymając się z dala - jak to wyjaśnił Mikę - od głównej chmury popiołów z krateru Mauna Loa.

- Paul mówił pani pewnie, że już od dawna nie mieliśmy jednoczesnych dużych wybuchów z

Kilauea i Mauna Loa - powiedział Mike, kiedy przecinali górski grzbiet, biegnący ku południowemu cypłowi, niczym poszarpany kręgosłup wyspy. Robiło się coraz ciemniej, ale ziemia na wprost nich stała w ogniu.

- Tak - przytaknęła Eleanor.

- Myślę, że po raz ostatni tyle lawy z Mauna Loa spłynęło na zachód chyba w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym - ciągnął Mike. Zdjął słoneczne okulary, a jego oczy błędziły na zmianę po przyrzędach i po wznoszącym się terenie przed nimi. Lecieli coraz wyżej, ale helikopter unosił się wciąż o trzysta metrów nad poprzecinanym rzekami lawy wybrzeżem Ka'u. - Te zwały przemieszczają się z prędkością prawie dziewięciu kilometrów na godzinę... Mogą dotrzeć do wybrzeża w niecałe cztery godziny. A do tego są jeszcze dziesiątki, a nawet setki wulkanicznych kominów, przenoszących roztopioną lawę pod powierzchnią. Dziś po południu wiozłem kilku naukowców z Kona na szczyt Kilauea i po drodze zaobserwowaliśmy całkiem nowy wylew, dalej na północ, w pobliżu waszego ośrodka. Eleanor słuchała go wprawdzie, ale jej uwagę przykuła otwierająca się przed nimi sceneria. Od buchającego pomarańczowoczerwonym ogniem większego wulkanu, który teraz znajdował się po lewej stronie, i jaśniejszych erupcji z krateru Kilauea na wprost nich, płynęły w kierunku wybrzeża dwudziestokilometrowe albo i dłuższe rzeki płomieni. Ogniste fontanny wznosiły się ku granatowoczarnym chmurom popiołów, ciemniejszym od ołowianych, burzowych chmur, jakie widuje się w lecie. Widoku dopełniały tysiące mniejszych ogni od palących się drzew i traw, a także - prawdopodobnie - ludzkich domostw, zajmujących się błyskawicznie ogniem od niewiarygodnego żaru.

- Może mi nie uwierzycie, ale mogę utrzymywać w tej maszynie normalne ciśnienie - powiedział Mike. - Musiałbym zresztą to zrobić, gdybyśmy unieśli się nad Mauna Loa, na wysokość ponad czterech tysięcy metrów... ale dziś będziemy się trzymać niżej. Możemy zobaczyć oba wybuchające wulkany bez korzystania z butli tlenowych.

Eleanor już je widziała. Z odległości piętnastu kilometrów krater Kilauea wyglądał jak przelewające się przez brzegi, płonące jezioro. Z mroku wyłaniały się góry popiołów, oświetlane fontannami magmy, tryskającej ze szczelin w zboczach wulkanu.

Ale jej uwagę przykuł wulkan Mauna Loa. Podczas gdy szczytowy krater, znajdujący się o kilka kilometrów na północ i więcej niż kilometr ponad helikopterem, wyrzucał gruby słup popiołów, które dryfowały 310 w górze z wiatrem, południowo-zachodnie zbocze poprzecinane było siatką szczelin, które płonęły i jarzyły się niczym dziurawe sklepienie piekła. Eleanor zobaczyła liczące dziesięć albo i więcej kilometrów długości wstęgi ognia, obłoki jarzących się gazów rozchodzące się po wieczornym niebie, wściekle fontanny magmy strzelającej na trzysta lub więcej metrów w górę, i to na całej długości pęknięcia.

- O Boże - szepnęła.

- Niesamowite - zawtórowała jej Paul.

Helikopter znalazł się niewiele więcej niż siedemdziesiąt metrów nad ścianą tryskającego ognia, szarpiąc się w górę i w dół pod wpływem zawirowań. Mike wyrównał lot pewnymi ruchami rąk i nóg. Eleanor wyczuwała żar przez podeszwy butów.

- O Boże - szepnęła jeszcze raz.

Przelecieli na południe od Mauna Loa, poniżej rzeczywistego poziomu głównego krateru, a potem skierowali się w stronę buchającego ogniem wulkanu Kilauea. Ściemniło się już na tyle, że zarówno ląd, jak i morze zamieniły się w mroczne plamy, oddzielające niezliczone strumienie i języki ognia.

Każdy z nich tryskał fontannami roztopionej lawy, której zwały toczyły się leniwym, falującym, nieubłaganym ruchem po zboczach. Wzdłuż każdej z tych rzek widać było tysiące dodatkowych, mniejszych pożarów. Każde z płonących drzew ohi 'a wyglądało z góry oddzielone od reszty, jak świetlna boja, nie przestając być częścią ogólnego pożaru. Nad gejzerami, strumieniami i rzekami ognia snuł się jak podarta kurtyna dym, przyciemniając jarzące się pomarańczowym odbłaskiem ogniska lawy, ale nie zasłaniając ich całkowicie.

Znaleźli się o sto metrów nad kotłującym się kraterem Halemau-mau. Przed oczami Eleanor przesuwiał się wrzący kocioł rozżarzonej magmy, z którego buchały gazy, tryskały czerwone gejzery i pomarańczowe fontanny ognia. Przyszło jej do głowy, co by się stało, gdyby helikopter wpadł wirując wokół własnej osi w to piekło... Siłą woli zmusiła się, aby o tym nie myśleć. W pleksiglasową obudowę kabiny uderzył żar niczym z otwartego paleniska, ale w chwilę potem zostawili za sobą ogniste jezioro Halemaumau i krater Kilauea i skierowali się wzdłuż jednego ze strumieni lawy, omijając słupy czarnego dymu, stojące na drodze jak pnie olbrzymich drzew pośród nocy.

- Wszystko to przebudziło się teraz - odezwał się głos Mike 'a. - Stare błotniste zagłębienia i jeziora... Mauna Ulu, Pu'u O'o, Puu Huluhulu, krater Pauahi. Halemaumau... popatrzcie tam.

Eleanor powiodła wzrokiem za jego palcem i zobaczyła wielki, kopulasty bąbel lawy, wznoszący się jak postrzępiona bryła z ognistego jeziora po lewej stronie. Bąbel wyrzucił się na jakieś sto metrów ponad powierzchnię pahoehoe i zaczął przybierać kształt zbliżony do krwistoczerwonej kuli, porwanej czarnymi fałdami stygnącej magmy, która ześlizgiwała się po bokach. W końcu zaczął się powoli zapadać. Eleanor zorientowała się jednak, że Mike wskazuje na coś, co znajdowało się dalej, za kipiącym jeziorem lawy. Ujrzała lawę tryskającą z głównego pęknięcia, biegnącego południowo-zachodnim zboczem. Dostrzegła mały punkcik, poruszający się na tle ognistej fontanny i uświadomiła sobie, że jest to zataczający nieregularne koła helikopter, krążący naprzeciwko strzelającej na trzysta metrów w górę ściany ognia.

Mike nacisnął jakiś przycisk i zaczął rzucać do mikrofonu krótkie, zwięzłe zdania. Po chwili włączył z powrotem interkom.

- Wulkanolodzy, których zawoziłem tam dzisiaj, oceniają, że co godzinę z tego jednego otwarcia wydobywa się przeszło milion metrów sześciennych lawy. Odkryliśmy w tej rozpadlinie dziewięć takich kominów.

Eleanor potrząsnęła głową. Nie była w stanie powiedzieć słowa. - Ściemnia się na dobre - powiedział Mike. - Odwiozę was lepiej z powrotem do Mauna Pele, a sam polecę na kolację.

Helikopter skierował się na zachód. Kiedy przelatywali nad idącym ku południowi, długim grzbietem, Eleanor zobaczyła daleko nad Pacyfikiem wał sztormowych chmur. Zachodnie zbocza wulkanu okrywały jednak jeszcze ostatki przedwieczornej szarówki. Długie, ogniste pęknięcia rozrzucone były po widocznej ciągle, ogromnej, górzystej pustyni - wybrzeżu Ka'u.

Ku swemu zdumieniu Eleanor machinalnie wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Mike'a, który rzucił jej kąpiące spojrzenie.

- Niech pan posłucha, Mike... - zaczęła i urwała, żeby zebrać myśli. - Ten lot był dla mnie czymś zupełnie nadzwyczajnym... czuję się bardzo szczęśliwa, że mogłam w nim uczestniczyć... ale czy nie mógłby pan... - Umilkła i wzięła głęboki oddech. - Zna pan może region Ka-hau-komo, który znajduje się gdzieś tutaj?

Mike rzucił okiem na przyrządy pokładowe, wyrównał lot jednym zręcznym ruchem i odwrócił się

w jej stronę.

- Ka-hau-komo? To „hau” ma znaczyć „żelazo”?

- Tak.

- Słyszałem o czymś takim. - Spojrzał na okryte cieniem zbocze, majaczące trzysta metrów niżej. - To gdzieś niedaleko, ale ni-312 gdy nie znajdziemy tego miejsca po ciemku. Myślę, że drzew hau już nie ma. - Tak - powiedziała Eleanor - ale znajduje się tam ogromny głaz, zwany Hopoe... - Niech pani posłucha, Eleanor - odezwał się w słuchawce ostry głos Paula. - To nie jest dobry pomysł.

Eleanor odwróciła się w jego stronę.

- A ja myślę, że dobry. Tak samo uważają pańscy wujowie, tyle że boją się o to poprosić.

W słuchawce zabrzmiał głos Mike'a.

- Znam skałę, która nazywa się Hopoe. Kiedy robiłem licencję pilota, odbywaliśmy tam loty ćwiczebne. Trudno by było znaleźć ją przy tym świetle, ale ona jest dokładnie gdzieś tutaj... - Kiwnął głową w kierunku długiego, urwistego grzbietu, po obu stronach którego biegingy dwa ciągnące się kilometrami pęknięcia. - Tam, w dole.

- Mieszka tam pewna kobieta. - powiedziała Eleanor. - Mogła zostać odcięta przez lawę.

Twarz Mike'a widoczna była teraz w czerwonawej poświacie od tablicy rozdzielczej. Pojawił się na niej cień niepokoju. - MollyKewalu?

- Słyszałeś o niej? - Pytanie zadał Paul. W jego głosie można było wyczuć zaskoczenie.

- Myślałem, że to tylko bajki - powiedział Mike.

- Bo tak jest w rzeczywistości - stwierdził Paul. - To nie są żadne bajki - powiedziała Eleanor. - Ona żyje naprawdę i mieszka w jaskini, tuż obok głazu zwanego Hopoe. Może potrzebować pomocy. - Mógłbym powiadomić przez radio ludzi z ekip ratowniczych - powiedział Mike.

- Czy oni udaliby się tam jeszcze tej nocy? - nie ustępowała Eleanor.

Mike zawahał się na moment.

- Nie. Najwcześniej o świcie.

Tym razem Eleanor wyciągnęła rękę w kierunku płomienistych pęknięć w zboczu. Lecieli nad zachodnim stokiem wulkanu Mauna Loa, na którym widać było wyraźnie rozlewające się rzeki lawy, dużo szersze od strumieni spływających z Kilauea. - Jesteśmy chyba o pięć minut lotu od skały Hopoe - powiedział Mike - i myślę, że możemy spróbować. To gdzieś tam niżej... bliżej tego wielkiego komina, jeżeli wręcz nie pod nim.

Eleanor uświadomiła sobie, że ciągle dotyka ramienia pilota. Odsunęła rękę.

- Dziękuję - powiedziała.

- Jest tam zbyt nierówno, żeby można było wylądować - powiedział pilot, najwyraźniej analizując możliwości. - Mogę panią wysadzić i krążyć w pobliżu, ale będzie to trudne. Pod pani siedzeniem znajduje się specjalna uprząż, z bardzo mocną latarką. Mogę też użyć szperacza pod kadłubem. Ale tam jest pełno urwisk...

- Zrobię to - powiedziała Eleanor. Jej serce zaczęło walić przyspieszonym rytmem.

- Mamy w kabinie miejsce, ale tylko dlajeszcze jednej osoby - powiedział Mike. - Jeżeli Głupia Molly Kewalu siedzi tam z rodziną i wnuczkami... zapomnijmy o tym. - To samotna, stara kobieta - odezwał się z tylnego siedzenia Paul. Mówił zupełnie, obojętnym głosem.

- W porządku - powiedział Mike. - Jeżeli się nie mylę... mamy Hopoe mniej więcej o kilometr

przed sobą, odrobinę w prawo.

Eleanor wytrzeszczyła oczy we wskazanym kierunku, ale dostrzegła tylko bezładne nagromadzenie głazów, z których każdy był większy od domu, a na wszystkie padała poświata od strumienia lawy, która przedzierała się między nimi prac nieustępliwie ku morzu.

- Trzymajcie się - powiedział Mike. - Schodzimy w dół. W chwili gdy zgasły światła, Cordie znajdowała się na swoim prywatnym lanai, obserwując zbliżający się od morza sztorm. Nie zaskoczyło jej to. Jeszcze przed zapadnięciem ciemności położyła na stoliku koło leżaka latarkę, świece, zapalki i sztormową latarnię. Obeszła z latarką w dłoni swój apartament - drzwi i okna były pozamykane - a potem wróciła na lanai, aby zapalić świece. Od oceanu nadlatywały uderzenia wiatru, i choć front burzy był odległy jeszcze o jakieś piętnaście kilometrów, nawet z tej odległości Cordie dostrzegła wał ciężkich chmur rozświetlanych błyskawicami. Nie miała wątpliwości, że szykuje się poważna nawałnica. Pomyślała, że dobrze by było, gdyby Nell już wróciła. Dopóki burza nie dotarła do wyspy, usłyszałyby tu, na lanai, odgłos wracającego helikoptera. Wolałyby, żeby jej przyjaciółka wróciła przed zapadnięciem kompletnych ciemności.

Zaniosła trzy świece do środka, po jednej do każdego pokoju, sztormową latarnię zaś ustawiła na lanai. Wiatr wzmagął się coraz bardziej. Liście palm szumiały niczym pogrążona w rozmowach operowa publiczność przed opóźniającym się ostatnim aktem. Ze słomkowej torby Cordie wyjęła trzydziestkęósemkę i pudełko z nabojami, złamała komorę nabojaową, usunęła łuski po wystrzelonych pociskach i zaczęła wsuwać na ich miejsce nowe naboje. Usłyszała pukanie do drzwi.

- Chwileczkę - zawołała cicho i wsunęła na miej sce ostatnie trzy naboje. Zatrzasnęła komorę nabojaową, obróciła ją, zwolniła bezpiecznik i podeszła do drzwi. - Kto tam?

Usłyszała stłumiony męski głos.

Schowała za siebie pistolet i nie zdejmując łańcucha z drzwi uchyliła je.

Na korytarzu stał Stephen Ridell Carter ze sztormową latarnią w dłoni. - Pani Stumpf? Przykro mi, że pani przeszkadzam, ale w związku z wyłączeniem elektryczności prosimy naszych gości, żeby zechcieli przejść na siódme piętro. - W jakim celu? - zapytała Cordie. Nie otworzyła szerzej drzwi ani nie zwolniła łańcucha.

Dyrektor hotelu odchrząknął.

- Och... mamy generator prądu, który obsługuje apartamenty tam na górze, i pomyśleliśmy, że będzie tam pani wygodniej.

- Niczego mi nie brakuje - odparła Cordie. - Co najwyżej z lodówki może pociec trochę wody, jak się rozmrozi, ale poza tym wszystko jest w porządku. Carter zawahał się. Jego staranna fryzura lśniła w blasku świecy, ale twarz była bardziej wymizerowana i postarzała niż wtedy, gdy Cordie rozmawiała z nim po raz ostatni.

- Hmm, właściwie to... pani Stumpf... hmm... jak pani wie, większość gości już wyjechała, więc pomyśleliśmy... hmm... że byłoby bezpieczniej, gdybyśmy te kilka osób, które jeszcze pozostały... hmm... umieścili na siódmym piętrze. - Bezpieczniej przed czym, panie Carter? Dyrektor zagryzł dolną wargę.

- Pani Stumpf, w tym ośrodku dzieją się pewne... hmm... niezwykle rzeczy. - Jestem tego świadoma, panie Carter. - Cordie w dalszym ciągu starała się ukryć pistolet przed jego wzrokiem.

- Jest pani zdecydowana, żeby nie dołączać do nas na siódmym piętrze? Pokoje są tam nawet... hmm... jeszcze wygodniejsze niż tutaj.

Cordie uśmiechnęła się.

- Dziękuję panu, panie Carter, ale przyzwyczaiłam się już do łóżka, które mam tutaj. Poza tym moi znajomi wiedzą, gdzie mnie szukać. Niech się pan mną nie kłopotuje - powiedziała i zaczęła zamykać drzwi. Stephen Ridell Carter przytrzymał je dwoma palcami. Cordie znieruchomiała wyczekująco.

- Ale, pani Stumpf, niech pani... hmm... będzie ostrożna, dobrze? Cordie wysunęła zza pleców pistolet, ale nie uniosła go do góry. - Tak - powiedziała. - Obiecuję, że będę uważać. Dyrektor hotelu kiwnął głową i cofnął rękę. Cordie przez chwilę jeszcze słuchała przy uchylonych drzwiach jego oddalających się kroków. Wewnętrzny dziedziniec hotelu pogrążony był w ciemności. Zamknęła drzwi i wróciła na lanai. Płomień w sztormowej latarni drżał i migotał w coraz silniejszym wietrze, wzmógł się też szum rosnących pod tarasem palm. - Wracaj, Nell - szepnęła do siebie rozglądając się po niebie, na którym nadciągające chmury zaczynały już przesłaniać gwiazdy. Ich czoło zabarwione było czerwoną poświatą od wulkanów. - Wracaj do domu, Nell. Z dołu doszły ją zgrzytliwe odgłosy, które nie pochodziły od palmowych liści. Cordie położyła rewolwer na stoliku i wychyliła się poza poręcz tarasu. Jakiś wielki czworonóg wybiegł szybko z zielonej gęstwiny i skrył się w cieniu Wielkiego Hale. W chwilę potem ukazało się coś jeszcze większego, biegnącego na dwóch nogach, ale niezgrabnie, jakby wlokło za sobą ogon. Cordie wzięła do ręki rewolwer i wróciła na miejsce przy poręczy. Na asfaltowej alejce i na tarasie piętro niżej nie było żywego ducha. Dochodziło jedynie trzaskanie pochodni, palących się wzdłuż chodnika. - Nell, wróć już do domu - szepnęła.

18 czerwca 1866 roku, bezimienna wioska na Wybrzeżu Kona - Obnażcie się - poleciła nam młoda kobieta.

Myślę, że aż do tej chwili wszystkie przygody na Wyspach Sandwich - wyprawa na wulkan, noc koło świątyni, martwi krajowcy kanaka, nawet pozorna śmierć wielebnego Haymarka - wydawały mi się snem, czymś, o czym mogłam, i to chętnie, pisać z bezstronnością przyrodnika-naturalisty podróżującego po pogańskich krajach,

i co mogłam, jak przystało białej kobiecie i chrześcijance, przedstawiać w nastroju pewnego rozbawienia. Mogłam zauważać to i owo, wypowiadać swoje spostrzeżenia o tych czy innych rzeczach, zachowując wobec nich zupełną obojętność.

- Obnażcie się - powtórzyła hawajska kobieta. - Prędko. Przypomniałam sobie wielebnego Haymarka, leżącego bez życia lub w stanie śpiączki w tubylczym szałasie o wiele kilometrów stąd, na zadymionym stoku wulkanu. Przed oczami stanęły mi niezwykle rzeczy, które oglądaliśmy, i fantastyczne wydarzenia, które dopiero nas czekały. Zaczęłam odpinać kamizelkę. - Panno Stewart - powiedział pan Clemens ze wzrokiem wbitym w ziemię i zaciśniętymi pięściami. - Myślę, że... znaczy się... jestem przekonany, że powinienem zejść do tej rozpadliny sam. To nie jest miejsce dla... Nigdy nie miałam się dowiedzieć, dla kogo nie było to miejsce, ponieważ młoda kobieta przerwała mu ostro:

- Nie! Musi tam zejść mężczyzna i haole wahine. Duchy mężczyzn pójdą tylko za mężczyzną. A duchy kobiet tylko za wahine. Rozbierajcie się, prędko! Pana-ewa i inni śpią... ale nie będą spać długo!

Pan Clemens i ja odwróciliśmy się do siebie plecami i ściągnęliśmy szaty. Zdjęłam rękawiczki do konnej jazdy, kapelusik z wąskim rondem, подарowany mi przez miosjonarskie rodziny w Hilo, czerwoną jedwabną chustę, zamszową kamizelkę i podróżną spódnicę z prążkowanej wełny. Wściekle zaczerwieniona, zerknęłam ukradkiem na pana Clemensa, odpięłam guziki grubej bawełnianej bluzki i położyłam ją na stosie, jaki powstał z moich zgrabnie zwiniętych rzeczy. - Prędeż! - ponagliła nas kobieta. W mocnych rękach trzymała zwój splecionych winorośli i zatkaną

tykwę. Wokół nas robiło się coraz widniej, choć niebo zasłaniały chmury popiołów i zwykłe obłoczki. W każdym razie przy takim świetle można by było czytać.

Dałabym wszystko za to, żeby znaleźć się teraz w gościnnym pokoju w Hilo z książką w ręku. Doszłam do wniosku, że lepiej jest czytać o przygodach niż przeżywać je samemu.

Zsunęłam halkę, ściągnęłam stanik i bawełnianą tuniczkę, a potem jeździeckie buty i grube skarpety. Zostałam tylko w gorsecie, pantalonach i nie rozsznurowanej koszulce, drżąc raczej z zakłopotania niż od chłodnego, porannego wietrzyku. Spojrzałam na kobietę. Zdawało mi się, że zauważyłam cień uśmiechu na jej pełnych wargach.

- Staruszka powiedziała ci, że aby zejść do Podziemnego Świata, musisz być zupełnie naga - powiedziała tajemnicza ślicznotka.

- To ty byłaś tą staruszką - odparłam, zdumiona pewnością siebie brzmiącą w moim głosie.

- Oczywiście - stwierdziła Hawajka, a potem odwróciła się do stojącego za mną pana Clemensa. - Spieszcie się.

Czując, że palą mnie policzki, rozsznurowałam gorset i zdjęłam go, wysunęłam się z koszulki, potem z pantalonów, poskładałam to wszystko dokładnie i położyłam na stosie.

- Nie mogliśmy zabrać naszego obuwia? - zapytałam, zaskoczona znowu pewnością mego głosu. - Pokaleczymy sobie stopy.

- Nie - odparła kobieta. - Popatrzcie na mnie.

Odwróciliśmy się ku niej oboje starając się nie patrzeć na siebie nawzajem. Mimo to zauważyłam, że pierś korespondenta pokryta jest delikatnym rudawym owłosieniem, które połyskiwało w coraz jaśniejszym świetle miedzianym odcieniem. Miał zaczerwienioną twarz, a jego mocno zarysowany podbródek wyrażał zdecydowanie.

Kobieta - w tym momencie naprawdę wierzyłam, że jest samą Pele - wręczyła panu Clemensowi zwój winorośli.

- Pnącza ieie utrzymają was oboje - powiedziała. - Musicie uwiązać jeden koniec w zewnętrznym świecie, bo inaczej nigdy nie wydostaniecie się z Królestwa Duchów. Zbliźcie się.

Podeszliśmy do niej. Czułam z ogromną i absurdalną intensywnością ciepło, promieniujące z prawej nogi pana Clemensa, która znalazła się tuż obok mojej lewej nogi. Jego ręce zwisały swobodnie wzdłuż ciała. Hawajka odkorkowała tykwę. Zapominając o naszej nagości, pan Clemens i ja rzuciliśmy się do tyłu i osłoniliśmy twarze dłońmi w spontanicznej, ale całkowicie nieskutecznej reakcji na okropny smród, który uderzył w nasze nozdrza. - Nie bójcie się - powiedziała kobieta. - Dzięki olejowi z orzechów kukui duchy nie będą się wam zbyt przyglądać. Brzydkie zapachy wprawiają je w zakłopotanie.

- W takim razie mam nadzieję, że zanim zrobimy, co do nas należy, w zakłopotanie wpadnie całe ich mnóstwo - powiedział pan Clemens. A kiedy piękna kobieta odlała trochę cuchnącego, kleistego płynu i posmarowała nim jego ramiona i ręce, twarz korespondenta pokryła się zmarszczkami, świadczącymi o całkowitej zmianie jego zapatrywań na tę sprawę.

- Proszę rozetrzeć to po całym ciele - poleciła. - Wyciąg z wydzieliny skunksa - mruknął mój towarzysz, ale rozsmarował odrażającą substancję.

Przyszła kolej na mnie. Kobieta wyciągnęła tykwę w moją stronę i nalała mi tłustego płynu w złożone dłonie i na przedramiona, jakby udzielała mi jakiegoś sakramentu. I być może rzeczywiście było to coś w rodzaju pogańskiego namaszczenia.

- Proszę natrzeć się tym wszędzie - poleciała także i mnie, a potem zakorkowała tykwę. Rozsmarowałam gęsty płyn po ramionach, szyi, piersiach, brzuchu, udach i plecach. Wrażenie, jakie odniosłam przy tym, nie było przykre. Gdyby nie towarzyszył temu przekraczający niemal granice wytrzymałości zapach zepsutego oleju, można by pomyśleć, że szykujemy się do masażu w jakimś uzdrowisku w Górach Skalistych.

Kiedy rozsmarowaliśmy resztki cuchnącego oleju, młoda kobieta odstąpiła krok do tyłu i oceniła nasze wysiłki z niedostrzegalnym niemal uśmiechem w kącikach ust. - Bardzo dobrze. Cuchnicie jak nieżywi haole. Pan Clemens musnął się palcami po wąsach.

- Czyżby nieżywi haole cuchnęli inaczej niż nieżywi kanaka? -zapytał, używając miejscowego słowa oznaczającego krajowców z Wysp Sandwich. Nasza przewodniczka puściła jego pytanie mimo uszu. W jej zachowaniu było coś władczego i zarazem figlarnego; wyglądało to tak, jakbyśmy mieli przed sobą księżniczkę należącą do panującej rodziny, która nie traktowała z pełną powagą swej społecznej pozycji. Miała jednak poważną minę, kiedy zwróciła się do nas ze słowami:

- Strzeżcie się psa.

- Słucham? - zapytał pan Clemens. Kobieta odstąpiła jeszcze o krok. - Pana-ewa ma lekki sen. Zato Nanaue, człowiek-rekin, śpijak zabity. Gdyby Ku, czyli człowiek-pies, zwęszył wasz prawdziwy zapach pomimo cuchnącego oleju kukui, oboje postradacie dusze. -Spojrzała prosto na mnie. - Jeżeli zbudzi się Kamapua'a, to zanim cię zabije i pożre twoje hi-hi 'o, zostaniesz przez niego zgwałcona.

Przełknęłam z niejakim trudem ślinę. Skrzyżowałam ręce na piersi czując się absurdalnie bezbronna i wystawiona na lubieżne ataki. - Pożre moje hi-hi 'o? - powtórzyłam za nią. Zaczęłam zastanawiać się gorączkowo, co też może znaczyć ten prosty hawajski wyraz. - Twoją wędrującą duszę - powiedziała kobieta, w której domyślałam się bogini Pele. - Hi-hi 'o, to inaczej uhane, dusza żywej istoty, która opuściła kino. Czyli ciało. Gdyby Pana-ewa zabił waszego przyjaciela-kahuna, jego dusza stałaby się lapu.

- Lapu? - zapytał pan Clemens.

- Duszą zmarłego - powiedziała kruczowłosa kobieta. Byłam zupełnie zdezorientowana.

- Czy duchy, które mamy wyprowadzić z Podziemnego Świata, to hi-hi 'o, dusze skradzione żywym istotom, czy też lapu, dusze zmarłych? - Pana-ewa ukradł tylko uhane waszego przyjaciela - powiedziała kobieta - stała się więc hi-hi 'o. A dusze innych mogą wrócić do swoich ciał, jeżeli są hi-hi 'o albo jeżeli pójdą tam, gdzie idą lapu chrześcijan, kiedy opuszczają ich ciała. - To znaczy gdzie? - zapytał pan Clemens.

Młoda kobieta uśmiechnęła się, pokazując bardzo białe, regularne zęby.

- Dlaczego pytasz mnie o to? Jesteście przecież chrześcijanami, prawda? Pan Clemens mruknął z powątpiewaniem, ale musiał przenieść uwagę na coś innego, bo w tej samej chwili młoda kobieta wręczyła mu zwój pnączy ieie i skorupę orzecha kokosowego. Orzech miał w górnej części otwór z zatyczką. - W tej skorupie zamkniecie uhane waszego przyjaciela - powiedziała.

Popatrzyliśmy z panem Clemensem niepewnie na kokosowy orzech. - Pamiętajcie tylko, żeby dobrze umocować linę - powiedziała kobieta cofając się znowu o krok. - To będzie jedyny sposób, żeby wydostać się z Krainy Duchów. - Do czego mamy ją umocować? - zapytał pan Clemens spoglądając na szczelinę, wokół której nie było prawie nic prócz gładkiej lawy. Oszołomiona tą rozmową, choć świadoma ciągle swej nagości, obróciłam się także w kierunku wejścia do jaskini.

- Te pnącza są za krótkie, żeby je umocować do tamtych drzew -powiedziałam. - Może zaczepimy je o któryś z głazów?

Pan Clemens odchrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, i odwrócił się. W chwilę po nim ja zrobiłam to samo. Młoda kobieta, którą brałam za Pele, zniknęła. O dziesięć metrów dalej nasze konie drzemały ze zwieszonymi głowami. Za nimi otwierało się powulkaniczne pustkowie, dzielące nas od oceanu. Za plecami mieliśmy urwiska zastygłej lawy.

Gdyby w tym momencie zostało nam choć trochę rozsądku, włożylibyśmy ubrania i czym prędzej odjechali z tego miejsca. Moglibyśmy dotrzeć przed zmrokiem do Kona i powiadomić władze o dziwnej insurekcji, mającej miejsce w południowej części wybrzeża. Można by było przysłać tu kogoś po ciało wielebnego Haymarka.

Nie pozostała nam jednak nawet szczypta rozsądku. Staliśmy w tym pustym, wulkanicznym amfiteatrze drżąc z chłodu, ale pełni animuszu, a nawet optymizmu. Zostawiliśmy bez słowa nasze ubrania i zbliżyliśmy się do szczeliny. Pograżony w zadumie pan Ciemens jeszcze raz obejrzał pionowe wejście do jaskini, przykucnął z wdziękiem, położył na ziemi skorupę orzecha i obwiązał paroma pętlami jeden z głazów, którego część wystawała na tyle, aby lina mogła dobrze trzymać. Umocował ją skomplikowanymi węzłami, które zawiązał z łatwością dzięki widocznej wprawie. Pozostało jeszcze przynajmniej z piętnaście metrów plecionej winorośli. - Panno Stewart - zaczął nie patrząc na mnie - wciąż jestem zdania, że powinienem zejść sam...

- To nonsens - odparłam kucając na tyle blisko niego, że musiał wyczuć na swojej skórze ciepło mojego ciała. - Uwierzyłam jej słowom, że do wyprowadzenia męskich i żeńskich dusz z Podziemnego Świata potrzeba mężczyzny i kobiety. Spojrzeliśmy wówczas na siebie. Nasze oczy - jestem tego pewna - jaśniały czymś zupełnie niewytłumaczalnym. Któż by pomyślał, że szaleństwo także ma swoją logikę i swoje uciechy?

Stanęliśmy na krawędzi otworu. Pan Clemens ujął wolny koniec plecionki i zawiązał na nim za pomocą zręcznego węzła coś w rodzaju arkanu, ale zawahał się na chwilę, zanim przełożył mi je przez głowę i ramiona. Zdałam sobie sprawę, że zamierzał opuścić mnie w tę otchłań, ale zarazem nie chciał, żebym zanurzyła się w mroku jako pierwsza. Uświadamiałam sobie, że jest jeszcze jeden powód, dla którego nie zabrał się do obwiązywania liny wokół mnie bez namysłu. Ujęłam plecioną linę w dłoń i przełożyłam ją przez ramiona i piersi. Pan Clemens zaczerwienił się, ale sprawdził węzeł, zanim pętla zacisnęła się na moim ciele.

Odezwałam się, aby przerwać chwilowe napięcie:

- Panie Clemens - powiedziałam - dochodzę do wniosku, że stare powiedzonko:

„Szata czyni człowieka” zawieraj ednak trochę prawdy...

Mój towarzysz spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- Nadzy ludzie - ciągnęłam - z pewnością mieliby nikły albo wręcz żaden wpływ na społeczeństwo.

Przez chwilę słychać było tylko odgłosy dalekiego przyboju; w sekundę potem odbijający się echem śmiech pana Clemensa zagłuszył tamte dźwięki. - Ciszej - powiedziałam - bo obudzi się Pana-ewa.

Pan Clemens zdusił śmiech, nie przestał jednak szczerzyć do mnie zębów.

- Albo Ku.

- Lub Nanaue - powiedziałam. - Rekin w ludzkiej skórze.

- Albo Kamapua'a - szepnął pan Clemens. - Świnia. Przez długą chwilę śmieliśmy się do siebie i muszę wspomnieć, że przepłynął między nami strumień jakiejś dziwnej, potężnej siły. Jestem pewna, że jej źródłem musiało być przenikające nas podekscytowanie, przyływ energii i zwykłej

lekkomyślności, jaka nawiedza żołnierzy tuż przed bitwą. Ale było w tym także... coś jeszcze innego.

Pan Clemens zacisnął węzeł i sklarował linę na całej długości. Przygotowując się do opuszczenia mnie w przepaść, nie zamykał ust ani na chwilę. - Panno Stewart - powiedział - wszystko to przypomina mi pewien dzień, nie tak dawno temu, kiedy to przyglądałem się w San Francisco pożarowi hotelu. Na czwartym piętrze została jakaś dama, uwięziona niczym w pułapce. Wszyscy wokół mnie zupełnie potracili głowy i biegali bezużytecznie tam i sam. Tylko ja zachowałem trochę rozsądku... - Zamilkł na chwilę, żeby pociągnąć za linę dla sprawdzenia węzła na skalnym występie. Węzeł trzymał. - Tylko ja miałem tyle rozumu, żeby pobiec do uwiązanego w pobliżu konia, odczepić łąso, które wisiało przy nim, rzucić bezradnej kobiecie na czwarte piętro długą linę i krzyknąć j ej, jak ma ją umocować.

Stałem na krawędzi szczeliny czekając, aż pan Clemens zwinie wolny odcinek plecionej winorośli.

- I co? - zapytałem.

Pan Clemens spojrział na mnie spod gęstych brwi. Jego oczy błyszczały wielkim ożywieniem.

- No więc, kiedy już obwiązała tę linę, krzyknąłem: „Niech pani skacze! Mam panią w garści!”

Staliśmy tak przez chwilę, podczas gdy owa dziwna energia przepływała między nami niczym ogień świętego Elma, który przyprował nas tutaj. - Niech pani schodzi, panno Stewart - powiedział cicho pan Clemens, a potem okręcił raz plecionkę wokół mego przedramienia i pouczył mnie, w którym miejscu mam ją mocno chwycić. - Mam panią w garści.

Odchyliłem się do tyłu i zstąpiłem ze skały w nicość, rozpoczynając w ten sposób zejście do Podziemnego Świata.

Rozdział dwudziesty

O, bogowie przestworzy!

Ześlijcie deszcz, niech skropi ziemię.

Sprawcie, aby złamał się Paoa, miecz Pele

I deszcz oddzielił się od słońca.

O, obłoki na niebie!

O, wielkie chmury Iku, czarne jak dym!

Sprawcie, by niebiosy spadły na ziemię,

I otworzyły się potokom deszczu.

Niech przyjdzie burza.

Wojenna pieśń Kamapua'a

E Pele e! Składam ci w ofierze świnie. E Pele e! Przynoszę ci dar - świnie.

Ta świnia jest dla ciebie.

O bogini płonących kamieni,

Pozwól mi żyć. I zachowaj swe własne życie.

Kołyszą się łagodnie kwiaty ognia.

Weź tę świnie, ona jest dla ciebie.

Ludowy hymn do Pele

Przez całe popołudnie Eleanor wydawało się, że wszystko, co ją otacza, staje się coraz bardziej nierealne. Teraz, kiedy zeskoczyła z płóz wiszącego w miejscu helikoptera na szeroką powierzchnię przewróconego „tańczącego głazu” zwanego Hopoe, to poczucie nierzeczywistości nabrało charakteru marzenia sennego. To jest jak sen, ale bez sennego spokoju, pomyślała kuląc się pod uderzeniem wiatru i kurzu, wznieszanego przez unoszący się helikopter. Poczła przyływ adrenaliny i to dodało jej ducha, jakby była zaopatrzona w turbodoładowanie.

Mikę dał jej dziesięć minut. Ze względu na zapas paliwa w zbiorniku i zbliżającą się burzę nie mogła zostać tu ani minuty dłużej. Przez ten czas pilot miał krążyć, albo -jak sam to określił - „orbitować” w pobliżu, a po pięciu sygnałach latarką od Eleanor wrócić po nią na to samo miejsce, nad głaz zwany Hopoe. Eleanor zapaliła latarkę, żeby ją wypróbować, potem wyłączyła ją jednak. Myślała, że na górskim zboczu będzie ciemno, ale odbłaski wulkanu odbite od chmur i jaśniejsze od nich światło bijące od strumienia lawy, płynącego o niecałe piętnaście metrów dalej, okrywały okoliczne skały mroczną, krwistąpoświatą. Ruszyła ostrożnie od skały do skały, zmierzając do podnóża głazu, na którym wylądowała.

Znajdowała się tam płaska, otwarta platforma i ciemniejsza od niej plama, która mogła być wejściem do jaskini. Po zboczu, niespełna dziesięć metrów poniżej otworu, spływał strumień lawy. Eleanor była zdumiona bijącym od niej żarem i prędkością przesuwania się płynnej masy. Czarne i czerwone zwały kłębiły się niczym przepelniony górski potok, spływając z prędkością towarowego pociągu, a żar był tak wielki, że musiała unieść rękę, aby osłonić twarz. O sto metrów niżej ze zbocza biły gejzery magmy, sięgające piętnastu albo osiemnastu metrów wysokości. Przypomniała sobie

pokazy sztucznych ogni, jakie oglądała jeszcze jako dziecko w sennym Ohio. Kończyły się one takimi samymi fontannami iskier i płynnego ognia, wyrzucanymi wprost z ziemi. A j ednak nie takimi samymi. O ćwierć kilometra niżej bił inny gejzer, wyższy i jaśniejszy od tego, a jeszcze niżej widać było kolejne szczeliny i fontanny ognia, ciągnące się aż do odległego o dziewięć lub więcej kilometrów, niewidocznego morza. Zadała sobie pytanie, czy ten zalew roztopionych skał dotarł już do ośrodka Mauna Pele. Spojrzała w górę, ale nie zobaczyła helikoptera, który znikł gdzieś w chmurach dymu i popiołu. Tu i ówdzie połyskiwały „włosy Pele”. Porozwieszane po skałach i nad czarnymi pęknięciami szkliste włókna rzucały iście diabelskie odblaski. – Eleanor - odezwał się jakiś głos.

Odwróciła się szybko i zobaczyła kobiecą postać w ciemnym wejściu do groty.

- MollyKewalu?

- Wejdz - powiedziała kobieta i cofnęła się do mrocznego wnętrza. Eleanor rzuciła okiem na zegarek i wspięła się spieszenie po stromym zboczu. Do powrotu helikoptera zostało jej niecałe siedem minut.

O sześć metrów od wej ścia jaskinia rozszerzała się. Eleanor zobaczyła dywan na gładkiej posadzce z wulkanicznej lawy, ładny stary stół i dwa krzesła, bujany fotel, stojący obok drugiego stołu, zrobione -

go z drewnianych skrzyń, książki na podobnie wykonanych półkach, kącik kuchenny z błyszczącymi miedzianymi garnkami, a wszystko to oświetlone ciepłym blaskiem trzech syczących latarni. Nadal czuła się tak, jakby przeżywała sen. Nie zapytała kobiety, skąd zna jej imię.

- Usiądź - powiedziała Molly Kewalu. Eleanor spodziewała się, że ujrzy staruszkę, którą widziała w przyczepie Leonarda i Leopolda, miała jednak przed sobą inną kobietę. Molly Kewalu mogła sobie być szaloną staruszką, zająką uważano ją na Wielkiej Wyspie, przypominała jednak Eleanor była kierowniczkę katedry anglistyki w Oberlinie. Jej siwe włosy związane były mocno w kok i spięte pięknym szylkretowym grzebieniem. Wyrziste brwi i mocno zarysowany podbródek przydawały siły j ej twarzy, niemal zupełnie wolnej od zmarszczek, a w j ej oczach było więcej rozbawienia niż szaleństwa. Miała na sobie brązowe wojskowe drelichy, rozpiętą pod szyją koszulę z czerwonego jedwabiu, pod którą widać było turkusowy naszyjnik, przypominający ozdoby noszone przez meksykańskich Nawahów, mocne, wysokie buty do górskiej wędrówki i prostą bransoletkę, wykonaną z maleńkich muszelek.

- Proszę usiąść - powiedziała Molly Kewalu wskazując bujany fotel i przysunęła bliżej krzesło stojące przy stole.

- Mam mało czasu - odpowiedziała Eleanor siadając na wskazanym miejscu. Czy to sen, czy jawa? - przemknęło jej przez głowę. Ale to nie był sen. Słyszała syczenie latarni, a z zewnątrz dochodził aż tu zapach siarczanych wyziewów z płynącego koło jaskini strumienia lawy.

- Wiem - powiedziała Molly Kewalu. Pochyliła się do przodu i dotknęła kolana Eleanor. - Panno Eleanor Perry z Ohio, czy zdajesz sobie sprawę, w co się wmieszałaś?

Eleanor mrugnęła powiekami.

- Toczy się bitwa - powiedziała przytłumionym głosem, jakby przystosowując się do panującej w jaskini ciszy, wypełnionej tylko delikatnym sykiem latarni. - Pana-ewa i inne demony...

Molly Kewalu uniosła rękę ruchem ucinającym wszelkie dyskusj e. - Pana-ewa nic nie znaczy. Zupełnie nic. To Kamapua'a toczy z Pele spór o rządy na tej wyspie. I to Kamapua'a wykorzystuje białych haole, aby przygotować sobie grunt.

- Przygotować sobie grunt... - powtórzyła jak echo Eleanor czując, jak krew zaczyna burzyć się w jej żyłach. - Także z ciocią Kidder i Markiem Twainem był to...

- Ten wieprz - dokończyła Molly Kewalu. - Nasi kahunae twierdzą, że czczą Pele, ale w najskrytszych głębinach duszy oddają cześć tej świni.

- Świni... - powtórzyła za nią Eleanor.

Molly Kewalu pochyliła się jeszcze bardziej i chwyciła ją za ramiona - Odważna jesteś, Eleanor Perry z Ohio. Zamierzasz zejść do Podziemnego Świata Milu, tak jak twoja antenatka.

Eleanor znowu zamrugła oczami. Skąd ona wie to wszystko?

- Ale to ci sienie uda, Eleanor Perry. Zanim się to stanie, twoje ciało umrze. Jednak nie wolno ci tracić odwagi. To jest cicha, kryjąca się po nocy, kobieca odwaga, która cementuje naszą potęgę i równowagę krzykliwą otwartą odwagą mężczyzn. Nasza odwaga jest źródłem mroku i daje życie ciemnościom. Czy ty to rozumiesz, panno Eleanor Perry z Ohio?

- Nie - odparła Eleanor. Moje ciało miałoby umrzeć? - Chciałabym to pojąć, ale nie jestem w stanie. - Ja przecież uczę historii i literatury Wieku Oświecenia, pomyślała. *Has meus admetas sudet oportet eāuus.* * - Proszę posłuchać - powiedziała Molly Kewalu i podniosła się z miejsca. A potem zanuciła cichym głosem:

W czasie, w którym rozżarzyła się ziemia, W czasie, w którym odwróciły się nieba, W czasie, w którym pociemniało słońce I świecił już tylko księżyc, W czasie, w którym weszły Plejady Świat wziął początek z błotnistego mułu - Źródła ciemności, które wydało ciemność...

To przecież Pieśń o stworzeniu świata, pomyślała Eleanor. Prosta, gminna pieśń o stworzeniu. Czyżbym miała umrzeć?

- Kiedy obróciła się przestrzeń, rozgorzała ziemia - śpiewała Molly Kewalu. Kiedy obróciła się przestrzeń, odwróciło się niebo. Z mulistego źródła wzięła kształt swój ziemia, Ze źródła ukrytego w ciemnościach powstała ciemność, Ze źródła ukrytego w nocy wzięła się noc.

Wieczna harmonia, pomyślała Eleanor. Jądro nocnych ciemności. Miejsce narodzin kosmosu w zderzeniu się przeciwieństw. Nawet walka Pele i Kamapua'a musi toczyć się wiecznie.

· *Has meus...* (łac.) - Mój koń powinien dawać z siebie wszystko aż do samej mety (przyp. tłum).
326

- Z mrocznej otchłani, z ciemności najgłębszych - śpiewała Molly Kewalu.

Ciemnościom dnia, ciemnościom nocy

Jednej tylko nocy

Dała początek noc.

Pośród nocy narodził się Kamapua 'a, istota męska, Pośród nocy narodziła się Pele, istota żeńska.

Ale to zadawanie gwałtu musi się skończyć, pomyślała Eleanor. Równowaga musi zostać przywrócona albo utracona na zawsze. Jakaś część jej świadomości pojęła istotę rzeczy. Ale druga połowa pozostała obojętna. Muszę więc umrzeć? - Narodził się mężczyzna, źródło wąskiego strumienia - śpiewała Molly Kewalu. Dotknęła ręki Eleanor. Eleanor wstała z fotela i poszła za nią do mrocznego wyjścia z jaskini. Na dworze syczała i rzucała krwiste odbłaski lawa. Gdzieś z góry dał się słyszeć warkot.

Narodziła się kobieta, źródło szerokiego strumienia, Narodziła się noc bogów.

Molly Kewalu puściła jej rękę.

- Wracaj, Eleanor Perry z Ohio. Wracaj i uczyn to, co musisz uczynić. Niech ci wystarczy odwagi.

Eleanor ruszyła do wyjścia, ale nagle odwróciła się w przyływie panicznego przerażenia.

- Nie! Ty też musisz tam być. Żeby pomóc.

- Będzie tam ktoś, kto udzieli ci pomocy - powiedziała Molly Kewalu tak cichym głosem, że zginął on prawie w syku lawy. - Kiedy nawiedzają nas pierwsze bóle, zjawia się zawsze położna.

Eleanor potrząsnęła ospale głową. Przed chwilą wszystko wydawało się takie proste.

- Musisz tam przyjść...

- Nie tej nocy - odparła Molly Kewalu. Jej uniesiony palec wskazał rzekę lawy i powędrował jej szlakiem w górę zbocza wulkanu. - Dziś muszę złożyć ofiarę gdzie indziej. - Podeszła szybko do Eleanor, ścisnęła ją rękę i znikła w głębi jaskini.

Eleanor zawahała się na moment, a potem zaczęła wspinać się na ślepo pochyłym zboczem na szczyt przewróconej skały, zwanej Hopoe albo Tańczącym Głazem.

W chwilę potem helikopter opuścił się powoli, oślepiając ją kurzawą i ogłuszając rykiem motoru. Wyciągnęły się po nią czyjeś ręce. Ktoś bezustannie coś wykrzykiwał. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała sens angielskich wyrazów, które spływały mimo jej uszu niczym obca mowa.

- Nie - powiedziała w końcu, pozwalając Paulowi wciągnąć się do środka. - Nie było jej tam. Nie było nikogo.

- W porządku - powiedział Mike, pilot o łagodnych oczach. Maszyna ryknęła zwiększając obroty. Helikopter uniósł się, przechylił i ruszył w powrotną drogę. - Panie Byronie - powiedział Hiroshe Sato, kiedy na stole zjawily się smażone ślimaki w sosie pomidorowym i białym winie - tutejsze instalacje elektryczne wydają się niepewne. - Nad wspaniale zastawionym stołem migotały sztormowe latarnie. Kelnerki rozstawiały miseczki z sałatką z malajskich krewetek, wśród których wyróżniały się nadziane na patyczki tygrysie ślimoraczki, podane na liściach sałaty z orzeszkami ziemnymi gadogado i przybrane smażonymi jarzynami. - Wpływy atmosferyczne - odparł Byron Trumbo. - Dziś wieczorem mamy sztorm, ale awaryjne generatory dają sobie z tym radę. - Kiwnął głową Bobby'emu Tanace, który nacisnął wyłącznik. Zaświeciły się elektryczne żarówki w kandelabrach. Bobby wyłączył je natychmiast. - Lubimy nastrój, jaki dają świece - powiedział Trumbo. Kelnerzy w białych liberiach podali sałatkę z greckiego szpinaku tym, którzy nie mieli ochoty na krewetki. Trumbo zmrużył oczy na widok cebulowo-czosnkowo-koperkowego przybrania. Z zieleniną miło kontrastował tarty parmezan. Na stole zjawily się gorące podpłomyki prosto z pieca. Podający wina, starszy wiekiem kelner Andre otworzył butelki i przyniósł Byronowi Trumbo korki. Trumbo nawet na nie nie spojrzął i dał znak ręką, żeby napełnić kielichy. - Martwimy się w dalszym ciągu o naszego przyjaciela Tsuneo - powiedział cicho Hiroshe Sato pochylając się tak, aby nikt inny nie mógł go słyszeć. - Przy całej jego lekkomyślności nie wydaje się, aby mógł zlekceważyć swoje zawodowe obowiązki.

- Tak, rzeczywiście - odparł Trumbo. - Ale jestem pewien, że Sunny'emu nic się nie stało. Dam głowę, że stawi się po kolacji na ceremonię podpisywania dokumentów.

- Hrrmm... - Sato wydał gardłowy dźwięk, używany przez Japończyków wtedy, gdy pragną dyplomatycznie ukryć uczuciową reakcję. Pochylił się nad malajskimi krewetkami.

- Przepraszam pana na chwilę, Hiroshe - powiedział Trumbo. Zobaczył właśnie, że do długiej sali wszedł Will Bryant i zaczął rozmawiać z dwoma ochroniarzami. Trumbo pociągnął swojego sekretarza na taras. Na dworze huczał wiatr, gnając nisko wiszące chmury, oświetlone wulkanicznymi światłami. - Ciało wróciło do lodówki - powiedział cicho Bryant. - Zabezpieczyliśmy

síódme piętro i odciélišmy dostęć do niego. Michaels rozstawił ludzi, którzy pilnują windy, schodów i półpiętta.

- A co z Fredricksonem?

- Rozmawiałem z nim parę minut temu przez radio. Mówi, że boi się duchów. I że nadchodzi burza. Wolałby tu wrócić.

- Powiedz mu, żeby został tam, gdzie jest teraz - odparł Trumbo. Pociągnął Bryanta bliżej balustrady. - Will, mam dla ciebie robotę. Sekretarz czekał bez słowa. Miał na nosie okrągłe, szylkretowe okulary od Armaniego, spoza których spoglądały powiększone przez soczewki oczy. - Pamiętasz jaskinię, o której ci wspominałem? I tę świnię? I Dillona z Sunnym Takahashim, którzy przypominali coś w rodzaju duchów czy żywych upiórów? Will Bryant skinął w milczeniu głową.

- No więc - ciągnął Trumbo - ta świnia powiedziała, że jeśli chcę mieć Surmy'ego, wystarczy, żebyć poszedł tam i go zabił. Will Bryant obrócił powoli głowę i utkwil spojrzenie wielkich jak u sowy oczu w twarzy szefa.

- A więc... - podjął Trumbo.

- Eee... - bąknął sekretarz. Zwilżył wargi i wybałuszył oczy j jeszcze szerzej.

- Umieściłem ciało Surmy'ego Takahashi w lodówce. - Taak - mruknął Trumbo, zbywając to stwierdzenie machnięciem ręki. - Ale przyszło mi do głowy, że ta świnia musiała położyć łapę na j ego duszy czy co on tam miał. Zej dziesz po nią, a potem spróbuj emy czy by się nie dało włożyć j ej na czas z powrotem do ciała, tak żeby Sato miał Surmy'ego przy sobie dziś wieczorem, podczas podpisywania kontraktu.

Will Bryant nie mrugnął nawet okiem.

- Chce pan, żebyć w taką burzę poszedł tam, znalazł jaskinię, której pilnuje Fredrickson, wszedł do środka, porozmawiał ze świnią i wrócił tu na czas z duszą Sunny'ego Takahashi, żeby zdążył na podpisanie kontraktu? - Tak - potwierdził spokojniejszym tonem Trumbo. Ilekroć Will Bryant otrzymywał jasne instrukcje, nigdy nie sprawiał mu zawodu. - Takiego wała - powiedział Will Bryant.

Trumbo zmrużył oczy.

- Co?

- Takiego wała - powtórzył Bryant i zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypomniął. - O, takiego, szefie.

Trumbo przewyciężył chęć, aby złapać absolwenta harwardzkiej szkoły handlowej za chude gardło i wyrzucić go przez balustradę na położony siedem piętér niżej chodnik. Praktycznie biorąc, tak właśnie zrobił z poprzednim sekretarzem. - Coś ty powiedział?

- Powiedziałem: takiego wała - odparł spokojnym głosem Bryant. - Zginęło tu już mnóstwo ludzi, a ja wcale nie mam ochoty dołączyć do nich. Czegoś takiego nie ma w wykazie moich obowiązków.

Trumbo zatrzęsł się z wściekłości. Założył ręce do tyłu, żeby ukryć ich drżenie. - Dobrze ci za to zapłacę - rzucił przez zaciśnięte zęby. Will Bryant czekał bez słowa.

- Dziesięć tysięcy dolarów. Will Bryant roześmiał się cicho. - Niech ci będzie, do diabła. Pięćdziesiąt tysięcy - powiedział Trumbo. Posłałby tam któregoś ze swoich goryli, ale faceci byli tępí jak stołowe nogi. Bobby Tanaka był zwykłym niedołęgą, no a Stephena Ridella Cartera wyrzucił przecięć ze stanowiska. Miał już tylko Bryanta.

Sekretarz pokręcił wyczekująco głową.

- Do pioruna! - stęknął Trumbo czerwieniejąc na twarzy i wyciągając szyję. - Ile?

- Pięć milionów dolarów - powiedział Will Bryant. - W gotówce. Byronowi Trumbo pociemniało w oczach. Wydawało mu się, że ma przed sobą długi, ciemny tunel ozdobiony czerwonymi plamkami. - Milion - powiedział odzyskawszy zdolność widzenia.

- Gównu - odparł sekretarz.

Trumbo miał do wyboru: zabić drobnego szantażystę albo odejść. Obrócił się na pięcie i wrócił do bankietowej sali. Kelnerzy podawali właśnie główne danie - opakapaka zapiekana w imbirze i szalotkach oraz kotlety z jagnięcego mięsa, posypane mieszaniną orzechów laskowych, kokosowych i miodu i podane w sosie anyżowym.

- Dobrze się pan czuje, panie Trumbo? - zapytał Sato zaniepokojonym tonem. - Jest pan czerwony jak homar. Hromal.

- W porządku - odparł Trumbo sięgając po nóż i widelec. Przeleciało mu przez głowę, jak by to było przy emnie zatopić j e między chudymi żebrami pewnego zdrajcy. - Zjedzmy coś z tych pieprzonych mięs.

18 czerwca 1866 roku, bezimienna wioska na Wybrzeżu Kona Przez chwilę stałam sama w Królestwie Duchów Milu. Wulkaniczny komin ciągnął się dalej, ale nie ginął w mroku. Jego ściany fosforyzowały łagodną poświatą. Zza zakrętu dochodziły jakieś stłumione dźwięki. Poczulałam pod stopami szorstką, prążkowaną posadzkę grotu. Kręcił w nosie zapach zjełczałego oleju kukui na mojej skórze. Pospiesznie rozsypałam węzły, uwolniłam się z plecionej liny i pociągnęłam za nią, żeby dać do zrozumienia panu Clemensowi, że może opuścić się na dół. Na ścianie nade mną widać było odblaski słonecznego światła, ale skalny występ nie pozwalał mi widzieć mego towarzysza. Odwróciłam się w drugą stronę, kiedy zjeżdżał po grubej wiązce winorośli.

Spojrzeliliśmy po sobie nieco śmieiej, czując się już nie tak nadzy w przyćmionym świetle, i ruszyliśmy w kierunku jarzącej się w głębi poświaty. - Przypomina mi to świecącego robaczka świętojańskiego - szepnął pan Clemens. Przystanęliśmy na zakręcie, a pan Clemens wystawił głowę, aby zobaczyć, co znajduje się dalej. Kiedy odwrócił się do mnie, jego wąsy drżały z podniecenia. - Duchy - szepnął.

- Dużo ich jest? - zapytałam cicho.

- Czy dużo? - powtórzył pan Clemens. - Ile? Nie mam pojęcia. .. Według mojej oceny, jakieś dziewięćset osiemdziesiąt siedem tysięcy sześćset trzydzieści jeden.

Wybałuszyłam na niego oczy.

- Nie wiem, ile ich może być! - powiedział całkiem głośno pan Clemens. - W sam raz do kadryła. Może dałoby się sformować cały regiment. Nie mam wprawy w liczeniu duchów. Ale wystarczyłoby ich na sporo czwórek do brydża i j jeszcze zostałyby wielu do sędziowania.

Skrzywiłam się widząc, jak lekko traktuje tę poważną w końcu sytuację.

- A skąd pan wie, że to duchy? Bo uprzedzono nas o tym, że je tu spotkamy? Rudowłosego korespondent kiwnął głową, wzruszył ramionami i przejechał ręką po gołej piersi, jakby chciał wyjąć cygaro z nieistniejącej kieszonki. - Tak, panno Stewart - powiedział - a także dlatego, że one świecą jak ognie świętego Elma i są przezroczyście jak cienki rosołek. To główne wskazówki, ale ja przecież nie jestem detektywem.

Mogłaby to być senacka komisja starająca się zebrać kworum swoich członków, ale ponieważ wszyscy są nadzy, wydaje się to mało prawdopodobne. Postawiłbym na to, że są to duchy. - Zawahałam się z odpowiedzią. Widać pan Clemens wziął moje milczenie całkiem błędnie za objaw

strachu, bo dodał: - Więc jak, idziemy dalej czy wracamy na powierzchnię?

- Idziemy - odparłam bez namysłu. - Proszę się nie trapić tym, że nie mamy okrycia - dodałam widząc barwne plamy na policzkach pana Clemensa. - Adam i Ewa, nasi zaci przodkowie, czuli się zupełnie dobrze w tym stroju.

Pan Clemens mruknął coś pod nosem, a potem dodał szeptem:

- To prawda, panno Stewart. Nie jestem wprawdzie uczonym biblistą, ale myślę, że Adam i Ewa zwracali się do siebie po imieniu.

- Może byśmy ruszyli do przodu, panie Clemens? Korespondent odwrócił się i wyciągnął rękę. Chwyciłam ją w ten sposób wkroczyliśmy do królestwa Milu, przyjaźnie i obojętnie niczym dwóch porządnie ubranych franciszkanów, idących na uroczysty bal. Wydawało się, że duchy prowadzą pozagrobowe życie zajmując się tymi samymi sprawami, którymi interesowały się za życia. Jaskinia poszerzała się w tym miej scu i w polu widzenia ukazały się nam dziesiątki świecących postaci. Według naszego rozeznania byli to sami krajowcy z Wysp Sandwich; niektórzy spali, wielu zabawiało się hazardowymi grami, które oglądaliśmy w brudnych zaułkach Hilo i mniejszych miasteczek, skąd przeganiano nas kamieniami; inni rzucali po ziemi kokosowe orzechy, starając się trafić nimi w jakiś cel, po czym wyplacali sobie wygrane kośćmi; niektórzy zaś j edli, przy czym wielu z tych ostatnich gromadziło się wokół ogromnej misy czerwonej papki, zwanej przez krajowców poi. Jeszcze inni przechadzali się po prostu, mężczyźni oddzielnie, kobiety oddzielnie, a widoczne tu i ówdzie pary wyglądały tak, jakby zalecały się do siebie po śmierci niczym nie różniło się od podobnych umizgów za życia. Postępowaliśmy powoli naprzód, podtrzymując się nawzajem. Chociaż nasze ciała nie były w stanie osiągnąć przezroczystości owych duchów, jakaś właściwość oleju kukui sprawiała, że błyszczały, i te blaski nie różniły się od upiornej poświaty otaczających nas sylwetek. Kilka razy jakieś duchy obojga płci porzucały swój e zaj ęcia i zdawały się prześlizgiwać w naszą stronę, kiedy jednak taka postać zbliżała się na odległość, na którą rozsiewał swoje zapachy zjełczały olej, odwracała się szybko z kwaśną miną, jakby chciała powiedzieć: „Co za obrzydlistwo!” Wtedy to właśnie zauważyłam, że choć przebywające 332 w ogromnej jaskini duchy zdawały się rozmawiać ze sobą - otwierały i zamykały usta, poruszały szczękami i zmieniały wyraz twarzy - nie było słychać gwaru rozmów i panowała kompletna cisza, z wyjątkiem gwizdania wiatru w licznych szczelinach i pęknięciach w sklepieniu.

Pan Clemens wyciągnął rękę i ścisnął mnie za ramię, wskazując w kierunku bocznej odnogi. Jakby na przekór moim spostrzeżeniom na temat spokoju, panującego w upiornym królestwie, zobaczyłam ogromną świnię, która musiała ważyć dobrze ponad tysiąc funtów i spała sobie w wejściu do bocznej jaskini. Jednocześnie usłyszałam chrapanie olbrzymiego wieprza - odkryłam, że dobywający się z jego przepaścistych nozdrzy świst i szum powietrza był głównym źródłem hałasów, które wzięłam za hulanie wiatru w szczelinach.

Pamiętając o przestroгах kobiety, abyśmy nie zbudzili wieprza, byłam już gotowa odejść na palcach w przeciwnym kierunku, ale pan Clemens znowu kiwnął głową i wskazał na coś ręką.

W głębokiej niszy, utworzonej w ścianie jaskini za śpiącym wieprzem stało kilkanaście połyskujących postaci, które, choć nagie jak wszyscy inni, najwyraźniej nie były duchami krajowców. W większości znajdowały się tu duchy mężczyzn, dojrzałam jednak w tym zgromadzeniu haole przynajmniej jedną starszą kobietę. W istocie, było to prawdziwe zgromadzenie wiernych. Półtorametrowy, niemal zupełnie płaski występ zastygłej lawy służył najwyraźniej za kazalnicę, a kilka stojących obok duchów zdawało się ubiegać o prawo do wygłoszenia kazania. Starszy i wyższy od innych duch musiał być nie kim innym, tylko wielebnym Whisterem, a wiekowa dama stojąca w

gronie słuchaczy - jego żoną. Próbowalam przypomnieć sobie szczegóły opowieści, jaką usłyszałam w zaj eździe na wulkanie, żeby zidentyfikować stojących tam innych mężczyzn: wyższy z dwóch młodych ludzi mógł być Augustem Stantonem, małżonkiem pani Stanton, a drugi z nich panem Taylorem. Zamrugałam oczami przypomniawszy sobie, że kiedy znaleziono pana Stantona, był on zupełnie wykrwawiony, a zgon pana Taylora nastąpił po tym, jak jego głowa „pękła z hałasem rozłupanego na pół kokosowego orzecha”. Jako duchy obaj wyglądali zupełnie przyzwoicie, chociaż w ich oczach można było dostrzec pewne roztargnienie, które niekoniecznie musiało towarzyszyć im za życia. Pan Clemens znowu kiwnął głową i omal nie krzyknęłam pełnym głosem na widok następnego mówcy na kazalnicy. Brzuch wielebnego Haymarka wyglądał tak samo imponująco bez odzienia, jak pod szykownym misjonarskim strojem. Były towarzysz naszych wędrówek oparł dłonie na krawędzi skały ze swobodą człowieka 333 doskonale obytego z kazalnica, pochylił się do przodu i zaczął wygłaszać jakieś bezgłośnie frazesy. Zgromadzenie wpatrywało się w jego poruszające się usta z istic upiorną bezmyślnością, jaką każdej pogodnej niedzieli można spotkać w prezbiteriańskim kościele.

Pan Clemens nachylił się do mego ucha tak, aby nikt nie usłyszał jego szeptu, nawet w promieniu paru kroków.

- Jak my go wepchniemy do tej skorupy orzecha? Pokręciłam bezradnie głową. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób przedostaniemy się obok śpiącej świni. Aby dostać się do bocznej jaskini, jedno z nas albo i oboje, musiałyby przestąpić ryj monstrualnego wieprza. Wzdrygnęłam się na myśl o tym.

Mój towarzysz pochylił się ku mnie znowu, jakby czytał w moich myślach. - Zostanie pani tutaj - szepnął. - A ja sam spróbuję dostać się do wielebnego Haymarka.

W odpowiedzi ścisnęłam pana Clemensa za ramię i potrząsnęłam energicznie głową. Większość duchów, nie bacząc na odór wysychającego na nas oleju, krążyła już w pobliżu i myśl, że miałabym tu stać, narażona na muśnięcia tych truposzów, była po prostu nie do zniesienia.

Pan Clemens kiwnął głową na znak, że rozumie moje obawy, i rozpoczęliśmy powolną wędrówkę koło chrapiącego wieprza. Posadzka jaskini była bardzo nierówna, toteż czułam coraz większe przerażenie, że mogłabym stracić nagle równowagę i przewrócić się na szpeciniaste cielsko zwierzęcia. Z bliska wieprz okazał się zresztą jeszcze większy niż myślałam, patrząc na niego z pewnej odległości; jego waga musiała z łatwością sięgać tony. Wyglądał jak mały słoń, tyle że ze szpeciniastym, świńskim karkiem i przerażającym łbem. Kiedy doszliśmy do miejsca, z którego trzeba było zrobić krok nad tym łbem, dostałam zawrotu głowy ujrawszy, ile on ma powiek... Nie dwie czy cztery, ale co najmniej osiem. Dostrzegłam wyglądające spod nich szkliste białka i przez moment byłam pewna, że monstrum udaje tylko sen, żeby nas zwabić bliżej. Kiedy podniosłam nogę, żeby przestąpić jego ryj i poczułam na gołej stopie obrzydliwy, gorący oddech zwierzęcia, ujrzałam nagle w wyobraźni, że jego oczy otwierają się, a na mojej kostce zamyka się paszcza trochę zbyt podobna do niejednej ludzkiej gęby. Zdawało mi się, że słyszę, jak chrupią moje chrząstki i kości, a zwierz połyka na jeden kęs moją stopę. Potem unosi ogromny jak beczka łeb, żeby pożreć resztę mojej nogi...

Pan Clemens zdążył mnie podtrzymać, zanim osunęłam się zemdlna. Zakręciło mi się w głowie i to tak nagle, że byłabym opadła na porośnięty szpeciną kark, gdyby były pilot rzecznych statków nie chwycił mnie mocnym lewym ramieniem i nie pociągnął w górę. Przez chwilę trwaliśmy w bliskim zwarciu, niczym dwoje tancerzy wykonujących powolne piruety, aż wreszcie odzyskałam równowagę i zapanowałam nad ruchami. Przeszedłszy nad śpiącym wieprzem znaleźliśmy się w głębokiej niszy

w ścianie jaskini. Gdyby zwierzę ocknęło się teraz - a ja zdałam sobie nagle sprawę z tego, że świnia ma czułe powonienie i nasz zapach mógł ją pewnością przebudzić - zostalibyśmy odcięci wraz z duchami haole w pułapę bez wyjścia. Przypomniałam sobie ostrzeżenie kobiety-Pele, że gdybym zbudziła wieprza, zgwałciłby mnie i zjadł moją_hi-hi 'o. Znowu poczułam, że kręci mi się w głowie i krew przestaje krążyć w moich żyłach; ale i tym razem pan Clemens podtrzymał mnie mocną ręką.

Jeszcze godzinę temu takie zbliżenia między nami byłyby nie do pomyślenia. Weszliśmy w małą grupkę chrześcijańskich dusz. Przyszliśmy po naszego przyjaciela, wielbego Haymarka, ale staruszka w szalście poleciła nam zabrać z jaskini wszystkie haole uhane, aby Pele mogła podjąć walkę ze swymi wrogami. Spojrzałam na pana Clemensa, ale było oczywiste, że wie on nie lepiej ode mnie, w jaki sposób wydostać stąd te świecące postacie. Problem został rozwiązany bez naszego udziału. Chrześcijańskim duszyczkom nasz zapach nie podobał się tak samo, jak i duchom krajowców, toteż rozstąpili się przed nami. Pan Clemens poprowadził mnie do kazalnicy, przy której wielbny Haymark dalej wygłaszał kazanie dla nie zważających na jego słowa słuchaczy. Dusza naszego korpulentnego przyjaciela przywołała mi na myśl niezbyt udaną woskową kopię żywego człowieka, którego znałam. Usta kapłana poruszały się bezgłośnie do chwili, gdy pan Clemens dotknął jego ramienia. Uhane wielbego Haymarka odwróciła się natychmiast i zeszła z prowizorycznej kazalnicy, a potem, kiedy pan Clemens zaczął przepychać się przez mały tłumek, ruszyła za nim. Spróbowałam także tej metody. Działała doskonale. Zwyczajne dotykanie duszyczek pokrewnych naszym działają jak cichynakaz. Kiedy dotknęłam pierwszej z nich - kobiety, która była, jak przypuszczam, panią Whister - szybko cofnęłam rękę. Jej ramię było równie niematerialne jak wietrzyk, do tego zimny. Ale odwróciła się posłusznie i ruszyła za mną w stronę świńskiego ryja, za którym była już wolność.

Wystarczyło pół tuzina takich dotknięć i dusze haole poszły za nami niczym małe gąsiątka za mamą gęsią. Przodem szedł pan Clemens, który zatrzymał się tylko na moment przed przełożeniem bosej stopy nad ryjem chrapiącego wieprza. Przez chwilę bałam się, że wielbny Haymark zawadzi stopą o zwierzę i zbudzi je, potem jednak zauważyłam, że żadna z dusz nie dotykała w marszu ziemi.

Kiedy przyszła kolej na mnie i miałam znowu przejść nad śpiącą świnią, serce zaczęło mi bić tak głośno, iż byłam pewna, że potwór usłyszy je i obudzi się. Przywołałam jednak jeszcze raz całą moją odwagę i uniosłam nogę nad okropnym ryjem. Tym razem widać było ogromne, ostre, błyszczące zębopotwora. Naposadzonejaskini w pobliżu jego łba zebrała się mała kałuża śliny. Pokonałam przeszkodę bez wypadku. Płynące za mną w powietrzu dusze nawet nie spojrzały na świnie. Zaczęłam się zastanawiać, co zrobię, jeśli te duszyczki postanowią snuć się tak za mną przez całą wieczność, jaka nam pozostała. Ruszyliśmy dalej w kierunku wyjścia z jaskini. Wielbny Haymark i pozostałe duszyczki płynęły za nami niczym baloniki uwiązane na niewidocznych sznurkach. Postanowiłam, że jeśli będzie trzeba, rozwiążę ten problem już po powrocie do świata.

Za naszym pochodem ruszyły też inne duchy, wiedzione zapewne ciekawością, która nie opuszcza także upiorów. Nikt nie krzyknął ani nie podniósł alarmu; w jaskini nie było słychać żadnych dźwięków, prócz chrapliwego oddechu monstrowej świnie, który przycichał trochę w miarę jak się oddalaliśmy, ale ani na moment nie zniknął zupełnie.

Większość duchów krajowców zawróciła, zanim jeszcze dotarliśmy do podnóża wejściowej szczeliny, ale jeden z nich - przystojny młodzieniec o niewinnych oczach - doszedł za nami aż tutaj. Nagle uświadomiłam sobie, że jest to wierny, ale nieszczęsny krajowiec o imieniu Kaluna, który zginął przez przypadek z ręki wielbego Whistera, kiedy uniosł nóż, aby złożyć na niego przysięgę. Ale okoliczności te nie miały żadnego znaczenia. Stara kobieta nie powiedziała nam przecież,

żebyśmy zabierali stamtąd dusze jakichkolwiek krajowców, i rzeczywiście, uhanę młodego człowieka nie próbowała nawet iść naszym śladem, kiedy wychodziliśmy przez szczelinę na zewnątrz.

Pan Clemens pochylił się ku mnie i szepnął:

- Będę musiał wspiąć się jako pierwszy, a potem wyciągnę panią. Myśl, że zostanę sama w półmroku, mając obok siebie te świecące, obojętne istoty, nie podobała mi się, ale zacisnęłam zęby i kiwnęłam głową na zgodę.

Jednak przed wydostaniem się na powierzchnię pan Clemens zrobił coś niesłychanego. Odkorkował skorupę orzecha, którą dała mu młoda kobieta, skierował otwór w stronę widmowej postaci wielebnego Haymarka i zaczął upychać i wciskać ją do środka. I rzecz nie do wiary: dusza naszego przyjaciela zaczęła znikać w skorupie, przepływając przez otwór niczym mgiełka przez dziurkę od klucza. Pan Clemens nie ustawał w robocie, ugniatając zwiewne resztki kapłana tak, aby precyzyjnie się przez małą dziurkę. Pan Clemens powiedział potem, że była to ciężka praca, podobna składaniu i upychaniu ogromnego żagla w małej walizeczce. W końcu udało się. Pan Clemens wepchnął do środka ostatki wypukłych kształtów misjonarza, zakorkował otwór i zaczął wspinać się po linie z winorośli. - A co z nimi? - zapytałam nagłym szeptem, wskazując gromadkę fosforyzujących dusz, a między nimi wielebnego Whistera i jego żony, ich zobojętniałego na wszystko zięcia, pana Stantona, gapiącego się tępo pana Taylora i paru innych nie znanych nam osób.

Pan Clemens pochylił się, trzymając już linę, i szepnął:

- Zostawmy ich lepiej tutaj, niech wyjdą sami tak, jak potrafią. Myślę, że nie ma już ciał, do których mogliby powrócić, więc i tak musieliby zostać w tej postaci. Z tego, co powiedziała staruszka, wynika, że są to raczej lapu, dusze umarłych, niż hi-hi 'o, czyli duchy wykradzione z ciał żywych osób, jak dusza naszego przyjaciela. - Pan Clemens zasapał się trochę, wisząc na linie niemal w horyzontalnej pozycji, oparty stopami o ścianę jaskini. Uświadomiłam sobie nagle, że zaczynam się przyzwyczajać do widoku jego gołego ciała. - Poza tym - dodał zabierając się na dobre do wspinania - nie sądzę, żeby w tej skorupie było jeszcze choć trochę wolnego miejsca.

W chwilę potem wydzwignął się wyżej i znikł mi z oczu. Przez chwilę miałam wokół siebie tylko świecące blade duchy, a pośród nich krajowca Kalunę, którego smutna twarz była jedynym objawem żywych uczuć, jakie zaobserwowałam w Królestwie Duchów Milu.

Nagle tętno skoczyło mi jak szalone i obróciłam się wokół własnej osi, bo odniosłam wrażenie, że coś poruszyło się w półmroku. Oczami wyobraźni widziałam już Pana-ewę, ale na szczęście z wulkanicznego komina nie wyłonił się żaden jaszczur ani inny stwór z nocnej mgły.

Dopiero w sekundę potem zdałam sobie sprawę, że tym, co tak mnie przeraziło, nie był żaden nowy odgłos, ale cisza, panująca w jaskini. Wieprz przestał nagle chrapać.

Cordie najpierw usłyszała nadlatujący helikopter, a dopiero potem go zobaczyła.

Przeleciał nad Wielkim Hale obrzucając czubki palmowych drzew snopem światła z reflektora, mrugnął dwa razy, jakby chciał ją pozdrowić, a potem przemknął z warkotem silnika nad jej głową i skrył się w nocnym mroku.

Cordie знаła plany Nell. Wiedziała, że jeśli stara kobieta na zboczu wulkanu nie odwiedzie jej od tego, Eleanor zamierza zejść do Podziemnego Świata i wyprowadzić z niego duchy haole, tak, aby Pele mogła podjąć walkę ze swymi wrogami bez obawy o los zakładników. Eleanor powiedziała jej też, że będzie się starała namówić archeologa, żeby zszedł z nią do jaskini, przyjął bowiem, że stara zasada, wymagająca, aby po dusze wyprawił się mężczyzna i kobieta, działa nadal.

Plany te nie zainteresowały Cordie. Nie obchodziła jej sprawa ratowania ośrodka Mauna Pele ani dusz zaginionych gości hotelowych. Chciała tylko, żeby jej przyjaciółka Nell i ona sama wyszły z tego wszystkiego z życiem. Z coraz większym strachem uświadamiała sobie, że powinna pójść na lądowisko, aby ostrzec Nell i Paula przed dziwnymi zjawami, które mignęły jej przed oczami w nocnym mroku... Ale żeby dojść do lądowiska, trzeba było odważnie zanurzyć się w ciemnościach i wystawić na atak tych samych zjaw. - Co mi zrobią? - powiedziała do siebie. Zarzuciła na ramię słomkową torbę, sprawdziła, czy jest w niej wszystko, co może się jej przydać, i odsunęła zasuwkę na drzwiach.

Szóste piętro pogrążone było w ciemnościach. Z góry dochodziły odgłosy muzyki i śmiechów z przyjęcia w apartamentach Trumba, ale wszędzie poniżej najwyższej kondygnacji panował mrok i słychać było tylko ledwo uchwytny szmer. Cordie była pewna, że winda dla gości jest nieczynna, a to oznaczało, że musiała pokonać sześć pięter którąś z klatek schodowych po zachodniej albo po wschodniej stronie Wielkiego Hale. Dochodziło tam świeże, nocne powietrze, co powinno jej nawet pomóc, ale jedynym oświetleniem były odblaski latarni i świateł na górze, a od wschodu także piekielna, wulkaniczna poświata.

Światła jest chyba w sam raz, żeby zobaczyć biegające naokoło olbrzymie świny, przeleciało jej przez głowę. Ujęła rewolwer w prawą rękę i zamknęła drzwi do swojego apartamentu. Zrobiła cztery kroki, zmarszczyła brwi i pochyliła się nad balustradą wewnętrznego dziedzińca, a potem zdjęła swoje mocne buty i wrzuciła je do torby. Stąpając po posadzce w skarpetkach mogła to robić niemal bezgłośnie. Tak będzie lepiej, pomyślała, i ruszyła żwawo w kierunku schodów. W myślach i uczuciach Eleanor panował taki chaos, że ostatni fragment helikopterowego rajdu niemal umknął jej uwagi. Pilot wypyty-338 wał ją wciąż o jaskinię Molly Kewalu, a zapewnienia Eleanor, że nikogo tam nie było, zdawały się nie trafiać mu do przekonania. W milczeniu siedzącego z tyłu Paula także kryło się mnóstwo wątpliwości. Do Mauna Pele zbliżyli się od strony morza.

- Nie widać świateł - zauważył Mikę i włączył reflektor pod kadłubem maszyny. Snop światła przeciął nocne ciemności. Eleanor zobaczyła pogrążone w mroku hale, pustą plażę, wyludniony Piracki Bar i miotające się w rosnącym wietrze gałęzie ogrodowych krzewów.

- Nie jestem pewien, czy powinienem was tu zostawiać - powiedział Mikę, kiedy zbliżyli się do lądowiska. - Wygląda na to, że nie zadali sobie nawet tyle kłopotu, żeby włączyć awaryjne generatory. - Maszyna zawisała w powietrzu. Mikę spojrzał najpierw na Eleanor, a potem obejrzał się w kierunku Paula. - Tak czy owak rano zarządzą prawdopodobnie ewakuację. Będę leciał na północ, więc mógłbym wysadzić was w Kona.

- Nic nam się tu nie stanie - powiedział zmęczonym głosem Paul. - Nie jestem tego pewien - odparł Mikę. - Widziałeś nowe pęknięcie, jak lecieliśmy z powrotem. O niecałe pięć kilometrów stąd znajduj e się czynny gejzer, a j eden tylko Pan Bóg może wiedzieć, co dzieje się w tych starych wulkanicznych kominach.

- Nic się nam nie stanie - powtórzył Paul.

Mikę zawahał się na moment, a potem zaczął opuszczać helikopter w dół, oświetlając sobie lądowisko reflektorem. Wiatr szarpał małą kabiną i Eleanor uświadomiła sobie, ile zręczności wymagało osadzenie maszyny tak gładko na ziemi, jak to zrobił Mikę. Kiedy płozy dotknęły asfaltu, Eleanor pochyliła się i ścisnęła rękę pilota, opierającą się na sterowniczym drążku. - Dziękuję panu - powiedziała. - Ten lot był dla mnie bardzo ważny. Nigdy go nie zapomnę.

Mikę odwrócił się do niej i kiwnął głową, obrzucając ją pytającym spojrzeniem szarych, zaniepokojonych oczu.

- Nie będziesz miał problemów z dostaniem się z powrotem na Maui? - zapytał Paul.

Mikę potrząsnął głową i dotknął słuchawek na uszach. - Wieża w Keahole informuje, że mam jeszcze prawie pół godziny do uderzenia prawdziwego sztormu. Dość czasu, żeby wydostać się poza zagrożoną strefę i przekroczyć kanał. - Uśmiechnął się do Eleanor. - Dzieciaki będą już po kolacji, ale Kate czeka zawsze na mój powrót, żeby zjeść razem ze mną. No cóż... życzę wam powodzenia.

Eleanor i Paul odpięli pasy i wydostali się z kabiny, kuląc się instynktownie pod obracającym się powoli wirnikiem. Kiedy wydostali się z podmuchów idących od śmigieł i stanęli na obrzeżu lądowiska, poczuli, że tam także wieje silny wiatr. Mikę włączył na moment czerwone światła w kabinie i pomachał im na pożegnanie. W chwilę potem silnik zawył na wysokich obrotach, sylwetka helikoptera zahubiła się na płozach i uniosła w górę, a potem odleciała ku północy, błyskając pozycyjnymi światłami.

- Molly tam była, prawda? - zapytał Paul, kiedy migające zielone i czerwone światełka znikły w nisko wiszących chmurach.

- Tak. - Eleanor objęła się rękami i wzdrygnęła, chociaż wiał ciepły wiatr.

- Co powiedziała?

Eleanor otworzyła już usta do odpowiedzi, potem jednak zawahała się.

- Nie jestem pewna - powiedziała w końcu. - Pamiętam tylko, że coś śpiewała.

Wyglądało to tak, jakby jednocześnie mówiła do mnie, ale na drugim kanale. - Kapłanki Pele umieją robić takie rzeczy - potwierdził Paul. -Przynajmniej wtedy, gdy rozmawiają z kobietami. - Powiedział to trochę urażonym tonem. Eleanor coś sobie uświadomiła.

- Pan... razem ze swoimi wujami i innymi kahuna... zwróciliście się do Pele, żeby uwolniła wyspę od tego ośrodka, tak? Zrobiliście to, zanim jeszcze został wypuszczony Kamapua'a, Pana-ewa i inni?

Paul nie odpowiedział, ale mimo mroku Eleanor dojrzała w jego twarzy potwierdzenie swoich podejrzeń.

- Wszystko rozchwiało się jakoś... - powiedział w końcu. - Dawne zaklęcia, dawne śpiewy... wiele z nich już nie działa. Pele nie reaguje na nasze wezwania, jak to czyniła za czasów naszych przodków.

- Z powodu gwałtu - powiedziała Eleanor.

- Czego? - Paul wydawał się lekko przestraszony. - Gwałtu - powtórzyła Eleanor, zaskoczona pewnością swojego głosu i przekonana o własnych racjach. - Przez całe stulecia ten wasz bóg... Kamapua'a... gwałcił Pele, folgując swoim zachciankom. To właśnie sprawiło, że zachwiała się równowaga wszystkiego. Ich walki były czymś normalnym, częścią ogólnego schematu, ale te gwałty zniszczyły ustalony porządek rzeczy. - Popatrzyła na ginącą w mroku drózkę i pole golfowe za pasem bugenwilli. - To tak jak z tym ośrodkiem... za wiele przemocy i gwałtu.

Zanim Paul zdążył odpowiedzieć, oboje znaleźli się nagle w ostrych światłach reflektorów. Odstąpili krok do tyłu, a samochód z rykiem silnika przeleciał przez dojazdową drogę i wjechał na asfaltowe lądowisko. Zapiszczały hamulce. - Na waszym miej su szybko wskoczyłabym do środka - krzyknęła do nich Cordie, wychylając się z dżipa. - Za parę minut będzie tu straszliwa ulewa. Oboje wsiedli do auta, Paul na tylne siedzenie, Eleanor na przednie obok kierowcy, tak samo jak w helikopterze. Kiedy jechali już w stronę Wielkiego Hale, Eleanor powiedziała:

- To mój wynajęty dżip. Mam przy sobie jego kluczyki. Jak ci się udało go uruchomić?

- Spięłam na krótko przewody - odparła Cordie. - Ale to nie było wcale takie proste, jak pokazują w kinie. Możesz mi wierzyć. - Dlaczego? - zapytał Paul Kukali.

- Dlaczego nie było proste? No cóż, po pierwsze, przewody od zapłonu nie zwisają gdzieś tam pod kierownicą czekając tylko, aż się je obedrze z izolacji i połączy. Chociaż w tym kretyńskim dżipie nie trzeba było robić wiele więcej... - Nie, nie - powiedział Paul. - Pytałem, dlaczego pani to zrobiła? Cordie obrzuciła ich krótkim spojrzeniem. Pęd powietrza odwiewał do tyłu jej proste włosy.

- Bo szwendają się tu dziś wieczorem jakieś dziwne stwory. Ale wy wiecie przecież o tym. A przynajmniej ty, Nell.

Eleanor kiwnęła głową.

- Musimy tam zejść dziś w nocy. Do Podziemnego Świata.

- Dziś w nocy? - zapytała Cordie. - Chryste Panie, co ty wygadujesz, dziecinko?

- To niemożliwe - zawołał z tylnego siedzenia Paul. Dżip zatrzymał się pod daszkiem przed głównym wejściem. W holu było ciemno. Nie zapalono nawet świecy. Eleanor obróciła się na fotelu. - Dlaczego ma to być niemożliwe?

Paul Kukali machnął szczupłymi rękami, jakby się opędał od muchy. - Jest tylko krótka chwila nad ranem, kiedy bogowie śpią. Podziemnego Świata nikt wtedy nie pilnuje. Ale w nocy... Kamapua'a mógłby pożreć twoją duszę. - Pieprzę go - powiedziała Eleanor i natychmiast zadała sobie pytanie: „Czy naprawdę powiedziałam coś takiego?”

Paul nachmurzył się.

- Kamapua'a jest częścią naszych wierzeń, Eleanor. Reprezentuje tak samo potężną siłę jak Pele.

- Może i tak - odparła Eleanor - ale jest także zwykłym gwałcicielem. I świnią. - Wzięła głęboki oddech. - Jeżeli Pele ma powstrzymać go od wymordowania wszystkich ludzi na tym wybrzeżu, musimy uwolnić dusze haole, żeby mogła zacząć działać.

- Czy to właśnie powiedziała ci Molly Kewalu? - zapytał Paul. - Tak - odparła Eleanor. - Nie. - Zmarszczyła brwi i podniosła dłoń do czoła. - Trudno mi jest przypomnieć sobie dokładnie, co ona mówiła. - Podniosła znowu wzrok i dodała: - Ale niedługo będziemy musieli tam zejść. Pan także, Paul, musi się tam udać.

- Ja pójdę z tobą, Nell - odezwała się cicho Cordie. Eleanor położyła dłoń na jej ramieniu.

- Dziękuję ci. Ale chodzi o to, że powinien to być mężczyzna i kobieta. Czytałaś przecież dziennik cioci Kidder.

Cordie skrzywiła się.

- Może ten przepis już nie obowiązuje...

- A jednak - stwierdziła Eleanor - musi to być koniecznie mężczyzna i kobieta.

Pan, Paul, zaczął to wszystko. Zejdzie pan tam ze mną? Przez dłuższą chwilę archeolog siedział w milczeniu. Wysoko nad ich głowami trzepotały na wietrze palmowe liście. Za budynkiem Wielkiego Hale przeleciała po niebie błyskawica.

- Tak - powiedział w końcu. - Ale nie w nocy. To oznaczałoby śmierć. O świcie. Eleanor wyrwało się westchnienie, nie wiedziała jednak sama, czy było to westchnienie ulgi, czy też zawodu.

- Dobrze, niech będzie.

- No, to załatwione - powiedziała Cordie. - Ale ja też mam pewną propozycję.

Eleanor i Paul spojrzeli na nią wyczekująco.

- Gdyby miało to wyglądać tak, jak w którymś z głupich filmów, które przynosili moi chłopcy - powiedziała - rozeszlibyśmy się teraz, każdy w swoją stronę, a te potwory... albo faceci w maskach, jakie zakładają bramkarze na meczu hokejowym... załatwiliby nas po kolei. Kiedy film dojeżdża do tego miejsca, zaczynam zawsze kibicować potworom, ponieważ one okazują się sprytniejsze od tych dobrych chłopaków. Kapujecie, dokąd zmierzam? - Zgadzam się z tym - powiedział Paul. - Dziś w nocy będzie tu wielki zamęt.

Powinniśmy trzymać się razem.

- Albo stąd wyjechać - powiedziała Cordie. - Po to właśnie wyciągnęłam z parkingu dżipa. Moglibyśmy zrobić te czterdzieści kilometrów do Mauna Kea albo pojechać do Kona Village czy do Mauna Lani i posiedzieć do świtu przed telewizorem.

- Nie - odparła Eleanor. - Miałem mówić, że rano ośrodek zostanie prawdopodobnie ewakuowany. Gdyby zrobili to przed naszym powrotem, nigdy nie dostalibyśmy się do Podziemnego Świata.

- Ojej - jęknęła Cordie. - To by było straszne. Eleanor spojrzała na nią ostro.

- Czytałaś przecież dziennik cioci Kidder. Wiesz, jakie to ważne. - Tak - potwierdziła Cordie. - W takim razie trudno, nie pojedziemy. Ale musimy trzymać się razem. Proponuję, żebyśmy pobiegli do schodów po stronie zachodniej, dostali się na górę do mojego apartamentu, pozamykali drzwi i okna, siedli do pokera i grali do samego rana.

- Zgoda - powiedziała Eleanor. - Ale najpierw muszę wrócić na chwilę do mojego hale.

Tym razem Cordie wytrzeszczyła na nią oczy.

- Po co?

- Zostawiłam tam dziennik cioci Kidder. Cordie klepnęła dłonią kierownicę dżipa.

- O, kurczę. No dobrze, pojedziemy tam teraz. Wszyscy razem. I razem tu wrócimy. Eleanor i Paul kiwnęli głowami. Cordie ruszyła spod wejścia do Wielkiego Hale i pomknęła serwisową alejką wzdłuż południowej ściany budynku, a potem skręciła na dróżkę idącą przez ogród. Dżip zajmował całą jej szerokość, ale Cordie prawie nie zwolniła, kiedy skręcali koło Pirackiego Baru, a potem przyspieszyła jeszcze, kierując się w stronę terenów zajmowanych przez małe hale. W światłach reflektorów migiała gęsta tropikalna zieleń. Spadły pierwsze krople deszczu.

Podj echawszy pod domek Eleanor, Cordie zatrzymała dżipa i powiedziała:

- Paul, usiądzie pan za kierownicą. Może Nell i ja będziemy musiały zwiewać. - Wysiadła i wyciągnęła z torby rewolwer i latarkę. - Ależ Cordie, nie będziesz chyba...

- Cicho bądź, Nell - rzuciła jej Cordie i obrzuciła smugą światła schody i werandę. - Dziś wieczorem nie zapalili pochodni. Chodźmy. Otworzysz drzwi i odsuniesz się. Ja wejdem pierwsza z latarką.

Zrobiły dokładnie tak, jak powiedziała Cordie. Ta ostrożność wydała się Eleanor trochę przesadzona, zupełnie jakby obie obejrza-343 ły w telewizji za dużo policyjnych seriali, ale Cordie z całą powagą otworzyła nogą drzwi i wkroczyła do środka z uniesionym rewolwerem w dłoni, oświetlając wnętrze latarką.

W hale nie było nikogo, a wnętrze wyglądało tak, jak Eleanor zostawiłaje wychodząc, z wyjątkiem zasłanego łóżka. Znalazła dziennik cioci Kidder, wrzuciła do torby toaletowe przybory i parę innych drobiazgów, zamknęła torbę na zamek błyskawiczny i w minutę później były już za drzwiami. Paul zawrócił samochodem i podjechał pod wejście. Cordie wskoczyła na tylne siedzenie, zostawiając

przednie Eleanor. Dżip ruszył wąską alejką z powrotem ku Wielkiemu Hale.

Tuż przed Pirackim Barem w poprzek dróżki leżało zwalone drzewo.

- O, kurczę - zmartwił się Paul.

- Objedź je z boku - poradziła mu Cordie. - Włącz napęd na cztery koła i wal przez te krzaki.

Paul pokręcił głową.

- Nie, tu jest za gęsto. Za dużo kamieni i różnych rur. Musimy znaleźć inną drogę.

- Po plaży - zdecydowała Eleanor. Piaszczysty brzeg znajdował się zaledwie o dwadzieścia metrów po lewej stronie. Gdyby wycofali się do tyłu, mogli do niego dojechać dróżką koło małego basenu, a potem skręcić w stronę Wielkiego Hale. Paul kiwnął głową i włączył wsteczny bieg. Gdyby w chwilę potem nie nacisnął ostro na hamulec, inne padające drzewo byłoby przygniotło Cordie: wyleciała tylko przez tylne oparcie i wylądowała w chłostanych wichrem palmowych liściach. - Cordie! - krzyknęła Eleanor omal nie wyskakując z fotela. - Cholera! - zaklął znowu Paul Kukali. Ton jego głosu zaalarmował Eleanor, która odwróciła się szybko.

W świetle reflektorów widać było wyraźnie, mimo ulewnego deszczu i ograniczonej do około paru metrów widoczności, ogromnego czarnego psa. Stał razem z przekrzywionym człekorekinem, dziwną postacią o jaszczurczych kształtach, wypełnioną wirującą mgiełką, i świnią o rozmiarach niedużego samochodu. Świnia i pies uśmiechali się, pokazując lśniące zęby. Mężczyzna przypominający rekina odwrócił się, a jego jeszcze ostrzejsze zęby ukazały się z uchylonej paszczy na karku. Mglisty stwór także prezentował gadzi uśmiech. W pobliskich zaroślach poruszały się z chrzęstem cienie innych jeszcze stworów.

Silnik dżipa zgasł. Paul położył bezsilnym gestem ręce na kierownicy. Rozglądał się bezradnie.

Eleanor jeszcze raz spróbowała przedostać się na tylne siedzenie, żeby zobaczyć, czy Cordie nie stało się nic złego, ale zanim zdołała dostać się na tył dżipa, jakieś silne ręce chwyciły ją za ramię i wyciągnęły z samochodu. - Nie wolno mi cię dotknąć, kobieto - powiedziała przyjemnym basem świnia. - Ale mogą to zrobić inni. - Wokół Eleanor owinał się Pana-ewa. Jego mglista sylwetka pochłonęła kobietę.

W chwilę potem krzyki zamieniły się w przeraźliwe wrzaski. Jednak Wielki Hale stał o kilkaset metrów dalej i nie było szans, aby doleciały aż tam w odgłosach burzy i dźwiękach zespołu przygrywającego na bankiecie, urządzonym przez Byrona Trumbo w luksusowych apartamentach na najwyższej kondygnacji.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zapłonęły gwiazdy.

Żar polał się z nieba.

Na wyspach podnosi się ziemia,

Fale przyboju są wielkie jak góry.

Pele wyrzuca w górę swe ciało.

Z nieba spada deszczowa ulewa.

Krajem wstrząsają trzęsienia ziemi.

Deszczowy miesiąc, Ikuwa, rozbrzmiewa grzmotem piorunów.

Pieśń towarzysząca narodzinom pierwszego człowieka, Wela-ahi-lani-nui

18 czerwca 1866 roku, bezimienna wioska na Wybrzeżu Kona

Ledwo zdałam sobie sprawę z ciszy informującej o przebudzeniu się olbrzymiej świni, zatrzęsła się ziemia i zostałam rzucona na dno wulkanicznego komina. Posypały się odłamki skał, urwały zwisające pod sklepieniem stalaktyty, a zgromadzone wokół mnie duchy zawirowały niczym fosforyzujący plankton, poruszony nogą płynącego w wodzie człowieka.

Byłam pewna, że jestem zgubiona, że będę musiała umrzeć naga i samotna w Królestwie Duchów, ale w chwilę potem z góry zjechała lina z winorośli z zawiązaną już pętlą. Ziemia zadrżała znowu i jeszcze raz cisnęła mnie na dno jaskini, ale szczelina nad moją głową nie została zasypana, toteż zabrałam się gorączkowo do obwiązywania się pętlą w pasie i ubezpieczenia jeszcze jedną pętelką wokół przegubu dłoni, tak jak poinstruował mnie pan Clemens. W sekundę później szybowałam już ku światłu, obcierając sobie gołe stopy o szorstką ścianę, na której próbowałam znaleźć jakieś oparcie. Duchy haole uniosły się wraz ze mną, wirując i kręcąc się niczym pyłki kurzu w smudze słonecznego światła. Gdzieś daleko za mną, w tunelu, rozległ się potężny ryk, nie mogłabym jednak powiedzieć, czy był to odgłos trzęsienia ziemi, czy też wydał go przebudzony, wściekły bóg-świnia.

Nie bacząc na wymogi dobrego wychowania drapałam się do krawędzi otworu, ciężko łapiąc wilgotne powietrze jaskini, zupełnie przy tym oślepiąca dziennym światłem. Ziemia drżała w dalszym ciągu, czuć było odór siarki, a niebo zabarwiło się krwisto-pomarańczowym odblaskiem. Wraz ze mną na powierzchnię wydostały się duchy misjonarzy, które natychmiast rozpierzchły się niczym mgiełka w porywach silnego wiatru. W tym momencie jednak cała moja uwaga skupiła się na stojącej przede mną postaci.

Muszę przyznać, że wybuchnęłam niepohamowanym śmiechem. Wciąż naga jak Ewa w raju, kucając w postawie, w jakiej żadna chrześcijańska kobieta nie spędziłaby jednej minuty nawet w samotności, śmiałam się tak serdecznie, że nie mogłam zrobić najmniejszego ruchu.

- Co się z panią dzieje? - zapytał pan Clemens, który odrzucił już plecionkę z winorośli, ale nadal trzymał mocno pod pachą skorupę kokosowego orzecha. - Musiałem je włożyć, żeby wyciągnąć panią na górę, panno Stewart - wyjaśnił korespondent oblewając się purpurowym rumieńcem, jakiego nie widziałam u niego nigdy dotąd.

Spróbowałam stłumić śmiech i w końcu mi się to udało. Ale nastąpiło to dopiero po ładnych paru minutach, w czasie których ziemia trzęsła się wokół nas, a za moimi plecami trwała pełna erupcja wulkanu. Spróbujcie wyobrazić sobie rumieniącego się coraz bardziej pana Clemensa, który

gorliwie ciągnął za plecionkę z winorośli, mając na sobie za cały strój buty z cholewami, bo miał tylko tyle czasu, żeby je wciągnąć, i ścisnął przy tym pod pachą nieśmiertelne szczątki naszego przyjaciela misjonarza... a wybaczyście mi tę chwilę hysterii. Pan Clemens zasłonił się skorupą orzechajak ligowym listkiem.

- Jeżeli ma pani już dość tych śmiechów - powiedział figlarnie - proponuję, żebyśmy się ubrali i odeszli stąd. Wydaje się, że Madame Pele zabrała się porządnie do roboty.

Odwróciłam się i obrzuciłam wzrokiem ogromny amfiteatr zastygłej lawy. Ze szczelin w zboczu, oddalonych o kilometr, wydobywały się płomienie. Lawa tryskała na sto metrów w górę, a po skalistej okolicy snuły się wielkie chmury siarczanych gazów. Kamienne tarasy, które jeszcze godzinę temu były tylko pozostałościami po dawnych wylewach, spływały i ociekały teraz, dosłownie na moich oczach, strumieniami roztopionej lawy, która mogła tu dotrzeć w parę minut - jeżeli już tego nie zrobiła, wypełniając wulkaniczny komin, z którego właśnie wyszliśmy. Był to zaiste otrzeźwiający widok.

Ubranie się zajęło nam mniej niż minutę, choć przyznaję, że nie dopięłam wszystkich haftek. Poczułam się dziwnie mając znowu na sobie mój przyodziewek, jakby ten krótki pobyt z panem Clemensem w krainie rajskiej niewinności obudził we mnie atawistyczne wspomnienia z czasów bytowania naszych przodków w raju. W każdym razie usiadłszy okrakiem w siodle byłam zadowolona, że mam na sobie mocną spódnicę do konnej jazdy. Konie były przerażone hałasem, drżeniem ziemi i cuchnącymi wyziewami, ale pan Clemens uwiązał je na tyle solidnie, że nie uciekły gnane panicznym strachem, który można było wyczytać w ich rozbieganych oczach. Daliśmy im ostrogi i ruszyliśmy ku północnemu wschodowi. Za naszymi plecami spływała lawa niczym niespodziewany wiosenny potop, podpalając nieliczne krzewy i trawiaste łączki, rosnące na zwałach starej pahoehe. W powrotnej drodze nie prowadził nas już żaden błędny ognik, ale pan Clemens zapamiętał drogę. Chociaż konie były mocno wyczerpane, wspinały się z determinacją po długim zboczu, bardziej ze strachu przed wulkanicznym żywiołem, który rozpętał się za nami, niż przed naszymi ostrogami. W czasie jazdy pan Clemens trzymał skorupę orzecha zaklinowaną mocno między własnym brzuchem a łękiem siodła. - Szkoda by było stracić wielebnego Haymarka po wszystkich tych trudach - powiedział w pewnej chwili. - Gdyby ten orzech potoczył się w jakiś palmowy gaj, a my podnieśliśmy z ziemi jakiś inny, po otwarciu go mogłoby się okazać, że wieźliśmy przez tyle mil jakiegoś miejscowego handlarza koni albo innego takiego osobnika.

- To wcale nie jest śmieszne, panie Clemens - powiedziałam, chociaż z pewnych powodów, prawdopodobnie wskutek skrajnego wyczerpania, sprawa rzeczywiście wydała mi się zabawna.

Tymczasem nastał poranek. Kilka razy w czasie jazdy cała wyspa zdawała się wstrząsać z taką gwałtownością, że musieliśmy zsiąść z przerażonych koni i prowadzić je za uzdy. Po zboczu staczały się głązy, doszczętnie zmiatając wszelkie krzewy czy małe drzewka ohia, jakie znalazły się na ich drodze. Chmury dymu i popiołów za naszymi plecami zupełnie zakryły słońce. Za którymś razem, kiedy już tylko czystą siłą woli zmuszaliśmy konie, żeby szły za nami, pan Clemens wyciągnął rękę w kierunku długiego zbocza, opadającego ku wybrzeżu. W pierwszej chwili nie mogłam dostrzec prawie nic przez zasłonę z dymu i popiołów, potem jednak zobaczyłam, co go zaalarmowało: na pełnym morzu, oddalona jeszcze o wiele kilometrów, toczyła się w stronę lądu gigantyczna fala. Nie musieliśmy obawiać się niczego, stojąc tak wysoko i daleko od brzegu, ale widok tej fali - o ile mi wiadomo, zwanej przez Japończyków tsunami - dosłownie zaparł mi dech w piersiach.

Patrzyliśmy z naszego obserwacyjnego punktu, jak ogromna wybrzuszona masa zielonkawej wody przewalała się daleko w dole nad skalnymi urwiskami i zalewa nieubłaganym potopem nadbrzeżne

palmowe gaje, zmiatając je jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z pola widzenia, a potem gna dalej. Z tej odległości wydawała się ta fala dość nieszkodliwa, trochę tylko większa od innych, ale nietrudno było wyobrazić sobie straszliwe zniszczenia, jakie po niej zostały. Przyszły mi na myśl oglądane tam przez nas świątynie i wioska, w której spędziliśmy noc - o dwie nieprzespane noce wcześniej - i zaczęłam się zastanawiać, czy znalazła się ona na drodze niszycielskiego morskiego żywiołu. Fala przeszła nad liczącym pół kilometra długości powulkanicznym zagłębieniem, które opuściliśmy w tak wielkim pośpiechu, a kiedy woda zalała pęknięcie z kipiącą magmą, podniósł się taki słup pary, aż wzdrygnęłam się na myśl, że pan Clemens, nasze konie i ja mogliśmy sparzyć się tam niczym krewetki w garnku z ukropem.

Obłok pary nie zbliżył się do nas za bardzo, ale skrył przed naszymi oczami najbardziej wstrząsający fragment tej sceny - spustoszenie, jakie ogromna fala poczyniła w drodze powrotnej, zabierając ogromne drzewa, domy krajowców i wszelkie żywe istoty, aby zatopić je w bezdennych głębinach. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Po tego rodzaju przeżyciach ogarnęło nas przemożne zmęczenie. Kilka razy budziłam się nagle i łapałam na tym, że zasnęłam w siodle.

Moje ręce, nogi i stopy były podrapane i posiniaczone od wędrówki na golasa po jaskini i objaniu się o jej ściany przy wyjściu; do tego ciągle jeszcze cuchnęliśmy zjełczalym olejem kukui, bo tak się nam spieszyło przy odjeździe, że żadne z nas nie zdążyło zetrzeć go z siebie. Ale nawet ten zapasek, atakujący bezustannie moje nozdrza, nie mógł powstrzymać mnie od zapadania w czasie jazdy w drzemkę. Wczesnym popołudniem, może o godzinę drogi od wioski, do której zmierzaliśmy, pan Clemens krzyknął, żeby się zatrzymać. Byłam zbyt oszołomiona nagłym przebudzeniem się, aby zrozumieć od razu powód - nie było tu trzęsienia ziemi i zostawiliśmy już za sobą najgorsze dymy i chmury popiołu - ale gdy rzuciłam okiem na mego biednego konia, zobaczyłam, że z szyją wygiętą w łuk pije wodę. Natrafiliśmy na wielką rzadkość na tym nasiąkłym wulkanicznym terenie - okresowy górski strumień z czystą, chłodną wodą. Natychmiast zsiadłam z konia, żeby też się napić. A ponieważ tylko mała cząstka cennego płynu trafiała z moich złożonych dłoni do ust, zaczęłam zastanawiać się, czyby nie pójść śladem pana Clemensa, który niczym prawdziwy człowiek gór położył się po prostu na brzuchu i chleptał wodę jak pies. Mimo wszystko przyznaję, że ten sposób jest bardziej skuteczny. Kiedy już napiliśmy się do syta, a nasze konie zapadły w drzemkę na czterech nogach, zaproponowałam mojemu towarzyszkowi, abyśmy skorzystali z tego szczodrego daru natury i zmyli z naszych ciał choć trochę cuchnącego oleju. Oswojony już przeze mnie dziennikarz zgodził się i, korzystając ze względnej intymności, jaką mógł nam zapewnić duży głaz - pan Clemens schował się za nim w górze strumienia, ja w dole - zaczęłam obmywać się najlepiej jak umiałam, bez rozbierania się. Do tego czasu straszliwy odór wniknął oczywiście w odzież, która stykała się bezpośrednio z olejem, choć więc wciągnęłam na siebie świeżą bluzkę i pantalon, które miałam w torbie, większa część naszych wysiłków spełzła na niczym.

Kiedy spotkaliśmy się znowu koło naszych koni, pan Clemens zważył w dłoni skorupę orzecha.

- Mam prawie ochotę zanurzyć ją w strumieniu, żeby wielebny Haymark także wziął udział w naszych ablucjach - powiedział, ale potem schował orzech w swej podróźnej torbie i dodał: - Coś mi jednak mówi, żeby tego nie robić. - A mnie coś mówi, że jestem półprzytomna.

Pan Clemens skinął głową, a potem zrobił coś dziwnego. Podszedł szybko do mnie i położył mi dłoń na ramieniu. W pierwszej chwili myślałam, że chce poprawić mi kołnierzyk albo odgarnąć na miejsce jakiś niesforny loczek, ale on pochylił sienie zabierając swej wielkiej dłoni i pocałował mnie.

Byłam tym tak zaskoczona, że nie zaprotestowałam. Nie odepchnęłam go od siebie.

I pan Clemens pocałował mnie znowu.

W końcu odstałam oszołomiona do tyłu, oparłam dłonie na jego piersi i odepchnęłam go, choć nie włożyłam w to zbytnej siły. Pan Clemens przestępował przede mną z nogi na nogę. - Proszę mi wybaczyć, panno Stewart, ale pragnąłem to zrobić od chwili, gdy jeszcze na statku dyskutowaliśmy przy świetle gwiazd na kosmiczne tematy. Przepraszam za moją śmiałość i niezgrabne zachowanie, ale nie wstydzę się uczuć, które do tego zachowania mnie popchnęły. Mam jak najlepsze intencje i proszę, aby nie brała ich pani za chwilowy impuls.

Nie mogłam dobyć z siebie słowa. W końcu wybąkałam:

- Doprawdy, panie Clemens...

Mój towarzysz zaczął jeszcze szybciej przebierać nogami i oblał się takim samym rumieńcem jak ten, z którego tak się śmiałam przed niespełna trzema godzinami. Uporządkowałam włosy i przybrałam niezadowoloną minę obrzucając go ostrym, nieprzyjaznym spojrzeniem, choć muszę przyznać, że myślami wracałam wciąż do wrażenia, jakie odniosłam czując jego wargi na moich i dotyk jego silnych, wrażliwych palców na moim ramieniu.

- Powinniśmy ruszyć dalej - powiedziałam w końcu, pociągając za lejce, aby przebudzić mego konika z drzemki.

- Muszę poprosić panią jeszcze raz o wybaczenie, panno Stewart, jeśli pani...

- Porozmawiamy o tym później - ucięłam krótko, ostrzej może niż zamierzałam. Skórzane siodło zaskrzypiało, kiedy wspinałam się na nie, aby usiąść okrakiem, w niezgrabnej pozycji, której używałam od przyjazdu na wyspy. Pan Clemens rzucił się, żeby mi pomóc, ale ja siedziałam już w siodle. Pociągnęłam za wodze. - Powinniśmy się pospieszyć - powiedziałam. - Nie wiemy, jak długo dusza wielebnego Haymarka zachowa skuteczność w tym prowizorycznym zamknięciu. Pan Clemens mruknął coś, co wzięłam za zgodę, wsiadł na konia, po czym podjęliśmy wspinaczkę po wulkanicznym zboczu Mauna Loa. Moje myśli były tak samo skłębione i powykręcane, jak otaczające nas teraz zwały zastygłej lawy a 'a.

Do zrujnowanej wioski dotarliśmy jakoś tak w środku popołudnia. Byłam zbyt zmęczona, aby sięgnąć po zegarek. Nigdzie nie było widać mieszkańców, co uspokoiło mnie nieco. Martwiłam się, że pan Clemens będzie musiał może zastrzelić paru z nich, żeby wreszcie dali nam spokój. Mój zuchwały towarzysz zdawał się podzielać to uczucie ulgi, bo miał wyraźnie lepszy humor niż po mojej reprimendzie nad strumykiem. Pomógł mi zsiąść z mego Ho, który charczał głośno, jak to czynią konie na krótko przed padnięciem. W szalasy czekała na nas stara kobieta, a także leżące bez życia ciało wielebnego Haymarka. Przykucnęłam przy nim szukając pierwszych śladów rozkładu, które przekonałyby mnie o tym, że wypadki paru ostatnich godzin były tylko narkotycznym snem.

Nasz kapłan leżał bez ruchu i był zimny w dotyku, ale nie okazywał żadnych symptomów, które nieuchronnie powinny dać już znać o sobie po dwunastu godzinach pozostawania w stanie śmierci.

- Przynieśliście to - powiedziała staruszka tonem bynajmniej nie pytającym. Uspokoiliłam się trochę widząc, że nie unosi się już na środku pomieszczenia, ale siedzi na jednej z plecionych mat, zupełnie tak samo jak ja. Pan Clemens pokazał jej skorupę orzecha.

- To dobrze - powiedziała staruszka. Przyjrzałam się uważnie jej twarzy, ale nie miałam już pewności, że jest ona tą samą osobą, co atrakcyjna młoda kobieta, jaka ukazała się nam koło wejścia do groty. Byłam zresztą zbyt zmęczona, aby przywiązywać do tego jakiegokolwiek znaczenie.

Staruszka wymierzyła mi policzek. Zupełnie tym zszokowana podniosłam dłoń do palącej twarzy.

- Musisz się obudzić, żeby tego dokonać - powiedziała. - Musisz rozumieć i zwracać uwagę na

każdy krok. Jeżeli popełnisz błąd, wasz przyjaciel kahuna utraci na zawsze swoją duszę.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Nie byłam w stanie zrobić nic więcej.

- Ja się tym zajmę - powiedział pan Clemens wkraczając między mnie a staruszkę.

Stara kobieta potrząsnęła siwymi włosami.

- Może to zrobić tylko kobieta, która oddaje cześć Pele. - Ja wcale nie oddaję czci Pele - powiedziałam odrętwiałymi z przerażenia wargami. - Jestem chrześcijanką z Ohio.

Staruszka uśmiechnęła się niewyraźnie. Uniosła naczynie z tykwy wypełnione mętnym płynem.

- Wypij to - powiedziała rozkazującym tonem. Spojrzałam nieufnie na kleisty płyn, ale wypiałam go. Po kilku sekundach poczułam, że przenika mnie dziwna energia.

- Teraz - powiedziała staruszka - możemy zaczynać. Od strony otwartych drzwi doszedł głośny łomot. Pan Clemens spojrzał w tamtym kierunku ponad moją głowę.

- Mój Boże - szepnął.

Całe wejście wypełniał gigantyczny wieprz z Podziemnego Świata Milu. Serce zamarło mi w piersi.

Stara kobieta nie przerwała swoich przygotowań. - On nie może tu wejść - rzuciła ostrym tonem. Położyła mi na głowie pomarszczoną dłoń, spojrzała na wieprza i powiedziała:

- Wiedz, Kamapua'a, że ta haole wahine i wszyscy jej potomkowie zostali oddzieleni przez moje dotknięcie. Znajdują się pod opieką Pele. Nie wolno ci wyrządzać krzywdy ich ciałom.

Wieprz chrząknął ze złością, a potem uśmiechnął się.

- Ale mogę pożreć ich dusze.

- Nie wolno ci tu wejść - odparła staruszka. - Ten dom znajduje się poza zasięgiem twojej mocy. Odwołałam się do potęgi Kilauea. Twoja moc tu nie działa.

Wieprz zaczął nerwowo grzebać racicami ziemię.

- Posłuchaj - zwróciła się do mnie staruszka. - Każdy twój krok musi być taki jak trzeba, inaczej uhanie twojego przyjaciela będzie stracona na zawsze. W tym momencie zabrzmiał śpiew. Rozpoczął się rytualny obrządek. Cordie odzyskała przytomność leżąc w kupie połamanych palmowych liści. Właściwie ani na chwilę nie doznała zaćmienia umysłu: wiedziała dokładnie, gdzie jest i co się wydarzyło na moment przed tym nokautem. Pamiętała stojące na drodze potwory, paniczne wysiłki Paula, aby wycofać samochód, padające drzewo i jej własny upadek przez tylną ściankę pojazdu. Nie wiedziała tylko, czy wszystko to wydarzyło się pół minuty, czy trzy godziny temu. Ciągłe padało, choć nie tak ulewnie, jak w powrotnej drodze z hale jej przyjaciółki. Ten ostatni szczegół niewiele wyjaśniał - w ciągu ostatnich paru dni tropikalne burze deszczowe zmieniały napięcie z minuty na minutę.

Walcząc z mdłościami, które nieuchronnie przychodzą po tak mocnym uderzeniu w głowę, Cordie wygrzebała się z palmowych liści i podciągnęła do tylnego zderzaka dzipa. Jakiś mały, mokry i owłosiony zwierzak otarł się o jej nogę i Cordie instynktownie zacisnęła pięści, aby uświadomić sobie w chwilę potem, że to tylko szczur. One żyjąca tych cholernych kokosowych palmach. Prawdopodobnie z pięćdziesiąt tych obrzydliwych gryzoni biegało po mnie, kiedy leżałam zemdlna, uświadomiła sobie. Poczula gęsią skórkę, ale zmusiła się, żeby o tym nie myśleć. Jako dziecko należała do białej biedoty, żyjącej koło wysypiska śmieci, na którym bawiła się codziennie. Większą część dorosłego życia spędziła na zbieraniu odpadków. Nie cierpiała szczurów, ale nie były one dla niej niczym nowym.

Zanim jeszcze stanęła na nogach, zaczęła obmacywać ziemię wokół siebie szukając swoje słomkowej torby. Kiedy dżip zderzył się z drzewem, miała na ramieniu jej długi pasek, pamiętała jednak, że kiedy wylatywała z samochodu, torba poszybowała w inną stronę. Znalazła ją w pół minuty i stwierdziła, że jest zamknięta. Otworzyła ją, wyjęła rewolwer i latarkę. Położyła kciuk na spuście i czując w głowie pulsowanie, które musiało być następstwem niewielkiego wstrząsu mózgu, podniosła się, z wyciągniętym przed siebie rewolwerem w jednej i latarką w drugiej ręce.

W dżipie nie było nikogo. Stąpając między ostrymi gałęziami ruszyła wzdłuż uwięzionego samochodu od strony kierownicy. W świetle palących się wciąż reflektorów widziała krople deszczu, ale nie było śladu po dziwnych stworach. Nic nie ruszało się także w pobliskich zaroślach. Cordie podeszła do maski, operując na wszystkie strony światłem latarki. Przed autem nie było nikogo. Z liści ukrytych w mroku drzew kapłała woda.

Usłyszała cichy dźwięk z lewej strony i przykłękała na jednym kolanie, unosząc lufę rewolweru tak, aby zrównała się ze snopem światła. Dźwięk odezwał się znowu. Zabrział jak jęk. Cordie skierowała strumień światła do dołu i zobaczyła gołą męską stopę wystającą z grządki kwiatów. Tuż obok stopy widać było osadzone w ziemi tabliczki. Nawet z tej odległości Cordie była w stanie odczytać widniejące na nich napisy: „Róża chińska”, „Werbena”, „Paproć Hapu’u”. Mężczyzna jęknął znowu. Cordie jeszcze raz obrzuciła światłem latarki najbliższą okolicę i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma żadnego dziwnego potwora, podeszła do leżącej na ziemi postaci.

Był to Paul Kukali. Coś zerwało z niego koszulę, a jego spodnie były w strzępach, jakby poszarpały je jakieś długie pazury. Na lewej stronie twarzy widniały stłuczenia i rany, jedno oko zasłaniał wielki siniak, lewa ręka nosiła wyraźne ślady złamania w dwóch miejscach, w prawej dłoni brakowało jednego palca, na piersiach i udzie widać było głębokie nacięcia, a prawa stopa spoczywała w nienaturalnej pozycji, jakby była wykręcona w kostce.

- Jezu - szepnęła Cordie - co oni z tobą zrobili! - Nie darzyła Paula zbyt dużą sympatią i z jakiegoś powodu nie miała do niego pełnego zaufania, ale było jej przykro oglądać go w tym stanie.

Archeolog jęknął znowu. Cordie pochyliła się nad nim i przyłożyła dłoń do jego nagiej piersi. Mimo tylu ran mężczyzna oddychał głęboko, a jego serce biło równym rytmem.

- Paul - szepnęła Cordie - gdzie jest Nell? Gdzie jest Eleanor? Paul Kukali nie przestawał jęczeć. Nie był w pełni przytomny.

Cordie poklepała go po ramieniu i podniosła się. Miała dość medycznego wykształcenia, aby wiedzieć, że powinna zostawić go w spokoju i raczej ściągnąć jakąś pomoc tu, na miejsce, a nie odwrotnie. Mógł mieć uszkodzony kręgosłup albo poważne obrażenia wewnętrzne, które zabiłyby go, gdyby próbowała poruszyć jego ciało. Cordie zdawała sobie jednak sprawę i z tego, że w tym obłąkańczym ośrodku i o tej godzinie nie można liczyć na szybką pomoc medyczną. Potwory, które tak poturbowały Paula, mogły dopaść równie dobrze i ją, zanim zdołałyby dotrzeć do Wielkiego Hale, a to oznaczało, że Paul mógł umrzeć w tym ciemnym zakątku. - Niedługo wrócę - oznajmiła i zaczęła omiatać światłem latarki asfaltową alejkę i okoliczne kwietniki. Dostrzegła odciski stóp - ludzkich albo jakichś innych - i zdeptane grządki, ale nigdzie nie było śladu Nell. Nagle w smudze światła ukazał się jakiś blady kształt, w zielonej gęstwinie o jakieś dwadzieścia kroków na prawo od zwałonego drzewa, które zablokowało im drogę. Cordie pochyliła się i trzymając w pogotowiu rewolwer, zaczęła przeciskać się pod niskimi gałęziami. Deszcz przybrał na sile. Odgłos kapania kropel wody, ściekającej z górnych liści na dolne, mógłby w innych okolicznościach mieć uspokajające działanie. Była to Eleanor. Ubranie miała całe i nie było widać na jej ciele żadnych zewnętrznych obrażeń. Cordie wsunęła rewolwer za pasek i ujęła jej przegub, aby zbadać puls, a

potem przyłożyła policzek do piersi. Tętno było niewyczuwalne. Eleanor nie oddychała. Jej ciało było zimne w dotyku. - Cholera - rzuciła Cordie. Ścisnęła latarkę w zębach i zaczęła ciągnąć Eleanor przez niskie zarośla. Zanim dociągnęła ją do alejki, zaczęła ciężko łąpać powietrze, a ból pulsujący w jej skroniach sprawił, że zakręciło się jej w głowie. Musiała przysiąść na jednym z kamieni leżących wzdłuż kwietnej rabatki i odczekać, aż miną jej mdłości i zawrót głowy. A potem uniosła ostrożnie ciało Eleanor, podeszła z nim do dzipa i ułożyła je na mokrym tylnym siedzeniu.

Paul Kukali przestał jęczeć, wciąż jednak oddychał. Cordie owinęła kolorową chustką jego krwawiącą prawą dłoń bez palca, a potem, starając się nie dotykać pogruchotanego lewego ramienia, na poły poniosła, a na poły pociągnęła jego ciało na przednie siedzenie samochodu. W czasie tej operacji Paul jęczał głośno, zwłaszcza wtedy, gdy złamana kostka nogi szorowała po ziemi; nie odzyskał jednak pełnej świadomości.

Uporawszy się za pomocą pasa bezpieczeństwa z umocowaniem archeologa na przednim siedzeniu i zabezpieczywszy ciało Eleanor, aby nie stoczyło się na podłogę samochodu, Cordie oparła się na chwilę o burtę wozu, aby pozbyć się zawrotu głowy. Potem rzuciła podręczną torbę na podłogę, schyliła się do przewodów, aby spiąć na krótko kabel rozrusznika i kiedy udało się jej uruchomić silnik, usiadła po prostu na chwilę za kierownicą. Drogę blokowało duże drzewo przed maską i mniejsze z tyłu, ale z przodu leżała palma kokosowa, której liście tworzyły bezładną masę na klombie po prawej stronie. Cordie włączyła napęd na cztery koła i niskie przełożenie obrotów, po czym, kołysząc się i podskakując, przejechała po kupie liści. Chodziło jej po głowie, że coś może zwalić się jej z jazgotem na kark, ale była zbyt zajęta tym, żeby nie wywrócić auta, aby martwić się tą sprawą. W chwilę potem była już na asfaltowej alejce prowadzącej do Wielkiego Hale, a niedaleko zamajaczył jej ciemny kształt Pirackiego Baru.

Włączyła napęd na jedną oś, po czym nacisnęła pedał gazu. Pięciosobowy hawajski zespół odmawiał początkowo przyjazdu do Mauna Pele, ale Byron Trumbo obiecał im dodatkowy tysiąc, więc zjawili się, żeby przygrywać pośród nocy na saksofonach, gitarach i ukulele. Sztormowe latarnie napełniały łagodnym światłem długą bankietową salę, a członkowie świty Sato popijali obficie, nie bacząc na konwenanse. Trumbo z zadowoleniem słuchał muzyki, ponieważ ginęły w niej zarówno odgłosy burzy, jak i niezwykła cisza panująca w prawie zupełnie wyludnionym hotelu poniżej siódmego piętra. Dzięki muzyce mógł też skupić się bardziej na własnych myślach niż na rozmowie.

Z tego myślenia niewiele jednak wychodziło. Zgodnie z pierwotnym planem Sato podpisałyby dokumenty po południu, a bankiet miał być dla obu stron uroczystym zamknięciem negocjacji. Choć wydawało się, że warunki są ustalone, Hiroshe Sato i jego doradcy zaniepokoił zniknięciem Sunny'ego Takahashi i odmówili złożenia podpisów, dopóki młodzieniec nie wróci. Zgodnie z tym, co Byron Trumbo wiedział na ten temat, Sunny tak naprawdę nie umarł, ale zmienił się w coś w rodzaju ducha, przetrzymywanego w wulkanicznym kominie w południowej części ośrodka przez ogromnego, gadającego ludzkim językiem wieprza. Wieprz był skłonny oddać Sunny'ego z powrotem, jeśli on, Byron Trumbo, amerykański miliarder, zejdzie tam na rozmowę.

Niesamowita, popieprzona sprawa, dumiał Trumbo. Nie był człowiekiem przesadnym ani religijnym, nie interesowały go też zjawiska nadprzyrodzone, ale miewał już do czynienia z dziwnymi, cholernymi sprawami. Nie da się zgromadzić majątku o wartości ponad miliarda dolarów i nie natykać się na niesamowite sprawy. Nie można też zarobić takiej forsy bez umiejętności skupiania się na jednej sprawie, a sprawą, na której Byron Trumbo skupił w tej chwili całą swoją uwagę, było doprowadzenie do podpisania umowy i pozbycie się Mauna Pele, aby wydostać się przy

użyciu tego kapitału z finansowych trudności. Gadająca świnia mogła poczekać, aż on przeprowadzi racjonalną analizę sytuacji. Poczekać mogła też druga gadająca świnia, Caitlin Sommersby Trumbo, choć Byron Trumbo wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze wydarzy się między nimi coś racjonalnego. Trochę wcześniej zjawiał się obecny szef ochrony, Michaels, żeby mu szepnąć do ucha, że pani Trumbo i jej adwokat, a także obie pozostałe panie przebywają razem pod dobrą ochroną na siódmym piętrze Wielkiego Hale. Pod pozorem, że zbliża się huragan, Trumbo przekonał tamte dwie, żeby się przeniosły do głównego budynku. Wyglądało zresztą na to, że wcale się nie pomylił. Był niezadowolony, że trzy kobiety spotkały się w końcu w jednym miejscu; strata Mayi nie była zbyt bolesna - jego stosunki z nią i tak zmierzały do naturalnego końca, ale znajomość z Bicki dostarczała mu niezwykłych wrażeń. Cóż, pomyślał, może nie utracę jej całkowicie. Prędko odsunął te sprawy na bok. Skupił się na najpilniejszej kwestii.

A najpilniejszą kwestią było zachęcić Hiroshe, żeby podpisał kontrakt. Trumbo podejrzewał, że chociaż Grupa Sato pozornie zdawała się nie dostrzegać chaosu panującego w Mauna Pele, zniknięcie Sunny'ego było kropelką, dopełniającą ich niepokój i niezdecydowanie. Pomimo zajadłości, demonstrowanej przez ten kraj w całej jego historii z drugą wojną światową włącznie, współcześni Japończycy byli uwrażliwieni na stosowanie przemocy i mogli wywahać, co tu się naprawdę dzieje.

Z drugiej strony Trumbo zdawał sobie sprawę, że młody Hiroshe próbuje wyjść z cienia u boku swego ojca, a stworzenie tak pięknego golfowego klubu na największej wyspie Hawaj ów było najkrótszą drogą do osiągnięcia tego celu. Interes ten mógł zamienić go w szczęśliwego przedsiębiorcę, obracającego na własny rachunek miliardowym kapitałem... albo pechowca marnującego majątek starego ojca. Tak naprawdę Byronowi Trumbo było wszystko jedno, jak te sprawy potoczą się dalej. Chciał tylko sprzedać ośrodek i zainkasować gotówkę. Zadał sobie pytanie, czy nie powinien polecić, aby przywrócono pełne zasilanie. Awaryjny generator prądu znajdował się pod ochroną i pracował normalnie, Trumbo kazał jednak zostawić dopływ prądu tylko do windy, do systemu alarmowego na siódmym piętrze i do oświetlenia sali konferencyjnej, kiedy przyjdzie czas na składanie podpisów... jeśli w ogóle przyjdzie. Na razie Japończykom zdawał się odpowiadać klimat stwarzany przez sztormowe latarnie, postanowił więc zostawić to bez zmian.

Muzyczny zespół dawał z siebie wszystko, Will Bryant znowu siedział przy stole, przezornie unikając spojrzenia szefa, a Trumbo rozmawiał o jakichś głupstwach z Hiroshe, staruszką Matsukawą i doktorem Tatsuro. Do sali wszedł znowu Michaels. Trumbo nie lubił nadstawiać ucha na szept, wstał więc na chwilę od stołu.

- Dwie rzeczy - powiedział wzburzony ochroniarz. - Po pierwsze, nie ma łączności z Fredricksonem.

- Masz na myśli to, że nie zgłosił się o umówionej porze? - Nie - odparł Michaels. - Po prostu nie ma z nim łączności. Mieliśmy go na stałym nasłuchu, więc gdyby był w kłopotach, nie musiał nic robić, tylko puścić cichacza i...

- Puścić cichacza? - zdziwił się poirytowany Trumbo. Nie lubił, kiedy jego ludzie używali gwarowych dwuznaczników.

Michaels zaczerwienił się.

- To stare określenie, sir, jeszcze z Wietnamu. Zaczy się, mieliśmy go na nasłuchu, więc wystarczyłoby mu tylko nacisnąć guzik nadawania i już byśmy go słyszeli. Porozumiewaliśmy się ten sposób, kiedy siedzieliśmy w jakichś zatraconych dziurach i nie chcieliśmy, żeby ci z Viet-Congu nas podsłuchali... - Dobrze, dobrze - machnął ręką Trumbo. - Oszczędź mi tych wojennych

powiastek.

Więc wystarczyłoby, żeby Fredrickson nacisnął guzik, a on tego nie zrobił? - Nie wiemy, panie Trumbo. Nie mamy z nim łączności. Wygląda na to, że coś rozwalilo mu nadajnik.

- Albo pożarło - powiedział Trumbo.

- Słucham?

- Nic, nic - odparł Trumbo.

- Poślemy tam paru ludzi, sir? - zapytał Michaels. - Tu na górze panuje względny spokój, więc można by...

- Nie - uciął Trumbo. - Jeżeli Fredrickson jeszcze żyje, na pewno zrobi co do niego należy i znajdzie sposób, żeby nas zawiadomić, gdyby coś wylazło z tej podziemnej dziury. A jeżeli nie żyje... hmm, to po co narażać ludzi? A ta druga sprawa, z którą przyszedłeś?

- Jest tu pani, która chce z panem porozmawiać, sir. Trumbo westchnął.

- Która z nich? Caitlin?

- Nie, sir - odparł szybko Michaels. - Ona jest naszym gościem. Nazywa się Stumpf.

Trumbo nie odpowiedział od razu.

- Jest naszym gościem? Myślałem, że wszyscy dawno już wyjechali.

- Niezupełnie, sir. Pani Stumpf jest laureatką konkursu, i teraz... - Tak, pamiętam - odparł Trumbo.

- Powiedz jej, że złapię ją jutro rano, po śniadaniu.

Zakłopotany Michaels zaczął przestępować z nogi na nogę. - Ona twierdzi, sir, że ma bardzo ważną sprawę. Mówi, że chodzi o psa, rekina i świnię. Powiedziała, że pan to zrozumie.

Trumbo obejrzał się w kierunku stołu. Kelnerzy roznosili właśnie desery - lody z miejscowymi owocami mango, piankowe torciki o smaku czekoladowym i kawę - wyglądało więc na to, że jego goście będą mieli czym się zająć przez kilka następnych minut.

- Dobrze - zdecydował. - Gdzie ona jest?

Cordie czekała na niego w przedpokoju. Trumbo poznał tę krępa, niską kobietę z okrągłą jak piłka twarzą, kiedy składała wraz z kustoszem i jeszcze jedną kobietą zawiadomienie o psie biegającym z ludzkimi szczątkami w zębach, teraz jednak zaskoczył go jej wygląd, mokre włosy i zszargane ubranie. - Pani Stumpf! - powiedział z wylewną serdecznością i otworzył ramiona, nie mając zresztą zamiaru brać w objęcia ociekającej wodą postaci. - Tak nam miło, że przyjęła pani zaproszenie do naszych wygodniejszych apartamentów na siódmym piętrze na czas sztormu! Co możemy zrobić, żeby jeszcze bardziej umilić pani pobyt?

Pani Stumpf odchrząknęła.

- Poślij pan gdzieś tego goryla - zażądała.

Michaels nastroszył się trochę, ale Trumbo uśmiechnął się znowu. - Proszę się nie niepokoić, pani Stumpf, mój współpracownik jest zaufanym człowiekiem. Wszystko, co pani powie, zostanie zachowane w tajemnicy. - Powiedz mu pan, żeby stąd spieprzał - powtórzyła mała kobietka.

Trumbo zmrużył oczy, ale uśmiechał się nadal, może tylko nie tak promiennie. - No to spieprzaj stąd - zwrócił się do Michaelsa. Ochroniarz spojrział na niego pytająco, ale zniknął w korytarzu, gdzie czekali jego podwładni. - A więc - powiedział - co to za historia z tymi rekinami, świniami i czym tam jeszcze?

Cordie Stumpf odchrząknęła znowu.

- Byron, chłopcze, masz dwa problemy. Po pierwsze, na twój hotel napadają w tej chwili mitologiczne bestie. Przed zaparkowaniem mojego dżipa w pustym holu widziałam, jak dzikie świny ryły w ogrodach, a ten pies z ludzkimi zębami latał po korytarzu na drugim piętrze.

- Zaparkowała pani dżipa w holu? - zapytał oszołomiony Trumbo. A potem dodał, odzyskując zimną krew: - Nie ma żadnych powodów do zmartwienia, pani Stumpf. Przyznaję, że w ciągu ostatnich paru dni zdarzały się pewne trochę... hmm... niezwykle rzeczy, ale od jutra wszystko wróci już do normy. Każę mojemu pracownikowi, żeby odprowadził panią bezpiecznie do pani apartamentu. - Położył dłoń na jej karku, czując pod palcami mokrą bluzkę i solidne mięśnie pleców, a potem ruszył z nią w kierunku drzwi. Cordie Stumpf nie opierała się. - Och - powiedziała jeszcze. - Wspomniałam przecież, że masz dwa problemy.

Trumbo poczuł, że zaraz ziewnie, ale opanował się.

- Tak, słucham?

Cordie Stumpf przystanąła, odwróciła się lekko, sięgnęła do swej taniej podręcznej torby i wyciągnęła z niej trzydziestkęósemkę z długą lufą, po czym przyłożyła ją do żeber Byrona Trumbo.

- To jest ten drugi problem - wycedziła szeptem i naciągnęła kciukiem spust.

Trumbo przyjął jej oświadczenie bez najmniejszego ruchu. - Okay - powiedział w końcu. - Jak go rozwiążemy? Cordie kiwnęła głową w kierunku wewnętrznych drzwi.

- Pójdziemy tamtędy, wyjdziemy tylnymi drzwiami i zejdziemy schodami na dół. Pójdiesz ze mną. Będziesz trzymał gębę na kłódkę. Nie będziesz dawał żadnych sygnałów służbie. Jeżeli dasz najmniejszy znak albo spróbujesz mi się sprzeciwić, pociągnę za spust.

- Chyba zdaj e sobie pani sprawę, że jest pani pieprzoną wariatką? - zapytał Byron Trumbo.

- Tak - odparła Cordie i docisnęła lufę do żeber miliardera. - Popatrz na mnie. Trumbo spojrzał w jej małe, wyblakłe oczy. Wcześniej tego dnia trzymała go na muszce pistoletu jego wściekła żona, ale wiedział przynajmniej, gdzie leży kres jej szaleństwa. To, co błyszczało w oczach tej kobiety, mogło przekroczyć wszelkie granice.

- W porządku - powiedział. - Nie narobię pani żadnych kłopotów. Wyjdziemy tylnymi drzwiami. Niech pani zwolni spust, dobra? - Zwolnię go, jak znajdziemy się tam, dokąd idziemy - powiedziała Cordie. Mówiła zmęczonym i płaskim, ale stanowczym głosem. - Albo jeżeli będę musiała go nacisnąć.

Trumbo poczuł, że cierpnie mu skóra, ale odwrócił się i poprowadził ją wewnętrznym korytarzem, tak aby ominąć bankiet w pokojach recepcyjnych. Cordie odjęła rewolwer od jego boku, ale tylko po to, żeby ukryć go w torbie. Trumbo nadal czuł, że przez plecioną słomkę poszturchuje go koniec lufy. Wyszli tylnymi drzwiami na taras. Trumbo skinął głową gorylom pilnującym zewnętrznych drzwi i korytarza.

- Chce pan, żebyśmy zjechali z panem, Mr. T.? - zapytał potężny ochroniarz przy windzie.

Trumbo pokręcił przecząco głową i wszedł wraz z małą kobietką do środka. Przez cały czas czuł na żebrach jej podręczną torbę.

- Które piętro? - zapytał.

- Szóste.

Trumbo zdziwił się. Sądził, że zjadą do głównego holu. Znalazłszy się na szóstym piętrze, skierowali się do bezpłatnego apartamentu Cordie Stumpf. - Paul Kukali został ciężko poturbowany - powiedziała ze swoim środkowo-zachodnim akcentem Cordie. - Zostawiłam go pod opieką dwóch

facetów z ochrony, którzy zawieźli go do lekarza na siódme piętro. - Do doktora Scamahorna - powiedział odruchowo Trumbo. -Przeniósł ambulatorium..

- Tak, wiem - przerwała mu Cordie przekręcając klucz w zamku apartamentu. Ruchem ręki poleciła mu wejść do środka. Obrzuciła smugą światła z latarki wewnątrz i otworzyła drzwi do sypialni. Pod pikowaną ręcznie hawajską kołdrą leżało ciało kobiety.

- Jezu - powiedział Trumbo dotykając zimnej dłoni. Rozpoznał doktor Perry, która wraz z Cordie Stumpf udzielała informacji o psie. Ciało było tak lodowate, że śmierć musiała jego zdaniem nastąpić kilka godzin wcześniej, być może wskutek utonięcia w morzu. - Co się stało? - zapytał. Pieprzona świnią, przeleciało mu przez głowę. To musi być jej sprawka.

- To sprawka tej świni - powiedziała zmęczonym głosem Cordie, jakby czytała w jego myślach. - Ale świnią nie mogła dotknąć jej osobiście z powodu zakazu Pele z tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego roku, więc ten wieprz poszczuł na nią Pana-ewę.

Trumbo wytrzeszczał oczy na małą kobietkę, jakby zaczęła przemawiać do niego jakimś afrykańskim narzeczem.

- Mniej sza o to - powiedziała Cordie i wyprowadziła go z sypialni. - Chciałam tylko sprawdzić, co się z nią dzieje. Myślę, że będzie jej tu całkiem dobrze. Te potwory nie przypuszczały pewnie, że ja tu wrócę. A tak naprawdę myślę, że one mają mnie całkiem w nosie.

- Potwory? - zapytał Trumbo. Irytowało go, że ta pękata kura domowa każe mu łązić po hotelu trzymając go na muszce rewolweru, podczas gdy on powinien kończyć teraz na górze transakcję z Sato. Ale jednocześnie ta nowa przygoda była absurdalnym zwieńczeniem serii niewytłumaczalnych zdarzeń, które działy się wokół niego w ciągu ostatnich paru dni, i wydawała mu się w jakiś zagadkowy sposób zabawna.

- Mniejsza o to - powtórzyła Cordie Stumpf. Kiedy wyszli na ciemny korytarz, zamknęła drzwi na klucz i nasłuchiwała przez chwilę. Trumbo także natężył słuch, mając świadomość, że lufa rewolweru znowu uciska mu żebra. Z niższych pięter dochodziły odgłosy bieganiny, a w pewnej chwili dało się słyszeć stłumione warknięcie.

Cordie popchnęła go w kierunku schodów.

- Stąpaj po cichu - szepnęła. Na szczęście jego adidas nie robiły prawie żadnego hałasu.

Zatrzymali się dopiero na pierwszym piętrze i skierowali przez mroczny hol do restauracji. Była zamknięta.

- Mam nadzieję, że masz klucz do tych drzwi - szepnęła Cordie. Coś poruszyło się między doniczkowymi roślinami, stojącymi za posągami kłęzących buddyjskich mnichów.

Trumbo chciał już zaprzeczyć, że ma przy sobie klucze, ale szmery pośród zieleni odwiodły go od tego. Otworzył drzwi i przekręcił 361 znów klucz w zamku, kiedy oboje wśliznęli się do restauracji. Cordie przepatrzyła długie pomieszczenie w świetle latarki, ale jej uwaga ani na moment nie odwróciła się od Trumbo na tyle, żeby mógł dosięgnąć grożącego mu rewolweru. Jeszcze trochę, pomyślał.

- Czy to jest kuchnia? - zapytała szeptem, oświetlając jakieś drzwi.

- Tak.

Popchnęła go w tym kierunku. Weszli przez wahadłowe drzwi. W świetle latarki ukazały się błyszczące stoły i schowki z nierdzewnej stali. - Gdzie jest spizarnia? - spytała szeptem. Trumbo ruszył pierwszy zastanawiając się, czy ta kobieta nie jest przypadkiem zwariowanym obzartuchem i

nie zamierza zająć się na śmierć, trzymając go na muszce rewolweru. Nie miałby zresztą nic przeciwko temu, gdyby tylko zrobiła to na tyle szybko, żeby mógł wrócić na bankiet.

Po wejściu do spiżarni Cordie próbowała zapalić światło, ale prąd nadal był wyłączony.

- Czego pani szuka? Może pomogę znaleźć? - zapytał Trumbo wodząc wzrokiem po rzędach puszek i różnych smakołyków godnych pięciogwiazdkowej restauracji. Za czym ona się rozgląda? - pomyślał. Może za arszenikiem? Albo za inną trucizną? Cordie namyślała się tylko przez chwilę.

- Pasta sardelowa - powiedziała, kierując światło latarki najedną z dolnych półek.

Trumbo wybałuszył na nią oczy, ale posłusznie podał jej szarą tubkę, kiedy pomachała w jego kierunku rewolwerem.

- Weź lepiej dwie tubki - powiedziała gruba kobietka. - I jeszcze tę długą tubkę pasty czosnkowej, tam, wyżej. Tak... to jest to. Trumbo zdjął z półki ciężki, przeznaczony dla zakładów żywieniowych pojemnik z płynnym czosnkiem. Czuł się w tej chwili jak zastraszonego pantoflarza, robiącego zakupy w supermarkecie.

- Co pisze na tym małym ciemnym słoiku? - zapytała Cordie. Trumbo pochylił się i odczytał w świetle latarki napis na etykiecie.

- Wyciąg z drożdży - powiedział. - To taka marmolada, którą niektórzy z naszych angielskich gości lubią smarować grzanki na śniadanie, i... - Znam to - przerwała mu Cordie. - Próbowałam tego raz w Londynie. To ta czarna pasta z drożdży, co to pachnie jak mysz, która wpadła do garnka i zdechła rok temu. Albo jeszcze gorzej. Weź to też, najlepiej ze dwa słoiki.

Ona się chyba szykuje do zrobienia jakiejś kanapki, pomyślał Trumbo. Ale ja nie wezmę jej do ust.

- Jeszcze ser - powiedziała Cordie, po czym oboje podeszli do lodówki. - Niech pani posłucha - powiedział Trumbo, kiedy stanęli przed stelażem wypełnionym serami - jeżeli jest pani głodna, to niech pani pojedzie ze mną na górę, tam jest właśnie bankiet, więc...

- Zamknij się - przerwała mu Cordie i wskazała rewolwerem: - Trochę tego sera limburskiego. I tego niebieskawego.

- Trzeba będzie przekroić to nożem - powiedział Trumbo i odwrócił się w stronę kuchni.

- Bystry z ciebie chłopak - odparła Cordie, zawracając go ruchem dłoni. - Przełam rękami. A jeszcze lepiej zabierz całego limburgera. - Przecież on musi ważyć z pięć kilo - powiedział Trumbo, żonglując pojemnikami z pastą sardelową i czosnkową, żeby ściągnąć jakoś z półki ogromne koło śmierdzącego sera.

- Mocny z ciebie facet - pochwaliła Cordie. Przytrzymała mu drzwi, a potem wzięła go znowu na muszkę, kiedy szli przez mroczną restaurację. Przystanęła na chwilę przy drzwiach i uchyliła je trochę.

- Dokąd teraz? - zapytał szeptem Trumbo. Jeżeli zrobi jeszcze dwa kroki w moją stronę, przeleciało mu przez głowę, zwałę ją z nóg tym pieprzonym bochnem. Ogromny limburski ser śmierdział tak, że Trumbo miał ochotę cisnąć nim o ziemię.

Cordie usłyszała jakieś skrobanie, dochodzące z korytarza na drugim piętrze. - Pójdziemy schodami - powiedziała. - Gdybyśmy skorzystali z windy, twoi goryle zjechałyby na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Weszła w otwarte drzwi, ale zatrzymała się w miejscu.

- A niech to diabli - powiedziała cicho. - Kto nie ma w głowie, ten ma w nogach. - Słucham? - spytał Trumbo, przytrzymując brodapojemnik z płynnym czosnkiem, który turlał się po wielkim serze. Zapach był tak ostry, że z oczu zaczęły mu płynąć łzy. - Zapomniała pani o chlebie?

Cordie pokręciła przecząco głową.

- Brakuje mi skorupy orzecha kokosowego.

- Szkoda - mruknął Trumbo. - Szykuje pani piknik na dworze? Cordie puściła jego słowa mimo uszu.

- Gdzie tu jest piwnica z winami? Taki luksusowy lokal jak ten musi mieć coś w tym rodzaju.

Trumbo wskazał głową drzwi obok wejścia do kuchni. Piwnica z winami okazała się pomieszczeniem za kuchnią, wykutym w skale, i choć miała urządzenia chłodnicze, chłód utrzymywał się w niej także wtedy, gdy wyłączano prąd. Cordie przechodziła od półki do półki, oświetlając latarką nalepki na butelkach i korki.

- Które z tych win jest najlepsze? Trumbo wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. - Kiedy światło zaczęło prześlizgiwać się po półkach z ekskluzywnymi markami, zerknął w ich stronę. - Ten Lafite-Rothschild rocznik czterdzieści osiem wart jest więcej forsy niż widziała pani w życiu. - Okay - powiedziała Cordie Stumpf i wyciągnęła bezcenną butelkę. Wyjęła z torby scyzoryk, otworzyła korkociąg, powiedziała: „Stój tam i nie ruszaj się”, po czym na oczach wściekłego Trumba, który stał o dziesięć kroków od niej, umieściła butelkę między kolanami i odkorkowała ją jedną ręką, drugą celując w niego z rewolweru.

- Hej - powiedział rozdrażnionym tonem - ta butelka warta jest... - Zamknij się. - Cordie podniosła korek i powąchała go, kiwnęła głową z miną znawcy starych roczników i pociągnęła tęgi łyk z butelki. A potem wylała resztę wina na posadzkę.

- Jezu Chryste! - wrzasnął Trumbo. Znowu ogarnęła go wściekłość. Pochylił się, żeby położyć bochen sera na podłodze. Jego wzrok napotkał wycelowany prosto w oczy strumień światła z latarki i czarny wylot lufy rewolweru. - Och - zmartwiła się Cordie. - Ty też chciałeś spróbować? - Zakorkowała pustą butelkę.

- Wsadzę panią na resztę pani nędznego, pieprzonego żywota do domu wariatów - powiedział Byron Trumbo tonem, który rezerwował zwykle na poważne handlowe rozmowy.

Cordie kiwnęła głową.

- Chętnie bym tam poszła, żeby wreszcie odpocząć, mój kochany Byronku. Zbieraj te sery. - Czekając, aż Trumbo podniesie się ze swoim ładunkiem, zagwizdała dwa początkowe takty hymnu „Jakiegoż przyjaciela mamy w Jezusie”. - Jeszcze chwilkę - dodała. - Paul Kukali mówił, że zginęli jacyś ludzie. Może tobie też przydałaby się butelka.

- O czym pani pieprzy? - zapytał Trumbo.

- O duchach - odparła Cordie. - A właściwie o transportowaniu ludzkich duszyczek. Ta butelka będzie dla mnie. Ty też mógłbyś wziąć taką samą, jeżeli masz kogoś, komu chciałbyś dostarczyć z powrotem jego duszyczkę.

- Transportowanie duszyczek? - powtórzył za nią Trumbo. - To najgłupsza ze wszystkich pieprzonych rzeczy, o jakich słyszałem w ży... - Urwał i zamyślił się na chwilę. - Tak, rzeczywiście. Być może przyda mi się taka butelka. - Tylko jedna? - zapytała Cordie jeżdżąc snopem światła po półkach.

- Tak. Ale mam zajęte ręce. Mogłaby pani zdjąć ją dla mnie? - Jasne - powiedziała Cordie i wyciągnęła rękę nie spuszczać go z muszki rewolweru.

- Ale nie z tych najdroższych! - krzyknął Trumbo. - Wystarczy tamto tanie gallo. Cordie wzruszyła ramionami, wyciągnęła z przegródki to, co chciał, i położyła mu pełną butelkę pod brodą, obok

czosnku w płynie i sardelowej pasty. - Idziemy - rzuciła rozkazującym tonem.

W chwilę potem szli w dół schodami, prowadzącymi do podziemi. - Co to za pieprzony pomysł? - odezwał się Trumbo. - Przecież tam nie ma nic, tylko...

- Katakumby - dokończyła Cordie. - Przyszło mi do głowy, że tędy będzie nam łatwiej. Nie będziemy się tłuc kilometr czy dwa po deszczu. Przypuszczam, że wszystkie te wulkaniczne kominy są połączone i podejrzewam, że twoich chłopaków połknęło coś, co musi się włóczyć gdzieś tu niedaleko, w jakimś tunelu. - O czym pani mówi? - zapytał Trumbo.

- Zasuwał - powiedziała Cordie, wskazując ręką korytarz. - Ja pieprzę! - powiedział Trumbo chowając się za występem ściany. - Nie ma mowy, żebym tam poszedł.

- Pójdiesz, pójdiesz - zapewniła Cordie Stumpf i uniosła rewolwer.

Trumbo wytrzeszczył na nią oczy.

- Będzie pani musiała mnie zabić - powiedział. - Nie ma sposobu, żebym... Strzał zabrzmiał niewiarygodnie głośno w dudniącej echem przestrzeni. Pocisk musnął ucho Byrona Trumbo, odcinając drobniutki kawałek małżowiny, i odbił się rykoszetem od betonowej ściany tunelu. Rozszedł się zapach spalonego prochu. Trumbo upuścił tubki i sery, słoik z drożdżami i butelkę. Wyrzucił w szaleńczym przestachu jedną rękę przed siebie, a drugą pomacał się po uchu. - Nie strzelać! Nie strzelać!

- Nic ci się nie stało - powiedziała Cordie. - Jeszcze nie teraz. Mogłabym cię rąbnąć w parę miejsc, ale tak, żebyś jeszcze przez jakiś czas mógł utrzymać się na nogach. Zbieraj te śmieci.

Trumbo schylił się po leżące na posadzce produkty. - Na szczęście dla duszyczki twojego przyjaciela nie stłukłeś butelki z winem - powiedziała Cordie, trzymając go w smudze światła. Trumbo wydał nieartykułowany dźwięk.

- Idziemy - powiedziała, popędzając go ruchem ręki w głąb ciemnego tunelu. - Tak będzie lepiej.

Trumbo mruknął coś, co utonęło w śmierzącym serze.

- Co to było? - zapytała Cordie. - Zdawało mi się, że coś usłyszałam. - To ja się odezwałem - wyjaśnił Trumbo. - Powiedziałem, że nie rozumiem, dlaczego tak ma być lepiej.

Głos niewidocznej za oślepiającym światłem latarki małej kobietki brzmiał łagodnie i cicho.

- Kiedy dojdziemy do miejsca, od którego będzie się zaczynać jaskinia - powiedziała - zrzucimy z siebie ubrania i natrzemy się tym świństwem.

Rozdział dwudziesty drugi

Potrzeba niewielkiej dozy wyobraźni, aby ujrzeć te pola pokryte lawą, zaludnione dziwnymi postaciami, takimi, jakie przedpotopowe potwory pozostawiły nam na naukę w Kryształowym Pałacu. Wydaje się, że są tu wszelkiego rodzaju pełzające i czołgające się po ziemi stworzenia: olbrzymie jaszczury i monstrualne, zaopatrzone w wiele ramion dziesięciornice.

C.F. Gordon-Cumming Ogniste fontanny, 1883

18 czerwca 1866 roku, bezimienna wioska na Wybrzeżu Kona

Przyklęklam przy ciele wielebnego Haymarka, a stara kobieta usiadła naprzeciwko mnie. Pan Clemens przyglądał się z boku. Wcielony w świnię bóg i inne ohydne kreatury szalały po całej wiosce, wściekłe, że z rozkazu Pele nie wolno im wejść do szałasu.

Staruszka podała mi skorupę orzecha, zawierającą M/w'e naszego przyjaciela. - Musisz być stanowcza - powiedziała. - Dusza nie będzie chciała wrócić do swego ciała. Przyzwyczała się już do wolności i nie będzie sobie życzyła, żeby znowu zamykano ją w klatce. Musisz dać jej parę klapsów, żeby zmusić ją do uległości. - Dać jej parę klapsów? - powtórzyłam jak echo.

- Tak, otwartą dłoń - powiedziała staruszka. - A potem będziesz musiała wklepać duszę do ciała i pilnować, żeby nie uciekła, dopóki ciało nie zrobi się ciepłe. Gdyby uciekła ci w trakcie tych zabiegów ...-staruszka wskazała ręką otwarte drzwi -pożre ją Kamapua'a albo Pana—ewa i nie zobaczysz jej nigdy więcej. Już teraz moja lawa wypełnia Podziemny Świat. Za parę chwil moi wrogowie będą musieli opuścić to miejsce. Ale duchy także zostaną tam pogrzebane. - Dać jej parę klapsów... - powiedziałam. Trzymając w dłoniach kokosowy orzech zerknęłam na pana Clemensa, szukając u niego wsparcia. Zapytałam: -Którędy taka dusza?... W jaki sposób?...

Staruszka dotknęła kącika oka wielebnego Haymarka. - To jest lua-uhane, „wrota duszy”. Tędy właśnie dusza uleciała z ciała... tędy Pana-ewa wysał ją tak, jak się wysysa mleko z kokosowego orzecha. Dusza będzie chciała wrócić tą samą drogą. Ale nie wolno ci pozwolić jej na to! Dusza musi wrócić do ciała przez stopy, a potem trzeba ją zachęcić, żeby przesunęła się do góry i wypełniła wszystkie zakamarki. Zdejmij teraz okrycia ze stóp waszego kahuna.

Wyciągnęłam ręce, aby ściągnąć z wielebnego Haymarka jego wysokie buty, ale znieruchomiałam w zakłopotaniu. Nigdy dotąd nie rozbierałam mężczyzny, nigdy nie zdejmowałam butów nawet memu ojcu, kiedy wypił trochę za dużo, i teraz zrobienie tego wydało mi się czymś niestosownym. Pan Clemens dostrzegł na szczęście moją zakłopotaną minę i pochylił się, aby ściągnąć z naszego kapłana buty i skarpetki. W chwilę potem dziesięć palców u nóg naszego przyjaciela sterczało ku niebu niczym szare pamiątkowe płyty nagrobne. Wzdrygnęłam się na myśl, że będę musiała dotknąć tych zimnych, martwych stóp.

Staruszka położyła silne ręce na mojej głowie i ramionach. - Od tej chwili jesteś namaszczona jako kapłanka Pele - powiedziała śpiewnie. - Należysz do kobiecego zakonu, którego siostry czynią czary w imieniu Pele i mówią jej ustami. Włożę ci do głowy odpowiednie słowa. Twój głos będzie moim głosem. Twoje serce moim sercem. Tak rzekła Pele.

W tej samej chwili poczułam potężny wstrząs, jakby uderzył we mnie piorun. Gdzieś znikło moje zmęczenie. Czubki moich palców zdawały się emitować wielką moc. Spojrzałam na pana Clemensa i jego rozszerzone oczy powiedziały mi, że także moja twarz musiała się zmienić, pewnie promieniejąc energią wtajemniczeniem, które czułam w tym momencie.

Odkorkowałam skorupę orzecha. Dusza wielebnego Haymarka wypłynęła na zewnątrz, podobna gęstej szarej melasie. Rozlała się najpierw po podłodze, a potem zaczęła się unosić i przybierać kształty człowieka. Mruczenie starej kobiety zamieniło się w odległe, dźwięczne tło, choć może tak mi się tylko zdawało. Nie jestem tego pewna.

Kiedy dusza nabrała już ludzkich kształtów, zafalowała naraz niczym dym pod wpływem lekkiego wietrzyku i zaczęła płynąć ku drzwiom. Nie potrzebowałam żadnych ponagleń ze strony staruszki, aby zrobić to, co należało. Stałam między duszą wielebnego Haymarka a otwartymi drzwiami, a potem dłonią klepnęłam mocno mglistą postać. Moje palce zetknęły się z jakąś substancją i zagłębiły się w ulotnym kształcie.

Dusza zawróciła, ale jej dolna połowa jakby utraciła ludzką formę. Zaczęła się kręcić wokół głowy wielebnego Haymarka, wirując niczym cyklon i starając się przybliżyć do kącików oczu zmarłego.

Oстрыm kląpsem odpędziłam ją stamtąd. Doszłam do przekonania, że mogę ją uchwycić, więc złapałam za ramiona i przyciągnęłam do gołych stóp kapłana. Wtedy dusza prawie zupełnie zatraciła kształt człowieka, a ja stwierdziłam, że trzymam w palących mnie dłoniach namacalną mgłę. Docisnęłam tę mgłę do stóp. W pierwszej chwili wyczułam opór, potem zaczął on słabnąć, aż wreszcie mgiełka zaczęła przenikać do ciała przez odkryte, niczym nie chronione podeszwy. Miałam wrażenie, jakbym przeciskała tłusty krem przez gęste sitko. Przez chwilę dusza opierała się jeszcze, ale wtedy do głowy przyszły mi spontanicznie te oto słowa. Zaczęłam śpiewać:

O, wysoki szczyte Kilauea! O pięciokątna krawędzi otchłani! Płonący w kobiecie ogień kapu. Kiedy groźnie drżą niebiosa, Kiedy pęka z hukiem ziemia, Pada bez sił mężczyzna, Rzucony na ziemię. Budzi się piorun w ręku Kane.

Noc rozświecła się błyskawicą,
Budząc mnie z odwiecznego snu.
E ala e! Zbudź się!
Budzą się niebiosa.
Budzi się ziemia wyspy.
Budzi się morze.
Zbudź się!
Otom jest przy tobie.

W tej samej chwili zatrzęsła się ziemia, a szalas zaczął kołysać się na wszystkie strony, niczym spleciona z trawy spódniczka hawajskiej dziewczyny, która puściła się w zmysłowy taniec. Usłyszałam głośny huk i dudnienie, choć nie mam pewności, czy było to trzęsienie ziemi, uderzenie pioruna, czy wszystko to naraz. Coś rzuciło pana Clemensa na kolana, ale nawet na moment nie przestał on przyglądać się uporczywym zapasom, jakie prowadziłam z duszą wielebnego Haymarka. W niewytłumaczony sposób uświadomiłam sobie w tej samej chwili, że Pana-ewa, Kamapua'a i inni moi przeciwnicy zostali przegnani daleko stąd, a Podziemny Świat Milu zamknęła i opieczętowała spływająca z góry lawa. Skupiłam się na moim zadaniu. Zanim zdołałam wcisnąć duszę poprzez nogi kapłana aż do jego bioder, z nosa i brody ściekały mi już krople potu. Od tego momentu walka zaostrzyła się jeszcze, zupełnie jakby dusza brzydziła się wejściem do najważniejszych organów, aby umożliwić przywrócenie oddechu i powrót do życia. Wyciągnęłam za siebie rękę, tak jakbym miała pewność, że staruszka trzyma nadal gliniany dzbanek. Rzeczywiście tak było. Czerpiąc z naczynia świeżą wodę, zaczęłam polewać nią ciało, śpiewając przez cały czas:

Ja sprawię, byś urósł, O Kane!

Ja, Lorena Stewart, jestem prorokiem.

Moją boginią jest Pele.

To jej dzieło.

Ona każe wszystkiemu rosnać.

Oto woda życia.

E ala e! Zbudź się! Wstań!

Niech wróci do ciebie życie.

Nie ma już kapu śmierci.

Rozwiało się jak mgła,

I odleciało daleko stąd.

Nagle dusza zaprzestała wszelkiego oporu i od tej chwili zdawała się przenikać z łatwością do górnych części ciała, w miarę jak masowałam i oklepywałam brzuch i boki zmarłego misjonarza. Wmasowałam ją w sflaczałe ramiona i ręce, a potem dotąd oklepywałam palce i dłonie, aż poczułam, że powraca do nich ciepło. Wreszcie natarłam masywną szyję, rozmasowałam szczęki i przeniosłam moje rozgrzane palce na twarz i czaszkę.

W chwilę potem poczułam się znowu straszliwie wyczerpana i usiadłam, a boska energia zaczęła uciekać ze mnie tak gwałtownie, że dotknęłam palcami wewnętrznych kącików oczu, żeby się upewnić, że wraz z nią nie ucieka także moja własna ułana.

Wielebny Haymark wydał z siebie parę nieartykułowanych chrząknięć i otworzył oczy. Poruszył wargami i zaczął oddychać.

Mam nadzieję, że pan Clemens zdążył mnie podtrzymać, kiedy osuwałam się zemdlona.

Znalazłszy się w przewróconym do góry nogami biurze astronoma, Cordie obrzuciła snopem światła z latarki rozbitą ścianę i ciemniejącą za nią jamę, spojrzała na plamy krwi na podłodze, ścianach i suficie, a potem odwróciła się i powiedziała:

- Okay, najwyższy czas, żebyś ściągnął z siebie te ciuchy. - Nie ma mowy - odparł Byron Trumbo. Był gotów skoczyć raczej do gardła tej wiedźmie, niż spełnić tak obraźliwe polecenie.

Cordie westchnęła ze znużeniem i uniosła rewolwer. - No więc, gdzie chcesz dostać? W udo czy w te zabawki, które tam nosisz? W co byś nie dostał, postaram się, żebyś mógł nadal chodzić. - Stojąc zbyt daleko, żeby mógł rzucić się na nią, naciągnęła spust.

Zabierając się do rozpinania koszuli Trumbo zaczął przeklinać. Zanim zdążył zdjąć podkoszulek i spodenki, wyczerpał już cały zasób brzydkich zwrotów, jakich nauczył się w swoim barwnym życiu i teraz wymyślał na poczekaniu nowe. Ukryta za światłem latarki Cordie także się rozbierała. Niebawem Trumbo miał na sobie wyłącznie skarpetki, a krępej kobiecie został tylko rewolwer, latarka i podręczna torba.

- Co teraz? - zapytał Trumbo. - Zgwałci mnie pani? - Daj spokój, proszę - powiedziała Cordie. - Nie jestem głodna, niedawno jadłam kolację. Zdejmij też te skarpetki.

- Jeżeli mamy tam wejść, to pokaleczę stopy o skały - powiedział Trumbo łapiąc się na tym, że słyszy w swoim głosie płaczliwy ton.

Cordie wzruszyła ramionami.

- Duchy, które tam siedzą, nie noszą skarpetek. My też chyba nie powinniśmy.

Ściągaj je.

Trumbo zacisnął zęby i zdjął skarpetki.

- Wejdzie tam pani z torbą? Myśli pani, że duchy noszą podręczne torby? - Mam to dokładnie w nosie - odparła Cordie. - Potrzebuję jej na moje rzeczy. Nie mam zamiaru zostawiać tu dziennika cioci Kidder. - Czyjego dziennika?

- Nie powinno cię to obchodzić - powiedziała Cordie. - Czas najwyższy, żebyśmy się nasmarowali tym śmierdzącym świństwem. Na początek ty. Powinieneś chyba zacząć od płynnego czosnku.

To, co Byron Trumbo przeżył w ciągu paru następnych minut, przeszło wszystko, czego doświadczył w całym swoim życiu. Stojąc pod muszką rewolweru natarł się najpierw półpłynnym czosnkiem, a potem sardelową pastą. - Teraz trochę sera - powiedziała Cordie, która zaczęła z kolei smarować się czosnkiem, trzymając przez cały czas wycelowany rewolwer. - Ja pieprzę! - burknął Trumbo i zabrał się do rozkruszania sera. - On się nie przylepi.

- Bądź spokojny, przylepi się, przylepi. Tylko dobrze go wetrzyj. Trumbo zaczął wcierać ostry, limburski ser, którego okruchy poprzylepiały się do jego piersi, pod pachami i w kroczu. Na koniec natarł pełnymi garściami śmierdzącego specjału nogi.

- Wspaniale - orzekła Cordie Stumpf i sięgnęła po resztki sera, żeby wetrzeć je sobie w skórę.

Trumbo starał się nie patrzeć w jej stronę. Od czasu, gdy zarobił pierwszy milion, starał się, aby kobiety, które miał oglądać w negliżu, były atrakcyjne fizycznie i tak bliskie ideału, na ile tylko pozwalał stan jego portfela. Zerkając teraz na małe, obwisłe piersi tej kobiety, na pryszcze na jej pośladkach, na grube uda, podwójną bliznę na brzuchu, krótkie tęgie nogi, przypomniał sobie swoją matkę i to, że kiedyś on sam także umrze. Przed oczyma stanęły mu wszystkie rzeczy, o których, jak sądził, udało mu się zapomnieć na zawsze. Nagle poczuł się tak, jakby miał się za chwilę rozplakać. Cordie nie zwracała uwagi na jego spojrzenia.

- Jeszcze te drożdże - powiedziała. - Wetrzyj je we włosy i rozsmaruj po twarzy.

Trumbo otworzył słoik i omal nie pozbył się zjedzonej dopiero co kolacji. Nie chodziło już nawet o smród idący od ciemnej, gnijącej papki, ale o rezultat, powstały z wymieszania go z zapachami bijącymi z jego ciała. Powstrzymując się siłą woli od z wymiotowania, roztarł garść drożdży po przerzedzonych włosach i za uszami.

- Jak chcesz, to wejdz tam i się wyrzygaj - powiedziała w pewnej chwili Cordie.

- Zapach zrobi się przez to jeszcze weselszy.

Trumbo puścił jej propozycję mimo uszu.

- Po diabła my to robimy? - zapytał podając jej słoik z wyciągiem drożdżowym. Cholerna krowa trzymała rewolwer tak, że w żaden sposób nie dałoby się go chwycić.

- Tak jest napisane w dzienniku cioci Kidder - odparła mała kobietka, wcierając sobie ciemną pastę w proste włosy. - Duchy nie lubią brzydkich zapachów. Odwracają się w drugą stronę. Gdyby wiedziały, że jesteśmy żywymi ludźmi, rzuciłyby się na nas kupą i wykradły nam dusze, tak jak Pana-ewa zrobił biednej Nell. - Odrzuciła na bok pusty słoik. - Szkoda, że nie mamy paru śledzi w śmietanie. Przydałoby się też może trochę karmy dla kotów. Tej z puszek. Najlepsza byłaby firmy „Puss’N’Boots”. Kiedy miałam kota, to jak mu dawałam jeść, zawsze miałam ochotę rzygnąć.

- Pani ma kota, i to takiego, że hej - powiedział przez zaciśnięte zęby Byron Trumbo.

Cordie kiwnęła potakująco głową.

- Okay, zbieramy się do drogi - powiedziała wskazując ręką dziurę w ścianie.

- Ma pani zamiar gnać mnie tym korytarzem dotąd, aż natkniemy się na duchy? - Tak to zaplanowałam - odparła Cordie, strącając ciemną grudkę drożdżowej pasty z kosmyka, który opadł jej na oczy.

- Ale dlaczego wybrała pani mnie? - zapytał Trumbo. - Według wszelkich prawideł potrzebny był jakiś mężczyzna - wyjaśniła Cordie. - Wydawało mi się, że się nadajesz. Przykro mi, że tak się to odbyło, ale nie było innej rady. Życie ma swoje prawa.

Trumbo zamyślił się na moment nad filozoficzną treścią jej oświadczenia, a potem się sprężył, żeby skoczyć do jej tłustego gardła. - Nawet o tym nie myśl, Byronku - powiedziała kobietka, unosząc nieco rewolwer.

Trumbo zacisnął pięści i przeszedł przez dziurę w ścianie do skalnego korytarza.

- Ciemno tu jak w grobie - powiedział nasłuchując ginącego w oddali echa.

- Zaraz ci poświecę - pocieszyła go Cordie Stumpf.

Tymczasem nad ich głowami, rozpoczyna się bitwa, prowadzona jednocześnie na ziemi, w powietrzu i pod powierzchnią morza.

Wulkan Mauna Loa wznosi się na imponującą wysokość czterech tysięcy dwustu sześćdziesięciu dziewięciu metrów ponad poziom morza, ale podstawa ogromnej góry znajduje się na głębokości prawie pięciu i pół tysiąca metrów. Gdyby nie było oceanu, wierzchołek Mauna Loa wznosiłby się na wysokość niemal dziewięciu tysięcy osmiuset metrów, i byłby to najwyższy szczyt na Ziemi. Pozostający, podobnie jak Mauna Loa, w stanie pełnej erupcji wulkan Kilauea nie mógłby się równać z tantym, ze swoimi tysiącem dwustu czterdziestoma dwoma metrami wysokości, ale po usunięciu oceanu także okazałby się potężnym wulkanicznym stożkiem, jakim jest w istocie, sięgającym siedem tysięcy sześćset metrów w górę.

Tak więc wewnętrzne siły wypychają ze stałego zbiornika wrzącej magmy, położonego ponad dziewięć kilometrów poniżej szczytu Mauna Loa, ogromne ilości lawy, która wy dostaj e się przez skały tak podziurawione szczelinami, że przypominają one ogromną gąbkę. Roztopiona masa tryska z potężną siłą i wywołuje trzęsienia ziemi na całej Wielkiej Wyspie i na dnie oceanu, w promieniu niemal pięćdziesięciu kilometrów.

Wstrząsy w kurorcie Mauna Pele są tak silne, że doświadczeni w tych sprawach Japończycy zmykają do drzwi, podczas gdy Will Bryant próbuje skontaktować się przez komórkowy telefon i krótkofalówkę ze swoim szefem albo z doktorem Hastingsem z Wulkanicznego Obserwatorium. Żaden z nich nie odpowiada. Doktor Hastings wraz z dwudziestoma innymi naukowcami obserwuje przyrządy pokazujące najsilniejsze od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku trzęsienie ziemi i najpotężniejszy jednoczesny wybuch Mauna Loa i Kilauea od czasu, gdy wulkanolodzy rozpoczęli w roku tysiąc osiemset trzydziestym drugim obserwację tych zjawisk.

Na południowo-zachodnim zboczu, gdzie znajduje się ośrodek Mauna Pele, w niespełna dziesięć minut pojawia się przeszło tuzin nowych ognisk erupcji, poprzez które rozładowuje się straszliwe ciśnienie w kraterze Mauna Loa. Lawa z niego kieruje się do uspiionych, wystygłych dawno temu kominów. Erupej a nie osiąga wprawdzie mocy rzędu dwudziestu megaton, z jaką w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym wybuchł wulkan StHelen w Stanie Washington albo w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym wulkan Nevada del Ruiz w Kolumbii, gdzie zginęło ponad dwieście trzy tysiące osób, ale te boczne wytryski lawy są na tyle potężne, że na południowo-zachodnim zboczu Mauna 373 Loa pojawiają się niezliczone gejzery płynnej lawy, a niektóre z nich strzelają w nocne niebo na wysokość sześciuset metrów.

Z ciągnącej się przez dwadzieścia jeden kilometrów szczeliny uchodzą gazy o temperaturze przekraczającej tysiąc sto pięćdziesiąt stopni Celsjusza, a z ognistych strumieni lawy biją w górę ogromne chmury zasiarczonej pary. Prądy rozgrzanego powietrza unoszą dziesiątki tysięcy pasemek włóknistych, krzemianowych „włosów Pele”, które osiadają na tropikalnych gajach i polach porośniętych paprociami. Kawałki skał wylatują na kilometry w górę. Najcięższe opadają w pobliżu szczeliny, ale mniej sztywne kamyki i drobiny wędrują z chmurą popiołów daleko na morze.

W całej strefie, w której południowo-zachodnia rozpadlina opada ku morzu, świeża lawa płynie starymi wulkanicznymi kominami. Począwszy od wysokości trzech tysięcy sześciuset metrów aż po morski brzeg, porowate skały, spękane od trwającego dziesiątki tysięcy lat stygnięcia i ruchów górotwórczych, wypełnia nagle magma, której towarzyszą trzęsienia ziemi. Nasiąknięte wodą skały, wznoszące się o kilometry nad zbiornikiem lawy, eksplodują wskutek błyskawicznego przegrzania. Obłoki pary współzawodniczą z chmurami siarczanych gazów nad całą przeszło dwudziestokilometrową strefą wybuchów, które przypominają gigantyczny sznur wylatujących w górę petard. Zboczami spływa ponad sześćset tysięcy metrów sześciennych lawy, co jest nowym rekordem, zanotowanym w Obserwatorium Wulkanologicznym.

Na całej szerokości tych bocznych wypływów płoną lasy. Asfaltowe drogi znikają pod dziesięciometrową niemal warstwą lawy, której rzeki płyną szybciej niż biegnący człowiek. Domy ulatują z dymem. Porzucone auta i ciężarówki unoszą się jak zabawki na powierzchni strumienia magmy, która wlecze je z prędkością ponad pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ich lakier znika błyskawicznie w trującym obłoku, wewnątrz wypalają się, a zbiorniki paliwa wybuchają, okraszając fontanny lawy drobnymi kontrpunktami własnych eksplozji. Kamapua'a przeciwstawia temu wszystkiemu tropikalne przeszkody, ale przypominają one ogrodowy wąż, którym chce się ugasić ogromny pożar. Para bucha z tysięcy miejsc, w których monsunowa ulewa spływa do wypełnionych lawą kominów, ale trzeba by było całych mileniów, aby zwykła deszczowa woda przeważała nad roztopioną skałą, skwierzącą w temperaturze ponad tysiąc stopni. Część płomieni mogłaby może zdusić fala tsunami, ale Pele zaplanowała nocne erupcje tak, że choć ziemne wstrząsy wydają się przerażające, tsunami nie powstaje. O płonące klify rozbijają się sześciometrowe bałwany, ale nie zjawia się ogromna fala pływowa.

Zgodnie ze swoją wielowiekową strategią Kamapua'a wypuszcza na wyspę tysiące dzikich świń, aby pożarły zarośla i wszelką zieleń, pozbawiając Pele paliwa do jej pożarów. Większość tych zwierząt ginie w ciągu pierwszych trzydziestu minut nowej, bocznej erupcji, połknięta przez precyzyjnie wypuszczone języki lawy. Do cuchnących oparów siarki dołączają się tej nocy zapachy luau, pieczonej wieprzowiny.

Stojąc w drzwiach bankietowej sali Prezydenckiego Apartamentu w Mauna Pele, Hiroshe Sato obserwuje strumyki lawy, wypalające sobie drogę do morza o mniej niż pięćset metrów na południe od ośrodka, i mruczy do siebie pod nosem:

„Okłopne. Po płostu stłaszne”.

- Chyba jesteśmy już niedaleko - powiedziała Cordie. Podziemne tunele zdawały się ciągnąć całymi kilometrami. Jeden wulkaniczny komin przechodził w drugi, aż w końcu ani Cordie, ani jej towarzysz nie mieli najmniejszego pojęcia, dokąd właściwie zmierzają. Prześladowało ich przecucie, że lada chwila albo dotrą do morza, albo wpadną do wulkanicznego kotła.

Jakby na przekór tym obawom znaleźli się w miejscu, w którym ściany zaczęły świecić.

- To dobry znak - powiedziała Cordie, poklepując torbę, która zwisała z jej ramienia. - Dziennik cioci Kidder powiada, że w krainie duchów wszystko świeci. - Świetnie - mruknął Trumbo. Skórę

na stopach miał już zdartą do żywego. Jego ciało sphywalo cuchnącą mieszaniną, którą się wysmarował na żądanie Cordie. Kilka razy zwały ich z nóg podziemne wstrząsy, od których ze sklepienia wulkanicznego komina sypały się skalne odłamki i ziemia. W każdej chwili Trumbo spodziewał się, że ujrzy sphywającą ku nim ścianę lawy. - Kraina duchów - dodał. - Po prostu wspaniale.

Kiedy wreszcie natknęli się na pierwsze duchy, ich wygląd rozczarował ich do pewnego stopnia. Świecące postacie, o niemal przezroczystych ludzkich kształtach, przechadzały się parami albo w małych grupkach. Kiedy tunel przeszedł w przestronną grootę, ukazały się ich całe setki. Niektóre zabawiały się zespołowymi grami, inne leżały pokotem na ziemi, jadły poi czy grały w karty.

- Dokładnie tak jak w książce - ucieszyła się Cordie. Duchy zaczęły sunąć w ich stronę, ale znalazłszy się w zasięgu cuchnących oparów, rozpierchły się na boki. Trumbo nie czuł się tym wcale urażony.

Cordie podeszła do niego z opuszczonym pistoletem i szepnęła mu do ucha:

- Od tej chwili musimy się zachowywać bardzo spokojnie. One nie potrafią mówić.

A jeśli nawet, to i tak tego nie usłyszymy.

Trumbo kiwnął głową. Przyszło mu do głowy, że mógłby teraz chwycić babę za rękę i wyrwać jej rewolwer. Ale po co? Lepiej będzie zabrać to, po co tu przyszli, i spieprzać stąd czym prędzej. Jakby na przekór samemu sobie, poczuł coś w rodzaju podziwu dla małej, odważnej kobietki. Także jego wzrok przyzwyczaił się już do jej nagich kształtów. Zdał sobie sprawę, że pod jej wypukłościami kryje się więcej mięśni niż sadła, a w maleńkich oczkach pali się energia gorętsza od wulkanicznej lawy, która i tak prawdopodobnie pożre niedługo i ją, i jego. Pal ją diabli, pomyślał. Tak czy owak każdego czeka śmierć. Tyle, że nie tak oryginalna. Żałował tylko, że nie dokończył transakcji sprzedaży Mauna Pele. Jeżeli i tak miał umrzeć, to lepiej by było, gdyby umarł mając w kieszeni podpisany kontrakt.

Duchy nadal zabawiały się i oddawały swoim zajęciom i bezgłośnym rozmowom. Wszystkie przezroczyste postacie, zarówno męskie, jak i kobiece, były zupełnie nagie, widać też było wśród nich parę dzieciaków. Jeżeli tak wygląda życie pozagrobowe, pomyślał Trumbo, to ja dziękuję. Całkiem jak w piątkowy wieczór w Filadelfii.

- Tam! - syknęła nagle Cordie prosto do jego ucha. Dopiero po dobrej minucie Trumbo zobaczył to, co wskazywała jej ręka. Ujrzał w bocznej niszy kilka duchów, bardziej niż pozostałe wyglądających na haole. Po następnej minucie zdał sobie sprawę, do kogo one należą: dusze Dillona, Fredricksona i j ego byłego osobistego goryla Briggsa grały w niewidzialne kości z trzema tęgimi facetami, podobnymi do handlarzy samochodów z New Jersey. Zauważył, że jednemu z tych ostatnich brakuje ręki. Dusza Surmy'ego Takahashi zdawała się obstawiać tę grę za pomocą niewidzialnych pieniędzy. Kilka postaci podobnych do zwykłych turystów grało niewidzialnymi kijami w golfa i zjadało niewidzialne potrawy przy niewidzialnym stole. Były etatowy astronom z Mauna Pele siedział i oglądał niewidzialny magazyn ilustrowany, a dwóch innych facetów w średnim wieku gapiło się w niewidzialny telewizor, bezustannie zmieniając kanały niewidzialnym pilotem.

Dusza Eleanor Perry kręciła się samotnie, jakby szukała sposobu, żeby się stąd wyrwać.

- Nell! - szepnęła Cordie i podeszła do niej. Nie potrzebowała nawet minuty, aby odkorkować butelkę i zamknąć w niej duszę przyjaciółki. Butelka przybrała taki wygląd, jakby była wypełniona dymem.

- Dotknij innych - szepnęła Byronowi Cordie - a one pójda za tobą. Ale myślę, że najpierw

powinieneś złapać te, które chciałbyś umieścić znówu w ich ciałach. - Wręczyła mu dodatkową butelkę.

Trumbo zawahał się. Briggs i Fredrickson dobrze wykonywali swoją robotę. Dillon nie został na dobrą sprawę zabity, tylko okradziony ze swojej duszy. Astronom i inni pracownicy, których rozpoznał, także nie zasłużyli na swój los. Przywrócenie do życia Sunny'ego Takahashi mogło mu przynieść pieniądze. Uniósł butelkę i wcisnął do niej duszę Sunny'ego. Okazało się to łatwiejsze niż przypuszczał. Przez cały czas krążył jednak koło niego niczym natrętna mucha duch Dillona. W końcu Trumbo ustąpił i odkorkował butelkę. - Posłuchaj - szepnął - jeżeli zmieścisz się tam jeszcze, to nie mam nic... - Dusza Dillona chlupnęła do środka, niczym woda do dziurawego buta. Trumbo wsunął wypełnioną dymem butelkę do torby Cordie. - Spieprzajmy stąd czym prędzej - szepnął zdając sobie sprawę, że nigdy nie odnajdą tej samej drogi, którą tu przyszli.

Cordie kiwnęła głową i odwróciła się. Oboje zdrętwieli z przerażenia.

Drogę zagrażał im Kamapua'a. Wieprz uśmiechał się do nich.

23 czerwca 1866 roku, na pokładzie amerykańskiego statku „Boomerang”. Czytam właśnie notatki, spisane naprędce niecały tydzień temu i nie mogę uwierzyć, że skreśliłam je moją własną ręką. Te słowa i opisy pochodzą od innej osoby, należą do innego świata.

Parowiec odbił właśnie od nabrzeży Kona-Kawaihae i rozpoczął powolną drogę do Lahaina, gdzie zamierzam odwiedzić przyjaciół i odpocząć przez tydzień na ich górskich plantacjach. Stamtąd udam się do Honolulu, a potem na Daleki Wschód, na pokładzie pocztowego parowca „Costa Rica”. Pan Clemens i wielebny Haymark odpłynęli wczoraj do Honolulu płynącym między wyspami pocztowym statkiem „Kilauea”. Wielebny Haymark wraca do misyjnego ośrodka na Oahu, a pan Clemens wypłynie z Honolulu w powrotną podróż do Kalifornii. Pan Clemens zamówił już miejsce na żaglowym statku „Smyrniote”. Jest pewien, że dopłynie do San Francisco, bo, jak mi powiedział, morskie diabły nigdy nie dopuszczają, żeby statek o tak dziwnym imieniu spoczął u nich na dnie.

O tym, co się działo przez dni i godziny po odratowaniu wielebnego Haymarka, mam w najlepszym razie bardzo mgliste wspomnienia. Nie pamiętam nawet, jak i kiedy spisałam te fantastyczne stronicę w moim dzienniku. Wypadki, które przywróciły do życia naszego towarzysza podróży rysują mi się jak senne urojenie... nie, jeszcze bardziej nierealnie, jakby przydarzyły się bohaterowi jakiejś powieści. Pamiętam nasze przybycie do Kona. Pamiętam propozycję małżeństwa, którą pan Clemens złożył mi dwa dni temu nad wieczorem, kiedy staliśmy na nabrzeżu i oglądaliśmy zachód słońca.

Mój przyjaciel był urażony. Mnie także było przykro. Pamiętam, że zdjęłam rękawiczkę i dotknęłam łagodnie jego policzka.

- Czy wolno mi zapytać, panno Stewart, dlaczego odrzuca pani moją propozycję? - zapytał rozzalonym głosem.

- Posłuchaj, Sam... - odparłam cicho. Był to jedyny moment, w którym zwróciłam się do niego po imieniu. - Nie chodzi o to, że ja nie chcę cię poślubić... ani też, że cię nie kocham... Po prostu nie mogę wyjść za ciebie. Dostrzegłam na jego twarzy zakłopotanie.

- Kiedy dotknęła mnie tamta stara kobieta - powiedziałam zdając sobie dokładnie sprawę, że nie będę mu tego umiała wyjaśnić - poczułam... coś dziwnego. Rozstrzygnęło się moje przeznaczenie. Muszę podróżować, pisać książki, zdobywać nazwisko w świecie, choćby niewiele znaczące... A to byłoby niemożliwe, gdybym została małżonką Samuela Langhorne'a Clemensa i nosiła twoje nazwisko. - Uśmiechnęłam się. - Albo nawet małżonką pana Thomasa Jeffersona Snodgrassa czy pana Marka Twaina.

Mój przyjaciel i szczerzy druh nie odpowiedział mi uśmiechem. - Nie rozumiem - stwierdził. - Ja też pragnę pisać. I podróżować. Przygotowałem już propozycję dla mojej gazety, że opłynęły świat i będę przysyłał sprawozdania podobne do tych, które pisałem tu, na Wyspach Sandwich. Czemu, panno Stewart, nie moglibyśmy cieszyć się tym wszystkim wspólnie, a przy tym pielęgnować każde na własną rękę nasze zawodowe ambicje? Mogłam mu odpowiedzieć tylko westchnieniem. Bo i jak miałam wytłumaczyć temu odważnemu człowiekowi, że jest mężczyzną, któremu dostępne jest wszystko, podczas gdy ja byłam kobietą i aby osiągnąć to, co chciałam, musiałam dokonać rzeczy niemożliwych?

Przyznaję jednak, że w tym momencie pragnęłam mieć go za małżonka. Jego, Samuela. Mojego odważnego towarzysza podróży. Moją miłość.

- Nigdy nie przestanę pani kochać - powiedział, kiedy słońce skryło się już za linią horyzontu gdzieś tam, bliżej wysp Dalekiego Wschodu. - I nigdy nie ożenię się z inną.

Dotknęłam znowu jego policzka. W jaki sposób miałam mu wytłumaczyć moją pewność, że choć związał swój los z moim, niemal na pewno, i to już niedługo, wybierze sobie inną kobietę? Potrzeba posiadania takiej towarzyszką życia była w nim tak samo namacalna, jak jego policzek pod dotknięciem mojej dłoni. Zdaję sobie sprawę, że opowiadam o tych osobistych sprawach kosztem relacji z przebudzenia się wielebnego Haymarka, który nie mógł wyjść ze zdziwienia, że znowu żyje, albo z naszej fantastycznej wędrówki po wybrzeżu Kona pośród rzek ognia, pożarów i wstrząsów, czy też z ogromnego zdumienia chrześcijańskich mieszkańców Kona tym, że udało się nam ująć z życiem. Za naszym cichym porozumieniem żadne z nas nie rozwodziło się o tym, co przeżyliśmy naprawdę. Nie wspomnieliśmy ni słowem o Pele, o gadających ludzkim językiem świniami czy o Królestwie Duchów Milu. Na Wyspach Sandwich nie majak dotąd prawdziwego domu dla obłąkanych - mam na myśli oficjalnie działający przytułek tego rodzaju - ale znajduje się tu wiele odosobnionych miejsc, w których moglibyśmy zostać zamknięci, gdybyśmy zaczęli rozprawiać głośno o takich rzeczach.

Nie czuję potrzeby opisywania godzin i dni po owym zmartwychwstaniu i po naszym powrocie. Wspomnę tylko o żalu, jaki mnie ogarnął, kiedy przebywaliśmy jeszcze w tamtym szałasie z trawy, a ja odwróciłam się i stwierdziłam, że staruszka zniknęła. Zdawałam sobie sprawę, że będę się czuła związana z nią do końca mego życia - a podejrzewam też, że moi potomkowie z przyszłych pokoleń, przynajmniej płci żeńskiej, będą także odczuwać tego rodzaju związek. Opłakiwałam jej zniknięcie.

A wczoraj opłakiwałam odjazd jedynej miłości mego życia. Stojąc na nabrzeżu, wymieniłam z panem Clemensem zupełnie konwencjonalny uścisk dłoni. Przyglądał się nam wielebny Haymark i kilkanaście innych osób. Widziałam jednak wzruszenie w oczach korespondenta. Mam nadzieję, że on także dostrzegł łzy w moich. Także w tej chwili łzy stanęły mi w oczach. Ale nie poddam się. Przerwę pisanie, dopóki nie zapanuję nad sobą.

Spod poduszki na mojej koi wymaszerował właśnie karaluch wielkości stołowej łyżki i wszedł na kawałek grubego wełnianego materiału, który nazywają tu kocem.

Patrzy na mnie okrągłymi jak paciorki oczami wyczuwając, że boję się karaluchów i nigdy nie zdobędę się na to, żeby dotknąć któregoś.

Ale on się myli. Patrzyłam już w groźniejsze oczy i stałam naprzeciwko bardziej zawziętych przeciwników. Dni tego robala są już policzone. Wyzwolenie od strachu uderza do głowy mocniej niż whisky i wróży jak najgorzej karaluchom na tym statku i na całej wielkiej planecie. - Byron! - powiedział wieprz. - Jak miło, że wdepnąłeś tu do mnie. - Jego ryj obrócił się w kierunku Cordie. - Czy to może prezencik dla mnie? Trumbo spojrział na Cordie, a potem zwrócił wzrok z powrotem

na świnię.

- Jasne - powiedział.

Z gardła wieprza wydobyło się głośnie chrząknięcie.

- Załatwię się z nią za chwilę. Ale najpierw musimy obgadać pewien interesik.

Trumbo czekał w milczeniu.

- Widzę, że chapnąłeś mi duszyczkę Sunny'ego - powiedział Kamapua'a.

Trumbo wzruszył ramionami.

- Wydawało mi się, że mogę ją wziąć. A zresztą, ona sama wskoczyła do butelki. Przeciągle buczenie, które odezwało się w brzuchu potwora, można było wziąć za chichot.

- Świetnie, świetnie - powiedział Kamapua'a. - Ale trzeba jeszcze pogadać o cenie.

- Chcesz za niego moją duszę? - zapytał miliarder.

- Pieprzę twoją duszę - odparł wieprz. - Mam na myśli uciecie małego interesiku.

Trumbo ściągnął brwi, ale nie odpowiedział.

- Kiedy już załatwię się z tą wiedźmą Pele i odzyskam kontrolę nad wyspą- ciągnął Kamapua'a- planuję przyjąć na dziesięć albo dwadzieścia lat ludzką postać. Znowu będę mógł chodzić po ziemi. Ob serwowałem z mojej podziemnej siedziby, jak zmieniało się wszystko na powierzchni. Jako zwykły śmiertelnik mógłbym znowu zostać wodzem któregoś z tutejszych plemion, mam jednak inne zamiary.

- I do tego potrzebny ci jest interesik ze mną? - zapytał Trumbo. Wieprz uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Dokładnie tak. - Podszedł o dwa kroki bliżej. Jego kroki po twardym bazalcie odbiły się echem od ścian jaskini. Cordie zobaczyła, że potwór ma szeroki, wilgotny ryj i poczuła na sobie jego ciepły oddech. - Słuchaj, Byron, powinniśmy zawrzeć układ - powiedział przyciszonym, basowym szeptem. - Ty i ja. - Ale dlaczego mam zawierać jakieś układy? - zapytał Trumbo. Gigantyczny wieprz zbliżył się jeszcze o krok. Miał niewiarygodnie śmierdzący oddech. - Bo jak tego nie zrobisz, pożrę twoje flaki razem z kośćmi i wrzucę twoją nędzną duszyczkę na całą wieczność do najciemniejszego kąta tej jaskini - odparł wieprz trochę głośniejszym basem.

- Okay - powiedział Trumbo. - Mów, słucham. Wieprz odstąpił o krok do tyłu. - Weźmiesz teraz tę małą, bezużyteczną uhanę Sunny'ego i włożysz ją z powrotem do jego ciała, dokończysz transakcję i zainkasujesz te twoje trzysta milionów dolarów - powiedział potwór. - A potem wrócisz tutaj i zrobimy ten handelek. - Co za handelek? - zapytał Trumbo. - Chcesz pieniędzy? Wieprz odchrząknął. - Pewien nędzny kahuna prosił nas, żebyśmy cię zniszczyli - powiedział. - Ale my nie mieliśmy wcale takiego zamiaru. Jeżeli o mnie chodzi, najbardziej pragnąłbym zniszczyć Pele. A ja i ty, Byron, jesteśmy do siebie podobni. Urodziliśmy się, żeby dźwżyć władzę. Żeby podporządkowywać sobie wszystko... kobiety... cały kraj. Rozumiem twoją potrzebę równania wszystkiego buldożerami i wyciągania łapy po nowe tereny. Rozumiem to doskonale. Nie chcę twoich pieniędzy. Przez chwilę Trumbo kiwał w zamyśleniu głową.

- Ciągle nie mogę się domyślić, co będzie przedmiotem naszej transakcji - powiedział w końcu.

Kamapua'a wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. W jego ośmiu oczkach pojawiły się jasne błyski.

- Mój kochany Byronku, zamienimy się na jakiś czas miejscami. Ja stanę się tobą, a ty mną.

Trumbo zachował obojętny wyraz twarzy.

- Zaczekaj, niech się w tym połapię... Układ, który mi proponujesz, ma polegać na zamianie miejsc? Ty wejdiesz w moją skórę, a ja w twoją? Wieprz skinął potakująco głową.

- Ty staniesz się przystojnym miliarderem, mającym wille i dziewczyny na trzech kontynentach - ciągnął Byron Trumbo - a ja przez kilkadziesiąt lat będę olbrzymią, śmierdzącą świnia, mieszkającą w jaskini na Hawajach? Tak ma wyglądać nasz układ? Kamapua'a nie przestał uśmiechać się szeroko.

- Tak, Byronku, zawrzemy taki układ. Trumbo kiwnął głową.

- Ale powiedz mi, dlaczego u wszystkich diabłów miałbym wchodzić w taki interes? - Po pierwsze - mruknął wieprz głosem, który zdawał się wychodzić z jego brzucha - będziesz mógł żyć dalej. Nie pożrę twoich kości i flaków. Po drugie, gwarantuję ci, że w czasie tych piętnastu czy dwudziestu lat, jakie spędzę w twojej skórze, powiększę twoje finansowe imperium do rozmiarów, jakich nigdy dotąd nie widziano na tej planecie. Przyszedłeś tu jako człowiek, który stacza się po pochyłości... jako facet, który poprzez sprzedaż tego nędznego hoteliku za kilkaset milionów dolarów desperacko próbuje uchronić swoje imperium od zawalenia się. A kiedy wrócisz do własnego ciała, będziesz właścicielem całego świata. To nie jest przenośnia.

- Zawładnę całym światem, jeżeli zostanę tym, kim jestem - powiedział Trumbo.

Wieprz odchrząknął znowu.

- Po trzecie - podjął swój wywód, zupełnie jakby Byron Trumbo nie odezwał się ani słowem - będąc Królem Podziemnego Świata będziesz miał nieograniczoną władzę nad duchami i demonami w tym świecie. Będziesz miał władzę nad siłami natury tam, na ziemi, będziesz rozkazywał piorunom, wywoływał potopy, sprowadzał olbrzymie fale tsunami. Posmakujesz potęgi, o jakiej w tej chwili nawet ci się nie śni.

Trumbo potarł się dłonią po policzku.

- Będę miał całą władzę, jaką ty masz teraz? Kamapua'a potrzęsnał wielkim szczeciniastym łbem.

- Posłuchaj, Byron, ja nie jestem idiotą. Gdybyś przejął całąmoją władzę, mógłbyś zerwać nasz układ, kiedy byś tylko zechciał, i stać się królem tamtego świata na górze. Kiedy więc będę w twoim ciele, będzie mi nadal potrzebna większość moich mocy. Dzięki nim wzbogacę cię i rozslawię bardziej niż mógłbyś o tym marzyć w najśmielszych snach. Ale zapewniam cię, że okres, w którym jako Kamapua'a będziesz panem Podziemnego Świata i wszystkiego, nad czym ja panuję dzisiaj, będzie najwyższym wzlotem twojego życia. A potem, jak powiedziałem, kiedy wrócisz do swojej śmiertelnej postaci, odziedziczysz bogactwa i władzę, które ja zgromadzę dla ciebie.

- A gdybyś postanowił zostać na zawsze człowiekiem? - zapytał Trumbo. - Co to, to nie - odburknął wieprz. - Twoja ludzka postać jest do przyjęcia na jakiś czas, ale jesteś śmiertelnikiem. A ja nie mam zamiaru umierać. Jestem bogiem.

- To jeszcze jeden drażliwy punkt - powiedział Trumbo. - Po dwudziestu latach, które spędzisz w moim ciele, ono mocno się zestarzeje. .. Będzie miało prawie sześćdziesiątkę...

Zęby wieprza zabłyśły w przyćmionym świetle jaskini. - Osiągnie wtedy szczyt swoich możliwości, Byronie. Będę się obchodził z twoją cielesną powłoką troskliwiej niż ty to robisz teraz. Będzie w pełni sprawne, zaprawione w walce... Poza tym czułbym się zawiedziony, gdybyś zmarnował bogactwa, które dla ciebie zgromadzę. Powinienem przypomnieć ci też, że wejście na ten krótki okres w rolę boga przygotuj e cię do większych wyczynów niż te, jakich udało się dokonać jakimukolwiek śmiertelnikowi tam, na górze. - Więc to tyle? - zapytał Trumbo. - To już cały układ? - Tak, to cały układ - odparł Kamapua'a. - Jeżeli odmówisz, umrzesz tu i teraz, a twoja dusza będzie

tu gnąć po wszystkie czasy. A jeśli powiesz tak, zdobędziesz nieograniczoną potęgę i bogactwo, a do tego przekonasz się, jakie to wspaniałe być bogiem. I co ty na to, Byronie Trumbo? Trumbo pogrążył się na dłuższą chwilę w głębokiej zadumie. Kiedy podniósł wzrok, jego twarz mówiła, że podjął decyzję.

- No cóż - powiedział - skoro stawiasz sprawę w ten sposób, to ja pieprzę twoją propozycję.

Cordie nie sądziła nigdy, że na świńskim obliczu może się odmalować zdumienie.

Ale tym razem tak właśnie było.

- Pieprzę twoją propozycję, pieprzę ciebie i maciorę, na której tu przyjechałeś - dodał Trumbo, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości. Olbrzymi wieprz ryknął tak, że zatrzęsło się sklepienie jaskini.

- Jak śmiesz odrzucać wszystko, traktując mnie tak haniebnie, śmiertelniku?

Byron Trumbo wzruszył ramionami.

- Nigdy nie przepadałem specjalnie za wieprzowiną - powiedział.

Wieprz wyszczerzył groźnie ogromne zęby.

- Z wielką przyjemnością pożrę was oboje - warknął. - A na deser skonsumuję wasze duszyczki.

- Patrz! Tam! - zawołała Cordie, wyciągając rękę nad świnią.

Potwór obejrzał się przez szczeciniasty kark. Stojąca o dwadzieścia kroków za nim młoda hawajska kobieta nie była duchem - właściwie nie była nawet kobietą, tylko śliczną dziewczyną - a jej ciemne oczy rzucały srogie błyski. Kamapua'a prychnął gniewnie.

- Ruszaj stąd, wiedźmo - rzucił w stronę Pele. - Nie masz tu żadnej władzy.

Jesteś na moim terenie. Ci śmiertelnicy to mój obiad.

Młoda Hawajka nie poruszyła się ani nie mrugnęła okiem. - Dość tego - warknął Kamapua'a, skupiając znowu swoją uwagę na Cordie i jej towarzyszu. - Śmierć wam! - Monstrualne cielsko podreptało do przodu na cienkich świńskich nóżkach.

Cordie stanęła między Byronem i ścianą żywej wieprzowiny, sięgnęła do torby i wyciągnęła rewolwer. Odciała spust w chwili, gdy wieprz znowu chrząknął. - Chyba żartujesz - burknął z głębin brzucha i machnął ryjem. Rewolwer wyleciał z rąk Cordie i rąbnął o ścianę jaskini. Wieprz ruszył w jej stronę. Nie widziała już nic prócz ogromnego ryja i zębów.

Ziemia zatrzęsała się nagle, rzucając Cordie i Byrona na dno jaskini. Także wieprz zatrzymał się i zachwiał na drobnych racicach. Potwór obejrzał się, rzucając wściekłe spojrzenie milczącej hawajskiej dziewczynie. - Bądź przeklęta, suko. Powtarzam ci, nie masz tu żadnej władzy. Zaraz rozprawię się i z tobą.

Byron Trumbo i Cordie usłyszeli najpierw stłumiony grzmot, a dopiero potem poczuli narastający żar. Coś zbliżało się wulkanicznym kominem w ich stronę z dudnieniem i prędkością towarowego pociągu. Ściany rozbłysły nagle pomarańczową poświatą.

- Lawa! - krzyknął Trumbo i rzucił się biegiem do ucieczki. Nie było chwili do stracenia.

Kamapua'a roześmiał się i pokazał Pele zadek.

- Możesz sobie robić, co tylko chcesz, ty wiedźmo. Rozszarpie ich zębami, zanim dosięgnie nas ten twój nędzny ogień. - Warknął wściekłe i rzucił się na Cordie. Cordie uniosła butelkę z duszą Eleanor i wyciągnęła korek. W jednej chwili wypłynęła z niej mglista postać i zawirowała niczym obłok dymu. Wieprz zatrzymał się szurając kopytami po kamienistym dnie. Naokoło zaczęły wirować w powietrzu inne duchy, zaniepokojone zbliżającą się lawą. Pomarańczowa poświata pojaśniała i dał

się odczuć straszliwy żar.

- Ruszaj stad, diablico! - zaryczał wieprz goniąc wściekłym spój -rzeniem za duszą Eleanor, która kręciła się w kółko między nim a Cordie. Jej twarzy nie dzieliło od zgrzytaj ących zębów potwora nawet pół metra, ale wirujący, mglisty kształt blokował każdy jego ruch.

- Nie masz prawa jej tknąć - powiedziała cichym głosem Cordie. - Tak zarządziła Pele.

Słyszając to Kamapua'a ryknął tak, że z powały jaskini posypały się kamienie. Wieprz odwrócił się i rzucił w kierunku oszołomionego Trumba. Blask zbliżającej się lawy oświetlał wnętrze jaskini niczym pomarańczowy reflektor. Dusza Eleanor popłynęła jak żywe srebro i stanęła między nim a struchlałym Byronem. Kamapua'a musiał znowu ostro hamować racicami, żeby nie pogwałcić nienaruszalnej mocy kapu Bogini Pele. Potwór obrócił się z powrotem do Cordie, która stała bez żadnej ochrony. Za jej plecami widać już było ścianę lawy, której wirujące zwały wyłoniły się zza zakrętu korytarza, tocząc się niczym ogniste tsunami roztopionej skały.

- Prędko! - rzuciła młoda hawajska kobieta. - Biegnijcie do mnie. Cordie zanurkowała wzdłuż lewego boku wieprza, Trumbo wzdłuż prawego. Kamapua'a zaczął odwracać się w jej stronę, ale dusza Eleanor powstrzymała go; rzucił się w drugą stronę, żeby chwycić zębami Trumba, ale mglisty duch znowu mu w tym przeszkodził. Po kamienistym dnie zadudniły racice potwora. Śmiertelnicy byli jednak szybsi. Zanim monstrualna świnia zdążyła zawrócić na swoich dziwnie delikatnych nóżkach, Cordie i Trumbo zdążyli przebiec dwadzieścia kroków dzielących ich od hawajskiej dziewczyny i stanęli obok niej. - NIE! - huknął wieprz. Ściany jaskini zatrzęśły się od echa jego ryku bardziej niż od największego trzęsienia ziemi. Kamapua'a opuścił masywny łeb, zamiótł racicami ziemię i ruszył do ataku niczym ogromny byk szarżujący na zbyt małej arenie. Cordie i Trumbo cofnęli się w przestrachu, ale potwór wyrzwał w niewidzialną barierę metr przed piękną hawajską dziewczyną i rozciągnął się na ziemi.

Dziewczyna uniosła ręce. Jej głos był tak samo pełen wdzięku jak cała postać. O, wysoki szczycie Kilauea! O, pięciokątna krawędzi otchłani! Budzą się niebiosa. Zbudzona jest ziemia, Zbudzone jest morze.

Ja, Pele, jestem boginią.

To moje dzieło.

Ja przynoszę ogień,

Ja przynoszę ożywcze płomienie.

E ala e! Budzą się płomienie! Ukazuje się lawa!

Nie ma już kapu gwałtu i śmierci.

Rozwiało się jak mgła

I zostało przegnane precz.

Duchy wszystkich haole zaczęły wirować jak kłęb dymu wokół Pele, Cordie i Trumba, zajmując całą przestrzeń wokół nich. Dusza Eleanor wpłynęła z powrotem do czekającej na nią butelki. Cordie wcisnęła korek na miejsce. Kamapua'a zaryczał znowu. Od sklepienia odpadło kilka kamieni i otworzyły się szczeliny. Ściana lawy niemal niezaważalnie pokonała ostatnich kilka metrów. Cordie zobaczyła, że szczecina na świńskim karku zajmuje się płomieniem. W chwilę potem lawa pochłonęła cielsko wieprza. Cordie skuliła się i zamknęła oczy, czując żar buchający od roztopionej magmy. Dziwiła się, że jej ostatnie myśli krążą wokół rzeczy tak zupełnie nieważnych. Otoczyła ich lawa ziejąca straszliwym, ale nie śmiertelnym żarem, jak można się było spodziewać. Cordie usłyszała ostatni ryk monstrualnego wieprza, ale nie widziała, czyjego cielsko wyparowało, czy

popłynęło ze strumieniem lawy. Szaropomarańczowe zwały magmy przesuwwały się wokół nich nie przekraczając niewidzialnej bariery, która otaczała ich niczym tarcza. Doszedł ich dźwięk buchającej pary, kiedy strumień lawy dotarł do oceanu. A potem zaczęli się unosić razem z trzymającą rękę w górze dziewczyną; płynąć do góry, jak bezszelestną, niewidzialną windą. Wylecieli przez szczelinę w sklepieniu, rozszerzającą się w komin wentylacyjny, jakby było to czymś zwyczajnym.

Dziewczyna opuściła rękę. Cordie zamrugła oczami. Poczowała na twarzy morską bryzę i krople deszczu. Bariera gdzieś znikła. Za ich plecami, ku południowi, płynęły strumienie lawy i syczała para, ale żadne przeszkody nie oddzielały ich od odległego o kilkaset metrów ośrodka Mauna Pele. - Chodź ze mną - zwróciła się Cordie do dziewczęcej bogini. - Potrzebuję twojej pomocy - dodała, unosząc butelkę z mglistym oparem w środku. Młoda kobieta potrzęsła głową.

- Znasz przecież słowa - powiedziała. Wyciągnęła rękę i dotknęła nią głowy Cordie Stumpf, z domu Cooke. - Teraz należysz do żeńskiego zakonu bogini Pele. Idź.

Byron Trumbo ruszył także, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Usiadł ciężko na gładkiej skale. Cordie przykucnęła przy nim.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Tak. - Przed oczami Byrona latały czarne płatki.

- Wsadź głowę między kolana. To ci pomoże.

Trumbo opuścił głowę i nie ruszał się dotąd, aż przestało mu się kręcić w głowie.

- To prawdopodobnie od tego przeklętego smrodu - powiedział, podstawiając twarz pod krople deszczu. - Hej, gdzie ona zniknęła?

Cordie obejrzała się. Młodej kobiety nie było.

- Wróciła tam, do siebie - powiedziała Cordie wskazując pomarańczową łunę bijącą od wulkanicznego krateru. - Chodź, pomogę ci. - Wyciągnęła rękę i pomogła Byronowi Trumbo stanąć na nogach.

- Ocucimy Eleanor - powiedziała - a potem pomogę ci ożywić twojego japońskiego przyjaciela.

Trumbo pokręcił z podziwem głową.

- Fantastyczny trik. Idealny jako towarzyska zabawa. Gdyby dało się go opatentować, można by było zbić na tym majątek. - Przecież już masz majątek - przypomniała mu Cordie. Byron Trumbo odchrząknął.

- Miałem. Ci Japończycy zdążyli pewno pokonać do tej pory połowę drogi do Tokio.

Cordie trzepnęła Trumba pięścią w ramię.

- Chcesz mi wmówić, że nie zrobiłbyś następnego miliona dolców, nawet gdybyś jutro znalazł się bez grosza?

Trumbo zastanawiał się nad odpowiedzią nie dłużej niż sekundę.

- A, do diabła - powiedział. - Jestem pewien, że dałbym radę.

- A w dodatku to by mogło być zabawne, nie?

Trumbo nie odpowiedział. Uśmiechnął się lekko, a w końcu wyszczerzył zęby na całą szerokość. Ruszyli w kierunku Wielkiego Hale. - Jezu Chryste, ależ my śmierdzimy - powiedział po chwili. Cordie kiwnęła głową. - Nie zatrzymuj się. Deszcz zmyje najgorsze zapachy. Ajak dojdziemy do hotelu, weźmiemy prysznic.

- Wolałbym jednak mieć na sobie jakieś ciuchy - westchnął Trumbo, ostrożnie stawiając bosc

stopy.

Cordie uśmiechnęła się szczerząc zęby.

- Wyglądasz całkiem dobrze na golasa - powiedziała. - Przynajmniej widać, że jesteś mężczyzną.

Rozdział dwudziesty trzeci

Ustanowione już niebo

I ustanowiona ziemia.

A tam, powiązane ze sobą,

Zawsze, zawsze razem,

Zapomniane od świata,

Wyspy, powiązane w łańcuch

Wyciągnięty niczym klucz ptaków.

Każda z osobna rwie się w górę

Ku zawieszonym wysoko niebiosom.

Wyglądzone od razów

Lampy zawisły na niebie.

Lecz oto napływają chmury,

Wstaje ogromne, wspaniałe słońce.

Rodzi się ludzkość dla rozkoszy,

Pod wirującym w górze niebem.

Z Kumulipo, Pieśni o stworzeniu świata

Cordie i Eleanor zasnęły kamiennym snem. Nie usłyszały dudnienia helikopterów, które lądowały i startowały o świcie. Ostatecznie zbudził je dopiero śpiew ptaków.

Eleanor podniosła się z kanapy i podeszła do królewskich rozmiarów łoża, na którym rozłożyła się jej przyjaciółka. Cordie wciąż miała na sobie pomiętą koszulę i dzinsy, które włożyła poprzedniego wieczoru. - Dzień dobry - powiedziała Eleanor.

Cordie zmusiła się, żeby otworzyć jedno oko. Eleanor podała jej gorącą kawę. - Skąd to wystrasnęłaś? - zapytała Cordie, biorąc z wdzięcznością do ręki białą filiżankę.

- Znalazłam w kuchni ekspres. I kilka torebek kawy. - Eleanor podniosła rękę do skroni. - Mam piekielny ból głowy.

- Pewnie, trudno się dziwić - powiedziała Cordie spoglądając na przyjaciółkę. - Pamiętasz coś z tego... z tego, cośmy tam przeszły? Eleanor próbowała się uśmiechnąć.

- Masz na myśli te parę godzin, które spędziłam na tamym świecie? I jak wracałam do życia? - Uśmiech znikł z jej twarzy. - Nie, prawie nic. Tylko mgliste obrazy, jakieś senne okruczki z naszej rozmowy wczoraj wieczorem... a właściwie dziś rano...

- A jak się czujesz, jeśli nie liczyć bólu głowy? - zapytała Cordie. Eleanor ożywiła się.

- Całkiem dobrze. Bołą mnie tylko stopy. Cordie chrząknęła z przekorną miną. - Musiałam walić w nie jak w bęben, żeby wklepać do środka twoją uhanę. Nie chciała wejść.

Eleanor potrząsnęła głową.

- Wiesz, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze? To, że nigdy nie wierzyłam w istnienie duszy i w życie pozagrobowe.

- Ani ja - powiedziała Cordie.

- A wiesz, co mnie zdumiewa jeszcze bardziej? - zapytała Eleanor. - To, że nadal w nie nie wierzę.

Cordie wypła łyk kawy.

- Domyślam się, co masz na myśli, Nell. Wyglądało to tak, jakbyśmy zostały wciągnięte na chwilę do zupełnie innego świata. Takiego... nierealnego. Z innej planety.

- Kiedy się obudziłam - powiedziała Eleanor - przyszło mi do głowy, że trudno mi będzie wrócić do wykładów o Oświeceniu. Ale teraz myślę, że będą one miały dla mnie jeszcze większe znaczenie.

Cordie popijała w milczeniu kawę.

- Co byś powiedziała, gdybym włożyła coś na siebie, a potem poszłybyśmy zobaczyć, co zostało z tego kurortu? - zapytała Eleanor. - Dobra myśl - stwierdziła Cordie i popatrzyła na swój e zmięte ubranie. - Myślę, że powinnam wziąć prysznic i ubrać się w coś świeższego. - Pachniesz jakimiś interesującymi perfumami - zauważyła Eleanor.

Cordie skrzywiła się z niesmakiem.

- To są perfumy czosnkowo-sardelowe z dodatkiem sera limburgskiego - powiedziała.

-Gwarantowana mieszanka odstraszaająca duchy.

Eleanor zatrzymała się z ręką na klamce.

- Na dobrą sprawę nie podziękowałam ci j jeszcze. Właściwie to do tej pory nie wiem, jak...

Cordie machnęła ręką.

- Wiesz przecież, Nell, że nie musisz o to pytać. Wiesz, jak to się stało.

Eleanor kiwnęła głową.

- Jesteśmy jak położne. Zjawiamy się, kiedy u jakiejś kobiety zaczynają się bóle i nas potrzebuje.

- Tak - powiedziała Cordie, dopijając resztę ciemnego płynu. -O Jezu, Nell, robisz wyśmienitą kawę.

Obeszły cały hotel. Parter zalany był błotem i zavalony poprzewracanymi meblami. Ziemię pokrywały połamane gałęzie i zdeptane kwiaty. O mniej niż pół kilometra na południe i północ widać było zwały lawy, ale wydawało się, że nie dotarła ona do najbliższego otoczenia hotelu, które mocno ucierpiało od burzy. Wszędzie kręcili się robotnicy i członkowie ekip naprawczych. Żółte kaski połyskiwały w porannym słońcu. Północny wiatr zepchnął chmurę popiołów daleko na morze, choć od czasu do czasu w oceanicznej bryzie można było wyczuć zapach siarki.

Przed wejściem do Mauna Pele stały kamery stacji telewizyjnych. Kiedy Eleanor i Cordie wchodziły do środka, wyciągnęły się ku nim ręce z mikrofonami. Kobiety nie zwróciły na to uwagi; minęły sennych strażników i poszły na górę. Zastały Byrona Trumbo w zrujnowanej sali bankietowej. Wyglądała jakby przeszedł tędy tajfun, zostawiając po sobie kompletny bałagan. Miliarder stał na tarasie i rozglądał się po okolicy. Miał na sobie szorty, marszczoną hawajską koszulę i sandały. Obok niego stał Will Bryant.

- Cześć, By - powiedziała Cordie. Trumbo rzucił jej ostre spojrzenie. - Nie zapomniałem jeszcze tego, co stało się wczoraj wieczorem. Cordie uśmiechnęła się.

- Nie przypuszczałam, że będzie inaczej. Jak się czuje Paul? - Zabrali go stąd pierwszym helikopterem - powiedział Will Bryant, ubrany w biały płócienny garnitur, który przywiódł Eleanor na myśl Marka Twaina. - W jakim był stanie? -zapytała.

- Lekarze mówią, że nic mu nie będzie - odparł Bryant. - Odesłaliśmy już stąd wszystkich rannych.

W nocy nie było żadnych nieszczęśliwych wypadków. - A co z Caitlin, Mayą i Bicki? - zapytał Trumbo. - Wyszły cało z tej rzezi?

- Tak - odparł Will Bryant.

- Szkoda - rzucił Trumbo.

- Odleciały o świcie odrzutowcem Mayi - wyjaśnił sekretarz. - Zabrały ze sobą Jimmy'ego Kaheliki.

- Tego hawajskiego olbrzyma? A po co?

- Coś tam plotły o honorarium dla Frontu Wyzwolenia Hawajów za zabicie pana - odparł Will Bryant.

Byron Trumbo mruknął coś pod nosem. Eleanor rozejrzała się na wszystkie strony.

- A gdzie się podzieli Japończycy?

- Wyjechali jeszcze przed wschodem słońca - odpowiedział Trumbo. - Do tej pory pokonali już pewnie połowę Pacyfiku.

- Nie podpisali kontraktu? - zapytała Cordie. Byron Trumbo roześmiał się. - Odgrązali się, że będę musiał zapłacić im czterdzieści pięć milionów dolarów odszkodowania.

- Co ich ostatecznie wystraszyło? - zapytała Eleanor. - Trzęsienie ziemi?

Huragan? Zbliżające się rzeki lawy?

Trumbo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Na dobrą sprawę żadna z tych rzeczy. Pamięta pani, Cordie, jak wklepywaliśmy duszę Sunny'ego Takahashi z powrotem do jego ciała? - Oczywiście. - Cordie popijała drugą już dzisiaj filiżankę kawy. - No więc tak mi się spieszyło z wypuszczeniem jej z butelki po winie, że całkiem zapomniałem o drugiej duszy, która też tam była. A pamięta pani, jak opornie szło nam później z Dillonem? Jego pieprzona duszyczka nie chciała wleźć w podeszwy.

- Jasne, że tak - potwierdziła Cordie. Will Bryant spojrzał na Eleanor.

- Jak ktoś przy zdrowych zmysłach może słuchać takich rzeczy?

- Proszę nie pytać mnie o to - odparła Eleanor. - Byłam tam osobiście. - No więc, jak poszło z tymi duszami? - zapytała Cordie. Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę, w której wyglądała zaskakująco dobrze.

- Upchnęliśmy je nie do tych ciał, co należało - odparł Trumbo. - Zaprowadziłem

Surmy'ego do jego drogiego przyjaciela. Wyobrażałem sobie, że teraz Sunny podpisze wszystko, co się mu podsunie, a tu nagle Takahashi odezwał się głosem Dillona. Potem zjawił się Dillon i zaczął bełkotać po japońsku. No i wszystko się zawaliło. Przez chwilę wszyscy czworo przyglądali się porannemu słońcu, muskającemu czubki ocalałych kokosowych palm.

- I co, naprawił pan ten błąd? - zapytała Cordie. - Nie - odparł Trumbo, podszedł do balustrady i przeciągnął się. - I Dillon, i Sunny powiedzieli, że dobrze się czują w nowej skórze. Postanowili wypróbować ten stan przez jakiś czas.

Will Bryant potrząsnął głową. Trumbo obrócił się w jego stronę.

- Nie wywaliłem cię przypadkiem wczoraj wieczorem na zbity pysk z posady? - Tak naprawdę, to nie - odparł Bryant. - Po wymknięciu się Japończyków wypiliśmy razem parę drinków i powiedział mi pan, że uważa mnie za swojego syna. - Bzdura - powiedział Trumbo.

- Jestem tego pewien - stwierdził Will Bryant. - Naprawdę tak pan powiedział. I dodał pan

jeszcze, że facet, który zgodziłby się iść do tego dwutonowego wieprza w jaskini, byłby za głupi, żeby pracować dla pana, więc mnie pan nie zwolni. Trumbo podrapał się po głowie.

- Zastrana sprawa.

Eleanor rozejrzała się po resztkach pozostałych po bankiecie. - Co to wszystko oznacza dla pana, panie Trumbo? - zapytała Eleanor. - Pod względem finansowym, rzecz jasna.

Trumbo wzruszył ramionami.

- Pod względem finansowym? Oznacza to, że jestem skończony, a moja żona zrobi sobie podwiązki z moich flaków i do tego jeszcze dostanie Mauna Pele. A ja będę musiał zaczynać wszystko od początku, i to nie z pozycji człowieka, który sam się wycofał, ale kompletnego bankruta. - Nagle wyszczerzył zęby do Cordie. - Spotkał mnie nie najgorszy los, nie?

Cordie odstawiła filiżankę z kawą.

- Rzeczywiście, By, nie najgorszy. Ale są jeszcze inne wyjścia. Ile ostatecznie oferowała ci grupa Sato? Około trzystu milionów? Trumbo zmrużył oczy.

- Tak. A więc?

- Zapłacę ci trzysta dwadzieścia pięć milionów i podpiszę umowę jeszcze dziś po południu.

Byron Trumbo zaczął się śmiać, po chwili jednak spoważniał.

- Zapłaci pani gotówką?

- Jeżeli tak wolisz, choć moi ludzie sugerują że lepiej by było dla nas obojga, gdybym zapłaciła częściowo gotówką a częściowo akcjami. Eleanor przyglądała się zaintrygowana Willowi Bryantowi, który skręcił się, jakby ktoś dźgnął go ostrym narzędziem.

- Pani Stumpf z Chicago... Chicago... Chodzi może o firmę Cooke? - Co takiego? - zapytała Eleanor, widząc zdumienie najpierw na twarzy Bryanta, a potem także Byrona Trumbo. - O czym wy mówicie? - Cooke! Sieć Zakładów Oczyszczania z Chicago! - powiedział Trumbo, uderzając się dłonią w czoło. - Największy śmieciarski biznes w Ameryce Północnej. Obsługują wszystkie uniwersytety od Nebraski po Vermont i połowę wielkich miast. Prowadził to Stumpf... czy jak mu tam, ale jakiś czas temu umarł i objęła to po nim jego żona. Ale słyszałem głosy, że to ona była zawsze głową tego interesu. - Głosy mówiły prawdę - potwierdziła Cordie.

- Parę miesięcy temu sieć została sprzedana - powiedział Will Bryant. - W rok po ogłoszeniu. Grupa Richie-Warner-Matsu wybuliła za nią trzy czwarte miliarda dolarów.

- Tylko część była w gotówce - wyjaśniła Cordie. Podeszła do stojącego w oszołomieniu Trumba i oparła się o balustradę. - A więc, By, co ty na to? Moi ludzie mówią mi, że taka jest w przybliżeniu wartość tego ośrodka. - Rozejrzała się dookoła. - Nawet jeżeli trzeba będzie dołożyć coś tam za sprzątanie. Trumbo otworzył usta, ale natychmiast je zamknął. - Powiedz mi, Cordie, naprawdę masz zamiar wejść w hotelarski biznes? - odezwała się Eleanor.

- Do diabła, nie - odparła Cordie. - To by mnie zanudziło na śmierć. Ale pamiętasz, co ci mówiłam, że to miejsce nadawałoby się na szpital i centrum badawcze dla chorych na raka?

- Szpital? - zapytał bezbarwnym tonem Trumbo. - Szpital? Cordie wzruszyła ramionami.

- Każdy z tych cholernych ośrodków leczenia nowotworów w Ameryce wygląda jak stary zardzewiały pancernik. Czemu nie miałyby powstać centrum, w którym ludzie mogliby się opalać w trakcie kuracji... nawet jeżeli są skazani na śmierć? - Rzeczywiście, nie ma powodu - powiedział do siebie Will Bryant.

- Poza tym - ciągnęła Cordie - gospodarka na tej wyspie znajduje się w opłakanym stanie. I nigdy

się nie podniesie, jeżeli miejscowi ludzie będą zatrudniani wyłącznie jako kelnerzy, kierowcy i pracownicy pralni. Gdyby w Mauna Pele powstała międzynarodowa klinika onkologiczna i ośrodek szkolenia medycznego, to kto wie, czy miejscowi chłopcy i dziewczęta nie zdecydowałiby się na karierę w tej dziedzinie? Do licha, założę się, że Korporacja Byrona Trumbo zgodzi się na ufundowanie jednego albo i dwóch stypendiów... jeśli od tego będzie zależało zawarcie umowy.

Trumbo spojrział na nią uważnie.

- No więc, co ty na to, By? - zapytała Cordie. - Moi adwokaci powinni przylecieć w porze lunchu. Zdążysz do tej pory przygotować dokumenty? - Wyciągnęła w jego stronę szeroką dłoń, pokrytą stwardniałym naskórkiem. Trumbo przez chwilę wodził wzrokiem między jej prawicą a Willem Bryantem, wreszcie uścisnął ją.

Obaj mężczyźni zasiedli do narady. Eleanor i Cordie poprosiły o jeszcze jedną kawę, a potem zeszły po schodach na dół i ruszyły zaśmieconą alejką w kierunku plaży. Znalazłszy się na piasku, zatrzymały się, żeby nacieszyć oczy blaskiem słońca, tańczącym na przezroczystej wodzie i popatrzeć na leniwe fale przyboju. - To będzie przepiękny szpital, wprost wymarzone miejsce na powrót do zdrowia - powiedziała Eleanor.

Cordie kiwnęła w milczeniu głową.

- Masz jakieś obawy...? - Eleanor wyciągnęła rękę ku południowej stronie wyspy. - Myślisz, że mógłby mnie napaść Kamapua'a? - zapytała Cordie. - I Pana-ewa? I Ku? Rekinolud Nanaue?

- Tak - potwierdziła Eleanor. - Cała ta zgraja.

- Nie boję się ich - powiedziała Cordie. Uśmiechnęła się pokazując drobne zęby. - Przypuszczam, że mają dość zadawania się z kapłankami Pele przynajmniej na parę stuleci.

Eleanor uśmiechnęła się i pociągnęła łyk kawy. Słońce zaczęło przypiekać jej skórę. Zsunęła sandały i zanurzyła stopy w piasku. - Nell, zdecydowałaś już, co będziesz robić przez najbliższych parę dni? - Tak - odparła Eleanor. - Przyjechałam tu na tygodniowy odpoczynek, ale jak dotąd nie zdążyłam odpocząć ani trochę. Chciałabym zapytać nową właścicielkę, czy nie pozwoliłaby mi przedłużyć pobytu właśnie o te siedem dni.

Cordie przeciągnęła palcem po dolnej wardze.

- Odnoszę wrażenie, że nowa właścicielka może zafundować ci nawet bezpłatny pokój. A do tego zaproponować, żebyśmy przyszły tu później popływać sobie w lagunie, a po południu urządziły popijawę w Pirackim Barze, żeby zapomnieć o tym wszystkim.

Cordie zrzuciła buty i obie panie ruszyły wzdłuż zakrzywionej linii białej plaży, popijając po drodze kawę. Eleanor mrugnęła i zanuciła jeden z przebojów Bogie. Udało się jej nawet niemal idealnie oddać dziecięce seplenienie. - Coś mi się zdaje - powiedziała - że to może być początek wspaniałej przyjaźni. - Jeszcze jakiej! - uśmiechnęła się Cordie i puściła kaczkę płaskim kamykiem po spokojnej wodzie laguny.

List znaleziony na końcu dziennika cioci Kidder 18 czerwca 1905 roku, 21 Fifth Avenue, New York Panna Lorena Stewart 3279 W. Patton Blvd. Hubbard, Ohio Droga Panno Stewart!

Z poczuciem wielkiej winy i nie bez obaw decyduję się odpowiedzieć wreszcie na Pani uprzejmy list sprzed roku. Jak Pani wie, dokładnie rok temu, w niedzielny wieczór piętnastego czerwca we Florencji, utraciłem moją kochaną Livy. Zrozumie Pani także, mam nadzieję, że od tego czasu nie zdarzył się nawet jeden dzień, w którym nie pragnąłbym pójść za nią.

Lecz, jak nauczyliśmy się tego obój e wiele lat temu na pięknych Wyspach Sandwich, ci, co jeszcze żyją, mają obowiązki wobec innych żyjących. Pani piękny i wspaniałomyślny list z ubiegłego

roku przypomniał mi o tej zapomnianej zasadzie.

Prosiła Pani w swym liście, abym opowiedział Pani któregoś dnia, jak poznałem Livy i w jaki sposób doszło do naszego małżeństwa. Ten dzień nadszedł właśnie.

Pamięta Pani może, że po naszym rozstaniu zdołałem przekonać moją gazetę, aby wysłała mnie w podróż dookoła świata, z której posyłałem młodzieńczo niedoskonałe i niedojrzałe korespondencje, aby dostarczyć rozrywki tłumom nieokrzesanych czytelników. W czasie pobytu w Ziemi Świętej poznałem młodego człowieka o nazwisku Charley Langdon. Charley pokazał mi pewnego dnia miniaturowy, malowany na kości słoniowej portrecik swej siostry, w której natychmiast się zakochałem.

Ujrzałem ją w jej własnej osobie w grudniu tego samego roku. Była szczupła, piękna i bardzo dziewczęca - można by rzec, łączyła w sobie młodą dziewczynę i dojrzałą kobietę. Pobraliśmy się dwa lata później. Można by pomyśleć, że poszło nam z tym dość łatwo, ale prawdziwa miłość rzadko tylko nie napotyka żadnych przeszkód. Przybyłem do domu Langdonów, aby spędzić tam tydzień, ale w czasie tego denerwującego pobytu nie pozwolono mi na jedno nawet sam na sam z Livy. Dopiero przy wyjeździe, kiedy wyruszałem powozem na stację kolejową, ręka Przeznaczenia dała znać o sobie, wymierzając jeden z tych tęgich razów, którymi potrafi ono, jak wiemy, posłużyć się tak dobrze. Wydaje się, że tylne siedzenie musiało być niedostatecznie umocowane, bo kiedy stangret śmignął konia batem, obaj z Charley'em wylecieliśmy przez tył pojazdu na ziemię. Charleyowi nic się nie stało, ale ja udałem, że doznałem wstrząsu, i dotąd leżałem bez przytomności, aż zaniesiono mnie do domu i wlano do gardła tyle brandy, że można by nią było zadławić irlandzkiego konia. Nie ocuciło mnie to jednak, bo zależało to wyłącznie ode mnie.

Aby nie rozwodzić się zbytnio nad tą długą, rozkoszną historią, powiem tylko, że udało mi się pozostać w tym stanie dopóty, dopóki Charley i jego druga siostra nie przerwali swych zabiegów wokół mnie, a masowaniem i rozcieraniem mych omdlałych skroni nie zajęła się Livy. Starłem się przedłużyć ile mogłem te słodkie chwile, w końcu jednak uniosłem powieki i po raz pierwszy Livy i ja wymieniliśmy naprawdę czułe spojrzenia.

Przygoda ta przedłużyła mój pobyt o trzy dni. Bardzo mi to pomogło. Po jakimś czasie pan Langdon poprosił mnie o listy polecające, a ja pokazałem mu to, co miałem najlepszego. Kiedy ojciec Livyje przeczytał, nastąpiło bardzo długie milczenie. W końcu zapytał:

- Co to za ludzie? Nie ma pan na świecie żadnego przyjaciela?
- Jak widać, nie mam - odparłem.
- W takim razie będzie pan miał przyjaciela we mnie. Znam pana lepiej niż oni.

Oddaję panu moją córkę.

Zaręczynowy pierścionek z masywnego złota był bardzo zwyczajny. Wryto na nim datę czwartego lutego tysiąc osiemset sześćdziesiątego dziewiątego roku. W rok później wziąłem go od niej i przerobiłem tak, żeby posłużył jako obrączka ślubna. Wystarczyło wygrawerować w środku datę drugiego lutego tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku. Odtąd Livy nie rozstawała się z nią nigdy, nawet na krótką chwilę. Zeszłego lata we Włoszech, kiedy śmierć przywróciła jej słodkiemu obliczu utraconą młodość, a ona leżała jasna i piękna, taka jak wtedy, gdy była jeszcze dziewczyną i moją narzeczoną, chciano zdjąć jej tę obrączkę i zachować jako pamiątkę dla naszych dzieci. Zapobiegłem jednak podobnemu świętokradztwu. Została pochowana z obrączką na palcu.

Piszę Pani o tym, panno Stewart, bo kilkadziesiąt lat temu, kiedy moja droga Livy zapytała mnie, jak to czynią wszystkie narzeczone, czy kiedykolwiek miała rywalkę, o której serce i rękę się

ubiegałem, opowiedziałem jej o nas: o zapachu sandałowego drewna, dochodzącym z nadmorskich gajów, o blasku rzucanym przez wulkan i o tym, jak przyjemnie było ujść z życiem z zetknięcia z tym żywiołem, o naszym śnie wreszcie, w którym zeszlśmy do królestwa śmierci, aby odzyskać uhane naszego przyjaciela kapłana.

Chociaż nie jestem człowiekiem wierzącym, w jakiś sposób pociesza mnie pewność, że dusza Livy też gdzieś tam na mnie czeka.

Znalazłem także pocieszenie w myśli, panno Stewart, że chłopięce rozczarowanie, jakiego doznałem po odrzuceniu przez Panią mojej propozycji, jaką odważyłem się wyjąkać tamtego, tak już odległego czerwcowego dnia, było czymś nader niestosownym. Przez długie lata znajdowałem ukojenie i przyjemność w lekturze Pani cudownych podróżniczych książek - do moich najbardziej ulubionych należą:

Po nieprzetartych ścieżkach Japonii, Wizyta Damy z Ohio na Cesarskim Dworze Japonii, Mieszkanka Ohio w Górach Skalistych i Przez szerokie piaski Sahary - na wielbłądzie przy blasku księżycy, choć przyznaję, że daremnie czekałem przez te wszystkie lata na Pani książkę o Wyspach Sandwich. A zatem sam w końcu zacząłem ją pisać. Moje pierwsze odczyty miały miejsce właśnie na Wyspach Sandwich, i kiedy raz już natrafiłem na tak bogatą „żyłę złota”, miałem szczerzy zamiar eksploatować ją aż do śmierci. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym skreśliłem pierwsze słowa powieści poświęconej Wyspom - o dawnych królach i zwyczajach, o trędowatych i o bałwochwalstwie, o powierzchniowych działaniach chrześcijańskich misjonarzy i o osobliwych pogańskich obrzędach, ale po jakimś czasie te historyjki zosta-397 ły wchłonięte przez większą powieść, której dałem tytuł Janke na dworze króla Artura. Ale opowiadka o Wyspach Sandwich gdzieś tu ciągle jest. Jeśli tylko moje stare kości i stary umysł zdołają przebudzić się z artretycznej drzemki, dokopię się do nich niedługo i spróbuję je odświeżyć, tak jak zrobiłem to niegdyś z długo odkładaną książką o chłopcu, który nazywał się Huckleberry. Być może podyktuję ją mojej córce Jean, która mieszka teraz ze mną. Jean z lubością powtarza, że nie zdołałm jej niczym zaskoczyć.

Widzę, panno Stewart, że zaczynam bredzić od rzeczy. Oprócz szczerych, choć spóźnionych podziękowań za dowody sympatii i życzliwości, jakie otrzymałem od Pani rok temu po tej wielkiej stracie, chciałem tylko powiedzieć Pani jak droga stała mi się pamięć chwil spędzonych razem z Panią na tych dalekich wyspach, teraz, kiedy znalazłem się już po drugiej stronie oceanu wspomnień. Chociaż nie podróżowałem tyle co Pani, zdołałem przecież od czasu naszych wspólnie spędzonych dni zobaczyć kawałek tego smutnego starego świata. Muszę powiedzieć, że żaden z najdziwniejszych zakątków ziemi nie wywarł na mnie tak głębokiego i silnego uroku jak tamten. Za żadnym nie tęskniłem we śnie i na jawie tak jak za tymi wyspami, które zaczarowały mnie na połowę życia. Inne wspomnienia umierają, ale to jest wiecznie żywe; inne zmieniają się z czasem, to pozostaje wciąż takie samo.

Ciągle, panno Stewart, czuję powiew balsamicznego wietrzyku tych wysp, ciągle widzę tamto morze migocące w letnim słońcu, ciągle pulsuje w mych uszach jednostajny szum przyboju. Mam przed oczyma okryte zielonymi girlandami urwiska, tęczowe kaskady, pierzaste palmy drzemiące nad brzegami oceanu, odległe szczyty, unoszące się niczym wyspy nad goniącymi z wiatrem obłokami. Pamiętam nastrój samotnych leśnych ustroni, słyszę plusk wody w strumieniach; w moich nozdrzach wciąż żyją zapachy kwiatów, które przetrwały prawie czterdzieści lat. A we wszystkich tych obrazach, panno Stewart, widzę Pani szlachetne, nieugięte oblicze. Słyszę Pani prowokujący śmiech. Widzę nas oboje -młodych, niewinnych, niezepsutych, nie poskromionych działaniem czasu - i zastanawiam się, czy to możliwe, aby nasze uhane mogły po uwolnieniu się ze starych

zniedołączniałych cielesnych powłok ulecieć nie do chrześcijańskiego nieba, ale raczej tam, na Wyspy Sandwich.

Mam nadzieję, że to jest możliwe. Nie wierzę w to, ale mam nadzieję, że taka możliwość istnieje. Myślę, że w żadnym zakątku świata nie rzuciła kotwicy flotyła piękniej szych wysp niż te. Z radością powitałbym możliwość powrotu na nie w tym innym przebraniu, aby przedstawić Pani moją żonę, a Panią mojej Livy. Na pierwszych parę stuleci rozwiesilibyśmy sobie dwa hamaki i rozmawialibyśmy, przyglądając się zachodom słońca - jedyne go intruza z innych sfer, tak uparcie podpowiadającego, że one istnieją. Pograżylibyśmy się w ekstazie pośród rozkosznie wonnych powiewów, aby zapomnieć, że gdzieś istnieje czy kiedykolwiek istniał inny świat prócz tych zaczarowanych wysp.

Błagam, panno Stewart, niech Pani pisze. Znam styl Pani prozy. Szczerze go podziwiam. Będę czekał na jego kolejne przejawy. W oczekiwaniu na ten dzień pozostaję starzejącym się, ale posłusznym Pani sługą Samuel Langhorne Clemens (Mark Twain)

Podziękowania

Pragnę podziękować pani Tarze Ann Forbis za jej redakcyjną pomoc i wnikliwe uwagi. Chciałbym podziękować również przyjaciółom z Mauna Kea Beach Resort, Kona Village Resort, hotelu Hana Maui i Hawajskiego Narodowego Parku Wulkanicznego. Zbieranie materiałów do tej książki było ciężką pracą, ale wartą każdej chwili spędzonej w słońcu, pośród wodnej mgiełki wodospadów i tęczyowych odblasków. Do źródłowych prac, które były mi pomocne, a mogłyby zainteresować czytelników, pragnących pogłębić swą wiedzę o Hawajach, należało dwadzieścia pięć Letters from the Sandwich Islands Marka Twaina (1866), pisanych dla gazety „Sacramento Union” i opracowanych później w książce Roughing It (1872); książka Six Months Among the Palm Groves, Coral Reefs and Volcanoes of the Sandwich Islands (1890) podróżniczki z epoki wiktoriańskiej Isabelli L. Bird; fascynująca książka Pameli Frierson The Burning Island: A Journey Through Myth and History in Volcano Country, Hawai‘i (1991); The Legends and Myths of Hawa‘i (1888) hawajskiego króla Kalakaua; oraz Myths and Legends of Hawai‘i: Ancient Love Retold W.D. Westervelta (1913). Jest jeszcze wiele innych wspaniałych książek o Hawajach i bogini Pele, ale wymienione pozycje zapewniają doskonałe wprowadzenie w tę problematykę dla zainteresowanego czytelnika.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział pierwszy.	4
Rozdział drugi	14
Rozdział trzeci	21
Rozdział czwarty.	30
Rozdział piąty.	39
Rozdział szósty.	59
Rozdział siódmy.	67
Rozdział ósmy.	80
Rozdział dziewiąty.	99
Rozdział dziesiąty.	111
Rozdział jedenasty.	131
Rozdział dwunasty.	153
Rozdział trzynasty.	170
Rozdział czternasty.	186
Rozdział piętnasty.	206
Rozdział szesnasty.	224
Rozdział siedemnasty.	249
Rozdział osiemnasty.	271
Rozdział dziewiętnasty.	297
Rozdział dwudziesty.	323
Rozdział dwudziesty pierwszy.	346
Rozdział dwudziesty drugi	368
Rozdział dwudziesty trzeci	390
Podziękowania.	401